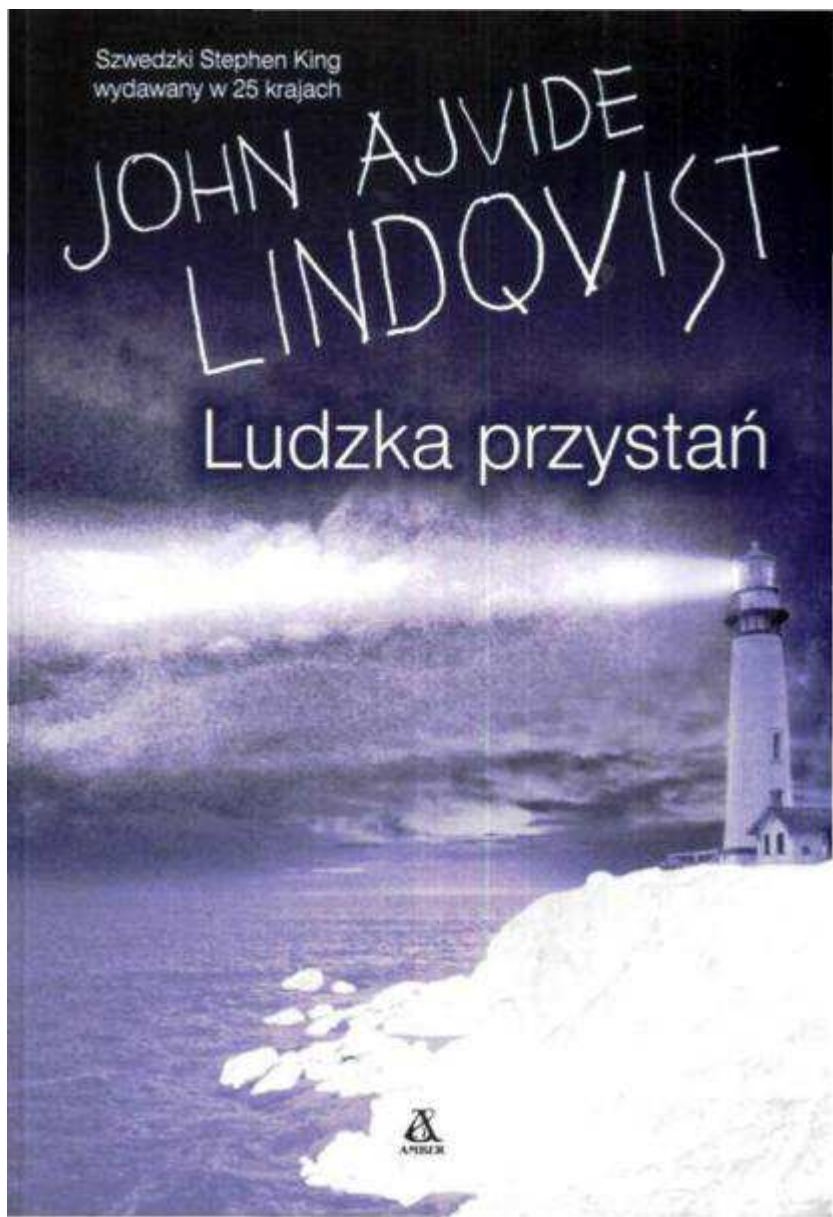


Szwedzki Stephen King
wydawany w 25 krajach

JOHN AJVIDE LINDQVIST

Ludzka przystań



„Tatusiu, co to jest? Tam, na lodzie?”

Słoneczny zimowy dzień. Anders i jego sześćioletnia córeczka Maja podziwiają ze szczytu latarni morskiej idylliczny krajobraz. Wszędzie dookoła rozciąga się tylko śnieg i Anders nie dostrzega tego, co pokazuje mu Maja. Dziewczynka schodzi, żeby przyjrzeć się z bliska temu, co widzi, i... znikła.

Nikt nie potrafi zrozumieć, co się stało. I nikt nie potrafi wyjaśnić, jak to możliwe, że ślady dziecka na śniegu nagle się urywają. Zrozpaczony ojciec postanawia odnaleźć córeczkę – choćby w piekle...

JOHN AJMDE LINDQVIST to znakomity szwedzki autor. Jego wydawane w 25 krajach książki są niezwykłym połączeniem powieści psychologicznej z literackim horrorem. Przemawiają do najgłębszych uczuć i lęków, i poruszają mroczną, nastrojową opowieścią o miłości silniejszej niż śmierć. *Wpuść mnie* – wielki bestseller sprzedany w Szwecji w 300 tysiącach egzemplarzy – został sfilmowany pt. *Pozwól mi wejść* (film jest dostępny w Polsce na DVD). W 2010 roku na ekrany kin wejdzie jego amerykański remake. Powieść *Powroty zmarłych* również jest ekranizowana.

Patronaty medialne



Cena det. zł 39,80

www.wydawnictwoamber.pl



JOHN AJVIDE
LINDQVIST

Ludzka przystań

Przekład

ELŻBIETA FRĄCZAK-NOWOTNY



Redakcja stylistyczna

Elżbieta Steglińska

Korekta

Longina Kryszkowska

Elżbieta Steglińska

Zdjęcie na okładce

Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo Amber

Monika E. Zjawieńska

Druk

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA,

Warszawa,

ul. Mińska 65

Tytuł oryginału Människohamn

Copyright © 2008 by John Ajvide Lindqvist.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3528-8

Warszawa 2010.

Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

00-060 Warszawa,

ul. Królewska 27 tel.

620 40 13,620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Ojcu
Ingemarowi Petterssonowi (1938-1998)
Który dał mi morze
I którego morze mi zabrało

Witamy na Domarö

Wyspy Domarö nie znajdziecie na mapie, chyba że będziecie bardzo dokładnie szukać. Leży dobre dwie mile morskie na wschód od Refsnäs w archipelagu południowego Roslagen, wciśnięta między Söderarm a Tjärven.

Odsuńcie na bok kilka wysp, przyjrzyjcie się dokładnie przestrzeni między nimi, a wtedy dostrzeżecie wysepkę Domarö. Zobaczycie też latarnię morską na Gåvasten i inne charakterystyczne punkty pojawiające się w tej opowieści.

Właśnie, pojawiające się. To jest właściwe słowo. Będziemy bowiem w miejscu, które jest dla człowieka nowe. Przez dziesiątki tysięcy lat leżało pod wodą. Gdy wyspy pojawiły się, zaczęli na nie przybywać ludzie, z ludźmi zaś przyszedł opowieści.

Zaczynamy więc.

Wyniany

*Tam, gdzie szumią fale i słyhać groźny pomruk sztormu,
gdzie fale biją o brzeg, burząc słońąorską toń,
tam z morza wynurza się ląd.
Nasze dziedzictwo, które po ojcach dostaliśmy w spadku.*

Lennart Albinsson Rådmansö

Morze dało, morze zabrało

*Kto nadpływa od strony fiordu,
co wylania się z czarnej błyszczącej toni?*

Gunnar Ekelöf Tjärven

O rokitniku

Trzy tysiące lat temu wyspa Domarö była jedynie dużą, płaską skalną płytą, na której stał wielki głaz pozostawiony przez lodowiec. Milę morską dalej na wschód można było dostrzec wzgórek, który później miał się wyłonić z morza i otrzymać nazwę Gåvasten. Poza tym nie było tu niczego. Musiało minąć kolejne tysiąc lat, zanim okoliczne wysepki odważyły się wynurzyć z wody i pokazać swoje łysiny, dając tym samym początek archipelagowi znanemu dzisiaj jako archipelag Domarö.

Wówczas na wyspie pojawił się też rokitnik.

U podnóża ogromnego, przytarganego przez lodowiec głazu wykształciła się linia brzegowa. I właśnie tam, wśród kamieni, zapuścił swoje pelzające korzenie rokitnik. Czerpiąc pożywienie z gnijących wodorostów, czepiając się kamieni, rósł tam, gdzie nic nie rosło. Rokitnik. Najodporniejszy z odpornych.

Roślina wypuszczała ciągle nowe korzenie, aż podeszła do wody, zaczęła rosnąć w górę i w końcu oplotła niezamieszkane brzegi Domarö metalicznie zieloną wstęgą niczym broda otaczająca wygolony podbródek. Ptaki żywiły się jej ognistożółtymi owocami o smaku cierpkiej pomarańczy; chwytaly je dziobami i leciały w świat, szerząc ewangelię rokitnika na nowych ładach; po kilku wiekach wszystkie pobliskie wysepki otoczone były zieloną wstęgą.

Ale rokitnik sam doprowadził do swojej porażki.

Muł, który powstał z jego gnijących liści, okazał się bowiem bogatszym źródłem pożywienia, niż oferowało skaliste wybrzeże. Wykorzystała to olcha. Wysiała swoje nasiona w pustych przestrzeniach między krzakami rokitnika i szybko zaczęła się rozrastać. Rokitnik źle znosił bogatą w azot ziemię wokół drzew olchy, a także cień, który dawały jej liście, i zaczął schodzić coraz niżej ku wodzie.

Za olchą przyszły inne wymagające żyźniejszej ziemi rośliny; i zaczęła się walka o przestrzeń życiową. Rokitnik został bardzo szybko zepchnięty do powoli rozrastającego się wybrzeża; w ciągu stu lat przybywało mniej więcej pół metra łądu. Tak więc chociaż wykarmił inne rośliny, sam został wyparty.

Rośnie teraz tuż przy brzegu, czekając na swój czas. Pod jego wąskimi, jedwabistozielonymi liśćmi rosną kolce. Duże kolce.

Dwoje małych ludzi i jeden duży kamień (lipiec 1984)

Trzymali się za ręce.

On miał trzynaście lat, ona dwanaście. Jeśli zobaczyłby ich ktoś z ich paczki, padliby trupem na miejscu. Przemykali się przez las świadomi każdego dźwięku, każdego ruchu, jakby zostało im powierzone do wykonania tajne zadanie. W pewnym sensie tak było: kiedyś będą razem, ale tego jeszcze nie wiedzą.

Dochodziła dziesiąta wieczorem, ale wciąż było na tyle jasno, że bez problemu widzieli swoje ręce i nogi, ruchome białe plamy na dywanie z darni i ziemi, gdzie wciąż jeszcze utrzymywało się ciepło dnia. Nie mieli odwagi patrzeć na swoje twarze. Gdyby to zrobili, musieliby coś powiedzieć, a nie mieli odpowiednich słów.

Postanowili iść do kamienia. W pewnym momencie, kiedy szli ścieżką, ich dłonie otarły się o siebie, jedna dłoń chwyciła drugą i tak już zostało. Szli więc, trzymając się za ręce. Gdyby teraz padło jakieś słowo, to to, co dotąd było proste, stałoby się trudne.

Andersa paliła skóra jak po dniu spędzonym w prażącym słońcu. Piekł go każdy skrawek ciała, kręciło mu się w głowie, jakby miał udar słoneczny; bał się potknąć na jakimś wystającym korzeniu, bał się, że spoci mu się dłoń, bał się, że zrobi coś nie tak, nie bardzo nawet wiedząc, dlaczego tak jest.

W ich paczce były pary. Martin i Malin byli ze sobą. Wcześniej Malin była z Joelem. Zdarzało się, że leżeli i całowali się na oczach wszystkich. Martin twierdził nawet, że on i Malin pieścili się na nabrzeżu, przy szopach na łodzie. Nieważne, jak było naprawdę, im wolno było takie rzeczy opowiadać, wolno im było takie rzeczy robić.

Przed wszystkim byli starsi, a poza tym byli ładni. Byli super. Dlatego wiele rzeczy im uchodziło i wolno im było używać własnego języka. Nie było natomiast sensu ich naśladować; ten, kto by spróbował, tylko by się ośmieszył. Trzeba było siedzieć, patrzeć i rechotać w odpowiednim momencie. Tak po prostu było.

Ani Anders, ani Cecilia niczym się nie wyróżniali. Nic byli odtrącani jak Henrik czy Björn, czyli Hubba i Bubba, jak ich nazywano, ale też nie należeli do tych, którzy ustanawiają reguły gry i decydują, co jest fajne, a co nie.

Tak więc to, że Anders i Cecilia szli, trzymając się za ręce, było po prostu śmieszne. Wiedzieli o tym. Anders był niski, chudy, a jego brązowe włosy były za cienkie, żeby dały się ułożyć w jakąś fryzurę. Nie miał pojęcia, jak Martin i Joel sobie z tym radzili. Raz spróbował zaczesać włosy do tyłu i ułożyć na żel, ale wyglądał tak głupio, że zmył wszystko, zanim ktokolwiek go zobaczył.

Cecilia była jakby płaska i kanciasta. Chociaż była szczupła, miała szerokie ramiona. Natomiast prawie nie miała bioder, nie mówiąc już o piersiach. W porównaniu z ramionami jej twarz wydawała się mała. Miała jasne włosy do ramion i mały, obsypany piegami nosek. Anders uważał, że jest śliczna, kiedy związywała włosy w koński ogon. Jej niebieskie oczy zawsze wyglądały nieco smutno, ale Andersowi to się podobało. Miał wrażenie, że ona dużo wie.

Martin i Joel nic nie wiedzieli. Malin i Elin też nie. Pewne rzeczy przychodziły im instynktownie: mówili to, co powinni mówić, mogli nawet nosić sandały i nie wyglądało to głupio, jednak o życiu nie wiedzieli nic. Sandra czytała książki i była sprytna, ale nic w jej spojrzeniu nie świadczyło o tym, że naprawdę coś wie.

Natomiast Cecilia wiedziała, a ponieważ Anders to widział, świadczyło to o tym, że on też wie. Nie potrafił określić, co to takiego było, wiedział jednak, że tak jest. Jakby się rozpoznali. Oboje wiedzieli coś o życiu; wiedzieli, o co w nim naprawdę chodzi.

Im bliżej kamienia, tym robiło się bardziej stromo i tym rzadziej rosły świerki. Za moment będą musieli puścić swoje ręce, żeby wspiąć się na zbocze.

Anders zerkał na Cecilię. Miała na sobie T-shirt w białą-żółte paski, z wycięciem przy szyi, które odsłaniało jej obojczyk. Niewiarygodne, że już od pięciu minut są ze sobą połączeni, że jej skóra dotyka jego skóry.

Że ona jest jego.

Była jego już od pięciu minut. Wkrótce jednak puszczą swoje dłonie i znów będą szli osobno, staną się zwykłymi ludźmi. I co wtedy sobie powiedzą?

Anders spuścił wzrok. Podłoże zrobiło się kamieniste, musiał uważać, gdzie stawia stopy. Spodziewał się, że w każdej chwili Cecilia może puścić jego dłoń, ale nic takiego się nie stało. Pomyślał, że może trzyma ją tak mocno, że ona nie może wykonać żadnego ruchu. Poczul się zażenowany i rozluźnił chwyt. Wtedy puściła jego rękę.

Dwie minuty, które zajęło im wdrapanie się na głąz, Anders zastanawiał się, jak to naprawdę było: czy rzeczywiście trzymał ją zbyt mocno, czy może w

momencie, kiedy ona poczuła, że on poluzował chwyt, pomyślała, że chce puścić jej dłoń i postanowiła zrobić to pierwsza. I wtedy właśnie puściła jego rękę.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, był przekonany, że ani Joel, ani Martin nie miewali tego typu problemów. Ukradkiem wytarł rękę w spodnie. Czuł, że jest spocona.

Kiedy dotarli na szczyt, miał wrażenie, że jego głowa jest większa niż zwykle, krew pulsowała mu w uszach, pewnie był czerwony na twarzy. Zerknął na swoją klatkę piersiową i zobaczył maleńkiego duszka wyglądającego zza znaku zakazu. Ghostbusters. To była jego ulubiona koszulka, tak sprana, że kontury duszka nieco się już zatary.

- Jak tu ładnie.

Cecilia stała na krawędzi. Ponad wierzchołkami świerków patrzyła na morze. Daleko w dole widać było osadę lotniskową, gdzie mieszkała większość ich kolegów. Po morzu sunął prom płynący do Finlandii, wiązka światła na wodzie. Dalej leżały inne wyspy archipelagu, których nazw Anders nie znał.

Podszedł do niej tak blisko, jak tylko się odważył, i powiedział:

- Nie ma chyba ładniejszego widoku.

Od razu pożałował swoich słów. Strasznie głupio to powiedział, spróbował więc jakoś z tego wybrnąć i dodał:

- Oczywiście, jeśli ktoś lubi takie widoki.

To też zabrzmiało dziwnie; cofnął się i ruszył dokoła głazu. Okrążył go, przeszedł może trzydzieści metrów i znów zbliżył się do niej.

- Dziwny, prawda? Skąd on się tu wziął? - zapytała Cecilia.

Na to potrafił odpowiedzieć.

- To głaz polodowcowy. Tak przynajmniej twierdzi tata.

- Co takiego?

Patrzył na morze, skupił wzrok na latarni w Gåvasten, próbując sobie przypomnieć, co kiedyś mówił mu ojciec. Zatoczył ręką dokoła. Miasteczko, Dom Misyjny, dzwon sztormowy obok sklepiku.

- No więc... kiedyś był tu lód. Wszystko było pokryte lodem. To była epoka lodowcowa. Lodowiec niósł ze sobą kamienie. A potem, kiedy lód się topił, to te kamienie zostawały, w różnych miejscach.

- A skąd one pochodziły? To znaczy skąd ten lód je ze sobą przyniósł?

O tym też ojciec mu opowiadał, ale tego Anders nie pamiętał. Skąd mogły pochodzić? Wzruszył ramionami.

- Z północy, chyba. Z gór. Tak, gdzieś z gór. Tam jest... dużo kamieni.

Cecilia wychyliła się i spojrzała w dół. Powierzchnia głazu była niemal gładka, do ziemi było na pewno co najmniej dziesięć metrów.

- Tego lodu musiało być bardzo dużo - stwierdziła.

To akurat Anders pamiętał.

- Kilometr. Łód miał kilometr grubości - powiedział, wskazując ręką w niebo.

Cecilia zmarszczyła nos, Anders poczuł ukłucie w piersi.

- No nieee! - powiedziała. - Żartujesz?

- Tak mówił tata.

- Kilometr?

- Tak, a wiesz, że... te wszystkie wyspy dokoła nas każdego roku trochę bardziej wynurzają się z morza?

Cecilia pokiwała głową.

- Łód był bardzo ciężki; wszystko przygniatał i dlatego to wszystko teraz się... podnosi. Cały czas.

Rozkręcił się na dobre. Wszystko już pamiętał. Ponieważ Cecilia nadal wydawała się zainteresowana, mówił dalej. Wskazał ręką na Gåvasten.

- Dwa tysiące lat temu wszędzie tu była woda. Jedyne, co wystawało ponad powierzchnię, to latarnia. To znaczy skała, na której ona stoi. Samej latarni wtedy nie było. I ten głaz. Cała reszta była pod wodą. Wtedy.

Stał i patrzył na swoje stopy; zaczął kopać cienką warstwę mchu i porostów, które pokrywały głaz. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że Cecilia omiata wzrokiem morze, ląd, wyspy. Dotknęła ręką obojczyka, jakby nagle czegoś się przestraszyła.

- Naprawdę? - spytała.

- Chyba tak.

W umyśle Andersa coś się zmieniło. Teraz patrzył na wszystko jej oczami. Kiedy poprzedniego lata był tu z ojcem, słowa były jedynie informacją; nawet jeśli uznał je za ciekawe, to właściwie się nad nimi nie zastanawiał. Nie próbował sobie niczego wyobrazić.

Teraz to widział. Widział, jak nowe wszystko było. Jakby istniało zaledwie chwilę. Wyspa, ziemia, na której stał ich dom, nawet stare drewniane szopy na łodzie w porcie były jedynie jak klocki lego na pradawnej górze. Poczul ssanie w żołądku, zakręciło mu się w głowie, jakby ze strachu przed otchłaniem czasu. Objął się rękami i nagle poczuł się zupełnie sam na świecie. Powędrował wzrokiem ku horyzontowi, ale nie znalazł tam pocieszenia. Horyzont był milczący i nieskończony.

Wtedy nagle usłyszał jakby westchnienie, z lewej strony. Czyjś oddech. Odwrócił głowę i zobaczył twarz Cecili zaledwie kilka centymetrów od swojej. Patrzyła mu w oczy. I oddychała. Jej usta były tak blisko, że powietrze, które wydychała, było niczym ciepłe muśnięcie; poczuł lekki zapach juicy fruit.

Potem nie był w stanie tego pojąć, ale tak właśnie było: nawet się nie zaważał. Pochylił się i pocałował ją, nie zastanawiając się, jak to zrobić i czy w ogóle.

Po prostu to zrobił.

Jej wargi były zaciśnięte. Z tym samym niepojętym zdecydowaniem włożył między nie swój język. A ona wysunęła swój. Był ciepły i miękki, lizał go. Było to całkowicie nowe doświadczenie: jego język lizał język drugiej osoby. Może nie było to dokładnie to, co wtedy pomyślał, ale pewnie jakoś podobnie. Nagle poczuł się niepewnie, dziwnie, nie wiedział, co dalej.

Chwilę jeszcze lizał jej język. Z jednej strony sprawiało mu to przyjemność, to było fantastyczne, z drugiej zastanawiał się: Czy rzeczywiście tak się robi? Tak to wygląda? Oczywiście to nie mogło trwać wiecznie, przypuszczał, że zwykle był to jedynie wstęp do dalszych pieszczot. Czuł, jak jego siusiak sztywnieje, kiedy tak swoim językiem lizał jej język, wiedział jednak też, że nie ma żadnej możliwości, żadnej szansy, żeby zaczął... dotykać ją w ten sposób. Żadnej szansy. Nie mógł, nie wiedział jak... Nie, w ogóle nie chciał.

Pochłonięty takimi myślami, nawet nie zauważył, że jego język znieruchomiał. Teraz ona lizała jego język. Przyjął to z wdzięcznością, było to bardzo miłe, wszelkie wątpliwości zniknęły. Kiedy Cecilia wyjęła z jego ust swój język i znów go pocałowała, zanim ich twarze znów się od siebie oddaliły, pomyślał tylko: wszystko poszło dobrze.

Po raz pierwszy w życiu pocałował dziewczynę i wszystko poszło dobrze. Twarz go paliła, nogi miał miękkie, ale się udało. Zerknął na nią i miał wrażenie, że ona też tak myśli. Zauważył, że się uśmiecha i też się uśmiechnął. Ona to dostrzegła, i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Przez moment patrzyli sobie w oczy, uśmiechając się do siebie. Potem oboje znów zwrócili wzrok ku morzu. Anders uznał, że wcale nie wygląda przerażająco; nie rozumiał, że kiedyś mógł w ogóle tak myśleć.

Nie ma chyba ładniejszego widoku.

Tak wtedy powiedział. I to była prawda.

Zeszli na dół. Kiedy minęli najbardziej skalisty odcinek, znów wzięli się za ręce. Anders miał ochotę krzyczeć, skakać, uderzać suchymi gałęziami o pnie drzew, jakby coś w nim chciało wydostać się na zewnątrz.

Trzymał jej dłoń, a w środku aż kipiał z radości tak wielkiej, że niemal sprawiała mu ból.

Jesteśmy razem. Ja i Cecilia. Teraz jesteśmy razem.

Gåvasten (luty 2004)

Co za dzień. Niewiarygodny.

Cecilia i Anders stali w oknie w dużym pokoju i, mrużąc oczy, patrzyli w dal. Łód pokryty był nietkniętą warstwą śniegu, na bezchmurnym niebie świeciło

słońce; kontury wybrzeża, pomostu i zatoki były rozmazane jak na prześwietlonej fotografii.

- Ja też chcę zobaczyć! Ja też!

Maja wbiegła do pokoju z kuchni. Anders zdążył otworzyć usta, żeby ostrzec ją po raz setny - dziewczynka miała na nogach wełniane skarpety - kiedy poślizgnęła się na błyszczącej drewnianej podłodze i upadła na plecy u jego stóp.

Odruchowo schylił się, chcąc pocieszyć córeczkę, ale Maja natychmiast przekręciła się na bok, odsuwając od niego. W jej oczach pojawiły się łzy. Zaczęła krzyczeć:

- Paskudne, głupie skarpety!

Ściągnęła je i znów pobiegła do kuchni.

Anders i Cecilia spojrzeli na siebie i westchnęli. Słyszeli, że Maja buszuje w kuchennych szufladach.

Kto?

Cecilia zamrugała i postanowiła interweniować, zanim Maja wyrzuci na podłogę zawartość szuflad albo coś stłucze. Wyszła do kuchni, a Anders odwrócił się do okna, by dalej podziwiać piękny słoneczny dzień.

- Nie! Maja! Zaczekaj!

Dziewczynka wybiegła z kuchni z nożyczkami w ręku, tuż za nią pojawiła się Cecilia. Zanim którekolwiek z nich zdążyło ją powstrzymać, Maja chwyciła wełnianą skarpetę i zaczęła ciąć ją na kawałki.

Anders chwycił córeczkę za ręce i zmusił, żeby puściła nożyczki. Maja, trzęsąc się ze złości, kopała skarpetkę.

- Nienawidzę cię, głupia skarpetko!

Objął machającą córeczkę, unieruchomił jej ręce.

- Maju, to nic nie da. Skarpetki tego nie rozumieją.

Maja była jak drżący tłumoczek w jego objęciach.

- Nienawidzę ich!

- Dobrze, ale nie musisz...

- Potnę je na kawałki i spalę!

- Chodź do mnie, maleńka. No, chodź.

Usiadł na kanapie, nie rozluźniając chwytu. Cecilia usiadła obok. Mówili do małej łagodnie, głaskali po włosach, po niebieskim dresie z miękkiej dzianiny, jedynym, w którym chciała chodzić. Po kilku minutach dziecko przestało drżeć i odprężyło się w objęciach Andersa.

- Powinnaś włożyć buciki.

- Chcę chodzić boso.

- To niemożliwe. Podłoga jest zimna.

- Na bosaka.

Cecilia wzruszyła ramionami. Maja prawie nigdy nie marzła. Nawet jeśli było kilka stopni mrozu, wybiegała na dwór w samym T-shircie, jeśli nikt nie zdążył zareagować. W nocy spała najwyżej osiem godzin. Mimo to rzadko chorowała czy bywała zmęczona.

Cecilia ujęła stopki Mai w swoje dłonie i zaczęła na nie dmuchać.

- Tak czy inaczej musisz włożyć jakieś skarpetki. Idziemy na wycieczkę.
- Dokąd? - spytała Maja, gramoląc się Andersowi na kolana.

Cecilia wskazała ręką na północny wschód.

- Do Gåvasten. Do latarni.

Maja wychyliła się do przodu, mrużąc oczy w słońcu. Stara kamienna latarnia morska, oddalona około dwóch kilometrów, była ledwie dostrzegalną rysą na horyzoncie. Całą zimę czekali właśnie na taki dzień jak ten, żeby się tam wybrać.

- Będziemy tam szli, na piechotę? - spytała Maja i ramiona jej opadły.
- Pomyślałem, że pojedziemy na nartach - powiedział Anders.

Ledwie dokończył zdanie, Maja już zeskoczyła z jego kolan i wybiegła do przedpokoj. Dwa tygodnie temu, na szóste urodziny, dostała swoje pierwsze narty. Już za drugim razem świetnie sobie radziła. Była urodzoną narciarką.

Wróciła po dwóch minutach ubrana w kombinezon, w czapce i rękawiczkach.

- Chodźcie!

Nie zwracając uwagi na protesty dziewczynki, spakowali mały plecak. Kawa, czekolada, kanapki. Potem wzięli narty i zeszli nad brzeg zatoki. Światło było oślepiające. Ostatnie dni były bezwietrzne, na gałęziach drzew leżał świeży śnieg. Gdziekolwiek by się zwrócić, wszędzie było białe, olśniewająco białe. Trudno było wręcz wyobrazić sobie, że kiedyś znów będzie ciepło i zielono. Nawet z kosmosu ziemia musiała wyglądać jak po mistrzowsku ulepiona wielka śnieżna kula, biała i okrągła.

Chwilę trwało, zanim udało im się przypiąć córeczce narty; Maja była tak podekscytowana, że nie mogła spokojnie ustać. Kiedy w końcu zapięli jej wiązania i dali do rąk kijki, natychmiast wyszła na lód, wołając:

- Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie!

Ruszyła przed siebie, a oni uznali, że przynajmniej raz nie muszą się o nią martwić. Zanim sami przypięli narty, Maja zdążyła się już oddalić od nich o dobre kilkaset metrów, czerwony punkcik na tle bieli.

Inaczej było w mieście. Już kilka razy zdarzyło się, że Maja im zginęła, bo nagle coś przykuło jej uwagę; żartowali, że muszą wyposażyć ją w GPS. Żartowali jak żartowali. Przez moment naprawdę się nad tym zastanawiali; uznali jednak, że byłaby to przesada.

Ruszyli. Widzieli, jak w pewnej chwili Maja się przewraca, ale zaraz się podniosła i jechała dalej. Anders i Cecilia podążali jej śladem. Po jakichś pięćdziesięciu metrach Anders się odwrócił.

Ich dom stał na samym szczycie cypla. Z obu kominów unosił się dym. Po jego dwóch stronach stały uginające się pod ciężarem śniegu dwa świerki. Dom był nieładny, źle zbudowany, źle utrzymany, ale w tym momencie, z tej odległości wyglądał, jakby był rajem na ziemi.

Anders wyszperał z plecaka starego nikon, ustawił aparat i pstryknął zdjęcie. Na pocieszenie, kiedy znów zacznie przeklinać nieszczelne ściany i krzywe podłogi. Świadectwo, że czasem jednak bywał to raj na ziemi. Schował aparat z powrotem do plecaka i pospieszył za swoją rodziną.

Dogonił ich po kilku minutach. Zakładał, że będzie jechał przodem i wyznaczał szlak, żeby ułatwić córeczce i Cecilii przedzieranie się przez dziesięciocentymetrową warstwę śnieżnego puchu, ale Maja zaprotestowała. To ona jechała przodem i wybierała drogę, a oni sunęli za nią.

Lodu nie musieli się obawiać, jakby na potwierdzenie od lądu doszedł ich warkot silnika. Od strony pomostu w Nåtén zbliżał się samochód, kierując się w stronę Domarö. Z tej odległości wyglądał jak niewielka muszka. Maja zatrzymała się i patrzyła zdziwiona.

- To prawdziwy samochód?
- Tak - odpowiedział Anders. - A jaki miałby być?

Córeczka nic nie powiedziała; przyglądała się pojazdowi, który zmierzał w stronę cypla po drugiej stronie wyspy.

- Kto nim jedzie?
- Jakiś turysta pewnie. Przyjechał się wykapać.

Maja roześmiała się i spojrzała na niego z tym swoim besserwiskim wyrazem twarzy, który niekiedy przybierała.

- Wykapać się? Tato! Teraz?

Anders i Cecilia wybuchnęli śmiechem. Samochód zniknął za cyplem, zostawiając za sobą lekką chmurkę śnieżnego pyłu.

- Pewnie jakiś sztokholmczyk przyjechał do swojego domu i wybrał się obejrzyć lód, zresztą nie wiem.

Odpowiedź zadowolila Maję, która odwróciła się i ruszyła przed siebie. Nagle coś sobie przypomniała i znów się zatrzymała.

- Dlaczego my nie jesteśmy sztokholmczykami? Przecież mieszkamy w Sztokholmie.

- Ty i ja jesteśmy sztokholmkami, co innego tata, bo jego tata nie pochodził ze Sztokholmu.

- Mój dziadek?
- Tak.
- A kim on był?

Cecilia poruszyła ustami i spojrzała na Andersa, który powiedział:

- Rybakiem.

Maja pokiwała głową i znów ruszyła w stronę latarni, która teraz wyglądała jak podłużna plama na tle jasnego nieba.

Simon stał na oszklonej werandzie i obserwował ich przez lornetkę. Widział, jak się zatrzymują i rozmawiają, a potem znów suną po śniegu, cały czas z Mają na czele. Uśmiechnął się do siebie. To małej odpowiadało. Lubiła wyzwania, lubiła porządnie się zmęczyć. Jakby miała w sobie dynamo, jakiś mały silniczek, który pracował na okrągło, cały czas się ładując. Jej energia musiała gdzieś znajdować ujście.

Był jej pradziadkiem, chociaż nie z krwi i kości, podobnie jak był dziadkiem Andersa. Znał ich oboje od małego, zanim którekolwiek z nich było w stanie skupić na nim swój wzrok. Był co prawda z zewnątrz, ale został przyjęty do tej małej rodziny, która nie była jego.

Parząc kawę w maszynie, zerkał, jak to miał w zwyczaju, w stronę domu Anny-Grety. Wiedział, że popłynęła na łód po zakupy i wróci dopiero po południu. A mimo to zerkał tam; złapał się na tym, że już za nią tęskni.

Byli ze sobą czterdzieści lat, a nadal za sobą tęsknili. To dobrze. Może wynikało to z tego, że mieszkali osobno? Poczul się zraniony, kiedy Anna-Greta powiedziała, że owszem kocha go, ale nie zamieszka z nim. Może, jak to dotąd robił, wynajmować od niej dom, a jeśli mu to nie odpowiada, to bardzo jej przykro, ale tak się sprawy mają.

Podporządkował się, mając nadzieję, że z czasem sytuacja się zmieni. I zmieniła się, chociaż nie tak, jak się tego spodziewał. W końcu bowiem to on zmienił zdanie, i dzisiaj, po latach, uważał, że jest to świetne rozwiązanie. Płacił symboliczny czynsz. Taki sam od początku, czyli od 1955 roku. Tysiąc koron rocznie. Zwykle przeznaczali tę sumę na rejs promem do Finlandii, podczas którego raczyli się najdroższymi daniami, popijając najlepsze trunki. Z czasem stało się to tradycją.

Nie pobrali się. Anna-Greta była już raz zamężna, z Erikiem, i to było o raz za dużo. Poza tym jednak Simon był jej mężem, no i dziadkiem, i pradziadkiem.

Znów wyszedł na werandę i sięgnął po lornetkę. Szybko się posuwali, byli już niemal przy latarni. Teraz najwyraźniej znów się zatrzymali, ale Simon nie wiedział, co robią. Próbował wyregulować ostrość, żeby dojrzeć coś więcej, i wtedy usłyszał, że otwierają się drzwi frontowe.

- Halo!

Zacisnął usta. Minęło kilka lat, zanim się przyzwyczaił, że mieszkańcy wyspy, gdy szli odwiedzić sąsiadów, nigdy nie pukali. Początkowo sam zawsze pukał i zawsze musiał długo czekać. Kiedy w końcu drzwi się otwierały, wyraz oczu

gospodarza zdawał się mówić: „Czemu się wygłupiasz i tak stoisz? Wejdz”.

Usłyszał zdejmowanie butów w sionce, ktoś chrząknął i do pokoju wkroczył Elof Lundberg w swoim nieodłącznym berecie i skinął głową Simonowi:

- Witajcie, gospodarzu.
- Witaj.

Elof oblizwał wargi, które wyschły na mrozie, i się rozejrzał. To, co zobaczył, najwyraźniej nie prowokowało do żadnego komentarza, bo spytał po prostu:

- No, a co tam nowego?
- Nic. Stara bieda - odpowiedział Simon.

Niekiedy uważał taką wymianę zdań za zabawną, dzisiaj jednak nie był w nastroju, żeby wymieniać uprzejmości, czekając, aż Elof przejdzie do rzeczy, więc łamiąc przyjęty rytuał, spytał:

- Chodzi o wiertło, tak?

Oczy Elofa zwężyły się, jakby pytanie było dla niego tak wielkim zaskoczeniem, że wymagało chwili namysłu. Zastanawiał się kilka sekund i w końcu powiedział:

- Tak. Wiertło. Pomyślałem, że... - zaczął i wskazał głową na lód. - Pomyślałem, że spróbuję szczęścia.
- Pod schodami. Jak zwykle.

Trzy lata temu, kiedy zima też była tak mroźna, że lód skuł zatokę, Elof przychodził i pożyczał wiertło Simona kilka razy w tygodniu. Simon powiedział mu wtedy, żeby brał je, kiedy potrzebuje, a potem po prostu odkładał na miejsce. Elof pokiwał głową, mruknął coś, ale i tak za każdym razem przychodził i prosił o pozwolenie.

Sprawa wydawała się załatwiona, ale Elof najwyraźniej nie zamierzał odchodzić. Może chciał się trochę ogrzać przed wyjściem na mróz. Skinął głową, wskazując na lornetkę w ręku Simona.

- Czego tak wypatrujesz?

Simon pokazał na latarnię.

- Rodzina wybrała się na wycieczkę. Trochę ich pilnuję.

Elof wyrzwał przez okno, ale oczywiście nie był w stanie nikogo dostrzec.

- Gdzie ty ich widzisz?
- Są przy latarni.
- Przy latarni?
- Tak.

Elof nadal wypatrywał przez okno, poruszając szczękami, jakby żuł coś niewidzialnego. Simon miał nadzieję, że pójdzie, zanim w pokoju zacznie się unosić zapach kawy, bo wtedy już na pewno zostanie. A Simon chciał mieć spokój. Elof jednak nadal stał w oknie i zagryzał wargi.

- Anders ma może taki... telefon komórkowy? - spytał nagle.

- Bo co?

Elof oddychał ciężko, wypatrując czegoś, czego nie było widać. Simon nie bardzo wiedział, do czego starzec zmierza, więc spytał ponownie:

- Dlaczego pytasz, czy ma telefon komórkowy?

Zaległa cisza. Słysząc było bulgotanie wody w ekspresie. Po chwili Elof odwrócił się od okna, spuścił wzrok i powiedział:

- Powinieneś zadzwonić do niego i powiedzieć, żeby wracał do domu.

- Dlaczego?

Znów zapadła cisza. Simon czuł, że dobiegający z kuchni zapach kawy staje się coraz bardziej intensywny. Elof jednak najwyraźniej nie zwracał na niego uwagi. Westchnął i powiedział:

- Łód tam daleko może być niebezpieczny.

- Ma co najmniej pół metra grubości! - parsknął Simon.

Elof znów westchnął, spuścił wzrok i zaczął przyglądać się wzorom na dywanie. Nagle zrobił coś nieoczekiwanego. Uniósł głowę, spojrzął Simonowi prosto w oczy i powiedział:

- Zrób, co ci powiedziałem. Zadzwonź do niego. Niech zbierze rodzinę. I niech wracają do domu.

Simon patrzył w jasnoniebieskie oczy Elofa. Była w nich powaga. Nie potrafił zrozumieć, o co Elofowi chodzi, ale starzec na pewno mówił poważnie; nigdy dotąd nie słyszał z jego ust takich słów. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego to robi, ale sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer Andersa.

- Cześć, mówi Anders. Zostaw wiadomość po sygnale.

Simon odłożył aparat.

- Nie odpowiada. Pewnie wyłączył telefon. A o co chodzi?

Elof znów spojrzął na fiord. Zaciśnął wargi i pokiwał głową, jakby chciał coś powiedzieć.

- Pewnie będzie dobrze - mruknął i odwrócił się w stronę korytarza. - Oddam ci wiertło za kilka godzin - rzucił, wychodząc.

Simon usłyszał, jak drzwi wejściowe otwierają się i zaraz potem zamykają. Poczul powiew zimnego powietrza na stopach. Uniósł lornetkę i spojrzął w stronę latarni. Na skałę, na której stała, wdrapywały się trzy niewielkie postaci.

- Zaczekajcie!

Anders dawał znaki Mai i Cecilii, żeby się zatrzymały. Chciał zrobić im zdjęcie, dwa zdjęcia, trzy, każde z innej odległości. Maja niecierpliwiła się, chciała iść dalej, ale Cecilia ją przytrzymała. Wyglądały wspaniale, dwie drobne sylwet

ki na tle śniegu i potężna latarnia królująca w tle. Anders uniósł do góry kciuk i schował aparat.

Maja i Cecilia skierowały się w stronę jaskrawoczerwonych drzwi latarni. Anders stał z rękami w kieszeniach, przyglądając się ponad dwudziestometrowej wieży. Została wzniesiona z kamieni. Nie z cegieł, tylko ze zwykłych szarych kamieni. Sprawiała wrażenie, że oprze się wszystkiemu.

To musiała być ogromna praca. Zwieźć tu te wszystkie kamienie, wynieść na brzeg, a potem układać jeden na drugim...

- Tato! Tato, chodź!

Maja stała przed drzwiami latarni i podekscytowana podskakiwała, wymachując rękawiczkami.

- Co się stało? - spytał Anders, podchodząc bliżej.

- Drzwi są otwarte!

Rzeczywiście. Przed drzwiami stała puszka na pieniądze i niewielki stelaż z broszurkami. Na tabliczce było napisane, że Stowarzyszenie Morskie zaprasza do zwiedzania latarni Gåvasten. „Zapraszamy do środka. Prosimy wziąć broszurkę informacyjną. Będziemy wdzięczni za wszelkie datki”.

Anders sprawdził w kieszeniach, znalazł zmięty banknot pięćdziesięciokoronowy i zadowolony wepchnął go do pustej puszeki. To przeszło jego oczekiwania. Nie spodziewał się, że latarnia będzie otwarta, szczególnie teraz, zimą.

Maja była już na schodach, Anders i Cecilia szli za nią. Zniszczone kręte kamienne schody były tak wąskie, że musieli wchodzić pojedynczo. Otwory okienne były zabezpieczone żelaznymi okiennicami przytwierdzonymi śrubami skrzydełkowymi.

Cecilia się zatrzymała. Anders słyszał, jak głośno oddycha. Zobaczył, że wyciąga do niego rękę. Chwycił jej dłoń.

- Jak ci idzie? - spytał.

- Jakoś.

Wchodziła dalej, ściskając dłoń Andersa. Miała skłonność do klaustrofobii, latarnia morska jawiła się jej jak istny koszmar. Niemal dotykające się grube kamienne ściany tłumiły wszystkie dźwięki, a jedyne światło docierało do nich przez otwarte drzwi na dole; im wyżej wchodził, tym było go mniej.

Pokonali kolejne czterdzieści stopni; za nimi była ciemność, ale padające z góry światło przybierało na sile. Gdzieś z wysoka doszedł ich głos Mai.

- Chodźcie! Chodźcie! Zobaczcie!

Schody kończyły się otworem w drewnianej podłodze. Stali teraz w okrągłym pomieszczeniu z kilkoma niewielkimi okienkami. Grube szyby wpuszczały trochę światła. Na samym środku były kolejne drzwi, prowadzące do wieży wewnątrz wieży, stąd dochodziło światło.

Cecilia usiadła na podłodze i przeciągnęła dłonią po twarzy. Kiedy Anders pochylił się nad nią, machnęła uspokajająco ręką.

- Nic mi nie jest. Muszę tylko...

Maja zawołała do nich z wieży i Cecilia powiedziała, żeby szedł dalej. Zaraz do nich dołączy. Poglądził ją po włosach i zniknął w otwartych drzwiach, prowadzących do kolejnych krętych schodów, tym razem z żelaza. Pokonał następne dwadzieścia stopni i nagle oślepiło go jasne światło, dotarł do serca latarni, do reflektora.

Stał z otwartymi ustami. Widok był przepiękny.

Z mroku wychodzimy na światło. Po wspinaczce po ciemnych schodach przeżył szok. Z wyjątkiem białego wapiennego rantu na samym dole, okrągłe ściany były ze szkła, istniało tylko niebo i światło. Na środku stał reflektor, przypominający obelisk z pryzm i różnokolorowych kawałków szkła o geometrycznych kształtach. Świątynia poświęcona światłu.

Maja stała z nosem i dłońmi przyklejonymi do szklanej ściany. Kiedy usłyszała kroki Andersa, wskazała na coś na lodzie, gdzieś na północnym wschodzie.

- Tato, co to takiego? - spytała.

Anders zmrużył oczy w silnym świetle, patrzył na lód. Nie widział jednak niczego, jedynie biel, i gdzieś daleko na horyzoncie ledwo zarysowane kontury wysp archipelagu Ledinge.

- O co ci chodzi?

- Tam, na lodzie - powiedziała Maja, wskazując palcem.

Podmuch wiatru sprawił, że płatki śniegu uniosły się i zaczęły wirować jak białe duszki nad czystą pokrywą lodu. Anders pokręcił głową i odwrócił się do córeczki.

- Widziałaś coś takiego?

Razem zaczęli przyglądać się reflektorowi; Anders zrobił kilka zdjęć: Maja na tle reflektora, za reflektorem, przed reflektorem. Mała dziewczynka i kalejdoskop światła, którego promienie załamywały się pod wszystkimi możliwymi kątami. Kiedy skończyli oględziny, na górę dotarła Cecilia i też stanęła zdziwiona.

Zjedli na górze, w pomieszczeniu z reflektorem, z widokiem na szkiery, próbując znaleźć znane im punkty orientacyjne. Maja zainteresowała się napisami na kawałku białej ściany, ale ponieważ część z nich wymagała tłumaczenia, które bynajmniej nie nadawało się dla uszu sześciolatki, Anders sięgnął w końcu po broszurkę informacyjną i zaczął czytać na głos. „Niższe piętra latarni zostały zbudowane już w XVI wieku; była to właściwie platforma, na której palono ogień, wskazujący statkom szlak morski do Sztokholmu. Później dobudowano wieżę, na której zamontowano prymitywny reflektor, najpierw paliwem była oliwa, potem nafta”.

W tym momencie Maja uznała, że ma dosyć i ruszyła w dół po schodach. Anders chwycił ją za kombinezon.

- Hej. A ty dokąd?
- Sprawdzić to, co ci pokazywałam.
- Nie odchodź daleko.
- Dobrze.

Anders puścił kombinezon i Maja znów zaczęła schodzić. Cecilia patrzyła za nią.

- Nie powinniśmy...?
- Pewnie powinniśmy. Ale dokąd ona może pójść?

Chwilę jeszcze czytali. Dowiedzieli się, że później zamontowano tu agregat Aga, że latarnia przestała działać w 1973 roku i wtedy pieczę nad nią przejęło Stowarzyszenie Morskie, które wyposażyło reflektor w stuwatową żarówkę, obecnie zasilaną baterią słoneczną.

Czytając napisy na ścianie, doszli do wniosku, że przynajmniej jedna para kochała się na podłodze, w miejscu, w którym teraz stali, chyba że piszącego poniosła fantazja, albo napis był jedynie wyrazem myślenia życzeniowego. Następnie spakowali swoje rzeczy i zaczęli schodzić. Cecilia szła powoli, ale i tak serce biło jej mocno, czuła ucisk w piersi i Anders musiał co jakiś czas przystawać i czekać na nią.

Kiedy wyszli z latarni, Mai nie było. Zaczęło wiać, w powietrzu wirowały płatki śniegu, mieniąc się w słońcu. Anders zamknął oczy i głęboko odetchnął. Wycieczka była wspaniała, ale trzeba było wracać do domu.

- Maaaja! - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Obeszli latarnię dokoła, bacznie się rozglądając. Skąła, na której się wznosiła, była niewielką wysepką, miała może sto metrów w obwodzie. Mai nie było nigdzie widać, Anders spojrzął na lód. Nie dostrzegł żadnej czerwonej kropeczki.

- Maaaja!

Tym razem zawołał nieco głośniej, serce biło mu szybciej. Bez sensu, oczywiście. Niemożliwe, żeby się zgubiła. Poczuł dłoń Cecilii na ramieniu.

- Tu nie ma żadnych śladów - powiedziała, wskazując ręką na śnieg.

W jej głosie też była nutka niepokoju. Anders pokiwał głową. Jasne. Powinni znaleźć ślady córeczki i pójść za nimi.

Wrócili do punktu wyjścia, do drzwi latarni. Anders wsadził głowę do środka i zawołał, na wypadek gdyby Maja wróciła, a oni by jej nie usłyszeli. Żadnej odpowiedzi.

W pobliżu drzwi było pełno śladów, całej trójki, ale żadne nie odbijały ani w lewo, ani w prawo. Anders zszedł kilka kroków w dół po skale. Widział wyraźnie ich ślady, prowadzące do latarni, i ślady stopek Mai, prowadzące w odwrotnym kierunku.

Ponownie spojrzął na lód. Mai nie było. Zamrugał, przetarł oczy. Nie mogła odejść tak daleko, żeby nie był w stanie jej dojrzeć. Kontury Domarö zlewały się z lądem, były po prostu grubszą kreską nałożoną na drugą, cieńszą. Odwrócił głowę w drugą stronę, napotkał wzrok Cecylii, teraz już skupiony, spięty.

Po drugiej stronie też nie było widać dziewczynki.

Cecilia minęła go, najwyraźniej postanowiła wyjść na lód. Szła ze schyloną głową, pilnie wypatrując śladów.

- Sprawdzę jeszcze w latarni - zawołał Anders. - Może gdzie się schowała.

Podbiegł do drzwi, a potem po schodach na górę; wołał córeczkę kilka razy, nie otrzymując odpowiedzi. Serce waliło mu w piersi, próbował się uspokoić, zachować jasność myślenia.

Po prostu nie ma takiej możliwości.

Wszystko jest możliwe.

Nie, nieprawda. Nie w tym przypadku. Nie mogła się nigdzie ukryć.

No właśnie.

Przestań. Przestań.

Maja uwielbiała bawić się w chowanego. Była świetna w znajdowaniu kryjówek. O ile zwykle łatwo wpadała w złość i się denerwowała, podczas zabawy w chowanego potrafiła bardzo długo siedzieć cicho.

Anders wchodził po schodach z rozpostartymi rękami, kucając niczym mała, by sprawdzić krańce stopni tam, gdzie schody stykały się ze ścianą. Mogła przecież upaść. Może leży teraz gdzieś w ciemności, gdzie on jej nie widzi.

Może upadła i rozbiła sobie głowę, może...

Ale niczego nie wyczuł, niczego nie dostrzegł.

Przeszukał miejsce, gdzie schody się kończyły; znalazł dwie szafki, obie zbyt wąskie, żeby Maja mogła się w nich schować. Mimo to otworzył je. W środku leżały zardzewiałe metalowe części, których nie potrafił zidentyfikować, były też butelki z ręcznie wypisanymi etykietkami. Mai nie było.

Podszedł do drzwi prowadzących do górnej wieży, zamknął oczy i odczekał chwilę, zanim wszedł.

Na pewno jest tu, na górze. Jest tutaj. Zaraz wrócimy do domu, nie pierwszy raz się zdarzało, że Maja znikala na chwilę, a potem wracała.

Obok drzwi zobaczył kilka zasuw i łańcuchów, były tam też drzwiczki od maszynowni, zamknięte na kłódkę. Pociągnął i stwierdził, że jest zamknięta. Maja na pewno nie mogła tam wejść. Powoli zaczął wchodzić po schodach, wołając jej imię. Żadnej odpowiedzi. Dzwoniło mu w uszach, czuł, że nogi się pod nim uginają.

Wszedł do pomieszczenia z reflektorem. Mai nie było.

Zaledwie pół godziny temu fotografował ją tutaj. A teraz zniknęła bez śladu. Nie było niczego.

- Maaaaaja! Wyjdź! To już nie jest zabawne! - wołał.

Pod wpływem jego głosu szyby w maleńkim pomieszczeniu zaczęły drżeć.

Obszedł wewnątrz całą latarnię, patrzył na lód. Gdzieś w dali widział Cecilie. Nigdzie jednak żadnego śladu czerwonego kombinezonu. Z trudem łapał powietrze. Język przywarł mu do podniebienia. To było niemożliwe. Nie mogło się zdarzyć. Zdesperowany powiódł wzrokiem po lodzie, rozglądając się na wszystkie strony świata.

Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?

Gdzieś z oddali dobiegał go słaby głos Cecilii, wołający córeczkę, tak jak on robił to już tyle razy. Jej wołanie też pozostawało bez odpowiedzi.

Myśl, kretynie. Myśl.

Spojrzał na lód. Nie było tam niczego, na czym mógłby zawiesić wzrok; nic, za czym ona mogłaby się ukryć. Gdyby w lodzie były przeręble, dostrzegłby je. Nawet jeśli ktoś jest świetny w wynajdywaniu kryjówek, to jednak one muszą istnieć.

Zatrzymał się. Jego oczy się zwęziły. Przypomniał sobie głos Mai.

„Tato, co to takiego?”

Podszedł do miejsca, w którym stała, zadając mu to pytanie, i spojrzał w kierunku, w którym wtedy patrzyła. Nic. Tylko śnieg i lód.

Co ona zobaczyła?

Wyteżył wzrok. Przypomniał sobie, że ma plecak. Wyjął aparat i zaczął patrzeć przez obiektyw. Nic. Nawet śladu jakiegos innego odcienia bieli, niczego.

Drżącymi rękami wrzucił aparat do plecaka. Widać było jedynie śnieżną biel i nic poza nią, natomiast niebo zrobiło się o odcień ciemniejsze. Zbliżało się popołudnie, za kilka godzin zapadnie zmrok.

Zasłonił usta dłonią, patrzył w stronę wielkiej pustki, słyszał odległe kroki Cecilii. Maja zniknęła. Nie było jej.

Przestań, przestań.

A jednak jakaś część jego wiedziała, że tak właśnie jest.

Było tuż po drugiej, kiedy zadzwonił telefon Simona. Ostatnią godzinę spędził, porządkując swoje stare przybory magika, z których jego dotknięte reumatyzmem dłonie nie mogły już korzystać. Kiedyś zastanawiał się nawet, czy ich nie sprzedać, ale w końcu postanowił zachować je jak rodowe klejnoty.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrał po drugim sygnale. Ledwie zdążył powiedzieć „dzień dobry”, a już Anders mu przerwał.

- Cześć, mówi Anders. Widziałeś Maję?
- Nie ma jej z wami?

Krótką pauza. Drżący oddech po drugiej stronie. Simon domyślił się, że właśnie zgasił jakąś nadzieję.

- Co się stało?

- Zniknęła. Wiem, że nie dałaby rady dotrzeć na ląd, ale pomyślałem, że może... Sam nie wiem. W każdym razie nie ma jej. Zniknęła.

- Jesteście przy latarni?

- Tak. Ale ona nie mogła przecież... To niemożliwe... Nie miała gdzie... Ale nie ma jej... Gdzie ona może być? Gdzie ona jest?

Dwie minuty później Simon narzucił coś na siebie i uruchomił motorower. Pojechał po lodzie do miejsca, gdzie Elof rozłożył swoje krzeselko. Siedział tam, wpatrując się w dziurę, którą wywiercił wiertłem Simona. Podniósł wzrok, kiedy usłyszał zbliżający się motorower. Simon wyhamował.

- Cześć. Widziałeś Maję, córeczkę Andersa?

- Nie... Tutaj? Teraz?

- Tak. W ciągu ostatniej godziny.

- Nie, tu nikogo nie było. Ani człowieka, ani ryby, skoro już o tym mowa. A co się stało?

- Zniknęła. Koło latarni morskiej.

Elof odwrócił głowę w stronę latarni, przyglądał się jej kilka sekund, po czym podrapał się po czole.

- Nie mogą jej znaleźć?

Simon zagryzł wargi tak mocno, że zaboląły go szczęki. Szlag by trafił tę jego dokładność. Elof pokiwał głową i zaczął pieczołowicie związać linkę.

- Cóż... zbiorę kilka osób. Zaraz wyruszymy.

Simon podziękował, wrzucił bieg i odjechał w stronę latarni. Ujechał jakieś pięćdziesiąt metrów i się odwrócił. Elof nadal stał w tym samym miejscu, zajęty składaniem swoich wędek i haczyków; zanim ruszył, wszystko musiało zostać porządnie poskładane. Simon zazgrzytał zębami i wystartował, aż śnieg poleciał spod kół. Zapadał zmierzch.

Pięć minut później był już przy latarni i dołączył do poszukiwań, mimo że właściwie nie było gdzie szukać. Kilka razy okrążył latarnię, chcąc sprawdzić, czy mogło być tak, jak mówił Elof; czy były jakieś słabe punkty? Nie znalazł żadnych.

Minął kwadrans, na horyzoncie pojawiło się kilka kropek, które nadszedły od strony wyspy i szybko zbliżyły się do latarni. Cztery motorowery. Elof i jego brat Johan jechali każdy na swoim. Mats, właściciel miejscowego sklepiku, wiozł na skrzyni swoją żonę Ingrid. Na końcu jechała Margareta Bergwall, jedna z niewielu kobiet we wsi, które miały motorower.

Objechali latarnię dokoła, potem zaczęli zataczać coraz większe kółka, sprawdzając każdy metr kwadratowy śniegu. Anders i Cecilia chodzili w kółko po wysepce, nie odzywając się do nikogo. Po godzinie zrobiło się tak ciemno, że właściwie księżyc świecił jaśniej niż szybko zachodzące słońce.

Simon podszedł do Andersa i Cecilii, którzy siedzieli w drzwiach latarni z głowami wspartymi o dłonie. Gdzieś w oddali widać było słabe światelka czterech motorowerów, które nadal krążyły po lodzie, jak satelity wokół wymarłej planety. Nadleciał też policyjny śmigłowiec, żeby zwiększyć zasięg poszukiwań.

Simon przykucnął, zatrzeszczało mu w kościach. Oczy Andersa i Cecilii były puste. Poglądził kolano kobiety.

- Jak to było z tymi śladami? - spytał.

Cecilia wykonała bezradny ruch ręką, wskazując w stronę Domarö. Jej głos był tak słaby, że mężczyzna musiał się pochylić, żeby w ogóle coś usłyszeć.

- Nie ma żadnych śladów.

- Chcesz powiedzieć, że nie odbijają w żadną stronę?

- Kończą się. Jakby ktoś nagle uniósł ją... do nieba.

Anders się wzdrygnął.

- To niemożliwe. Jak to się mogło stać? - spytał.

Patrzył na Simona, świdrując go wzrokiem, jakby szukał odpowiedzi w jego tajemnej wiedzy.

Simon wstał i znów wyszedł na lód, usiadł na siodelku swojego pojazdu i rozejrzał się dokoła.

Gdyby było jakieś miejsce, od którego można by zacząć...

Jakieś załamanie na lodzie, jakiś cień, cokolwiek, co stanowiłoby punkt zaczepienia, jakiś początek. Włożył rękę do kieszeni kurtki i ścisnął pudełko zapalek. Potem położył drugą dłoń na śniegu i zaczął się modlić, by śnieg zaczął się topić.

I śnieg zaczął się topić. Najpierw pojawiło się wypełnione wodą zagłębienie, a po dwudziestu minutach w lodzie była już czarna dziura wielkości dłoni. Simon puścił pudełko i z pewną trudnością włożył rękę do zimnej wody. Zanurzył ją niemal do łokcia, zanim wyczuł palcami dolny brzeg lodu.

Lód był gruby. Niemożliwe, żeby załamał się pod dziewczynką.

Co tu się wydarzyło?

Nie było niczego. Żadnego punktu, na którym można by zacząć myśleć, żadnej szparki, którą można by próbować poszerzyć i w końcu uzyskać jasność. To wszystko wydawało się niemożliwe. Wrócił i usiadł obok Andersa i Cecilii, objął ich; od czasu do czasu wypowiadał kilka słów, aż w końcu ciemność pochłonęła ich całkowicie; zataczające kółka motorowery zaczęły zbliżać się do latarni.

Maja zniknęła.

O wyspie i czasie

W trakcie tej opowieści będziemy niekiedy zmuszeni cofnąć się nieco w czasie, by lepiej zrozumieć teraźniejszość. Przykro mi, ale niestety jest to konieczne.

Domarö nie jest dużą wyspą. Wszystko, co tu się wydarzyło, jest nadal żywe i ma wpływ na czasy współczesne. Miejsca i rzeczy mają swoje znaczenie, o którym łatwo się nie zapomina. Nie uciekniemy od tego.

Patrząc z perspektywy czasu, nasza opowieść jest jedynie drobnym zdarzeniem. Właściwie zmieściłaby się w pudełku zapalek.

Co przytargał kot (maj 1996)

Był ostatni tydzień maja i początek sezonu na okonie. Simon miał na nie własny sposób. Po kilku latach eksperymentowania z różnymi miejscami połowu doszedł do wniosku, że niepotrzebnie wciąż się przemieszcza. Równie dobrze można było przytwierdzić jeden koniec sieci do pomostu, a drugi ciągnąć za łodzią. Łatwo było to zrobić, a później jeszcze łatwiej opróżnić sieć. Zwykle wciągał ją od strony pomostu, pozbywając się przy okazji drobnicy, małych rybek, które trafiały z powrotem do morza.

Siedem złowionych rano okoni leżało w lodówce sprawionych. Uwolnione płotki dawno już odpłynęły. Simon stał przy żerdziach, na których rozwieszał sieci, i wyciągał z nich wodorosty i glony, podczas gdy mewy kończyły dojadać resztki. Był pogodny, ciepły ranek, słońce prażyło go w kark, pocił się w kombinezonie.

Dante, jego kot, który towarzyszył mu cały ranek, nie był w stanie pojąć, że niezwykle rzadko zdarzało się, żeby w sieci zaplątał się śledź. Kilkakrotnie miał szczęście i to wystarczyło, żeby teraz za każdym razem pojawiał się promyk nadziei. Zawsze więc towarzyszył Simonowi na pomost.

Kiedy Dante zrozumiał, że również tego ranka żaden śledź nie zaplątał się w sieć, usiadł po prostu na pomoście i gapił się na mewy walczące o resztki ryb. Nigdy nie odważyłby się zaatakować mewy, ale miał przecież swoje marzenia jak każda żywa istota.

Simon odciął sieć i zwinął ją, żeby nie rozeschła się w słońcu. Kiedy ruszył, żeby rozwiesić ją obok szopy, zobaczył, że kot bawi się czymś na pomoście.

A raczej z czymś walczy. Uskakiwał na bok, wyskakiwał do góry w powietrze, uderzał łapkami w coś, czego Simon nie mógł dojrzeć. Wyglądało, jakby kot tańczył. Niejeden raz obserwował podobne harce Dantego z myszami. Chociaż wtedy wyglądało to inaczej. Z myszami czy z żabami Dante się bawił, udawał,

że zdobycz wymaga z jego strony więcej wysiłku, niż rzeczywiście wymagała. Tym razem sprawiał jednak wrażenie naprawdę... zaniepokojonego?

Sierść na grzbiecie kota była zjezona, a ostrożne podskoki i uniki dowodziły wyraźnie, że ma do czynienia z czymś, co budzi jego respekt. Co trudno było zrozumieć, bo z odległości dwudziestu metrów nie było niczego widać, mimo że Simon miał dobry wzrok.

Zwinął więc sieć, żeby się nie splątała, położył na skalnym ustępie i poszedł zobaczyć, co się dzieje.

Wszedł na pomost, ale nadal nie widział, czym Dante tak się podnieca. Chociaż nie, kot najwyraźniej krążył wokół kawałka sznura. To było do niego niepodobne. Miał już jedenaście lat i nie w głowie mu było ganiać za kawałkami papieru czy piłeczkami. Ten kawałek sznurka jednak najwyraźniej go bawił.

Skoczył, łądując obiema łapkami na sznurku; nagle poleciał do tyłu, jakby sznur był pod napięciem. Zatoczył się, upadł na bok i leżał rozplaszczony na pomoście.

Kiedy Simon podszedł bliżej, kot nadal leżał nieruchomo. Zabawka, którą się bawił, nie była sznurkiem, ponieważ się ruszała. Był to najwyraźniej jakiś owad, a raczej chyba robak. Simon zignorował go i podszedł do kotka.

- Dante, staruszku, co z tobą?

Oczy zwierzątka były szeroko otwarte, ciało drgało. Z kociego pyszczka coś się sączyło. Simon uniósł łepkę i zobaczył, że jest to woda. Dante zakasłał, znów wyciekło trochę wody. Potem już się nie poruszył. W oczach miał pustkę.

Kątem oka Simon zauważył jakiś ruch. Robak pełzał po pomoście. Simon nachylił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Był czarny, grubości ołówka i długi jak mały palec u ręki. Jego skóra błyszczała w słońcu. W miejscu, gdzie Dante drągnęła go pazurkami, widać było kawałek różowego mięsa.

Simon wzdrygnął się i rozejrzał. Na pomoście stał zapomniany kubek po kawie. Sięgnął po niego i przykrył nim robaka. Zamrugnął i przeciągnął dłońmi po twarzy.

To niemożliwe. To nie mógł być...

Tego owada nie było w żadnej książce, a on, Simon, był prawdopodobnie jedynym człowiekiem w zasięgu wielu mil, który wiedział, co to takiego. Raz już miał z nim do czynienia, w Kalifornii, czterdzieści lat temu. Ale wtedy owad był martwy, wyschnięty. Gdyby nie to, co przytrafiło się kotu, pewnie w ogóle by sobie o nim nie przypomniał.

Dante.

Dante, ten, po którym wszystkie koty Simona dostawały imię. Czarodziej, mag, największy ze wszystkich. Po latach spędzonych w rozjazdach, na tournée,

na planach filmowych odnalazł w końcu spokój i osiedlił się na ranczo w Kalifornii, i to właśnie tam dwudziestoczeroletni Simon dostąpił zaszczytu poznania Dantego.

Mag oprowadził go po swoim muzeum. Ręcznie wykonane rekwizyty z różnych epok: chińskie fontanny, przez wiele lat jego popisowy numer, magiczna skrzynia w kilku wersjach, napełniane wodą skrzynie i szafy, których zamki Dante forsował na cyrkowych arenach na całym świecie.

Kiedy zakończył obchód, Simon wskazał na wciśniętą w kąt małą szklaną witrynkę. Wewnątrz był niewielki podest, na którym leżało coś, co wyglądało jak kawałek rzemyka. Spytał, co to takiego.

Dante uniósł jedną brew w teatralnym geście i swoim duńskim z lat dzieciństwa spytał Simona, czy wierzy w magię.

- Ma pan na myśli taką... prawdziwą magię?

Dante pokiwał głową.

- Muszę przyznać, że jestem... agnostykiem. To znaczy nie mam żadnych dowodów, ale też nie wykluczam, że jest ona możliwa. Czy to brzmi logicznie?

Dante wydawał się zadowolony z odpowiedzi. Uniósł szklaną pokrywkę. Simon domyślił się, że mag oczekuje, że przyjrzy się dokładnie zawartości witryнки, więc zrobił to. Wtedy okazało się, że rzemyk tak naprawdę jest zasuszonym owadem przypominającym stonogę, mimo że wcale nie miał aż tylu nóg.

- Co to takiego?

Dante długo przyglądał się Simonowi, aż ten poczuł się trochę nieswojo. Po jakimś czasie czarodziej pokiwał głową, jakby w końcu podjął decyzję, odstawił na miejsce szklany pojemnik, sięgnął po książkę w skórzanym oprawie i zaczął ją przeglądać. Przed oczami Simona wirowały kolorowe obrazki; w końcu Dante zatrzymał się na jednej ze stron i pokazał mu ją.

Obrazek, który zajmował całą stronicę, został namalowany ręcznie. Przedstawiał podobnego do robaka owada, tak kunsztownie oddanego, że widać było, jak światło migocze na jego gładkiej, czarnej skórze. Simon pokręcił głową, a Dante westchnął i zamknął książkę.

- To jest Spiritus, czy Spertus, jak wy go w Szwecji nazywacie - powiedział.

Simon spojrział na witrynkę, na czarodzieja, potem znów na witrynkę.

- Prawdziwy? - spytał.

- Tak.

Pochylił się nad szklaną pokrywką. Zamknięte pod szkłem zasuszone stworzenie nie wyglądało, jakby posiadało nadprzyrodzoną moc. Simon stał i długo mu się przyglądał.

- Jak to możliwe, że nie żyje? Bo nie żyje, prawda?

- Nie wiem. I to jest odpowiedź na oba pytania. Dostałem go w tym stanie.
- Jak to?
- Nie zamierzam o tym mówić.

Dante wykonał gest dający do zrozumienia, że wizyta w muzeum dobiegła końca. Zanim jednak Simon oderwał się od witryny, zdążył jeszcze spytać:

- Jaki element?
- Woda, oczywiście - odpowiedział czarodziej, uśmiechając się dobrotliwie.

Wypili kawę, wymienili uprzejmości i Simon odjechał. Dwa lata później Dante zmarł. W jakiejś gazecie Simon wyczytał, że rzeczy czarodzieja mają zostać sprzedane na aukcji. Zastanawiał się nawet, czy nie pojechać i nie kupić robaka w witrynie, ale po pierwsze - był właśnie w trakcie letniego tournée, a po drugie - podróż i pobyt zbyt drogo by go kosztowały. Zrezygnował.

W następnych latach wracał niekiedy myślami do tego spotkania. Koledzy, dowiedziawszy się, że miał okazję poznać Dantego, wypytywali go o wszystko. Simon chętnie opowiadał, nie wspominając jednak tego, co najbardziej zapadło mu w pamięć: należącego do Dantego Spiritusa.

To mógł być oczywiście żart. Czarodziej słyszał nie tylko ze swoich sztuczek, ale także ze sposobu, w jaki zwykł się reklamować, wzbudzając powszechne zainteresowanie w publicznych sytuacjach. Udało mu się stworzyć wokół siebie aurę tajemniczości. Jego wygląd, charakterystyczna szpicbródka i ciemne oczy, stały się na wiele lat wzorcem dla innych magików. W zasadzie wszystko mogło być kłamstwem.

Przeciwko temu przemawiał jednak fakt, że Dante nigdy publicznie nie przyznał się do posiadania Spiritusa, w każdym razie Simon nigdy o tym nie słyszał. Dante zawsze uciął wszelkie spekulacje dotyczące tego, że ponoć kiedyś zawarł pakt z diabłem, czy że w ogóle miał konszachty z ciemnymi mocami. Była to dobra reklama, ale poza tym czysta bzdura.

Ostatnie zdanie, wypowiedziane przez Dantego w muzeum, dało Simonowi wiele do myślenia; doszedł do wniosku, że czarodziej jednak kłamał. Kłamał, mówiąc, że Spiritus był martwy, kiedy do niego trafił.

Woda. Oczywiście.

Dante był najbardziej podziwiany za swoje sztuczki z wodą. Wydostawał się z pełnych wody pojemników, nie ustępując w tym względzie Houdiniemu. Podobno był w stanie wstrzymać oddech nawet na pięć minut, co najmniej. Potrafił też sprawić, że woda przemieszczała się z jednego miejsca w drugie, znał sztuczki, dzięki którym nagle w wybranym miejscu pojawiały się masy wody.

Woda. Oczywiście.

Jeśli Dante posiadał Spiritusa wodnego, to wszystko było jasne: to była prawdziwa magia, którą Dante niekiedy próbował okiełznać, żeby nikt nie zaczął się niczego domyślać. A może i moc Spiritusa była ograniczona?

Simon pogłębiał swoją wiedzę.

Jego agnostyczne nastawienie zaczęło coraz bardziej ustępować przekonaniu, że nadprzyrodzone siły jednak istnieją, przynajmniej w odniesieniu do Spiritusa. Okazało się, że na przestrzeni dziejów byli ludzie, którzy go posiadali. Zawsze chodziło o czarnego owada, takiego, jakiego widział w muzeum Dantego, przynależącego do jednego z elementów: ziemi, ognia, powietrza, albo wody.

Próbował dociec, co się stało ze Spiritusem, którego wtedy widział, ale nie znalazł żadnych informacji. Gorzko żałował, że jednak nie posłuchał swojego wewnętrznego głosu i nie wykorzystał nadarzającej się możliwości. Teraz pewnie już nigdy go nie zobaczy.

Tak sądził.

Zerkał to na martwego kota, to na kubek. Ironia losu polegała na tym, że Dante, który znalazł Spiritusa, przepłacił to życiem.

Kilka godzin później Simon zbił małą skrzyneczkę, włożył do niej Dantego i pochował go pod krzakiem leszczyny, gdzie kotek zwykle przesiadywał, polując na ptaszki, które padały jego łupem. Dopiero w tym momencie podniecenie ustąpiło miejsca smutkowi. Simon nie był sentymentalny; miał cztery koty o tym samym imieniu, a jednak grzebiąc swojego czwartego Dantego, zdał sobie sprawę, że jest to też koniec pewnej epoki. Odchodził świadek wielu wydarzeń, kotek kręcił się przy jego nogach przez jedenaście lat.

- Żegnaj, przyjacielu. Dziękuję ci za te wszystkie lata. Byłeś pięknym kotem. Mam nadzieję, że będzie ci dobrze tam, gdzie teraz trafisz. Że będą tam śledzie, które będziesz mógł łowić. I że znajdzie się tam ktoś, kto cię polubi.

Simon poczuł, że coś ściska go w gardle, otarł łzę z kącika oka. Pokiwał głową, powiedział „amen” i wrócił do domu.

Na stole kuchennym leżało pudełko zapalek.

Nie dotykając robaka, udało się Simonowi włożyć go do pudełka. Teraz ostrożnie przyłożył ucho do ścianki pudełka. Nic nie słyszał.

Wiele o nim czytał. Wiedział więc, co powinien zrobić. Tylko czy tego chciał? Nielatwo było mu się zorientować, co z tego, co pisano w książkach, było jedynie spekulacjami, a co prawdą. Jednego jednak był pewien: związanie się ze Spiritusem było jednocześnie zobowiązaniem. Obietnicą złożoną siłom, które go stworzyły.

Czy warto?

Nie, pewnie nie.

Gdyby był młody, pewnie szalaby z radości na samą myśl o takiej możliwości, ale Simon miał siedemdziesiąt trzy lata i już dwa lata temu odłożył na półkę rekwiizyty magika. Czarował jedynie na własne potrzeby, jeśli można tak powiedzieć, kiedy prosili go o to znajomi. Pokazywał łatwe triki na przyjęciach. Papieiros w marynarce, solniczka, która nagle pojawiała się na stole. Nic nadzwyczajnego. Prawdziwa magia nie była mu już potrzebna.

To prawda, a jednak wiedział, że w końcu się zdecyduje. Całe życie uprawiał magię salonową. Miałby więc wycofać się teraz, kiedy to, co stanowiło kwintesencję magii, było w jego rękach?

Kretyn. Kretyn. Zdecydujesz się, prawda?

Ostrożnie otworzył pudełko i zaczął się przyglądać robakowi. Nie był w stanie dostrzec niczego, co sugerowałoby, że właśnie on był ogniwem łączącym świat ludzi z szaloną, wspaniałą magią. Zdawał się dość obrzydliwy. Wyglądał jak jakiś organ, który został komuś wycięty i szerniał.

Simon chrząknął, zatrzymał ślinę w ustach.

Zdecydował się.

Poczuł na wargach ślinę. Pochylił głowę nad pudełkiem, obserwując leżącego w nim owada. Niteczka śliny, która ciągnęła mu się z ust, dotarła do celu: spłynęła na błyszczącą skórę stworzenia.

W tym momencie Simon poczuł na ustach jakiś smak, jakby niteczka śliny była cieniutką igłą. Smak natychmiast ogarnął całe jego ciało, było to dziwne doświadczenie, trudne do porównania z czymkolwiek. Jakby miał w ustach orzech, który za długo był w skorupie i się zepsuł. Zgniłe drewno, gorzki i jednocześnie słodki smak. Wstrętny.

Przełknął i dotknął językiem podniebienia. Nitka została przerwana, ale smak pozostał i wciąż narastał w jego ciele. Owad drgnął, ranka na jego ciele zaczęła się zablizniać. Simon poczuł obrzydzenie. Wstał.

Popelnił błąd.

Wyjął z lodówki butelkę piwa, otworzył, wypił kilka łyków, żeby przepłukać usta. Poczuł się nieco lepiej, nadal jednak czuł obrzydzenie, stłumił odruch wymiotny.

Robak natomiast poczuł się znacznie lepiej; wypełznął z pudełka na blat stołu i ruszył w stronę Simona. Mężczyzna cofnął się do zlewu, wpatrując się w czarną grudkę, która zbliżyła się do krawędzi stołu i z miękkim odgłosem upadła na podłogę.

Simon przesunął się na bok, w stronę kuchenki. Robak zmienił kierunek i

podążył za nim. Mężczyzna miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zaczepnął powietrza i przetaił oczy.

Uspokój się. Wiedziales, że tak będzie. Mimo to nie potrafił stać spokojnie, kiedy robak zbliżył się do jego stóp. Uciekł do przedpokoju i usiadł na marynarskiej skrzyni, w której przechowywał odzież przeciwdeszczową; ścisnął skronie dłońmi, próbując trzeźwo ocenić sytuację. Paskudztwo najwyraźniej się nasyciło, bo smak, który czuł w ustach, nie był już tak intensywny.

Robak pokonał próg i znów zmierzał w jego kierunku. Zostawiał za sobą cienką wstążkę śluzu. Simon natomiast widział teraz w myślach rzeczy, których istnienia zaledwie pięć minut temu nie był w ogóle świadomy. Została zaszczepiona mu wiedza.

To, co odczuwał jak smak w ustach, robak odczuwał jako zapach. Dlatego mógł za nim podążać, dotrzeć do niego. To był jego cel. Być z nim...

Aż śmierć nas rozdzieli

...dzielić się z nim swoją siłą. Simon to wiedział. Kropla śliny sprawiła, że zawarł z nim przymierze, które na zawsze pozostanie nierozzerwalne.

O ile...

Było jedno wyjście. Jednak w tym momencie nie wchodziło w grę, bo robak nadal zdązał do jego nóg. Był jego. Na zawsze, przynajmniej na razie.

Simon zrobił kilka szybkich kroków i wyminął Spiritusa, który natychmiast też zmienił kierunek. Mężczyzna wziął pudełko ze stołu. Przykrył nim czarne pełzające ciało i ostrożnie zamknął. Słoneczny chłopiec na etykietce pudełka mknął ku świetlanej przyszłości, Simon zaś stał, ważąc pudełko w rękę.

Zacisnął wargi, bo znów poczuł mdłości; robak się poruszył, czuł jego ciepło na dłoni. Tak. Był ciepły. Czuł się lepiej, dostał jedzenie i zyskał właściciela.

Simon schował pudełko do kieszeni.

Porażka

*Trudne jest życie koni nieznoszących
ostróg ni bicza. Po każdym uderzeniu batem
rzucają się wertepami ku przepaściom.*

Selma Lagerlöf *Gösta Berling* (przekład Franciszka Mirandoli)

Paprotka (październik 2006)

Sprawę rozstrzygnęła paprotka.

Anders siedział i przyglądał się jej od dwudziestu minut, wypalając w tym czasie dwa papierosy. Patrzył na nią przez zasłonę dymu i drobinek kurzu wirujących w promieniach słońca. Okno nie było myte już od dłuższego czasu, na szybie były nieregularne tłuste plamy, ślady wieczorów, kiedy Anders siedział z czołem przyciśniętym do szyby, spoglądając na parking w oczekiwaniu, że zdarzy się coś, cokolwiek, jakiś cud.

Paprotka stała na parapecie, nad grzejnikiem. Idące do góry ciepło wprowadziło w ruch jej cienkie gałązki. Listki były drobne i brązowe, suche.

Anders zapalił kolejnego papierosa, żeby móc jaśniej myśleć, a może w nagrodę, że znów myślał, jasno i trzeźwo. Oczy piekły go od dymu, kaszlał i cały czas przyglądał się paprotce.

Nie żyje.

Większość gałązek zwisała zwiędnięta wzdłuż ścianek doniczki, jasnobrązowe nitki na czerwonym tle. Ziemia, w której tkwiła roślina, była tak wyschnięta, że niemal biała. Anders zaciągnął się, próbując sobie przypomnieć, od jak dawna tak wygląda? Jak długo jest martwa?

Próbował dotrzeć w pamięci do dni i wieczorów, kiedy siedział na kanapie, spacerował po mieszkaniu czy po prostu stał w oknie. Zlewały się w jedno, widział je jak za mgłą, ale zza niej nie widział paprotki. Kiedy się zastanowił, doszedł do wniosku, że w ogóle nie pamięta, żeby ją kupował. Że też przyszło mu do głowy kupić żywą roślinkę.

A może ją od kogoś dostał?

Możliwe.

Wstał z kanapy, ale nogi nie chciały go nieść. Zastanawiał się, czy nie nalać wody do butelki i nie podlać paprotki, ale w zlewie był taka sterta naczyń, że i tak nie zdołałby napełnić butelki. W łazience nie byłby w stanie ustawić jej pod takim kątem, żeby wlać do niej choćby trochę wody, Chyba że wykręci słuchawkę prysznicową...

Przecież ona i tak jest już martwa.

Poza tym nie miał siły.

W doniczkę znalazł osiem petów. Niektóre były wciśnięte w suchą ziemię. Czyli musiał stać tu i palić. Nie przypominał sobie tego. Pociągnął dłonią po suchych gałązkach, kilka listków spadło na podłogę.

Skąd ty się tu wzięłaś?

Przyszło mu na myśl, że roślina po prostu pojawiła się w jego świetle, tak jak Maja z niego zniknęła. Nagle wpadła tu przez jakąś szparkę w czasoprzestrzeni, tak jak jego córka nagle zniknęła. Po prostu.

Co Simon zwykł mawiać, kiedy pokazywał im swoje sztuczki?

Tutaj nic, tam też nic, a potem, wskazując na swoją głowę, a tutaj kompletna pustka.

Na ustach Andersa pojawił się uśmiech. Przypomnił sobie wyraz twarzy Mai, gdy Simon po raz pierwszy pokazał im swoje sztuczki, zaledwie kilka miesięcy przed jej zniknięciem. Gumowa piłeczka, którą trzymał w ręku, nagle rozplynęła się w powietrzu, a piłeczka, którą Maja trzymała w dłoni, zamieniła się w dwie. Dziewczynka patrzyła na Simona w napięciu, jakby chciała powiedzieć: „No dobrze i co dalej?”

Kiedy ma się pięć lat, magia nie jest cudem. Jest czymś oczywistym.

Anders zgasił papierosa w doniczkę. Zamiast ośmiu petów było tam teraz dziewięć. I nagle przypomniał sobie: mama.

To jego mama przyniosła mu paprotkę, kiedy odwiedziła go jakieś cztery miesiące temu. Sprzątnęła mieszkanie i postawiła paprotkę. Był wtedy w głębokiej apatii, leżał w łóżku i patrzył na krzątającą się matkę, która wkrótce wróciła do własnego życia w Göteborgu.

Paprotka nie należała do rzeczy istotnych, więc o niej zapomniał jak o kolejnej plamie na tapecie.

Teraz nagle ją zobaczył. Samotną, martwą paprotkę na zakurzonej parapecie na tle brudnego słońca przedzierającego się przez brudne okna. W życiu nie widział czegoś brzydszego.

Zamiast jak zwykle zakończyć na tym rozmyślenia, tym razem tego nie zrobił. Jego myśli podążyły dalej, ukazując mu życie, którego wynikiem mogła być taka potworność, i było to niedobre, brzydkie życie.

To, że jego życie było brzydkie, mógł znieść. Był tego świadom, tak je sobie ułożył, przyzwyczał się, przyjmując do wiadomości, że w ciągu kilku lat może umrzeć właśnie w wyniku tego brzydkiego życia, które prowadził.

Ale paprotka...

To było za dużo. Nie do zniesienia.

Anders zakasłał i powłókł się do sypialni. Miał wrażenie, że jego płuca skurczyły się do wielkości piąstki. Mocno zaciśniętej piąstki. Wziął zdjęcie Mai, stojące na nocnym stoliku, i podszedł z nim do okna.

Zdjęcie zostało zrobione z okazji szóstych urodzin córeczki, dwa tygodnie przed jej zniknięciem. Na czole miała maskę, którą sama zrobiła w przedszkolu i nazwała Trollowym Diabelkiem. Na zdjęciu Simon uchwycił dokładnie moment, w którym dziewczynka zsunęła maskę z twarzy i patrzyła na niego pełnymi oczekiwania oczami, ciekawa, czy przestraszył się jej „strachów”, jak to określała.

Wyraźnie było widać dołeczki w policzkach, cienkie, brązowe włosy były ściągnięte do tyłu, tak że widać było lekko odstające uszy. Jej zwykle wyjątkowo małe oczy były szeroko otwarte i patrzyły na niego.

Znał zdjęcie na pamięć, każda jego najmniejsza drobinka była jak przyklejona do jego źrenicy, została na niej niczym biała kropka, każdy delikatny włoszek na skórze córeczki. W każdej chwili mógł przywołać go w pamięci.

- Maja - powiedział. - Nie mogę już dłużej. Patrz. Spójrz.

Odwrócił zdjęcie tak, żeby Maja patrzyła na paprotkę.

- Tak nie może być.

Postawił zdjęcie obok paprotki i otworzył okno. Mieszkanie było na czwartym piętrze, i kiedy wychylił się z okna, widział stację kolejki, Haninge Centrum. Spojrzał w dół. Do asfaltu na parkingu było dobre dziesięć metrów i żadnych ludzi w pobliżu.

Znów wziął do ręki zdjęcie, przycisnął do serca. Smugi kurzu uniosły się do góry, ku słońcu.

- Tak nie może być.

Chwył brzeg doniczki, uniósł paprotkę i wystawił rękę za okno. Puścił. Chwilę potem usłyszał odgłos rozbijającej się o ziemię doniczki. Odwrócił twarz do słońca, zamknął oczy.

- Trzeba z tym skończyć.

O kotwicy

Blisko brzegu, na cmentarzu w Nåtén leży kotwica. Ogromna, odlana z żelaza, z trzonem ze smolowanego drewna. Jest większa od wszystkich nagrobków, większa od wszystkiego na cmentarzu, z wyjątkiem samego kościoła. Niemal wszyscy, którzy zaglądną na cmentarz, prędzej czy później trafiają w miejsce, gdzie leży kotwica; zatrzymują się, przyglądają się jej chwilę i idą dalej.

Na trzonie, na wysokości twarzy, jest tabliczka. Na niej jest napisane: Pamięci wszystkich, którzy zaginęli na morzu. Tak więc kotwica sprawuje pieczę nad wszystkimi, których ciała nigdy nie zostały złożone w ziemi, czy których popioły nigdy nie zostały rozsypane w lesie. Tych, którzy wypłynęli i nigdy nie wrócili.

Kotwica ma cztery i pół metra długości i waży ponad dziewięćset kilogramów.

Możecie wyobrazić sobie taki statek? Gdzie on teraz jest?

Może od kotwicy na cmentarzu w Nåtén prowadzi jakaś niewidzialna nić? Do nieba albo w dół, do ziemi, albo do morza. I właśnie tam, na jej drugim końcu, znajdziemy ten statek. Załoga i pasażerowie zaginęli. Krążą po pokładzie, wypatrując czegoś na pustym horyzoncie.

Czekają na tego, kto ich znajdzie. Na dźwięk silnika spalinowego w oddali albo na pojawienie się masztu gdzieś na horyzoncie. Na parę oczu, które ich dojrzą.

Będą kontynuować swoją podróż, aż dotrą do celu, aż zostaną złożeni do grobu albo spaleni. Tyle że są przytwierdzeni do ziemi niewidzialnym łańcuchem i mogą tylko patrzeć przed siebie, na puste morze i wieczną pustkę.

Powrót

Mały stateczek pasażerski odpływał od pomostu i Anders uniósł rękę w geście pozdrowienia. Za sterami stał Roger. Byli niemal rówieśnikami, chociaż nigdy się nie przyjaźnili. Jednak spotykając się, zawsze się pozdrawiali, jak wszyscy na wyspie. No, może z wyjątkiem niektórych letników.

Anders odstawił walizkę; śledził wzrokiem stateczek, który zawrócił, biorąc kurs na południowy cypel, wracał do Nåtén. Anders rozpiął kurtkę. Temperatura była tu o kilka stopni wyższa niż w mieście, morze dłużej oddawało ciepło lata.

Powroty na Domarö zawsze kojarzyły mu się z określonym zapachem: mieszaniną słonej wody, wodorostów, drzew iglastych i oleju napędowego magazynowanego w cysternie na przystani. Wziął głęboki wdech przez nos. Nic nie czuł. Dwa lata ostrego stanu zapalnego znieczuliło jego śluzówkę. Wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro, zapalił papierosa i zaczął się przyglądać stateczkowi, który właśnie okrążał północny cypel, zbliżając się niebezpiecznie blisko do brzegu, przynajmniej tak to oceniał swoim niedoświadczonym okiem.

Nie był tu od zniknięcia Mai i nadal nie był pewien, czy wracając, nie popełnił błędu. Na razie czuł jedynie spokojną, melancholijną radość powrotu. Powrotu do miejsca, gdzie znał każdy kamień.

Krzaki rokitnika przy pomoście wyglądały jak zawsze, nie były ani większe, ani mniejsze. Jak wszystko na wyspie były wieczne, rosły tu od zawsze. Często chował się w nich, kiedy jako dziecko bawił się w chowanego, później ukrywał w nich alkohol, przemywany z promów kursujących na Åland, nie chcąc, żeby ojciec dowiedział się o jego poczynaniach.

Wziął walizkę i wyszedł na południową ulicę osady. Najbliżej portu wznosiły się stare wille pilotujących statki locmanów; dzisiaj w większości zmodernizowane bądź rozbudowane. W XIX wieku i na początku XX to właśnie locmani położyli podwaliny względnej zamożności wyspy.

Anders nie miał ochoty z nikim się spotykać, dlatego wybrał dłuższą drogę wzdłuż skał, obok schroniska zamkniętego po sezonie. Droga zwężała się, by po jakimś czasie się rozdzielić. Postawił walizkę i się zawahał. Dróżka po lewej stronie prowadziła do domku babci i do domu Simona, dróżka po prawej do Wpadki. Po chwili namysłu wybrał tę skręcającą w lewo.

Simon grabił liście. Nie postarzał się szczególnie od czasu, kiedy Anders widział go ostatnio, to znaczy od tej zimy, kiedy zniknęła Maja. Pewnie był już w wieku, kiedy to nie ma już większego znaczenia. Poza tym Anders zawsze obserwował Simona tak samo, to znaczy jako bardzo starego. Jedynie gdy oglądał swoje zdjęcia z dzieciństwa, na których Simon miał około sześćdziesiątki, dostrzegł, że jednak te dwadzieścia lat miały znaczenie.

Simon wziął go w ramiona i poklepał po plecach.

- Witaj w domu.

Długie do ramion białe włosy Simona, jego duma, łaskotały Andersa w czoło, kiedy przyłożył policzek do jego ramienia i zamknął oczy. Była to jedna z tych krótkich chwil, kiedy nie musiał być dorosłym, odpowiedzialnym człowiekiem. I należało ją wykorzystać.

Weszli do domku, Simon nastawił kawę. W kuchni nic się nie zmieniło od czasu, kiedy Anders jako dziecko przesiadywał tu latem. Przybył jedynie podgrzewacz ciepłej wody nad zlewem i mikrofalówka. Płomienie ognia w żeliwnym piecyku trzaskały tak samo jak dawniej, promieniując ciepłem na tę samą tapetę i na te same meble. Anders czuł, że napięcie mija, odprężył się trochę. Miał swoją historię i miał dom, który nie zniknął, mimo że całą resztę diabli wzięli. Być może będzie w stanie żyć dalej, skoro miał wspomnienia.

Simon postawił na stole kubek ze słonymi paluszkami i nalał kawę. Anders uniósł swoją filizankę.

- Pamiętam, jak... Co ty wtedy zrobiłeś? Miałeś takie trzy zwitki papieru, i one się ruszały... A na koniec okazywało się, że pod każdym spodkiem jest cukierek. I ja zjadałem je wszystkie. Jak to robiłeś?

Simon pokręcił głową, przeczesał palcami włosy do tyłu.

- Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć.

W tym względzie też nic się nie zmieniło. Simon nigdy nie zdradził mu żadnej swojej tajemnicy. Polecił mu natomiast książkę *Magia jako hobby*. Anders przeczytał ją, kiedy miał dziesięć lat, i właściwie nic z niej nie zrozumiał. Owszem, były tam opisy różnych sztuczek, kilka z nich próbował nawet wykonać. To nie było jednak to, co robił Simon. On czarował naprawdę.

Staruszek westchnął.

- Dzisiaj nie zrobiłbym już tego - powiedział i pokazał mu swoje palce, sztywne i powykręcane. Z trudem trzymał w nich łyżeczkę.

- Zostały mi już tylko te najprostsze sztuczki - dodał.

Złożył dłonie, potarł jedną o drugą, otworzył i łyżeczka zniknęła.

Anders się roześmiał, a Simon, który w swoim czasie występował na wielkich scenach świata przed królami i księżniczkami, odchylił się na krzesło i wyglądał na szalenie zadowolonego. Anders patrzył na jego ręce, na stół, na podłogę.

- Co się z nią stało?

Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że Simon siedzi i miesza łyżeczką kawę.

- Odwracanie uwagi, tak? - prychnął.

- Właśnie.

To było najważniejsze, co wyniósł z przeczytanej książki. Że wiele czarodziejskich sztuczek tak naprawdę polega na odwróceniu uwagi widza. Skierowaniu jej gdzie indziej. Widz powinien patrzeć tam, gdzie nic się nie dzieje, dopiero już po wszystkim mógł znów powrócić wzrokiem na właściwe miejsce. Tak było teraz z łyżeczką do kawy. Ale to była wiedza teoretyczna, która niewiele mu dawała. Anders wypił łyk kawy, wsłuchując się w trzaskający w kominku ogień. Simon oparł ręce o stół.

- Jak się czujesz?

- Szczerze?

- Tak.

Anders spoglądał na swoją kawę. Zaparowane okno odbijało się w niej i wyglądało jak falujący prostokąt. Wpatrywał się niego, czekając, aż znieruchomieje. Kiedy to się stało, powiedział:

- Postanowiłem żyć dalej. Mimo wszystko. Myślałem, że ja też zniknę. Ale... okazało się, że nie. Więc postanowiłem spróbować... Muszę zacząć od początku, od zera. Dotarłem do dna, a od dna można się odbić. I pójść do góry.

Simon zamruczał coś pod nosem i czekał. Kiedy Anders milczał, spytał:

- Nadal tak dużo pijesz?

- To znaczy?

- Pomyślałem, że pewnie trudno jest przestać.

Na twarzy Andersa zadrgał mięsień. To nie były sprawy, o których chętnie mówił. Kiedy była Maja, on i Cecilia pili bardzo umiarkowanie. Karton wina na tydzień, nie więcej. Po zniknięciu córki Cecilia w ogóle przestała pić; twierdziła, że nawet jeden kieliszek wina zakłócał jej myśli. Anders natomiast zaczął pić za nich dwoje, a potem jeszcze więcej. Ciche wieczory przy telewizorze. Kieliszek za kieliszkiem, najpierw wino, potem mocniejszy alkohol. Żeby nie musieć myśleć.

Nie wiedział, w jakim stopniu właśnie picie wpłynęło na to, że po pół roku Cecilia oświadczyła, że nie może tak dłużej żyć, że ich wspólne życie ciąży jej niczym ołowiany odważnik przy nodze, coraz bardziej wciągając ją w ciemność.

Potem alkohol zajął główne miejsce w jego życiu. Wyzначzył sobie co prawda pewne granice: nie pił przed ósmą wieczorem. Po tygodniu zmienił ósmą na siódmą. I tak dalej. W końcu pił, kiedy tylko poczuł taką ochotę, to znaczy niemal cały czas.

W trakcie trzech tygodni, które minęły od zdarzenia z paprotką, dużym wysiłkiem woli przesunął granicę z powrotem na ósmą i rzeczywiście jej przestrzegwał. Jego twarz odzyskała częściowo swój normalny kolor, a oczy dawny blask, przez ponad rok białka oczu pokryte były siateczką popękanych naczynek.

- Mam wszystko pod kontrolą - powiedział, przeciągając ręką po twarzy.
- Na pewno?
- A jakiej odpowiedzi się spodziewałeś, do diabła?

Twarcz Simona pozostała niewzruszona. Anders zamrugał kilka razy, zawstydział się i powiedział:

- Pracuję nad tym. Naprawdę.

Znow zapadła cisza. Anders nie miał nic więcej do dodania. To był jego problem, wyłącznie jego. Zdecydował się wrócić na wyspę, między innymi dlatego że chciał zerwać z dotychczasową rutyną, ze złymi nawykami. Miał nadzieję, że tu mu się uda. To wszystko, co miał na ten temat do powiedzenia.

Simon spytał, czy ma jakieś wiadomości od Cecylii, Anders wzruszył ramionami.

- Od pół roku nie miałem od niej wiadomości. Dziwne, prawda? Tyle nas łączyło i nagle... puff. Niczego nie ma. Ale pewnie tak bywa.

Czuł zbierającą się w nim gorycz. Niedobrze. Jeśli zostanie tu dłużej, pewnie zacznie płakać. Niedobrze. Nie chodziło o to, że nie chciał nikogo do siebie dopuścić, tylko że wylał już wiadra łez.

Wiadra?

Tak. Co najmniej jedno. Spokojnie napełniłby swoimi łzami dziesięciolitrowe wiadro. Łzami, które wsiąkły w papierowe chusteczki, w obicie kanapy, w

prześcieradła, wyparowały nocą z jego twarzy. Sól na wargach, zapchany nos. Wiadro. Niebieskie plastikowe wiadro pełne łez. Płakał.

Więcej już nie chciał. Nie chciał zaczynać nowego życia od powrotu do użalania się nad tym wszystkim, co zniknęło.

Wypił resztkę kawy i wstał.

- Dziękuję. Pójdę... sprawdzić, czy dom jeszcze stoi.

- Stoi - potwierdził Simon. - Może to dziwne, ale stoi. Zajrzysz do Anny-Grety?

- Jutro. Na pewno.

Kiedy Anders znów znalazł się na rozstaju dróg, zaczął się zastanawiać: Nowe życie? Nowego życia nie ma.

Tylko w kolorowych tygodnikach można było przeczytać o ludziach, którzy zaczęli nowe życie. Przestali pić albo ćpać, znaleźli nową miłość. Ale życie nadal było to samo.

Anders patrzył na drogę prowadzącą do domu. Może zmienić meble, pomalować dom na niebiesko, wymienić okna. Ale nadal będzie to ten sam dom. O tej samej fatalnej konstrukcji. Mógł oczywiście go rozebrać i postawić nowy, ale czy to samo można było zrobić z życiem?

To niewykonalne. Zaczął snuć porównania. Dom można było przemeblować, przemalować, wymienić okna. Może nawet drzwi. Wymienić wszystko, co było złe, i mieć nadzieję, że konstrukcja wytrzyma. Mimo wszystko.

Anders chwycił mocno walizkę i ruszył drogą do domu.

Wpadka

Dziwna nazwa. Wpadka. Nie można było jej umieścić na żadnej tabliczce jak inne nazwy, takie jak Morska Przystań czy Spokojny Zaulek.

Zresztą nie była to nazwa nadana domowi przez jego konstruktora, nie pod taką dom figurował w urzędowych dokumentach. W papierach było napisane Skalne Gniazdo. Mieszkańcy Domarö nadali mu jednak inną nazwę. Wpadka. Nawet Anders go tak nazywał, bo ten dom to rzeczywiście był kompletną wpadką.

Prapradziadek Andersa ze strony ojca był ostatnim locmanem w rodzinie Ivarssonów. Kiedy jego syn Torgny odziedziczył po nim dom, rozbudował go, stawiając prawdziwy dwupiętrowy budynek. Podbudowany powodzeniem postawił przy pomocy swojego brata Morską Chatę, dom, który teraz na stałe wynajmował Simon.

Gdy na początku XX wieku zaczęli przybywać tu pierwsi letnicy, przyplływając stateczkami linii waxholmskiej, bracia zaczęli na potęgę przebudowywać

swoje domy, powiększać je. Dawne kurniki przerabiali na niewielkie letnie domki, dodawali skrzydła do, starych domów, kładli nowe dachy na dawnych szopach przy nabrzeżu, wznosili też nowe budowle. Budynek, który potem został zamieniony na schronisko, pierwotnie był wzniesiony jako letni dom fabrykanta tkanin ze Sztokholmu.

Kiedy pradziadek Andersa, Erik, w połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku zapragnął zbudować własny dom, przydzielono mu pustą działkę na skałach. Pojawiły się jednak wątpliwości. Erik pomagał co prawda ojcu przy budowach, wykonując samodzielnie prostsze prace, ale nie był szczególnie uzdolniony w tym kierunku. Podstawy fachu jednak znał.

Ojciec zaproponował pomoc, ale syn zdecydował, że sam postawi swój dom. Był porywczym młodzieńcem, który nie znosił sprzeciwu; okresy intensywnej pracy przeplatały się u niego z okresami czarnej rozpaczki. Dom miał być świadectwem tego, że jest w stanie stać na własnych nogach i potrafi sobie radzić.

Drewno pochodziło z lasów na lądzie, zostało przycięte w tartaku w Nåtén i przetransportowane na wyspę. Na razie wszystko było w porządku. Latem 1938 roku Erik zaczął stawiać fundamenty. Kiedy nadeszła jesień, belkowanie zostało zakończone, więźba i konstrukcja dachu były gotowe. Ani razu nie poprosił ojca o radę, nawet nie pozwolił mu odwiedzić placu budowy.

I wtedy stało się to, co musiało się stać. Pewnej wrześnieowej soboty Erik popłynął do Nåtén. On i jego narzeczona Anna-Greta mieli jechać do Norrtälje wybrać obrączki. Ślub był zaplanowany na wiosnę; latem młodzi spędzali ze sobą niewiele czasu, ponieważ Erik był zajęty budową. Umyślił sobie, że jego narzeczona wprowadzi się po ślubie do gotowego domu.

Jak tylko łódź Erika zniknęła za południowym cypłem, ojciec natychmiast udał się na plac budowy z pionem i poziomą.

Wszedł na skały i zatrzymał się, żeby przyjrzeć się drewnianej konstrukcji. Wyglądała nie najgorzej, tylko czy słupki nie stały nieco za rzadko? Wiedział, że sosna przed przedsionkiem domu wyróżniała się tym, że jej pień rósł dokładnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do podłoża. Torgny kucnął, zmrużył jedno oko. Albo podczas lata pień drzewa nagle zaczął rosnać krzywo, albo...

Stary budowniczy poczuł ssanie w żołądku; wyciągnął miarkę i zaczął mierzyć odległość pomiędzy słupkami. Nie dość, że zostały ustawione za rzadko, to jeszcze w nierównej odległości. W niektórych miejscach wynosiła ona siedemdziesiąt centymetrów, w innych nawet ponad osiemdziesiąt. On zwykle stawiał słupki co pięćdziesiąt, góra sześćdziesiąt centymetrów. Również poziome belki zostały rozmieszczone zbyt rzadko. Przyglądał się drewnianej konstrukcji. Było tak, jak podejrzewał, Erik najwyraźniej postanowił zaoszczędzić na drewnie.

Kiedy wyciągnął pion i poziomice, znów poczuł ssanie w żołądku. Płaszczyzna fundamentu pod podłogę była od wschodu lekko nachylona, zaś pionowa konstrukcja wychylała się na zachód. Erik prawdopodobnie zorientował się, że nie udało mu się idealnie wypoziomować gruntu i postanowił to zrekompensować, nachylając lekko pion drewnianej konstrukcji.

Torgny obszedł cały dom, stukając kamieniem w wylane już fundamenty. Właściwie nie było tak tragicznie, jedynie w kilku miejscach odgłos był pusty. Najwyraźniej do cementu dostało się powietrze. Torgny nie zauważył w podłożu żadnych wylotów wentylacyjnych. Jeśli Erik zdecyduje się pokryć krzywy dach dachówką, nasuwało się pytanie, czy dom runie w wyniku ciągnącej od gruntu wilgoci, czy też przyczyną będzie nierówne obciążenie dachu?

Mężczyzna usiadł ciężko na progu; kątem oka odnotował, że także szerokość drzwi była niewłaściwa. Wtedy pomyślał sobie, co później wszyscy głośno mówili: „Toż to kompletna wpadka”.

Co mógł zrobić?

Gdyby to od niego zależało, kazałby natychmiast wszystko rozebrać i postawiłby nową konstrukcję; zdążyłby przed powrotem Erika. Postawiłby go przed faktem dokonanym. Przez moment nawet się zastanawiał, czy pod pierwszym lepszym pretekstem nie spróbować zatrzymać Erika w mieście przez najbliższy tydzień, a potem zwołać wszystkich ludzi, których uda mu się zebrać, i zacząć wszystko od nowa. Ale to nie było takie proste. Już samo rozebranie fundamentów...

Balansował na zbyt rzadko ułożonych legarach, przyglądając się rozplanowaniu budynku. Też wydał mu się dziwny. Idący w poprzek domu długi, wąski korytarz, sypialnia i kuchnia, oba pomieszczenia miały złe proporcje i umieszczone były gdzieś na skraju domu. Można było odnieść wrażenie, że Erik zaczął planować dom od dużego pokoju, a potem dość przypadkowo dokładał pozostałe pokoje, dopóki wystarczyło mu budulca.

Torgny stał w rozkroku na dwóch legarach na środku tego, co miało być dużym pokojem. I było mu wstyd. Nie tyle z powodu tego, że to jego syn zbudował taki dom, tylko że do końca życia będzie miał pod bokiem tego potwora, na własnej ziemi. Że potwór ten stanie się, jeśli można było to tak określić, członkiem rodziny.

Zebrał swoje rzeczy i opuścił plac budowy, nawet się nie oglądając. Dotarł do domu, zaparzył sobie kawę z dodatkiem alkoholu, usiadł na opromienionej je-siennym słońcem werandzie i pogrążył się w ponurej zadumie.

Po chwili na werandę wyszła jego żona Maja. Przyniosła wiadro jabłek i zabrała się do obierania. Chciała zrobić z nich przecier.

- I jak? - spytała, zamieniając skórkę jabłka w piękną spiralkę.
- Co jak?

- Jak dom? Dom Erika.
- No cóż, od wiatru go ochroni, Miejmy nadzieję.

Ręka Mai lekko drgnęła i piękna spiralka upadła na ziemię, zanim została dokończona.

- Jest aż tak źle?

Torgny przytaknął, wpatrując się w kawowe flisy. Zdawało mu się, że widzi w nich wieżę Babel, walącą się na ludzi, którzy, krzycząc, uciekali na wszystkie strony. Nie trzeba być wróżem, żeby domyślić się, co to znaczy.

- I nie możesz nic zrobić?

Torgny potrząsnął filiżanką i wieża Babel zniknęła. Wzruszył ramionami.

- Mógłbym oczywiście pójść tam z kanistrem nafty i zapalkami, ale... mogłoby to zostać źle odebrane.

Erik wrócił do domu wieczorem, radosny. On i Anna-Greta zgodnie wybrali proste, gładkie obrączki, wybór okazał się więc w zasadzie formalnością. Spędzili miły dzień w Norrtälje, siedząc nad kanałem, wyznając sobie miłość i planując wesele.

Torgny siedział przy stole i naprawiał sieci, słuchając opowieści syna, który był dzisiaj niezwykle rozmowny, nawet nucił coś pod nosem. Musiał przyznać, że chyba rzeczywiście udało się Erikowi złapać wyjątkową dziewczynę w swoje sieci.

Maja stała przy kuchni, mieszała przecier w garnku i raczej nie włączała się do rozmowy. Po chwili Erik zauważył, że coś wyraźnie jest nie tak. Spojrzał na ojca, potem na matkę.

- Coś się stało?

Torgny chwycił oczko i zaciągnął, podniósł wzrok znad sieci i spytał:

- Myślałeś o dachówce?
- O jakiej dachówce?
- Do twojego... domu.
- Bo co?
- Nic. Można chyba spytać.

Erik spojrzał na matkę, która, odwrócona do nich plecami, zawzięcie mieszała przecier. Ojciec nadal wpatrywał się w poplątane, popękane oczka sieci. Po chwili milczenia Erik powtórzył pytanie:

- Coś się stało?

Torgny obciął luźne nitki nożykiem, zebrał je i zwinął w niewielki kłębek.

- Chodzi o to, że pomyślałem, że może powinieneś się zastanowić nad blachą. To znaczy, jeśli zamierzasz zamieszkać w tym domu.

Erik patrzył na niego.

- Może poszlibyśmy tam razem, doradziłbym ci coś i może...

- Uważasz, że powinienem wszystko zburzyć, tak? - przerwał mu Erik.

Torgny otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Erik uderzył pięścią w stół, krzycząc:

- Do diabła z tobą! Cholera!

Maja wzdrygnęła się i odwróciła od kuchenki tak gwałtownie, że kilka kropli jabłkowego przecieru wylądowało na piersi Erika, który właśnie wstawał od stołu.

- Erik! Jak ty się odzywasz do ojca! - zawołała.

Syn patrzył na nią, jakby chciał ją uderzyć, po chwili jednak jego wzrok padł na gorące bursztynowe krople przecieru na koszuli.

- Dwie rzeczy - powiedział Torgny, podczas gdy Erik stał w kuchni ze spuszczoną głową. - Dwie rzeczy - powtórzył. - Potem możesz iść, dokąd chcesz. Nie wolno ci pokryć tego dachu dachówką. Nie wytrzyma obciążenia. I musisz zadbąć o wentylację fundamentów. Poza tym rób, co chcesz.

Torgny odciął kawałek nici i zaczął zarabiać kolejne oczko. Ręce mu drżały i zaciął się w palec. Niezbyt głęboko, ale na kciuku pojawiły się krople krwi. Siedział, przyglądając się im. Erik ciągle wpatrywał się w krople przecieru na koszuli. Maja zaś nadal stała przy kuchence z uniesioną łyżką. Minęło kilka sekund i wtedy jakby coś runęło, nie był to dom, ale słychać było trzask łamanego drewna i jęk wyrywanych gwoździ.

Potem Erik wymaszerował z kuchni. Słyszeli dudnienie jego kroków, kiedy szedł na górę po schodach do swojego pokoju, i po chwili trzaśnięcie drzwi na piętrze. Torgny zaczął ssać krew, która pojawiła się na jego kciuku. Maja opuściła łyżkę i zaczęła mieszać w garnku.

Zawaliło się.

Po tym wieczorze Erik stracił zapał. Jesienią nadal coś tam strugał i przed nadejściem zimy skończył konstrukcję dachu. Pokrył go blachą. Wywiercił otwory wentylacyjne, dość nieforemne i brzydkie, ale zapewniały dopływ powietrza do fundamentów.

Wszystko to zrobił, ale robił bez radości, bez zapału. Jadał obiad w milczeniu, a na pytania rodziców odpowiadał monosylabami. Niekiedy jechał do Nåtenu spotkać się z Anną-Gretą, i wtedy najwyraźniej brał się w garść, bo plany ślubu nie uległy zmianie.

Torgny już więcej nie poszedł na budowę. Ludziom, którzy pytali, jak chłopak radzi sobie z domem, odpowiadał, że nie chce się wtrącać, że to sprawa Erika. Powiedział swoje, uratował to, co jeszcze dało się uratować. Teraz to już nie jego sprawa.

Zima przyszła późno. Poza pierwszym atakiem mrozu na początku listopada była łagodna i bezśnieżna aż do stycznia. Erik wstawił okna i teraz spędzał

wszystkie popołudnia i wieczory w swoim domu. Duża lampa naftowa oświetlała skały, z daleka wszystko prezentowało się bardzo przyjemnie.

W połowie stycznia Erik przeniósł do swojego domu łóżko i kilka podstawowych sprzętów domowych. Torgny i Maja stali w kuchni, w oknie, i przyglądali się, jak z łóżkiem na plecach schodzi ze wzgórza. Maja położyła rękę na ramieniu męża.

- Nasz syn wyprowadza się z domu.
- To prawda - przytaknął Torgny i odwrócił się, bo poczuł dziwne swędzenie w oczach. Usiadł przy kuchennym stole i zaczął nabijać fajkę. Maja nadal stała w oknie, patrząc, jak Erik znika w oddali.
- Swój rozum ma, nikt mu go nie odbierze - powiedziała.

Pod koniec maja dom był skończony. Dwa tygodnie później odbył się ślub. Ceremonię zorganizowano na świeżym powietrzu, na skałach na północnym cyplu, po czym zaproszono gości na wesele połączone z oblewaniem nowego domu Erika.

Dzień był wietrzny. Ludzie musieli przytrzymywać kapelusze, a kiedy panna młoda rzuciła swój bukiet, wiatr porwał go i rzucił do morza, zanim ktokolwiek zdążył go złapać. Całe towarzystwo ruszyło do domu młodej pary, wiatr unosił suknie i wyciskał łzy z oczu.

Anna-Greta zauważyła, że Erik bardzo mocno ściska jej dłoń, kiedy, minąwszy port, skierowali się w stronę swojego domu. Pewnie był spięty i zdenerwowany. Sama też była podniecona, bo Erik dotąd nie pokazał jej domu, w którym mieli zamieszkać, jak zostaną małżeństwem na dobre i na złe, aż śmierć ich rozdzieli. Uścisk jego dłoni był tak mocny, że nawet nie była w stanie go odwzajemnić.

Matka Erika i jej przyjaciółki nakryły stoły przed domem, ale kiedy godzinę przed uroczystością zerwał się wiatr, przeniesiono wszystko do środka. Kiedy goście weszli, stoły były już nakryte, a matka i jej pomocnice zaczęły od razu podawać jedzenie.

Erik ścisnął dłoń Anny-Grety i wygłosił krótką mowę powitalną. Młoda żona mogła nareszcie rozejrzeć się po swoim domu. Właściwie wszystko wyglądało dobrze, jeden szczegół zwrócił jednak jej uwagę: spostrzegła, że mimo że okna były zamknięte, firanki lekko falowały. I jeszcze...

Co to było? Coś...

Wodziła wzrokiem po domu: kuchnia, pokój, okna, drzwi, sufit. Coś sprawało, że robiło jej się niedobrze jak podczas sztormu na morzu, jakby coś przesuwano się jej w żołądku. Nie miała jednak czasu o tym myśleć. Erik skończył mówić i goście zasiedli do stołu. Swoje złe samopoczucie przypisała nerwom.

W miarę jak popołudnie przechodziło w wieczór, Erik coraz bardziej pochmurniał. Przy stole rozmawiano o połowach i letnikach, o Hitlerze i ewentualnej okupacji Ålandii, ale po kątach stukano w ściany i spoglądano na podłogę. Kręceno głowami, padały słowa, niektóre docierały do uszu Erika.

Anna-Greta zauważyła, że jej mąż hojnie dolewa sobie gorzałki. Próbowwała odwrócić jego uwagę od wódki, ale kiedy Erik przekroczył pewien punkt, można było odnieść wrażenie, że cały zamieniał się w parę błyszczących oczu i ust, które otwierał jedynie po to, żeby pić. Późnym wieczorem, kiedy większość gości mówiła już głośno o tym, o czym wcześniej tylko szeptano, Anna-Greta znalazła go siedzącego na krześle i wpatzonego w jedną ze ścian.

Niedaleko bawiła się trójka dzieci. Wzięły kilka ugotowanych na twardo jajek, które zostały z weselnej uczty, i sprawdzały, czyje jajko, położone na podłodze, poturła się najdalej.

Nagle Erik wstał i głośno chrząknął. Nastrój w jego zabawnym domku był radosny, więc mało kto przerwał rozmowę. Erik zdawał się jednak tym nie przejmować. Chwyił się rękami oparcia krzesła, żeby nie upaść, i głośno powiedział:

- Różne zdania tu padały, więc pomyślałem, że teraz ja powiem wam, co myślę o tym Hitlerze.

Wygłosił płomienną, aczkolwiek dość dziwną mowę. Tok rozumowania był pokrętny i miejscami trudny do pojęcia. Wniosek jednak był taki, że ludzi takich jak Hitler należało eliminować z powierzchni ziemi, a dlaczego? Ano dlatego, że wcierali się w sprawy innych, tłamsząc swoją autorytatywnością wolność innych. Hitler był przekonany, że wszystko wie najlepiej i dlatego niszczył ludzi.

Erik zakończył swoją przemowę słowami:

- Do diabła z takimi besserwisserami. To niemieckie słowo, besserwisser. Co powinno dać do myślenia.

Dopiero kiedy Torgny po chwili przeprosił i wyszedł, zabierając ze sobą Maję, Anna-Greta zrozumiała, że przemowa Erika dotyczyła czegoś całkowicie innego.

Tak, to nie było udane wesele. Noc poślubna zresztą też nie. Erik był pijany jak bela, więc Anna-Greta wyszła na zewnątrz, szukając pocieszenia u krążących nad skałami mew.

Jakie życie czeka ją tutaj, w tym domu?

Plastikowe koraliki

Sosna przed przedsionkiem rosła prosta jak zawsze. Anders postawił walizkę obok drzewa i przyglądał się domowi. Zwykła blacha została wymieniona na

falistą; w zagłębieniach leżały teraz igły sosny. Rynny były prawdopodobnie zapchane.

Rachityczny pomost wychodził w wodę z zarośniętego piolunem brzegu. Wiele lat temu babcia Andersa przywiozła roślinkę ziela z Dużego Krzyża, i tak piolun zaczął się powoli rozprzestrzeniać, aż zamienił się w łąkę falujących liści i nagich lodyżek, które teraz zarosły starą plastikową łódź, ułożoną na brzegu na drewnianych kozłach.

Anders obszedł dom dokoła. Od strony lądu wyglądał w porządku, ale od strony morza czerwony kolor zbladł, a na belkach widać było liczne pęknięcia. Antena telewizyjna zniknęła. Kiedy wdrapał się na dach werandy, zobaczył leżące tam druty. Przypominały rannego pająka. Zabolalo go to.

Cały czas czuł w piersi ciężar i ból, niemal jak krzyk. Przeszedł kilka kroków i jego wzrok padł na coś czerwonego na krzaku głogu. Łódka Mai. Tania, nadmuchiwana gumowa zabawka, którą wspólnie się bawili tego ostatniego lata. On, Maja i Cecilia.

Teraz, pozbawiona powietrza, zwisała bezwładnie z krzaka głogu. Przypominał sobie, jak ostrzegał Maję, żeby nie ciągnęła łódki po ostrych kamieniach, żeby nie... Teraz łódka wisiała na krzaku, podziurawiona setkami kolców, i wszystko zniknęło, i na wszystko było już za późno.

To z powodu tej łódki przez trzy lata nie wracał na wyspę. Z powodu łódki i innych wspomnień, śladów. Rzeczy, które nadal istniały jak na ironię losu, mimo że nie powinny, bo to, co kiedyś znaczyły, zniknęło.

Liczył się z tym. Był przygotowany. Nie płakał. Ruszył dalej, kątem oka jednak nadal widział gumową łódkę zabawkę; jego nogi poruszały się tylko dlatego, że im to nakazał. Skręcił za rogiem, podszedł do ogrodowego stolika i opadł na ławę. Oddychał z trudem, jakby jakieś drobne dłonie ścisnęły go za gardło; przed oczyma wirowały mu drobne plamki.

Po diabła tu przyjechałem?

Kiedy skurcz gardła minął, wstał i kopnął kamień obok krzaka agrestu. Po foliowej torebce, w której leżał klucz, pełzały stonogi. Zaczekał, aż znikną, schylił się i sięgnął po torebkę. Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie. Zataczając się, jakby był pijany, podszedł do drzwi i otworzył je; wszedł do łazienki, napił się wody z kranu: smakowała rdzą. Zaczepnął powietrza i znów się napił. Nadal kręciło mu się w głowie.

Drzwi do dużego pokoju były otwarte, odbite od morza promienie słońca oświetlały białym blaskiem stojącą pod oknem kanapę. Anders widział ją jakby w tunelu, podszedł do niej chwiejnym krokiem i usiadł.

Czas mijał.

Leżał na kanapie z otwartymi oczami, czując, że marznie. Ale to było po prostu stwierdzenie faktu, bez znaczenia. Patrzył na czarny ekran telewizora, na pokryty sadzą kominek.

Rozpoznawał wszystko, ale jednocześnie wszystko było mu obce. Sądził, że jednak będzie czuł, że wrócił do domu, do czegoś, co przecież jednak było jego. Ale nie. Czuł się jak złodziej, który włamał się do cudzych wspomnień. To wszystko należało do kogoś obcego, do kogoś, kim on był, ale dawno temu; do kogoś, kogo już nie znał.

Za oknem zapadł mrok, fale uderzały leniwie o skały. Wygramolił się z kanały i poszedł po puszkę, którą napełnił podpałką, wstawił do otwartego kominka i zapalił, żeby wyprzeć zimne powietrze z komina. Potem rozpalil ogień i poszedł otworzyć drzwi do sypialni, żeby i tam dostało się trochę ciepłego powietrza. W połowie drogi się zatrzymał.

Drzwi.

Drzwi były zamknięte.

Ktoś zamknął drzwi.

Anders stał nieruchomo i oddychał przez nos. Coraz szybciej, jak zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo. Wpatrywał się w drzwi. Były to zwyczajne drzwi. Jasna sosna, najtańsze. Kupił je w tartaku w Nåtén, a potem poświęcił cały dzień na wymianę starych na nowe: wyjął starą spaczoną futrynę i zamontował nową i nowe drzwi. Były to jak najzwyklejsze drzwi na świecie. Tyle że teraz były zamknięte.

Anders był całkowicie pewien, że kiedy on i Cecilia stąd wyjeżdżali, zmęczeni, zapłakani, z pustką w sercu, drzwi były otwarte.

Uspokój się. Na pewno Simon je zamknął.

Ale dlaczego miały to zrobić? Poza tym nic nie wskazywało, że w domu ktoś był. Czyżby Simon przyszedł tu jedynie po to, żeby zamknąć drzwi do sypialni? Dlaczego miały to zrobić?

Czyli drzwi musiały być zamknięte, kiedy stąd odjeżdżali. Po prostu musiało mu to wypaść z pamięci.

Nieprawda.

Wiedział, dlaczego był tego pewien. Pamiętał, jak Cecilia poszła do samochodu, niosąc ostatni karton z rzeczami Mai. A on stał i przyglądał się domowi; potem podszedł i zamknął na klucz drzwi wejściowe. Wiedział, że jest to pożegnanie, że nic z tego, o czym wspólnie marzyli, nie spełni się, że być może już w ogóle nigdy nie zobaczy domu. Jego obraz wyrzył mu się w mózgu na zawsze.

Wtedy drzwi do sypialni były otwarte.

Położył rękę na klamce. Była zimna. Serce waliło mu w piersi. Ostrożnie nacisnął klamkę i pociągnął. Drzwi się otworzyły. Mimo że z sypialni ciągnęło chłodem, poczuł, jak spod pachy spływają mu strużki potu.

Nic.

W sypialni niczego nie było, oczywiście. Światło latarni morskiej odbijało się od ściany, pod którą, tuż obok drzwi, stało ich małżeńskie łóżko.

Wszystko wydawało się w porządku. Ale, stojąc w progu, sięgnął ręką do wyłącznika, żeby jednak zanim wejdzie, zapalić światło. Lampa na suficie rozbliżyła jasno.

Podwójne łóżko było posłane, biała poszwa ze sztucznej satyny połyskiwała, rzucając poświatę na jasnoniebieskie drewniane ściany i wiszący nad łóżkiem odpustowy obrazek, przedstawiający statek na wzburzonym morzu.

Podszedł do okna. Latarnia na północnym cyplu mrugała nad zatoką. Samotny reflektor w porcie oświetlał przystań i łodzie huśtające się obok przy pomostach. Ludzi nie było widać. Gdy reflektor gasł można było dostrzec światło z Gåvasten, ze znienawidzonej latarni na Gåvasten.

W niemal czarnym oknie zobaczył odbicie krótszej ściany pokoju. Szafę i łóżko Mai. Nie było posłane. Ani on, ani Cecilia nie potrafili się przemóc, żeby wygładzić poszwę, usuwając w ten sposób ostatnie ślady obecności dziewczynki, która kiedyś w nim leżała. Anders się wzdrygnął. Skotłowana kołdra sprawiała wrażenie, jakby kryła ciało. Odwrócił się.

Łóżko. Rozesłane łóżko. Nic poza tym. Małe rozesłane łóżko. Poszewka z miśkiem niosącym słoiki z miodem. Prenumerowała pisemko „Bamse”. Nadal przychodziło. Czytał je. Na głos, jak zawsze, chociaż teraz już nikt go nie słuchał.

Podszedł do łóżka, usiadł i spojrzał na pokój. Skulił się. Po chwili jeszcze bardziej. Poczul ból w piersi, jakąś gułą, która rosła. Widział pokój jej oczami, tak jak ona go widziała.

To jest duże łóżko, w którym śpią mama i tata, i gdzie mogę przyjść, jeśli będę się bała. A to jest moje wspaniałe łóżeczko, tam jest niedźwiadek Basen. Mam sześć lat. Mam na imię Maja. Wiem, że jestem kochana.

- Maja... Maja...

Gula w piersi była tak duża, że łyzy nie mogły jej rozpuścić. Nie było grobu, na który mógłby pójść. Nic, co byłoby Mają. Tylko to. Właśnie to miejsce. Dopiero teraz to zrozumiał. Siedział na jej grobie, jej miejscu spoczynku. Głowa mu opadła i spoczęła między kolanami.

Na podłodze pod łóżkiem leżały plastikowe koraliki Mai. Było ich dwadzieścia, może trzydzieści. Robiła z nich naszyjnik, to było jej ulubione zajęcie. Wiaderko pełne koralików we wszelkich możliwych kolorach stało teraz pod łóżkiem.

No i jeszcze te, które były rozsypane na podłodze.

Anders wziął kilka, położył na dłoni, przyglądał się im. Czerwony, żółty i trzy niebieskie.

Jeszcze jedno wspomnienie z ostatniego dnia. Pamiętał, że uklękął obok łóżka i oparł głowę o materac, szukając jej zapachu w prześcieradle. Znalazł go. Łzy wsiąknęły w prześcieradło.

Pamiętał, jak okrążył na klęczkach łóżko. Tak zrobił. Tylko wtedy nie czuł koralików pod kolanami. Wiele rzeczy ze swojego dawnego życia zdążył zapomnieć, wiele nadal znajdowało się gdzieś za mgłą, ale ostatnie dni spędzone tutaj miał wypalone w pamięci. Wyraźnie. I koralików wtedy nie było.

Na pewno?

Tak. Na pewno.

Osunął się na podłogę i zajął pod łóżko. Przezroczyste wiaderko z koralikami stało wepchnięte w kąt. Było wypełnione mniej więcej w dwóch trzecich. Włożył do niego rękę, zanurzył dłoń w koralikach, zamieszał. Kiedy ją wyciągnął, zauważył, że kilka koralików przykleiło mu się do dłoni.

Szczury. Myszy.

Zanurzył obie dłonie w wiaderku. Wziął pełną garść koralików, pozwolił im przelecieć przez palce. Nie zauważył żadnych mysich odchodów. A przecież myszy nawet w kuchennej szufladzie zostawiały po sobie ślady.

Wsunął wiaderko z powrotem pod łóżko i rozejrzał się po podłodze. Dwa-dzieścia, może trzydzieści koralików leżało rozsypanych wokół łóżka. Położył się na podłodze, zajął we wszystkie kąty, sprawdził przy listwach. Żadnych koralików. Pod ich małżeńskim łóżkiem były jedynie kłaki kurzu, nic poza tym.

Zaraz, zaraz...

Podpełzł z powrotem do łóżka Mai i zajął pod nie. Za wiaderkiem z koralikami stała otwarta skrzynka z klocek duplo, tuż obok miśka. Wyciągnął ją. Różnokolorowe klocki pokryte były warstwą kurzu. Wcześniej zdążył już wstrząsnąć koralikami w wiaderku, więc nie był pewien, ale czy na koralikach był kurz?

Siedział na podłodze, oparty plecami o łóżko Mai. Nagle jego wzrok zatrzymał się na szafie. Niekształtnej, przytwierdzonej do ściany, zbudowanej przez dziadka Andersa z takim samym talentem jak reszta domu. Miała około metra szerokości i zrobiona była z oheblowanych desek. W zamku tkwił kluczyk.

Serce Andersa znów przyspieszyło, na dłoniach poczuł zimny pot. Wiedział, że drzwi miały od wewnątrz kłamkę. Maja lubiła siadywać wewnątrz szafy; cho-wała się między ubraniami i bawiła się, że...

Przestań. Przestań.

Zagryzł wargi, przestał oddychać. Nasłuchiwał. Nie było nic słyhać oprócz szumu fal uderzających o skały, wiatru wyjącego w koronach świerków i jego bijącego serca. Spojrzał na drzwi szafy, na kluczyk, który nagle się poruszył.

Anders zerwał się na nogi i przycisnął dłonie do skroni. Broda zaczęła mu drżeć.

Kluczyk tkwił nieruchomo w zamku. Oczywiście.

Przestań. Przestań.

Nie oglądając się, wyszedł z pokoju, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi. Palce miał lodowate, zęby mu dzwoniły. Włożył kilka szczap drewna do kominka, a potem próbował ogrzać dłonie nad ogniem.

Kiedy się uspokoił, otworzył walizkę i wyjął z niej karton czerwonego wina; otworzył go i wypił mniej więcej jedną trzecią jego zawartości. Zerknął na drzwi od sypialni. Nadal się bał.

Ogień na kominku zgasł. Nie przejął się tym. Sięgnął po papierosy i szklankę i wrócił w krąg bezpiecznego ciepła kominka; paląc papierosa, wypił resztę zawartości kartonu. Kiedy go opróżnił, rzucił go w ogień i poszedł po następny.

Wino zadziało tak, jak powinno. Stężałe mięśnie rozluźniły się, a myśli zaczęły płynąć swobodnie, nie zatrzymując się na niczym konkretnym. W trakcie opróżniania trzeciego kartonu, podniósł się i ze szklanką w ręku spozjrzał na morze. Latarnia w Gåvasten mrugała gdzieś w oddali.

- Zdrowie, diablico! Twoje zdrowie, cholero!

Opróżnił szklankę i zaczął się kołysać w rytm mrugnięć latarni.

Morze. I my, biedni, przekłęci ludzie z naszymi mrugającymi światłkami.

Nadchodzi nieszczęście

O wpół do czwartej Andersa obudziło walenie do drzwi. Otworzył oczy, ale nadal leżał nieruchomo na kanapie, okrył się szczelniej kocem. W pokoju było ciemno. Światło latarni omiało podłogę. Głowa mu ciążyła.

Leżał z szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, czy się nie przesłyszał. Trzy silne uderzenia w drzwi. Usiadł na kanapie i podświadomie rozejrzał się za jakąś bronią. Krótkie, ale mocne uderzenia miały w sobie coś przerażającego.

Jakby... jakby...

Jakby ktoś po niego przyszedł. Ktoś z jakimś rozkazem. Ktoś, kto miał prawo go ze sobą zabrać. Nogi miał gotowe do ucieczki. Spuścił je z kanapy, podpełzł do kominka i mocno chwycił pogrzebacz.

Stał teraz z uniesionym pogrzebaczem i czekał, aż znów rozlegnie się walenie do drzwi. Jednak nie słyszał nic, poza wzbierającym gniewem morza i trzaskiem łamanej na wietrze gałęzi.

Uspokój się. To pewnie tylko...

Tylko co...? Wydarzyło się jakieś nieszczęście, ktoś potrzebował pomocy? Tak prawdopodobnie było, a on gotował się na odparcie inwazji jakiejś obcej

siły. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, nadal trzymając w rękę pogrzebacz.

- Halo? - zawołał. - Jest tam ktoś?

Serce waliło mu, miał wrażenie, że coś ściska mu głowę.

Niedobrze ze mną.

Jakaś łódź rozbiła się na morzu, ktoś miał awarię silnika, udało mu się dopłynąć do skał i teraz stoi pod jego drzwiami, przemoczony i zmarznięty.

Ale dlaczego tak wali w drzwi?

Nie zapalając lampy, która mogłaby go oślepić, Anders zaczął się skradać do okna w korytarzu, wyjrzał na zewnątrz. Na werandzie, o ile mógł cokolwiek dojrzeć, nikogo nie było. Zapalił światło na zewnątrz. Pusto. Otworzył drzwi i zaczął się rozglądać.

- Halo? Jest tam ktoś?

Na wietrze bujała się huśtawka Mai, na podwórzu przed domem wirowały suche liście. Otworzył drzwi, wyszedł na werandę, zamknął drzwi, powiódł wzrokiem dokoła, natężył słuch.

Miał wrażenie, że od strony miasteczka dobiega go odgłos silnika. Mała łódź z doczepianym silnikiem albo piła spalinowa. Ale kto w środku nocy wypływa na morze czy piłuje drewno? Oczywiście mógł to też być motorower, ale znów - o tej porze?

Huśtająca się na wietrze huśtawka Mai źle go nastroiła. W ciemności można było odnieść wrażenie, że ktoś na niej siedzi, ktoś, kogo on nie jest w stanie dostrzec. Zrobił kilka kroków, odszedł od drzwi i poczuł zimny podmuch wiatru na piersi i na brzuchu.

- Maja? - zawołał w pustkę.

Żadnej odpowiedzi. Huśtawka nadal szalała na wietrze. Opuścił pogrzebacz i przesunął wolną ręką po twarzy. Był pijany. Tak, ale myślał trzeźwo. Odgłos silnika, jeśli to rzeczywiście był odgłos silnika, umilkł. Słyszał tylko trzeszczenie pękniętej gałęzi.

Wrócił do drzwi i sprawdził je od zewnątrz. Żadnych śladów dobijania się. Kąciki ust mu drgnęły.

Wiem, co to znaczy.

Jego babcia ze strony ojca opowiadała, jak kiedyś jej ojciec nocował w szopie, gdzieś na wyspie w archipelagu. Popłynął tam załatwić „pewną sprawę”, jak miejscowi eufemistycznie określali przemyt alkoholu. Prawdopodobnie miał nad ranem umówione spotkanie z jakimś estońskim kutrem poza trzymiłową granicą morską, i uznał, że najbezpieczniej będzie przenocować na szkieletach.

W nocy obudziło go walenie do drzwi. Były to zwykłe drewniane drzwi do szopy, zamykane na haczyk, który pod wpływem uderzeń zaczął podskakiwać. Mężczyzna uznał, że najwyraźniej celnicy trafili na jego ślad, tylko że przyszli

za wcześniej. Nie miał niczego, co mogliby mu zabrać, potrafił też wytłumaczyć się z noclegu na wyspie, specjalnie w tym celu zabrał ze sobą myśliwski sztucer. Otworzył więc drzwi całkowicie spokojny.

Na zewnątrz nikogo nie było. Nawet cienia człowieka w pobliżu, widział tylko swoją łódkę ukrytą pod pomostem. Na wszelki wypadek wziął ze sobą pieńiędzy, przeznaczone na zakup alkoholu, i ze sztucerem w ręku ruszył na obchód wyspy. Udało mu się wystraszyć wysiadujące na gnieździe kaczki, a poza tym nic.

O świcie udał się na miejsce spotkania. Wyłynął i po kilku milach dostrzegł kuter zakotwiczony tuż przy granicy morskiej.

Rozległ się huk.

Najpierw był przekonany, że to jego silnik strzelił, po chwili jednak dotarło do niego, że wtedy huk nie odbiły się takim echem. Wziął lornetkę i zaczął wypatrywać kutra, z którym miał się spotkać. Coś się z nim stało. Najpierw nic nie widział, kiedy jednak podpłynął bliżej, zauważył, że łajba leży na boku i tonie. Po chwili wszelki ślad po niej zagał. Lustrował lornetką powierzchnię wody, ale niczego nie dostrzegł.

- Czterech ludzi i co najmniej tysiąc litrów gorzałki poszło na dno - opowiadał potem, dodając: - To właśnie chciał mi powiedzieć ten, który walił w drzwi. Że zbliża się nieszczęście.

Babcia Andersa opowiadała mu tę historię słowo w słowo tak, jak ją zasłyszała; a on niekiedy nagle sobie o niej przypominał. Jak teraz, kiedy przyglądał się drzwiom, szukając jakichś śladów.

Nadchodzi nieszczęście.

Podniósł głowę i spojrział na chwiejące się na wietrze czubki świerków, niknące w mroku, poza zasięgiem promieni lampy. Jakaś obluzowana blacha uderzała o dach drewnutni, jakby dla podkreślenia grozy sytuacji.

Nadchodzi nieszczęście.

Nie było mowy o dalszym spaniu. Anders rozpałił w kominku, usiadł przy kuchennym stole i wpatrywał się w ścianę. Miał wrażenie, że ma w głowie sieczkę, wtłoczoną - dość paradoksalnie - w błonkę trzeźwości. Myślał jasno, chociaż wolno.

Wiatr zawodził w kominie, Anders się wzdrygnął. Nagle poczuł się opuszczony. Jak niechciane dziecko pozostawione samo w lesie. Opuszczone. Jego kruchy mały domek stał osamotniony, opuszczony na cyplu. Fale morskie docierały coraz wyżej, wyciągając ku niemu swoje macki. Wiatr wdzierał się wszędzie, prężąc mięśnie, szukając nowych dróg.

Nadciąga niebezpieczeństwo. Chce mnie dosięgnąć.

Co to było, tego nie wiedział. Tylko że było to „coś” dużego, silnego i chciało go dopaść. A on nie bardzo mógł się bronić.

Stare wino zostawiło w ustach posmak zgniłych owoców; napił się wody prosto z kranu, jednak nie smakowała wiele lepiej. Prawdopodobnie sól dostała się do studni, bo woda miała metaliczny smak. Anders opłukał twarz i wytarł ją kuchenną ścierką.

Nie zastanawiając się, wszedł do sypialni, wziął wiaderko z koralikami i zaczęła układać je na plastikowej podkładce. Najpierw ułożył czerwone serduszko. Potem drugie, niebieskie, tuż obok pierwszego. Potem żółte i tak dalej. Jak rosyjska matryoszka. Kiedy doszedł do brzegu płytki, wstał i poszedł dołożyć drewno do kominka.

Koraliki, których użył do ułożenia serc na płytce, nie przyczyniły się istotnie do obniżenia poziomu koralików w wiaderku. Żałował, że nie ma większej podkładki. Wtedy zrobiłby prawdziwy obraz.

Mógłby je złożyć...

Wyciągnął piłkę do metalu ze skrzynki z narzędziami i zaczął pracować. Odciął brzegi dziewięciu kolejnych podkładek, wygładził je papierem ściernym, żeby otrzymać gładką powierzchnię, tak by można było je skleić. Praca zajmowała wszystkie jego myśli. Nawet nie zauważył, kiedy od morza nadszedł świt.

Dopiero gdy wyrównał wszystkie brzegi i wstał, żeby poszukać nowej tubki kleju epoksydowego - wiedział, że musi tu gdzieś być - wyjrzał przez kuchenne okno i zobaczył, że poranne słońce zastąpiło już światło rzucane przez reflektor latarni na północnym cyplu.

Ranek. Kawa.

Usunął wapienne złoży z wnętrza dzbanka i napełnił go wodą. W spiżarni znalazł paczkę kawy, nie była otwarta, ale i tak pewnie zwiędziała. Zrekompensował to sobie, sypiąc dwa razy więcej kawowego proszku niż zwykle, i włączył dzbanek.

Znalazł klej i kolejne pół godziny poświęcił na szlifowanie nierówności i dopasowywanie płytek. Poranne słońce wpadało ukosem przez kuchenne okno, kiedy Anders w końcu stanął, wyprostował się i zaczął podziwiać swoje dzieło.

Dziewięć płytek, każda mieszcząca sto koralików, zostało połączone w jedną. Miał przed sobą białą, nierówną powierzchnię, czekającą na trzy tysiące sześćset kolorowych kropek. Pokiwał głową. Był z siebie zadowolony. Miał teraz zajęcie.

Tylko co dalej?

Palił papierosa, popijając kawę, która rzeczywiście była raczej wspomnieniem prawdziwej filiżanki kawy. Przyglądał się białej powierzchni płytek, próbując wymyślić, co mógłby na niej ułożyć.

Może użyje koralików do ułożenia któregoś z szalonych morskich obrazów Strindberga? Tak. Chociaż pewnie nie miał dostatecznie dużo różnych odcieni.

Może coś bardziej naiwnego, jak rysunek dziecka. Jakieś krówki, koniki, domek z kominem. To jednak nie stanowiło żadnego wyzwania.

Obraz dziecka...

Szukając czegoś w pamięci, wpatrywał się w latarnię na północnym cyplu. Następnie odstawił filiżankę i zaczął przekładać rzeczy w szufladach. Nie mógł sobie przypomnieć, co zrobił z aparatem fotograficznym.

W końcu znalazł go w szufladzie na „różności”, do której trafiało wszystko, co było pod ręką. Licznik wskazywał, że zrobił dwanaście zdjęć. Czubkiem ołówka wcisnął przycisk przewijania, włączył niewielki silniczek i film zaczął się powoli zwijać, wydając żalostny dźwięk. Baterie były na wyczerpaniu. Nagle rozległo się kliknięcie i silniczek zaczął pracować szybciej, taśma się zwinęła. Anders wyjął film i ponownie zasiadł przy kuchennym stole.

Zacisnął dłoń wokół małego metalowego cylindra, chłodnego po długim leżeniu w szufladzie. Były tam. Ich ostatnie rodzinne zdjęcia. Rozgrzał pojemnik w rękę, jakby próbował rozgrzać ludzi sunących po lodzie na chwilę przed tym straszynem, które zaraz miało się wydarzyć.

Trzymał rolkę kciukiem i palcem wskazującym, przyglądał się jej, jakby miał nadzieję, że uda mu się dojrzeć coś, co wierzył, że tam jest. Coś jednak podpowiadało mu, że powinien odpuścić, zostawić w spokoju tę rodzinę tam w środku, nieświadomą tego, co za chwilę ją spotka. Nie wypuszczać jej, nie narażać na smutek, który niesie ze sobą życie. Zostawić ją w jej własnej kapsule czasu.

Ktoś nas nienawidzi

Simon nalał sobie pierwszą filiżankę kawy tego ranka, usiadł przy stole w kuchni i zaczął wpatrywać się w na wpół otwarte pudełko od zapalek. Czarna larwa leżała nieruchomo, ale Simon wiedział, że żyje.

Siedział z zaciśniętymi ustami, zbierając ślinę. Kiedy zebrał już dostatecznie dużo, pozwolił jej wypłynąć z ust prosto do pudełka. Larwa poruszyła się lekko, nieco jeszcze senna, gdy pierwsze krople trafiły w jej gładką skórę. Simon siedział i patrzył, jak jej ciało powoli wchłania ślinę.

Był to jego stały poranny rytuał, tak samo niezbędny jak oddanie moczu czy wypicie kawy. Szybko to zrozumiał.

Ktoregoś ranka, kilka tygodni po tym, kiedy Spiritus trafił w jego rękę, zostawił pudełko z larwą w szufladzie; nie zmoczył jej śliną, tylko popłynął łodzią na ląd po zakupy. Ledwie zdążył wypłynąć w morze, poczuł w ustach ten smak. Przybierał na sile. Był to smak starego drewna albo raczej zgniłych korzeni; czuł go w ustach, we krwi, w każdym mięśniu.

Podpływając do pomostu w Nåtén, zdusił silnik, przechylił się przez burtę i zwymiotował. Wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale postanowił, że się nie podda; na zwolnionych obrotach płynął dalej, do przystani. Kiedy łódź uderzyła o pal, miał wrażenie, jakby wszystko w nim się skręcało. Znow zwymiotował, żółcią.

Mdłości były tak silne, jakby ich źródło było gdzieś poza jego ciałem, jakby doznał szoku septycznego, jak przy ostrym zatruciu. Skulił się na rufie, podczas gdy silne skurcze targaly jego żołądkiem; w końcu udało mu się przekręcić ster tak, że łódź ponownie wzięła kurs na Domarö.

Był przekonany, że zaraz umrze, całą drogę powrotną na wyspę siedział skulony, niemal w pozycji płodowej; cały czas coś podchodziło mu do gardła, miał wrażenie, że jego ciało gnije, odbijało mu się, a dźwięki, które przy tym wydawał, były niemal zwierzęce jak jęki sarny.

Nie miał siły przybić do pomostu, skierował więc łódkę prosto na nabrzeże, wygramolił się z niej i na kolanach dotarł w płytkiej wodzie do brzegu, a potem po kamieniach i trawniku do domu. Kiedy w końcu wyjął z szuflady pudełko, miał tak sucho w ustach, że zebranie tyle śliny, żeby dać larwie to, czego potrzebowała, zabrało mu kilka minut. Minęło wiele dni, zanim znow poczuł się do brze.

Od tamtego zdarzenia bardzo przestrzegał, żeby każdego ranka najpierw splunąć do pudełka. Nie wiedział, na czym tak naprawdę polegała umowa, którą zawarł, wiedział jednak, że tak długo jak żyje, będzie musiał wywiązywać się z jej warunków.

A potem?

Co potem, tego nie wiedział. Obawiał się jednak najgorszego. I żałował swojego kroku. Powinien był wtedy zrzucić larwę z pomostu. Do morza, gdzie było jej miejsce. Żałował, że tak nie postąpił. Ale było już za późno.

Simon wypił łyk kawy i wyjrzał przez okno. Niebo było tak przejrzyste, jak bywało tylko jesienią. W powietrzu wirowało kilka żółtych listków. Nic nie wskazywało, żeby zbliżał się sztorm, chociaż Simon wiedział, że nadchodzi; podobnie jak wiedział wiele innych rzeczy. Gdzie w ziemi jest woda, kiedy lód skuje cieśniny i ile deszczu wkrótce spadnie.

Kiedy filizanka została opróżniona i oplukana, Simon wstał, włożył kalosze i wyszedł na zewnątrz. Przejął kilka miejscowych zwyczajów, między innymi zaczął nosić kalosze: wkładał je zawsze, kiedy wychodził. Nigdy nie wiadomo, dokąd człowieka poniesie, najprościej było być przygotowanym.

Może poczta i gazety zostały dzisiaj dostarczone pierwszym porannym statkiem, a nawet jeśli nie, to przy skrzynkach zawsze kręcili się faceci, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, jak właśnie wypatrywać, czy pierwszy statek przywiózł pocztę, czy nie. Zwykle jej nie przywoził.

Idąc do skrzynek, rzucił okiem na drogę prowadzącą do domu Andersa. Budynek wymagał sporo pracy. To dobrze. Anders będzie miał czym zająć ręce i zapomni o ponurych myślach. Simon znał to z własnego doświadczenia. W najgorszym okresie małżeństwa z Marita, swoją pierwszą żoną, właśnie ćwiczenie sztuczek z kartami i z chusteczkami ratowało go, gdy czuł zbliżający się napad panicznego lęku.

Z Anną-Gretą było oczywiście inaczej. Gdy był z nią, sięgał po sztuczki przede wszystkim, by odegnać nachodzącą go niekiedy melancholię.

O ile wiedział, Anders nie miał żadnego hobby, któremu mógłby się poświęcić, więc odchodząca ze ścian farba czy drewno, które trzeba było porąbać, mogło okazać się przydatne.

Już z odległości ponad stu metrów zauważył, że dzisiejsze grono rozmówców przy skrzynkach na pocztę składało się z Holgera i Görana. Nie można było ich z nikim pomylić. Holger się garbił, natomiast Göran stał prosty jak struna, zostało mu to po niemal czterdziestoletniej służbie w policji.

Ale co u...?

Mężczyźni zdawali się pochłonięci zażartą dyskusją. Holger kręcił głową, wskazując jedną ręką na morze; Göran stał i kopał nogą ziemię, wyraźnie czymś poirytowany. Ale nie to było dziwne.

Skrzynki na pocztę zniknęły.

Ściana zamkniętego po sezonie sklepiku była pusta. Została tylko zwykła żółta skrzynka na listy, ale i ona wyglądała dziwnie.

Czyżby zlikwidowano doręczanie poczty?

Kiedy Simon podszedł bliżej, zrozumiał, że problem był zupełnie innego rodzaju. Już dziesięć metrów przed sklepikiem natknął się na pierwsze połamane kawałki, których z każdym krokiem przybywało. Plastik i drewno, kawałki plastikowych skrzynek, które ktoś nie dalej jak poprzedniego dnia powiesił na ścianie sklepiku. Żółta skrzynka na listy wychodzące wisiała krzywo i była pobijana.

Kiedy Holger go spostrzegł, od razu wykrzyknął:

- Oho, idzie sztokholmczyk. Nie sądzę, żeby okazał zrozumienie.

Simon stąpał po mozaice połamanego różnokolorowego plastiku.

- Co się stało? - spytał.

- Co się stało? - powtórzył Holger. - Zaraz ci powiem, co się stało. Kiedy w nocy wszyscy spokojnie spalismy, przyplłynęła łódką jakaś banda zero ósemek i rozbili nasze skrzynki, ot tak, z nudów.

- Jak to?

Holger sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył własnym uszom. On i jego kumple zwykle reagowali tak na wypowiedzi, które ich zdaniem kwestionowały

wysuwane przez nich tezy, dlatego odpowiedź zaczynał zawsze od powtórzenia pytania, żeby dodatkowo podkreślić głupotę pytającego.

- Jak to? Myślisz, że im potrzebny jest jakiś powód? Może zabrakło dla nich miejsca w porcie, a może byli niezadowoleni z liczby godzin słonecznych latem albo po prostu uznali, że to zabawne. Osobiście uznałbym to za najbardziej prawdopodobne. Dlatego jestem tak cholernie wkurzony.

Holger odwrócił się na pięcie i, kuśtykając, ruszył w stronę przystani, gdzie, jak zauważył Simon, stał już Mats, kupiec, i czekał na statek.

- Ale tak naprawdę to co... - zaczął Simon, zwracając się do Görana.

- Tak naprawdę to nie mamy pojęcia - odpowiedział mężczyzna.

Rozejrzał się dokoła i pokiwał głową.

- To mógł być ktokolwiek - dodał.

- Ktoś z wyspy?

- Nie bardzo mogę to sobie wyobrazić, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Nikt niczego nie słyszał?

Göran wskazał głową w stronę przystani.

- Mats coś słyszał. Ktoś odpalił silnik. Ale nie potrafi powiedzieć, czy był to silnik łodzi, czy może motorower. Wiatr niósł w przeciwną stronę.

- Musiał być niezły... hałas.

- Sam nie wiem - powiedział Göran.

Podniósł kilka kawałków zielonego i szarego plastiku i pokazał Simonowi.

- Spójrz. Co o tym sądzisz?

Kawałki, które Göran trzymał w ręku, łuski i romby, miały ostre kanty. Poza tym były duże. Żadnych drobnych odłamków.

- Nie wygląda na to, żeby skrzynki zostały rozbite.

- Właśnie, prawda? Raczej pocięte. Oстрыm nożem albo czymś podobnym. Spójrz jeszcze na to - powiedział Göran, wskazując żółtą skrzynkę na listy.

Była przekrzywiona i poobijana, ale złamania miały ostre kanty, miejscami prześwitywał goły metal. Zniszczenia nie były wynikiem uderzeń, tylko cięć. Ktoś musiał zadać skrzynce razy dużym nożem.

- Dlaczego ktoś w ogóle coś takiego robi? - spytał Simon, kręcąc głową.

Göran zawahał się chwilę, jakby zależało mu na właściwym sformułowaniu odpowiedzi.

- Moje doświadczenie w tym względzie - zaczął w końcu - mówi mi, że takie rzeczy robi się z nienawiści.

- A kogo on - to znaczy ten ktoś - nienawidzi?

- Nas.

Simon znów spojrzał na leżące na ziemi kawałki i na poobijaną blaszaną skrzynkę na listy. Złość. Skrzynki pocztowe reprezentowały mieszkańców

wyspy. Każda należała do jakiejś osoby. Osoby, która nosiła jakieś nazwisko.

Göran wzruszył ramionami.

- A może to wynik chęci niszczenia, kto to może wiedzieć? Czasem tak bywa. Ale nieczęsto. I co z tym teraz zrobimy?

Przemoc i odbiegające od normy postępowanie zwykle powoduje przerwanie łańcucha odpowiedzialności. Nikt nie jest winny, nikt nie ponosi odpowiedzialności. Wtedy podejrzenie zwykle pada na przypadkowych facetów, którzy akurat znaleźli się w pobliżu. Göran schylił się i zaczął zbierać kawałki, Simon poszedł po kosz na odpadki, stojący obok schodków prowadzących do sklepiku. Razem zaczęli zbierać porozrzucane na ziemi kawałki. Kiedy kosz był już pełny, Göran poszedł do portu po pojemnik na śmieci, a Simon usiadł na schodach i zaczął ocierać pot z czoła.

Tak cholernie niepotrzebne. Zadać sobie tyle trudu, tylko dlatego że kogoś się... nienawidzi.

Skrzywił się i przetarł oczy.

Ha. Jeśli ktoś nienawidzi dostatecznie mocno, to jest skłonny posunąć się daleko. Może powinniśmy być wdzięczni, że skończyło się tylko na tych skrzynkach.

- Simon?

Mężczyzna się wyprostował. Przed nim stał Anders i trzymał w ręku kopertę.

- Gdzie są skrzynki? - spytał, rozglądając się dokoła.

Simon wytłumaczył mu, co się wydarzyło, i powiedział, że musi dać list bezpośrednio Matsowi, który właśnie nadchodził od strony portu, trzymając w ręku duży niebieski wór pocztowy. Za nim szli Göran i Holger.

Göran znalazł gdzieś rolkę czarnych worków foliowych i zaczął wkładać kawałki plastiku do jednego z nich. Holger stał z rękami w tylnych kieszeniach i gapił się na Andersa.

- No proszę - powiedział. - Mamy gościa. Kiedy przyjechałeś?

- Wczoraj.

Holger stał dłuższą chwilę, kiwając głową. Szukał wzrokiem wsparcia najpierw u Matsa, potem u Görana, ale na próżno. Kiedy Göran spojrzał na niego poirytowany, nagle jakby przypomniał sobie całą historię.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - wydusił w końcu.

Przez chwilę zastanawiano się, co teraz zrobić z pocztą. Dzisiaj Mats będzie pewnie musiał poczekać, aż ludzie się zbiorą, żeby wytłumaczyć, co się stało. Potem każdy będzie musiał jak najszybciej postarać się o nową skrzynkę. Na razie może ją zastąpić czymkolwiek, w najgorszym razie nawet plastikowym wiadrzem z przykrywką. Wystarczy napisać na nim numer swojej skrzynki.

- A co mam zrobić z tym? - spytał Anders, machając ręką, w której trzymał kopertę. - Mam film do wywołania. Nie chcę, żeby zginął.

Mats wziął kopertę i obiecał dopilnować, żeby została nadana. Następnie rozdzielili pocztę zebranych wokół niego ludziom. Simon nie otrzymał żadnego listu, tylko gazetę „Norrtälje Tidning” i reklamówkę jakiegoś funduszu emerytalnego.

Kiedy Simon i Anders zaczęli się zbierać do odejścia, odezwał się Göran:

- Mam nadzieję, że nie zapomnisz?

- Nie zapomnę. Wpadnę do ciebie któregoś dnia - obiecał Simon.

Ruszyli drogą wzdłuż brzegu. Pomosty należące do letników były puste. Na weekend przyjedzie pewnie kilka osób, ale sezon już się skończył.

- O czym masz nie zapomnieć? - spytał Anders.

- Göran przeniósł się do swojego dawnego domu, kiedy przeszedł na emeryturę, ale nie ma tam studni. Poprosił, żebym zajrzał do niego i poszukał wody.

- Jak ty to robisz?

- Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć.

- Przestań - powiedział Anders, szturchając go w bok.

- To nie są czarodziejskie sztuczki. Naprawdę jestem tego ciekaw.

- Ależ tak, to też jest rodzaj sztuki magicznej. Wybierasz się do Anny-Grety?

Anders odpuścił. Simon słyszał z tego, że potrafił znaleźć wodę. Kiedy ktoś zamierzał kopać studnię, zwracał się do Simona, żeby wskazał odpowiednie miejsce. A on nigdy się nie mylił.

- Holger jest przekonany, że to moja sprawka - parsknął Anders.

- Wiesz, że jego żona utonęła w zeszłym roku?

- Sigrid? Nie, nie wiedziałem.

- Wypłynęła łodzią... i nie wróciła. Kilka dni później znaleźli łódź, ale nie Sigrid.

Sigrid. Jedna z niewielu osób, której Anders jako dziecko naprawdę się bał. Nigdy nie było wiadomo, co sprawi, że miarka się przebierze. To mogło być cokolwiek. Pogoda, odgłos jadącego roweru, czy szerszeń, który za bardzo zbliżył się do jej szklanki. Kiedy Anders sprzedawał jej śledzie, zawsze wybierał te najładniejsze i największe, i zawsze wolał nieco przeważać niż zważyć za mało.

- Utonęła?

- Niektórzy tak mówią ale... - powiedział, wzruszając ramionami Simon.

- Ale co?

- Są tacy, którzy uważają, że zrobił to Holger.

- Ty też?
- Nie, nie, za bardzo jej się bał.
- Więc teraz zostaje mu tylko nienawiść do mieszkańców Sztokholmu?
- Tak. I to tym większa.

Teza Holgera

Awersja do ludzi ze stolicy nie była niczym wyjątkowym nie tylko wśród mieszkańców Domarö, ale w ogóle w Szwecji. Istniała wszędzie, zresztą nie bez powodu. Historia Holgera jest reprezentatywna dla wydarzeń nie tylko na szkiełach wokół Sztokholmu, ale także na Domarö.

Holger, podobnie jak Anders i wielu innych mieszkańców wyspy, pochodził z rodu locmanów pilotujących statki. Dzięki kilku dobrze przemyślanym zakupom, małżeństwu z rozsądku i innym przedsięwzięciom rodzina Perssonów została właścicielem całej północno-wschodniej części wyspy, czyli ponad trzydziestu hektarów lasów, łąk i pól, ciągnących się wzdłuż linii brzegowej i w głąb łądu.

Takim to majątkiem przyszło zarządzać ojcu Holgera, kiedy na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku osiągnął wiek męski. Wtedy też powoli zaczęli napływać letnicy. Ojciec Holgera, podobnie jak inni, wyszykował kilka drewnianych domków na wynajem dla gości.

Nie wchodząc w szczegóły, należy jednak pamiętać, że spadek obarczony był też pewnymi długami, a ojciec Holgera miał skłonność do sięgania po butelkę, gdy coś nie układało się po jego myśli. Któregoś lata poznał maklera ze Sztokholmu. Nie szczędzono alkoholu, wypito brudersaft, makler wspomniał, że ojciec Holgera mógłby zostać członkiem loży masonskiej, tej najbardziej znanej, na czele której stał Carl von Schewen.

No i skończyło się tym, że ojciec Holgera sprzedał maklerowi cypel Kattunden. Około piętnastu hektarów ziemi bez lasu; właściwie skał, które nawet nie nadawały się na pastwisko. Dostał za nią nieco więcej, niż gdyby sprzedał ją któremuś z mieszkańców wyspy.

Ale makler nie zamierzał na niej ani sadzić lasu, ani też zamienić jej w pastwisko. W ciągu paru lat podzielił cypel na trzydzieści działek, które następnie sprzedał napalonemu letnikom. Cena pojedynczej działki wynosiła mniej więcej połowę tego, co dał za cały cypel.

Kiedy ojciec Holgera zrozumiał, że makler go oszukał, uznał, że jedynie butelka może przynieść mu pocieszenie. Holger miał wtedy siedem lat i, chcąc nie chcąc, widział, jak ojciec zapija się na śmierć z rozpacz, podczas gdy makler ze Sztokholmu wznosił letnie domki na ziemi, która od pokoleń należała do rodziny Holgera.

Pewnego dnia, kilka lat później, ojciec wziął śrutówkę, poszedł do lasu i nigdy już nie wrócił.

Podobne historie zdarzały się na wielu wyspach archipelagu, ta jednak dotyczyła rodu Perssonów i z pewnością była jedną z bardziej okrutnych. Transakcje takie jak ta wszędzie były źródłem goryczy, jednak najbardziej zgorzkniały był Holger.

Jego teza była w zasadzie bardzo prosta: źródłem wszelkiego zła byli ludzie ze Sztokholmu. Oczywiście nie wszyscy byli tak źli. Najwięcej na sumieniu mieli Evert Taube i Astrid Lindgren.

Holger mógł na okrągło opowiadać tym, którzy chcieli go słuchać, jak to szkiery kiedyś były miejscem, gdzie ludzie ciężko pracowali, ale gdzie toczyło się zwykle życie. Aż pojawił się Evert Taube ze swoimi romantycznymi balladami. Z walcem Rönnerdahla i Callego Schewena. Prawdziwy Calle von Schewen zaczął na stare lata unikać ludzi, właśnie z powodu ciekawskich sztokholmczyków, przybijających do jego pomostu albo śledzących go z łódek przez lornetkę; dopytujących się, czy skosił już siano, czy kiedy znów wybiera się na tańce z Różą Roslagen.

Wszystko to miało jedną przykrą konsekwencję. Przedstawiona przez barda romantyczna wizja szkierów sprawiła, że mieszkańcy Sztokholmu nagle dostrzegli archipelag. To tutaj dziewczęta wpinały kwiaty we włosy, to tutaj przygrywano do tańca na harmonii i oddawano się nieszkodliwemu pijaństwu. Kto tylko miał pieniądze, kupował tu letni domek. Działki szybko zniknęły i archipelag zaczął się wyludniać.

Ledwie minął największy szal i mieszkańcy uznali, że nareszcie będą mogli spokojnie odetchnąć, kiedy ukazała się książka Astrid Lindgren *My na wyspie Saltkråkan*. Teraz już nie tylko bogaci chcieli mieć tu swoje letniska. Pośrednicy nieruchomości kupowali każdy skrawek ziemi, który nadawał się do zabudowy, i stawiali drewniane domki, które następnie sprzedawali albo wynajmowali letnikom na tygodnie czy miesiące. Wszyscy chcieli spędzać lato na szkiekach, nauczyć się wiązać sieci i znaleźć własną fokę.

Młodzież na szkiekach zaczęła nawiązywać kontakty z letnikami i zatęskniła do miejskich rozrywek, do kin. Domy i gospodarstwa zostawały bez spadkobierców, a wtedy natychmiast zjawiali się pośrednicy i kupowali wszystko, aż archipelag zaczął przypominać szkielet, który ożywał na parę letnich miesięcy, a potem znów zaszywał się w swoim cichym grobie.

To była główna treść tezy Holgera. Swój wywód kończył, zwykle dość niewybrednie fantazjując, co zrobiłby z Evertem i Astrid, gdyby nadal żyli. Były to naprawdę straszne rzeczy obejmujące zarówno podtopienia, jak i polanie benzyną. Holger nie tolerował żadnego sprzeciwu.

Archipelag został zagłaskany na śmierć. Tak uważał.

Anna-Greta

Ściana poźółkłego bzu zasłaniała widok na dom Anny-Grety. Jedyne, co wystawało zza żywopłotu, to pokryta patyną miedziana blacha na dachu wieży. Kiedy Anders był mały, wierzył, że jest to prawdziwa wieża, jak w zamku rycerskim, i strasznie się denerwował, że nie może do niej trafić i nikt nie chce mu wskazać drogi.

Dopiero później zrozumiał, że spiczasty dach wieży był jedynie dekoracją, a okienko na ścianie szczytowej domu było namalowane. Smagana wiatrem drewniana ściana kryła w sobie uśpione wspomnienia minionych stu pięćdziesięciu lat. Wrażenie chatki na kurzej nóżce byłoby całkowite, gdyby nie widok kobiety, która właśnie otworzyła drzwi od domku i po chwili puściła się niemal biegiem ogrodową alejką.

Anna-Greta miała na sobie dzinsy i kraciastą koszulę, na nogach kalosze. Długie białe włosy były zebrane w warkocz, który uderzał o jej plecy, kiedy biegła na spotkanie Andersa. Wzięła go w ramiona.

- Dziecko! - zawołała, obejmując go. - No proszę! - dodała i potrząsnęła nim.

Objęła go tak mocno, że Anders bał się przez moment, że zaraz go podniesie, jak to zawsze robiła, kiedy był chłopcem. Bał się odwzajemnić jej mocny uścisk, w końcu miała już osiemdziesiąt dwa lata, więc tylko pogłaskał ją po plecach i powiedział:

- Witaj, babciu!

Anna-Greta puściła go nagle i zaczęła przyglądać się jego twarzy. Dopiero po dobrych pięciu sekundach zauważyła Simona. Przekrzywiła głowę. Simon schylił się i pocałował ją w policzek. Anna-Greta pokiwała głową, jakby potwierdzając, że zachował się właściwie, i chwyciła Andersa za rękę.

- Chodź. Kawa czeka.

Pociągnęła wnuka w stronę domu, Simon poczłapał za nimi. Nie żeby jego chód nagle się zmienił, ale przy Annie-Grecie wszyscy, niezależnie od wieku, zdawali się człapać.

Można było odnieść wrażenie, że ona żyje jedynie świeżym, nasyconym solą powietrzem, i kiedy nadejdzie jej dzień, żeby opuścić ten świat, to właśnie to zrobi: opuści go. Zrobi krok i przestanie istnieć. Rozpłynie się w północno-zachodnim wietrze, który zahaczy jeszcze o latarnię na północnym cyplu i ucieknie na morze.

W salonie było już nakryte: kanapki z anchois i z jajkiem, kruche ciasteczka i drożdżówki z cynamonem. Głód, do którego nie chciał się przyznać, dał teraz o sobie znać. Simon odezwał się niby urażony:

- Proszę, proszę, podano w salonie. Kiedy mnie się zaprasza, to jemy w kuchni.

Anna-Greta zatrzymała się i uniosła brwi.

- Czyżbyś narzekał? - spytała.

- Nie, nie - zaprzeczył Simon. - Chcę jedynie zaznaczyć, że najwyraźniej nie każdego traktuje tu się tak samo.

- Gdyby nie było cię blisko trzy lata, też nakryłabym dla ciebie w salonie.

- Będę musiał to sprawdzić - posiedział, drapiąc się w brodę.

- Jeśli wyjedziesz, utopię się. Pamiętaj. A teraz siadajcie.

Ojciec Andersa powiedział kiedyś, że Simon i Anna-Greta zachowują się jak para starych komików. Mieli swoje obyczaje, które przez lata opanowali do perfekcji, tak że teraz mogli swobodnie improwizować. Główny wątek zawsze był rozpoznawalny, chociaż słowa za każdym razem były nowe.

Anna-Greta przyglądała się, jak Anders łączywie połyka dwie kanapki. Podsunęła mu półmisek.

- U siebie pewnie nie masz nic do jedzenia?

Anders zatrzymał się z ręką wyciągniętą w stronę półmiska.

- Przepraszam, ja...

Babcia parsknęła śmiechem.

- Głuptasie. Nie o to mi chodzi. Jedz, jedz. Będziemy musieli to jakoś załatwić.

- Drewno - powiedział nagle Simon. - Jak stoisz z drewnem?

Kwestia drewna została przedyskutowana. Postanowiono też, że Anders dostanie torbę zjedzeniem, a jutro on i Simon pojadą na zakupy, poza tym trzeba było jak najszybciej zwodować łódkę Andersa. Drewna natomiast było pod dostatkiem.

Anders przeprosił i wyszedł na werandę. Usiadł na stołku, zapalił papierosa i zaczął się przyglądać śliwie uginającej się pod ciężarem przejrziałych owoców. Pomyślał o Holgerze i o żonie Holgera, o morzu, które regularnie domagało się swojej daniny, o kotwicy na cmentarzu w Nåtén, o Mai.

A jednak dziwne, że... że nie... że nikt...

Kiedy wrócił, ze stołu zebrano już naczynia i postawiono dzbanek z kawą. Simon i Anna-Greta siedzieli przy stole nachyleni ku sobie, tak że ich głowy niemal się stykały. Anders stanął i patrzył na nich.

Tak wygląda miłość. Że też to naprawdę się zdarza. Że dwoje ludzi się odnajduje, a potem wspólnie dbają o to, żeby nie zniknęło to coś nieuchwytnego, niemającego jeszcze kształtu, co między nimi powstało. Żeby miłość przybrała postać, która teraz będzie dyktować życiu warunki.

Jak to właściwie się dzieje?

Usiadł na krześle przygaszony. Simon i Anna-Greta odsunęli się od siebie.

- Dobrze zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, prawda? - zagadnęła Anna-Greta.

Anders przytaknął. Babcia nigdy bezpośrednio nie wypominała mu palenia, ale nie szczędziła mu uwag.

- Myślałem o czymś - zaczął Anders. - Chodzi o Holgera. O to, że sądził, że ja to zrobiłem.

- Według niego to, że brakuje dorszy, to też jest wina tych ze Sztokholmu - stwierdziła Anna-Greta, ściągając usta.

- Tak, ale nie o tym myślałem. Nie o tym, tylko o... o Mai.

Simon i Anna-Greta patrzyli na niego niewzruszeni. Nastrój stał się ciężki, Anders jednak ciągnął dalej.

- To dziwne, że... Kiedy teraz o tym myślę, dziwię się, że nikt nigdy nie podejrzewał ani mnie, ani Cecilii. To byłoby zrozumiałe, prawda? Rodzice, dziecko. Dziecko znika bez śladu. To oczywiste, że rodzice są winni.

Simon i Anna-Greta wymienili spojrzenia. Babcia wyciągnęła rękę nad stołem i przeciągnęła palcami po knykciach Andersa.

- Nie wolno ci myśleć w ten sposób.

- Nie o to mi chodzi. Ja wiem i wy wiecie, jak to było. Ona zniknęła. Choć nadal nie rozumiem, jak to było możliwe. Ale dlaczego...

Anders uniósł ręce, jakby chciał złapać piłkę, której nie było; złapać coś, co było dla niego nieosiągalne. Znów wszystko stanęło mu przed oczami. Twarze, ton głosu, pytania i kondolencje. I nigdzie... nigdzie...

- Dlaczego, dlaczego nikt, nawet jeden człowiek, nie podejrzewał mnie? Dlaczego wszyscy uznali to za coś... naturalnego?

Simon wsparł głowę o dłonie i zmarszczył brwi. Nawet on zdawał się dostrzegać w tym coś dziwnego. Anna-Greta patrzyła na Andersa wzrokiem, który był trudny do odczytania.

- Ludzie szanują żalobę innych.

- A Holger? - spytał Anders. - Simon mówił, że kiedy jego żona się utopiła, natychmiast znaleźli się tacy, którzy zaczęli go podejrzewać. Mimo że to przecież było jak najbardziej naturalne. Ludzie się topią. To się zdarza. Ale Maja... To znaczy policja oczywiście mnie przesłuchała. Ale tutaj nikt o nic nie pytał. Nikt.

Simon dopił kawę i ostrożnie odstawił filiżankę, jakby nie chcąc mącić ciszy. Chmura liści klonu, gnana lekkim powiewem wiatru, mignęła za oknem.

- To rzeczywiście dziwne - zgodził się Simon. - Teraz, kiedy to mówisz.

Anna-Greta podała dzbanek Andersowi i zmusiła go, żeby dolał sobie kawy.

- To zależy, o kogo chodzi - zaczęła. - Tutaj wszyscy znają cię od małego. Wiedzą, że nie byłbyś zdolny zrobić coś takiego. W przeciwieństwie do Holgera.

Anders nalał sobie pół filiżanki. Nie był przekonany. Nadal trudno było mu to zrozumieć, ale powiedział tylko:

- Być może.

Zaczął rozmawiać o innych sprawach. O ewentualnej naprawie domu, o tym, co należy zrobić, jeśli silnik łodzi Andersa nie będzie chciał zapalić, o miejscowych plotkach. Anders nie miał ochoty wracać do domu. Nikt tam na niego nie czekał. Tylko zimna pustka.

Kiedy w rozmowie nastąpiła przerwa, odchylił się na krześle, splótł ręce na brzuchu i spojrzał na Simona i Annę-Gretę.

- Jak to właściwie było? Jak się poznaliście?

Pytanie sprowokowało ich do śmiechu. Popatrzyli na siebie, Simon pokręcił głową.

- To długa historia.

- Nie macie czasu? - spytał Anders.

Żadne z nich nie miało gotowej wymówki.

- Więc może mi ją opowiecie?

Babcia wyjrzała przez okno. Zrywał się wiatr. Niebo było zaciągnięte, a na szarej powierzchni fiordu widać było fale. Kilka kropel deszczu trafiło w szybę.

- Jak dużo wiesz o swoim dziadku? - spytała, przeciągając ręką po czole.

Miłość na szkiecach

*Wspinamy się, wspinamy się, wspinamy się
na szczyt, na szczyt, na szczyt rodzącej się miłości
Chodź, chodź, chodź ze mną
i nie wiń nikogo, jeśli, jeśli, jeśli...*

Ulla Billqvist *Wspinamy się, wspinamy się, wspinamy się*

Opowieść o opowieści

Na Domarö znajdują się dwie bardzo szczególne butelki alkoholu. Jedna została ukryta w starej portowej szopie Nathana Lindgrena i pewnie będzie tam stała, aż jego krewniacy ruszą tyłki i zainteresują się swoim spadkiem. Druga jest w posiadaniu Everta Karlssona.

*Evert zbliża się do dziewięćdziesiątki, a butelkę przechowuje już od do-
brych sześćdziesięciu lat. Nikt nie wie, jak taka tania gorzałka może smako-
wać, i zapewne nikt się tego nie dowie, dopóki Evert żyje. Nie zamierza on
bowiem otwierać butelki, bo butelka i jej zawartość stanowią zbyt smakowitą
historię.*

*Dlatego właśnie Evert ją zatrzymał: wyłącznie po to, by, gdy zjawiają się
goście, którzy jeszcze jej nie słyszeli, móc wyjąć ją z kredensu i powiedzieć:
Słyszeliście o tym, jak Anna-Greta szmuglowała spirytus na łodzi celników?
No więc to było tak...*

*I, gładząc palcami flaszkę, zaczyna opowiadać. To najlepsza historia, jaką
zna, i do tego całkowicie prawdziwa. Kiedy kończy, puszcza w obieg butelkę,
nakazując surowo, żeby ostrożnie się z nią obchodzić i broń Boże jej nie upuścić.*

*Ludzie przyglądają się przezroczystemu płynowi i nie widzą niczego, co by
wskazało, że butelka trafiła na ląd w jakiś nadzwyczajny sposób. Jednak to
właśnie ta butelka była w partii, która uczyniła Annę-Gretę sławną na cały
archipelag. Jest to, jak mawia Evert, oryginał.*

*Potem znów chowa butelkę do kredensu, gdzie stoi i czeka na kolejną oka-
zję, kiedy to znów zostanie wyjęta, a cała historia zostanie opowiedziana od
początku.*

Córka króla przemytników

Nic nie było tak, jak Anna-Greta sobie wyobrażała. Wyglądało na to, że Erik zużył całą swoją energię na wykończenie domu i na ślub. Kiedy już było po wszystkim, nie miał siły wyznaczyć sobie nowego celu.

Latem wszystko jeszcze jakoś się toczyło, płomień pierwotnej miłości nadal jeszcze płonął, ale gdy zbliżała się jesień, Anna-Greta zaczęła zadawać sobie pytanie, czy Erik naprawdę kiedykolwiek był w niej zakochany. Może to tylko był jego kolejny cel, tak jak dom. Zbudować dom, sprowadzić do niego żonę. I koniec.

We wrześniu Hitler wkroczył do Polski, na morzu panował ożywiony ruch. Linia brzegowa miała zostać wzmocniona; wojskowe niszczyciele i transportowce kursowały między Nåtén a wyspami wokół Wielkiego Krzyża, najdalej wysuniętego punktu na Morzu Ålandzkim. Miały tu zostać zlokalizowane dwie baterie armatnie i szereg umocnień. Wielu młodych mężczyzn z Domarö dostało pracę przy kopaniu rowów, stawianiu murów i płotów. Rosjanie zaostrzyli ton wobec Finlandii, ogólnie panowała duża niepewność.

Erik zużył wszystkie swoje oszczędności na budowę domu i nowożeńcy utrzymywali się z drobnych usług krawieckich, oferowanych przez Annę-Gretę, z dorywczych prac Erika w tartaku w Nåtén i z tego, co dokładali im rodzice. Erik zgrzytał zębami, biorąc pieniądze od ojca, jeśli zaś chodzi o ojca Anny-Grety, to cóż... Erik powiedział to wprost pewnego wieczoru, kiedy jego żona wróciła do domu z kilkoma dodatkowymi banknotami:

- To są pieniądze pochodzące z działalności kryminalnej.

Anna-Greta nie pozostała mu dłużna.

- Lepsza taka niż żadna.

Im bliżej jesieni, tym większy był między nimi chłód, więc kiedy Björn, dawny kolega Erika z klasy, dołączył do grupy wznoszącej umocnienia na najbardziej oddalonych wyspach archipelagu, Erik podążył za nim. Przez pierwsze dwa tygodnie października Anna-Greta nie miała od niego żadnej wiadomości.

Szła na wybrzeże, kiedy tylko do portu wpływała jakaś łódź, widziała rezerwistów, idących najpierw do sklepiku, a potem ruszających do swoich prac w różnych miejscach nabrzeża. Nikt jednak nie miał żadnych wieści o tych, którzy pracowali na najdalej wysuniętych szkiecach. Wysłuchiwała natomiast niekończących się opowieści o podłym jedzeniu, marnym ubraniu i dojmującej nudzie w barakach, gdzie młodzi mężczyźni po pracy spędzali swój czas.

Po dwóch tygodniach Erik wrócił do domu, ale zmienił ubranie i zostawił trochę pieniędzy i znów wyjechał. Anna-Greta nie zdążyła mu nawet powiedzieć,

że jest w ciąży, nie złożyło się. Ale była w ciąży. W dwunastym, może czternastym tygodniu, tak twierdziła położna.

Stała z rękami splecionymi na brzuchu i patrzyła, jak Erik wskakuje do łodzi Björna. Pomachała mu ręką, a on odpowiedział jej uniesioną dłonią. Był w męskim towarzystwie i nie mógł się rozczulać. Wtedy to właśnie widziała go po raz ostatni.

Dziesięć dni później przyszedł list. Erik zginął, pracując dla ojczyzny. Dzień później przywieziono jego ciało. Annie-Grecie doradzono nie patrzeć na nie. Na budowie obluźował się kamienny blok i, spadając, trafił w głowę Erika, który właśnie tynkował ścianę od wewnętrznej strony.

- Mówiąc ogólnie, nie jest w najlepszym stanie - stwierdził porucznik, który eskortował ciało.

Pogrzeb odbył się w Nåtén, padło wiele słów współczucia, nie do końca spreycyzowanych obietnic o pomocy i wsparciu, natomiast nie było mowy o wojskowej rencie dla wdowy, ponieważ formalnie Erik nie służył w wojsku.

Anna-Greta miała dziewiętnaście lat, była w czwartym miesiącu ciąży i była wdową. Mieszkała w domu, po którym hulały przeciągi, w miejscu, które było jej obce, nie miała żadnego wykształcenia ani specjalnych umiejętności. Nie można się więc dziwić, że zbliżająca się zima zapowiadała się ciężko i ponuro.

Torgny i Maja polubili ją i traktowali jak własną córkę. Pomagali jej najlepiej, jak potrafili. Również jej ojciec starał się, jak mógł, ale ona nie chciała żyć z jałmużny. Chciała sama zarabiać na siebie i na swoje dziecko.

Na domiar wszystkiego zima okazała się wyjątkowo mroźna. Wojskowe wozy jeździły po lodzie, aż mróz zrobił się tak potężny, że silniki zamarzły i musiano zaprzęgać konie. Żołnierze, którzy dostawali przepustki, szli do domu piechotą po lodzie.

Pewnego sobotniego przedpołudnia Anna-Greta siedziała w kuchni, obserwując przez okno, jak kolejna grupa zmarzniętych rezerwistów maszeruje przez lód na ląd, i nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Skoro był popyt, to ona go zaspokoi.

Maja miała na strychu w stodole kilka worków wełnianej przędzy. Nie była jej do niczego potrzebna, więc z chęcią zgodziła się, żeby Anna-Greta ją wzięła. Dziewczyna zaniosiła wełnę do domu i złożyła w kuchni, bo było to jedyne pomieszczenie, którego używała; musiała przecież oszczędzać drewno. I zabrała się do pracy. W ciągu tygodnia zrobiła na drutach osiem par rękawic ze zmierzwionej wełny, najcieplejszych, jakie można było sobie wyobrazić.

W sobotę przed południem stanęła na przystani w Nåtén, czekając, aż zjawią się rezerwiści. Rano termometr wskazywał minus dwadzieścia dwa stopnie,

mróz wisiał nad okolicą jak zastygły w powietrzu krzyk. Anna-Greta podskakiwała, czekając na milczącą gromadkę, zbliżającą się od strony fiordu.

Kiedy mężczyźni weszli na ląd, mieli purpurowe z zimna twarze i ciała niemal skręcone w węzeł. Spytała, czy zmarzły im ręce. Tylko jeden wybąkał coś w odpowiedzi, pozostali, milcząc, skinęli głowami.

Pokazała im swoje rzeczy.

Wśród żołnierzy rozległ się szmer. Rękawice rzeczywiście wyglądały na znacznie cieplejsze niż szmaty, które dało im wojsko, ale trzy korony za parę? Żołnierze szli do miasta, potrzebowali pieniędzy na zabawę. Zaraz zresztą wsiądą do ciepłego autobusu i odtają, wspomnienie zimna pójdzie w niepamięć. Liczyła się przede wszystkim przyjemność.

Lody zostały przełamane, gdy porucznik, który kilka miesięcy temu przyjechał do niej z ciałem Erika, wyciągnął portmonetkę i położył na jej dłoni trzy jednokoronówki. Wziął rękawice i włożył je.

- Niewiarygodne - powiedział po chwili. - One grzeją jakby od wewnątrz.

Następnie zwrócił się do swoich ludzi.

- Jesteście na przepustce, więc nie będę wydawał wam rozkazów. Jednak radzę wam je kupić. Będziecie mi jeszcze dziękować.

Nie miało znaczenia, czy chłopcy przywykli go słuchać, czy może rzeczywiście ich przekonał, ale Anna-Greta sprzedała wszystkie rękawice. Kiedy po chwili mężczyźni ruszyli w kierunku przystanku autobusowego, zdawali się zadowoleni mimo początkowych wątpliwości.

Porucznik został chwilę dłużej. Zdjął prawą rękawicę i wyciągnął do niej dłoń. Jakby widzieli się po raz pierwszy. Anna-Greta uściśniła jego rękę.

- Mam na imię Folke.

- Anna-Greta. Nic się nie zmieniło.

Folke stał, zerkając na jej pusty koszyk, i szczypał czubek nosa.

- A nie myślałaś o skarpetach? Może nawet i o swetrach?

- A tego też brakuje?

- Brakuje i jak brakuje. Niby wszystko mamy, ale nie są to rzeczy robione z myślą o takich zimach jak ta, że tak to ujmę.

- Dziękuję za radę.

Folke wciągnął rękawice i zsalutował. Zrobił kilka kroków w stronę przystanku, odwrócił się i powiedział:

- Jeśli chodzi o mnie, to za trzy tygodnie znów mam przepustkę. Gdy był do kupienia jakiś sweter, to reflektuję.

Kiedy Anna-Greta wróciła do domu, wysypała monety na stół i zaczęła je liczyć. W sumie uzbierało się dwadzieścia cztery korony. Zarobiła je własną

pracą, realizując własny pomysł. Postanowiła podzielić się z teściową, ale ta nie chciała o tym słyszeć. zaproponowała natomiast, że chętnie jej pomoże, jeśli się okaże, że jest zapotrzebowanie na ciepłe rzeczy.

A zapotrzebowanie było. Już w następną sobotę rozeszła się wieść, że Anna-Greta sprzedaje rękawice i chętnych do kupna było więcej niż rękawic. Wkrótce Maja zajęła się dzierganiem rękawic, a Anna-Greta skupiła się na skarpetach. No i na zamówionym swetrze, oczywiście.

To wystarczyło, żeby uważny obserwator zaczął wietrzyć miłość.

Bo to była miłość, przynajmniej jeśli chodzi o Folkego. Kupił sweter i teraz zapragnął skarpetek. W paski. Anna-Greta musiała więc zrobić na drutach parę specjalnie dla niego. Potem okazało się, że potrzebuje też czapki.

Oczywiście rozumiała, co się dzieje. Folke był miły i godny zaufania, próbowała wykrzesać w sobie choć odrobinę miłości, ale nie była w stanie. Nie mogła nic poradzić. Udawała, jak potrafiła najlepiej, usiłując jednocześnie unikać jego ostrożnych zalotów.

Nadeszła wiosna. Brzuch robił się coraz większy. Zapotrzebowanie na wélnianą odzież skończyło się i Anna-Greta musiała się rozejrzeć za nowym zajęciem. Pewnego kwietniowego dnia, miesiąc przed spodziewanym rozwiązaniem, do przystani przyplłynął ojciec łodzią, której dotąd nie widziała.

Dotknął jej brzucha, spytał, jak się czuje, a potem wyłożył swoją sprawę. Poznał rosyjskiego kapitana i wyglądało na to, że mogliby zrobić niezły interes, gdyby tylko mógł wypłynąć na skraj trzymilowej granicy i przejąć towar.

- Ale jak pewnie wiesz, nie jestem tam mile widziany.

Tak, to Anna-Greta wiedziała. Jeśli któryś z celników spostrzeżby łódź ojca na wodzie, nie przepuściłby mu.

- Pomyślałem, że gdybyś ty popłynęła, ryzyko kontroli byłoby znacznie mniejsze. Bo samej łodzi nikt nie rozpozna.

Przez chwilę Anna-Greta ważyła wszystkie za i przeciw. Nie tyle się bała, że zostanie złapana, co niepokoila się moralną stroną przedsięwzięcia, bo była to przecież działalność przestępcza. Z drugiej strony i tak już wiele osób patrzyło na nią krzywo, właśnie z powodu ojca. Może więc powinna spełnić ich oczekiwania?

- Ile za to dostanę? - spytała.

Ojciec spojrział na jej duży brzuch i zrobił wspaniałomyślny gest ręką.

- Powiedzmy, że podzielimy się po połowie. Ale tylko dlatego, że jesteś moją córką.

- Czyli ile?

- Dwa tysiące, mniej więcej.

- Więc dobrze.

Wszystko przebiegło gładko. Mimo że dla przemytników alkoholu najlepsze czasy już się skończyły, to nadal obowiązywała reglamentacja, i zawsze znalazły się gardła chętne przelknąć tysiąc litrów rosyjskiej wódki.

Wszystko odbyło się jak zwykle. Bańki doczepiono do łodzi liną. Jeśli pojawiliby się celnicy, łatwo można było ją odciąć i towar poszedłby na dno razem z niewielką boją i utrzymującą ją pod wodą torbą soli. Po kilku dniach, gdy sól się rozpuści, bo ja wypłynie na powierzchnię i można będzie płynąć po towar.

Siedząc na rufie z wiosłem w ręku, Anna-Greta pomachała na pożegnanie rosyjskiemu kapitanowi. Skierowała wzrok na dziób, gdzie siedział jej ojciec, burcząc coś pod nosem, po czym podniosła oczy ku niebu. Dziecko kopało i nagle poczuła zawrót głowy. Jakby się czegoś bała, kiedy jednak się zastanowiła, zrozumiała, że nie był to strach, tylko poczucie wolności.

Powiodła wzrokiem po szkierach, na których czuwało wojsko i gdzie ludzie krzatali się wokół swoich domostw, pilnując swoich spraw. Ścisnęła mocniej wiosło i uniosła twarz ku morskiej bryzie.

Jestem wolna. Mogę robić, co tylko zechcę.

Dziecko urodziło się w połowie kwietnia, był to dorodny chłopiec, który dostał na imię Johan. Latem Anna-Greta zainwestowała tysiąc koron z zarobionych przez siebie pieniędzy i kupiła łódź. Przyszedł jej bowiem do głowy pewien pomysł.

W radiu Ulla Billqvist śpiewała:

*Na baczność stajemy
przed chłopcami naszymi,
którzy czuwają na szkierach i w lasach.*

Prawda była taka, że „nasi chłopcy” nudzili się jak mopsy na szkierach i w lasach. Rosjanie w ogóle nie zbliżali się do granicy morskiej i obrońcy ojczyzny siedzieli w barakach, grali w karty albo gapili się na mewy, strasznie się nudząc.

Anna-Greta rozmawiała z ludźmi, i wiedziała, jakie mają potrzeby. Zimą marzli, latem brakowało im rozrywki. Przystąpiła do działania.

Różnymi sposobami, niekiedy bardziej, niekiedy mniej legalnymi, zgromadziła zapas rzeczy, które mogły złagodzić samotność i rozproszyć nudę. Słodycze, tabakę, tygodniki i trzymające w napięciu kryminały. A także gry i układanki w różnych wersjach. Alkoholu nie odważyła się oferować, ale oczywiście zadbała, żeby nasi chłopcy wiedzieli, do kogo mają się zwrócić, gdyby podczas przepustki przyszła im ochota na coś mocniejszego.

Zebrawszy to wszystko, płynęła łódką w wyznaczone dni na poszczególne wyspy, gdzie wystawiała towar na sprzedaż. Interes szedł dobrze. Anna-Greta

nie była kokietką, zdawała sobie jednak sprawę z wrażenia, jakie robi na mężczyznach. Niektórzy kupowali jedynie ze względu na nią, przychodzili, żeby choć przez chwilę pobyc w jej towarzystwie, trochę porozmawiać i może, przez przypadek oczywiście, dotknąć jej dłoni.

Wiedziała o tym i wykorzystywała to. Nie pozwalała jednak na żadne zaloty, nawet zanim naprawdę się zaczęły. Miała swojego mężczyznę, który miał na imię Johan. Podczas jej handlowych podróży dziecko przebywało u dziadków ze strony ojca. Rozwiązanie to wszystkim bardzo odpowiadało.

Zimą powróciła do dziergania rękawic, skarpet i czapek, a następnego lata znów popłynęła na wyspy.

No, ale jak to było z tym alkoholem?

Ta historia wydarzyła się już po wojnie i miała związek z młodym wojskowym. Bo Folke się nie poddawał. Podczas wypraw Anny-Grety na wyspy zdarzało się, że ich drogi się krzyżowały. Wiedziała, że awansował do stopnia kapitana; zawsze wymieniali parę zdań, nigdy jednak nie dawała mu nadziei na cokolwiek więcej.

Po wojnie Folke odszedł z wojska i zaczął pracować jako celnik. Po roku był już kapitanem na jednej z łodzi straży przybrzeżnej.

Pewnie chcąc zrobić na niej wrażenie, przybił pewnego dnia łodzią do jej pomostu, wyszedł na ląd i pomaszerował do niej w mundurze celnika z naramiennikami, w czapce i w ogóle. Spytał, czy miałaby ochotę wybrać się z nim w krótki rejs, miał bowiem przeprowadzić kontrolę.

Akurat tego dnia z wizytą u Anny-Grety był jej ojciec. On i Folke wdali się w rozmowę, wymieniono grzeczności, w słowach ojca dało się wyczuć nutkę goryczy, ale ponieważ w tym czasie zaprzestał już swojej działalności, nie żywił więc urazy. Nawet zgodził się zaopiekować małym Johanem, jeśli Anna-Greta rzeczywiście chciała popłynąć na przejażdżkę z wrogiem.

Weszli na pokład łodzi patrolowej i popłynęli do granicy. Folke, podobnie jak wielu mężczyzn, żył w błędnym przekonaniu, że duża prędkość jest w stanie sprawić, że serce kobiety zacznie szybciej bić, więc stojąc na mostku, wyciskał, co się da ze swojej łodzi, udając jednocześnie obojętność. Anna-Greta uznała przejażdżkę za przyjemną, ale nic poza tym.

Łódź patrolowa dopłynęła do cumującego przy granicy kutra. Wymieniono zwyczajowe formułki i celnicy weszli na pokład. Kuter wydał się Annie-Grecie dziwnie znajomy. Dlaczego, zrozumiała, gdy na pokładzie pojawił się kapitan. Ten sam rosyjski szyper, który kilka lat temu sprzedawał spirytus jej i jej ojcu. On też ją rozpoznał, ale oczywiście w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

Anna-Greta miała ze sobą trochę pieniędzy i kiedy Folke i jego ludzie zeszli pod pokład, szepnęła do kapitana:

- Cztery bańki.

Kapitan spojrział na nią, a w jego oczach był zachwyt wymieszany z przerażeniem.

- Gdzie? - spytał.

Anna-Greta wskazała palcem. Z tyłu łodzi zwisiała niewielka łódź ratunkowa, przykryta plandeką.

- Tam. Pod plandeką - powiedziała.

Kapitan przyjął pieniądze i wydał rozkaz swoim ludziom. Następnie zszedł pod pokład dotrzymać towarzystwa Folkemu; reszta załogi zajęła się przeładunkiem. W ładowni znaleziono to, co spodziewano się znaleźć, ale nic nie można było zrobić, skoro kuter był na wodach międzynarodowych. Chodziło raczej o zorientowanie się w ilości alkoholu i generalnie o wykazanie czujności.

Anna-Greta nigdy nie widziała rosyjskiego kapitana uśmiechniętego, ale kiedy machał jej na pożegnanie, naprawdę się śmiał. Od ucha do ucha.

- Miły człowiek, mimo wszystko - skwitował Folke.

- Tak - potwierdziła Anna-Greta, a kiedy łódź dobiła do pomostu, zaprosiła wszystkich na kawę i coś słodkiego w podziękowaniu za miłą przejażdżkę. Zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem i mężczyźni całą gromadką ruszyli w stronę domu.

Gdy celnicy zajęli się zabawianiem Johana, Anna-Greta odciągnęła na bok ojca i poinformowała go, że w łodzi ratunkowej jest trochę towaru, który dobrze byłoby przenieść na ląd i na razie ukryć w szopie. Ojcu opadła szczeka, a w oku pojawił się błysk. Nic nie powiedział, pokiwał tylko głową i wyszedł.

Potem okazało się, że Anna-Greta ma kłopoty z rozsychającą się starą drewnią, tak więc kiedy ojciec zniknął za rogiem domu, zaprowadziła Folkego i pozostałych mężczyzn do drewni i z uwagą wysłuchiwała rozważań, czy wystarczy jedynie wzmocnić konstrukcję, czy też może należy postawić nową drewnię.

Po dziesięciu minutach ojciec wrócił, gospodyni podziękowała za dobre rady i zaprosiła na obiecaną filiżankę kawy.

Gdy łódź patrolowa odbijała od pomostu, Anna-Greta z małym Johanem i z ojcem stali na brzegu, energicznie machając załodze na pożegnanie.

- Niech mnie diabli, w życiu bym nie przypuszczał - powiedział ojciec, kiedy celnicy w końcu odpłynęli.

- Tylko nikomu ani słowa.

- Ani mru-mru.

Nie minął miesiąc, aż już wszyscy na okolicznych wyspach znali historię o tym, jak Anna-Greta przemycała alkohol na łodzi celników. Ojciec przez jakiś

czas milczał, ale w końcu pękł: był zbyt dumny ze swojej córki, a historia była przednia, poza tym też maczał w tym palce.

W końcu musiało dotrzeć do uszu Folkego, o czym ludzie gadają, bo już nigdy nie pokazał się w okolicy. Anna-Greta nakrzyzczała na ojca, że się wygadał i tym samym zepsuł młodemu kapitanowi opinię, ale stało się i trudno. Nie miała w zwyczaju niczego żałować.

Alkohol został rozlany do butelek i jedna z nich trafiła do kredensu Everta Karlssona, gdzie stoi do dzisiaj.

Czarodziej

Życie Simona w latach pięćdziesiątych mogło być łatwe i przyjemne. Miał trzydzieści lat, a więc był w wieku, kiedy zaczyna się zbierać plony tego, co wcześniej się zasiało. I Simon rzeczywiście je zbierał. Sukces gonił sukces.

On i jego żona Marita występujący jako El Simon & Simonita należeli do najpopularniejszych artystów w kraju. Latem często występowali w parkach, na scenach na wolnym powietrzu. Niekiedy musieli nawet odmawiać ze względu na wcześniejsze zobowiązania.

Właśnie tej wiosny Simon dowiedział się, że jesienią mogą się spodziewać propozycji angażu do słynnego Chinavarieté. Dwutygodniowe występy zaplanowano na październik. Potem będą pewnie mogli żądać wyższych stawek. Taka propozycja była bowiem dla artysty jak nadanie szlachectwa.

Ich program właściwie nie wyróżniał się niczym szczególnym, obejmował tradycyjne czytanie myśli, kilka karcianych sztuczek i trików z serwetkami. Mie-li skrzynię z podwójnym dnem i numer z przeciętą kobietą, z tym że Marita zwykle bywała przecinana nie na dwa, a na trzy kawałki, poza tym naprawdę nic nadzwyczajnego.

Natomiast rzeczywiście wyróżniali się elegancją. Simon był oszczędny i w gestach, i w mowie, natomiast lekki, niemal taneczny sposób poruszania się Marity przyciągał wzrok widzów niczym magnes. On był przystojny i elegancki, a ona... Ona wyglądała naprawdę wystrzałowo.

Kiedy dziennikarze tygodnika „Se och Hör” przeprowadzali wywiad u nich w domu, fotograf w nieskończoność fotografował Maritę w najróżniejszych pozach: obok fotela, przy adapterze i z pokrywką w rękę, mieszającą coś w garnku z błogą miną.

Wszystko powinno więc być w jak najlepszym porządku, ale nie było. Simon był wręcz nieszczęśliwy. Jak zwykle chodziło o Maritę, która była źródłem jego sukcesów, ale też powodem wszystkich jego nieszczęść.

Simon w ogóle miał predyspozycję do zamartwiania się. To było dobre, kiedy chodziło o opracowanie nowego numeru, gdy trzeba było przewidzieć wszelkie możliwe potknięcia, czy zastanowić się, jak wzmocnić efekt. On pierwszy zaczął używać piły tarczowej do cięcia kobiety w skrzyni. Większość iluzjonistów kładła nacisk na pokazywanie widzom przeciętych kawałków skrzyni. Simon prze-myślał sprawę i doszedł do wniosku, że nie one robiły największe wrażenie, tylko samo cięcie.

Tradycyjna piła ręczna z brzeszczotem, której zwykle używano, wyglądała, prawdę mówiąc, jak rekwizyt teatralny. Simon uznał, że połączenie jego elegancji i kruchości Marity z brutalnością piły tarczowej może wywrzeć większe wrażenie.

I rzeczywiście. Podczas jednego występu w momencie kiedy z piłą tarczową w rękę zaczął podchodzić do skrzyni, kilka osób wręcz zemdlalo. Na szczęście w sali był fotograf i całe zdarzenie okazało się świetną reklamą. A wszystko wynikało ze skłonności Simona do dogłębnego traktowania każdej sprawy.

Marita był ulepiona z innej gliny. Kiedy Simon poznał ją w połowie lat czterdziestych, była energiczną, pogodną młodą kobietą, której ambicją było zostać tancerką. Przemieszczała się z jednego lokalu do drugiego, zostawiając za sobą jakby lekką smugę dymu.

Dopiero po jakimś czasie wspólnego życia Simon pewnego dnia natrafił na jej tajemną szufladę, w której znalazł karton po butach, a w nim ponad dwadzieścia inhalatorów z benzedryną. Uznał, że Marita używa jej jako środka odchudzającego i przemilczał sprawę. Stał się jednak bardziej czujny.

I rzeczywiście zaczął wkrótce zauważać różne rzeczy. Często, kiedy w gronie znajomych pili wino czy coś mocniejszego, Marita zaczynała nagle szukać czegoś w swojej torbie. Kiedyś chwycił ją za rękę i zmusił, żeby wyjęła ją z torebki. W jej dłoni znalazł - pasek papieru. Nic z tego nie rozumiał.

Marita była wtedy już dość wstawiona i drwiła sobie z niego, nie przejmując się towarzystwem przy stole. Mówiła, że jest ślepy, że nic nie rozumie, i w ogóle że straszny z niego nudziarz. Dopiero kiedy po chwili poszła do toalety, Simon dowiedział się prawdy: jego żona była uzależniona.

Po otwarciu inhalatora zostawał zawsze pasek papieru nasączony benzedryną, substancją przypominającą amfetaminę. Wystarczyło go zwinąć, połknąć i od razu człowiekowi poprawiał się humor.

Simon wyszedł, zanim Marita zdążyła wrócić z toalety. Poszedł prosto do domu i natychmiast wyrzucił do śmieci nieszczęsne metalowe pojemniki. Kiedy Marita dowiedziała się, co zrobił, wpadła w szal. Szybko jednak się uspokoiła. Zdecydowanie za szybko. Simon domyślił się, że była przekonana, że bez problemu uzupełni swoje zapasy.

Kilka tygodni zajęło mu wysledzenie, kto jest jej dostawcą. Okazał się nim jej były facet, który był zaopatrzeniowcem w wojsku. Wyniósł z magazynu spory zapas inhalatorów, których żołnierze używali podczas długich wart, by odegnać zmęczenie. To on wprowadził Maritę w tajniki działania tej wyjątkowej substancji i nadal ją jej dostarczał, także kiedy ich miłość już się skończyła.

Simon zaczął jej grozić. Policją, pobiciem, podaniem wszystkiego do publicznej wiadomości. Nie wiedział, czy cokolwiek do niej trafiało, po prostu robił, co mógł.

Skutek był taki, że matactwa Marity przybrały bardziej dramatyczne formy. Znikała nawet na kilka dni, a potem nie chciała mu zdradzić, gdzie była. Dawała mu jasno do zrozumienia, że może sobie siedzieć w domu, ona natomiast zamierza korzystać z życia.

Nigdy jednak nie opuściła spektaklu. Znikała tylko, kiedy mieli jakąś przerwę w napiętym harmonogramie. Kiedy trzeba było wyjść na scenę, błyszczała jak zawsze i jak zawsze niemal unosiła się w powietrzu. Tak więc także z tego powodu Simon starał się, żeby ich kalendarz był wypełniony.

Szczęśliwy jednak nie był.

Potrzebował Marity. Była jego partnerką, jego drugą połówką na scenie; bez niej byłby prawdopodobnie jedynie zdolnym wykonawcą. No i była też jego żoną. Nadal ją kochał, na swój sposób. Szczęśliwy jednak nie był.

Pewnego dnia latem 1953 roku, będąc u szczytu kariery, Simon przeglądał swój kalendarz. Zaproszenie do China zostało potwierdzone; w ogóle lato wyglądało dobrze, ale tak się złożyło, że w lipcu przez trzy tygodnie nie mieli zaplanowanych występów. Czerwiec mieli cały zajęty, sierpień też, ale te trzy wolne tygodnie lipca bardzo go niepokoiły. Już widział, jak w letni upał, przerażony, siedzi w mieszkaniu w Sztokholmie, podczas gdy Marita szaleje nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. Nie chciał, żeby tak było. Za nic w świecie tego nie chciał.

Może uda się temu zapobiec? Była taka możliwość. Sięgnął po „Dagens Nyheter” i zaczął przeglądać ogłoszenia. W dziale „Letnie domki” znalazł ogłoszenie: „Dobrze utrzymany dom na Domarö, w południowej części Roslagen. Blisko wody, własny pomost. Możliwość wynajęcia łodzi. Powierzchnia mieszkalna: 80 metrów kwadratowych. Duża działka. Do wynajęcia przez cały rok. Kontakt: Anna-Greta Ivarsson”.

Domarö.

Miał nadzieję, że to rzeczywiście jest wyspa bez bezpośredniego połączenia ze stałym lądem. Jeśli uda mu się wywieźć Maritę z pełnego pokus Sztokholmu, wszystkie inne problemy może też jakoś się rozwiążą. Poza tym dobrze mieć

jakieś miejsce, do którego można się wycofać, jeśli życie za bardzo się rozpędzi.

Zadzwoił.

Kobieta, która odebrała telefon, przyznała szczerze, że nie ma innych zainteresowanych, mogą przyjechać i obejrzeć dom. Cena wynosiła tysiąc koron za rok, obniżenie ceny nie wchodzi w grę. I czy ma mu podać dokładny adres?

- Tak - powiedział Simon. - Mam jeszcze jedno pytanie: czy to na pewno jest wyspa?

- Czy to jest wyspa?

- Tak. Czy dokoła jest woda?

Po drugiej stronie na kilka sekund zapadła cisza. Potem kobieta odchrząknęła i powiedziała:

- Tak, to jest wyspa. Dokoła jest woda. I to nawet dużo wody.

Simon zamknął oczy, jakby z bólu.

- Byłem po prostu ciekaw.

- Aha! Od niedawna mamy tu linię telefoniczną. O to panu chodziło?

- Nie, tylko... Jak można tam dotrzeć?

- Promem. Z Nåtén. Do Nåtén można dojechać autobusem. Podać panu dokładniejszy opis drogi?

- Tak, poproszę.

Simon zanotował numer autobusu z Norrtälje i obiecał uprzedzić telefonicznie o swoim przyjeździe. Kiedy odkładał słuchawkę, był spocony pod pachami. Zachował się śmiesznie i było mu głupio. Już sam dźwięk głosu tej kobiety sprawiał, że czuł, że nie wolno mu się przed nią ośmieszyć. Przed Anną-Gretą.

Marita nic nie powiedziała na jego wakacyjne plany, ale postanowiła, że na inspekcję pojedzie sam. Tak więc pewnego dnia w końcu kwietnia Simon wyruszył zgodnie z instrukcją Anny-Grety i po dwóch i pół godzinie podróży autobusem i statkiem stanął w końcu na pomoście w Domarö.

Kobieta, która wyszła mu na spotkanie, miała na głowie wełnianą czapkę, spod której wystawały dwa długie ciemnobrązowe warkoczki. Jej dłoń była drobna, ale uścisk miała mocny.

- Witam - powiedziała.

- Dziękuję.

- Podróż minęła dobrze?

- Żadnych kłopotów.

Anna-Greta wskazała ręką na morze.

- Jest tu sporo wody, jak pan widzi.

Idąc za Anną-Gretą z portu do domu, Simon próbował wyobrazić sobie, że to właśnie będzie jego miejsce. Że pierwszy raz idzie drogą, którą w przyszłości

będzie przemierzał wiele razy, widząc to, co teraz widzi: pomosty, szopy na nabrzeżu, żwirową ścieżkę, cysternę na ropę i dzwon sztormowy. Czując zapach morza, obserwując wyjątkowe światło tego miejsca.

Starał się wyobrazić siebie za dwa lata, za pięć, za dziesięć. Kiedy będzie przemierzał tę drogę jako starzec. Był w stanie to sobie wyobrazić?

Tak. Potrafię to sobie wyobrazić.

Kiedy doszli niemal do końca ścieżki, Simon trzymał kciuki, żeby dom, który nagle przed nimi wyrósł, okazał się właśnie jego domem. Biały, z niewielką oszkloną werandą, z widokiem na trawiaste zbocze i pomost. Teraz widok nie był zbyt ciekawy, bo dzień był pochmurny, a drzewa jeszcze gołe, ale potrafił sobie wyobrazić, jak będzie tu wyglądało latem.

Przed domem stał chłopiec w wieku może trzynastu lat. Ręce trzymał w kieszeniach skórzanej kurtki. Był szczupły i krótko ostrzyżony, patrzył na Simona taksującym wzrokiem, w którym było coś figlarnego.

- Johanie - zwróciła się Anna-Greta do chłopca. - Mógłbyś przynieść klucz do Morskiej Chaty?

Chłopiec wzruszył ramionami i ruszył w stronę piętrowego domu, leżącego jakieś sto metrów dalej. Simon powiódł wzrokiem po działce, na której najwyraźniej stał też drugi dom, po przeciwnej stronie zatoki.

- To stary dom. Nikt tam w tej chwili nie mieszka - zaczęła tłumaczyć mu Anna-Greta.

- Pani mieszka tu sama?

- Razem z Johanem. Nie chce pan obejrzeć włości?

Chciał. Przeszedł się trochę bez celu po działce. Spojrzał na studnię, na trawnik, na pomost. Właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Podjął już decyzję. Johan wrócił z kluczem i Simon mógł teraz obejrzeć dom od środka, co sprawiło, że upewnił się w swoim postanowieniu. Kiedy więc wyszli z domu, powiedział po prostu:

- Biorę.

Podpisano odpowiednie papiery i Simon wpłacił zadatek. Prom miał wracać dopiero za godzinę, więc Anna-Greta poczęstowała go kawą. Opowiedziała, że odziedziczyła dom po swoich teściach, którzy oboje odeszli już kilka lat temu. Johan odpowiadał grzecznie na pytania gościa, ale mówił jedynie tyle, ile było absolutnie konieczne.

Kiedy Simon zaczął się zbierać, chłopiec nagle spytał:

- A ty gdzie pracujesz?

- Johan... - przerwała mu Anna-Greta.

- To zrozumiałe pytanie. Tym bardziej jeśli mam być waszym sąsiadem. Jestem czarodziejem.

- Jak to: czarodziejem? - spytał Johan, przyglądając mu się sceptycznie.
- Robię czarodziejskie sztuczki, a ludzie przychodzą i płacą, żeby je oglądać.
- Naprawdę?
- Tak. Naprawdę. To znaczy naprawdę robię różne magiczne sztuczki.
- Rozumiem. To znaczy, że jest pan iluzjonistą.

Ludzie spoza branży rzadko używali tego określenia.

- Widzę, że znasz się na rzeczy - roześmiał się Simon.

Johan nie odpowiedział. Siedział chwilę i kiwał głową.

- A ja myślałem, że jest pan takim zwykłym nudziarzem - wyrwało mu się nagle.

- Johan! Co ty wygadujesz! - wykrzyknęła Anna-Greta, uderzając ręką w stół.

Simon wstał.

- Tak naprawdę to jestem takim zwykłym nudziarzem.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i nagle jakby coś się między nimi wydarzyło, i Simon zrozumiał, że znalazł w chłopcu przyjaciela.

- Muszę już iść - powiedział.

Na początku lipca Simon umówił się z kierowcą, który zawiózł jego i Maritę razem z wszystkimi bagażami do Nåtén. Marita od razu pokochała wyspę i Simon odetchnął z ulgą. Spokój trwał pięć dni. Szóstego dnia, czy to w wyniku abstynencji, czy chandry, Marita oświadczyła, że musi jechać do Sztokholmu.

- Przecież dopiero przyjechaliśmy. Spróbuj się trochę odprężyć. Odpocznij.

- Już odpoczęłam. Miejsce jest cudowne, ale ja tu zaraz oszaleję. Wiesz, co robiłam wczoraj wieczorem? Siedziałam przed domkiem, patrzyłam w niebo i modliłam się do Boga, żeby przynajmniej pokazał się jakiś samolot. Żeby coś się wydarzyło. Dłużej tu nie wytrzymam. Ale jutro wrócę.

Marita nie wróciła ani następnego dnia, ani kolejnego. Kiedy w końcu po trzech dniach się zjawiała, ledwo trzymała się na nogach. Oczy miała podkrążone. Natychmiast zwała się na łóżko i zasnęła.

Simon sprawdził jej torbę podróżną, ale nie znalazł żadnego inhalatora. Już miał ją zamknąć, dziękując opatrności, że nad nimi czuwała, kiedy nagle dostrzegł dziwną wypukłość na dnie torby. Przeciągnął ręką po podszewce i znalazł wąskie etui, a w nim igłę i mały słoik z białym proszkiem.

Był piękny letni dzień. Dokoła panowała cisza, w powietrzu słychać było tylko bzyczenie owadów. Para łabędzi uczyła swoje młode nurkować za pożywieniem. Simon był jak sparaliżowany; siedział pod krzakiem bzu przy domu,

trzymając w ręku słoik i etui. Jedno i drugie mieściło się w jego dłoni. Dwa niewinne przedmioty, wyglądające tak niepozornie, a mieszczące w sobie całą szatańską armię. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić, nie miał siły cokolwiek przedsięwziąć.

Kiedy Anna-Greta wyszła z domu, najwyraźniej dostrzegła pustkę w jego wzroku, bo się zatrzymała.

- Coś się stało? - spytała.

Simon nadal siedział z wyciągniętą dłonią, jakby chciał dać jej prezent. Nie miał już siły kłamać.

- Moja żona jest uzależniona - powiedział.

Anna-Greta spojrzała na rzeczy w jego dłoni.

- Co to takiego? - spytała.

- Nie wiem. Pewnie amfetamina.

Był bliski płaczu, ale wziął się w garść. Anna-Greta zapewne nie miała pojęcia, co to jest amfetamina, więc może bez sensu było jej o tym mówić. Kiedy rozmawiali, Johan często do nich dołączał, a jego matka na pewno nie chciała, żeby syn miał kontakt z narkomanami. Może nawet nie będzie chciała wynajmować mu już domu?

- Ale sytuacja jest już pod kontrolą - bąknął więc tylko.

Anna-Greta patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami.

- Jak to możliwe? - spytała.

Kiedy Simon nie odpowiadał, dodała:

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nie wiem. Może zakopię to w ziemi.

- Nie rób tego. Na pewno zmusi cię, żebyś powiedział jej, gdzie to schowałeś. Widziałam, jak się zachowują alkoholicy. Sądzę, że bardzo podobnie. Wyrzucić wszystko do morza.

Simon popatrzył na pomost, który zdawał się unosić na błyszczącej wodzie. Nie chciał zbrukać miejsca, gdzie co rano chodził się kąpać.

- Tutaj? - spytał, jakby pytając o pozwolenie.

Anna-Greta też spojrzała na pomost i chyba pomyślała dokładnie to, co on, bo pokręciła głową.

- Wybieram się do Nåtén. Jedź ze mną, po drodze będziesz mógł pozbyć się tych... śmieci.

Simon poszedł za nią na pomost; stał i patrzył bezradny, gdy zapaliła silnik i zawołała, żeby wszedł do łodzi. Przyglądał się jej, kiedy odbijali od brzegu: siedziała, mrużąc oczy, i patrzyła na morze.

Anna-Greta nie była klasyczną pięknoscią, miała zbyt wystające kości policzkowe i nieco zbyt głęboko osadzone oczy. Ale było w niej coś promiennego

i Simon złapał się na tym, że podobnie jak, kiedy pierwszy raz przybył na wyspę, tak i teraz zaczął się zastanawiać:

Pięć lat, dziesięć, całe życie. Mógłbym?

Tak.

Pracując w branży artystycznej dość się napatrzył na efemeryczne piękności. Wiedział, że uroda młodej kobiety nie jest z typu tych przemijających. Należała raczej do tych szczęśliwych ludzi, którym czas sprzyja.

Dostrzegła jego spojrzenie; Simon się zarumienił i spuścił wzrok. Ona ani spojrzeniem, ani gestem nie dała mu do zrozumienia, że jest nim zainteresowana w ten sposób. Poza ty on był żonaty. Takie myśli w ogóle nie powinny przychodzić mu do głowy.

Anna-Greta zgasiła silnik i ruchem głowy wskazała na wodę. Simon wstał, nieco się chwiejąc, i wyciągnął rękę ze słóiczkiem i etui.

- Może powinniśmy coś zaśpiewać?
- Co?
- Nie wiem.

Wrzucił narkotyki i strzykawkę do morza i usiadł. Anna-Greta zapaliła silnik. Mieli wrażenie, jakby uczestniczyli w jakiś tajemnym rytuale, stąd pewnie pomysł zaśpiewania czegoś. Simon nie potrafił powiedzieć, co ten rytuał miałby znaczyć, więc żadna odpowiednia piosenka nie przychodziła mu do głowy. Czuł jedynie pustkę i strach, który podczas pobytu w Nåtén jeszcze się zwiększył, by po powrocie do domu, zamienić się niemal w przerażenie.

Bał się o Maritę i bał się Marity. Nie wiedział, jak się zachowa teraz, kiedy nie będzie już mogła chować się za maską, kiedy została obnażona.

Życie z narkomanką. Wieczny strach. Na ten temat powiedziano już chyba wszystko. W każdym razie wystarczająco dużo. Podobno po tym incydencie Marita nie starała się już ukrywać swoich skłonności. Zresztą tego lata nie spędziła wiele czasu na wyspie.

Jesienią wzięła się garść, występy w China udały się znakomicie. Potem jednak było już tylko gorzej. Simon znajdował ją w coraz to bardziej podejrzanych miejscach, udało mu się co prawda nawet namówić ją na leczenie, ale nie trwało to długo. Znów zniknęła. Nie pokazała się na kilku spektaklach, jakby zapadła się pod ziemię. Pewnego dnia Simon dostał telefon z Kopenhagi i pojechał tam.

I tak dalej, i tak dalej.

Zadzwoił do Anny-Grety, żeby zaprosić ją i Johana do China. Przyjechali i byli zachwyceni. Potem któregoś dnia zadzwonił Johan, dopytując się, gdzie jeszcze można obejrzeć występy iluzjonistów. Kiedy Simon oddzwonił, żeby mu odpowiedzieć, telefon odebrała Anna-Greta.

Jesienią i zimą dzwoniłi do siebie mniej więcej raz w tygodniu. Anna-Greta była kobietą samodzielną, ale też bardzo samotną. Nie wchodząc w szczegóły, powiedziała mu, że robiła w życiu różne rzeczy, które doprowadziły do tego, że niektórzy nie chcą teraz mieć z nią do czynienia.

Bardzo cenila sobie anegdotki z życia artystów, które opowiadał jej Simon, i razem z nim martwiła się Marita. Kiedy wiosna zamieniła się w lato, oboje byli już niemal uzależnieni od tych rozmów, i jeśli z jakiegoś powodu nie mogli się ze sobą skontaktować, stawali się nerwowi i niespokojni.

Zaprzyjaźnili się dzięki kilometrom miedzianego drutu, ale żadne z nich nawet nie wspomniało o miłości. Bo nie o nią tu chodziło. Byli dwojgiem ludzi, wiodącymi bardzo różne życie, którzy po prostu znaleźli wspólny język. Dobrze się rozumieli, było im miło razem. O niczym innym nie mogli być mowy.

A Marita? Co się z nią stało?

Któż mógł to wiedzieć.

Nic nie wskazywało, że jej uzależnienie się pogłębiło; po kilku wpadkach znów stanęła na scenie. I nagle znów znikwała. Od znajomych Simon dowiadywał się, że nocami bawiła się w klubach, często w towarzystwie mężczyzn.

Poddał się. Co prawda kiedy prosiła go o pomoc, to zawsze ją otrzymywała, ale nie miał już złudzeń, że kiedyś będzie mógł wieść normalne życie z kobietą zbyt piękną, żeby to mogło się dobrze skończyć dla niej i dla innych. Żeby nie kusić złego, opracował program, który w razie potrzeby mógł realizować sam.

Z usposobienia był stoikiem. Jeśli tylko sytuacja się nie pogorszy, wytrwa. Obiecał kochać Maritę na dobre i na złe, i nawet jeśli już nie potrafił jej kochać, czuł się zobowiązany dotrzymać drugiej części obietnicy.

Pewnego wiosennego dnia szedł Strandvägen do China na rozmowę z dyrektorką o dalszej współpracy. Liście na drzewach zaczynały się zielenić, ptaszki ćwierkały radośnie: ćwir, ćwir, ćwir. Szedł ze spuszczoną głową, nie myśląc o niczym.

Nagle dotarł do niego pewien zapach. Najpierw nie potrafił powiedzieć, co to było, ale poczuł, że nabiera powietrza w płuca i oddycha tak głęboko, że oczy zaszczyły mu łzami. Podniósł głowę i dostrzegł, że jest na Norrmalmstorg. Zapach pochodził od nabrzeża, od Nybrokajen, i był zapachem morza. Czuł w nim sól, wiedział, że im dalej na morzu, tym zapach ten stawał się intensywniejszy. Jak na Domarö. Wyprostował się i wciągnął w płuca powietrze. Już niedługo, pomyślał. Mimo nieco nadszarpniętych finansów, zaplanował swoje występy tak, żeby lato miał wolne, tak by mógł spędzić pięć, może sześć tygodni na wyspie. Chętnie zostałby tam dłużej, ale Marita miała kosztowne przyzwyczajenia, a pieniędzy nie potrafił wyczarować.

Może powinienem czymś tam się zająć? Może uda mu się dać kilka występów gdzieś w okolicy?

Zatrzymał się na skraju parku Berzelli i patrzył na nabrzeże. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Występ

Od miesiąca na to czekano. Najpierw była jedynie plotka, potem pojawiły się plakaty. A wczoraj wspomniano o tym nawet w radiu. Ten magik, który wynajmował dom od Anny-Grety, miał wystąpić na nabrzeżu przy przystani na Domarö.

Została wyznaczona godzina: dwunasta. Już o dziesiątej z lądu i z okolicznych wyseppek zaczęli przybywać ciekawscy, żeby zapewnić sobie dobre miejsce i wysondować sprawę. Widać było, jak ludzie chodzą wzdłuż nabrzeża, wypatrując czegoś w wodzie, szukając ukrytych w niej urządzeń.

Gdy o wpół do dwunastej przybył dziennikarz i fotograf z „Norrtälje Tidning”, setka ludzi tłoczyła się już na nabrzeżu. Dziennikarz wytłumaczył, że co prawda gazecie nie wolno zapowiadać tak ryzykownych przedsięwzięć, ale dziennikarze mogli je relacjonować.

W oczekiwaniu na głównego bohatera część ludzi zgromadziła się wokół mężczyzny ze Sztokholmu, wynajmującego dom na sąsiedniej wyspie. Wiele osób słyszało o słynnym duńskim królu magii, Bernardim, ale tylko letnik oglądał na żywo jego występy w Circus Brazil Jack. Napięcie wzrosło, kiedy zaczął opowiadać o śmierci maga, która nastąpiła właśnie w trakcie wykonywania podobnego numeru na Bornholmie.

Tłum zmniejszył się nieco dopiero, kiedy zjawiała się policja. Mimo że nie był to prawdziwy policjant, tylko Göran, syn starego Holmberga. Co prawda studiował w Wyższej Szkole Policyjnej i pracował w miasteczku już kilka lat, ale pochodził stąd i kiedy z okazji tak ważnego wydarzenia pojawiał w mundurze, z policyjną czapką na głowie i w ogóle, wzbudzał nie tyle szacunek, co wywoływał żartobliwe docinki.

„Z drogi, bo stróż prawa idzie!” „Zamknij Karlssona. Od rana jest pijany jak bela”. Takie i podobne komentarze słychać było dokoła. Göran musiał tłumaczyć, że to Simon prosił go o przybycie. Dla większego efektu. Poza tym miał przynieść kajdanki, które każdy, kto miał na to ochotę, mógł sobie teraz obejrzeć. Rzeczywiście ludzie przyglądali się im dokładnie. W końcu ustalono, że nie ma wątpliwości, że są prawdziwe.

Znaleźli się tacy, którzy oglądali Simona, gdy kiedyś występował ze swoim pomocnikiem w wesołym miasteczku, w Gröna Lund, w Sztokholmie, jednak

zapowiadanego numeru nikt nie widział. Część uważała, że wszystko było jedynie chwytem reklamowym, promocją zapowiedzianych występów, które Simon miał dać latem w Domu Ludowym w Nåtén. Niewątpliwie jednak udanym, bo w samo południe, o godzinie dwunastej, na nabrzeżu stało co najmniej pół tysiąca ludzi, czekając, aż Simon wyjdzie z domu.

Właściwie było to dziwne. Magik powinien mieć wejście, objawić się nagle, na przykład w oparach dymu. A Simon był letnikiem, który wynajmował dom po drugiej stronie zatoki, od Anny-Grety. To co prawda nie sprzyjało nastrojowi tajemniczości, ale zwiększało napięcie. Jak on sobie poradzi, ten letnik?

Kiedy Johan i Anna-Greta zjawili się na nabrzeżu, ustąpiono im miejsca z przodu, w końcu w pewien sposób też mieli w tym swój udział. Ktoś szturchnął Annę-Gretę w bok, żartując:

- Może powinnaś rozejrzeć się za nowym letnikiem?
- Zobaczymy - odpowiedziała, uśmiechając się.

Nie miała w zwyczaju okazywać swoich uczuć. Teraz też, kiedy tak stała na skraju pomostu z rękami w kieszeniach swetra, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

W głębi duszy jednak nieco się niepokoiła. Wiedziała, że Simon już prawie od tygodnia nie miał żadnych wieści od Marity, poza tym źle się czuł. No i woda była zimna. Miała zaledwie dziewięć stopni. Sprawdziła to rano.

No cóż, pomyślała, patrząc w ciemną toń, zapewne wie, co robi.

Annie-Grecie niełatwo było zaimponować. Gęstniejący tłum nie dziwił jej, ludzie zawsze przychodzą, kiedy zapowiada się coś niezwykłego. Gdy spytano ją, jak Simon to robi, odpowiedziała, że ćwiczył jakieś wygibasowy.

Osoba, która zadała pytanie, uśmiechnęła się pobłaźliwie: Simon najwyraźniej nie zdradzał swoich tajemnic. Chociaż co nieco mogła się domyślić. Kiedy chodził po działce z nagim torsem, zauważyła, że jego szkielet wyglądał, jakby coś było z nim nie w porządku: kości sterczały mu pod dziwnym kątem, jakby cierpiał na bóle stawów.

Doszła do wniosku, że albo jest to skutek wykonywanych przez niego „sztuczek”, albo właśnie z racji swojej budowy może robić to, co robił. Kiedyś w młodości Anna-Greta widziała w cyrku człowieka węża, wyglądał podobnie. Jego stawy i członki wydawały się bardziej elastyczne niż u zwykłych ludzi.

Dlatego przyjęła, że żeby pozbyć się łańcucha i sznurów, Simon wykona kilka wygibasów. Więcej nie zamierzała zdradzić. Tajemnice Simona były jego sprawą. Tak naprawdę nie miała jednak pojęcia, jak można się wyslizgnąć z kajdanek. Pewnie były jakieś sposoby, przynajmniej trzeba było mieć taką nadzieję.

Kiedy Simon, ubrany w płaszcz kąpielowy, zbliżył się do pomostu, tłum zaczął bić brawo. Anna-Greta dołączyła do rozentuzjasmowanych widzów i

rzuciła okiem na Johana. Chłopiec klaskał, ale jego twarz była spięta, a wzrok skupiony na Simonie, który szedł spokojnie, jakby po prostu zamierzał się wykapać.

Wiedziała, że Johan bardzo się przywiązał do Simona. Już poprzedniego lata potrafił zniknąć na kilka godzin, a potem wrócić i pochwalić się jakąś magiczną sztuczką, której właśnie się nauczył. Według Simona były to proste triki, ona jednak nadal nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że solniczka, która stała na stole, nagle zniknęła.

Pogładziła syna po plecach i pokiwała głową, cały czas jednak nie spuszczając wzroku z Simona. Nie dziwiła się, że był spięty. Przed chwilą sama przeczytała plakat.

„CZY KTOKOLWIEK JEST W STANIE TO ZROBIĆ??
...Spętany łańcuchami, z rękami skutymi kajdankami,
zostanie w worku wrzucono do morza.
...Czy utonie?
...Czy uda mu się wyswobodzić, zanim pójdzie na dno?”

W sobotę, 15 lipca, El Simon spróbuje sprostać wyzwaniu
na pomoście w Domarö
CZY PRZEŻYJE???

Johan oczywiście rozumiał, że autorowi tekstu chodziło o osiągnięcie jak największego efektu, ale jeśli czyta się, że ktoś, kogo się zna i lubi, zostanie „spętany łańcuchami” i może „pójść na dno”, to wywołuje to dodatkowy dreszcz emocji. Anna-Greta nie żywiła żadnych szczególnych uczuć wobec Simona. Wynajmowała dom, jej lokator był miłym człowiekiem i tyle. A jednak i ona zacisnęła mocniej dłonie, by nie zacząć obgryzać paznokci.

Simon podszedł do jednej z szop, uniósł haczyk przy drzwiach i wszedł. Kiedy ponownie pojawił się na zewnątrz, trzymał w ręku zawiniątko. Rzucił je na ziemię, coś szczęknęło, a on grubym głosem oświadczył:

- Panie i panowie! Miło mi was widzieć. Przede mną na ziemi leżą łańcuchy, sznury i kłódki. Poproszę teraz dwóch silnych panów z publiczności o związanie mnie. Tak, żeby nie mógł się oswobodzić.

Zdjął płaszcz kąpielowy i został jedynie w granatowych kąpielówkach. Wyglądał niepozornie i krucho.

Z tłumu wyszedł Ragnar Pettersson, czego można było się spodziewać. Słysząc bowiem z tego, że kiedyś sam uratował krowę, która zaczęła tonąć w bagnie nad zatoką. Nikt nie miał pojęcia, jak to zrobił, ale od tamtej pory uchodził za miejscowego mocarza.

Następnie zgłosił się mężczyzna, którego imienia Anna-Greta co prawda nie znała, ale wiedziała, że pracuje w stoczni w Nåtén. Koszula z krótkim rękawem, którą miał na sobie, sprawiała wrażenie, jakby była o numer za mała. Opinała mu mięśnie; być może właśnie o ten efekt mu chodziło.

Obaj natychmiast przystąpili do dzieła i nagle się zmienili: zaczęli się inaczej ruszać, zmieniło się ich spojrzenie. Jakby w momencie, kiedy dostali do rąk łańcuchy, Simon przestał być dla nich człowiekiem: zamienił się w orzecha, którego trzeba po prostu zmiażdżyć, i tyle. Należało rozwiązać problem, niczym się nie przejmując.

Anna-Greta zagryzła zęby, kiedy mężczyźni z Nåtén zaczęli owijać Simona łańcuchami tak mocno, że skóra na jego plecach się zaczerwieniła i pomarszczyła. Na pewno czuł ból, ale stał spokojnie z zamkniętymi oczami i rękoma splecionymi na wysokości przepony. Tylko raz - gdy mężczyźni dodatkowo zaciągnęli łańcuchy, żeby spiąć je kłódkami - drgnęły mu kąciki ust.

W końcu byli zadowoleni. Otarli pot z czoła i skinęli głowami. Trzydzieści kilogramów łańcucha zostało owinięte wokół ciała Simona i spięte czterema kłódkami. Sznurów właściwie nie użyto. Jedynie w dwóch miejscach posłużyły jako dodatkowe zabezpieczenie.

Mężczyźni zrobili krok do tyłu, podziwiając swoje dzieło. Byli zadowoleni, co rozumiałe. Nie było możliwe wyplątać się z tak gęsto owiniętych łańcuchów.

Simon otworzył oczy i Anna-Greta poczuła, że coś ścisną ją w żołądku. Wokół spętanego łańcuchami mężczyzny zrobiło się pusto. W zasięgu dobrych dziesięciu metrów nie było nikogo.

Był sam.

Tak, pomyślała Anna-Greta: jest sam. Sprawiał wrażenie potwornie samotnego. Jak ktoś odtrącony przez społeczność, wypluty i unieszkodliwiony. I jakby tego nie dość, miał za moment zostać wrzucony do morza. Był w tym wszystkim silny element poniżenia: że też ktoś pozwalał się tak traktować. Kiedy po chwili Simon otworzył oczy, widać było, że też to dostrzegł. To właśnie wtedy Anna-Greta poczuła ssanie w żołądku.

- Jesteście zadowoleni? I przekonani, że na pewno nie będę w stanie się oswobodzić? - spytał Simon, spoglądając to na jednego mężczyznę, to na drugiego.

Ragnar chwycił jeden z łańcuchów, pociągnął, a potem wzruszył ramionami.

- Ja nie byłbym w stanie - oświadczył.

- Tak powinienesz być spętać swoje krowy, Ragnar, żeby ci nie uciekały - zawołał ktoś z tłumu.

Ludzie z Domarö śmiali się, pozostali nie widzieli w tym jednak niczego zabawnego. Simon poprosił mężczyzn, żeby zanieśli go na skraj pomostu, co

też zrobili. Anna-Greta i Johan cofnęli się, ustępując im miejsca, i nagle Simon znalazł się zaledwie metr od nich. Kiedy jego oczy spotkały jej wzrok, na ustach Simona pojawił się uśmiech. Anna-Greta próbowała go odwzajemnić, co jednak nie bardzo jej się udało.

- A teraz - odezwał się Simon - poproszę, żeby ktoś trzeci zarzucił na mnie worek.

Zanim ktokolwiek zdążył się zgłosić, rozległ się głos kogoś z tyłu:

- A kajdanki? Co z kajdankami?

Simon wyglądał na lekko zaniepokojonego. Ponownie zamknął oczy. Po chwili skinął głową Göranowi, który podszedł, niosąc kajdanki.

- Jesteś pewien? - spytał.

- Nie - odpowiedział Simon. - Ale skuj mnie - dodał.

Göran podrapał się po karku, zastanawiając się, co robić. Takie przypadki najwyraźniej w ogóle nie były omawiane podczas studiów w Wyższej Szkole Policyjnej. W końcu przeciągnął kajdanki między łańcuchami i skuł dłońe Simona.

Anna-Greta stała z rękoma splecionymi na piersiach, walcząc ze sobą, żeby nie zacząć gryźć palców. Przyglądała się uważnie twarzy Simona, starając się ocenić, czy jedynie grał swoją rolę, czy też rzeczywiście miał wątpliwości, czy poddała zadaniu. Nie potrafiła tego powiedzieć.

Fotograf pstryknął kilka zdjęć, kiedy Simon stał na brzegu pomostu. Jakiś mężczyzna - sądząc po jego wąskich dłoniach najprawdopodobniej ze Sztokholmu - którego nigdy wcześniej nie widziała, podszedł i zaproponował, że zawiąże worek. Następnie Simon zwrócił się do Johana:

- Możesz wszystko jeszcze raz sprawdzić?

Johan pociągnął za łańcuchy. Anna-Greta zauważyła, że Simon pochylił się nad chłopcem i coś mu szeptał. Johan zrobił krok do tyłu i skinął głową. Sztokholmczyk zawiązał worek kawałkiem sznurka.

Nie wyglądało to dobrze. Brązowy worek na skraju pomostu. Ciemny punkt, coś ostatecznego. Ludzie najwyraźniej też tak to odebrali, bo gwar i żarty ustały i zapadła cisza.

- Wrzućcie mnie - doszedł ich głos Simona z worka.

Minęło pięć sekund. Dziesięć. Nadal panowała cisza, nikt nie odpowiedział na jego prośbę. Ciągle więc nie była to decyzja nieodwołalna. Można było rozwiązać worek, zdjęć łańcuchy. Gdy zostanie wrzucony do wody, będzie już za późno. Morze koło pomostu miało sześć metrów głębokości.

Jeśli Simonowi się nie uda, odpowiedzialność spadnie na tego, kto wrzucił worek. Ludzie patrzyli na siebie, ale nikt się nie zgłaszał. Simon poruszył się, łańcuchy otarły się o siebie, rozległ się lekki brzdęk metalu. Ktoś zaczął robić zdjęcia. Ale chętnego do wrzucenia worka do wody nadal nie było.

- Wrzućcie mnie do morza.

Pewnie byłoby prościej, gdy Simon rzucił jakiś żart, na przykład spytał: „Mam tu tak stać cały dzień?”, czy powiedział: „Łańcuchy zaczynają rdzewieć”, ale on najwyraźniej nie był zainteresowany zmniejszeniem napięcia.

Wyglądało jednak, że będzie do tego zmuszony. Minęła minuta i nadal nikt się nie zgłaszał. Ludzie zaczęli się odwracać. Może tak właśnie czuli się ci, do których Jezus powiedział, że niech ten, kto jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem.

Nagle dobrze umięśniony mężczyzna z Nåtén odkasznął i bez zbędnych ceregieli podszedł i pchnął worek, który uderzył o wodę, wydając przy tym głuchy dźwięk, jakby jęk. Ludzie tłoczyli się, żeby coś dojrzeć i Anna-Greta musiała bardzo uważać, żeby napierający tłum nie zepchnął jej do wody.

Nie było wiele widać. Na powierzchni unosiły się bąbelki powietrza, które po upływie pół minuty zniknęły, i znów widać było jedynie ciemną wodę. Ci, którzy mieli nadzieję zobaczyć, jak Simon walczy, byli zawiedzeni, widoczność w tym miejscu wynosiła zaledwie trzy metry.

Kiedy minęła pierwsza minuta, rozległy się szeptu:

- Jak długo można nie oddychać?
- Czy da się go uratować, jeśli jego sztuczki zawiodą?
- Czy ktoś ma kluczyki do kłódek?

Minęła kolejna minuta, ludzie byli wyraźnie zaniepokojeni. Dlaczego nikt nie pomyślał, żeby do worka przyczepić linę; dlaczego nie ustalono, kiedy należy zacząć go ratować, dlaczego... ?

Najbardziej zdenerwowany był mężczyzna, który zepchnął worek z pomostu. Wpatrywał się w wodę, a jego ciało, które jeszcze przed chwilą emanowało pewnością siebie, skuliło się, jego ruchy stały się rwane, oczy były rozbiegane, widać było, jak mocno zaciska dłonie.

Anna-Greta stała nieruchomo, obejmując się rękami. Mocno. Stojący obok niej ludzie, zerkali to na swoje zegarki, to na powierzchnię wody. Anna-Greta miała wzrok utkwiony w widoczną w oddali latarnię Gåvasten. Czekwała. Czekwała na plusk wody, który rozlegnie się, gdy ciało Simona znów pojawi się na powierzchni, czekała na odgłos łapczywie wciąganego powietrza.

Ale nic się nie działo.

Wyplynie. No wyplynie, Simon.

Widziała go przed sobą, w wodzie, tam w głębinie, na samym dnie, jak leży i walczy w mule, między zardzewiałym metalowym złomem. Widziała, jak się uwalnia, jak otwiera worek, odbija się od dna i rusza w górę, do światła.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Bo ona widziała to, co chciała widzieć.

Ja go kocham, kocham tego cholernego faceta.

Zaczęła drżeć.

Kocham cię. Nie znikaj.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy ktoś za nią zawołał:

- Cztery minuty!

Zacisnęła pięści i przycisnęła je do serca; przeklinała siebie: znów się spóźniła, znów wszystko się powtarza, znów...

Nagle poczuła na swojej ręce czyjąś dłoń. Podniosła głowę i zamglonym wzrokiem zobaczyła, że jest to dłoń Johana. Chłopiec mrugnął do niej i skinął głową. Nie rozumiała, co chce jej powiedzieć; nie pojmowała, jak może być taki spokojny.

Mężczyzna, który wrzucił do wody Simona, ściągnął koszulę i wskoczył do morza. Anna-Greta ścisnęła dłoń syna i ponownie poczuła napierający na nich tłum. Na powierzchni ukazała się głowa mężczyzny. Pokręcił nią bezradnie, wziął głęboki wdech i ponownie zanurkował.

Nagle od strony lądu doszedł ich głos.

- Czy to mnie szukacie?

Rozległ się szelest ocierających się o siebie ubrań, kiedy nagle wszyscy się odwrócili, jak na komendę. Przy szopie na łodzie stał Simon. Na jego ciele widać było krzyżujące się czerwone pręgi. Podeszedł do Görana i oddał mu zamknięte kajdanki.

- Pomyślałem, że pewnie chcesz je odzyskać.

Simon włożył na siebie płaszcz kąpielowy. Ktoś stojący obok Anny-Grety zawołał do mężczyzny z Nåtén, który znów pokazał się na powierzchni.

- Kalle! On tu jest! Możesz przestać szukać.

- Do licha! - krzyknął Kalle z dołu i nagle napięcie minęło. Ktoś zaczął się śmiać, chwilę potem rozległy się brawa, brzmiące jak uderzenia skrzydeł stada ptaków, podrywających się do lotu z wody, rozchodzące się echem po okolicy, nigdy się niekończące.

Ludzie podchodzili i klepali Simona po plecach, jakby był ich najcenniejszym skarbem, który nareszcie udało się podźwignąć z dna morza. Nastawienie Kallego, który, trzęsąc się, w końcu też wydostał się z wody, zdawało się co prawda znacznie mniej pozytywne. Simon jednak najwyraźniej przewidział taki rozwój sytuacji, ponieważ sięgnął po butelkę gorzalki i poczęstował Kallego, żeby trochę się rozgrzał. Mężczyzna przyjął poczęstunek i po kwadransie należał już do grona najgorętszych entuzjastów Simona.

Ludzie zebrali się wokół szopy, gdzie obaj mężczyźni siedzieli obok siebie na schodkach. Śmiali się z Kallego, który odurzony alkoholem i huśtawką emocji, wskazał nagle ręką na Simona i zawołał:

- Przecież owinąłem go całego tym łańcuchem, jak... jak nie wiem co. Sam to zrobiłem! A może to nie człowiek, tylko jakiś duch!

Chwytał Simona za ramię.

- Jak ty, do diabła, to zrobiłeś?
- Buuu! - powiedział Simon i ludzie znów zaczęli się śmiać.

Johan i jego matka nadal stali na pomoście. Anna-Greta całe życie zajmowała się handlem i dobrze знаła sztukę manipulowania ludzkimi uczuciami, teraz jednak spotkała kogoś lepszego od siebie. Pogarda, którą tłum żywił do Simona, kiedy stał związany na pomoście, przeniosła się na Kallego, który z niepotrzebnym bohaterstwem wskoczył do wody. Simon jednak zgrabnie przywrócił równowagę, szybko wciągając Kallego w promienny krąg, który otaczał go po dokonanym wyczynie. Zapanowała powszechna radość.

Pięknie, pomyślała Anna-Greta. Doskonale.

Poczuła ulgę, ale była skonsternowana, i była zła. Głównie zła. Została oszukana. Simon sprawił, że zachowała się jak idiotka. Nie żeby ktoś to zauważył, ale ona to wiedziała. Straciła kontrolę. Właściwie miała ochotę krzyknąć. Na szczęście nie zrobiła tego, nadal jednak czuła wściekłość. Ukłucie złości zostało.

- Ale numer, no nie? - zapytał Johan.

Przytaknęła, syn przeciągnął ręką po włosach, nie odrywając wzroku od Simona.

- Jest niesamowity.
- Inni też potrafią robić takie rzeczy - stwierdziła Anna-Greta.

Johan spojrzał na nią z wyrzutem.

- A tak przy okazji, co on ci wtedy powiedział? - spytała. - Wtedy, przed tym wszystkim - dodała.

- Czemu chcesz wiedzieć?
- Tak się zastanawiam.

Johan spojrzał w stronę szopy, gdzie Kalle wygłaszał teraz swoją tyradę, grożąc, że każdego, kto nie przyjdzie na występ Simona w Domu Ludowym, osobiście wrzuci do morza.

- Powiedział, żebym się nie martwił. Że zostanie w wodzie chwilę dłużej, dla większego efektu - tłumaczył Johan.
- Dlaczego tak powiedział?

Chłopak spojrzał na matkę, jakby chciał się upewnić, czy sobie z niego nie drwi.

- Żebym się nie denerwował, oczywiście. Tak jak ty się denerwowałaś - dodał po chwili, patrząc na nią.

Anna-Greta nie miała siły protestować. Johan był bystry, poza tym dobrze ją znał. Więc tylko powiedziała:

- Wystarczy tego wszystkiego. Wracasz ze mną do domu?
- Nie, jeszcze chwilę zostanę - odpowiedział.

Stał, kręcił głową i nadal wpatrywał się w wodę.

Anna-Greta otuliła się szczerzej swetrem i zeszła z pomostu, oddalając się od ludzi. W połowie drogi do domu odwróciła się i spojrzała w stronę portu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała taki tłum na nabrzeżu, chyba nawet w noc świętojańską nie było tu tylu ludzi.

Johan nie został na pomoście, tylko dołączył do otaczającego Simona grona wielbicieli.

No cóż, pomyślała Anna-Greta. Dobrze, że przynajmniej powiedział to Johanowi. Okazał troskę.

Ruszyła w stronę domu, myśląc sobie w duchu: Mnie tego nie powiedział.

Wieczorem tego samego dnia Simon siedział przy stoliku w ogródku i pił koniak. Ostatni stateczek zawinął już do portu, a Marita nadal nie dawała znaku życia. Nieco dalej przy przystani kąpała się młodzież.

Bolało go całe ciało, najbardziej łopatki i staw barkowy. Podejrzewał, że jest zwichnięty. Pewnie stało się to, gdy usiłował pozbyć się łańcuchów. Nie było to trudne, bo mężczyźni na szczęście prawie nie użyli sznurka, ale ponieważ łańcuchy były mocno ściągnięte, wyzwolenie się z nich zajęło mu blisko minutę. Gdyby worek był porządnie związany sznurkiem, nie miałby jej i musiałby od razu płynąć na powierzchnię, na szczęście jednak było inaczej, mógł więc spokojnie podpłynąć do ostatniego pomostu i wyjść z wody tuż za cumującymi przy nim łodziami. Osiągnął zamierzony efekt, spodziewał się więc sporo widzów na planowanym przedstawianiu w Domu Ludowym.

Uniósł kieliszek do ust i nagle się skrzywił, poczuł ból w klatce piersiowej. Długo już tak nie wytrzymam, pomyślał. Jego ciało płaciło zbyt wysoką cenę. Jakiś mężczyzna postanowił kiedyś pokazać, co to znaczy porządnie kogoś związać, i złamał mu żebro. Po tym zdarzeniu Simon przestał obiecywać nagrody. Ludzie i tak mieli mnóstwo zapału.

Był jasny letni wieczór, latarnia Gåvasten mrugała przyjaźnie, jej reflektor zdawał się jedynie niewielką kropką, nierzucającą wiązek światła na morze.

Powinien się cieszyć.

Numer się udał, wieczór był piękny, a koniak przyjemnie rozgrzewał jego sztywne ciało. Powinien się cieszyć.

Ale tak było często. Po udanym numerze, kiedy już wybrzmiały oklaski i uciekł gwar, następowała tym większa pustka. Poza tym Marita znów zniknęła, a on wypił o jeden kieliszek więcej, niż powinien. Nie zamierzał się stoczyć i skończyć jak wielu jego kolegów, utonąć w morzu alkoholu i już nigdy nie wypłynąć na powierzchnię. Jednak akurat tego wieczoru uznał, że sobie na to zasłużył.

Pewnie tak to się zaczyna, pomyślał, nalewając sobie kolejny kieliszek.

Niepokoił się o Maritę nie tylko jako o żonę, bardziej jako o swoją asystentkę. Za trzy dni miały się rozpocząć występy w Nåtén. Jeśli się nie pojawi, będzie musiał zrezygnować z kilku najlepszych numerów: z czytania w myślach i ze sztuczki z pudłem na kapelusze. Występ zapewne i tak się uda, ale szkoda mu było zrezygnować z przygotowanych wcześniej sztuczek.

Wypił kolejny łyk i westchnął. Nie tak wyobrażał sobie swoje życie. Co prawda funkcjonował, ale niewiele poza tym. Gdzieś po drodze zgubił całą radość życia. Pozwolił wzrokowi spocząć na wodzie, która w wieczornym świetle przypominała jedwab. W oddali słychać było głosy mew.

Cóż. Radość istniała. Tylko akurat nie tutaj.

Nagle usłyszał za sobą szuranie nóg i jakiś szelest. Z trudem odwrócił się na krześle i zobaczył zmierzającego w jego kierunku Johana, pchającego przed sobą taczkę. Zarzucił na siebie obszerną kraciatą koszulę, włosy miał nadal mokre.

- To ty? Co wiesz? - spytał Simon.

Johan uśmiechnął się pod nosem i podjechał bliżej z taczką, w której leżały zostawione na dnie łańcuchy i kłódki. Przechylił taczkę, wysypując je u stóp Simona.

- Uznałem, że to marnotrawstwo.

Simon się roześmiał. Miał ochotę pogłaskać chłopca po głowie, ale nie bardzo mógł wstać, poza tym nie był pewien, czy byłoby to właściwe. Tak więc pokiwiał jedynie głową i powiedział:

- Masz rację. Dziękuję. Usiądź, jeśli chcesz.

Chłopiec usiadł na krześle ogrodowym i odetchnął z ulgą.

- Jak sobie z tym poradziłeś? - spytał Simon. - Musiało ci być ciężko.

- To prawda. Nie mogłem ich unieść, więc zaczepiłem o hak i dociągnąłem do brzegu. Po jednym łańcuchu.

Tak zwykle robił też Simon. Tym razem zresztą też zamierzał tak postąpić, tyle że za jakiś czas. Nie chciał wspominać o tym Johanowi. Był mu wdzięczny, że go to ominie.

- Nieźle sobie poradziłeś - pochwalił go.

- Drobiazg - odpowiedział Johan, wkładając rękę do kieszonki koszuli.

- I jeszcze to - dodał. - Leżało w worku.

Podał mu cienki, przypominający trójkąt kawałek metalu, i posłał mu porozumiewawcze spojrzenie. Simon uniósł do góry brwi i schował kawałek metalu do kieszeni.

- Nadal jednak nie pojmuję, jak ty to robisz - powiedział chłopiec, odchylając się do tyłu na krześle.

- A chciałbyś wiedzieć?

- Tak! - wykrzyknął Johan, nagle się prostując.

Simon skinął głową.

- Idź, przynies jakiś napój. W lodówce jest pommac. Na stole w kuchni leży mój portfel. Weź sobie piątką za pomoc. A potem przyjdź, to wszystko ci opowiem.

Johan wstał i wbiegł do domu. Po pół minucie był z powrotem. Simon nie bardzo rozumiał, dlaczego mu to obiecał. Tak po prostu mu się wymsknęło. Zwykle nie zdradzał swoich tajemnic. Pewnie była to wina koniaku i może nastrój chwili. Poza tym Johan i tak już wiedział, że to oszustwo.

Więc opowiedział mu wszystko. Kiedy skończył, butelka pommacu była pusta, a fiord zamienił się w granatowy dywan, na którym światło latami Gávasten zostawiało drobne świetlne rysy. W powietrzu dał się słyszeć trzepot nietoperza, wyruszającego na nocne łowy.

Johan beknął, gazowany napój zrobił swoje.

- I tak jest to niebezpieczne - powiedział.
- Pewnie tak - potwierdził Simon. - Ale jeśli człowiek uważa na... - przerwał, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

- Tylko niech ci nie przyjedzie do głowy mnie naśladować - ostrzegł chłopca, unosząc do góry palec.

- Jasne, że nie.

- Obiecujesz? - spytał Simon, wyciągając do niego rękę. - Przybijemy piątkę?

Johan się roześmiał i dotknęli się dłońmi. Chłopak zerknął na swoje palce, jakby szukał na nich śladów zawartej przed chwilą umowy.

- Matka chyba się trochę w tobie podkochuje - wypalił nagle.

- Dlaczego tak myślisz?

- Trochę dziwnie się zachowuje - powiedział, wzruszając ramionami.

Simon wypił ostatni łyk koniaku i nie dolał sobie więcej. Dość, rozgrzał się już wystarczająco. Uniósł kieliszek, pozwalając, by promień światła z latarni załamał się w resztkę alkoholu na samym dnie.

- Dziwnie można się zachowywać z różnych powodów.

- Pewnie tak... Ale ona zachowuje się tak szczególnie dziwnie.

Simon zerknął na chłopca.

- Tak się na tym znasz? - spytał.

- Znam mamę.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Jedyne dźwięk, jaki do nich docierał, to trzepotanie nietoperzy, które pikowały, podążając za czymś, czego oni nie mogli dojrzeć. Nagle z portu doszedł ich dźwięk zapalnego silnika i nastrój prysł.

- Pomożesz mi wstać? Trochę zesztyniałem. Jutro będzie lepiej.

Johan wyciągnął rękę i pomógł Simonowi wstać z krzesła. Stali teraz naprzeciwko siebie. Obserwowali się chwilę, po czym Simon poklepał chłopca po ramieniu, mówiąc:

- Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc. Do jutra.

Johan przytaknął, wziął taczkę i odszedł. Simon śledził go wzrokiem. Kiedy chłopak zniknął w mroku pod klonami, prychnął:

- Trochę dziwnie się zachowuje... - zamruczał pod nosem.

W końcu dotarł do domku, wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Gość

Następnego ranka Simon odbył kilka rozmów telefonicznych, usiłując wytropić Maritę, ale bez powodzenia. Potem usiadł w altance pod bzem z kartką papieru i ołówkiem w ręku; postanowił opracować alternatywny program zbliżającego się występu w Domu Ludowym.

Praca nie bardzo mu szła. Myślni był daleko. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle nadal to wszystko robi, jaki to ma sens, i jak można żyć, skoro jest to życie bez przyszłości, czy w ogóle warto?

Taki był jego nastrój, kiedy usłyszał, jak Anna-Greta mówi: „Dziękuję za wczorajszy występ”, mijając go w drodze na pomost. Poprosił, żeby zatrzymała się na chwilę, więc usiadła na krześle naprzeciwko niego. Zdawała się zdenerwowana. Simon zaczął się zastanawiać, czy była to oznaka tego „trochę dziwnego zachowania”, ale oczywiście nie zadał tego pytania na głos.

Rozmawiali chwilę o wszystkim i o niczym, nie poruszając żadnych niebezpiecznych tematów. Anna-Greta właśnie poprawiała się na krześle, kiedy nagle Simon zdał sobie sprawę, że są obserwowani. Przy wejściu do ogrodu stała Marita i przyglądała się im. Simon poczuł się złapany na gorącym uczynku i już miał się zerwać z krzesła, ale w ostatniej chwili złość zwyciężyła nad wyrzutami sumienia. Siedział więc nadal, patrząc na żonę z kamienną twarzą.

Marita zamrugała. Jej powieki poruszały się w szalonym tempie, jakby czuła przymus zamykania ich i otwierania, mimo że przychodziło jej to z dużym wysiłkiem. Włosy miała brudne, oczy podkrążone. Stała i drapała się po ręku.

- Proszę, proszę, jakie gołąbeczki - mruknęła.

Simon nadal jej się przyglądał. Kątem oka zauważył, że Anna-Greta wstaje i gestem ręki dał jej do zrozumienia, żeby została na miejscu. Cichym głosem zadał żonie pytanie, które od lat powtarzał niczym mantrę.

- Gdzie byłaś?

Marita wykonała nieokreślony gest głową, który mógł znaczyć cokolwiek: „Trochę tu, trochę tam, może gdzieś w kosmosie”. Stała przed Simonem, spojrzała na niego i powiedziała:

- Potrzebuję pieniędzy.

- Na co?

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła, Simon usłyszał kląsknięcie, kiedy jej język odkleił się od podniebienia.

- Wyjeżdżam do Niemiec.

- Nie możesz. Musimy pracować.

Marita patrzyła to na Annę-Gretę, to na Simona. Trudno jej było skupić wzrok.

- Jadę do Niemiec, Musisz dać mi pieniądze.

- Nie mam pieniędzy, poza tym nie możesz jechać do Niemiec. Idź do domu i się prześpij.

Marita zaczęła wolno kręcić głową. Można było odnieść wrażenie, że nie jest w stanie przestać, jakby jej głowa była wahadłem zegara, które nie może się zatrzymać, bo wtedy czas stanąłby w miejscu.

- Pójdę już - odezwała się nagle Anna-Greta, wstając.

Jej głos przyciągnął uwagę Marity.

- A ty masz pieniądze? - spytała, wskazując na nią ręką.

- Nie, dla ciebie nie mam.

Usta Marity ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

- Próbujesz skraść mi męża. Wiesz, że za takie rzeczy trzeba płacić.

Simon zerwał się z krzesła, chwycił Maritę za rękę i pociągnął za sobą w stronę domu.

- Zamknij się! - krzyknął.

Marita potknęła się, ale Simon dalej ciągnął ją za sobą po trawniku, w stronę schodów. Po kilku metrach zaczęła krzyczeć:

- Ratunku! Ratunku!

Simon spojrzał na Annę-Gretę, jakby chciał przekazać jej wzrokiem jakąś wiadomość, powiedzieć „Przepraszam”, albo „Proszę, nie osądzaj mnie”. Zanim jednak zdążył to zrobić, zobaczył, że zza krzaków bzu wychodzi mężczyzna, który najwyraźniej stał tam cały czas i czekał.

Marita wyrwała się Simonowi, podpełzła na czworakach do mężczyzny i żalnym głosem powiedziała:

- Rolf, on mnie bije.

Rolf był potężnej postury, z łatwością mógłby unieść Simona do góry. Jasny, nieco pognieciony garnitur podkreślał jego mięśnie. Widać było jednak także, że nie kontroluje swojego ciała. Zbliżył się do Simona, ale jego krok był nierówny, a ręce bezwładnie zwisały wzdłuż ciała. Był czerwony na twarzy, z nosa schodziła mu skóra. Kąciki ust miał nienaturalnie opuszczone, jakby przeszedł udar.

- Nie wolno ci bić żony. Daj jej pieniądze.

Marita skuliła się u stóp Rolfa, scenka jak z okładki taniego romansu. Serce Simona biło mocno, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał olbrzymowi w oczy: białka były przekrwione.

- A co ty masz z tym wspólnego... Rolf? - spytał.

Rolf nadał policzki i jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki. W połączeniu z opadającymi kącikami ust sprawiało to dziwne wrażenie i Simon musiał pohamować śmiech. Przez chwilę źrenice oczu Rolfa poruszały się niespokojnie.

- Nie podoba ci się moje imię, tak? Uważasz, że jest śmieszne?- spytał.

- Nie - odpowiedział Simon, kręcąc głową. - To bardzo ładne imię, tylko nie do końca wiem, co ty masz z tym wszystkim wspólnego.

Rolf zamrugał i spuścił wzrok. Poruszał wargami, jakby dokładnie analizował słowa Simona, zastanawiając się nad odpowiedzią. Marita patrzyła na niego jak na wyrocznię. Simon rozejrzał się i zauważył, że Anny-Grety nie było już w pobliżu. Zaczął w myślach szukać rzeczy, które mogłyby posłużyć mu do obrony. Łopata stała oparta o schody jakieś dziesięć metrów od niego. W tym momencie Rolf się odezwał:

- Więc nie zamierzasz dać jej pieniędzy?

- Nie.

Mężczyzna westchnął. Położył dłoń na rękę Simona, jakby chciał mu się z czegoś zwierzyć, i zanim Simon zdążył zareagować, przyciągnął do siebie jego prawą dłoń, chwycił mały palec i odgiął do tyłu, zmuszając w ten sposób Simona do padnięcia na kolana obok Marity. Żona patrzyła na niego w sposób, który jasno dawał mu do zrozumienia, że z jej strony nie może liczyć na żadną pomoc. Sprawiała wręcz wrażenie... podnieconej.

Ona chciała tego.

Rolf coraz bardziej odgiął mu palec i zanim Simon zdążył cokolwiek powiedzieć: że da im pieniądze, zabije ich, czy zabierze na rejs po morzu, nacisnął jeszcze raz, łamiąc mu go. Simon poczuł spazm bólu, z jego ust dobyło się kaszlnięcie. W ułamku sekundy przemknęły mu przed oczami rzeczy, których już nigdy nie będzie w stanie robić.

karty, chusteczki, sznurki, podarte gazety

Potem paraliż minął i zaczął krzyczeć. Widział, że jego palec zwisa bezwładnie jak kawałek szmatki i ból zatruł mu krew, a w oczach pokazały mu się łzy. Znow krzyknął, bardziej z rozpaczy niż z bólu. Marita siedziała i patrzyła na niego w milczeniu.

Nagle Rolf znow na niego napadł. Położył go na ziemi, usiadł mu na klatce piersiowej, chwycił jego rękę i przycisnął do kamienia. Z kieszeni marynarki wyjął składany nóż i otworzył go, posługując się drugą ręką i zębami. Oparł krawędź noża o kamień tuż nad bezwładnym palcem Simona.

Znów zdawał się potrzebować nieco czasu na zebranie myśli. Patrzył na twarz Simona, na jego rękę, jakby nie był w stanie pojąć, jak to wszystko się stało. Wyraźnie potrzebował chwili do namysłu, żeby się zastanowić, co dalej.

Simon leżał cicho, obserwując niewielką chmurkę, przesuwaną się właśnie nad głową Rolfa. Przez moment można było odnieść wrażenie, że Rolf ma aureolę. Potem jednak chmurka się przekrzywiła i szybko powędrowała dalej. Gdzieś nad wodą krzyczała mewa i na kilka sekund Simona ogarnął błogi spokój. Potem Rolf zaczął mówić.

- Jesteś magikiem. Więc potrzebujesz palców, prawda?

Simon nie odpowiedział, nawet się nie poruszył. Słyszał, jak fale uderzają o kamienie na brzegu. Dźwięk był wyraźny, brzmiał dziwnie zdecydowanie. Poczł nagle, jak bardzo jest spragniony. Tymczasem Rolf najwyraźniej znów przemyślał sprawę i ciągnął dalej:

- No więc teraz odetnę ci mały palec. Potem zabiorę się do... jak on się nazywa? Do palca serdecznego. Złamię go. A potem odetnę. I tak dalej - mówił, kiwając głową, jakby dla potwierdzenia własnych słów.

Zdawał się zadowolony, że udało mu się wszystko tak jasno i klarownie wyrazić.

- Kiedy skończę, będziesz chyba musiał rzucić czarowanie - podsumował. - Chyba że... - dodał i urwał.

Spojrzał na Simona i uniośł brwi, dając mu do zrozumienia, że to on powinien dokończyć zdanie. Kiedy Simon tego nie zrobił, westchnął i znów pokręcił głową. Potem odwrócił się do Marity, która siedziała skulona na trawniku, śledząc przebieg wydarzeń spod na wpół przymkniętych powiek.

- Mówiłaś, że to będzie proste.

Marita ponownie wykonała ruch głową, który mógł znaczyć cokolwiek. Rolf skrzywił się i zwrócił się do Simona:

- Sam jesteś sobie winien. Nic na to nie poradzę.

Skupił się na leżącej na kamieniu dłoni Simona. Jeden ruch i Simon mógł stracić palec.

- Zostaw go!

Cienki głos Anny-Grety przerwał trwającą już od dobrej minuty czy nawet dwóch ciszę. Rolf odwrócił głowę, sprawiał wrażenie zmęczonego. Anna-Greta szła w jego stronę, trzymając w ręku śrutówkę z podwójną rurką.

- Odejdź od niego! - krzyknęła.

Nastąpiła długa przerwa. Anna-Greta stała metr od Rolfa i mierzyła do niego z dwururki. Rolf najwyraźniej znów musiał poświęcić chwilę na dokładne przeanalizowanie rozwoju wydarzeń. Jego wzrok powędrował gdzieś ku morzu,

wargi się poruszały. Po chwili wstał. Dwururka skierowana była prosto w jego pierś.

- Rzuć nóż - nakazała mu kobieta.

Rolf skinął głową i niezwykle starannie złożył nóż i schował go do kieszeni. Śrutówka drgnęła, kiedy Anna-Greta wykonała ruch ręką w stronę przystani.

- Idźcie stąd. Precz!

Dopiero w tym momencie Simon uświadomił sobie, że przecież on też tu jest. I może uczestniczyć w przebiegu zdarzeń. Nie miał co prawda czucia w ręce, a kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuł, że nie może wstać. Spróbował usiąść, trawnik zaczął się huścić jak pokład statku.

Rolf zrobił krok w stronę Anny-Grety, która zaczęła się cofać, na przemian to podnosząc, to opuszczając broń.

- Stój! Bo cię zastrzelę!

- Nie - odpowiedział Rolf spokojnie i sięgnął ręką po śrutówkę. Kobieta znów się cofnęła i w tym momencie przegrała. Kiedy Rolf po raz kolejny spróbował chwycić broń, odsunęła ją na bok, zamiast pociągnąć za spust. Rolf zrobił krok do przodu i uderzył ją otwartą dłonią tuż nad uchem. Kobieta potknęła się i upadła. Śrutówka poleciała w krzaki leszczyny, a Anna-Greta skuliła się na trawniku i, jęcząc, przycisnęła dłoń do ucha.

- Jest niewiarygodny, prawda? - usłyszał Simon głos Marity, kiedy próbował wstać.

Anna-Greta leżała kilka metrów dalej, nad nią pochylał się Rolf. Mózg Simona nie pracował, jak powinien; nie potrafił się zdecydować, czy ma szukać łopaty, czy też po prostu rzucić się do przodu.

Zanim zdążył podjąć decyzję, rozległ się furkot, jakby przeleciał jakiś duży owad, rozległo się stuknięcie i jakaś siła rzuciła Rolfa na bok. Kiedy Simonowi w końcu udało się stanąć na nogi, zobaczył, że w altance stoi Johan i ściska w rękę wiatrówkę. Teraz opuścił ją i stał, gryząc dolną wargę.

Rolf wstał. Na jego skroni widać było ciemną plamkę, pojawiło się też kilka kropli krwi. W oczach miał szaleństwo. Już się nie zastanawiał, nie potrzebował czasu do namysłu. Wyjął nóż, rozłożył go i ruszył prosto na Johana.

Simon, który niemal deptał mu po piętach, zamiast starać się go powstrzymać, zanurkował w krzaki leszczyny po śrutówkę. Chwycił ją i zawołał:

- Stój, diable!

Rolf nie słuchał go.

Johan puścił wiatrówkę, która po oddaniu strzału i tak była bezużyteczna, i ruszył biegiem do domu, Rolf za nim, z nożem w rękę. Simon, krzywiąc się z bólu, przyłożył śrutówkę do ramienia dokładnie w momencie, kiedy Rolf zniknęła za krzakiem bzu, jakieś piętnaście metrów od nich.

Nigdy jeszcze nie strzelał ze śrutówki, wiedział jednak, że śrut ma duży rozrzut. Wycelował w krzaki bzu i pociągnął za spust.

W ciągu niespełna sekundy wydarzyło się kilka rzeczy. Rozległ się ogłuszający huk; odrzut był tak silny, że Simon upadł na plecy w krzaki leszczyny. Wcześniej zdążył jednak zobaczyć, jak w krzaku bzu robi się dziura i w powietrzu, niczym wystraszone motyle, zaczynają się unosić kawałki liści. Kiedy zaś poczuł na plecach dotknięcie pierwszych gałęzi leszczyny, rozległ się wrzask Rolfa.

Simon widział, jak leszczyna się nad nim zamyka; upadł na skrzącą się zieleni, nie wypuszczając z rąk strzelby. Rolf nadal wrzeszczał. Simon zatrzymał się nagle na jakiejś grubszej gałęzi. Czuł, jak rani mu plecy. Chwycił się pnia pobliskiego drzewa i ciężko oddychał. Leżał w leszczynie i myślał w rytm swojego oddechu:

Trafiłem go. Trafiłem go. Trafiłem go.

Dopiero kilka sekund później, kiedy wyswobodził się z gałęzi i zobaczył Annę-Gretę z rękami przy ustach i kiwającą się na boki Maritę, przyszły mu do głowy inne myśli:

A jeśli go zabiłem, a jeśli go...

Rolf przestał wrzeszczeć. Simon usiłował przełknąć ślinę, ale w ustach miał sucho.

Pięć. Tak strasznie chce mi się pić.

Kropla potu wpadła mu do oka, zakłócając pole widzenia. Starł ją i zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, zobaczył stojącą obok Annę-Gretę. Zezowała i najwyraźniej coś ją bolało. Wskazała na jego rękę, w której trzymał strzelbę; usiłowała mu coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Simon spojrział na strzelbę. Dopiero teraz odkrył, że ma dwa spusty. On pociągnął za zewnętrzny. W drugiej rurce nadal był śrut. Anna-Greta pokiwała głową i znów przyłożyła rękę do ucha. Ruszyła w stronę krzaków bzu, Simon podążył za nią z gotową do strzału śrutówką.

Rolf się ruszał, więc nie umarł. Rzucił się na ziemi, jakby próbował zrzucić z siebie niewidzialną marę. Marynarkę miał w strzępach, lewe ramię krwawiło, na plecach też miał plamę krwi. Najwyraźniej został trafiony tylko częścią śrutu. Gdyby Simon pociągnął za oba spusty, Rolf prawdopodobnie już by się teraz nie ruszał.

Od strony ogrodu zbliżał się do nich Johan. Podszedł niepewnym krokiem do leżącego na ziemi mężczyzny, jakby ten był rannym zwierzem, które w każdej chwili może się zerwać i ponownie zaatakować. Obszedł go i padł w objęcia Anny-Grety. Matka zaczęła gładzić go po włosach, stali dłuższą chwilę w milczeniu.

- Weź rower i pojedź po doktora Holmströma - przerwała w końcu milczenie Anna-Greta. - I po Görana - dodała.

Johan pokiwał głową i ruszył biegiem po rower. Pół minuty później pedałował już drogą. Rolf się uspokoił, leżał i tylko od czasu do czasu zaciskał jedną pięść. Simon stał z wycelowaną w niego wiatrówką i palcem na spuście. Było mu niedobrze.

To nie jestem ja. To nie przytrafiło się mnie.

Po dwudziestu minutach przybyli i lekarz, i policjant. Rany Rolfa nie zagrażały życiu, chociaż były bolesne. Kilkanaście kawałków śrutu wbiło mu się w mięśnie lewego przedramienia i wokół łopatki. Został tymczasowo opatrzony, żeby zatamować krwawienie. Wezwano karetkę. Göran sporządził raport, który miał zostać uzupełniony w komisariacie w Norrtälje, i zarówno on, jak i lekarz wrócili do domu, uzgodniwszy wcześniej, że następnego dnia spotkają się w komisariacie.

Simon, Anna-Greta i Johan siedzieli w milczeniu w zarośniętej bzem altance. Poszarpane liście żywopłotu były jedynym świadectwem tego, że zaledwie kilka godzin temu wdarła się tu przemocą ciemność. Tak jak lekki ruch palcem może wyzwolić grad śrutu, tak trwające zaledwie pięć minut zdarzenie może mieć wpływ na kolejne dni, a nawet lata. Niekiedy trudno przewidzieć konsekwencje, niekiedy jest zbyt wiele do powiedzenia i wtedy pozostaje milczenie.

Johan wypił pommac, Simon kończył piwo, Anna-Greta nic nie piła. Wszyscy, w różnych momentach i na różne sposoby, przyszli sobie na ratunek w tej gmatwaninie zdarzeń, wywołanych przez pojedynczy akt przemocy. Wdzięczność i wstyd mieszały się ze sobą, a słowa przychodziły z trudem.

- Przykro mi, że zostaliście w to wciągnięci - powiedział Simon cicho, skubiąc palcami bandaż.

- Daj spokój. Nie mogłeś nic na to poradzić - uspokoiła go Anna-Greta.

- Wiem. Ale i tak jest mi przykro. Przepraszam.

Kiedy minął pierwszy szok, zaczęli ostrożnie rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Kontynuowali tę rozmowę także wieczorem, podczas skromnej kolacji w domu u Anny-Grety i Johana. Około dziewiątej znów zapadła cisza, ale już innego rodzaju; nastąpiło zmęczenie materiału, w tym przypadku języka. Nie mieli już siły słuchać własnych głosów i Simon wrócił do siebie.

Usiadł przy stole w kuchni i zaczął rozwiązywać krzyżówkę, żeby rozproszyć myśli. Chociaż nigdy tego nie robił, tym razem wyciął ją, napisał swój adres i włożył do koperty. Kiedy skończył, letnia noc za oknem nadal była jeszcze fioletowo-niebieska. Żałował, że odrzucił propozycję przenocowania na ławie w kuchni. Myślami ciągle wracał do wydarzeń dnia. Do tej pory jego przyszłość rysowała się ponuro, ale była przewidywalna, był w stanie wyobrazić sobie, jak

brnie przez kolejne lata swojego życia. Teraz już tego nie potrafił.

Podobnie jak odrzut broni sprawił, że upadł, tak sam moment oddania strzału spowodował, że odrzucił wybraną kiedyś drogę. Nie przerażał go sam czyn, będący wynikiem paniki i wyższej konieczności, tylko to, co działo się w nim samym.

Pociągając za spust, miał przed oczami widok eksplodującej głowy Rolfa; ba, wręcz chciał, żeby tak się stało. Kiedy Anna-Greta potem wskazała na śrutówkę, a on zobaczył, że tkwił w niej jeszcze jeden nabój, chciał w pierwszym odruchu strzelić do Marity, zabić ją. Dokonać egzekucji. Chciał, żeby jej głowa też eksplodowała. Żeby zniknęła na zawsze.

Oczywiście nie zrobił tego. Ale przyszło mu to na myśl. Miał ochotę to zrobić. Być może nawet zrobiłby to, gdyby nie było świadków. Jakby została mu narzucona inna wersja własnej osoby: stał się kimś, kto zabijał każdego, kto stanął mu na drodze. Nie było to miłe, a jednocześnie właśnie było; zyskał świadomość, że jeśli zechciałby, to od dzisiaj mógłby stać się kimś innym.

Tylko kim? Kim jestem? Kim będę?

Mimo że już się położył, myśli nadal nie dawały mu spokoju. Było mu wstyd. Wstydził się tego, co zrobił i tego, czego nie zrobił, wstydził się swoich myśli i tego, kim był. Próbował skupić się na swoim występie w Nåtén, zastanawiając się, jak sobie poradzi ze złamanym palcem, ale gdy jedne myśli odpływały, zaraz zastępowały je inne.

Po kilku godzinach zapadł w niespokojną drzemkę, która jednak już po chwili została zakłócona jakimiś trzaskami, stukaniem, waleniem. Słyszał pukanie. Szybko wstał i rozejrzał się po pokoju. Ktoś pukał. Ktoś chciał wejść. Na niebie nadal było jeszcze trochę światła, na tle okna sypialni zobaczył zarys czyjejś głowy.

Odetchnął i otworzył okno. Na zewnątrz, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stała Anna-Greta. Miała na sobie białą koszulę nocną.

- Mogę wejść? Na chwilę?

Simon instynktownie wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wejść przez okno, ale natychmiast się opamiętał.

- Zaraz ci otworzę - powiedział.

Anna-Greta obesła dom, Simon otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Drewno wyrzucone na brzeg

Ktoś dotyka guzika I nagle wszystko traci sens

Bright eyes - *Hit the switch*

Sen o Elin

Przez bite dwie godziny Simon i Anna-Greta opowiadali swoją historię. Kiedy skończyli, Anders wstał i przeciągnął się, słysząc było, jak trzeszcza mu kolana. Pogoda za oknem ani się poprawiła, ani pogorszyła. Drobne krople deszczu pieściły delikatnie szybę, wiatr nadal targał korony drzew, ale już delikatniej. Może wybierze się na spacer, czuł potrzebę ruchu.

Simon wziął tacę i wyszedł do kuchni, Anna-Greta zmiotła ze stołu ostatnie okruszki. Anders przyglądał się jej pomarszczonym dłoniom i wyobraził sobie, jak trzymała w nich śrutówkę.

- Co za historia - powiedział.
- Owszem, ale nic poza tym - skwitowała Anna-Greta.
- Co masz na myśli?
- Dokładnie to, co powiedziałam. Prawdy nigdy nie poznamy, ponieważ znamy ją tylko z opowiadań. Te wydarzenia, nawet dla osób bezpośrednio w nie zaangażowanych, są dzisiaj jedynie historyjką - powiedziała Anna-Greta, nadal trzymając w dłoni okruszki.
- Więc to nie było tak?
- A któż to może wiedzieć? Po tylu latach - odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Anders ruszył za nią do kuchni, gdzie Simon ostrożnie wkładał odświętną zastawę do zmywarki. Anna-Greta otrzepała nad zlewem ręce z okruszków i wyjęła proszek do zmywarki. Poruszali się pewnie, jak w codziennym tańcu, którego wszystkie kroki mieli od dawna przeciwiczone. Anders przyglądał się im, mając wrażenie podwójnej ekspozycji.

Córka przemytnika i czarodziej. Włączają zmywarkę.

Nieważne, czy historia był prawdziwa, czy nie, ale porządnie namieszała mu w głowie. Musiał wytworzyć nowe punkty odniesienia, połączyć ze sobą inne sekwencje obrazów, jego zwoje mózgowie musiały przetrawić wszystkie nowe informacje, co było fizycznie męczące.

- Przejdę się - oświadczył.
- Nie chcesz nic do jedzenia? - spytała babcia, wskazując ręką na lodówkę.
- Później coś wezmę. Dziękuję za kawę. I za opowieść.

Anders wyszedł z sionki, zapalił papierosa i ruszył ogrodową alejką. Mijając ścieżkę prowadzącą do domku Simona, zatrzymał się i zaciągnął.

Tutaj tata biegł z wiatrówką. A potem już bez wiatrówki.

Wiatrówka stała zresztą nadal w szafie w domu. Kiedy był mały, próbował nawet raz z niej strzelać. Okazało się, że w rurce jest luz i ciśnienie było tak słabe, że śrut zatrzymywał się gdzieś po drodze. Zastanawiał się, czemu ojciec ją zachował. Teraz już wiedział.

Słyszał szelest spadających liści, a rosa moczyła mu włosy. Ruszył w stronę sklepika. Stateczek pasażerski właśnie odpływał z przystani, zostawiwszy na nabrzeżu niewielką grupę uczniów. Siedmioletnia dziewczynka z tornistrem podskakującym wesoło na plecach biegła w jego stronę. To była Maja - *nie, nie* - która w końcu - to nie jest Maja.

Musiał się opanować, żeby nie klęknąć, by wziąć dziewczynkę w ramiona.

Bo to mogła być Maja. Każde dziecko w wieku siedmiu, ośmiu lat mogło być Mają. Ta myśl doprowadzała go do rozpacz w pierwszych miesiącach po jej zniknięciu. Te wszystkie dzieci, które mogły być, a jednak nie były Mają. Tysiące podekscytowanych, radosnych albo smutnych twarzy, drobne ciała w ciągłym ruchu i żadne nie było tym właściwym. Nie było jego córeczką, bo ona zniknęła i nie było jej.

Tak bardzo ją kochał. Ktoś inny powinien zniknąć. Ktoś niekochany. Dziewczynka minęła go, odwrócił się, zobaczył jej znikający w oddali plecak z miśkiem Bamse na klapie.

To powinnaś być ty.

Po zniknięciu córeczki przerwał studia pedagogiczne. Nigdy nie byłby w stanie pracować z dziećmi. Czuł się rozdarty. W pierwszym odruchu miał ochotę wszystkie je objąć i przytulić, ale z drugiej strony czuł do nich niechęć, dlatego że w ogóle istniały.

Na ścianie sklepika wisiało już na haczykach kilka toreb na pocztę, niektórzy zawiesili stare plastikowe skrzynki, stały też wiadra z pokrywkami, na których tuszem był wypisany numer skrzynki. Anders przypomniał sobie, że też musi

coś zawiesić, żeby listonosz miał gdzie zostawić kopertę z wywołanymi zdjęciami.

Przystań był pusta, grzywiaste fale pieniały się na morzu, wiatr targał zawieszonymi na ścianie torebkami. Słychać było nieregularne trzeszczenie. Anders wyostrzył słuch, próbując zidentyfikować dźwięk. Dochodził od strony schodków do sklepiku, albo gdzieś zza niego.

Podszedł bliżej i odkrył źródło dźwięku. Zrobił krok do tyłu, jęknął, włoski na rękach mu się zjeżyły. Zobaczył przed sobą figurkę lodziarza reklamującego lody GB.

Figurka została zamontowana na sprężynie przytwierdzonej do cementowego bloczka; kiedy poruszał nią wiatr, zaczynała się bujać, wydając zawodzące dźwięki. Zwykle lodziarz stał z przodu, przed wejściem, po sezonie został jednak przeniesiony na tył sklepu. Anders patrzył na roześmianą twarz lodziarza i puls mu przyspieszył, oddech stał się nierówny. Zakrył usta dłonią, usiłując głęboko oddychać.

To tylko figurka lodziarza. Nic groźnego.

Tak zwykle mówił. Do Mai. To Maja bała się lodziarza, nie on.

Wszystko zaczęło się od żartu. Maja bała się łabędzi. Nie tych pływających po morzu, co byłoby zrozumiałe. Nawet Anders czuł przed nimi pewien respekt. Maja jednak bała się, że jakiś łabędź wejdzie do domu przez drzwi albo przez okno, kiedy ona będzie leżała i spała w swoim łóżku.

Ponieważ Maja zawsze cieszyła się na widok lodziarza - oznaczał, że dostanie loda - więc Anders próbował obrócić wszystko w żart, mówiąc:

- Łabędzie nie są groźne, nie musisz się ich bać. Nie są groźniejsze niż lodziarz. A przecież nie boisz się, że lodziarz przyjedzie do ciebie w nocy, prawda?

Rezultat był taki, że Maja nie przestała się bać łabędzi, ale zaczęła się także bać figurki lodziarza. Dotąd nie wpadła na pomysł, że mógłby prześlizgnąć się pod drzwiami z tym swoim przyklejonym do twarzy uśmiechkiem. Anders żałował swoich słów. Po tym zdarzeniu zawsze wieczorem musiał otwierać okno w jej pokoju i sprawdzać, czy nie ma w pobliżu lodziarza. Łóżko Mai było niskie, lew by się pod nim nie zmieścił, ale płaski, wycięty z plastiku lodziarz - tak.

Lodziarz był wszędzie. Był w morzu, kiedy szła się kąpać, chował się w cieniu. Był ucieleśnieniem strachu.

Teraz stał, zawodząc za ścianą sklepiku, i nagle Andersa przeppełnił strach, którego nie był w stanie pojąć. Zmusił się do spojrzenia lodziarzowi w oczy, chociaż bał się tak, że najchętniej by stamtąd uciekł.

Do domu. Napić się wina.

Pewnie to wszystko była wina alkoholu. Miał zszargane nerwy. Był przewrażliwiony. Cokolwiek było w stanie go przestraszyć. Jednak wziął się w garść.

Nie wróci do domu, nie zacznie pić. Stanie i będzie patrzył na tego cholernego lodziarza tak długo, aż tamten odwróci wzrok, aż przestanie mu zagrażać.

Lodziarz kiwał się na wszystkie strony, jakby gotował się do skoku. Anders nie spuszczał z niego oczu. Mierzyli się wzrokiem. Czuł ciarki na plecach.

Ktoś na mnie patrzy.

Odwrócił się i zrobił kilka kroków do przodu, żeby nie stać zbyt blisko kiwającej się plastikowej figurki, którą miał za plecami. Wróg czaił się wszędzie. Anders powiódł wzrokiem po pomoście, po szopach, po zwirowym placyku, po morzu. Samotna mewa walczyła z prądem powietrza, najwyraźniej nie będąc w stanie usiąść na powierzchni wody. W zasięgu jego wzroku nie było ani jednego człowieka.

Ale ktoś na mnie patrzy.

Ktoś mu się przyglądał, kiedy tak stał i, drżąc, patrzył na lodziarza; ktoś cały czas mu się przyglądał. Mimo że nie widział oczu. Bo wiedział, że ich tam nie ma.

Ktoś bez oczu patrzy na mnie.

Z walącym sercem odszedł od sklepiku i ruszył w stronę cypla Kattudden. Im dalej odchodził, tym mniej się bał. Zawodzenie lodziarza było nadal słyszalne, ale uczucie, że ktoś mu się przygląda, znikło. Szedł szybkim krokiem, minął zlikwidowaną szkołę, prawie też już nieczynny Dom Misyjny i dzwon sztormowy na białej drewnianej konstrukcji.

Uszedł kilkaset metrów, serce nadal mu waliło, ale teraz już nie tyle ze strachu, co z powodu kiepskiej kondycji; zwolnił. Wszedł do sosnowego lasu i zatrzymał się na początku wąskiej ścieżki, prowadzącej do polodowcowego głązu. Drżącymi rękami sięgnął po papierosa, zapalił go i zaciągnął się chciwie.

Co to było?

Wciąż czuł jakiś absmak, żałował, że nie ma wina, żeby go przepłukać. Papieros w jego wilgotnych palcach smakował stęchlizną, zgasił go i wdeptał w igliwie, którego wszędzie było pełno. Czuł się źle. Coś w jego ciele się zmieniało, ale nie była to zmiana na lepsze.

Zrobił krok w kierunku głązu, ale zaraz zmienił zdanie. Nie chciał tam iść. To była ścieżka jego i Cecylii, a on i Cecilia już nie istnieli, więc...

Wspomnienia. Przekłete wspomnienia.

Wszystko na wyspie było przesycone wspomnieniami. Jeśli nie jego, to kogoś innego. Gdyby tak można było pozbyć się wszystkich wspomnień. Ścieżka wiała się w lesie jak obietnica czegoś innego. Innego miejsca, innego czasu.

Muszę stąd odejść.

Powiódł w powietrzu palcem wzdłuż ścieżki, jakby w geście pożegnania.

Muszę tu być. I muszę stąd odejść.

Widział to jasno i wyraźnie. To był jego problem, w całej swej niemożliwej prostocie. Kiedy ponownie ruszył w stronę cypla, przyszło mu do głowy rozwiązanie. Praktyczny sposób, w jaki mógł pokonać swoje narastające lęki.

Szedł dalej lasem, minął czający się w ciemnościach dom Holgera. Szkiełował szczegóły swojego planu na przyszłość, nic nadzwyczajnego, nic, co byłoby nieosiągalne. Kiedy wyszedł z lasu, plan był gotowy, a on znów oddychał normalnie.

O tej porze roku cypel był wyludniony. Stojące tu domy nie nadawały się do mieszkania zimą, poza tym były za małe, nie zapewniały znośnych warunków do życia, kiedy nie było możliwości przebywania na zewnątrz.

Anders wiele swoich wakacji spędzał właśnie tu, na Kattudden. Prawie wszyscy jego koledzy byli dziećmi letników i to tutaj, w tych domkach, po raz pierwszy pił alkohol, oglądał zakazane filmy i słuchał Madonny. I robił jeszcze inne rzeczy.

Teraz było to opuszczone lotnisko w jesiennym deszczu. Domy były w większości gotowymi konstrukcjami. Kompletne pakiety ładowane były na lądzie na prom bagażowy Kallego Gripenbegra. Potem stawiano ściany, kładziono dach, wstawiano okna i drzwi i już można było się wprowadzać i cieszyć się latem! Niestety, takie domy zwykle nie starzeją się z godnością. Mimo że większość z nich była budowana lepiej niż Wpadka.

Anders szedł drogą w stronę pomostów, przyglądając się zapomnianym letnim drobiazgom i schowanym pod pokrowcami letnim meblom. Na jednej z działek została plansza z niedokończoną partią gry, jakby właściciele nagle uznali, że muszą natychmiast wracać do miasta i zrobili to, puszczając wszystko, co akurat mieli w ręku.

W jednym z domków bliżej pomostu paliło się światło. Anders był tam wiele razy: w domu Elin. Ostami raz widział ją dobre dziesięć lat temu, a nie spotykali się już chyba ponad dwadzieścia. Oglądał ją w gazetach i w telewizji, podobnie jak połowa Szwedów. Do niedawna. Potem wokół jej osoby zrobiło się cicho.

Dom należał do bardziej okazałych, miał własną studnię i pomost. W odróżnieniu od większości pozostałych został wykonany tu, na miejscu. Anders przypomniał sobie, że nie było w nim echa. Drzwi, do których zapukał, wyglądały solidnie, miały szparę na listy i wszystko, co trzeba.

Czekał. Kiedy nic się nie wydarzyło, zapukał jeszcze raz. Dobiegł go odgłos kroków i ktoś spytał:

- Kto tam?

Nie mógł to być głos Elin, należał do starszej osoby. Odpowiedział więc:

- Mam na imię Anders. Szukam Elin. Elin Grönwall.

Dopiero kiedy głośno wypowiedział jej imię i nazwisko, przypomniał sobie, dlaczego przestali się spotykać, dlaczego skończyły się wakacje i dzieciństwo.

Elin. Joel.

Udało mu się zapomnieć. Pod wpływem impulsu postanowił zapukać do drzwi, ale teraz cieszył się, że Elin nie ma w domu, że nie będzie musiał jej oglądać. Już miał odejść, kiedy drzwi się otworzyły. Anders uśmiechnął się, ale uśmiech zamarł na jego ustach, kiedy zobaczył stojącą przed sobą osobę. Gdyby nie zdjęcia na okładkach, które były świeższe niż jego wspomnienia, nie rozpoznałby kobiety, która kiedyś, dawno temu, była jego koleżanką; z drugiej strony, gdyby nie pamiętał jej z tamtego okresu, teraz nie rozpoznałby kobiety z okładki.

Co oni z nią zrobili?

Nie bardzo wiedział, kim byli ci oni, ale trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś z własnej woli doprowadził się do takiego wyglądu. Andersowi udało się unieść nieco kąciki ust.

- Cześć.

- Cześć.

Nawet jej głos był zmieniony. W wieku siedemnastu lat mówiła bardzo dziecięcym głosem, co podniecało niektórych facetów, ale z czego potem drwiono sobie w prasie. Teraz jej głos był głębszy, bardziej chropowaty. Był to głos starej kobiety, chociaż akurat ta zmiana była na lepsze, pomyślał Anders, ale oczywiście nie mógł tego powiedzieć.

- Przechodziłem obok, zobaczyłem światło, więc... - zaczął się tłumaczyć.

- Wejź.

W domu pachniało niemal tak jak dawniej, kiedy był młody. Nie odniósł wrażenia, żeby jeszcze ktoś tu mieszkał. A przecież musiał tu chyba mieszkać też ten, który zmusił ją do tego wszystkiego.

- Chcesz czegoś? Kawy? Wina? - spytała.

- Poproszę wino.

Odpowiadając, Anders podniósł głowę, ale natychmiast spuścił wzrok. Jej widok sprawiał mu przykrość. Skupił się więc na swoich sznurowadłach, a Elin zniknęła w kuchni.

Co jej się stało?

Była śliczna, kiedy była młoda, mogła przebierać w facetach. Zanim zgłosiła się do programu *Big Brother* i zanim zaczęła pozować do zdjęć na rozkładówki,

przeszła operację piersi i warg i stała się klasycznym wampem, czy raczej wampirzycą. Biegła z jednej sesji zdjęciowej na drugą, balowała, wywoływała skandale. Robiła rundę po barach i udzielała prasie wywiadów. Kiedy rozpadał się jej kolejny związek, też opowiadała o tym dziennikarzom. Tylko makijaż był za każdym razem nieco ostrzejszy.

Można sobie wyobrazić, jak człowiek za maską powoli się zmieniał: uśmiech zastygał, skóra stawała się sztywna i mniej wrażliwa, aż została tylko błyszcząca skamielina wokół pustki. Siła grawitacji pokonała urodę.

Ale to nie tłumaczyło jej przemiany. Nie tylko się zestarzała, musiało wydarzyć się coś gorszego, co nie było tylko zwykłym działaniem czasu. Z jakiegoś powodu, i w sobie tylko wiadomy sposób, zrobiła się brzydka.

Panoramiczne okno w kuchni wychodziło na wyspę Kattholmen i mimo pochmurnej pogody klinkier i nierdzewny zlew były skąpane w świetle, promieniującym z nieba i od morza. Wszystko było wyraźne jak na fotografii. Anders usiadł plecami do okna, patrząc jak Elin nalewa gato negro z kartonu. Unieśli szklanki i wypili. Anders powstrzymywał się, żeby nie pić zbyt zachłannie.

- Co u ciebie? - spytał.

Elin przeciągnęła palcem po kotku na kartonie.

- Siadywaliśmy tutaj wieczorami, pamiętasz? Kiedy mama i tata gdzieś wychodzili.

- Tak. I w nocy też. Później.

Elin przytaknęła i dalej gładziła kontury kotka. Nie patrzyła na niego, więc Anders w końcu odważył się spojrzeć na jej twarz.

Nos, kiedyś wąski i prosty, był teraz dwa razy większy i spłaszczony. Broda, kiedyś nieco kanciasta i wyraźnie wysunięta do przodu, zrobiła się spiczasta i rozlana, niemal zlewała się z szyją. Jej dołeczki w policzkach i wydatne kości policzkowe znikły, a wargi...

Te wargi, które wysuwała do przodu podczas sesji fotograficznych, będące przedmiotem pożądania, jeszcze zanim zostały wypełnione silikonem, były teraz zaciśnięte; zamieniły się w dwie wąskie kreski, które jedynie markowały, gdzie usta się zaczynały i gdzie się kończyły, a nawet i to nie.

Pod oczami miała worki, które nawet u kobiety dwadzieścia lat starszej wyglądałyby nienaturalnie. W jasnym świetle Anders widział wyraźnie świeże bliźny pod oczami; nie do pojęcia, ale wyglądało na to, że niedawno starała się je usunąć, jakby wcześniej były jeszcze większe.

Wypił duży łyk wina, niemal pół szklanki, kiedy się opamiętał, było już za późno, nie mógł przecież wypluć tego, co przed chwilą przelknął. Elin przyglądała mu się, ale nie był w stanie nic wyczytać z jej twarzy. Zresztą i tak byłoby to czytanie z podartej na strzępy książki.

Powinniśmy porozmawiać.

Chciał nawiązać do tego, jak kiedyś tu siadywali, co tu kiedyś - dawno temu - robili, tylko musiał pamiętać, żeby nie wspominać o jej twarzy, ani o szopie na brzegu w Kattholmen, gdzie wszystko się skończyło.

A co tak naprawdę tu robiliśmy?

Szukał w pamięci jakichś zabawnych wspomnień. Żeby mogli się razem pośmiać i rozbroić ten dziwny nastrój, który się wytworzył. Nic nie przychodziło mu do głowy. Pamiętał tylko, że pili tu herbatę, mnóstwo herbaty z miodem, zdarzało się nawet, że miód się kończył i wtedy... Nagle słowa jakby same się potoczyły:

- Co zrobiłaś ze swoją twarzą?

Szparka między wąskimi wargami Elin nieco się rozciągnęła, co można było chyba uznać za uśmiech.

- Nie tylko z twarzą.

Elin stanęła na podłodze w kuchni i przeciągnęła rękami po swoim ciele. Anders spuścił wzrok, a wtedy Elin powiedziała:

- Spójrz.

I spojrział. Ciężkie piersi, które kiedyś prowokowały reporterów „Slitza” do okrzyków: „Bomby na horyzoncie!” skurczyły się i spłaszczyły, właściwie widać było jedynie lekką wypukłość. Elin podniosła bluzę dresową, pokazując brzuch. W pasie widać było wyraźne wałeczki. Jej usta znów jakby się uśmiechnęły.

- Wykorzystałam piersi, udało się je przetransplantować - powiedziała.

Chwyliła wałek ciała nad prawym biodrem i ścisnęła.

- Trochę trzeba było usunąć, w końcu zawsze miałam duże piersi.

Uniosła bluzę nieco wyżej. Teraz widać było wyraźnie jeszcze nie do końca zagojone blizny.

- Dlaczego? - spytał.

Kobieta opuściła bluzę i znów usiadła przy stole. Wypiła łyk wina i ponownie napełniła jego kieliszek.

- Bo tak chciałam.

Jej głos lekko się załamywał. Zachowywała się jak człowiek ułomny, który pokazując swoje zdeformowane ciało, rzuca wyzwanie innym. Nagle ton jej głosu się zmienił.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Słucham?

- To jeszcze nie koniec. Mam dalsze plany. Czekają mnie kolejne operacje.

Anders szukał śladów szaleństwa w jej zmienionej twarzy, w jej oczach, ale ich nie znalazł. Zauważył jedynie smutną rezygnację. Co też było pewnym rodzajem fanatyzmu.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie - powiedziała Elin. - Ale tak jest.
- Ale... czy ty chcesz przez to coś osiągnąć? Jakiś cel?
- Nie wiem. Wiem tylko, że to jeszcze nie koniec.
- Ale jaki lekarz...
- Jeśli ma się pieniądze, to jakiś zawsze się znajdzie - przerwała mu Elin. -

A ja pieniądze mam - dodała.

Anders odwrócił się i wyjrzał przez okno. Wiatr targał nielicznymi świerkami, które nadal rosły na Kattholmen. Kilka lat temu silny sztorm powalił większość drzew, zamieniając wyspę w pobożowisko, po którym trudno było się poruszać. Możliwe, że szopa na brzegu też została zniszczona. Miał taką nadzieję.

- Myślisz o tym samym co ja? - spytała Elin.
- Chyba tak.
- Wszystko znika. W końcu.
- Tak.

Nie chcąc poruszać pewnych tematów, zaczęli rozmawiać o tym, czego już nie było i o dawnych znajomych. Anders opowiedział o Mai, starając się, żeby nie wpaść do szybu, który zawsze się pod nim otwierał, kiedy powracał do tego, co się wydarzyło. Teraz znów balansował na krawędzi.

Popołudnie zaciągnęło morze szarością. Karton wina był niemal pusty, kiedy w końcu, opierając się o blat, wstał od stołu, mówiąc, że musi wracać.

- Teraz tu mieszkam. Tak mi się wydaje.

Musiał się skupić, kiedy schylił się, żeby w ciemnym korytarzu zawiązać sznurowadła. Elin stała i przyglądała mu się z przekrzywioną głową.

- Dlaczego tu wróciłeś?

Anders zmrużył oczy, żeby nie niepokojony ruchami pokoju przewlec koniec sznurowadła przez dziurkę. Dlaczego wrócił? Próbował sformułować jakąś odpowiedź i w końcu powiedział:

- Żeby być blisko czegoś, co jest dla mnie ważne.

Podniósł się, wspierając się o klamkę. Drzwi się otworzyły i byłby wypadł na zewnątrz, ale wyprostował się i odzyskał równowagę.

- A ty?- spytał.
- Chciałam uciec. Zejść ludziom z oczu.

Anders, pijany, pokiwał głową. Było to zrozumiałe. Zejść z oczu. Odejść. Od wszystkich. Coś sobie przypomniał, miało to coś wspólnego z oczami, ale nie bardzo wiedział, co to było. Pomachał Elin na pożegnanie i zamknął za sobą drzwi.

Popołudnie przeszło już w wieczór i Anders, idąc przez sosnowy las, przyspieszył kroku. Wiatr znów przybrał na sile i przy mocniejszych podmuchach męczyzna lekko się chwia. Myślał o Elin.

To jeszcze nie wszystko. Jeszcze nie skończyłam.

Roześmiał się. Jeśli spojrzano się na to jak na pewnego rodzaju plan, to było to co prawda śmieszne, ale zrozumiałe. A plany trzeba było mieć, nawet jeśli dotyczyły one zmiany własnej osoby. Coś o tym wiedział. Trwonić pieniądze, dając się kroić, by stawać się coraz brzydszym, było na swój sposób czymś wspaniałym, prawdziwym przedsięwzięciem kulturalnym.

Albo pokutą.

Przed drzwiami wejściowymi stała duża papierowa torba z żywnością. Pomyślał z wdzięcznością o babci po drugiej stronie zatoki i wtargał torbę do kuchni, by następnie włożyć rzeczy do lodówki i do spiżarni. Kiedy skończył, wypił niemal litr wody, by w ten sposób rozcieńczyć zawartość alkoholu we krwi. Potem usiadł przy stole w kuchni i zaczął się bawić koralikami. Na chybił trafił wcisnął kilka niebieskich w podkładkę.

Firanki w kuchni falowały lekko w przeciągu, okno było nieszczelne. Rozpalił w kominku, żeby pozbyć się wilgoci, która zdążyła się tu od rana nagromadzić i wrócił do koralików.

Dziesięć niebieskich kropek na brzegu dużej białej powierzchni jak skrawek nieba zza chmur. Wcisnął następane.

Podejrzenia

Teraz nie kochali się już tak często jak kiedyś, ale gdy już uprawiali miłość, robili to porządnie.

Pierwszego lata Simon i Anna-Greta niemal nie potrafili się nie dotykać. Ze względu na Johana mieli do swojej dyspozycji głównie noce, ale zdarzało się, że pożądanie brało górę także w ciągu dnia. Wtedy zamykali się w szopie na brzegu i oddawali się sobie na stercie sieci i niewodów, gasili ogień, płacąc za to licznymi otarciami.

W końcu uznali, że tak nie można. Jak to wyglądało?

Czasem mijało więc kilka tygodni, zanim zaistniały odpowiednie okoliczności. Ponieważ nie spali w jednym łóżku, a nawet nie w jednym domu, nie mogli zacząć się kochać tak po prostu, leżąc w łóżku, tuż przed snem. Nie było też tak, żeby któryś z nich mogło zadać to pytanie wprost, ponieważ oboje uważali miłość za misterium, tajemnicę, a nie tylko cielesne poszukiwanie harmonii.

Tak więc tkwili w sieci niewysłowionych pytań i odpowiedzi, drobnych gestów, sondujących teren. Dłoń położona na drugiej dłoni, spojrzenie, które zawisło nieco dłużej niż zwykle, lekko swawolny uśmiech. Mogło to trwać całymi dniami, aż w końcu już sami nie wiedzieli, kto zadał pytanie, a kto na nie odpowiedział; w oboju rosła jednak pewność, że nadeszła właściwa pora.

Wtedy szli do sypialni, zawsze do sypialni Anny-Grety, ponieważ jej łóżko było szersze. Zapalali świeczkę i zaczęli się rozbierać. Anna-Greta nadal potrafiła zdjąć ubranie, stojąc, ale Simon, by zdjąć spodnie i skarpety, musiał usiąść na brzegu łóżka.

Rzadko zdarzało się, żeby od razu im się udało. Może szykując się do śmierci dusza i ciało Simona zaczęły się już ze sobą żegnać? Zdarzało się, że Anna-Greta kładła się obok niego, i nic, mimo że całą duszą przywierała do jej ukochanego ciała, obsypując pocałunkami jej biodra.

Jego zawodna erekcja, która kiedyś stanowiła problem, już dawno straciła swój dramatyzm, stając się niemal oczekiwaną częścią rytuału. Mimo to za każdym razem czuł ukłucie żalu i mówił sobie w duchu: „No, jeszcze tylko ten jeden raz”. Rozważał nawet nabycie viagry, żeby chociaż raz zaskoczyć swoją ukochaną już na samym początku, dać jej to w prezencie.

Na razie jednak postanowili się nie spieszyć. Pieścili się, lizali, podgryzali z lekka. Od czasu do czasu Anna-Greta zaczynała ssać jego członek, jakby sprawdzając, czy może już się obudził ze swojego snu. Jeśli reagował, kontynuowała, aż był gotów, najczęściej jednak było to mówienie do obrazu.

Simon uznał, że na tym polega ironia starości: wolałyby, żeby jedyny jego członek, który nie był sztywny, taki właśnie był. Lata występów uszkodziły jego stawy i teraz jego kręgosłup przypominał szkielet potwora morskiego, sklecony z wyrzuconego na brzeg drewna, zbitego zardzewiałymi gwoźdźmi. Słyszał, niemal czuł, jak trzeszczą mu kości, gdy zbliżał się do znacznie sprawniejszego ciała Anny-Grety.

Z każdym rokiem trwało to coraz dłużej, ale w końcu cud następował. Nagle czuł, jak spod łopatk zaczyna promieniować ciepło, docierając powoli do pleców, do ramion, aż znów był w stanie poruszać rękami, jak nigdy na co dzień: miękko i łagodnie. Anna-Greta uśmiechała się, gdy jego pieczyoty stawały się czulsze, a dotyk lżejszy.

Simon znów czuł się u siebie w swoim ciele i kiedy Anna-Greta kładła głowę na jego przeponie, odpowiadał drzeniem, a jego dotąd martwy członek zaczynał się unosić. Osiągał stan, który pozwalał mu wyzwolić się z bólu; chętnie pozostałby w nim dłużej, napawając się bliskością, zapominając o wszystkim. Kiedy Anna-Greta wchodziła na niego i wprowadzała go w siebie, budziło się w nim inne uśpione uczucie. Przygotowania były zakończone i jego ciało było gotowe mu służyć. Mógł dać upust swoim żądom.

Kiedy w końcu osiągali ten stan, ich pożądanie było takie jak kiedyś. Przypominało żarzącą się w piersi kulę, od której odchodziły czerwone nitki prowadzące do mózgu. Simon chwycił jej biodra i ich ruchy dopasowywały się do siebie, współgrały ze sobą; na całym świecie istnieli tylko oni: on i ona.

Kiedy Simon już w końcu zaczął, mógł kontynuować długo. Więc oczywiście kontynuowali, inaczej byliby głupi. Ich sterane wiekiem ciała nigdy nie były takie lekkie, i nigdy czas i inne kłopoty nie znaczyły tak niewiele. Znajdowali się gdzieś poza czasem, wiek przestawał mieć znaczenie, zdarzało się nawet, że palce Simona odzyskiwały dawną sprawność, i oczywiście korzystał z tego.

Nie mieli tylko odwagi zmieniać pozycji w trakcie stosunku, po tym jak dwa lata temu Simon właśnie w takiej sytuacji złamał żebro. Tkwili więc w swoich objęciach, poruszając się łagodnie, szepcząc sobie ciche słowa miłości, aż wszystko rozpadało się na kawałki, żeby chwilę potem znów połączyć się w całość.

Anna-Greta spała. Simon leżał obok niej i przyglądał się jej. Usta miała zapadnięte, ponieważ po akcie miłosnym wyjęła swoją sztuczną szczękę. Simon, nawet gdyby bardzo się starał, nie mógł uznać, że jej usta są równie piękne bez zębów, więc po prostu starał się nie patrzeć na nie.

Powieki miała ciężkie i niemal przezroczyste w świetle na wpół wypalanej świeczki. Simon widział, jak drżą jej gałki. Może śniła? Głębokie zmarszczki między nosem a ustami były lekko podciągnięte do góry, jakby we śnie poczuła zapach, który jej się nie spodobał.

Kim jesteś?

Za oknem wiał silny wiatr, płomień świecy drgał. Przez twarz kobiety przeto-
czył się cień i na chwilę, na pół sekundy, jej wyraz się zmienił. Nigdy jej takiej nie widział. Po chwili jednak znów była sobą.

Kim jesteś?

Po pięćdziesięciu wspólnie spędzonych latach wiedział o niej wszystko. Z wyjątkiem jednego: kim jest. Opowiadała mu o czasach, zanim tu przybył; towarzyszył jej przez dwie trzecie jej życia i potrafił przewidzieć, jak zareaguje w większości sytuacji. Mimo to nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że nie wie, kim ona jest.

Może wszyscy mieli podobne odczucia, nieważne jak byli sobie bliscy. Simon jednak w to nie wierzył. To było coś innego... Coś, co było podobne do tego, co łączyło go ze Spiritusem. Nigdy nie powiedział jej, co ma w pudełku po zapal-
kach. Tak więc w pewnym sensie on też był dla niej obcy.

Dlaczego jej o tym nie powiedziałem?

Nie wiedział. Coś mówiło mu, że nie powinien. Pewnie miało to jakąś przy-
czynę.

Westchnął ciężko i odwrócił się na bok. Leżał teraz na brzegu łóżka. Po chwili usiadł, przyszło mu to z pewnym trudem. Kiedy się kochali, jego ciało ubywa-
ło lat, potem jednak te lata wracały. Mięśnie go bolały, stawy trzeszczały, czuł się gotowy położyć do trumny.

Pewnie niewiele razy mi już zostało.

Włożył kalesony, skarpety i spodnie. Podobne myśli przychodziły mu do głowy za każdym razem, kiedy uprawiali miłość. Jednak gdy przychodziła pora, okazywało się, że mechanizm jeszcze działa. Przynajmniej dotąd tak było.

Wciągnął podkoszulek i koszulę, zgasił światło i wyslizgnął się z pokoju. Trzymając się poręczy, zaczął ostrożnie schodzić ze schodów, stopień po stopniu. Wiatr jęczał w załomach domu i w gałęziach drzew; miał wrażenie, że stary dom bardziej się użalał niż on sam. Wiatr przeszedł w sztorm; powinien pójść na brzeg i sprawdzić łódź.

A jeśli się urwała?

Nic na to nie poradzi. Wiedział, że nie da rady nią manewrować. Ale przynajmniej będzie wiedział, jak się sprawy mają. Sięgnął po rzucony na krzesło sweter, włożył go przez głowę i otworzył drzwi na zewnątrz.

Wiatr chwycił skrzydło i Simon musiał walczyć, żeby zamknąć je, nie trzaskając drzwiami. Potem objął się rękami i raczej poczłapał, niż poszedł do domu.

Sztorm był potężny i trudno było się nim cieszyć. Wielkie brzozy chyliły się groźnie nad domami, jeśli jakieś drzewo by się złamało, szkody mogły być znaczne. Zawsze gdy wiało, Simon postanawiał, że musi je ściąć, ale kiedy wiatr cichł, szybko o tym zapominał, bo ścięcie drzewa wymagało wysiłku.

Zwrócił się twarzą ku morzu i poczuł siłę północnego wiatru. Daleko na horyzoncie mrugała latarnia na Gåvasten, na morzu...

...morze...

Coś w nim się poluzowało. Jakby odpadł kawałek czegoś, co było mu potrzebne.

...morze...

Niepewnie zaczął szukać wsparcia i chwycił się gałęzi jabłoni. Zapomniane jabłko spadło na ziemię z ledwie słyszalnym uderzeniem.

... coś się poluzowuje... coś odpada...

Nadmiernie obciążona gałąź ugięła się i upadł na trawę. Wypuścił ją z ręki, a ona odbiła i uderzyła go w policzek. Zabolalo go, upadł na plecy i leżał na ziemi z szeroko otwartymi oczami. To coś, co się w nim obluzowało, teraz jakby rozlało się wewnątrz, było mu niedobrze. Czuł się słaby. Bardzo słaby.

Jabłoń biła wokół gałęziami, jakby chciała zetrzeć z nieba wszystkie gwiazdy. Simon leżał nieruchomo na ziemi i patrzył w górę. Gwiazdy mrugały w listowiu, a on czuł, jak resztki sił opuszczają jego ciało.

Nie mam już siły. Umieram.

Długo leżał, czekając, aż wszystko wokół niego zgaśnie, zdążył też wiele przemyśleć. Jednak gwiazdy nadal świeciły, a wiatr nadal szalał. Spróbował

poruszyć ręką, która okazała się mu posłuszna. Zacisnął dłoń wokół leżącego na ziemi owocu i trwał tak chwilę. Słabość nieco ustąpiła, chociaż nadal nie czuł się dobrze.

Uklęknął, potem stanął. Chwiał się jak osika na wietrze. Coś się stało z jego ręką spojrzął na nią i zauważył, że nadal trzyma w dłoni jabłko. Puścił je. Powłócząc nogami, ruszył powoli w stronę swojego domu.

Coś się stało.

Kiedy w końcu dotarł do drzwi, zerknął w stronę pomostu. W słabym świetle latarni i gwiazd trudno było cokolwiek dojrzeć, ale wyglądało na to, że łódź jest na swoim miejscu. Kamienny falochron przyjął na siebie najgorsze uderzenia. Nie żeby mógł cokolwiek zrobić, szczególnie w tej sytuacji, ale ucieszył się, że nadal ma swoją łódź.

Wszedł do domu, zapalił światło, usiadł przy kuchennym stole i zaczął głęboko oddychać, próbując przyzwyczaić się do myśli, że wciąż jeszcze żyje. Był przekonany, że umiera i nawet zdążył się już z tym pogodzić. Umrzeć pod jabłonią Anny-Grety i zostać porwanym przez wiatr. Mogło być gorzej, o wiele gorzej.

A jednak stało się inaczej.

Podczas mrówczego marszu do domu zakiełkowała w nim pewna myśl, pewne podejrzenie. Z szuflady w stole wyjął pudełko po zapalkach i otworzył je. Chociaż się tego spodziewał, to jednak otworzył usta ze zdziwienia.

Larwa była szara. Jej błyszcząca, czarna skóra wyschła i się skurczyła, zrobiła się szara jak popiół. Simon delikatnie potrząsnął pudełkiem. Larwa przekręciła się nieco i Simon odetchnął z ulgą. Zebrał w ustach ślinę i splunął. Larwa poczuła na sobie kroplę cieczy i poruszyła się, ale nieznacznie. Była zbyt słaba, umierała.

Jak ja.

Szyby w oknach drżały pod wpływem wichury. Simon patrzył na pudełeczko i próbował zrozumieć. Kto odejdzie pierwszy, on czy Spiritus, czy to on oddziaływał na larwę, czy odwrotnie. Kto komu był coś winien. Jeśli w ogóle.

A może istnieje jakaś trzecia siła. Która oddziałuje na nich obu.

Wyrzał przez okno i zamrugał. Latarnia też odpowiedziała mu mruganiem.

Komunikacja

Anders obudził się zmarznięty. Na zewnątrz nadal szalała wichura, nawet w domu czuć było lekki powiew wiatru. Firanki falowały, zimne powietrze musnęło jego twarz. Wstał, zarzucił koc na ramiona i podszedł do okna.

Morze się buntowało. Bałwany parły do przodu w świetle księżyca, pojedyncze

krople sięgały szyb okien, które zawodziły złowieszczo pod naciskiem wichury. Stare szyby dawały marną ochronę przed gniewem przyrody. Poza tym niektóre były już wcześniej popękane.

Co zrobić, jeśli pękną?

Trudno, co ma być, to będzie. Zapalił światło w kuchni, wypił kilka szklanek wody i zapalił papierosa. Zegar na ścianie wskazywał wpół do trzeciej. Dym z papierosa wirował w powietrzu razem z podmuchami wiatru. Usiadł przy stole, próbując puszczać dymne koła, ale bez powodzenia.

W rogu białej plastikowej podkładki wciśnięte było około pięćdziesięciu niebieskich i pięć białych koralików. Białe były zebrane w jednym miejscu i otoczone niebieskimi. Anders przetarł oczy, próbując sobie przypomnieć, kiedy je ułożył. Wrócił do domu pijany, wcisnął kilka koralików na chybił trafił. Co robił potem, tego nie pamiętał, na pewno w końcu położył się na kanapie i wsłuchując się w zawrodoenie wiatru, zasnął.

Wzór, który powstał z niebieskich i białych koralików, był bez sensu, nie był też szczególnie ładny. Odchrząknął, bo dym podrażnił mu gardło, i zaczął się rozglądać za nożem albo jakimś innym ostrym narzędziem, żeby podważyć i wyjąć ułożone już koraliki. Obok podkładki leżał ołówek, wziął go do ręki, ale od razu się zorientował, że się nie nadaje.

I wtedy spostrzegł litery.

Ołówek zakrywał kilka liter, napisanych bezpośrednio na stole z taką siłą, że na starym drewnianym blacie zostały wgłębienia. Anders pochylił się i zaczął czytać. Na stole było napisane:

NIEŚ MNIE

Wpatrywał się w litery, przesunął palcami po lekkim wgłębieniu.

Nieś mnie?

Rozchwiane litery przykuły jego wzrok, nie miał odwagi spojrzeć w bok. Poczł dreszcz zimna na plecach.

Ktoś tu jest.

Ktoś na niego patrzył. Napiął mięśnie nóg, przelknął głośno ślinę i nagle poderwał się od stołu z taką siłą, że przewrócił krzesło. Powiódł wzrokiem po kuchni, zajrzał we wszystkie kąty i zakamarki. Nikogo nie było.

Wyjrzał przez okno, ale mimo że przyłożył dłoń do oczu, wysokie sosny zasłaniały księżyc i nie mógł dostrzec, czy ktoś stał na zewnątrz. Ktoś, kto mu się przyglądał.

Skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał przytrzymać swoje oszalałe serce. Ktoś tu był i zostawił po sobie ślad, litery. Pewnie była to ta sama osoba, która na niego patrzyła. Wzdrygnął się i podbiegł do drzwi wejściowych. Nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i zobaczył huśtawkę, która owinęła się wokół drzewa i teraz o nie uderzała. Poza tym nic.

Wrócił do kuchni. Opłukał twarz zimną wodą i wytarł ścierką, próbował się uspokoić. Wszystko na nic. Był potwornie przerażony, właściwie nie wiedząc dlaczego. Potężny powiew wiatru zatrzęsł domem, rozległo się jakieś stukanie.

Chwilę potem pękła szyba w oknie dużego pokoju. Anders krzyknął. Szkło zasypało podłogę, a on nadal krzyczał. Wichura wdarła się do domu, porywając wszystko, co leżało luzem i było lekkie, wiatr wył w kominie, wdzierał się we wszystkie zakamarki, wył i zawodził, a on razem z nim. Włosy miał rozwiane, krzyczał, stojąc z rękami kurczowo przyciśniętymi do piersi, czując na sobie chłodne, wilgotne powietrze. Przestał dopiero, gdy poczuł, że boli go gardło.

Rozluźnił ręce i nieco się odprężył, oddychał powoli przez szeroko otwarte usta.

Nikt nie nadszedł To był tylko wiatr. Wiatr zbił szybę. To wszystko.

Zamknął drzwi do kuchni i wiatr odpuścił, wycofał się do pokoju dziennego. Anders słyszał, jak walczy tam ze starymi gazetami i różnymi papierzyškami. Usiadł przy kuchennym stole i oparł głowę na dłoniach. Litery nie zniknęły. Wiatr nie zabrał ich ze sobą.

NIEŚ MNIE

Zakrył uszy dłońmi i zamknął mocno powieki. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale litery nie zniknęły. Widział je wyraźnie, były żółte, jakby ktoś wrył mu je na siatkówce.

NIEŚ MNIE

Nagle odjął ręce od uszu, wstał i zaczął się rozglądać. Nie, w kuchni nie było rysunków. Zrobił kilka kroków, doszedł do drzwi, otworzył je i przeszedł przez pokój dzienny, nie przejmując się wiatrem, który chwycił w swoje szpony koc, którym okrył się jak paltem.

Wszedł do sypialni, zamknął za sobą drzwi i padł na kolana obok łóżka Mai. Wyciągnął rękę i zaczął macać, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Plastikową teczkę z rysunkami córeczki. Drżącymi rękami zdjął gumkę, wyjął rysunki i rozłożył je na łóżku.

Na większości nie było żadnych napisów, ale na niektórych Maja napisała „Dla Mamy”, „Dla Taty”.

Był też jeden...

Przerzucał rysunki z drzewami, domkami, z kwiatkami, szukając podpisów na odwrocie. W końcu na jednym, przedstawiającym cztery słoneczniki i coś, co równie dobrze mogło być koniem, jak i psem, Maja napisała:

DLA STARFJ BABCI ANNYGRETY

Zrobienie tego napisu kosztowało ją dziesięć minut i dwa wybuchy złości. Dwie wcześniejsze próby zostały dokładnie i z wściekłością wymazane gumką. Rysunek był zrobiony na urodziny Anny-Grety, ale z jakiegoś powodu nigdy

nie został jej wręczony. Było na nim napisane: „Dla starej babci AnnyGrety”.

Literki R były odwrócone w niewłaściwą stronę, ale to inny błąd sprawił, że zakrył ręką usta i poczuł łzy w oczach: w literce E brakowało dolnej poprzeczki, w każdej literce E.

Właściwie od początku wiedział, co było napisane na kuchennym stole, tylko nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Ręka, która wykonała napis pod rysunkiem, napisała też: „Nieś mnie”

Był kwadrans po trzeciej i Anders wiedział, że już nie zaśnie. Wichura nieco osłabła, powinien spróbować sprzątnąć bałagan w pokoju dziennym i uszczelnić okno.

Ale nie miał siły. Czuł się wykończony i jednocześnie rozbudzony; mózg pracował mu jak w gorączce. Mógł tylko siedzieć przy stole, zaplatać palce i przyglądać się wiadomości, którą otrzymał od córki.

Nieś mnie.

Dlaczego miał ją nieść? Skąd? I gdzie ona była? Dokąd miał ją nieść? Jak?

- Maja? Maju, kochanie, odezwiąj się, jeśli mnie słyszysz... Powiedz coś więcej. Nie wiem, co mam robić.

Żadnej odpowiedzi. Zzerał go niepokój, bał się, że rozplynie się w powietrzu, zamieni się w ducha. Jeśli ona też była duchem. Bo może nie, może naprawdę tu była i...

Ale w takim razie dlaczego sobie poszła?

Wstał, zrobił kółko, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Jego wzrok padł na stojące w kuchni puste półlitrowe butelki po wodzie Imsdal, którą zwykle zabierali ze sobą na wycieczki. Nie mógł nic zrobić, więc równie dobrze mógł wprowadzić w życie swój plan.

Wyjął ze spiżarni sześć kartonów hiszpańskiego wina stołowego, które przywiózł ze sobą na wyspę. Nappełnił winem cztery butelki po wodzie mineralnej, każdą mniej więcej w jednej trzeciej. Dolał do pełna wody i upił łyk. Niedobre. Ciecz smakowała bardziej jak woda z dodatkiem wina niż jak rozcieńczone wodą wino.

Gdzieś z tyłu w spiżarni znalazł małe kartoniki soku z winogron. Wlał go do kolejnej butelki, do wina, potem dolał wody. Mieszkanka nie smakowała wcale jak lura, raczej jak bardzo słabe wino. Czteroió procentowy alkohol, mocne piwo.

Zakręcił nakrętkę i wyciągnął dzióbek, tak żeby można było z niego pić, i upił pięćdziesiąt gramów.

To był jego plan, który miał być rozwiązaniem jego problemu. Wiedział już, jak uporać się z ciągłą potrzebą upicia się do nieprzytomności: będzie pił cały

czas, ale mniej. W ten sposób utrzyma jednolity poziom nietrzeźwości od rana do wieczora. I zaspokoi zarówno trawiącą go potrzebę alkoholu, jak i złagodzi surową rzeczywistość, żeby łatwiej było ją znieść.

W podobny sposób napełnił pozostałe butelki. Kiedy skończył, zostało mu jeszcze pięć kartonów wina i jeden kartonik soku. Zużyje je, kiedy opróżni butelki.

Nieś mnie.

Zamknął oczy i spróbował to sobie wyobrazić. Widział, jak Maja wchodzi do kuchni, jak pisze litery, a potem... potem... wciska kilka kolorowych koralików i wychodzi. Wciąż miała na sobie czerwony kombinezon, tyle że kombinezon był mokry, bo idąc zostawiała mokre plamy, a jej oczodoły były puste. Żarłoczne ryby...

Przestań!

Otworzył oczy, pokręcił głową i wypił łyk prosto z butelki. Jednak obraz pozostał. Małe ciało, jej okrągła twarzyczka, mokry kombinezon...

Zerknął na podłogę, żeby sprawdzić, czy sana niej jakieś ślady. Nie było.

Ja to napisałem. Ja wcisnąłem koraliki.

Tak mogło być. Chyba naprawdę był bliski szaleństwa. To chyba nazywa się dziurą w pamięci. Podczas minionego czasu...

Nie.

Kiedy zobaczył koraliki, uznał, że ma dziurę w pamięci, ponieważ nie mógł sobie przypomnieć, że je ułożył. Teraz jednak pojawiło się inne wytłumaczenie.

Nieś mnie.

Zaczął uderzać pięściami w stół. Może ktoś postanowił sobie z niego zadrwić, to było chore, ale tak to wyglądało. Albo może Maja istniała, była gdzieś i próbowała nawiązać z nim kontakt.

Położył dłonie na blacie stołu. Wciągnął powietrze, odetchnął powoli i głęboko. Potem pokiwał głową.

Tak. Tak właśnie jest. Podjąłem decyzję. Wierzę, że tak jest.

Kiwając głową, wypił łyk wina i zapalił papierosa. Poczul się lepiej. Zaakceptował zaistniałą sytuację. Zaciągnął się, odchylił do tyłu w krześle i powoli wypuścił dym. Wichura złagodniała na tyle, że dym nie rozproszył się, tylko dotarł do sufitu.

Wierzę. Że jesteś.

Krąg padającego z lampy światła powiększył się, promieniując ciepłem, które czuł w piersi i które zamieniało się w czystą radość.

Jesteś!

Wyrzucił papierosa do zlewu, wstał, rozłożył szeroko ręce i zaczął się kręcić w kółko. Zrobił nawet kilka niezdarnych kroków tanecznych, podskoczył, zaczął wirować, aż zakręciło mu się w głowie; zaczął kasłać i musiał usiąść. Radość

jednak została. Wrzała w nim, wzbierała, jakby chciała wydostać się na zewnątrz.

Niewiele myśląc, sięgnął po telefon i wybrał numer Cecylii. Wciąż jeszcze go pamiętał. Kiedy jej rodzice przeprowadzili się do domku, przejęła ich mieszkanie w Uppsali i ich numer telefonu. Pamiętał go doskonale, bo kiedy byli nastolatkami, potrafili godzinami rozmawiać przez telefon, nie mogąc się doczekać następnego spotkania. Chyba że go zmieniała.

Trzy dzwonki. Anders przycisnęła słuchawkę do ucha, zerknął na zegarek i na jego twarzy pojawił się grymas. Było tuż po czwartej. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie była to najlepsza pora na dzwonienie. Przy piątym dzwonku wypił następny łyk z butelki.

- Halo?

To była Cecilia, wyrwana ze snu, co nie powinno go dziwić. Przełknął wino, które miał w ustach.

- Cześć. To ja, Anders - powiedział.

Po drugiej stronie zapadła cisza. W końcu Cecilia się odezwała:

- Miałaś nie dzwonić, kiedy jesteś pijany. Prosiłam cię.

- Nie jestem pijany.

- A co jesteś?

Anders pomyślał chwilę. Odpowiedź była prosta.

- Radosny. Jestem radosny. Pomyślałem, że zadzwonię i powiem ci. Dlaczego.

Cecilia westchnęła i wtedy Anders sobie przypomniał. Dzwonił już do niej w podobnych sytuacjach. Po ich rozstaniu dzwonił do niej czasem, żeby powiedzieć jej... Co jej mówił? Zwykle był wtedy pijany, a potem nie pamiętał. Nigdy jednak nie zdarzyło się, żeby zadzwonił, bo był radosny. Tak przynajmniej sądził.

- Ach tak - powiedziała Cecilia. - A z jakiego powodu jesteś radosny?

W jej głosie nie słychać było prawdziwego zainteresowania. To jednak mógł od biedy zrozumieć. Zacerpnął powietrza i powiedział:

- Maja się ze mną skontaktowała.

Usłyszał szelest pościeli po drugiej stronie, Cecilia usiadła.

- Co ty mówisz? - spytała.

Anders opowiedział, co się wydarzyło. Nie wspomniał jedynie o wizycie u Elin i wypitym winie, powiedział tylko, że zasnął, a potem obudził się w nocy i odkrył napis na blacie stołu w kuchni. Mówiąc to, przeciągał palcami po literach i po koralikach na podkładce.

Kiedy skończył, przez dłuższą chwilę było cicho. Chrząknął.

- I co ty na to? - spytał.

Z dochodzących go odgłosów domyślił się, że Cecilia się położyła.

- Anders. Spotkałam kogoś.

- Ach tak. Tak?
- Więc... nie bardzo mogę ci pomóc. Już nie.
- Ale... mnie nie o to chodzi.
- A o co?
- O to... o to że... Cecilio, to wszystko jest prawda. Tak jest. Dokładnie tak, jak ci opowiedziałem.

- I czego po mnie oczekujesz?

Nagle to, co zdawało się proste, stało się trudne. Anders rozejrzał się po stole, jakby szukając pomocy. Osiem cienkich literek znów przykuło jego uwagę.

- Nie wiem. Chciałem ci tylko powiedzieć.

- Anders. Byliśmy ze sobą tyle lat... Niezależnie od tego, jak to się skończyło, to jeśli będziesz potrzebował pomocy... To znaczy, jeśli naprawdę będziesz potrzebował pomocy, to zawsze ci pomogę. Ale tylko wtedy. Nic innego nie jestem w stanie zrobić. Rozumiesz mnie?

- Tak, rozumiem. Ale... ale...

Słowa zatrzymywały mu się na wargach. Słyszał, co powiedział, i rozumiał, że nic innego nie mogła mu powiedzieć.

A co ja bym powiedział?

Zaczął się zastanawiać. Chwyciłby się takiej możliwości, gotów uwierzyć niemal we wszystko. Ale czy naprawdę? Przecież sam też długo nie chciał przyjąć do wiadomości cudu. A jednak nie odpowiedziałby tak jak Cecilia. Wierzył w nią, bo chciał mieć pretekst do kontaktu z nią. Poczul ból w piersi, zakasłał.

Cecilia odczekała chwilę, aż w końcu powiedziała:

- Dobranoc, Anders.

- Zaczekaj! Jeszcze tylko jedno. Co to może znaczyć?

- Ale co?

- Nieś mnie. Co to może znaczyć?

Cecilia wypuściła powietrze, westchnęła, a może dźwięk, który usłyszał, był jękiem? Może zamierzała powiedzieć coś innego, jednak w końcu odparła tylko:

- Nie wiem, Anders. Naprawdę nie wiem. Dobranoc.

- Dobranoc - powiedział, po czym zaczerpnął powietrza i dodał: - Przepraszam.

Cecilia jednak już tego nie słyszała, rozmowa została przerwana. Anders odłożył słuchawkę i oparł czoło o blat stołu.

Kogoś innego.

Dopiero teraz dotarło do niego, że gdzieś, w jakimś zakamarku swojego zapieczonego serca, nosił nadzieję, że jednak do siebie wróca, kiedyś, gdzieś...

Ktoś inny. Czy on tam był i słyszał ich rozmowę? Nie, nie odniósł wrażenia, żeby był tam jeszcze ktoś. Cecilia nie rozmawiała z nim, jakby w pokoju była

obecna jeszcze jedna osoba.

A więc jeszcze nie mieszkają razem. Może...

Uderzył czołem o stół, mocno. Biały ból przeszył mu czaszkę. Kawalki myśli splątały się i gdzieś odpłynęły.

Poddaj się. Poddaj się.

Uniósł głowę, a ból zamienił się w ciecz, której poziom wciąż się zmieniał, która raz była tuż przy czole, a potem gdzieś z tyłu głowy, i już tam została. Rozejrzał się po kuchni świeżym wzrokiem i powiedział:

- Jesteśmy tylko my: ty i ja.

Morze brało w objęcia kamienie, potem je wypuszczało, żeby po chwili znów je zagarnąć. Wypuszczało je i zagarniało, odwieczny ruch. Chwytać coś, by po chwili wypuścić.

Anders był zmęczony, nie miał już siły.

Ból głowy usadowił się na dobre, wstał więc i powoli przeszedł przez pokój, nie przejmując się odłamkami szkła na podłodze ani leżącymi wszędzie kawałkami drewna, które trzeszczały mu pod stopami. Wszedł do sypialni. Nie zapalając światła i nie zdejmując ubrania, wślizgnął się do łóżeczka Mai i naciągnął na siebie jej kołdrę.

Było mu dobrze. I już.

Patrzył na małżeńskie łożo na środku pokoju, ledwie oświetlone wpadającą przez okno księżycową poświatą.

Jest tam duże łóżko. Tam mogę przyjść, kiedy się boję.

Zamknął oczy i po kilku sekundach już spał.

Znalezisko na brzegu

Kiedy około wpół do dziewiątej rano ktoś zapukał do drzwi, Simon obudził się po zaledwie kilku godzinach snu. Wiatr i złe przeczucia długo nie dawały mu zasnąć. Dopiero kiedy przez szybę zaczął zaglądać świt i wiatr osłabł, Simon odprężył się nieco i w końcu pogрузzył się w niespokojnej drzemce. Jego ciało było ciężkie i sztywne. Kiedy wstał z łóżka, włożył szlafrok i poczłapał do drzwi, miał wrażenie, jakby poruszał się pod wodą.

Natomiast Elof Lundberg wyglądał, jakby obudził się wtedy, kiedy Simon zasnął: stał przed nim podniecony, z błyszczącymi oczami, i oczywiście z kaszkietem na głowie. Spojrzył na Simona i powiedział z przekąsem:

- Leżysz tu i śpisz?

- Nie - odpowiedział Simon, kręcąc lekko głową, żeby rozruszać mięśnie karku. - Już nie.

Świdrował wzrokiem Elofa, chcąc zmusić go do wyjawienia sprawy, z którą przyszedł. Nie miał ochoty na pogawędkę. Nie teraz. I nie z Elofem, który musiał to wyczuć, bo wyraźnie się obruszył. Wysunął do przodu dolną wargę i uniół brwi.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że twoja łódź się zerwała. Jeśli cię to interesuje.

Simon westchnął.

- Tak, interesuje. Bardzo ci dziękuję.

Jednak Elof nie zamierzał poddać się tak łatwo. Przyszedł z dobrej woli, a spotkał się z niechęcią.

- Niektórym to nie przeszkadza. Że silnik leży w wodzie. To niedobrze - dodał.

- Masz rację. Dziękuję.

Elof nadal nie ruszał się z miejsca, jakby czekał na jakąś nagrodę. Simon jednak wiedział, że tak nie jest. Elof chciał po prostu być pomocny; oczekiwał, że zostanie zaproszony na kawę, że chwilę pogadają o tym, jak to się dzieje, że łodzie się zrywają. I że w takich sytuacjach sąsiedzi powinni sobie pomagać.

Simon jednak nie okazał mu zainteresowania. Elof stał więc i kiwał głową. Kiedy nie otrzymał żadnej zachęty, potarł dłonie i powiedział:

- No cóż. Rozumiem, że to koniec rozmowy.

Po chwili odszedł, dając całą swoją postawą wyraźnie do zrozumienia, że czuje się skrzywdzony. Simon zamknął drzwi i rozpalił ogień w kominku.

Łódź pewnie zerwała się już wcześniej, może więc jeszcze trochę poleżeć.

Stosunki między nim a Elofem popsuły się, kiedy zniknęła Maja. Gdy Anders i Cecilia wrócili do miasta, Simon udał się z wizytą do Elofa, żeby dowiedzieć się, co miał na myśli, kiedy stojąc na werandzie, powiedział, że Simon powinien zadzwonić do Andersa i kazać mu wracać.

- Dlaczego to powiedziałeś? - spytał.

Elof zdawał się szalenie zajęty przyrządzaniem gulaszu, więc, nie unosząc głowy znad blatu, rzucił:

- Tak mi przyszło do głowy.

- Ale o co ci chodziło?

Elof bardzo dokładnie kroił w kostkę ugotowane ziemniaki. Najwyraźniej nie chciał spojrzeć przyjacielowi w oczy.

- O nic szczególnego. Po prostu pomyślałem, że może to niedobrze. Że tam poszli.

Simon usiadł na krześle i przyglądał mu się. Elof skończył kroić ziemniaki i w końcu ich spojrzenia musiały się spotkać.

- Elof, czy ty wiesz coś, czego ja nie wiem?

Mężczyzna wstał, odwrócił się do niego plecami, postawił patelnię na ogniu i wrzucił na nią masło. Wzruszył ramionami.

- A niby co miałbym wiedzieć?

Simon poddał się i wyszedł, zostawiając Elofa z pokrojonymi ziemniakami i kawałkami bekonu. Od tego momentu ich przyjaźń jakby się zwarzyła. Simon nie potrafił dojść, co Elof wiedział, był jednak przekonany, że miał jakąś wiedzę i nie potrafił pogodzić się z tym, że nie chciał się nią z nim podzielić. W końcu chodziło o wnuczkę Simona. No, prawie wnuczkę.

Anna-Greta, kiedy jej o tym opowiedział, stanęła po stronie Elofa. Stwierdziła, że pewnie coś nagle przyszło mu do głowy, nic, do czego należałoby przywiązywać jakakolwiek wagę. Bo co mogłoby to być?

Simon dał w końcu spokój. Ale o sprawie nie zapomniał.

Ogień w kominku nie chciał się rozpalić. Jakby wiatr po nocnym sztormie wyczerpał wszystkie swoje siły. Prawie w ogóle nie wiało, w kominie nie było cugu. Simon dołał podpałki i w końcu ze zdziwionym westchnieniem ogień się przebudził.

Simon ziewnął, sadowiac się na krzesło w kuchni. Spozstrzegł, że zostawił pudełko po zapalkach na stole, co było dość nieostrożne. Teraz otworzył je, larwa zdawała się odzyskiwać siły. Jej skóra nie była już szara, tylko jasnoczarna, jeśli taki kolor w ogóle istniał. Nie była jednak błyszcząca, nawet kiedy dostarczył jej kolejną porcję śliny. Robak nie wyglądał na umierającego, ale też nie wyglądał zdrowo.

Od dziesięciu lat był właścicielem Spiritusa. Każdego ranka dawał mu porcję śliny, a od czasu do czasu, kiedy stare pudełko się zniszczyło, wymieniał je na nowe. Teraz jednak zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił: przechylił pudełko, wyjął z niego robaka i położył sobie na dłoni.

W nocy coś się wydarzyło. Przez wszystkie lata traktował Spiritusa z mieszaniną szacunku i obrzydzenia, teraz jednak, kiedy zobaczył go w tak żalonym stanie, niemal umierającego, poczuł - może nie współczucie, to nie było właściwe określenie - ale pewną wspólnotę losu. Podlegali tym samym regułom gry.

Skóra larwy dotknęła jego skóry i Simon ugryzł się lekko w język. Trzymał w ręku robaka, to zawsze budziło obrzydzenie. Czuł jego delikatne ruchy, oznaki życia toczącego się niezależnie od niego.

Chociaż nie w tym przypadku.

Nic się nie wydarzyło i Simon się odprężył. Siedział na krzesle, trzymając larwę w otwartej dłoni. Była ciepła, cieplejsza od niego, skoro ją czuł. Pewnie zaledwie o kilka stopni, ale wystarczająco, żeby czuł jej ciepło na dłoni.

Ostrożnie zamknął wokół niej palce i opuścił powieki. Powoli, bardzo powoli larwa się poruszyła, poczuł laskotanie, idące od przedramienia aż do serca i dalej, do głowy, jak słaby prąd elektryczny powodujący lekkie podrażnienie.

Wyjrzał przez okno. Poranna rosa lśniła na trawie, a on miał wrażenie, że widzi każdą pojedynczą kroplę i wyobrażał sobie w myślach, jak podchodzi bliżej i je dotyka. Widział ukryte w pniach drzew żyły, widział, jak naczynka włosowate w liściach chłoną wodę. Jak w transie podszedł do drzwi wejściowych i wyszedł na werandę, trzymając nadal larwę w dłoni.

I przeżył szok.

Wszędzie była woda... wszędzie woda...

Wszędzie ją widział. Widział wilgotną ziemię. Zbierającą się w beczce deszczówkę, która była niczym żywe ciało, otaczające martwe owady i opadłe liście. Na trawniku widział biegnące pod skalnym podłożem żyły. Widział, jak wszystko, co żyło, było zielone, żółte albo czerwone... I prawie wszystko było wodą.

Ruszył w stronę pomostu, zobaczył morze.

Było zniszczone.

Była to wiedza, do wyrażenia której nie potrzebował słów; myśli, których nie musiał artykułować: morze uległo zniszczeniu. Zostało zepsute. Wyszedł na pomost, szedł nad wodą, nad zniszczoną wodą.

Siłą woli udało mu się przykryć własnymi myślami wiedzę, która nagle go obezwładniła. Przyczepiona do rufy łodzi stara lina przetarła się i łódź dryfowała teraz obok pomostu. Nadeszła fala, łódź okręciła się wokół własnej osi i uderzyła o pal.

Simon schylił się, nie zdążył jednak chwycić liny, więc poprosił wodę, żeby rzuciła ją w jego stronę. Nagle z dna trysnęła kaskada wody i lina wylądowała na pomoście. Dostał porządny prysznic, i zanim zdołał chwycić linę, ta znów wpadła do morza.

Otarł wodę z twarzy, patrząc, jak lina coraz bardziej zanurza się w wodzie. Jej poszarpane końce piły wodę jak gąbka. Teraz zażyczył sobie, żeby woda, którą lina była nasiąknięta, przyszła do niego. I nagle lina zaczęła się unosić, posłusznie niczym wąż. W pewnym momencie poczuł ją w dłoniach. Zawiązał supeł i zacumował łódź.

Marzył, wracając do domu w przemoczonym szlafroku; poprosił więc wodę, którą nasiąkł szlafrok, żeby stała się nieco cieplejsza, i woda go posłuchała. Nie chciał prosić, żeby w ogóle zniknęła, bo gdyby ktoś go zobaczył, zdziwiłby się pewnie, widząc go idącego w chmurze oparów.

Lekkie drżenie, wywołane kontaktem ze Spiritusem, przenikało jego ciało, krew prawie wrzała w jego żyłach i nadal niezwykle wyraźnie widział wszędzie wodę. Czuł się, jakby miał gorączkę, było mu słabo. To było zbyt ciężkie doświadczenie, nieprzeznaczone dla człowieka.

Kiedy wrócił do domu i umieścił Spiritusa w pudełku, powrócił do tej myśli.

Nieprzeznaczone dla człowieka.

Tak było. Był w posiadaniu czegoś, co nie było przeznaczone dla ludzi. Może dlatego trzymał to w tajemnicy: bo może wcale nie powinien tego mieć. To coś należało do kogoś innego. Do czegoś innego.

W końcu ubrał się i wyszedł. Kiedy Spiritus wrócił do pudełka, jego poczucie obecności wody też wróciło do normy: miał jej świadomość, przeczucie, ale to wszystko. Usiadł na ławce na werandzie, próbując rozkoszować się pięknym jesiennym dniem, ale bez nadmiernej wrażliwości.

Nie bardzo mu się to udawało. Kilka sójek buszowało wśród jaskrawoczerwonych koralii jarzębiny, a on widział jedynie ptaki. Poranne światło padło ukosem na liście klonu, migoczące tysiącami odcieni żółci i czerwieni, a on widział tylko jedno drzewo. Chmury na niebie były jedynie chmurami, a niebo za nimi jedynie nieskończoną pustką.

Każda rzecz była na swoim miejscu, ale nie była ze sobą powiązana. Jeszcze przed chwilą był jak drżąca igła sejsmografu, teraz zmienił się w sztywny patyk. Pokręcił głową i dotknął kieszeni.

Jesteś niebezpieczny. Można się od ciebie uzależnić.

Uwolniony od daru jasnowidzenia powiódł wzrokiem po tym, co tu na ziemi było jego: po trawniku, ogrodzie, pomoście, po kamienistym wybrzeżu i sitowiu w zatoce. Chociaż wszędzie panowała cisza, to jednak sitowie zdawało się coś kryć. Zmrużył oczy i wstał, żeby lepiej zobaczyć.

Wyglądało to jak kłoda. Może jakiś pomost został w nocy zniszczony i woda wyrzuciła deski na brzeg. W takim razie w zatoce pewnie będzie więcej drewna. Westchnął, wstał i ruszył wzdłuż brzegu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że nie jest to kłoda, chyba że ktoś ubrałby kłodę w sweter i w spódnicę.

To był człowiek. Kobieta.

Nagle zaczął się inaczej poruszać. Kiedy wszedł do wody, stał się czujny, jakby nabrał szacunku. Miał przecież przed sobą martwego człowieka. Poza tym zdawało mu się, że rozpoznaje ubranie.

Sigrid. Żona Holgera.

Woda sięgała mu niemal do krawędzi gumiaków. Od ciała dzielił go teraz zaledwie metr i miał pewność, że rzeczywiście była to Sigrid. Leżała na wodzie, unosząc się na brzuchu, ale nie miał żadnych wątpliwości. Szary sweter i gruba brązowa spódnica: zawsze tak się ubierała, czy szła do miasta, czy nad morze, czy był to dzień powszedni, czy święto.

Sigrid. Zatrzymał się. Półdlugie siwe włosy okalały jej głowę niczym macki ogromnej meduzy. Leżała kilka metrów od brzegu pomiędzy sitowiem, kilka złamanych trzcin przyczepiło się do jej ciała. Simon nie miał ochoty oglądać

jej twarzy. Korzystając z pomocy Spiritusa, mógł z łatwością spowodować, żeby ciało się odwróciło, może nawet wypłynęło na brzeg, uznał jednak, że to bez sensu. Na pewno się utopiła. Idąc w jej stronę, nie zauważył żadnego ruchu.

Jak długo tu leży?

To musiało się stać w nocy. Zaginęła już niemal rok temu, ale dopiero teraz morze ją oddało i wyrzuciło na brzeg.

Rok temu?

Jedna ręka Sigrid leżała odsunięta od ciała, widział jej białą dłoń. Przyglądał się jej palcom i wzdrygnął się, bo miał wrażenie, że się poruszyły. Ale to tylko woda zafalowała, odbijając słońce. Mimo to cofnął się i przeciągnął dłonią po twarzy.

Czy w takim razie nie powinny zostać z niej już tylko kości, sam szkielet?

Nie bardzo się orientował w takich sprawach, ale czy to możliwe, żeby ciało, które przeleżało w wodzie rok, miało tak dobrze zachowane palce? W głębinie żyło wiele głodnych stworzeń.

Dopiero teraz dotarło do niego, że stoi w wodzie po kolana i patrzy na trupa.

Miał wrażenie, jakby znajdował się w szklanej bańce, jakby ktoś rzucił na niego urok. *Göran*.

Już wiedział, co ma zrobić. Musi wrócić na brzeg i skontaktować się z Göraniem. Tak. Powoli zaczął się cofać z twarzą zwróconą do ciała. Nie chciał odwrócić się do niego plecami. Dopiero kiedy znów znalazł się na brzegu, mógł się odwrócić i tak szybko, jak tylko był w stanie, ruszyć truchtem do domu. Kilka razy oglądał się przez ramię, żeby skontrolować sytuację.

Upewnić się, że Sigrid nie idzie za nim.

Na szczęście Göran był w domu i wiedział, co należy zrobić. Zawiadomił odpowiednie władze i niespełna godzinę później ratownicy wyciągnęli ciało Sigrid na ląd, a następnie przetransportowali je do Nåtén. Młody policjant zadał Simonowi kilka pytań dotyczących znaleziska. Zanotował jego odpowiedzi, zamknął notes i na zakończenie spytał:

- Miała męża, prawda?

- Tak - przytaknęła Simon, spoglądając na Görana, który stał obok z rękami w kieszeni i patrzył w ziemię.

- Gdzie on mieszka?

Simon wskazał ręką na cypel, na Kattudden, i już miał zacząć tłumaczyć, jak tam trafić, kiedy Göran powiedział:

- Ja się tym zajmę. Zawiadomię go.

- Tak będzie lepiej?

- Może mniej źle - roześmiał się Göran. Obawiam się, że mógłbyś mieć kłopoty z porozumieniem się z Holgerem - dodał, zwracając się do kolegi.

Policjant spojrział na zegarek. Najwyraźniej miał ważniejsze zajęcia niż prowadzenie rozmowy z kimś, z kim trudno było się porozumieć.

- Dobrze - skwitował. - Przygotuj go, że pewnie będziemy mieli do niego jakieś pytania. Po zbadaniu ciała.

- Na pewno nigdzie nie ucieknie.

- Co masz na myśli?

- Zapewne to samo co ty.

Popatrzyli sobie w oczy i skinęli głowami, jakby na potwierdzenie, że się rozumieją.

Policjant wskazał kciukiem na zatokę.

- Chyba niemożliwe, żeby rok przeleżała w wodzie?

- Nie, raczej nie - potwierdził Göran.

Młody funkcjonariusz wrócił do policyjnej łodzi, Göran i Simon zostali na pomoście. Morze było niemal nieruchome. Tuż przy brzegu policyjna łódź zostawiła za sobą ślad, ale poza tym tafla wody była jak gigantyczne lustro, w którym odbijało się niebo. Morze dobrze skrywało swoje tajemnice.

- Coś się dzieje - powiedział Simon.

- Co?

- Coś z morzem. Coś się z nim dzieje.

Simon dostrzegł kątem oka, że Göran odwrócił głowę w jego stronę, sam jednak nadal wpatrywał się w zimną, niebieską powierzchnię wody.

- Co się z nim dzieje? - spytał Göran.

Simon nie potrafił ująć w słowa swojej wiedzy. Miał po prostu wrażenie, że morze się rozpadło, ale ponieważ tego nie mógł powiedzieć, stwierdził jedynie:

- Zmienia się. Na gorsze.

Bardzo drobne zdarzenie

Być może wszystko, cała ta historia potoczyłaby się inaczej, gdyby nie spadł liść. Liść, o którym mowa, rósł na gałęzi dużego klonu, oddalonego o dwadzieścia metrów od pomostu Simona. Nie dalej jak rano Simon omiótł go wzrokiem, siedząc na werandzie, uwolniony od wrażliwości, którą zapewniał mu Spiritus.

Ponieważ była już połowa października, klon podczas sztormu zgubił większość liści; nieliczne, które jeszcze mu zostały, ledwie się trzymały na gałązkach, przybierając kolory śmierci. Wyglądało na to, że większość z nich ma jednak

szansę przeżyć jeszcze kolejny dzień. Popołudnie było spokojne i pojedyncze liście jedynie z rzadka spadały, dołączając do leżących na ziemi suchych stert.

Kto wie, w jaki sposób zapadają decyzje, jak zmieniają się uczucia, jak rodzą się myśli? Można mówić o inspiracji, o gromie z jasnego nieba, być może jednak jest to zawsze równie proste czy też nieskończenie skomplikowane, jak procesy, które sprawiają, że liść spada z drzewa właśnie w tym, a nie w innym momencie. Po prostu nadchodzi właściwa chwila. Tak musiało się stać. I tak się stało.

Liść, o którym tu mowa, nie wymaga żadnego dokładniejszego opisu. Zwykły jesienny liść klonu. Wielkości talerzyka od filiżanki do kawy, kilka czarnych, kilka ciemnoczerwonych plamek na żółtym i pomarańczowym tle. Bardzo piękny i całkowicie zwyczajny. Nitki celulozy, które utrzymywały jego łożysko na gałęzi gdzieś w połowie wysokości drzewa, wyschły i siła ziemskiego przyciągania okazała się zbyt silna. Liść odpadł i poleciał na ziemię.

Göran poszedł porozmawiać z Holgerem, a Simon został na pomoście i długo jeszcze patrzył na morze. Szukał czegoś, co było niemal niewidzialne, jak skrawek łądu widziany przez gęstą mgłę, tyle że on nawet nie wiedział, czego szuka.

W końcu zrezygnował i odwrócił się w stronę łądu, postanowił pójść napić się kawy. Kiedy, machając rękami, schodził z pomostu, zatopiony we własnych myślach, zauważył jakiś ruch, jakieś migotanie; chwilę potem poczuł, jakby ktoś dotknął jego dłoni. Zatrzymał się.

Liść klonu przykleił mu się do ręki. Podniósł wzrok i spojrzął na koronę drzewa. Żaden inny liść nie spadł. Opadł tylko ten jeden, który oderwał się i trafił na dłoń Simona dokładnie w momencie, kiedy ten mijał drzewo.

Simon uniosł rękę i zaczął studiować delikatne żyłki liścia, jakby próbował rozczytać obce pismo. Nic tam nie było, liść nie miał dla niego żadnej wiadomości. Wiatr wstrzymał oddech, panowała cisza.

Jestem tu.

Uczucie nagłej i niespodziewanej radości przeszło jego ciało. Rozejrzał się, niemal ze łzami w oczach. Miał poczucie radosnej wdzięczności za to, że w ogóle istnieje. Że może jesienią przechodzić pod drzewem, że spada liść i trafia na jego dłoń. To była ta wiadomość, którą liść chciał mu przekazać, przypomnieć mu, że istnieje.

Ja spadłem, a ty właśnie przechodziłeś. Dlatego nie leżę teraz na ziemi. A więc ty istniejesz.

Właśnie, liść nie leżał na ziemi, a Simon nie umarł ani pod jabłonią, ani w

sitowiu. Ich drogi się skrzyżowały i teraz tkwili tu obaj. Być może po tym wszystkim, co się zdarzyło, Simon był nieco przewrażliwiony, ale wydało mu się to niemal cudem.

Nie chciał wracać do siebie. Zawrócił i z liściem w ręku ruszył do domu Anny-Grety, w głowie dźwięczały mu słowa jednej z ballad Everta Taubego: „Któż powiedział, że właśnie ty masz otrzymać dar słuchu, że dane ci będzie słyszeć szum fal...”

Rozciągający się wokół niego jesienny świat był piękny. Idąc, stawiał więc ostrożnie kroki, jakby nie chcąc zakłócać panującego spokoju. Delikatnie otworzył drzwi i wślizgnął się do przedpokoju. Stał, napawając się znajomym zapachem domu swojej ukochanej.

Z kuchni doszedł go głos Anny-Grety.

- Po prostu uważam, że musimy o tym porozmawiać. Coś się zmieniło i nie wiemy, co to znaczy.

Zmarszczył czoło. Anna-Greta z kimś rozmawiała, nie wiedział jednak z kim ani o czym. Nie chciał podsłuchiwać, więc odwrócił się, żeby zamknąć drzwi tak, by wiedziała, że wszedł, kiedy nagle usłyszał, jak Anna-Greta mówi:

- Sigrid jest jedynym znanym mi przypadkiem, ale nie mam pojęcia, co to może znaczyć.

Simon zawahał się, ale w końcu chwycił za klamkę. Na moment przed trzaśnięciem drzwi usłyszał jeszcze:

- Czyli pojutrze?

Tym razem drzwi wejściowe zamknęły się za nim z hałasem i Simon różnym krokiem ruszył przez korytarz. Kiedy dotarł do kuchni, usłyszał, jak Anna-Greta mówi:

- Dobrze. Jesteśmy umówieni. Chwilę później odłożyła słuchawkę.

- Kto to był? - spytał Simon.

- Elof- odpowiedziała. - Chcesz kawy? - dodała.

Simon nadal trzymał w rękach liść.

- O czym rozmawialiście? - spytał, starając się, by jego głos zabrzmiał obojętnie.

Anna-Greta wstała od stołu, sięgnęła po filiżanki i przyniosła dzbanek z kawą. Simon zadał pytanie tak cicho, że mogła w ogóle go nie usłyszeć. Miał jednak wrażenie, że go słyszała. Zmiał liść. Czuł się jak małe dziecko.

- O czym rozmawialiście? - spytał ponownie.

Anna-Greta postawiła dzbanek i parsknęła, jakby pytanie bardzo ją ubawiło.

- Czemu pytasz?

- Z ciekawości.

- Chodź, usiądź. Chcesz kawałek ciasta?

Radość, która go przed chwilą przepełniała, ulotniła się, zamieniając jego żołądek w wyschnięte koryto rzeki. Gdzieś na brzegu były kamienie i kłujące krzaki. Coś było nie tak, a co gorsza, miał wrażenie, że kiedyś już doświadczył czegoś podobnego, nawet kilka razy. Czasem bowiem Anna-Greta zniknęła, a kiedy potem pytał, gdzie była, unikała odpowiedzi i w końcu on zawsze się poddawał.

Tym razem jednak nie zamierzał odpuścić. Usiadł przy stole, a kiedy Anna-Greta chciała nalać mu kawy, przykrył filiżankę dłonią. Kiedy podniosła głowę, patrząc na niego pytająco, powiedział:

- Chcę wiedzieć, o czym rozmawiałeś z Elofem.

Próbowała zbyć go śmiechem. Kiedy spostrzegła, że Simon nie reagował, uśmiech zamarł. Patrzyła na niego, a w jej spojrzeniu na moment pojawiło się coś groźnego. Simon czekał. Anna-Greta pokręciła głową.

- Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Nie rozumiem, czemu cię to tak interesuje?

- Interesuje mnie, bo nie wiedziałem, że ty i Elof jesteście ze sobą w tak bliskim kontakcie.

Anna-Greta otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Simon jej przerwał.

- Interesuje mnie, bo usłyszałem, że rozmawialiście o Sigrid. I o tym, że coś się zmieniło.

Anna-Greta zrezygnowała z próby prowadzenia luźnej rozmowy. Odstawiła dzbanek z kawą, wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Podśluchiwałeś - stwierdziła.

- To był przypadek.

- Więc zapomnij o tym, co przypadkowo usłyszałeś. Daj sobie z tym spokój.

- Dlaczego?

Anna-Greta wciągnęła policzki, jakby poczuła w ustach jakiś kwaśny smak i chciała wypluć ślinę. Po chwili jednak jej twarz złagodniała.

- Bo cię o to proszę - powiedziała.

- To jakieś wariactwo. Co to za tajemnica?

To coś groźnego i obcego znów pojawiło się w jej oczach. Nalała sobie kawy, usiadła przy stole i po chwili się opanowała.

- Niezależnie od tego, co powiesz i jak bardzo poczujesz się zawiedziony, nie zamierzam o tym mówić. Kropka.

Nic więcej nie zostało powiedziane. Chwilę później Simon wyszedł na werandę. W rękę nadal trzymał zmięty liść. Spojrzał na niego i nie mógł przypomnieć sobie, co dojrzał w nim takiego szczególnego, że uznał, że musi tu przyjść. Rzucił go i ruszył w stronę swojego domu.

- Kropka - mruczał pod nosem. - Kropka.

Starzy znajomi

*Z tyłu, na okładce Biblii
nasze panie świetliczanki
zapisały, skąd naprawdę pochodzimy:
Z krainy cieni na ląd przybyły*

Anna Stabi Flux

O Morzu

Morze i ziemia

Można uznać je za przeciwieństwa, bądź że się uzupełniają. Ale nasze myślenie o morzu różni się od naszego myślenia o lądzie.

Gdy spacerujemy po lesie, po łące czy ulicami miasta, postrzegamy nasze otoczenie jako coś, co składa się z poszczególnych elementów. Z tyłu i tyłu rodzajów drzew różnej wielkości, z takich a takich domów, ulic. Łąka, kwiaty, krzaki. Nasz wzrok zatrzymuje się na drobiazgach; kiedy jesienią jesteśmy w lesie, brakuje nam słów, gdy próbujemy opisać to, co wokół nas się kłębi. Tak jest na lądzie.

Podczas gdy morze... Morze to co innego. Morze stanowi całość.

Jesteśmy w stanie odnotować zmieniające się nastroje. Widzimy, jak inaczej morze się zachowuje, gdy wieje wiatr; widzimy, jak światło bawi się na jego powierzchni, jak fale się wznoszą i jak opadają. Ale kiedy o tym mówimy, to zawsze mówimy o morzu. Nadaliśmy mu co prawda różne określenia, by móc na nim nawigować, ale kiedy na nie patrzymy, to widzimy tylko jedno. Widzimy morze.

Gdy małą łódką wypłyniemy dostatecznie daleko, tak że stracimy z oczu ląd, wtedy zobaczymy morze. Nie jest to przyjemne doświadczenie. Morze jest jak ślepy i niemy bóg, otacza nas ze wszystkich stron i ma nad nami wszelką władzę, mimo że zdaje się w ogóle nie wiedzieć o naszym istnieniu.

Znaczymy mniej niż ziarnko piasku na grzbiecie słonia, jeśli morze będzie miało ochotę, pochłonie nas. Tak po prostu. Morze nie zna granic, jest bezwzględne. Dało nam wszystko i wszystko może nam odebrać.

Do różnych bogów kierujemy naszą modlitwę: I uchroni nas przed morzem.

Szepcze ci do ucha

Dwa dni po sztormie Anders zszedł na porośnięty piolunem brzeg, żeby obejrzyć swoją łódź. Leżała na kozłach, odwrócona do góry dnem, i przedstawiała dość ponury widok. Nie bez powodu ktoś pięć lat temu odstąpił mu ją darmo.

Ponieważ nie było żadnych reguł, określających, co należy robić z wysłużonymi plastikowymi łodziami, to albo je porzucano, albo oddawano komuś, komu mogły jeszcze jakiś czas posłużyć. Jeśli natomiast ktoś rzeczywiście był zdecydowany pozbyć się wraku, to ostatecznym rozwiązaniem było wzięcie łodzi na hol i wypłynięcie w głąb fiordu, tam wywiercało się dziurę w dnie i pozwalało łodzi zatonać. Łódź Andersa zdawała się gotowa do tej ostatniej podróży.

W burcie były dziury, mocowanie silnika było pęknięte. Plastikowa powłoka wokół dulek była tak cienka, że pewnie pękłaby, gdyby ktoś spróbował wiosłować. Anders miał co prawda silnik, starego Johnsona o mocy dziesięciu koni, który teraz leżał w szopie, ale nie było pewności, czy w ogóle zaskoczy.

Łódź nie nadawała się do remontu. Anders chciał jednak uzyskać zaświadczenie o jej pławności, żeby nie musiał pożyczać łodzi Simona za każdym razem, kiedy musiał płynąć po prowiant.

Wyszedł na pomost, głównie żeby sprawdzić, czy wytrzyma jego ciężar. Nie było najgorzej. Część desek była spróchniała, jeden z palików się obluźował, ale pomost powinien wytrzymać przynajmniej jeszcze kilka lat.

Z południowego wschodu wiała lekka bryza; chcąc zapalić papierosa, musiał osłonić dłonią zapalniczkę. Wydmuchał dym na wiatr i wyciągnął plastikową butelkę z rozcieńczonym wodą winem. Wypił kilka łyków i zaczął wsłuchiwać się w dochodzący znad zatoki szum sitowia. Było dopiero wpół do jedenastej, a on już czuł przyjemny zamęt w głowie i bez lęku przyglądał się zielonemu sitowiu, falującemu na wietrze.

Gdyby nie wpływ wina, pewnie zaczęłby wyobrażać sobie różne rzeczy. Kilka dni temu znaleziono w sitowiu ciało Sigrid. Mógłby zacząć wyobrażać sobie niewiadomo co i nieźle się wystraszyć. Simon potwierdził jego przypuszczenia. Sigrid leżała w wodzie nawet niecały dzień. Co działo się z nią wcześniej, tego nikt nie wiedział.

Przez kilka dni policyjni technicy w gumowcach przeszukiwali sitowie. Anders przyglądał się im z okna sypialni. Nie odniósł jednak wrażenia, żeby znaleźli coś, co pomogłoby rozwiązać zagadkę. Zostawili po sobie zdeptane sitowie i wrócili na ląd.

Sprawdziwszy, że wiórowa płyta, którą zabił okno, trzyma się mocno, wszedł do domu, nalał sobie kawy i usiadł przy stole w kuchni. Liczba koralików na podkładce zbliżała się już do setki. Ale, z wyjątkiem tych pierwszych, to nie jego ręka je na niej ułożyła. Koralików przybywało nocami, kiedy spał.

Nadal czekał na jakąś wiadomość, ale koraliki nie mu nie mówiły. Były głównie w kolorze niebieskim, z wyjątkiem jednej białej plamki.

Z każdym dniem coraz silniej odczuwał obecność Mai, chociaż nadal nie dała mu wyraźnej wiadomości. Teraz już się nie bał, raczej znajdował pocieszenie w tym, że jakaś część jego córeczki nadal pozostawała w tym świecie. Była tu z nim, rozmawiał z nią. Permanentny stan lekkiego rauszu nie pozwalał mu zebrać myśli i czynił go otwartym na różne bodźce.

Usłyszał pukanie do drzwi. Po trzech sekundach otworzyły się i Anders poznał po krokach, że do domu wszedł Simon.

- Jest ktoś w domu?
- Jestem w kuchni. Wejdz.

Anders szybko rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy nie ma na wierzchu żadnych butelek wina. Nie miał. Na kuchennym blacie stał jedynie niewinnie wyglądający kartonik z sokiem winogronowym.

Simon wszedł do kuchni i bez żadnych ceregieli usiadł na krześle.

- Masz kawę? - spytał.

Anders wstał i nalał do filiżanki kawy. Postawił ją przed Simonem, który siedział i przyglądał się płytce z koralikami.

- Znalazłeś sobie hobby?

Anders wykonał przeczący gest ręką, trafiając przy tym w swoją filiżankę, która zachybotała się, ale się nie przewróciła. Simon nawet tego nie zauważył. Był skupiony na własnych myślach, widać było, że coś leży mu na sercu. Siedział chwilę, wodząc palcem po blacie stołu, jakby rysując na nim niewidzialne figury.

- Myślisz, że można poznać drugiego człowieka? Tak naprawdę go poznać? - spytał w końcu.

Anders ściągnął usta.

- W tym ty chyba jesteś ekspertem.
- Obawiam się, że nie.
- Jak to?

- Chodzi mi o to, że nie jesteśmy w stanie stać się drugim człowiekiem. Nawet jeśli będziemy sobie wmawiać, że tak jest. Zdarzyło ci się kiedyś, że byłeś z kimś tak blisko, że niekiedy, podczas krótkiej chwili, patrząc na niego, wyobraziłeś sobie przez krótki ułamek sekundy, że ta druga osoba - to tak naprawdę jesteś ty.

I poczułeś się niepewnie, bo zostałeś zawieszony w próżni, nie wiedząc kto co myśli. Skoro ta druga osoba to tak naprawdę - ja. A potem przychodzi zrozumienie. Że to nie tak. Bo przecież ja to ja. Zdarzyło ci się to kiedyś?

Anders nigdy nie słyszał Simona mówiącego w ten sposób i nie był pewien, czy mu się to podoba. Simon powinien zawsze być sobą. Opoką. Anders miał dość własnej niepewności, własnych pytań. Jednak odpowiedział:

- Tak. Chyba tak. Rozumiem, o co ci chodzi. Ale czemu pytasz? Czy to ma coś wspólnego z babcią?

- Między innymi. Dziwne, prawda? Można przeżyć całe życie z drugim człowiekiem. A mimo to nic o nim nie wiedzieć. Tak naprawdę. Ponieważ nie jesteśmy w stanie stać się tym drugim człowiekiem. Prawda?

Anders nie bardzo rozumiał, do czego Simon zmierza.

- To chyba oczywiste. Każdy to wie - powiedział.

Simon zaczął stukać palcem w blat. Szybko, poirytowany.

- O to właśnie chodzi. Nie sądzę, żebyśmy to wiedzieli. Bazujemy na sobie i wyobrażamy sobie nie wiadomo co. Tylko dlatego, że rozumiemy, co ta druga osoba mówi, wydaje nam się, że wiemy, kim ona jest. A tak naprawdę nie mamy pojęcia. Najmniejszego. Ponieważ nie jesteśmy tą drugą osobą.

Kiedy Simon wyszedł, Anders położył się na łóżku Mai i długo patrzył w sufit, gdzie nici pajęczyny układały się w brudne smugi. Przygotował sobie kolejną butelkę i co jakiś czas brał kolejny łyk. Myślał o tym, co powiedział Simon.

Nie można stać się drugim człowiekiem. Nawet jeśli nam się tak wydaje.

Czyż nie to właśnie sprawiło, że zadzwonił do Cecilii? Bo wyszedł z założenia, że ona go zrozumie, że zobaczy to, co on widział, skoro byli ze sobą tyle lat. Tak długo, że niemal stali się jedną osobą.

Ale takiego porozumienia między nimi nie było. Rozeszli się i nie mieli już ze sobą nic wspólnego. Gdyby naprawdę do siebie należeli, ich rozstanie nie byłoby takie łatwe. Wytrwaliby, rozumiejąc się naprawdę, i razem przeszliby przez piekło.

Anders uniósł butelkę, wykonał okrężny ruch ręką, jakby obejmując nią pokój i cały dom, i powiedział:

- Ale ciebie przecież rozumiem.

Czy aby na pewno?

Powrócił myślami do czasu, kiedy Maja była mała i spała w łóżeczku z drabinkami, a on stawał przy nim i jej się przyglądał. Pamiętał, jak zadziwiały go szybkie ruchy jej gałek ocznych pod powiekami, kiedy coś jej się śniło. Jak chciał móc do niej przeniknąć, zobaczyć to, co ona widzi, zrozumieć, co roi się w

jej maleńkiej główce. Jak ona widzi świat.

Nie. Nic nie rozumiemy.

Po tym jak Maja zniknęła, cały czas nosił ją w sobie. W głębi duszy rozmawiał z nią, niekiedy robił to nawet na głos. Z czasem stworzył sobie jej wyraźny obraz. Ponieważ nie żyła, nie mogła się zmieniać, więc nosił ją w sobie niczym lalkę, zastygłe odbicie, do którego zawsze mógł się zwrócić.

- Ale teraz tak już nie jest - powiedział na głos. - Zastanawiam się, co robisz? Jak jest tam, gdzie teraz jesteś, co się z tobą dzieje. Boję się i chciałbym cię znów zobaczyć. Tego pragnę najbardziej.

W oczach Andersa pojawiły się łzy, spłynęły mu po policzkach, mocząc poduszkę córeczki.

- Gdybym tylko mógł znów cię zobaczyć. Objąć cię. Tego pragnę. Tego pragnę.

Pociągnął nosem i przetarł oczy, starł łzy. Usiadł na brzegu łóżka, ściągając ramiona i kuląc się jak dziecko, obawiające się, że zaraz ktoś na niego nakrzyczy. Nagle jego wzrok padł na leżący pod łóżkiem stos komiksów o niedźwiadku Bamse. Sięgnął po pierwszy egzemplarz z wierzchu, numer 2, z 1993 roku. Na pchlim targu kupił kiedyś cały plik starych numerów, żeby Maja miała co czytać, czy raczej przeglądać, kiedy byli na Domarö.

Okładka przedstawiała niedźwiadka Bamse, Malucha i żółwia Łysulca płynących łodzią do zasnutej mgłą wyspy, gdzieś w oddali. Maluch jak zwykle wyglądał na przestraszonego. Anders położył się na plecach na łóżku córeczki i zaczął czytać. Historia dotyczyła kapitana Bustera i zakopanego skarbu, który okazał się blefem. Anders czytał, uśmiechając się przy różnych odzywkach, które tyle razy czytał Mai, zmieniając od czasu do czasu głos:

- Zaczekaj, Bamse! Mam cudowny miód!
- Uff... dzięki, Maluchu... Uff!
- Oj ej ej! Upuścił słoik. Koniec z nami!

Anders czytał dalej. Opowiadanie o próżnym kocie Janssonie. Co jakiś czas sięgał po butelkę i wypijał łyk wina. Kiedy skończył czytać, przyglądał się chwilę ostatniej stronie, zdjęciu dwójki dzieci w czapkach z miśkiem Bamse, które można było kupić za jedne pięćdziesiąt osiem koron, i nagle zobaczył siebie. Leżącego na łóżku Mai z komiksem w jednym ręku i swoją butelką z dzióbkiem w drugim. Roześmiał się. Maja stosunkowo wcześniej przestała pić mleko i kaszkę z butelki, ale jeszcze w wieku sześciu lat prosiła, żeby wlać jej sok do butelki, tak by mogła go pić, kiedy leżała i oglądała komiksy czy słuchała taśmy z bajkami. Nagle Anders zrozumiał, dlaczego to wszystko robi. Tak długo jak łóżko córeczki będzie stało puste, a obok niego będą leżały jej nieprzeczytane pisemka,

to pustka po niej będzie trwała. Skoro postanowił nie wyrzucać jej rzeczy, to musi jakoś tę pustkę zapłacić i to właśnie robił. Żył wspomnieniami o niej, robił to, co ona by robiła, gdyby nie zniknęła. To, co kochał, istniało przecież nadal.

- Poza tym tu jesteś. Jesteś tu gdzieś.

Wstając z łóżka, poczuł, że ma ciężkie nogi. W przedpokoju włożył lekko zmechaconą bluzę HellyHansen, którą Maja nazywała niedźwiedzią skórą, i ruszył do drewnitni.

Jeśli chciał zostać w domu na zimę, potrzebował drewna, dużo drewna. Nie-wielka sterta drewna, która została mu w spadku po ojcu, już się skończyła, a nie stać go było, żeby ogrzewać dom elektrycznym piecykiem.

Stos drewna, który Holger dostarczył im zeszłej zimy, leżał nadal i czekał, aż ktoś zrobi z nim porządek. Anders przyniósł pilę elektryczną z szopy na narzędzia, uzupełnił benzynę w zbiorniku, pomodlił się i szarpnął za sznurek. Piła oczywiście nie wystartowała, czego też wcale nie oczekiwał.

Ponawiał próbę z trzydzięci razy, aż zdrętwiała mu prawa ręka, a on sam zaczął spływać potem. Piła nie dawała żadnych oznak życia. Wyjął śrubokręt i klucz nasadowy, odkręcił świecę i oczyścił ją. Być może po prostu zardzewiała.

Kiedy wszystko ponownie złożył, zapalił papierosa, wypił łyk wina i zaczął się przyglądać pile. Poklepał ją, jakby chciał ją tym wzruszyć, wmówić, że wszystko jest w porządku, a przynajmniej, że wszystko da się naprawić. Może rzeczywiście trzeba było tylko oczyścić świecę i teraz już wszystko znów powinno działać.

- Przecież wiesz, że to drewno jest mi potrzebne. Jeśli mam tu mieszkać. Jeśli nie będę miał drewna, będę musiał się stąd wyprowadzić, a ty kolejną zimę przeleżysz w szopie, rdzewiejąc.

Znów napił się wina. Przemyślał sprawę i uznał, że użył złych argumentów. Nawet jeśli będzie miał dość drewna, to piła i tak spędzi zimę w szopie.

- No, dobrze, zrobimy inaczej. Jeśli zaczniesz działać, to zabiorę cię na zimę do domu, co już wcześniej powinienem był zrobić. Popełniłem błąd. Przyznaję, dobrze?

Zgasił papierosa obcasem, wbijając niedopałek w wióry pokrywające ziemię koło drewnitni.

Dużo mówię. Rozmawiam ze wszystkim dokoła.

Podniósł pilę, chwycił linkę, wziął głęboki oddech i pociągnął. Silnik zakaślał, coś zaskoczyło. Szybko wcisnął guzik, ale silnik zdążył już paść. Pociągnął ponownie, tym razem silnik zaskoczył. Najwyraźniej był otwarty na argumenty.

Łańcuch był niemal nowy i pocięcie drewna na bardziej poręczne kawałki okazało się proste. Zanim zbiornik się opróżnił, zdążył pociąć ponad jedną trzecią drewna.

Zdjął z uszu ochraniacze i poczuł, że szumi mu w głowie. W trakcie tej półgodziny, kiedy z piłą w ręku stał pochylony nad kawałkami drewna, kiedy brał je do ręki, ciął i odkładał na bok, nie myślał o niczym. Ani o złym, ani o dobrym, o niczym. Słyszał tylko ryk piły i czuł, jak opadające na ziemię wióry łaskoczą go w łydki.

Mógłby tu żyć.

Był spocony, język kleił mu się do podniebienia, ale zamiast ugasić pragnienie winem, poszedł do domu i wypił czerpak wody. Nie pamiętał, kiedy czuł się tak dobrze, no i był dumny, że czegoś dokonał. Po raz pierwszy od dawna.

Kiedy wrócił do szopy, wypił ostatni łyk wina, żeby uczcić to, co się stało. Potem zapalił papierosa i poszedł po siekiere. Ponad połowę drewna stanowił świerk, który leżał tu już od dwóch lat. Zaczął od niego. Szło mu ciężko, z niektórymi kawałkami mocował się nawet kilka minut. Od czasu do czasu robił sobie przerwę i zabierał się do kawałka brzozy czy olchy.

Po niespełna godzinie pracy zaczęły boleć go ręce i właściwie chciał już odłożyć siekiere, kiedy znów naszło go to uczucie. Miał wrażenie, że ktoś za nim stoi i się mu przygląda. Tym razem jednak się nie przestraszył. Ostrzem siekiery zsunął na ziemię leżący na pieńku kawałek brzoźowego drewna, chwycił mocniej za rękojeść i się odwrócił.

- Kim jesteś? - zawołał. - Pokaż się! Wiem, że tu jesteś!

Żółte liście osiki zaszumiały, Anders zmrużył oczy, jakby przyglądał się świetlnym jęczyczkom na tablicy reklamowej. Jakby się spodziewał, że w każdej chwili może się na niej ukazać jakaś wiadomość, czy może czyjaś twarz. Ale nic takiego nie nastąpiło. Pozostało tylko wrażenie czającego się gdzieś zagrożenia. Ktoś go obserwował, namierzał i ostrzył swój nóż.

Nagle usłyszał łopotanie, jakaś ciemna piłka przeleciała obok jego głowy. Instynktownie zasłonił się siekiere, ale piłka minęła jego głowę i poleciała dalej, a po chwili usłyszał odgłos uderzenia, gdzieś dalej, przy szopie.

Ptak. To był ptak.

Opuścił siekiere. Ptak tłukł się wewnątrz szopy, bijąc panicznie skrzydłami i drapiąc pazurkami. Sądząc po dochodzących z szopy dźwiękach, był niewielki. Anders czekał. Uczucie bycia obserwowanym zniknęło.

Ptak?

Nie, to nie ptak mu się przyglądał. To było coś większego, ciemnego. Ptak zjawił się tu przypadkowo. Anders zrobił kilka kroków w stronę szopy, zajrzał przez drzwi do wewnątrz. Nawet jeśli to stworzenie było niewielkie, jeśli to rzeczywiście był ptak, to należało zachować ostrożność, szczególnie w zamkniętym pomieszczeniu. Nagle, szybkie ruchy, dziób, pazury. Małe, ale ostre.

Dopiero kiedy odważył się wejść nieco głębiej, zauważył go. Nie znalazł się na gatunkach ptaków, może był to gil? Poruszał się niespokojnie, pazurki drapały plastik. Czarne oczka błyszcząły, ale Anders nie widział, czemu ptak się przygląda. Wychylił się do przodu i wyszeptał:

- Maja? To ty, Maju?

Ptaszek nie zareagował. Anders wyciągnął do niego dłoń. Robił to powoli, po kilka centymetrów. Kiedy już miał dotknąć jego piór, ptak drgnął i wyfrunął z szopy. Anders został z wyciągniętą ręką. Wyglądał jak ktoś, kto próbuje złapać zjawę. Szybko sięgnął po stojącą obok butelkę i zacisnął palce wokół szyjki.

Wyrzwał przez drzwi, ale ptaszek zniknął. Z braku innego zajęcia zaczął się przyglądać trzymanej w dłoni butelce. Była napełniona mętną cieczą, może było to jakieś paliwo, może była to ropa. Odkręcił zakrętkę i poczuł ostry, gorzki odór. Nie miał pojęcia, co to mogło być. Zakręcając zakrętkę, odwrócił nieco butelkę i zobaczył ręcznie napisaną nalepkę.

Rozpoznał styl pisma. Ozdobne, drżące litery pisane były ręką ojca. Na pasku taśmy klejącej napisał: „Piołun”. Butelka zawierała rodzaj koncentratu z piołunu, możliwe, że używano go przeciwko robactwu. Albo do odstraszenia saren.

Anders pokręcił głową. Piołun był trujący, a butelka stała tutaj także, kiedy bawiła się tu Maja.

Typowy przykład złych rodziców.

W geście spóźnionego zadośćuczynienia zakręcił mocno zakrętkę i postawił butelkę na półce nad blatem, żeby Maja nie mogła jej dosięgnąć. Następnie poszedł do drewnutni po taczkę. Zanim jednak zaczął układać świeżo pocięte kawałki drewna w drewnutni, musiał przesunąć w głąb te dawne, suche, żeby nie leżały z przodu i nie przeszkadzały.

Po raz kolejny stwierdził, że praca przynosi mu spokój zapomnienia i że właśnie tego potrzebuje. Uprzątnięcie drewnutni zajęło mu dobrą godzinę, w końcu jednak zaczął układać świeży zapas. Kiedy po skończonej pracy oparł taczkę o ścianę szopy, na zewnątrz zmrok zaczął już powoli wyłączać światło dnia. Zdjął rękawiczki i zacierając dłonie przyglądał się nieco już bardziej pełnej drewnutni. Miał obolałe całe ciało, ale czuł się niemal jak prawdziwy człowiek.

Zastanawiał się, czy nie przespacerować się do Elin i spytać, czy nie wypiliby razem kieliszka, a może i dwóch, prawdziwego wina, ale wiedział, że ostatnie dwa dni jej nie było i pewnie jeszcze nie wróciła, poza tym czuł, że dzisiaj pewnie nie będzie potrzebował wina, żeby zasnąć. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Spotkanie

Simon miał dosyć.

Odnalezienie ciała Sigrid i to, co potem nastąpiło, przebrało miarę. Nie mógł dłużej przymykać oczu na to, co właściwie przeczuwał już od pięćdziesięciu lat. Koniec.

Historia jego uwolnienia się z łańcuchów w morzu przy pomocy, szlifowana przez lata w opowieściach jego i Anny-Grety, stała się prawdziwą perełką. Cztery dni temu opowiedzieli ją Andersowi, który chyba jako jedyny w okolicy dotąd jej nie znał. Była to jednak nie tylko opowieść o bohaterskim czynie, ale i o budzącej się miłości.

To prawda. Tak było, ale jednocześnie brakowało w niej czegoś niezwykle ważnego. Czegoś, o czym wówczas rozmawiał z Anną-Gretą, która jednak miała swoje zastrzeżenia, więc z oficjalnej wersji ten fragment został usunięty. Nie pasował do niej.

Jednak Simon o tym nie zapomniał. Pamiętał, jak naprawdę było.

To był niezwykle prosty numer, a przynajmniej tak się zapowiadał. Simon został związany wyłącznie łańcuchami, a łańcuchy rzadko stanowiły poważny problem. Jeszcze stojąc w worku, uwolnił się od większości z nich, udało mu się też naruszyć zamek przy kajdankach.

Kiedy w końcu poczuł pchnięcie i wylądował w wodzie, uznał, że potrzebuje góra pół minuty, żeby pozbyć się ostatnich łańcuchów i worka. Potem musiał jedynie podплыć do pomostu i odczekać minutę czy dwie, dla większego efektu.

Worek uderzył o wodę i Simon poczuł, że idzie na dno. Nauczył się panować na swoim układem oddechowym tak, że był w stanie wyrównywać ciśnienie, nie zatykając nosa palcami. W drodze na dno zacisnął przewody dwukrotnie, sprawiając, że bębenek w uchu się napiął, łagodząc trzaski i ból głowy. Zamknął oczy, żeby bardziej się skupić; czuł, jak zimna woda przenika przez worek i jego członki stają się sztywne.

Największym zagrożeniem był nie brak tlenu, Simon potrafił bowiem wstrzymać oddech przez ponad trzy minuty, najgroźniejsze było zimno. Już po upływie minuty palce traciły sprawność. Dlatego zawsze starał się jak najszybciej pozbyć się kajdanek.

Tym razem ten kłopot miał już z głowy. Kiedy jego ciało odbiło się od dna, wiedział, że jeszcze kilka prostych ruchów i wyzwoli się również z worka, a potem popłynie odbierać zasłużone hołdy.

I właśnie wtedy, kiedy wyzwalał się z ostatniego łańcucha, poczuł, że woda

nad nim staje się jakby cięższa. Jakby coś się na nim położyło. Jego pierwszą myślą było, że ktoś zrzucił coś z pomostu. Coś dużego, ciężkiego.

Coś ściągało go na dno i musiał bardzo się wysilać, żeby nie pozwolić, by całe powietrze uszło mu z płuc.

Otworzył oczy i zobaczył jedynie ciemność. Do tej pory chłód ścinał mu skórę jedynie od zewnątrz, teraz poczuł go także od wewnątrz. Serce zaczęło szybciej bić, pożerając drogocenne resztki tlenu. Próbował dojść, co mu tak ciąży i zastanowić się, jak wyrwać się z tych objęć, i nie był w stanie. To było coś, co nie miało żadnego kształtu, żadnych konturów. Nadal skłaniał się ku swojemu pierwszemu wrażeniu: że nagle woda zrobiła się ciężka.

Wpadł w panikę. Oczy zdążyły się już przyzwyczaić do słabego światła, które docierało przez tkaninę worka sześć metrów pod wodą. Kiedy wypuścił kilka bąbelków powietrza, widział jedynie ich zamazane odbicie.

Nie chcę umierać. Nie w taki sposób.

Ogromnym wysiłkiem woli udało mu się przekreślić tak, żeby pozbyć się ostatniego łańcucha. Wciąż jeszcze miał czas. Kilka razy, gdy asekurowany przez Maritę, ćwiczył wstrzymywanie oddechu pod wodą, odważył się dojść niemal do granicy swoich możliwości. Poznał oznaki zbliżającego się omdlenia, dlatego wiedział, że wciąż jeszcze ma czas.

Nadal jednak nie mógł wyswobodzić się spod ciężaru. Coś przygniatało go niczym ogromny tłuczek, jakby worek był ziarenkiem pieprzu na dnie moździerza.

Kawałkiem metalu udało mu się zrobić dziurę w worku, nagrodą był przebłysk prawdziwego dziennego światła. Leżał na plecach, przyciśnięty do dna. Wysoko nad sobą widział zarysy ludzi na pomoście, a nad nimi błękitne niebo. Nikt niczego nie wrzucił, nic nad nim nie było. Jedynie woda. Sześć metrów nieprzeniknionej wody.

Zimno chwyciło go teraz na dobre w swoje szpony, poczuł jak jego ciało zaczyna ogarniać spokój. Niczym ciepło. Odpęrzył się i przestał stawiać opór. Jeszcze minuta i będzie po wszystkim. Po co spędzić ją na walce? Wyswobodził się z łańcuchów, kajdanek i sznurów, ale wiedział, że woda go nie puści. W końcu pozwolił jej zwyciężyć.

Wszystko wydawało mu się piękne.

Leżał na dnie spokojnie i bezwładnie. Jakby już umarł, chociaż przez szparkę widział niebo i niewyraźne zarysy czekających na niego ludzi. Jednak jego wzywały już anioły, za chwilę przybędzie do nich. Otaczały go ciemności, wkrótce jednak zobaczy światło, to dobrze.

Nie wiedział, jak długo tak leży. Może minutę, może dwie, może dziesięć sekund. Nagle woda straciła swój ciężar, jakby ktoś zdjął go z niego. Był wolny.

Pełen spokoju, co potem trudno było mu pojąć, pomyślał tylko: Ach tak,

więc jednak będzie inaczej, wygramolił się z worka i równymi ruchami popłynął w stronę pomostu. Nikt nie próbował go zatrzymać, nikt za nim nie płynął. Nie czuł żadnego ciężaru, tylko lekkość. Wyłonił się na powierzchnię tuż obok cumujących łodzi, zaczerpnął powietrza i dopiero wtedy zrobiło mu się czarno przed oczami. Chwyił się burty najbliższej łódki, by nie utonąć. Oddychał spokojnie i świat znów stał się całością.

Od strony molo usłyszał jak ktoś woła:

- Trzy minuty!

Nie mógł uwierzyć, że to mogło chodzić o niego. Przecież nie było go bardzo długo!

Wisiał, trzymając się burty, i próbował dojść do siebie. Kiedy głos na molo zawołał: „Cztery minuty!”, odzyskał wszystkie zmysły. Czuł łagodny zapach łodzi, w ustach miał smak soli i strachu, i kłujący chłód w mięśniach.

Żyję-

Podpłynął do brzegu i zaledwie po kilku metrach poczuł dno pod nogami. Skrył się za łodziami, potem doszedł do brzegu po kamieniach. Dalsza część historii pokrywa się z jej oficjalną wersją.

To była pierwsza sprawa z wielu innych, którym nigdy nie poświęcił więcej uwagi. Różne osoby znikwały w niewyjaśnionych okolicznościach, znalazł Spiritusa, a Maja rozplynęła się w nicości. Pozwolił wmówić sobie, że wszystko jest w porządku, bo tak było najłatwiej, a alternatywa była trudna do sformułowania. Pomysł, że mieszkańcy wyspy mieliby być wplątani w jakąś konspirację, był śmieszny. A jednak zaczął się zastanawiać, czy może jednak tak właśnie było.

Simon narzucił starą skózaną kurtkę na kombinezon i wyszedł. Nagle dostrzegł pewien ślad i postanowił pójść jego tropem, mając nadzieję, że spowoduje reakcję innych. Ten ślad miał na imię Holger. Odnalezienie ciała Sigrid najwyraźniej bardzo nim wstrząsnęło, ponieważ w ogóle nie opuszczał domu. Być może się rozsywał, być może można było z nim rozmawiać.

Była czwarta po południu i po zatoce niosły się odgłosy rąbania siekierą. Simon pokiwał głową. Anders najwyraźniej zabrał się do pracy, to dobrze. Powtarzające się głuche odgłosy świadczyły, że zabrał się do suchego drewna świerkowego.

Tak, tak. Czekają go sporo pracy.

W łagodnym popołudniowym świetle miasteczko zdawało się puste. Dzieci wróciły już ze szkoły i pewno jadły teraz w domu obiad. Simon spojrzął na pomost i wspomniał dzień dawno temu, kiedy pierwszy raz wyszedł tu na ląd. Zadziwiająco mało się zmieniło. Drewniane łodzie wokół pomostu ustąpiły miejsca plastikowym, powstała też stacja transformatorowa, która teraz

pomrukiwała cicho u końca pomostu, ale poza tym wszystko wyglądało tak jak wtedy.

Dawna poczekalnia promowa na nabrzeżu została zburzona, na jej miejscu stała teraz nowa. Szopy uznano za zabytek, więc pozostały niezmienione, cysterna na ropę tkwiła nadal na swoim miejscu, zasłaniając widok na miasteczko, okalające wyspę krzaki rokitnika nieco się rozrosły, ale w zasadzie wszystko było na swoim miejscu. Te rzeczy były świadkiem jego zejścia na ląd; widziały, jak niemal się utopił, a teraz obserwowały, jak szedł przez niemal puste miasteczko, kopiąc leżące na drodze drobne kamyki.

Wiecie więcej ode mnie. Dużo więcej.

Był tak zajęty patrzeniem pod nogi, że dopiero kiedy podszedł niemal pod sam Dom Misyjny, zauważył, że wewnątrz pali się światło. Dom Misyjny otwierał swoje podwoje tylko w wyjątkowych wypadkach, zwykle jedynie w sobotnie poranki, kiedy nieliczne grono starszych mieszkańców wyspy zbierało się tu, żeby wypić kawę i śpiewać psalmy przy akompaniamencie starych organów na pedały.

Teraz zasłony były zaciągnięte i zwisający z sufitu żyrandol, duma Domu Misyjnego, zdawał się jedynie bladą plamą. Simon podszedł do okna i zaczął nasłuchiwać. Słyszał głosy, ale nie mógł zrozumieć, czego dotyczy dyskusja. Chwilę się zastanawiał, po czym ruszył, okrążył budynek i wszedł do środka.

Zebranie rady miasteczka. Też należą do jego mieszkańców.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, nie wzbudził właściwie jego zdziwienia. Kilkanaście osób w wieku od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu lat siedziało na krzesłach ustawionych pod statkiem wotywnym. Znał, a w każdym razie rozpoznawał wszystkich. Był tam Elof Lundberg i jego brat Johan. Była Margareta Bergwall i Karl-Erik, nazwiska nie pamiętał, z południowej części miasteczka. Był też Holger. I Anna-Greta. I wielu innych.

Rozmowa urwała się, gdy tylko otworzył drzwi. Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę. Nie widział na nich ani zmieszania, ani wstydu, chociaż miny zebranych ludzi wyraźnie mówiły mu, że nie jest tu mile widziany. Skierował wzrok na Annę-Gretę, na jej twarzy malowało się coś innego. Jakby udręka. A może ciche błaganie.

Idź stąd. Proszę.

Udał jednak, że tego nie widzi. Wszedł do środka i spytał wesoło:

- A co wy tu tak siedzicie i knujecie?

Wymieniono spojrzenia i najwyraźniej postanowiono, że to Anna-Greta powinna mu odpowiedzieć. Sekundy mijały, sytuacja robiła się niezręczna. W końcu głos zabrał Johan Lundberg.

- Jakiś człowiek ze Sztokholmu chce kupić Dom Misyjny.

Simon pokiwał głową zamyślony.

- Ach tak - odezwał się. - I co w związku z tym zamierzacie?
- Rozważamy sprzedaż.
- A co to za jeden, ten sztokholmczyk? Jak się nazywa?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowił podejść bliżej. Wziął krzesło i usiadł.

- Nie przeszkadzajcie sobie. Zaciekawilo mnie to.

Zapadła całkowita cisza. W starych drewnianych ścianach coś trzeszczało, zaschnięty płatek ze zwiędniętego bukietu opadł na ołtarz. Anna-Greta patrzyła na niego ciemnymi oczami.

- Nie możesz tu zostać - powiedziała.
- Dlaczego?
- Dlatego, że... tak. Nie możesz tego po prostu zaakceptować?
- Nie.

Karl-Erik wstał. Ze wszystkich tu zebranych zachował najlepszą kondycję, podwinięte rękawy obnażały jego nadal prężne mięśnie.

- Tak po prostu jest. I jeśli nie wyjdiesz dobrowolnie, będę musiał cię stąd usunąć - oznajmił.

Simon też wstał. Wiedział, że Karl-Erik ma nad nim przewagę, jednak wbił w niego wzrok i powiedział:

- Spróbuj.

Karl-Erik uniósł krzaczaste brwi i zrobił krok do przodu.

- Skoro tego chcesz...

Całkowicie nieświadomie Simon zacisnął palce wokół pudełka od zapalek, które miał w kieszeni. Karl-Erik gniewnym gestem odsunął kilka krzeseł i teraz zbliżał się do niego.

- Karl-Erik! - zwołała Anna-Greta.

Ale mężczyzna nie dał się zatrzymać. W jego oczach pojawił się błysk, miał do wykonania zadanie. Podeszedł do Simona i obiema rękami chwycił go za pęły kurtki. Simon się zachwiał i uderzył głową w klatkę piersiową mężczyzny; cały czas ściskając w dłoni pudełko od zapalek.

Z czołem przyciśniętym do żeber swojego przeciwnika, błagał wodę, znajdującą się w krwi Karla-Erika i tę, która była w jego mięśniach, by ruszyła do góry. Siła jego życzenia miała mniejszą moc, niż gdyby trzymał Spiritusa bezpośrednio w dłoni, ale okazała się wystarczająca. Karl-Erik się zachwiał, i chwycił się za głowę. Zrobił kilka niepewnych kroków do tyłu i zwymiotował na zabytkowy dywan.

Simon przestał ściskać pudełko, skrzyżował ręce na piersi i spytał:

- Coś jeszcze?

Karl-Erik kaszlał i szlochał. Rzucił na Simona nienawistne spojrzenie, znów załkał, otarł usta i niemal wysyczał:

- Co ty wyprawiasz, do diabła...

Simon ponownie usiadł na krześle.

- Chcę wiedzieć, o czym rozmawiacie - powiedział i zerkając na zebranych ludzi, dodał: - O morzu, tak? O tym, co z nim się dzieje.

Elof Lundberg przeciągnął ręką po лысеj czaszce, która bez obowiązkowego kaszkietu sprawiała wrażenie nieprzyzwoicie nagiej, i spytał:

- Ile wiesz?

Część zebranych ludzi spojrzała na niego ze złością, ponieważ jego pytanie było równoznaczne z przyznaniem, że jednak coś się dzieje. Simon pokręcił głową.

- Niewiele. Ale wystarczająco, żeby wiedzieć, że coś jest nie tak.

Karl-Erik doszedł już do siebie i ruszył z powrotem na swoje miejsce.

Mijając Simona wycedził:

- I co zamierzasz z tym zrobić?

Simon rozpiął kurtkę, jakby chciał dać do zrozumienia, że naprawdę zamierza zostać. Zauważył, że ludzie, skupieni wokół jakiegoś niewidzialnego środka, najwyraźniej nie zamierzali go do siebie dopuścić. Anna-Greta nawet na niego nie spojrzała. Zabolalo go to. Mimo swoich wcześniejszych ponurych podejrzeń, nie przypuszczał, że będzie to tak wyglądało.

Czego oni tak bardzo się boją?

Na pewno rozmawiali o morzu. Siedzieli tu, jakby byli sektą, bojaźliwie chroniącą swoją tajemnicę, swoją wiarę; nie chcąc, by ktoś z zewnątrz wtargnął do ich kręgu. Simon nie był jednak w stanie pojąć, że wśród nich była też Anna-Greta. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby ona mogła się czegoś bać. Ale przecież siedziała tu, uciekając od niego wzrokiem.

- Nie zamierzam nic robić - powiedział Simon. - Zresztą co mógłbym zrobić? Ale chcę wiedzieć. Holger! - zawołał.

Holger, który siedział zagłębiony w swoich myślach, wzdrygnął się i uniósł głowę.

- Co tak naprawdę stało się z Sigrid? - spytał Simon.

Być może Holger nie śledził dokładnie poprzedniej, wyraźnie agresywnej wymiany zdań, bo odpowiedział skwaszony, jakby Simon należał do wtajemniczonych:

- Przecież właśnie o tym rozmawiamy.

Simon miał ochotę rzucić jakąś ironiczną uwagę o tym, iż sądził, że rozmowa dotyczy sprzedaży Domu Misyjnego, uznał jednak, że w ten sposób mogliby siedzieć i przerzucać się uszczypliwościami w nieskończoność, więc tylko skrzyżował ręce na piersi i spokojnie powiedział:

- Nie zamierzam stąd odejść. Zdecydujcie, jak chcecie to załatwić.

Nareszcie Anna-Greta podniosła głowę. Patrzyła mu prosto w oczy, ale nie potrafił odczytać jej spojrzenia. Nie było w nim miłości. Ani nienawiści, czy w

ogóle jakiegokolwiek uczucia. Jakby powierzono jej zadanie, a tym zadaniem był on. I teraz ona próbowała ocenić to, co tak naprawdę zostało jej powierzone. Długo mu się przyglądała. Simon odwzajemniał jej spojrzenie. Dzieliło ich morze. W końcu zacisnęła wargi, skinęła głową i powiedziała:

- Mógłbyś opuścić nas chociaż na kilka minut? Proszę. Musimy się zastanowić.

- Nad czym?

- Nad tobą.

Simon zamyślił się, w końcu jednak uznał, że prośba jest rozsądna. Z przesadną dokładnością zaciągnął suwak kurtki i wyszedł. Zanim zamknęły się za nim drzwi, usłyszał jeszcze głos Karla-Erika.

- Tym cholernym letnikom wydaje się, że...

Drzwi się zamknęły i Simon nie usłyszał reszty zdania.

Odszedł nieco od Domu Misyjnego i zaczął się przyglądać jesiennym krajobrazom. Krzaki głogu wokół budynku były obsypane owocami jakby żywymi, czerwonymi owadami. Liście w większości były już złote, rdzawe dachówki połyskiwały wilgocią. Od czasu do czasu przez listowie przedzierał się promień słońca i wtedy na zwirowej ścieżce błyszczały pojedyncze płatki krzemu.

Najpiękniejsze miejsce na świecie.

Nie pierwszy raz przyszło mu to na myśl. Szczególnie jesienią zdarzało się, że nagle się zatrzymywał i stał, jakby porażony pięknem wyspy. Jak to możliwe, że Domarö wyludniała się, że nie wszyscy chcieli tu mieszkać.

Szedł drogą, chłonąc kolejne cuda jesieni: przezroczystą wodę w skalnych zalamaniach, gołe pnie iglastych drzew i kępki zielonego, nasyczonego wilgocią mchu. Pomalowana na biało wieża dzwonu sztormowego zdawała się sięgać chmur. Myśli Simona krążyły wokół tego, co przed sobą widział. Nie chciał zajmować się niczym innym, nawet czekającymi go być może zmianami. Może było to pożegnanie?

Spacerował już dobre pięć minut, kiedy drzwi do Domu Misyjnego się otworzyły. Anna-Greta wyszła na zewnątrz i przywołała go gestem ręki. Nie potrafił powiedzieć, jaka decyzja zapadła, bo zanim zdążył do niej podejść, ona już się od niego odwróciła.

Kiedy wszedł do ciepłego pomieszczenia, wszelkie pytania okazały się zbędne. Krąg został uzupełniony o dodatkowe krzesło. Stało między Johanem Lundbergiem i Martą Karlsson, która kiedyś prowadziła miejscowy sklepik, zanim przejął go jej syn. Simon nie wiedział, czy było to zamierzone, ale okazało się, że będzie siedział naprzeciwko Anny-Grety.

Zdjął kurtkę, powiesił ją na oparciu krzesła i usiadł, opierając łokcie o kolana. Karl-Erik siedział dwa krzesła dalej, po jego lewej stronie; można było odnieść wrażenie, że trzymał w ręku kadełko z nitrogliceryną, która przy

najmniejszym ruchu groziła wybuchem.

Anna-Greta rozejrzała się dokoła i zwilżyła wargi. Najwyraźniej została wyznaczona na mówcę. A może była to jej stała funkcja.

- Przede wszystkim - zaczęła - chcę, żebyś powiedział nam, jak wiele wiesz. I skąd masz te wiadomości.

Simon pokręcił przecząco głową.

- Żebyś mogła ocenić, co masz mi powiedzieć? Nie, nie zgadzam się. Mam wrażenie, że postanowiliście... - przerwał, zerkając na Karla-Erika, że postanowiliście mi powiedzieć. Więc mówcie.

Anna-Greta znów spojrzała na niego tym innym wzrokiem. Ale tym razem było w nim coś jeszcze. Simon musiał się chwilę zastanowić, zanim zrozumiał. Było jej wstyd. Bo skoro się z nim związała, to teraz była to jej wina. Ponosiła za to odpowiedzialność.

Elof Lundberg uderzył dłońmi o kolana i powiedział:

- Nie możemy tak siedzieć tu w nieskończoność. Mów. Zaczynj od Gåvasten. I Anna-Greta zaczęła opowiadać.

Gåvasten

W dawnych czasach bycie rybakiem było ciężkim zajęciem. Nie istniały prognozy pogody, na których można było się oprzeć; nikt nie potrafił przewidzieć, czy akurat tego dnia morze planowało pokazać się od swojej najlepszej strony, czy wręcz przeciwnie, zamierzało rozpętać burzę, która mogła zniszczyć zarówno ludzi, jak i ich łodzie.

A kiedy coś się wydarzyło, jeśli niewielkie łódki, które wypłynęły na połów, zostały zaskoczone przez sztorm, to czy załoga miała jakkolwiek możliwość, żeby wezwać pomoc? Żadnej. Jedynie Bóg mógł usłyszeć ich wołania o pomoc, ale On nie zawsze był gotów ją nieść.

Ludzie musieli sobie radzić. Gdy nie pozostawała już żadna nadzieja, kiedy załoga zbierała się przy burcie, by nie dopuścić, żeby fale zalały pokład, można było jeszcze próbować obiecać sowity datek po powrocie do domu. Zdarzało się, że Bóg dawał się przebłagać i wtedy, w następną niedzielę, odczytywano w kościele złożone na morzu obietnice i wpłacano obiecaną sumę.

Nie był to jednak pewny sposób. Wiele takich obietnic szło na dno razem z tymi, którzy je składali. Niewiarygodne, można by uznać. Ale Pan Bóg nie był przecież kupcem.

Tak, tak, połów śledzi był w dawnych czasach niebezpiecznym zajęciem, ale niekiedy też potrafił przynosić pokaźne zyski. Latem całe rodziny przenosiły się na nieco dalej położone wyspy, by tam zakładać sieci, a potem oprawiać złowione ryby. Śledzie solono i układano w beczkach, składowano, a potem jesienią transportowano do domu i sprzedawano.

Szwecja została zbudowana na solonych śledziach. Czym karmiono żołnierzy? Co dawano do jedzenia budującym kościoły obcym robotnikom najemnym i w ogóle różnym innym zatrudnionym pracownikom?

Wszyscy dostawali śledzie! Co jedli ludzie, żyjący na wybrzeżu, podczas ciemnych zimowych miesięcy?

Właśnie. Solone śledzie.

Tak bardzo bano się obrazić te cenne ryby, że na tablicy w porcie napisano nawet: „Kto zbezczęści rybę, a nawet złym słowem ją określi, ten winien uiścić karę w wysokości sześciu marek”.

Srebro morza. Trzeba było po nie sięgać, nawet ponosząc ryzyko. Ale szukano też sposobów, jak - powiedzmy - zagwarantować sobie udany połów. Jak zmniejszyć ryzyko i móc czuć się bezpiecznie.

To, co Anna-Greta zamierzała opowiedzieć, zdarzyło się kilka wieków temu. Obszar, który dzisiaj znamy jako Nåtten, znajdował się wtedy jeszcze częściowo pod wodą. Domarö i okoliczne wyspy stanowiły zewnętrzną granicę archipelagu. Istniał już też potężny głaz, a właściwie wystająca z wody skała, zwana Gåwasten, czyli Kamień Ofiarny. To tutaj składano morzu dary, na przykład po udanym rejsie na Åland.

Co dokładnie się stało, dlaczego wydarzenia nagle przybrały taki obrót, ginie w mroku historii. Możliwe, że jakiś rozbitek próbował się tu kiedyś ratować, a potem został zmyty przez fale, czy może po prostu zniknął. Tak czy inaczej zaważono, że po tym zdarzeniu połowy stały się znacznie obfitsze, a morze przez całe lato było bardziej łaskawe niż zwykle.

To dawało do myślenia.

Kolejnego lata pewien buńczuczny młody mężczyzna, który jasno deklarował, że nie wierzy w takie bzdury, postanowił, że da się zostawić na wysepce, na Gåvasten. Zaopatrzono go w jedzenie i picie na cały tydzień, obiecując, że o ile nic wcześniej się nie wydarzy, to wtedy zjawi się po niego łódź.

Mężczyzna został więc sam na skalnej wysepce; załoga odplynęła do oddalonej o milę wioski rybackiej i powróciła do swoich zajęć. Już następnego dnia połów okazał się rekordowo wysoki, także w następnych dniach ogromne ławice śledzi wpływały do sieci.

Kiedy po tygodniu powrócono na wyspę, młody mężczyzna zniknął. Przyjrano się dokładnie pozostawionemu zaprowiantowaniu, zapasy były niemal nietknięte. Mężczyzna najwidoczniej spędził tu jedynie kilka godzin, zanim morze upomniało się o swoją daninę, dając ludziom w zamian śledzie.

Sprawa był jasna. Tyle że nic bardzo wiedziano, co dalej.

Połowy tego lata były tak obfite, że podczas październikowego targu sprzedano dwa razy więcej ryb niż w poprzednim roku. Zimą powrócono do tematu i postanowiono, co następuje: skoro nie było dalszych chętnych do złożenia z siebie ofiary morzu, konieczne było głosowanie. Kobiety i dzieci nie uczestniczyły w prowadzonych dyskusjach, co znaczyło, że nie mogą być ofiarami. Tę sprawę mężczyźni postanowili załatwić między sobą.

Miło byłoby móc opowiadać o heroicznej postawie, z jaką wybrańcy przyjmowali swój los, ale niestety. Głosowania przeprowadzano bez żadnych sentymentów; tak naprawdę dokonywano po prostu wyboru najmniej lubianych członków tej małej społeczności. Najczęściej wybór padał na jakiegoś awanturnika czy pieniacza. To jemu przypadał wątpliwy zaszczyt, co bynajmniej nie nastawiało go przyjaźniej do otoczenia.

Zwykle wsadzano ofiarę do łodzi siłą i szybko odpływano. Przekleństwa i krzyki nieszczęśnika niosły się echem po fiordzie. Niekiedy milkiły podejrzenie szybko, ale nikt nawet nie podniósł wzroku.

Z czasem wykształciła się praktyka, że szarpiącą się ofiarę wcześniej wiązano, co ułatwiało podróż na wyspę. Z czasem zracjonalizowano swoje poczynania jeszcze bardziej. Okazało się bowiem, że nie trzeba nawet płynąć do wyspy, że wystarczy wypchnąć ofiarę z łodzi i poczekać aż pójdzie na dno. W ten sposób także można było osiągnąć pożądany skutek. Połowy znów były obfite, a morze nie domagało się dalszych ofiar.

Mniej więcej w tym czasie ludzie zaczęli osiedlać się na stałe na Domarö. Pakt zawarty z morzem sprawił, że szybko się wzbogacano, domy rybaków w niczym nie ustępowały tym wznoszonym na stałym lądzie. A jednak nie była to szczęśliwa wyspa.

Doroczna ofiara poczyniła spustoszenia w ludzkich duszach. Nie minęło wiele lat, a rytuałem objęto także chronione dotąd kobiety i dzieci. Ponieważ jednak nadal głosowali jedynie mężczyźni, to wstyd przyznać, ale ofiarami ich głosowań padały teraz głównie właśnie kobiety i dzieci.

Nikt nie był szczególnie szczęśliwy, kiedy przychodziło mu związać dziecko, a potem płaczące i błagające, by darować mu życie, wyrzucić przez burzę i patrzeć, jak idzie na dno. Ale robiono to. Robiono, bo taki był zwyczaj. Tyle że zwyczaj ten niszczył ludzi.

Nikt się nie cieszył z nadejścia wiosny, bo wiosna była zapowiedzią lata. Kiedy drzewa, nieco później niż na lądzie, zaczynały się zielenić na wyspach archipelagu, oznaczało to, że zbliża się dzień przesilenia letniego, czyli dzień, którego obawiali się wszyscy mieszkańcy wyspy, bo właśnie wtedy zgodnie z tradycją odbywało się głosowanie.

Można by przypuszczać, że ryzyko zostania wybranym na ofiarę sprawi, że ludzie staną się bardziej wstrzemięźliwi, mniej skłonni do używania ostrych

słów, bojąc się, że zostaną uznani za trudnych i uciążliwych dla otoczenia. Tak można by przypuszczać. Ale było inaczej.

Ludzie, zamiast być uprzejmi, podlizywali się sobie; zamiast szczerości kwitła więc obłuda. Jeśli padały jakieś miłe słowa, to wypowiadano je szeptem; poza tym rozwijała się konspiracja, łączono się w tajne grupy, zawierano pakt. Na początku celem głosowania było wyłonienie tego, kto był najmniej użyteczny dla lokalnej społeczności. Ale te czasy dawno już minęły. Teraz topiono tych, którzy najgorzej radzili sobie w prowadzonej grze intryg.

Oczywiście miały też miejsce czyny heroiczne zrodzone z miłości. Zdarzało się, że matka czy ojciec brali miejsce dziecka, kiedyś brat poświęcił życie dla siostry. Jednak po jakimś czasie i ta miłość zanikła. Ten, komu oszczędzono życie, mógł paść ofiarą w następnym roku. Pogrążono się w apatii, połowy były oczywiście obfite, ale nikogo już nie cieszyły.

W tym okresie mieszkańcy Domarö żyli w pewnej izolacji. Do jedynego kontaktu ze światem zewnętrznym dochodziło jesienią, podczas dorocznego targu rybnego. Mimo to po jakimś czasie zaczęły pojawiać się plotki. Nieliczni przybysze, którzy odwiedzali wyspę, opowiadali potem o panującej tam atmosferze przynębienia, o tym że mieszkańcy wyspy stronili od wszelkich kontaktów i trzymali się we własnym gronie także podczas dorocznych targów. Z nikim nie rozmawiali, chyba że chodziło o interesy, i nigdy się nie uśmiechali. No i ludzie znikali. Na dłuższą metę było to nie do ukrycia.

W 1675 roku przeprowadzono na wyspie gruntowne dochodzenie. Delegacja radnych, duchownych i lensmanów ze Sztokholmu udała się na wyspę, by sprawdzić, czy epidemia utraty wiary, połączona z czczeniem Złego, która dawała się zauważyć na terenach wokół stolicy, być może dotarła także na wyspy archipelagu.

Stwierdzono, że rzeczywiście tak było. Przywykli do konspiracji i zdrady mieszkańcy Domarö, przyciśnięci do muru, szybko wyśpiewali wszystko. Nie było końca składanym za zamkniętymi drzwiami donosom, i zawsze chodziło o sąsiada. Zawsze winien był sąsiad.

Wysłuchawszy całego mnóstwa pomówień, zarzutów i często sprzecznych ze sobą zeznań, delegacja postanowiła na początek zatrzymać jedynie kilku mężczyzn, którzy wydawali się najbardziej skompromitowani. Zawieziono ich do Sztokholmu i umieszczono za kratkami.

Podczas przesłuchań wyznali, że składanie ofiary miało na celu zysk materialny, jednak do jakiegokolwiek paktu ze Złym nikt się nie przyznawał. Kilka tygodni ostrzejszych rozmów, podczas których niekiedy musiano też sięgać po obcegi i śruby, sprawiło, że większość zmieniła zdanie. Okazało się, że jednak paktowano z diabłem, ba, wręcz go czczono.

Dręczycielom i sądowym pisarzom udało się w końcu wyprodukować

obszerny dokument sądowy, całkowicie zgodny z tym, czego od samego początku się obawiano. Domarö było kotłem, w którym Diabeł nie tylko mieszał, ale pod który cały czas podkładał ogień. Wyspa stanowiła zagrożenie dla całego archipelagu.

Pewne zdziwienie zapanowało, kiedy delegacja wróciła na wyspę, by przesłuchać pozostałych mieszkańców, i przekonała się, że nikt nigdzie nie uciekł. Uznano, że ludność najwyraźniej postanowiła iść w zaparte, wierząc w siłę złych mocy. Postanowiono nikomu nie pobłażać. Kazano mieszkańcom opuścić wyspę i rozpoczęto długotrwałe dochodzenie.

Po ponad roku ogłoszono wyrok. Dowody, którymi dysponowano, były silniejsze niż w wielu innych tego typu procesach. Tutaj w grę wchodziły bowiem nie tylko nieopatrznie wypowiedane uwłaczające Bogu słowa czy niejednoznaczne zeznania dzieci czy panien służących; nie, w tym przypadku nie było wątpliwości, że składano ofiary z ludzi, a oskarżeni najwyraźniej byli wysłannikami Szatana. Postanowiono dać przykład.

Wszyscy mężczyźni zamieszkujący wyspę zostali skazani na śmierć. Podobny los spotkał też część kobiet. Z niewyjaśnionych przyczyn niektóre osoby zostały potraktowane bardziej łaskawie, skazano je na ścięcie. Pozostałe spłonęły żywcem.

Kobietom, którym darowano życie, przydzielono przymusowe prace, dzieci posłano do sierocińców. Na wyspie gniły niesprawione ryby, a gdy nadeszła zima, łód nadwerżył niezabezpieczone łodzie. Nikt nie chciał mieć nic wspólnego z Domarö, najchętniej wymazano by ją z map, usunięto z powierzchni ziemi.

To życzenie częściowo się ziściło. Następnego lata, kilka dni po letnim przesileniu słonecznym, przez cały archipelag przetoczył się sztorm. Wszędzie, gdzie mieszkali ludzie, na wyspach i wysepkach, doświadczone jego skutków, jednak nigdzie zniszczenie nie było tak wielkie jak na Domarö.

Nikt nie miał specjalnej ochoty płynąć na wyspę, jednak gdy sztorm zelżał, gołym okiem widać było nawet z daleka ogrom spustoszenia, jakie pozostawił po sobie. Wspaniałe domy, które mieszkańcy wyspy wybudowali kosztem swojego nieczystego handlu, zniknęły. Zniknęły też łodzie i pomosty, przy których kiedyś cumowały.

Co prawda nie rozplynęły się gdzieś w przestrzeni. Fundamenty domów istniały, ale ich drewniane szczątki rozsypane były na skałach. Gdziekolwiek z wody wystawały pojedyncze paliki dawnych pomostów, jednak zabudowania jako takie przestały istnieć.

Można to było tłumaczyć tylko w jeden sposób: najwyraźniej widok Domarö sprawiał Bogu przykrość. Był w jego oku jak drzazga, więc pozwolił, by morze zalało wyspę, uwalniając tym samym archipelag od takiej ohydy.

Całe lato, a nawet jeszcze jesienią, fale wyrzucały drewno budowlane na brzeg stałego lądu i okolicznych wysepek. Drewno znajdowano także i w bardziej oddalonych miejscach, gdzie przyjmowano go tak jak ubrania po chorym na trąd. Jedynym rozwiązaniem był ogień. Od czasu do czasu płonęły więc na skałach ogniska, płomienie trawiły wszystko, co jeszcze pozostało po osadzie, do ostatniej deseczki.

I tak kończy się pierwszy rozdział historii Domarö.

Pożar

Simon poczuł się nieprzyjemnie. Anna-Greta opowiedziała tę historię nie jakby to były stare dzieje, ale jakby odczytywała niemal sakralny zapis. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, głos miała schrypnięty. Nie poznawał jej.

Nie potrafił jednak odrzucić opowieści jako po prostu legendy, która z jakiegoś powodu przekształciła się w ewangelię. Miał przecież własne doświadczenia. To, co pięćdziesiąt lat temu przytrafiło mu się na pomoście, właściwie wpisywało się w opowieść Anny-Grety.

W sali zaległa cisza. Simon zamknął oczy. Opowieść trwała długo, za oknem na pewno było już ciemno. Gdzieś z daleka docierał do niego szum morza. Zerwał się wiatr. Simon poczuł, jak przechodzą go ciarki.

Morze. Morze jeszcze do końca nie rozprawiło się z Domarö.

Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że ludzie mu się uważnie przyglądają. Ale nie były to zalęknione, niepewne spojrzenia wyrażające pytanie: Chyba nam wierzysz?, a raczej pełne oczekiwania na jego reakcję. Postanowił odwdziżyć się im za zaufanie i podzielić się swoją historią. Odchrząknął lekko i zaczął opowiadać. Kiedy skończył, odezwała się Margareta Bergwall.

- Tak, wiemy - powiedziała. - Anna-Greta nam mówiła.

Johan Lundvall parsknął i wskazując palcem na Simona, powiedział:

- A więc jednak miałeś coś ostrego. Tak myślałem.

Okazało się, że Anna-Greta opowiedziała innym też i tę historię, którą, gdy on jej opowiadał, potraktowała tak lekceważąco.

- A więc to są fakty historyczne? - spytał.

- Tak. Istnieją protokoły przesłuchań. Także przesłuchań prowadzonych, zanim... pojawił się Diabeł.

- Rozumiem, że nie wierzycie, że to mógł być on? Diabeł?

Przez salę przeszła fala tłumionego śmiechu. Ludzie jakby się otrząsnęli, niektórzy zaczęli kręcić głową. Ich reakcja mówiła sama za siebie, słowa nie były potrzebne.

Po prawej stronie Simona siedziała Tora Österberg, kobieta niezwykle

zaangażowana w działalność misyjną, mieszkająca nieco na uboczu, na południowym krańcu wyspy.

- Diabeł istnieje, możesz być tego pewien, tyle że akurat z tym nie ma nic wspólnego - powiedziała, klepiąc Simona po kolanach.

Gustav Jansson natomiast milczał, co było zupełnie do niego niepodobne. W czasach swojej świetności należał do najlepszych akordeonistów w miasteczku, Bóg nie poskąpił mu talentu ani też poczucia humoru. Teraz milczał, w końcu jednak nie wytrzymał.

- Chcesz powiedzieć, że może nawet cię odwiedza, Toro?

Oczy kobiety zrobiły się wąskie.

- A żebyś wiedział, a na dodatek wygląda dokładnie jak ty. Tylko ma nieco mniej czerwony nos.

Gustav się roześmiał. Rozglądał się dokoła, jakby porównanie do Złego było nie lada zaszczytem. Do głosu doszły zwykle psychologiczne mechanizmy. W tym zamkniętym towarzyskim kręgu poszczególne osoby miały swoje przydzielone role. Teraz, kiedy doszedł nowy widz, zaczęto je odgrywać, pewnie nieco przesadnie. A może usiłowano w ten sposób zmienić temat?

- Więc po co robić z tego taką wielką tajemnicę? Dlaczego wszyscy mieszkańcy nie mogą się o tym dowiedzieć? - dopytywał się Simon.

Lekki, żartobliwy nastrój, który przed chwilą wkroczył do sali, teraz jakby zatrzymał się na progu. Powróciła powaga, ludzie znów skulili się na swoich krzesłach, jakby fizycznie odczuli jej ciężar na swoich ramionach.

- Rozumiesz chyba, że to nie jest coś, co należy do przeszłości. To jest coś, co nadal się dzieje - odezwała się Anna-Greta.

- Tak, ale...

- Nie wrzucamy już ludzi do morza, ale ono nadal ich zabiera. Może nie wymaga już jednej ofiary rocznie, ale nadal ich żąda. Latem, zimą.

Podczas opowieści Anny-Grety Simon cały czas miał na końcu języka argument i tylko czekał, kiedy będzie mógł wyrzucić go z siebie, wściekły nie tylko na dawnych mieszkańców Domarö, ale i na ludzi, którzy siedzieli teraz w Domu Misyjnym i dywagowali.

- Ale przecież wystarczy się przenieść w inne miejsce! Oni mogli to zrobić i wy... my też możemy. Jeśli naprawdę jest tak, że morze zabiera ludzi i wszyscy boją się, że mogą stać się kolejną ofiarą, to dlaczego nikt się stąd nie wyprowadzi, nie opuści wyspy? - spytał w końcu.

- To nie takie proste, niestety.

- Dlaczego?

Anna-Greta zaczerpnęła powietrza, szykując się do odpowiedzi, kiedy nagle głos zabrał Karl-Erik.

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale myślałem, że zebraliśmy się tu, żeby przedyskutować kwestie związane z Sigrid i zastanowić się, co one mogą dla nas znaczyć, a nie rozmawiać o czymś, co wszystkim nam jest dobrze znane.

Mężczyzna spojrzął na zegarek i dodał:

- Nie wiem jak wy, a ja chciałbym zdążyć do domu i obejrzeć *Raport*.

Pozostali zebrani też zaczęli zerkać na zegarki. Niektórzy wydawali się zdziwieni, że było już tak późno i spoglądali niezadowoleni na Simona, ponieważ to przez niego spotkanie tak się przedłużyło.

Natomiast Simon zastanawiał się, jak to możliwe, że przed chwilą rozmawiali o tajemnych mocach, z którymi nikt nie wiedział, jak sobie radzić, w ogóle co zrobić, by przeżyć, i nagle to wszystko okazało się mniej ważne niż telewizyjne wiadomości. Po chwili jednak zrozumiał, że to on to tak postrzegał. Dla nich sprawa zdążyła spowszednieć, stała się przykrą rzeczywistością, nie warto było się nad nią rozwodzić. Tak jak ludzie na terenie zagrożonym wojną czy mieszkańcy oblężonego miasta, mieszkańcy wyspy usiłowali czerpać z życia swoje drobne przyjemności. O ile wiadomości telewizyjne można zaliczyć do przyjemności.

Simon uniósł ręce do góry, dając do zrozumienia, że się poddaje, że nie chce już dłużej zajmować im czasu. Przynajmniej w tej chwili.

Anna-Greta skinęła głową Elofowi, który sprawiał wrażenie zmieszanego, gdy zrozumiał, że ludzie oczekują, że pociągnie dalej wątek, który kilka godzin temu został przerwany.

- No więc, tak jak mówiłem, zanim nam przerwano, mam jednak wrażenie, że to, co się wydarzyło, jest jednak pozytywne.

Simon zauważył, że wiele osób pokręciło głowami. Elof jednak kontynuował.

- Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, że ktoś, kto zniknął... powrócił. Uważam, że świadczy to o tym, że żywioł słabnie. W pewnym sensie.

Poruszał ustami, najwyraźniej nie wiedząc, co mówić dalej.

- Jak według ciebie powinniśmy się do tego ustosunkować? - przyszła mu z pomocą Anna-Greta.

- No więc... - zaczął i urwał, bo nagle rozległo się buczenie.

W pierwszym momencie Simon miał wrażenie, że to syrena przeciwmgielna, ale po chwili sobie przypomniał. Kiedy pod koniec czerwca jakiś idiota, letnik ze Sztokholmu, zaproszył ogień i niewiele brakowało, a spłonąłby cały cypel, też rozległ się podobny dźwięk.

Wszyscy zerwali się na równe nogi.

- Pali się!

Sięgano pośpiesznie po kurtki i płaszcze i w ciągu minuty lokal opustoszał. Zostali tylko Simon i Anna-Greta. Patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili Simon odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Po rozświetlonej sali ciemność na zewnątrz wydała mu się nieprzenikniona. Niewielki głośnik, umieszczony na szczycie wieży z dzwonem sztormowym, wysyłał pulsujący dźwięk, ale nad miasteczkiem nie widać było żadnych płomieni. Ponieważ wiatr wiał z południowego wschodu w powietrzu powinien przynajmniej unosić się dym.

W miasteczku była straż pożarna, która jednak skupiała swoją uwagę głównie na terenach wokół portu, gdzie wznosiła się pierwotna zabudowa. Do potężnej pompy obok pomostu podłączony był czterystumetrowy wąż, który w razie potrzeby sięgał większości zabudowań w centrum miasteczka.

Ale to nie w centrum się paliło. Kiedy oczy Simona przyzwyczaiły się do ciemności, spostrzegł wokół siebie ludzi, którzy przed chwilą uczestniczyli w spotkaniu. Wszyscy byli w drodze na cypel, na Kattudden. Wiszące nisko chmury na wschodzie były blad różowe. Simon zaczął iść w stronę cypla, po kilku krokach dołączyła do niego Anna-Greta. Sięgnęła w ciemności po jego dłoń, ale on cofnął rękę.

Po około pięćdziesięciu metrach zrównali się z Torą Österberg. Jej gumowce kłaskały cicho, gdy stąpała, ostrożnie popychając przed sobą balkonik. Nagle zbliżyła się niebezpiecznie do pobocza drogi. Anna-Greta chwyciła ją za rękę i zapobiegła upadkowi.

- Lepiej wróć do domu, Toro. Tu na nic się nie przydasz.

- Przydam, nie przydam - parsknęła kobieta. - Chcę zobaczyć, co się dzieje.

Simon skorzystał z okazji i zwiększył dystans między sobą a Anną-Gretą. Szedł szybko, i dopiero kiedy usłyszał za sobą poirytowany głos Tory, zwolnił nieco tempo. Miał ogromną pretensję do Anny-Grety i nie bardzo wiedział, co powinien teraz począć.

Dzięki symbolicznemu czynszowi, który płacił jej przez lata, zdołał odłożyć trochę pieniędzy i pewnie będzie mógł kupić sobie jakiś niewielki domek. Może odkupi od Anny-Grety ten, w którym mieszka?

Roześmiał się gorzko. Nie, po pierwsze nie będzie go stać na dom położony tuż przy brzegu, po drugie nie chciał mieszkać tak blisko Anny-Grety, a poza tym oznaczałoby to, że w pewnym sensie zwraca jej pieniądze, które był jej winien.

Niech ją diabli. Niech to wszystko diabli wezmą.

Nagle ziemia pod jego stopami urwała się i upadł. Ciemność w lesie i ciemność w jego głowie sprawiła, że wpadł do rowu. Próbował podeprzeć się ręką i skaleczył się o kamień. Do oczu napłynęły mu łzy bólu i gniewu.

- Do diabła! - krzyknął.

Szybko jednak się opanował. Sprawdził, że niczego sobie nie złamał ani też się nie zranił. Nie chciał jednak, żeby Anna-Greta oglądała go w takim stanie. Wydostał się z rowu, stanął i wyprostował się; zranioną rękę otarł skrawkiem

koszuli. Już miał ruszyć dalej, kiedy usłyszał odgłos silnika. Dochodził gdzieś z lasu, od strony ścieżki prowadzącej do plaży na północnej stronie wyspy.

Miał wrażenie, że silnik pracuje z całej siły, nieco histerycznie, na najwyższych obrotach. Zmrużył oczy i spojrzął w stronę lasu, zobaczył światło reflektora, jakiś motorower podskakiwał na wąskiej ścieżce, silnik wył.

Kto to jechał? Tam nawet zwykłym rowerem z trudem można było przejechać.

Jedyny dom w pobliżu należał do Holgera, ale on nie miał motoroweru. Poza tym nie jechałby motorowerem ze skrzynią, a Simon wyraźnie słyszał odgłos podskakującej na wyboistej ścieżce skrzyni. Nagle motorower wyjechał na drogę, zaledwie jakieś dziesięć metrów przed nim, oślepiając go silnym światłem. Spodziewał się, że pojazd skręci w drugą stronę, w stronę pożaru, ale on zrobił zwrot w prawo i teraz jechał prosto na niego. Simon chciał uskoczyć w bok, ale przypomniał sobie, że przecież stoi na krawędzi rowu.

Oślepiony silnym światłem reflektora nie widział niczego. Usłyszał tylko głośny warkot, kiedy motorower przejechał tuż obok niego i poczuł pęd powietrza. Motorower, nie zmniejszając prędkości, ruszył drogą w stronę miasteczka.

Anna-Greta, Tora!

Odwrócił się i zobaczył światła reflektora, omiatające drogę. Teraz dostrzegł też niewyraźną sylwetkę kierowcy. Nie potrafił go rozpoznać, widział tylko, że siedział pochylony nad kierownicą i że wiół coś na skrzyni, jakby stało na niej dziecko.

Chwilę potem dojrzał w kręgu światła Annę-Gretę i Torę. Na szczęście kobiety zeszyły na pobocze i motorower minął je w bezpiecznej odległości. Simon odechnął z ulgą. Co prawda czuł się zawiedziony postawą Anny-Grety, ale przecież nie chciał, żeby przejechał ją jakiś kretyn na motorowerze.

Kto to był?

Simon starał się przypomnieć sobie w myślach nielicznych młodych ludzi zamieszkujących wyspę, ale nie znalazł odpowiedniego kandydata. O ile było mu wiadomo, byli to raczej sympatyczni młodzi ludzie, spędzający czas głównie przy komputerze i niecierpliwie wypatrujący dnia, kiedy będą mogli opuścić wyspę. Najgorsze, czego mogli się dopuścić, to namazać coś pogardliwego o letnikach ze Sztokholmu na ścianie poczekalni terminalu promowego.

Wszelkie spekulacje zdawały się bez sensu. Teraz trzeba było przede wszystkim ugasić pożar; stojąc tutaj nic nie zdziała. Z drugiej strony, czuł się zmęczony, kręciło mu się głowie, nie miał siły uczestniczyć w jakiegokolwiek akcji ratowniczej.

Poprzednim razem okazał się bardzo pomocny. Wtedy udało się połączyć kilka węży ogrodowych i łać wodę na palącą się ziemię. Utworzono też łańcuch,

ludzie podawali sobie z rąk do rąk wiadra z morską wodą. Wiele osób brało w tym udział.

Kiedy wyszedł z lasu, zobaczył, że palili się najbardziej okazały dom na cyplu. Dom Grönwallów. Jeden z pierwszych, jakie tu powstały, na samym początku, kiedy turystyka jeszcze raczkowała.

Niewiele można było zrobić. Ściany zewnętrzne zdążyły właściwie już spłonąć, zza złocistoczerwonych płomieni drewniany szkielet budynku jawił się jak nieco ciemniejsze kreski. Ogień trzeszczał głośno i mimo, że od pożaru dzieliło go dobre sto metrów, czuł ciepły powiew ognia.

Oczywiście szkoda było ładnego domu, chociaż właściwie dobrze, że to akurat on się palił. Stał bowiem na dużej działce i ryzyko, że ogień rozprzestrzeni się na inne zabudowania, było niewielkie, ale oczywiście należało pilnować, żeby wiatr nie przeniósł jakiejś iskry czy kawałka płonącego drewna.

Ludzie, którzy na tle buchających płomieni ognia zdawali się postaciami jak z kreskówek, myśleli chyba podobnie, bo nikt nie podejmował żadnych działań, trzymano się bezpiecznie z daleka, tylko od czasu do czasu podchodząc bliżej, by sprawdzić, czy gdzieś nie rozpalało się kolejne ognisko.

Simon najchętniej wróciłby do domu, rozumiał jednak, że nie zostałoby to dobrze przyjęte. Zobaczył Görana, który stał i rozmawiał przez telefon komórkowy, i skierował się w jego stronę. Mężczyzna mówił coś do słuchawki, kilka razy pokiwał głową, po czym złożył aparat. Zobaczył Simona i ruszył mu na spotkanie.

- Cześć - powiedział. - Strażacy są już w drodze, ale jedyne, co mogą zrobić, to dogasić ogień.

Stali chwilę obok siebie, przyglądając się w milczeniu płonącemu budynkowi. Gorąco kładło się im na twarzach niczym ciepła błonka; nagle spadła jedna z belek i w powietrze poleciał deszcz iskier.

- Jak to się zaczęło? - spytał Simon.

- Nie wiem. Ale wygląda na to, że wszystko bardzo szybko się zajęło.

Göran wskazał kciukiem w stronę jednego z domów bliżej lasu.

- Lidberg, tak chyba się nazywa ten facet, który tam mieszka, twierdzi, że usłyszał huk i nagle wszystko stanęło w płomieniach.

- Był tam ktoś? W środku, w domu?

- Z tego, co wiem, to nie. Ale taki pożar nie wybucha sam z siebie.

- Grönwallowie. Przyjeżdżają tu tylko latem, prawda?

- Tak. Ale córka pomieszkiwała tu chyba od czasu do czasu.

Podeszli kilka kroków bliżej do ognia, Simon zmrużył oczy, wpatrując się w płomienie, jakby spodziewał się coś tam dojrzeć. Błądzącego wśród płomieni

człowieka. Albo zwęglony szkielet. Kolejna belka spadła i pociągnęła za sobą kilka mniejszych otoczonych morzem fruujących iskier. Jeśli nawet w domu ktoś był, na pewno już nie żył.

Trawa wokół domu była wyschnięta, płonęły całe połacie. Widząc, jak ogień pełźnie do studni, Simon poczuł potrzebę działania. Mógł przecież kazać wodzie w studni, by ruszyła do góry i ugasiła ogień; przyjazd strażaków byłby wtedy zbędny. Trzymając Spiritusa w dłoni, potrafił to zrobić, być może.

Gdyby w grę wchodziło ludzkie życie, pewnie by tak postąpił. Jednak w tej sytuacji byłby to jedynie bezsensowny pokaz siły, który zapewne też zrodziłby wiele niepotrzebnych pytań. Postanowił nie korzystać z pomocy Spiritusa. Nie wiedział dlaczego. Ale tak po prostu było.

Kto puka do twoich drzwi?

Anders nie wiedział, czy wypływa na powierzchnię, czy przeciwnie - coraz bardziej się zanurza. Znajdował się w środku straszego, bezkształtnego koszmaru, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Jakaś część jego świadomości przekonywała go, że to tylko sen, i gdyby nie to, pewnie oszalałby.

Znajdował się pod wodą, w zupełnych ciemnościach. Nigdzie nie było nawet śladu światła, niczego, co stanowiłoby jakąś wskazówkę, gdzie była góra, a gdzie dół. Wiedział jedynie, że jest pod wodą, że jest ciemno i że tonie.

Machał rękami, w śmiertelnej desperacji, oczy miał szeroko otwarte, właściwie nie wiadomo po co. Czekał, aż ogarnie go spokojna rezygnacja, której podobno doświadczali topiący się ludzie albo ci, którzy zamierzali na śmierć, ale śmierć nie nadchodziła. Czuł jedynie panikę; miał świadomość, że zostało mu kilka sekund życia.

Ale sekundy mijały, a on nadal tonął, chociaż nie umierał. Jeśli strach może być materią, to znajdował się właśnie w takiej materii, która zresztą gęstniała. Czuł, że serce wędruje mu do głowy, był na granicy wybuchu. Chciał krzyknąć, ale nie mógł otworzyć ust.

Materia gęstniała. Otaczała go. Coś szło do niego w ciemnościach. Jakieś nieistniejące ciało bez konturów zwietryło jego obecność i zbliżało się do niego. Odwrócił głowę na bok, ale niczego nie zobaczył. Była tylko ciemność i świadomość, że zbliża się do niego coś tak ogromnego, że wręcz niewyobrażalnego.

Coś stuknęło, czuł jakieś walenie, szum w uszach, i sprawiało mu to ulgę. Bo słyszał jakiś dźwięk. Coś rzeczywistego, coś, co trwało, co można było umiejscowić i co nie było ciemnością. Mrok ustąpił, a otchłań, w której przebywał, okazała się być tuż pod jego powiekami.

Otworzył oczy. Odgłos stukania do drzwi zawisł w powietrzu jak echo. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał, że znajduje się we własnym domu i że żyje. Skoczył na równe nogi i podbiegł do drzwi. Poślizgnął się na podłodze w kuchni i byłby upadł, ale zdołał się oprzeć o ciepłą jeszcze kuchenkę, wyszedł do korytarza.

Tym razem nie ujdzie ci to płazem.

Szarpnął drzwi, otworzył, krzyknął i cofnął się, próbując uniknąć czegoś, co stało na werandzie. Padając do tyłu na podłogę, zobaczył nad sobą roześmianą twarz. Zaślepiiony strachem zaczął pełzać do tyłu, ciągnąc za sobą szmaciany dywanik. Posłuchał jednak głosu rozsądku i opanował strach.

To tylko facet od lodów. Nic ci nie robi.

Gwałtowne ruchy plastikowej figury stały się wolniejsze. Anders przyglądał się jej, leżąc na podłodze. Powoli odzyskiwał zmysły, zaczęły docierać do niego różne dźwięki: jakiś hałas od strony miasta i głośny warkot silnika motoroweru, najwyraźniej jadącego pod górę, a po chwili niknący gdzieś w oddali. Usłyszał szcęk metalu i domyślił się, że motorower był wyposażony w skrzynię.

Lodziarz nadal stał i patrzył na niego, a on nie miał siły pozbierać się i wstać. Jeśli się podniesie, figura z pewnością rzuci się na niego. Żeby uwolnić się od zauroczenia, odwrócił oczy, pozwalając głowie opaść do tyłu i dotknąć podłogi. Leżał teraz i patrzył w sufit.

Nie masz się czego bać. Przestań. To tylko plastikowa postać, wyprodukowana w celach komercyjnych. Przestań.

Wszystko na nic. Jakby tkwiły w nim dwie osoby, albo jakby był Kaczorem Donaldem z aniołem na jednym ramieniu i diabłem na drugim, którzy teraz obaj dawali mu sprzeczne polecenia i informacje. Nie potrafił się przemóc.

- Spadaj, głupi duchu. Ty nie istniejesz.

Co to było? Cytat z Alfonsa Åberga, który mawiał tak, schodząc do piwnicy, bo bał się duchów. Nauczył go tego jego ojciec. To była jedna z taśm, które Maja uwielbiała słuchać. Anders uniósł głowę. Lodziarz nadal stał na werandzie, ale już się nie ruszał.

- Spadaj, głupi duchu. Ty nie istniejesz.

Hałas dochodzący z miasteczka ucichł. Silnika motoroweru też nie było już słychać. Anders podciągnął nogi i stanął. Wziął się w garść, podszedł do plastikowej figurki i zaczął wpatrywać się w ciemność. Niczego nie zobaczył.

Kto ją tu postawił?

Ten ktoś, kto przed chwilą odjechał na motorowerze, to było oczywiste. Tylko kto to był?

Mimo że jego dłonie mówiły „nie”, bojąc się dotknąć plastikowej figury, Andersowi udało się przełamać strach, chwycić lodziarza o ostrych plastikowych

brzegach i ściągnąć go z werandy. Cementowa podstawa, na której stał, okazała się nadspodziewanie ciężka i już po kilku metrach musiał puścić figurę, zostawiając ją na trawniku. Lodziarz znów zaczął się kiwać, ale po chwili się uspokoił, jakby akceptując nowe miejsce. Wciąż jednak patrzył na niego.

Powinienem go zniszczyć.

Zastanawiał się, czy nie przynieść siekiery, ale drewnitnia tonęła w ciemnościach jak w jego śnie, a poza tym lodziarz mógł się przecież zemścić. Spróbował odwrócić figurę o trzy czwarte obrotu, ale to nic nie pomogło. Lodziarz nadal przyglądał mu się kątem oka.

Kto? Kto o tym wiedział?

Ktoś, kto postawił lodziarza na jego werandzie, zrobił to, żeby go wystraszyć. Kto mógł wiedzieć, że on się go boi? Że zaczął się go bać. Kto?

Ten sam, który teraz na mnie patrzy.

A patrzył na niego lodziarz. Anders przyniósł czarny plastikowy worek, ściągnął go na figurę, utykając brzeg pod cementową podstawą. Worek szeleścił lekko na wietrze i pewnie każdy, z wyjątkiem Andersa, uznałby, że plastikowa figura wyglądała teraz jeszcze bardziej przerażająco. Osiągnął jednak to, że lodziarz w końcu przestał na niego patrzeć. Zamknął mu oczy.

- Nie boję się - powiedział Anders głośno w ciemność. Powtórzył to.

Pod plastikowym workiem lodziarz szeptał: „Nawet nie miałeś odwagi przynieść siekiery. Jasne. Jesteś silny i odważny. Jak zawsze”.

Anders się zezłościł. Wrócił do przedpokoju, włożył kurtkę, sprawdził, czy w kieszeni ma butelkę z winem, wziął latarkę i wyszedł. Stał przed niewyraźnym zarysem lodziarza i uniósł do góry butelkę.

- Twoje zdrowie, pokrako - powiedział, wypijając porządny łyk wina.

Po chwili zapalił latarkę i ruszył przed siebie alejką prowadzącą do domu.

Postanowił sprawdzić, czego dotyczył alarm. Sygnał brzmiał, jakby zbliżał się nalot, ale to raczej było wątpliwe.

Chyba że znów przyszli ruscy.

Światło latarki prowadziło go alejką, bawił się nim, kierując je na drzewa albo na dół, do rowu; udawał, że światło jest ciekawskim zwierzem, które musi wszystko dokładnie poznać. Które wacha po krzakach, biegnie przez trawę. Podniecone zwierzę, stworzone ze światła, którego nikt nie złapie. Nagle postanowił wystawić siebie na próbę i zgasił latarkę.

Ogarnęły go październikowe ciemności. Czekał, aż poczuje znane mu ze snu przerażenie, ale nic się nie działo. Wsłuchiwał się we własny oddech. Nie był pod wodą. Nikt go nie gonił. Odchylił głowę do tyłu i odkrył, że niebo jest pełne gwiazd.

- Dobrze - powiedział. - Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Ponownie zapalił latarkę i ruszył przed siebie. Postanowił to uczcić, wyciągnął więc butelkę i upił kolejny łyk. Jego ciało było nadal wysuszone po dniu ciężkiej pracy; bolały go mięśnie, wypił kolejny łyk. Butelka była niemal pusta.

Przy schronisku pojawiły się pierwsze uliczne latarnie. W powietrzu unosiła się lekka mgła, światło latarni pozostawiało na niej unoszące się w powietrzu kręgi. Zgasił latarkę i przyglądał się rozświetlonemu rzędowni. Latarnie dawały poczucie bezpieczeństwa. Prowadziły między ludzkimi siedliskami, zapewniając, że nic złego nie może się stać, nawet jeśli dokoła panowały jesienne ciemności i wilgoć.

Schronisko było pogrążone w ciszy i w ciemności. Anders pamiętał, że kiedy był mały, bardzo współczuł tym, którzy musieli tu mieszkać. Bo nie mieli prawdziwego domu. Schronisko mieściło się co prawda w pięknym, okazałym budynku, ale mieszkało tam tak dużo ludzi. Wędrowcy. Ci, którzy przyplywali tu statkami i zostawali dzień czy dwa, a potem wędrowali dalej, pewnie gdzieś do innego schroniska.

Ale przecież tam ktoś jest.

Anders zapalił latarkę i skierował ją na schody schroniska. Rzeczywiście siedział tam człowiek z głową wspartą o kolana. Anders powiódł światłem dokoła, żeby sprawdzić, czy gdzieś obok nie stoi motorower. Nie stał. Mimo to postanowił zachować ostrożność.

- Cześć. Co się stało?

Kobieta podniosła głowę. W pierwszej chwili Anders nie rozpoznał Elin. Jej twarz zmieniła się nawet od czasu, kiedy ją ostatnio widział. Stała się... starsza. Kobieta zmrużyła oczy, patrząc na światło latarki, i cofnęła się, jakby się bała. Anders zwrócił latarkę na siebie.

- To ja. Anders. Co się stało?

Skierował wiązkę światła metr na prawo od Elin, żeby jej nie oślepić; zauważył, że się odprężyła. Podeszedł do niej, usiadł stopień niżej i zgasił latarkę.

Siedziała skulona, trzymając ściśnięte dłonie na kolanach. Anders objął ją i poczuł, że drży.

- Co się stało?

Elin chwyciła jego rękę i mocno ścisnęła.

- Anders - zaczęła - Henrik i Björn spalili mój dom.

- Nie - zaprotestował. Nie - powtórzył. - Oni nie żyją.

Elin powoli pokręciła głową.

- Widziałam ich. Na tym cholernym motorowerze. Spalili mój dom.

Anders zamknął usta, zatrzymując dla siebie słowa, które chciał powiedzieć.

Motorower ze skrzynią.

Ale na Domarö było mnóstwo takich motorowerów. Co drugi mieszkaniec wyspy miał motorower. To nie był żaden dowód. Z drugiej strony: lodziarz. Ulubionym zajęciem Henrika i Björna było przestawianie różnych rzeczy. Brali czyjąś beczkę i wieźli ją na działkę po drugiej stronie wyspy, albo zakradali się do czyjejś szopy i kradli piłę, żeby potem zostawić ją w szopie sąsiada.

Niby wszystko się zgadzało. Był jednak jeden problem.

- Oni się utopili. Piętnaście lat temu, prawda? Elin pokręciła przecząco głową.

- Oni się nie utopili. Oni zniknęli.

Hubba i Bubba

W każdym gronie są tacy. Tacy, którzy nie pasują. Może kiedyś nawet próbowali się dostosować, ale przekonawszy się, że to niemożliwe, zaczęli hołubić swoją inność, czyniąc z niej coś, co ich wyróżniało.

Ich. Powinni się czuć szczęśliwi, jeśli jest ich dwoje. Zwykle chodzi o pojedynczą osobę, i wcale nie musi to być jakaś ofiara losu. Niekiedy tak bywa, ale często jest to po prostu osoba, której banda postanowiła się przeciwstawić. Bo paczka staje się paczką właśnie w opozycji do kogoś.

Dlatego ta osoba czy osoby są nadal tolerowane. Są miarą siły paczki, no i pełnią rolę widzów. Ich historia jest na ogół smutna. Jeśli paczka ma swój dwór, to osoba ta staje się jego błaznem. Niekiedy rzuca się jej parę okrucichów uprzejmości, zachęca się błazna, żeby potrząsnął swoimi dzwoneczkami albo powiedział coś głupiego, co potem będzie można cytować. Powtarzać przy każdej okazji.

Taka jest rola błazna. Jest to smutne, ale może funkcjonować całkiem znośnie tak długo, jak osoba wykluczona respektuje wyznaczone jej granice. Jeśli usiłuje je przekroczyć, wtedy dochodzi do tragedii i wszystko się wali.

Henrik i Björn. Było ich dwóch.

W odróżnieniu od innych w paczce byli dziećmi ludzi osiadłych na stałe na wyspie. Ojciec Björna był stolarzem, poza tym budował też pomosty; jego matka opiekowała się ludźmi w podeszłym wieku. Henrik mieszkał sam z matką. Czym ona się zajmowała, to nie było do końca jasne.

Zwykle dzieci letników i dzieci stałych mieszkańców wyspy stanowiły odrębne plemiona, żyjące we własnych światach, jednak w tym wypadku istniało ogniowo łączy oba te światy, a był nim Anders. Jego mama była letniczką, poznała jego ojca i przeprowadziła się na wyspę tuż przed urodzeniem Andersa. Małżeństwo

trwało nieco ponad rok, po czym mama Andersa wsiadła na prom i wróciła do miasta, razem z synem.

Anders odwiedzał ojca w czasie ferii i czasem na święta i w ten sposób znalazł się jedną nogą w jednym obozie, drugą w drugim. Na cyplu miał kolegów wśród dzieci letników, ale zimą bawił się czasem z Henrikiem i z Björnem, którzy byli jego jedynymi rów nolegatkami na wyspie.

Zjeżdżali na sankach ze zbocza do przystani, bawili się w opustoszałych stołach i zwracali się do siebie per „kretyn”.

- Zrobimy coś, kretynie?
- Możemy, kretynie. Gdzie jest ten drugi kretyn?

Minęło kilka lat i właśnie dzięki Andersowi Henrik i Björn zbliżyli się do paczki letników, stając się w jakiś stopniu jej częścią. Starali się też nie mówić do siebie kretynie, kiedy inni mogli ich słyszeć.

Było takie lato, jedno jedyne, kiedy Henrik i Björn byli pełnoprawnymi członkami paczki. Był rok 1983. Henrik skończył trzynaście, a Björn dwanaście lat i obaj stali się nagle bardzo pożądanym towarzystwem. Powód ich popularności był czysto praktyczny: Henrik dostał motorower ze skrzynią.

Ponieważ na Domarö nie było samochodów, wszystkie dzieci jeździły na rowerach; jak tylko opanowały tę sztukę, zaczynały śmigać w tę i z powrotem między domami, leśnymi ścieżkami, od portu na cypel. Latem 1983 roku okazało się, że rowery stały się nieco dziecinne, było bowiem coś lepszego.

Mimo że Henrik tak naprawdę nie dorósł jeszcze do motoroweru, ojciec pozwolił mu przejąć jego stary, aczkolwiek odremontowany, motorower ze skrzynią, a zrobił to z tego samego powodu, z jakiego pozwalano sześciolatkom jeździć rowerami po całej wyspie: jeśli zdarzał się wypadek, to dlatego, że ktoś na coś najechał, a nie dlatego, że ktoś w kogoś wjechał. Motorower nie był zresztą szybkim pojazdem. Poruszał się z prędkością góra trzydzieści pięć kilometrów na godzinę, i to z góry, gdy kierowca miał słońce i wiatr w plecy.

Najstarsi w paczce mieli po trzynaście lat, i wśród zardzewiałych wakacyjnych rowerów, motorower był niczym lamborghini. Był super, był cool, dawał pozycję, a ponieważ Henrik i Björn byli nierozłączni, więc również Björn mógł zakosztować popularności.

Tego lata, i tylko tego, udało się Henrikowi sprytnie manewrować między oczekiwaniami i intrygami, jakie istnieją w każdej grupie ludzi. Świeżo zdobyte poczucie przynależności uczyniło go odważnym i nagle się okazało, że wszystko, co robi, robi dobrze. Nie uległ żądaniu Joela, który chciał przejechać się na motorowerze w obecności wszystkich. Pozwolił mu jednak przejechać się na nim, kiedy byli sami, we dwoje, czym zyskał sobie dodatkowe punkty, nie tracąc nic z autorytetu, co niewątpliwie by się stało, gdyby pozwolił Joelowi przejąć pałeczkę na oczach wszystkich.

Chętnie natomiast woził na skrzyni Elin, szczególnie kiedy wiedział, że będzie miał publiczność, ponieważ połączenie: własny motorower plus Elin było nie do pobicia. Hormony buzowały, a Elin zaczęły już rosnać piersi. Kiedy Henrik zajeżdżał przed sklep z Elin na skrzyni, jej piersi podskakiwały w rytm nierówności na drodze, a on wtedy był królem. Właśnie tego lata.

Na ogół jednak widywano głównie jego i Björna pędzących po drózkach wyspy, jadących na plażę albo do lasu. Ponieważ poza nimi Anders był jedynym, który mieszkał w starej części miasteczka, zdarzało się, że Henrik, po wieczorze spędzonym u Martina albo u Elin, zabierał go na skrzynię.

- Wskakuj, kretynie - mówił.

W połowie sierpnia wszyscy zaczęli się rozjeżdżać, w parodniowych odstępach. Henrik i Björn zostawali na miejscu, pozostali ruszali do Sztokholmu czy do Uppsali. Kiedy Anders przyjechał spędzić na wyspie tydzień ferii zimowych, zatoka koło domu ojca była skuta lodem. Henrik i Björn zabawiali się, jeżdżąc motorowerem po lodzie i ciągnąc się na zmianę na nartach, albo po prostu zwyczajnie się ślizgając.

Następnego lata coś się zmieniło. Kiedy Henrik próbował zaimponować pozostałym, jadąc na dwóch kołach leśną ścieżką, nikt nie okazał szczególnego zainteresowania jego wyczynem. Część z nich jeździła już motorowerami w mieście, lepszymi, ładniejszymi, bo prawdę mówiąc taki motorower ze skrzynią to był obciach.

Henrik i Björn spadli więc ze szczytów sławy i był to spektakularny upadek. Być może była to też reakcja na sztucznie wywołane znaczenie, jakim się cieszyli poprzedniego lata. Teraz ich pozycja została zakwestionowana, a oni sami wystawieni na pośmiewisko. Mieli nie takie ubrania jak powinni, złe fryzury, mówili dziwnie, dialektem, i w ogóle nie znali się na muzyce. Właśnie tego lata ktoś wpadł na pomysł połączenia H i B. Hubba i Bubba. Big Bubbles, no troubles.

Zarówno Martin, jak i Joel zapuścili zimą włosy. Anders był jak zwykle gdzieś pośrodku, włosy nosił półdługie, jak Johan. Hubba i Bubba byli ostrzyżeni na krótko, żeby - jak powszechnie uznano - rybie łuski nie kleiły im się do włosów. A może i obornik.

Zarówno Malin, jak i Elin stroszyły włosy jak Madonna, używając do tego dużych ilości lakieru; Cecilia i Frida, które były o rok młodsze i nie posuwały się aż tak daleko, nie malowały się równie mocno, chociaż też zaczęły dbać o swój wygląd.

Joel nosił koszulkę z napisem „Frankie says relax”, a ojciec przywiózł mu z podróży służbowej do Londynu singla *Two Tribes*, zanim jeszcze trafił na listę przebojów. Henrik i Björn nie bardzo się orientowali, kim byli ci Frankie, co to

mieli jechać do Hollywood, a ponieważ Joel ciągle ich tak nazywał, wyciągnęli błędne wnioski.

Pewnego wieczoru, który spędzali w domu u Elin, Joel zaczął opowiadać o odlotowym klipie wideo do *Two Tribes*, na którym Reagan i rosyjski ambasador, nie pamiętał jego nazwiska, naporzali się, aż krew leciała. Joel wpadł ostatnio na kilka dni do miasta, gdzie oglądał *Music Box*, więc miał najświeższe wiadomości.

Two Tribes dudniły w tle, a Björn kiwał się w rytm muzyki. Kiedy w monologu Joela nastąpiła przerwa, powiedział:

- Jest naprawdę super.

Jak rybitwa, która spostrzeża w wodzie srebrzysty błysk i natychmiast nurkuje, tak Joel od razu podchwycił słowa Björna i spytał:

- Kto taki?

Björn skinął głową w stronę stereo.

- On.

- Holly Johnson czy kto?

Björn zorientował się, że stąpa po cienkim lodzie i spojrzął na Henrika, który jednak nie był w stanie mu pomóc. Powiedział więc niepewnie:

- Frankie, oczywiście.

Słowa te cytowano potem często i chętnie. Jak tylko ktoś z paczki dopytywał się o kogoś, chciał wiedzieć coś więcej, zawsze można było mu odpowiedzieć:

- Frankie, oczywiście.

Zdarzenie było symptomatyczne. Pokazywało wyraźnie, że chociaż Henrik i Björn w zasadzie byli w porządku, to jednak byli wieśniakami i tak naprawdę w ogóle się nie liczyli.

Kiedy Martin wspiął się na wieżę dzwonu sztormowego, był to nie lada wyczyn. Kiedy tydzień później Henrik zrobił to samo, nie zwrócono na to żadnej uwagi, mimo że wszedł wyżej niż Martin, tak wysoko, że nawet uderzył knykami w dzwon i niewiele brakowało, a uruchomiłby sygnał alarmowy. Kto jednak przejmował się tym, co robi błazen.

Anders nie angażował się w spory i walki Henrika i Björna o pozycję w paczce. To było to lato, kiedy on i Cecilia pewnego wieczoru poszli na spacer do głązu; zaprzętały go zupełnie inne sprawy. W domu, w Sztokholmie, odbierał *Music Box*, czasem czytał też „Okej”, więc właściwie był na bieżąco i potrafił nie tylko ominąć czyhające pułapki, ale czasem nawet wyrazić też własny pogląd.

- Nie pojmuję, co George Michael ma wspólnego z tym Rideleyem. Są razem czy co?

Ponieważ jednak głównie interesował się Depeche Mode, nie bardzo miał rozmówców.

Pewnego wieczoru, kilka dni przed końcem wakacji, Anders i Cecilia byli sami w domu jego rodziców, i wtedy zebrał się w sobie i zrobił to: puścił jej *Sombody*. Poczł bezgraniczną ulgę, kiedy się okazało, że utwór bardzo jej się podoba, do tego stopnia, że poprosiła, żeby puścił go jeszcze raz. Potem zaczęły się całować i obejmować. Tak trochę.

Kiedy Anders przyjechał na Boże Narodzenie, Henrik i Björn się zmienili. Między nimi było pół roku różnicy, ale zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym rozwijali się jak bliźnięta syjamskie. Obaj urosli, mieli krosty na twarzy, no i pozbyli się tej bezbrzeżnej naiwności, która dotąd ich cechowała; zrobili się bardziej milczący i zamknięci w sobie.

W czasie ferii, które Anders spędzał na wyspie, byli jednak często razem, jeździli motorowerem po lodzie, docierali nawet na cypel, i jak dzieci bawili się w lesie. Nie musieli mówić, że żadnemu z nich nie wolno o tym nikomu wspominać, to było oczywiste. W ramach tego samego milczącego porozumienia przestali nawet wyzywać się od kretynów. Te czasy już minęły.

Anders podzielił się z nimi swoim nowym odkryciem: „The Smiths”. Dostał pod choinkę odtwarzacz kasetowy i teraz na okrągło puszczał *Hatful of hollow*. Henrik zaś niedawno dostał do swojej wyłącznej dyspozycji domek letniskowy, który stał na działce rodziców, więc siedzieli tam teraz i słuchali *Heaven knows I'm miserable now* na zmianę z *Still ill*. Przed powrotem Andersa do Sztokholmu Henrik spytał go, czy nie mógłby załatwić mu takiej kasety. Anders podarował mu swoją, bo po powrocie do domu mógł przecież nagrać sobie nową.

Kiedy nadeszło lato, okazało się, że Henrik i Björn też znaleźli coś dla siebie. Nagranie *Meat is murder* ukazało się kilka miesięcy wcześniej. Krążek był w porządku, ale nie mógł się równać z *Hatful of hollow*. Henrik i Björn byli innego zdania. Znali na pamięć wszystkie teksty i obaj zostali wegetarianami, pewnie pierwszymi na Domarö.

Nie wdając się głębiej w to, czego słuchało się tego lata, trzeba jednak stwierdzić, że na pewno nie słuchano „The Smiths”, i gdyby pozycja Henrika i Björna w paczce była silniejsza, to pewnie wszyscy chodziliby tego lata i skandowali: „It's death for no reason and death for no reason is murder”, to jest śmierć bez powodu, a śmierć bez powodu to morderstwo, ale tak nie było, I mimo że właśnie Henrik i Björn byli na topie, słuchając tego, czego słuchano w Londynie, to co z tego? Byli wieśniakami i mieli nie po kolei w głowie.

Próbowali zwerbować Andersa do swojej prywatnej sekty, ale on nie chciał. Po części dlatego, że nie był aż takim pasjonatem muzyki, po części zaś dlatego, że wokół Hubby i Bubby wytworzyła się niemal atmosfera zarazy. Każdy, kto spędzał czas w ich towarzystwie, ryzykował, że zostanie zaliczony do zarażonych.

Tolerowano ich, kiedy cała paczka była razem, ale nikt nie chciał zostać uznany za ich przyjaciela.

Jeśli zbierano się na plaży, żeby grillować kiełbaski i pić piwo, to Henrik i Björn nie jedli kiełbasek, bo mięso oznaczało morderstwo. Jeśli z kasetowca Joela leciało *Forever young* z „Alphaville”, oni drwili sobie z infantylnych tekstów, śpiewanych kiepską angielszczyzną, i porównywali je z tekstami największego żyjącego współczesnego poety, którym był: Stephen Patrick Morrissey.

I tak dalej. Okopywali się w swojej inności, wiedząc, że mają wsparcie bladego młodzieńca z Manchesteru. On wiedział, jak to jest dorastać w miejscu, gdzie nic się nie dzieje, gdzie „każde nowe urządzenie domowe jest niczym nowa dziedzina nauki”. Był ich bratnią duszą na zesłaniu.

Tej zimy pobyt Andersa na Domarö był krótki, poza tym unikał towarzystwa Henrika i Björna. Zadzwonili do niego wiosną, wybierając się na pielgrzymkę do Sztokholmu, żeby kupić *The queen is dead*, z pytaniem, czy mogą u niego przemocować. Anders powiedział, że został zaproszony na kolację do mamy Cecilii. Co rzeczywiście było prawdą, tyle że kolacja odbywała się tydzień później. Tego lata, kiedy wszystko rozpadło się na kawałki, zainteresowanie Henrika i Björna muzyką przybrało niezdrowe proporcje. Zaczęli się ubierać jak Morrissey, zaczęli nosić rockowe fryzury, a kiedy się okazało, że Björn ma słaby wzrok i potrzebuje okularów, przyjął to z radością, ponieważ zyskał pretekst do sprawienia sobie szarych plastikowych oprawek, podobnych do tych, jakie dostaje się w wojsku, a jeszcze bardziej podobnych do tych, które... no właśnie.

Dokładna analiza tekstów „The Smiths” poprawiła ich kompetencje jeśli chodzi o angielski; chyba nikt na wyspie nie znał tego języka lepiej od nich. Kiedy w „Cemetery Gates” pojawiły się takie nazwiska jak Wilde, Keats czy Yeats, zadbali, żeby biblioteka w Norrtälje sprowadziła ich opowiadania i poezje w języku oryginalnym, a potem całą deszczową wiosnę ze słownikiem w rękę przedzierali się przez teksty.

Mogli być szczęśliwi.

Nie próbowali się do niczego dostosowywać, wiedząc, że jest to niemożliwe; ze źle ukrywaną pogardą patrzyli na tych, którzy wiązali sobie rzemyki wokół nadgarstków i słuchali kapel, które w nazwie miały „z”. Ozdabiali swoje wypowiedzi cytatami z kawałków „Smithsów”, tłumaczonych na szwedzki, i to było ich bogactwo, bogactwo biednych.

Właściwie to też był cytat, z *I want the one I can't have*, pragnę tego, czego mieć nie mogę. W tym właśnie tkwił problem. Henrik i Björn, dwóch dziwaków, mogłoby funkcjonować gdzieś na marginesie paczki, gdyby zaakceptowali swoje miejsce. Gdyby nie sięgali po to, co było dla nich nieosiągalne.

Lato 1986 roku. Zamordowano Olofa Palmego, a miejscowa ludność z podejrzliwością przyglądała się porastającym południowy kraniec wyspy krzaczkom jagód, które chłoneły deszcze przynieszone przez chmury ze wschodu. Sonny Crockett z *Miami Vice* był nadal ikoną, więc z jednej strony wszystko było jasne i piękne, z drugiej zaś był album *Black Celebration*. Anders trzymał się nadal Depeche Mode, na liście przebojów królowało *A question of lust*.

Henrik i Björn niemal wszystko określali mianem kretynizmu. Jedynie serial *Ja, Klaudiusz* zyskał w ich oczach aprobatę. Była to dość stara angielska produkcja, ale sygnowana przez BBC. Z Anglii, z Londynu. Björn potrafił doskonale naśladować jękającego się cesarza, co niestety było rzucaniem pereł przed wieprze, ponieważ nikt, z wyjątkiem jego i Henrika, nie chciał oglądać „bandy zwinionych w prześcieradła facetów, którzy mówili jakieś dziwne rzeczy”.

Jednak dość o tym. Są ci, którzy pamiętają te czasy, innym muszą wystarczyć muśnięcia pasteli na czarnym tle. Lato 1986 roku. Strach przed śmiercią i białe zęby, Koniec Świata i fitness. Dosyć o tym.

Dla paczki było to lato, kiedy zaczęto pić alkohol. Na początku podpijano z butelek rodziców, tak było poprzedniego lata, teraz jednak był już rok 1986, teraz wyprawiano się na Åland.

Martin był potężny i wysoki. Miał już nawet początki zarostu; szykując się do wyprawy łódką z Joelem na Kapellskär, skąd odpływał prom, nie golił się przez kilka dni. Robił zakupy w sklepie wolnoctwowym na promie, a potem wszyscy szli się bawić do miasta, do Mariehamn, upijając się na tyle, na ile starczało im odwagi.

Zdarzało się, że Henrik i Björn zostawiali pominięci przy rozdziale zakupionego alkoholu, więc podczas trzeciej wyprawy tego lata, na początku sierpnia, postanowili wziąć sprawę w swoje ręce. Podczas drogi powrotnej do domu byli bardziej milczący niż zwykle, weszli tylko na chwilę do sklepiku, żeby kupić jakieś słodycze.

Powód ich tajemniczego zachowania wyszedł na jaw, kiedy wszyscy zeszli na ląd w Kapellskär, i znów poczuli się bezpiecznie. Wtedy chłopcy spojrzeli na swoje kurtki. Okazało się, że w kieszeniach zdołali upchać dwanaście półlitrowych butelek bacardi. Uznano ich za szaleńców, ale wszyscy klepali ich po plecach, obiecując miejsce na łodzi Joela podczas najbliższej wyprawy.

Po dniu spędzonym w Mariehamn zostawało im zwykle jeszcze kilka litrów alkoholu. Teraz nagle powstał spory zapas i to w dodatku darmowy. Postanowiono ukryć butelki w starej szopie przy brzegu na cyplu. We wszystkie działania włączono oczywiście Henrika i Björna, w końcu to oni byli bohaterami dnia.

Jednak już następnego dnia wszystko było jak dawniej. Ich niezrozumiałe komentarze i dziwny sposób bycia - mieszanina służalczości, ale i poczucia wyższości, doprowadzająca wszystkich do szału - stał się znów przedmiotem drwin. A jednak pozostawało faktem, że to właśnie oni doprowadzili butelki.

Kiedy więc nadszedł czas ostatniej balangi tego lata, wszyscy zostali zaproszeni. Zwykle bywało tak, że kiedy organizowano jakąś imprezę, Henrik i Björn co prawda się zjawiali, ale nieproszeni. Zwykle też siadywali gdzieś z boku i rzucali jakieś komentarze, z których tylko oni się śmiali, podczas gdy inni zrywali boki z uszczypliwości padających pod ich adresem.

W pewnym sensie odgrywali swoją rolę. Konsolidowali paczkę i jej język, właśnie dlatego że byli poza nią i używali innego języka. Nikt pewnie by tego nie przyznał, ale żeby impreza był udana, musieli tam być i odgrywać ufoludki, inaczej zabawa byłaby do niczego.

Nadszedł wieczór. Kiełbasa, węgiel do grilla, chipsy i alkohol, wszystko zostało zwiezione na Kattholmen, wszyscy byli na miejscu. Joel i Martin, Elin i Malin, Anders i Cecilia. Fridzie mama nie pozwoliła przyjść, ale i tak się zjawiała. Samuel, który mieszkał w Nåtén i grał w jednej drużynie piłkarskiej z Joelem, przyplłynął własną łodzią. Była nawet Karolina, która zwykle spędzała na wyspie tylko kilka tygodni w roku. No i Henrik i Björn. Dostawcy alkoholu na dzisiejszy wieczór.

Otwarto bacardi, wymieszano z colą i rozlano do plastikowych kubeczków. Obok szopy rozpalono ognisko. Henrik i Björn przynieśli jakieś specjalne bezmięsne parówki, które były jasnoszare i wyglądały jak penisy, co zresztą od razu im wytknięto, mimo ich zasług.

Andersowi pozwolono wyjątkowo puścić taśmę z Depeche Mode. *A question of lust* zyskało sobie przychyłność. Kiedy jednak opróżniono kilka butelek, uznano, że nastrój jest zbyt ponury i na prośbę dziewczyn puszczaono *Wham!*

Ogień zaczął dogasać, impreza przeniosła się do szopy, która pierwotnie wyposażona była jedynie w stół, dwa krzesła i piętrowe łóżko, żeby rybacy mogli w niej od czasu do czasu nocować. Z okazji imprezy umeblowanie uzupełniono kilkoma składanymi krzesłami, a na podłodze położono szmaciany dywan. Było ciasno, szopa nie była w stanie pomieścić wszystkich, Anders i Cecilia zgodzili się więc wdrapać na najwyższe łóżko, i teraz leżeli w swoich objęciach na lekko zatęchłym materacu.

Poprzedniego lata musieli znosić docinki innych, po tym jak Malin zobaczyła, że się całują, ale to należało już do przeszłości. Byli parą i trudno, chociaż niektórzy się dziwili, że można było być ze sobą tak długo. Pierwszy raz poszli do łóżka zimą, potem robili to regularnie, więc teraz, leżąc na materacu w

szopie, nie mieli już w sobie wcześniejszej desperacji. Mogli się pieścić spokojnie, dotykać się, całować.

Natomiast impreza pod nimi coraz bardziej się rozkręcała. Ktoś wyciągnął talię kart, postanowiono zagrać w rozbieranego pokera. Karolina natychmiast się wycofała, ale nikt specjalnie nie protestował. Dziewczyna była gruba i niezbyt ładna. Niestety, nie miała czym wrócić do domu, więc skuliła się w rogu dolnego łóżka, udając całkowitą obojętność.

Tak naprawdę chodziło o Elin i Malin, które uchodziły za laski. Frida była miła, ale jej ciało nie pobudzało wyobraźni mężczyzn. Znalazła się teraz w trudnej sytuacji, bo skoro pozostałe dziewczyny się zgodziły, nie bardzo mogła się wycofać.

Kiedy Elin i Malin przybiły piątkę, mówiąc: „Jasne, nie ma sprawy”, Anders zauważył, jak Frida skuliła się i zaczęła niespokojnie rozglądać dokoła. Po chwili jednak zagryzła wargi i się wyprostowała. Może miała nadzieję, że nie przegra. Wycofując się teraz, straciłaby więcej.

Anders wypił łyk rumu z całą z butelki i dotknął nosem karku Cecilii. Czuł się skrępowany sytuacją i był wdzięczny, że on i Cecilia byli tak odizolowani od pozostałych, że wręcz o nich zapomniano.

W radiu leciał Joey Tempest, który śpiewał o ostatecznym odliczaniu. Martin zaczął rozdawać karty. Kiedy doszedł do Henrika, zawahał się.

- Chętnie opuszczę gacie przed światem - rzucił Henrik.

Björn zachichotał. Nikt poza nim nie wiedział w tym cokolwiek śmiesznego, ale obaj dostali karty.

Gra się toczyła, ktoś wygrywał, ktoś przegrywał. Zdejmowane ubrania rzucono na podłogę. Po dwudziestu minutach Anders najwyraźniej zasnął, bo kiedy znów się ocknął, sytuacja zmieniła się diametralnie.

Usłyszał, jak zamykają się drzwi za Joelem. Wracał z dworu. Był nagi, nie miał na sobie niczego, z wyjątkiem kawałka podartej sieci, po którą poszedł na zewnątrz i która nieco zakrywała jego zwisający członek.

Od stołu dały się słyszeć pohukiwania. Joel rozłożył ręce i zrobił kilka tanczących kroków, zdawał się wręcz zadowolony z sytuacji. Ćwiczył regularnie i teraz korzystał z sytuacji, żeby pochwalić się swoim ciałem.

W szopie było gorąco, Anders czuł, że włosy kleją mu się do głowy. Pałace się świeczki zużyły niemal cały tlen, poza tym młodzi ludzie byli rozgrzani alkoholem. Obok sterty ubrań leżały dwie puste półlitrowe butelki. Wypili co najmniej litr alkoholu więcej niż kiedykolwiek wcześniej, a Samuel właśnie otwierał kolejną butelkę.

Frida, która dotąd wychodziła z gry obronną ręką i miała na sobie i spodnie, i stanik, zaprotestowała.

- Przyszynaj, że przegrałeś. To oszustwo - powiedziała, wskazując ręką na Joela.

Chłopak podszedł do niej i zaczął kręcić biodrami tuż przed jej twarzą.

- Czepiasz się. To jest ubranie. Dotknij, to się przekonasz.

Frida odepchnęła go od siebie, niewiele brakowało, a Joel przewróciłby się na Karolinę, zdołał jednak chwycić się łóżka i wyprostować. Był mocno wstawiony, po karku i po plecach spływały mu strugi potu. Przeciągnął ręką po osłaniającej jego członek rybackiej sieci i powiedział:

- No dobrze, ostatnia szansa. Dajcie mi ostatnią szansę. Potem się poddam, okej?

Mimo że Anders nie wypił dużo, kręciło mu się w głowie, która zresztą ciążyła mu trzy razy bardziej niż zwykle.

Trzeba otworzyć drzwi.

Chciał im to powiedzieć, ale nie miał siły. Spojrzał na stół, przy którym siedziała reszta paczki. Najwięcej stracił Joel, ale sytuacja Henrika, Björna i Elin też nie wyglądała najlepiej. Henrik i Björn mieli na sobie tylko kalessy, podbrzusze Elin ginęło gdzieś w cieniu pod stołem, ale Anders zauważył, że wolała poświęcić majtki, zamiast rozstać się z biustonoszem.

Spokojny oddech Cecilii wskazywał, że śpi. Anders położył rękę na jej biodrze, odwracając wzrok od krótkich włosów łonowych, widocznych między nogami Elin. Chciał być wierny Cecilii nawet w myślach.

Miał silną wolę, która jednak najwyraźniej nie miała władzy nad jego wzrokiem. Wbił oczy w dużą krostę na plecach Henrika, wszystko na nic. Jego wzrok znów powędrował na prawo i zastygł na cienkiej kresce między udami Elin. Po chwili przemieścił się wyżej, do strugi potu, spływającej między jej piersiami. Poczul gorąco u nasady członka i przewrócił się na plecy. Leżał, wpatrując się w sufit, znajdujący się zaledwie pół metra od czubka jego nosa.

Muszą stąd wyjść. Na świeże powietrze.

Słyszał uderzenia kart o blat stołu i niewyraźne głosy kolegów. Chciał, żeby Joel przegrał, żeby wszystko się skończyło, żeby mógł wyjść na zewnątrz, żeby wszyscy mogli wyjść na zewnątrz i znów stać się normalnymi ludźmi.

Przegrał Henrik. Anders słyszał szelest materiału, kiedy sterta ubrań znów się powiększyła. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Nagość Henrika nie była przedmiotem pożądania, jedynie wypadkiem przy pracy. Grano więc dalej. Anders usłyszał westchnięcie Karoliny. Nie tak wyobrażała sobie ten wieczór.

Oczy Andersa zaszyły potem, czuł nieprzyjemne swędzenie całego ciała. Marzył, żeby w szopie byli tylko on i Cecilia. Wtedy obudziłby ją i spytał, czy ma ochotę iść się wykąpać w świetle księżyca. A tak mógł tylko leżeć i gapić się w sufit, który coraz bardziej przypominał mu wieko trumny. Trumny, która, sądząc po panującym upale, właśnie została wsunięta do pieca.

- No wiesz! - doszedł go okrzyk Elin od stołu. - Ja też mam parę trójek!
- Ale spójrz... - zaczął Martin i zaraz urwał. Najwyraźniej miał kłopot z jasnym sformułowaniem myśli.

- Sprawdź, widzisz, widzisz, Frida też ma... Widzisz, ona ma wyższą kartę. Jest lepsza od ciebie. Widzisz... - mówił dalej Martin.

Rozległy się jakieś pomrukiwania, Elin próbowała protestować i nagle zapadła całkowita cisza. Rozległ się brzdęk metalu i kolejna część czyjegoś ubrania wylądowała na stercie. Ktoś odsunął krzesło, a po chwili dał się słyszeć głos Joela.

- Dokąd się wybierasz? Masz tu zostać...

- Chrzań się - powiedziała Elin. - Skoro ty mogłeś, to ja też mogę.

Ktoś na bosaka przebiegł po podłodze; ktoś zagwizdał. Anders nadal wpa-trywał się w sufit. Potem jednak wzrok znów przejął nad nim władzę. Kątem oka zerknął na drzwi i zdążył jeszcze zobaczyć znikającą za nimi Elin.

Ktoś nastawił głośniej muzykę. *A-ha* i *Take on me* wypełniło szopę, przeganiając nieco mrok, także powietrze stało się jakby lżejsze. A może po prostu przez otwarte na moment drzwi wpadło do wewnątrz trochę tlenu.

Siedzący przy stole zaczęli śpiewać refren. Cecilia obudziła się i zasnana spojrziała na Andersa. Poglądził ją po policzku. Skóra jego dłoni kleiła się do skóry jej twarzy. Cecilia zamrugła i przeciągnęła palcami po oczach.

- Strasznie tu gorąco - powiedziała. Anders objął ją ramieniem.

- Może wyjdziemy? - zaproponował.

- Za chwilę - odpowiedziała Cecilia, tuląc się do niego.

Anders zerknął na dół i zobaczył, jak Henrik wstaje od stołu i rusza do drzwi. Potem jednak wargi Cecilii przywarły do jego ust i poczuł, że ogarnia go mięk-kie, spocone ciepło.

Całowali się, aż *Take on me* się skończyło, wybrzmiewając mieszaniną słodyczy i mocnych tonów perkusji. Przez chwilę było cicho, a potem rozległ się krzyk. Dochodził z zewnątrz. Krzyczała Elin. Wszyscy podskoczyli, jakby serce, które przestało bić, nagle, po zastrzyku adrenaliny, znów zaczęło pracować. Słysząc było, jak spocona skóra odkleja się od krzeseł, jak krzesła szurają po podłodze, przewracają się, a wszystko do pierwszych tonów *I should be so lucky*.

Joel i Martin dotarli do drzwi pierwsi, reszta biegła za nimi, a na samym końcu Björn. Cecilia zeskoczyła z łóżka, Anders za nią, ale niewiele brakowało, a wylądowałby na plecach Karoliny, która usiłowała wstać, stękając przy tym jak stara kobieta.

Kylie Minogue śpiewała: „W mojej wyobraźni nie ma komplikacji”, ale po chwili słowa piosenki znów zagłuszyły histeryczne krzyki Elin.

- Ty draniu, ty obrzydliwy, obleśny...

Anders wyszedł i zobaczył, jak Joel kładzie rękę na ramieniu Elin, która, owinięta w kawałek rybackiej sieci, bije Henrika. Chłopak usiłował chronić twarz, w księżycowej poświacie ich ciała wydawały się całkowicie białe.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - powtarzał Joel.

Elin nadal okładała Henrika, który zaczął wycofywać się w stronę brzegu.

- Ten obleś próbował mnie zgwałcić, chciał wsadzić mi tę swoją obleśną kielbasę... Chciał mnie zgwałcić!

Henrik podniósł do góry ręce, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest niewinny.

- Nieprawda, ja tylko... - próbował się tłumaczyć.

Mimo że dowodów popełnionego przestępstwa nie było, to jednak domniemanego narzędzia zbrodni nie dało się ukryć. Sterczało sztywne, uniesione ku górze. W oczach Henrika był strach.

Joel zrobił kilka kroków w jego stronę i nagle uderzył go pięścią w brzuch. Z Henrika uszło całe powietrze, zgiął się wpół. Joel chwycił go za kark i pociągnął w stronę paleniska, na którym nadal żarzyły się węgle.

- Tak się nie robi, nie wiesz tego? Nie wiesz? To zaraz się dowiesz... - pohukiwał Joel.

Trudno wyobrazić sobie, na jaką gorszą próbę mogłaby zostać wystawiona przyjaźń Henrika i Björna. Ale Björn jej sprostał. Kiedy Joel zaczął ciągnąć kaszłącego i machającego rękami Henrika w stronę paleniska, podbiegł do nich i stanął w obronie przyjaciela.

- Puść go! Chyba zwariowałeś!

Wolną ręką Joel zamachnął się na Björna, który zdołał chwycić go za ramiona. Joelowi nie udało się wyzwolić z jego uchwytu, krzyknął więc do Martina:

- Pomóż mi, do cholery!

Martin podbiegł. Był znacznie silniejszy od Joela, bez trudu obezwładnił Björna i powalił go na ziemię. Po uderzeniu w brzuch Henrik nadal mocno kasłał i z trudem łapał powietrze. Joel potrząsał nim i bił go po głowie.

- Zachciało ci się pieprzyć, pojechańcu, tak? W porządku, tylko wybierz sobie partnera, który będzie cię chciał! - krzyczał i nagle pchnął Henrika na leżącego na ziemi Björna.

Martin stanął na dłoniach Björna, tak że ten nie mógł się ruszyć.

- Pieprzcie się! - wołał Joel.

Stanął okrakiem nad Henrikiem, chwycił go za biodra, przycisnął jego podbrzusze do ciała Björna, uniósł, potem znów przycisnął. Henrik zaczął się wic i próbował się uwolnić, ale wtedy Joel chwycił kamień wielkości dużego jajka i uderzył nim Henrika w tył głowy.

- I jak? Dobrze ci? A może jeszcze ci mało...

Henrik leżał bez ruchu na płaczącym Björnzie. Joel ponownie dotknął jego bladych pośladków.

- Przestań, Joel, do cholery!

Anders puścił Cecilię i podszedł do leżących na ziemi, splecionych ze sobą nagich ciał.

- Przestań, do cholery! - powtórzył. - Dosyć tego!

Stał zaledwie krok od Joela, kiedy ten nagle odwrócił się do niego. Z ust leciała mu ślina. Patrzył na Andersa swoimi niemal zwierzęcymi oczami, w których można było wyczytać tylko jedno: „Dotknij mnie, a cię zabiję!” Podniósł rękę, w której nadal trzymał kamień, i Anders się cofnął. Czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, że zaraz zwymiotuje. Odwrócił się.

Wszyscy pozostali zachowywali się jak sparaliżowani, jakby śledzili rozgrywające się na ich oczach przedstawienie. Tylko na twarzy Elin malowało się niedowierzanie wymieszane z przerażeniem. Jej usta wykrzywił grymas śmiechu, a w jej oczach było - pożądanie. Anders słyszał, jak z tyłu za nim, Joel nadal walczy z Henrikiem, nie osiągając jednak upragnionego skutku. Może poczucie poniżenia w końcu pokonało przestępczą erekcję.

Björn rozpaczał, wyl jak skrzywdzone zwierzę. Joel głośno przeklinał i z trudem łapał powietrze, w końcu się poddał. Odwrócił się plecami do leżących na ziemi ciał i splunął. Przechodząc obok paleniska, kopnął gołą stopą tłący się tam jeszcze żar, tak że kawałki wylądował na plecach Henrika, który wzdrygnął się i podskoczył tak, że Björn stoczył się na ziemię.

Joel ruszył w stronę szopy. Po kilku sekundach wrócił z butelką bacardi w rękę. Oczy miał nadal złe, kipiące nienawiścią. Anders zauważył, że walka sprawiła, że miał erekcję. Kawałek rybackiej sieci wisiał na jego członku jak pranie na sznurku.

Joel podszedł do Elin i chwycił ją za rękę.

- Mamy chyba do pogadania - powiedział.

Elin posłusznie ruszyła za nim. Omotana siecią wyglądała, jakby ciągnęła za sobą welon. Skręcili za rogiem i wkrótce zniknęli w lesie.

Zapadło milczenie. Martin już dawno zszedł z dłoni Björna. Kiedy teraz patrzył na skulonego, płaczącego chłopca, po jego minie widać było, że czuje się winny. Rozglądał się dokoła, jakby szukając wytłumaczenia dla swojego czynu. Wszyscy starali się unikać swoich spojrzeń.

Cecilia wróciła do szopy po ubrania dla Henrika i Björna. W tym momencie od strony lasu dobiegły ich dźwięki, świadczące o tym, że Joel właśnie odbiera swoją nagrodę. Sądząc po odgłosach, Elin też wydawała się zadowolona. Samuel wszedł do szopy i nastawił głośniejszą muzykę.

Taśma włączyła się od początku, i kiedy Henrik i Björn zaczęli się ubierać, robili to do dźwięków *The final countdown*. Anders nigdy potem nie był już w stanie słuchać tego kawałka bez poczucia winy.

Zawsze miał wtedy przed sobą zalaną łzami twarz Björna; widział, jak drżącymi, chudymi rękami naciąga kalesony, widział też śniegowe pałace, które kiedyś razem budowali, przypominał mu się smak gorącej czekolady, którą zawsze częstowała ich mama Björna, wspominał programy dla dzieci w telewizji, które razem oglądali i z których razem się śmiali. Żałował, że nie chwycił większego kamienia i nie rzucił nim w Joela.

Ale nie zrobił tego i teraz mógł tylko się przyglądać, jak Björn siedział na ziemi i po raz kolejny zalewał się łzami, tym razem na widok swoich połamanych okularów w stylu Morrisseya.

Podszedł do niego, ukucnął i spytał:

- Jak się czujesz?

Björn zamachnął się ręką i uderzył go w czoło. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, że Anders zrozumiał. Nie chciał, żeby ktokolwiek na niego patrzył, czy próbował z nim rozmawiać. Po kilku minutach obaj chłopcy byli ubrani, wymięli stojące obok szopy łódzie i ruszyli w stronę brzegu.

Potem Anders dowiedział się, że przepłynęli na cypel, na Kattudden.

Ostatni tydzień wakacji minął wszystkim na wielkim kacu. Ten fizyczny, po imprezie w szopie, minął szybko, ale nadal rozmawiano niemal szeptem, na pewno ciszej niż zwykle, rzadziej też się śmiano, wszystkich coś gryzło. Z wyjątkiem Joela i Elin.

Oni nareszcie odnaleźli siebie i chętnie to demonstrowali. Zachowywali się ostentacyjnie, zapraszali ludzi, głównie po to, by zyskać widownię dla swoich pieszczot. Być może w ten właśnie sposób zagłuszali wyrzuty sumienia, ale odczytywane to było inaczej. Kilka razy zdarzyło się, że Joel uderzył Elin, niby dla żartu, ale możliwe, że jego zła sława faceta maltretującego kobiety właśnie wtedy wzięła swój początek.

O Henriku i Björn nie było żadnych wiadomości, ale też nikt specjalnie nie szukał z nimi kontaktu. Właściwie nigdy tak naprawdę nie należeli do paczki, teraz fakt ten znalazł swoje ostateczne potwierdzenie. Nie żeby ktoś się tym chwalił, było to smutne i przykre, ale cóż można było zrobić.

Na dzień przed powrotem do Sztokholmu Anders poszedł do domku Henrika. Już zbliżając się do drzwi, usłyszał muzykę. *There is a light that never goes out*, jest światelko, które nigdy nie gaśnie. Zapukał.

„And if a doubledecker bus crashes into us, to die by your side...”, a jeśli wjedzie w nas piętrowy autobus, to śmierć u twego boku...

Muzyka ucichła, Henrik otworzył drzwi. Wyglądał normalnie, może tylko miał nieco więcej pryszczycy na twarzy. Anders zauważył, że na podłodze w pokoju leżą papierki po czekoladowych batonach. Henrik stał w drzwiach i chyba nie

zamierzał wpuścić go do środka.

- Cześć - odezwał się Anders. - Bo widzisz, ja jutro wyjeżdżam, no i chciałem się pożegnać...

Usta Henrika wykrzywił grymas, może była to próba uśmiechu. Gdy jednak Anders nic więcej nie powiedział, uśmiech znikł i przez kilka sekund twarz Henrika był naga.

- Ja nic nie zrobiłem - odezwał się. - Chcę, żebyś to wiedział. Nic nie zrobiłem. Ja tylko... Zresztą nieważne. Tylko się o nią otarłem, a ona zaczęła krzyczeć. Wierzysz mi? - spytał, wbijając w niego wzrok.

- Tak - powiedział Anders i skinął głową.

- Dobrze.

Twarz Henrika znów się zamknęła, grymas uśmiechu powrócił.

- Lubilem cię bardziej, kiedy byłeś taki beznadziejny... - powiedział nagle.

Anders domyślił się, że był to cytat, nie wiedział tylko z czego.

- Mhm - skwitował więc.

- Cześć - powiedział Henrik i zamknął drzwi.

Już następnego lata paczka zaczęła się rozpadać. Od wewnątrz. Ktoś pojechał gdzieś pociągiem, ktoś inny załatwił sobie pracę na wakacje. Znów zaczęto widywać Henrika i Björna jeżdżących na motorowerze ze skrzynią. Anders mówił im „cześć”, nigdy jednak ze sobą nie rozmawiali.

W miasteczku zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Różne rzeczy znikwały, by potem pojawić się w innym miejscu. Ktoś przewrócił tablicę ogłoszeń przy sklepiku, a któregoś ranka jeden z letników, który akurat szedł się kąpać, dokonał makabrycznego odkrycia. Z najniższej gałęzi sosny, rosnącej tuż obok przebiegalni, zwisał łabędź powieszony na stalowej lince.

Inny letnik, który trzymał w klatce przy swoim domku trzy króliki, odkrył nagle któregoś dnia, że wszystkie są martwe. W klatce natomiast znajdował się buldog sąsiadów, znany ze swojego agresywnego usposobienia. Nic nie wskazywało, żeby pies podkopał klatkę. Ktoś musiał ją otworzyć i wpuścić tam zwierzaka.

Podjeżenia padły wkrótce na Henrika i Björna, którzy szaleli motorowerem po miasteczku i coraz dziwniej się zachowywali. Jakby nienawidzili ludzi. Obaj zostali wezwani na przesłuchanie i obaj zgodnie wszystkiemu zaprzeczyli. Ponieważ nie było żadnych dowodów, nie można było nic zrobić. Tyle że po tym zdarzeniu ludzie zaczęli bardziej pilnować swoich rzeczy i zwierząt.

Nadeszła zima, The Smiths się rozpadli. Kiedy Anders przyjechał na wyspę w tygodniu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, zwrócił uwagę, że Henrik i Björn noszą żałobę, ale o nic ich nie wypytywał.

Kolejnego lata Anders i Cecilia wybrali się pociągiem w miesięczną podróż po Europie, a przez pozostałą część wakacji Anders pracował w magazynach sieci Ica. Kiedy zimą znów odwiedził wyspę, nie spotkał się ani z Henrikiem, ani z Björnem. Ojciec opowiadał mu, że stali się nie do wytrzymania. Z nikim nie rozmawiali, chociaż niekiedy przychodzili na treningi, i nadal uprzykrzali ludziom życie, chociaż już na nieco mniejszą skalę.

Kiedy w lutym Anders zadzwonił do ojca, dowiedział się, że Henrik i Björn się utopili. Wyjechali motorowerem na lód, który nagle się pod nimi załamał. Żaden z nich nie miał na sobie kapoka, więc prawdopodobnie wszystko odbyło się szybko.

Miasteczko mogło odetchnąć. Hubba i Bubba ostatecznie zniknęli z jego życia. Wkrótce potem ich rodzice opuścili wyspę i pamięć o nich odeszła w zapomnienie. Oczywiście to przykre, kiedy tak młodzi ludzie umierają, ale...

Nareszcie było po wszystkim.

Nikt nas nie kocha

Cześć,

to ja jestem duchem udręczonego Joego

The Smith A rush and a push and the land is ours

Jeśli istnieje

W świetle lampy wiszącej nad kuchennym stołem można było lepiej zobaczyć, co stało się z Elin, co z sobą zrobiła. Szwy nie zostały jeszcze zdjęte, część twarzy nadal była opuchnięta i pokryta strupami, ale cel ostatniej operacji był już wyraźnie widoczny.

Dwie głębokie bruzdy biegingy od skrzydełek nosa do kącików ust, wokół których czerwieńiły się świeże blizny. Pod oczami, teraz głęboko osadzonymi, wi-dać było kawałek wściekle czerwonej skóry, poprzecinanej dużą ilością cienkich kresek, ciągnących się aż do skroni. Elin kazała zrobić sobie zmarszczki. Cel kolejnych operacji, którym się poddawała, był przeciwny do tego, który zwykle przyświecał operacjom plastycznym. Ona chciała się postarzeć, stać się brzyd-szą, grubszą.

Odmówiła wypicia kawy, ponieważ trudno było jej otwierać usta, poprosiła jednak o trochę wina w szklance. Andersowi nie udało się znaleźć słomki, odciął więc kawałek gumowego wężyka i podał jej. Niemal natychmiast wypiła połowę zawartości szklanki. Anders siedział i patrzył na nią.

Żalospne.

Wspomnienie Henrika i Björna przypomniało mu dawną Elin. Teraz, osiemnaście lat później, siedziała naprzeciwko niego z trzęsącymi się rękami, twarzą w kawałkach i piła wino przez gumowy wężyk.

Może jednak sprawiedliwość istnieje, mimo wszystko.

Ponieważ trudno było patrzeć na nią dłużej niż chwilę, Anders spuścił wzrok i nagle zauważył, że liczba koralików na podkładce znacznie się zwiększyła. Po-jawily się kolejne białe koraliki, w sumie nieco więcej niż jedna szosta po-wierzchni podkładki zapełniona była koralikami.

Elin nadal siorbała wino. Z jej twarzy nie dawało się niczego wyczytać. Anders postanowił spytać ją o Henrika i Bjöma, ale go uprzedziła. Ponieważ nie mogła sprawnie poruszać wargami, wymawiane przez nią spółgłoski brzmiały słabo i monotonna.

- Mam sen - zaczęła. - Sen, który do mnie powraca. Nie mogę spać, bo ciągle go śnię. Od tygodni dobrze nie spałam.

Dolała sobie wina. Anders przyniósł kieliszek, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Elin znów natychmiast wypila pół szklanki i zaczęła kasłać. Dopiero po chwili była w stanie mówić dalej.

- Widzę mężczyznę, który leży w łódce. Takiej drewnianej, prawdziwej. Leży na dnie łódki, z głową opartą o burtę, i jest martwy. Ale oczy ma otwarte. A obok niego, na dnie łodzi, leży sieć, a w niej są ryby. Część z nich wydostała się z sieci i skacze po dnie. Ryby podskakują, wiją się. Te w sieci też się ruszają. Jest ich dużo, są żywe. Ale mężczyzna leży na dnie i jest martwy. Rozumiesz? Ryby żyją, chociaż są w łodzi, a on jest martwy.

Znów zaczęła siorbać wino i skrzywiła się z bólu. Pewnie ciągnął ją jakiś szew.

- Cały czas mam w głowie ten obraz. Powinna się przyzwyczaić, a jednak za każdym razem się boję, we śnie. Zbliżam się do łodzi, widzę tego mężczyznę, który leży martwy wśród ryb, i nagle się rozpadam ze strachu.

Reszta wina trafiła przez wężyk do ust Elin. Zakrztusiła się i zaczęła kasłać. Kasłała i kasłała, jęknęła z bólu i dalej kasłała. Anders bał się, że zwymiotuje, ale kaszel złagodniał. Elin siedziała i z trudem łąpała powietrze. Wzdłuż bruzd na jej policzkach leciały łzy.

Anders nie był specjalnie zainteresowany snami Elin. Wypił łyk wina, zamknął oczy i wtedy pojawił się przed nim niewyraźny obraz Henrika i Björna, oświetlonych księżycową poświatą, i zły uśmiech mający na - wówczas jeszcze pełnych - ustach Elin.

Nie zniknie. Nic nie znika.

Otworzył oczy i zerknął na Elin, która siedziała skulona i wpatrywała się w podłogę.

- Powiedziałaś, że znikli. Henrik i Björn. Nie że się utopili. Co miałaś na myśli?

- Nigdy ich nie znaleziono.
- Przecież wjechali w przerebel.
- Nic o tym nie wiem - powiedziała Elin, kręcąc głową.
- Nie słyszałaś o tym?

Elin patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, podobnie jak dwadzieścia minut temu, kiedy tu przyjechali, a ona przed domem zobaczyła łodź w foliowym worku. Chciała uciec, ale Anders ją zatrzymał. Teraz miała podobny

wyraz twarzy. Jak osaczone zwierzę, które nie ma gdzie się schować. Jedynym rozwiązaniem pozostaje implozja, może tylko zapaść się w siebie.

- To byli oni. Wieźli na skrzyni tego cholernego lodziarza i wcale nie byli starsi, rozumiesz? Mieli tyle samo lat co wtedy, kiedy to wszystko się wydarzyło. Nie postarzeni się.

Anders odchylił się do tyłu w krzesło.

- Co tak naprawdę wtedy się stało? Tamtej nocy?

Elin zagryzła wargi, nadeła policzki i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, który dawniej pewnie miał jakąś siłę oddziaływania, ale teraz był po prostu obrzydliwy. Owinęła gumowy wężyk wokół palca i opuściła ramiona.

- Joel siedzi w więzieniu. Wiedziałaś o tym? - spytała.

Anders nie odpowiedział, więc ciągnęła dalej.

- Poszło o jakąś kobietę... Byłby ją zabił. Chociaż pewnie nie zrobiła nic złego. Nie wiem.

Pociągnęła nosem i owinęła mocniej gumowy wężyk wokół palca, którego czubek natychmiast zrobił się purpurowy, jak jej twarz. Spuściła wzrok.

- Nie wiem. Nic nie wiem. Byłam niedobra. Można być tak złym? - spytała

Anders wzruszył ramionami, wziął głęboki wdech, by zaraz wypuścić powietrze. Ciężar, który czuł w żołądku, zelżał nieco. Wstał i poszedł po nowy karton wina.

- Chcesz jeszcze?

Elin skinęła głową i zaczęła odwijać gumowy wężyk. Pili w milczeniu. Po chwili Anders znów się odezwał.

- Co słyszałaś? O nich.

Z kącików ust Elin pocięło trochę wina, wytarła je ostrożnie.

- Tylko, że wyjechali na łód tym swoim motorowerem. I znikli.

- Jak to? Nie wjechali w przerębel?

- Nie.

- Nie było przerębła? Łód się nie załamał?

- Nie. Oni znikli.

Anders przycisnął zaciśniętą pięść do ust tak mocno, że poczuł metaliczny smak; wstał i zaczął spacerować po kuchni. Elin wodziła za nim wzrokiem. Znów wypił trochę wina.

- A o co chodzi? - spytała.

Anders pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać, sięgnął po paczkę papierosów, zapalił jednego i zaczął nerwowo wędrować po całym domu, po korytarzu, po pokoju.

Co mam robić? Co mam robić?

Nie miał pewności, czy to, co przydarzyło się Henrikowi i Björnowi, przydarzyło się także Mai. Może oni po prostu - odjechali. Gdzieś daleko, żeby zacząć nowe życie.

I wrócili równie młodzi jak dawniej?

Anders zatrzymał się przy oknie w dużym pokoju. Spojrzał w stronę mrugającej latarni morskiej na Gåvasten. Łzy napłynęły mu do oczu.

Nie postarzelisię...

Widział przed sobą maleńkie rączki Mai, chwytające butelkę z sokiem, jej chude paluszki, zaciśnięte wokół nowego numeru „Bamse”, który czytała leżąc w swoim łóżeczku. Spod kołderki wystawały jej stopy. Miała sześć lat.

Anders patrzył w ciemność, w której mrugała świetlista igielka. Wino uderzyło mu do głowy, światło zaczęło falować, powiódł wzrokiem po morzu i zobaczył Maję w czerwonym kombinezonie. Szła po wodzie w ciemnościach. Małe ciało, miękka skóra, delikatne mięśnie, wszystko obleczone ortalionową powłoką. Poruszająca się w oddali czerwona plamka, która znikiała, kiedy próbował skupić na niej wzrok.

- Gdzie jesteś? - wyszeptał. - Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi. Tylko szum fal, uderzających o skały i przesłanie płynące z Gåvasten, niezmiennie powtarzane przez wszystkie latarnie morskie: „Jestem tutaj, jestem tutaj. Uważaj, uważaj”.

Anders stał i wpatrywał się w ciemność, aż przeciąg, ciągnący od szczeliny w oknie, sprawił, że zaczął marznąć i wrócił do kuchni.

Elin leżała na kuchennym stole z głową wspartą o rękę. Chwycił ją za ramię i obudził.

- Idź się połóż. Możesz spać w dużym łóżku - powiedział, wykonując gest w stronę sypialni.

Elin znikła za drzwiami. Anders pozostał przy stole w kuchni, nalał sobie wina i zapalił kolejnego papierosa. Wpatrywał się w napis na blacie.

Nieś mnie.

Pokiwał głową, złożył ręce jak do modlitwy i wyszeptał:

- Dobrze, tylko gdzie mogę cię znaleźć? Gdzie jesteś?

Po mniej więcej półgodzinie Elin wyszła z sypialni. Była owinięta w kołdrę, jej palce nerwowo dotykały poszwy. Anders zmrużył jedno oko, żeby ją lepiej widzieć. Wyglądała okropnie, gorzej chyba już nie mogła.

- Nie mógłbyś położyć się obok mnie? - spytała. - Okropnie się boję.

Anders poszedł za nią do sypialni i położył się na kołdrze obok niej. Poczul, jak jej ręka szuka jego dłoni.

Jakie to ma znaczenie? Jak to ma znaczenie, do cholery? Chwycił jej dłoń i ucisnął, chcąc dać jej do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, że może

być spokojna. Kiedy próbował puścić jej rękę, chwyciła go jeszcze mocniej, więc dał spokój. Światło latami z północnego cypla omiotło pokój, rzucając poświatę na przeciwną ścianę, na której ukazał się profil Elin, z jej nowym spłaszczonym nosem. Anders leżał i przyglądał się jej; kiedy światło powróciło już chyba po raz dziesiąty, ponowił swoje pytanie:

- Dlaczego to robisz? Po co ci te operacje?
- Muszę je robić.

Anders zamrugał, czuł, że robi się senny. Nie był w stanie myśleć całkowicie trzeźwo, ale coś zaczęło świtać mu w głowie.

- Czy to ma być - kara?

Elin milczała dłuższą chwilę; Anders pomyślał, że pewnie nie chce mu odpowiedzieć. Światło latami omiotło pokój po raz kolejny. Elin puściła jego dłoń i przewróciła się na bok.

- Pewnie tak - odezwała się w końcu.

Anders dalej leżał na łóżku, rozmyślając o zbrodni i karze, o równowadze między jednym a drugim, która pewne stanowi część ludzkiej duszy. Nie doszedł do żadnego wniosku, jego myśli rozplynęły się w niepowiązanych ze sobą obrazach. Kiedy nieco oprzytomniał, Elin spała; słyszał to po jej oddechu. Wstał, rozebrał się i wślizgnął się do łóżeczka Mai.

Sen nie chciał nadejść. Pewnie zdrzemnął się kilka sekund, leżąc w łóżku obok Elin, i teraz nie mógł zasnąć. Zaczął liczyć błyski latami i doszedł do dwustu dwudziestu. Zastanawiał się, czy nie zapalić lampki przy łóżku i nie poczytać komiksu, kiedy zauważył, że Elin wstaje z łóżka.

Pomyślał, że idzie do toalety, ale jej ruchy wydały mu się dziwne. Szła w jego stronę, jakby go nie widząc. Miała na sobie tylko majtki i stanik, z których wylewało się jej bezkształtne ciało. Kiedy światło latami padło na jej twarz, Anders przestraszył się i skulił, jakby chciał uniknąć grożącego mu ciosu.

Potwór przyszedł mnie zabrać.

Ona jednak przeszła obok, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu wstał, włożył koszulę i podążył za nią.

- Elin, co ty robisz? - spytał, zwracając się do jej pleców. - Nie możesz wyjść na dwór w samej bieliźnie.

Usłyszał kliknięcie zamka, kiedy nacisnęła klamkę. Chwycił ją za ramię.

- Dokąd idziesz? - spytał.

Elin zastygła i nie odwracając się, powiedziała:

- Do domu. Idę do domu.

Drzwi się otworzyły, poczuł chłodny powiew powietrza na swoich stopach. Chwycił mocniej jej ramię i odwrócił ją do siebie.

- To niemożliwe. Nie masz już domu.

Chwycił ją za drugie ramię i zaczął potrząsać. Patrzyła na niego nieprzytymnym wzrokiem.

- Posłuchaj - powtórzył. - Nie masz dokąd iść.

Elin nadal przyglądała mu się pustym wzrokiem. Jej usta poruszały się, jakby nie wydając żadnego dźwięku, mówiła: co, co, co. Po chwili pokręciła powoli głową i głośno powiedziała:

- Nigdzie się nie wybieram.

- To dobrze, chodź ze mną - uspokajał ją Anders.

Wciągnął ją do przedpokoju i zamknął drzwi wejściowe na klucz. Elin pozwoliła odprowadzić się do łóżka, położyła się i natychmiast zasnęła. Anders nie miał klucza do sypialni, zablokował więc klamkę krzesłem, mając nadzieję, że usłyszy, kiedy znów będzie próbowała wyjść.

A jeśli i tak wyjdzie? Nie odpowiadam za nią.

Znów położył się w łóżeczku Mai i ku swojemu zdziwieniu odkrył, że jego ciało mówi mu, że jeśli chce, to teraz już zaśnie. Chciał. Zamknął oczy i pograżył się w błogości: miał wrażenie, że leży na miękkim, łagodnym zboczu. Zanim zasnął, zdążył jeszcze pomyśleć: Jakbym nie miał dość własnych kłopotów.

Po pożarze

Kiedy strażacy skończyli swoje działania, po domu zostały tylko czarne belki i szara maź. Przepompowano setki metrów sześciennych morskiej wody, która została wylana na płonący budynek. Nad zgłiszczami unosiły się jeszcze pojedyncze smugi dymu, ale nie było ryzyka, że ogień rozgorzeje na nowo, wszystko dokoła było mokre.

Większość ludzi już odeszła, jednak Simon nadal stał w kwaśnych oparach popiołu i przyglądał się zniszczeniom, medytując nad przemijaniem wszystkiego.

Człowiek ma dom. I nagle nie ma domu.

Wystarczy jedna zapalka czy iskra. Niczego więcej nie trzeba, żeby miejsce, gdzie latami się chodziło, które się urządzało, o które się dbało, poszło z dymem. Jedno niepotrzebne słowo, widok czegoś, czegoś nie powinno się zobaczyć i coś, co człowiek myślał, że będzie trwać wiecznie, pęka i rozpada się na jego oczach.

Dywan, po którym się stąpa, zostaje jednym szarpnięciem usunięty spod stóp.

Nawet potrafił to sobie wyobrazić: podłużny szmaciany dywanik, po którym chodzi się latami, ale co to za figura tam, na drugim końcu? Diabeł czy anioł?

A może po prostu mały człowieczek w szarym garniturze, nieciekawy typ, który tylko czeka na swoją okazję? Tak czy inaczej ten ktoś trzyma koniec dywanika w swoich rękach. I jest cierpliwy, bardzo cierpliwy. Ma czas i może czekać.

Gdy człowiek traci równowagę, nagle staje się lekki, i wtedy ten z drugiej strony pociąga za swój koniec i wykonuje magiczną sztuczkę. Tracimy grunt pod nogami, stopy odrywają się od podłoża i przez ułamek sekundy unosimy się w pozycji horyzontalnej, z palcami stóp i czubkiem nosa w jednej linii. Potem rozlega się huk i uderzamy o ziemię, co zawsze boli.

Simon wsunął ręce do kieszeni i podszedł do resztek domu. Woda chlupała mu pod nogami, odór popiołu dusił w gardle. Nie miał jakiegoś szczególnego stosunku do spalonego domu, nawet nigdy w nim nie był. A jednak czuł, że ma on dla niego znaczenie.

Dzień obfitował w zdarzenia i być może on był nieco przewrażliwiony, czuł jednak, że minął już czas, kiedy doświadczając różnych rzeczy tu na wyspie, traktował je jako pojedyncze, niepowiązane ze sobą zdarzenia, kiedy dawał się oszukiwać...

Tak. Oszukiwano go.

I to od dłuższego czasu. Brnął przez maź na pogorzeliśku, woda chlupała mu pod nogami. Strażacy stwierdzili, że sposób, w jaki pożar się zaczął, budzi podejrzenia, a to już nie ich sprawa. Tym zajmie się rano policja.

Miał świadomość, że być może niszczy jakieś ważne ślady, ale brnął dalej przez szarą breję. Im dalej szedł, tym było jej mniej, zniknęła kilka metrów przed studnią, do której on - nawet tego nie wiedząc - właśnie zmierzał.

Studnia była stara. Miała metrowe kamienne obramowanie i drewnianą pokrywę. Dawna konstrukcja, czyli kołowrotek z łańcuchem i przytroczonym do niego wiadrem, pozostała jako dekoracja. Z otworu w pokrywie wychodził gruby plastikowy wąż, który pewnie był podłączony do pompy wewnątrz w domu. Simon zauważył, że wąż jest przepalony. Uniósł pokrywę i zajrzał do ciemnego wnętrza.

Co ja robię?

Nie wiedział. Podobnie jak nie wiedział, dlaczego w ogóle tu przyszedł. Coś go tu - ciągnęło. Położył dłoń na pudełku od zapalek, które miał w kieszeni; jakby chciał coś sprawdzić.

I nic. Po prostu nic.

Coś co prawda czuł, ale nie bardzo potrafił powiedzieć, co to jest. Jakieś przeczucie, cień z przeszłości, jak kręgi na wodzie w miejscu, gdzie pojawiła się ryba, która zresztą już dawno zdążyła odpłynąć.

A jednak odczepił wiadro, poluzował łańcuch i spuścił je do studni. Kiedy wyciągnął je do góry, było w połowie pełne. Zrobił z dłoni miseczkę, nabrał

wody i zaczął pić, oczyściwszy wcześniej ranę na rękę, która właściwie była już zagojona.

Sól.

Nic dziwnego. Jeśli studnia była położona blisko morza, zdarzało się, że przenikała do niej morska woda. Gdyby wcześniej poproszono go o radę, zaproponowałby pewnie inne miejsce, ale teraz nie miało to już znaczenia. Odwiesił wiadro na miejsce. Jego przecucie ani się nie zwiększyło, ani się nie zmniejszyło, nadal jednak było, odbierał je jako ślad jakiegoś zapachu, nie wiedział tylko, czego był to zapach.

Zrobił krok do tyłu i zaczął się przyglądać studni.

Szkoda.

Szkoda, że taka piękna stara studnia zostanie bez domu. Odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na zgliszcza, i zobaczył, że w miejscu, w którym przed chwilą stał, jest jakaś osoba. Światło gwiazd nie wystarczało, żeby mógł ją rozpoznać, uniósł jednak dłoń w geście pozdrowienia. Które zostało odwzajemnione.

Poczuł się, jakby został złapany na gorącym uczynku. Torując sobie drogę z powrotem, pomyślał, że wytłumaczy swoje zachowanie pragnieniem.

Podszedł bliżej i zobaczył, że osobą, która na niego czeka, jest Anna-Greta. Zesztywniał; przepaszający wyraz twarzy zastąpił bardziej obojętnym. Starał się pokonać ostatnie metry w błocie możliwie dostojnym krokiem.

- Co ty robisz? - spytała Anna-Greta wyraźnie rozbawiona.

- Nic. Chciało mi się pić.

Anna-Greta wskazała palcem na ogólnie dostępny kran przy skrzyżowaniu dróg, zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej.

- Nie byłoby prościej...

- Nie pomyślałem o tym - przerwał jej Simon.

Minał ją i - najszybciej jak mógł - ruszył w stronę domu. Anna-Greta była jednak znacznie sprawniejsza i bez trudu dotrzymywała mu kroku. Po chwili szła już obok niego, zapaliła latarkę i oświetlała im drogę.

- Jesteś zły? - spytała.

- Nie. Ale czuję się zawiedziony.

- Dlaczego?

- A jak myślisz?

Weszli na ścieżkę między świerkami i Simon musiał zwolnić. Najwyraźniej jego serce nie chciało uciekać od Anny-Grety. Jego fizyczne serce, oczywiście. Co do tego drugiego, to nie był do końca pewien, czego ono pragnie. Jednak stojąc na progu śmierci, dobrze, że przynajmniej wie, że nawet gdyby chciał, to od Anny-Grety nie ucieknie. Była po prostu za szybka.

Uszli kilkaset metrów i Simon musiał się zatrzymać, żeby złapać oddech. Anna-Greta stała obok niego, pozornie obojętna, i oświetlała leśną ścieżkę. W pobliżu nie było nikogo.

- Posłuchaj - zaczęła. - Przyjmij, że nie mówiłam ci o tym dla twojego dobra.

Simon parsknął.

- Ile lat jesteśmy już razem? Niedługo będzie pięćdziesiąt, prawda? Jak mogłaś... Czy jest jeszcze coś, co przede mną ukryłaś?

- Owszem.

Jej wyznanie powinno go zaskoczyć, ale Simon dobrze ją znał. Zawsze mówiła prawdę, nawet jeśli czasem było to niezręczne. Dlatego też tak trudno było mu się pogodzić z zaistniałą sytuacją, bo może się okazać, że być może jednak wcale jej nie znał.

- Coś ci powiem - zaczął. - Wiesz, że byłem już kiedyś żonaty, i wiesz, co mówiła mi Marita, moja żona, o swoim uzależnieniu? Że nie powiedziała mi o tym dla mojego własnego dobra. Więc nie dziw się, że jestem uczulony na tego typu argumenty.

- To nie to samo.

- A mnie się wydaje, że tak. Dlatego trudno mi to zaakceptować. Poza tym wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę nadal z tobą być. Chyba nie.

Stał pochylony z rękami wspartymi o uda. Teraz się wyprostował i ruszył przed siebie. Patrzył w mrok, latarka Anny-Grety już mu nie towarzyszyła. Poczul ciężar w żołądku, ale trudno, stało się. Powiedział jej i teraz musi ponieść tego konsekwencje, cokolwiek to może znaczyć. Nie mógł żyć z kimś, kto kłamie.

Las był pogrążony w całkowitych ciemnościach. Musiał uważać, gdzie idzie, żeby znów nie wpaść do rowu. Krąg światła latarki przywarł do siatkówki jego oka; zatrzymał się i czekał aż zniknie. Kiedy w pewnym momencie odwrócił się i zerknął na ścieżkę za sobą, spostrzegł, że prawdziwa latarka leży na ziemi, a jej światło pada na nogi Anny-Grety.

Otworzył usta, żeby zawołać, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

To niesprawiedliwe. To nie jest czysta gra.

Zacisnęła szczękę. Przecież postawił sprawę jasno, powiedział jej szczerze i otwarcie, co czuje. A ona robi coś takiego. To chwyt poniżej pasa, to... Simon zmrużył oczy, patrzył na leżącą na ziemi postać.

Chyba nic jej się nie stało?

Anna-Greta była dobrego zdrowia. Nie dostała chyba zawału ani udaru tylko dlatego, że ją odtrącił. To możliwe? Podniósł głowę i spojrzał w stronę miasteczka. A jeśli zjawi się tu znów ten motorower? Nie może jej tak zostawić.

Dlaczego ona tam tak leży?

Z ołowianym smakiem w ustach ruszył w jej stronę, kierując się światłem lartarki. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że żyje. Jej ciało drżało. Płakała. Stał obok niej.

- Przestań. Nie jesteśmy nastolatkami. Nie zachowuj się tak.

Anna-Greta nadal łkała i tylko jeszcze bardziej się skuliła. Simon czuł, że zaczynają go piec oczy, że zaraz też się rozplacze i poirytowany otarł pierwsze łzy.

To nie jest fair.

Nie mógł patrzeć, jak tak leży, ta zawsze tak samodzielna i silna kobieta, którą tyle lat kochał. Nie mógł patrzeć, jak leży tu, jak bezbronna, łkająca węzełek na leśnej dróżce. Nie przypuszczał, że jego słowa mogą sprowokować taką reakcję. Poczul gulę w gardle, po policzkach popłynęły mu łzy, ale było mu wszystko jedno.

- Chodź - powiedział. - No, chodź, wstań.

- Nie wolno ci. Nie wolno ci tak mówić. Nie wolno. Nie wolno ci mówić. Że nie chcesz. Być ze mną - wyrzuciła z siebie Anna-Greta, nadal szlochając.

- Wiem. Już nie będę. Chodź.

Wyciągnął do niej rękę, żeby jej pomóc, ale ona jej nie zauważyła. Simon zaś bał się, że jeśli się schyli, żeby ją podnieść, to może upaść, i wtedy oboje będą leżeć na ziemi.

Nigdy w życiu nie doświadczył czegoś podobnego. A już na pewno nie z Anną-Gretą. Zdarzało się, że czasem się kłócili, wpadała wtedy w złość, niekiedy nawet płakała, ale po chwili zawsze się uspokajała. Tak zrozpaczonej nigdy jeszcze jej nie widział. Z drugiej strony nigdy też nie powiedział jej, ba nawet nie zasugerował, że mógłby ją rzucić.

Pomachał jej dłonią przed twarzą.

- Chodź, pomogę ci.

Anna-Greta pociągnęła nosem, ale oddychała już nieco spokojniej i była bardziej rozluźniona. Nadal jednak leżała na ziemi.

- Zostaniesz ze mną? - spytała po chwili.

Simon przetarł oczy. Cała historia wydała mu się śmieszna. Byli dorosłymi ludźmi, można by powiedzieć, że nawet bardzo dorosłymi. Miał wrażenie, że wszystko zatoczyło koło, wracając do tego najprostszego, najbardziej pierwotnego pytania, na które oni odpowiedzieli sobie dobre kilkadziesiąt lat temu.

Sprawa jednak nadal nie była wyjaśniona. I może nigdy nie zostanie wyjaśniona.

- Tak - odpowiedział. - Zostanę z tobą. Tylko chodź już. Rozchorujesz się, jeśli będziesz tu leżeć.

Wzięła jego dłoń, ale nie wstała, tylko trzymała ją w swojej, gładząc palcami jego rękę.

- Na pewno?

Simon roześmiał się i pokiwał głową. W ciągu kilku sekund zajął we wszystkie zakątki swojego serca i nigdzie nie znalazł uczucia, które jeszcze przed chwilą kazało mu powiedzieć, że chce od niej odejść, że nie chce jej już nigdy więcej widzieć. Uczucie to znikło, jakby w ogóle nigdy nie zaistniało.

Nie mógł nic zrobić. Stało się.

- Tak, na pewno - powiedział i pomógł jej wstać.

Anna-Greta przytuliła się do niego i teraz stali tak w objęciach. Trwało to tak długo, że kiedy w końcu się puścili, światło latarki zmieniło się z białego na żółte. Wszystko dobrze się skończyło.

Tym razem, pomyślał Simon. Chwycili się za ręce i przy coraz słabszym świetle latarki ruszyli do domu. Oboje czuli się wykończeni tą niezwykłą dla nich uczuciową burzą, ich serca były obolałe.

Gdy trzymali się za ręce, wszelkie słowa zdawały się zbędne. Kiedy jednak wyszli z lasu, Simon powiedział:

- Chcę wiedzieć.

Anna-Greta ścisnęła jego dłoń.

- Wszystko ci opowiem - odpowiedziała.

Dotarli do domu Anny-Grety, usiedli na kanapie i przez chwilę zbierali siły. Czuli się nieco skrupowani i unikali swojego wzroku. Za każdym razem, kiedy ich spojrzenia się krzyżowały, uśmiechali się do siebie niepewnie.

Jak para nastolatków, pomyślał Simon. Para nastolatków na kanapie u mamy i taty.

Simon nie był pewien, czy tak właśnie zachowują się dzisiaj nastolatki, ale wstał, poszedł do kuchni i przyniósł butelkę wina. Dla poprawienia nastroju. I żeby rozwiązać języki... i w ogóle.

Nie, nie to miał na myśli. Nie, tylko...

Nagle zatrzymał się w pół drogi z korkociągiem w ręku. Czy on i Anna-Greta naprawdę kochali się zaledwie trzy dni temu? Miał wrażenie, że było to znacznie dawniej. Cóż, nawet jeśli zachowywali się jak nastolatki, nie znaczyło to, że także mieli ciała nastolatków.

Korek nadal tkwił w butelce. Simon ciągnął z całej siły, czuł jednak, że może mu jej nie starczyć.

A więc...

Podał butelkę Annie-Grecie, która wstała, zaklinowała ją między udami i wyciągnęła korek.

- Mocno siedział - powiedziała, jakby pocieszając Simona.

- Tak.

Simon usiadł na kanapie, wypili każde po łyku. Ostry smak, do którego nie był przyzwyczajony, pozostał mu na języku, westchnął z lubością.

Nieczęsto teraz pił wino. Spojrzał znacząco na Annę-Gretę, która odstawiała na bok kieliszek, położyła ręce na kolanach i spytała:

- Od czego mam zacząć?

- Zaczynij od tego, o co pytałem. Dlaczego nikt stąd nie wyjechał, dlaczego teraz też nikt nie wyjeżdża? Dlaczego powiedziałaś, że zataiłaś to wszystko dla mojego dobra? I dlaczego nikt...

Anna-Greta uniosła do góry rękę, jakby chcąc powstrzymać jego pytania. Następnie sięgnęła po kieliszek z winem, wypila łyk i powiodła palcem wskazującym po krawędzi kieliszka.

- W pewnym sensie wszystkie te pytania sprowadzają się do jednego. Jeśli dowiesz się prawdy, też nie będziesz mógł stąd wyjechać - ostrzegła go, spoglądając na ciemne morze. - Ale pewnie i tak jest już za późno. Na wyjazd - dodała.

Simon przekrzywił głowę.

- Mówiłem ci już. Nie zmiierzam nigdzie wyjeżdżać. Więc nie musisz mnie straszyć.

Anna-Greta uśmiechnęła się słabo.

- Ono nas nawiedza. Próbując opuścić wyspę, ryzykujemy, że podąży za nami.

- Ono? - przerwał jej Simon. - Czyli co?

- Morze. Odszuka nas i zabierze. Znajdzie nas wszędzie.

Simon pokiwał głową z niedowierzaniem.

- Przecież jeździsz czasem do Norrtälje, do Sztokholmu. Zdarza się też, że razem płyniemy promem na Åland. I nic się nie dzieje, a przynajmniej dotąd się nie działo.

- To prawda, ale kilka razy chciałeś wybrać się gdzieś dalej. Na przykład na Majorkę. A ja mówiłam nie, bo ono może wtedy pomyśleć, że chcę uciec.

Anna-Greta polizala palec i znów przeciągnęła nim po brzegu kieliszka, wydobywając ze szkła pojedynczy zawodzący dźwięk, który wypełnił pokój niczym duch. Idealny ton, tak czysty i jasny, że mogło się zdawać, iż powietrze służy mu za skrzynkę rezonansową, wzmacniając jego brzmienie. Simon położył dłoń na jej palcu, żeby przestała.

- To niedorzeczność - stwierdził. - Chcesz powiedzieć, że morze wychodzi na brzeg i szuka was? Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Nie musi nas szukać, ono jest wszędzie. Ma związek ze wszystkim. Ze wszystkim, co jest wodą. Nie musi nigdzie chodzić.

Simon wypił kolejny łyk wina. Wspomniał swoje doświadczenie z poprzedniego dnia, kiedy to, trzymając w dłoni Spiritusa, widział, jak woda jest wszędzie, i że właściwie wszystko składa się z wody. Teraz zobaczył to w szerszej perspektywie: zobaczył wszystkie morza połączone ze sobą rzekami, strumykami, potokami;

zobaczył żyły wodne prowadzące pod górami, pod bagnami i jeziorami. Woda, wszędzie była woda. *To wszystko prawda, ale...*

- Co dokładnie masz na myśli, mówiąc, że ono was „zabiera”? W jaki sposób?

- Topimy się. W najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. W strumyku. W kałuży. W umywalce.

Simon zmarszczył brwi i już chciał zadać kolejne pytanie, ale Anna-Greta go uprzedziła.

- Nie, nie mam pojęcia, jak to się dzieje. Nikt nie ma. Wiadomo tylko, że ludzie, którzy przynależą do Domarö i usiłują stąd wyjechać, prędzej czy później się topią. Zwykle tak się dzieje. Ci, którzy zostają, przeżywają. Zwykle tak się dzieje.

Simon położył dłoń na dłoni Anny-Grety, która nadal opierała się na krawędzi kieliszka.

- To brzmi jak...

- Nieważne, jak to brzmi. Tak po prostu jest. I my to wiemy. A teraz ty też to wiesz. Używając słowa, które właściwie wyszło już z obiegu, można powiedzieć, że wisi nad nami klątwa. I musimy z nią żyć.

Simon skrzyżował ręce na piersi i opadł na oparcie kanapy. Trochę dużo tego jak na jeden raz, łagodnie mówiąc. Udzielona odpowiedź skłaniała do dalszych pytań, ale czuł, że nie ma już siły. Wypite wino, choć nie było go dużo, sprawiło, że poczuł się senny. Nie przywykł do picia wina.

Zamknął oczy, próbując sobie to wszystko wyobrazić. Rybaków, którzy dawno temu zawarli pakt z morzem; i sam pakt, który nie tylko przetrwał, ale z czasem nawet się umocnił, rozciągając się na całe morze, docierając wszędzie, jak morze.

Wszędzie się wdziera...

Zamlaskał, gdy przypomniał sobie smak wody ze studni obok spalonego domu. Lekki posmak soli; morze, które wszędzie się wdziera. Nie czuł go już, słony smak zastąpiła dojmująca słodycz wina. Nie otwierając oczu spytał:

- Czy ja też przynależę już do Domarö? I też jestem - przeklęty?

- Prawdopodobnie tak. Ale ty sam wiesz to najlepiej.

- Jak mogę to wiedzieć?

- Po prostu wiesz.

Simon pokiwał głową i spojrzał w głąb siebie. Zapustił sondę w czarną, niezgłębioną otchłań, próbując dotrzeć do wiedzy, którą wiedział, że posiada, chociaż nie był w stanie jej wyartykułować. W końcu dotarł do dna, nawet szybciej niż się spodziewał. Wiedza rzeczywiście tam była; nie potrafił dotrzeć do niej wcześniej, bo nie posiadał odpowiednich narzędzi.

A więc należał do morza. On także. Pewnie już od dawna.

- Ostatnio coś się wydarzyło - powiedziała Anna-Greta. - Właśnie dlatego postanowiliśmy się spotkać. Chodzi o Sigrid. O ile nam wiadomo, nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby ktoś - wrócił.

- Przecież ona była martwa.

- Tak, ale mimo wszystko. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

- Co to może znaczyć?

Anna-Greta pogłodziła jego kolano.

- Właśnie nad tym się zastanawialiśmy. Kiedy nam przerwano.

Simon ziewnął. Próbował sformułować jedno z licznych pytań, które wirowały w jego zmęczonej głowie jak garść rzuconych w powietrze serpentyn, zanim jednak zdążył to zrobić, Anna-Greta oświadczyła, że ona też chce go o coś spytać.

- Tak? - skwitował Simon.

Znów zaczął ziewać. Jakby nie mógł przestać. Pomachał ręką, dając jej do zrozumienia, że chciałby móc jakoś temu zaradzić, ale nie jest w stanie.

Anna-Greta podkuliła nogi i objęła je rękami. Simon siedział i mrugał, patrząc, jak okopuje się w swojej małej twierdzy, zdziwiony sprawnością jej ciała. Piętnaście lat temu on też potrafiłby tak zrobić, chociaż wcale nie był tego pewien.

Anna-Greta oparła brodę o kolana i przypatrywała mu się uważnie.

- Ożenisz się ze mną? - spytała po chwili.

Dość niespodziewanie Simon zareagował kolejnym ziewnięciem, co spowodowało, że stracili ze sobą kontakt wzrokowy. Uniósł do góry ręce, jakby chciał powiedzieć: „Żadnych więcej pytań, na dzisiaj wystarczy”.

Po chwili odezwał się:

- Dosyć. Więcej cudów dzisiaj nie zniosę. A do twojego pytania wrócimy jutro.

Czemu się przyglądasz?

Anders się obudził i poczuł jakiś nieznan mu zapach, doszły do niego nieznane mu dźwięki. Zapach okazał się zapachem kawy, a dźwięki dochodziły z kuchni. Ktoś tam chodził, otwierał i zamykał szuflady, otwierał szafki. Chwilę leżał jeszcze w łóżku, udając, że wszystko jest w porządku. Że osoba, która właśnie parzyła w kuchni kawę, była tą, z którą pragnął być, tą, którą kochał. Że czeka go kolejny miły ranek w jego cudownym życiu. Skrzyżował ręce na brzuchu i wyjrzał przez okno. Pochmurne niebo z plamami błękitu, ładny, choć zapewne chłodny dzień w połowie października. Zapach kawy był kuszący, z kuchni dochodziło stukanie zastawy.

Cecilia szykuje śniadanie. Maja siedzi przy kuchennym stole i coś robi. Ja leżą wypłany i wypoczęty - w łóżeczku Mai...

Poniosła go wyobraźnia. Po wczorajszym picciu czuł się nadal brudny, musi zapalić papierosa. Spojrzał na swoje palce. Były lekko żółte, za paznokciami miał czarny brud. Poczł, że język przysechl mu do podniebienia. Wychylił się z łóżka i zobaczył plastikową butelkę wypełnioną w jednej trzeciej rozcieńczonym winem. Podniósł ją i zaczął pić. Potrzebował klina.

A teraz trzeba wracać do rzeczywistości.

Podniecenie z poprzedniego wieczoru znikło. Opowieść Elin o zaginięciu Henrika i Björna podniosła go na duchu, wprawiając go wręcz w stan rozedrgania. W zimnym świetle poranka zrozumiał jednak, że to wcale nie musiało tak wyglądać. To były dwa różne zdarzenia. Nie musiały być ze sobą powiązane, a nawet jeśli, to co z tego? Nic.

Wyrzekał się z łóżka. Poczł pod stopami zimną podłogę, naciągnął zimne skarpety i zimny T-shirt. Poczł rozpoczynający się pulsujący ból głowy w skroniach. Wciągnął dżinsy i poszedł do kuchni.

Elin stawiała właśnie chleb i ser na stole. Spojrzała na niego i powiedziała:

- Dzień dobry.

W promieniach padającego przez kuchenne okno jasnego porannego światła wyglądała jeszcze okropniej. Mruknął coś w odpowiedzi na jej pozdrowienie i wyjął kolejny karton wina ze spiżarni; otworzył go, wypił kilka łyków. Elin przyglądała mu się. Ale było mu wszystko jedno. Ból głowy przybierał na sile. Zmrużył oczy i zaczął masować skronie.

- Jesteś alkoholikiem? - spytała, nie owijając w bawełnę.

Anders roześmiał się niezręcznie i odpowiedział jej kwestią zaczerpniętą z jakiegoś kabaretowego skeczu:

- Ja jestem alkoholikiem, a ty jesteś pijana. Ja w każdej chwili mogę przestać.

Zapanowała cisza, co bardzo mu odpowiadało. Nalał sobie filiżankę kawy i zerknął na zegarek. Było nieco po jedenastej. Spał dłużej niż zwykle. Być może obecność Elin, mimo jej próby ucieczki w środku nocy, wpłynęła na niego uspokajająco i pozwoliła mu spać.

Wypił kilka łyków kawy i zerknął na nią. Ból głowy nieco odpuścił. Zobaczył, jak Elin walczy z kanapką z serem: rwała ją na drobne kawałki, żeby móc włożyć je do ust. Poczł wyrzuty sumienia. Chciał coś powiedzieć, ale o ile jakaś uszczypliwość zawsze znajdzie się pod ręką, to słowa, które mogłyby coś naprawić, są znacznie rzadsze.

Wypił resztkę kawy, postanowił nalać jej filiżankę, ale pomyślał, że pewnie nie jest w stanie pić niczego gorącego. Kawa, którą zaparzyła, była dla niego. Odstawił filiżankę do zlewu i powiedział:

- Dziękuję za kawę. To miło z twojej strony.

Elin pokiwała głową, popijając ostrożnie sok ze szklanki. Rany najwyraźniej nieco się zagoiły, skoro nie potrzebowała już słomki. To, co zrobiła ze swoją twarzą, było niepojęte. Miała prawie trzydzieści sześć lat, tak jak on, a wyglądała jak sześćdziesięcioletnia kobieta, która ma za sobą ciężkie życie.

- Pójdę sprawdzić pocztę - odezwał się.

Wyszedł z kuchni, włożył bluzę HellyHansen, by jak najszybciej uciec od bolesnej samotności, która spowijała Elin jak mgła.

Na zewnątrz, obok werandy, stał lodziarz, okryty foliowym workiem. Anders nie pojmował, jak mógł się go aż tak bardzo wystraszyć. Podniósł figurkę i zaniósł do drewnutni; kopnął ją, aż się przewróciła.

- Już nie jesteś taki odważny, co? - przemawiał do leżącego lodziarza, który nie miał nic na swoją obronę.

Klarowne, zimne powietrze przegnało nocne demony. Spoglądał z zadowoleniem na uzupełniony zapas w drewnutni, wsunął ręce do kieszeni i ruszył w stronę miasteczka. Miał wrażenie, jakby funkcjonował w dwóch światach. W tym jako tako uporządkowanym i stabilnym mógł rąbać drewno i klarownie myśleć i widział przed sobą przyszłość. W tym drugim, nocnym, gubił się w mrocznych labiryntach lęków i wątpliwości; w tym świecie przyszłość nie istniała. Ale przynajmniej walczyć, pomyślał. Kiedy był w Sztokholmie, apatia brała górę. Tak przynajmniej to postrzegał, gdy z rękami obolałymi od pracy zbliżał się do sklepiku. Od czasu do czasu promieniom słońca udawało się przedrzeć przez pokrywę chmur i wtedy morze zaczynało błyszczeć. W nocy pewnie wszystko będzie wyglądało inaczej.

Otworzył starą skrzynkę na listy, którą dostał od Simona. Jak zwykle nie spodziewał się żadnej korespondencji, jednak kiedy ją otworzył, zobaczył wewnątrz żółtą kopertę. Filmy. Wywołane zdjęcia, odbitki.

Ważył kopertę w dłoni. Była cieńsza i lżejsza niż zwykle, ale to dlatego, że zrobił przecież tylko kilka zdjęć. Teraz były w tej kopercie. Ich ostatnie rodzinne zdjęcia. Zanim otworzył kopertę, rozejrzał się. W pobliżu nie było nikogo. Otworzył kopertę.

Nie chciał wracać do domu, bo tam była Elin. A on potrzebował chwili spokoju. Usiadł na schodkach, prowadzących do sklepiku, i wyjął z koperty drugą, mniejszą. Ważył ją w dłoni. Ile zdjęć mogło w niej być? Dziesięć? Jedenaście. Nie pamiętał. Wziął głęboki oddech i chwycił delikatnie plik odbitek.

Moi najdrożsi...

Najpierw było kilka zdjęć domu, a potem ich zdjęcia z wycieczki do latarni. Maja w czerwonym kombinezonie, przedzierająca się przez śnieg, tuż za nią Cecilia. Szła wyprostowana mimo trudnych warunków. Cała trójka przed

latarnią. Stali obok siebie z czerwonymi policzkami. Ręka Cecilii na ramieniu Mai, przytrzymująca ją, bo Maja jak zwykle już chciała biec dalej.

I kolejne zdjęcia Cecilii i Mai przed latarnią, dwóch osób, które kochał najbardziej na świecie, a których już przy nim nie było. W różnych pozycjach, z bliska, z daleka. Zbliżenia twarzy, cała postać na tle zimowego krajobrazu. Maja przy reflektorze.

Anders poczuł gulę w gardle, oddychał z trudem. Jak to możliwe, że ich przy nim nie ma, skoro on siedzi tu i trzyma ich w swoich rękach. Jak to jest możliwe?

Po policzkach zaczęły płynąć mu łzy, miał wrażenie, że jakieś wiertło przebija mu pierś. Odłożył zdjęcia na kolana i przestał się bronić. Objął się rękoma i pomyślał: Gdyby tylko był jakiś sposób...

Gdyby był jakiś sposób, gdyby istniała maszyna, która mogłaby wyjąć człowieka ze zdjęcia. Ożywić te w biegu złapane chwile, uczynić je rzeczywistymi, przywrócić światu. Siedział, kiwając głową; łzy leciały mu po policzkach, a wiertło coraz głębiej wchodziło mu w pierś.

- To powinno być możliwe, to powinno być możliwe - mamrotał do siebie.

Siedział, aż ból się nasycił i łzy obeschły. Znów zaczął się przyglądać zdjęciom, przeciągnął palcami po dwuwymiarowych twarzach, które już nigdy nie będą przy nim.

Dziwne...

Znów sięgnął po zdjęcia. Na żadnym Maja nie patrzyła prosto w obiektyw. Cecilia natomiast na każdym posłusznie spoglądała prosto przed siebie, na jednym nawet uśmiechała się promiennie. Natomiast Maja...

Jej wzrok błędził gdzieś obok, na kilku zdjęciach stała wręcz odwrócona tyłem. Zwrócona lekko w lewo. Na wschód.

Kiedy Anders zaczął dokładniej przyglądać się zdjęciom, zobaczył, że na wszystkich coś wyraźnie przykuwa jej wzrok. Nawet jeśli jej twarz odwrócona była w stronę aparatu, to jej źrenice patrzyły w lewo.

Odłożył zdjęcia i patrzył przed siebie z szeroko otwartymi ustami. Nagle sobie przypomniał. Tam na wzgórzu, przy latarni. Maja chciała mu coś pokazać...

- *Tatusiu, co tam jest?*

- *Gdzie?*

- *Tam. Na lodzie.*

Daleko w oddali widać było rozmyte kontury latarni Gåvasten, skalne wzgórza na szaroniebieskim morzu. Anders ułożył palce wskazujące i kciuki w niewielki romb, żeby lepiej widzieć. Zarys latarni nieco się wyostrzył, nadal jednak nie mógł dostrzec niczego, co mogłoby zwrócić jej uwagę.

Co ona tam zobaczyła?

Wstał ze schodków, włożył zdjęcia do kieszeni i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. Miał zadanie do wykonania.

Anders okrążył odwróconą do góry dnem łódkę, usiłując pragmatycznie ocenić jej stan. Wyglądała marnie, to prawda, ale może będzie mógł ją wykorzystać. Zastanawiał się, czy jeśli wyposaży ją w silnik, zdoła dopłynąć nią do latarni.

Z praktycznego punktu widzenia największy problem stanowił wspornik do mocowania silnika. Metalowa płytką na rufie była zardzewiała; gdyby spróbował umieścić na niej silnik, pewnie wpadłby do morza. Zaczął dokładniej studiować konstrukcję łodzi. Za pomocą kilku bolców może udałoby mu się wzmocnić wspornik kawałkiem drewna. Nie był to skomplikowany zabieg, ale wymagał odwrócenia łodzi. Postanowił iść do domu i poprosić Elin o pomoc.

Musieli się sporo napracować, ale w końcu wspólnymi siłami udało im się unieść łódź, tak żeby Anders miał do niej dostęp także od drugiej strony i mógł złągodzić ewentualne uderzenie, kiedy będą ją wodować.

Elin przyglądała się popękanej ławce, ubytkom wokół dulek i postrzępionym kawałkom plastiku przy relingu.

- Zamierzasz nią pływać?
- Tak, jeśli silnik zaskoczy. A ty jakie masz plany?
- Odnośnie do czego?
- Wszystkiego. Życia. I w ogóle.

Elin zerwała kilka liści piołunu, rozgniotła je między palcami, powąchała i się skrzywiła. Nagle Anders wyczuł za jej plecami jakiś ruch i zobaczył idącego w ich stronę Simona. Elin też go dostrzegła i wyszeptła:

- Nie mów mu, że to jestem ja. Gdyby pytał. Nie mam siły...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo Simon już był przy nich.

- No proszę. Będziesz ją wodował? - spytał, wskazując głową na łódkę.
- Owszem.

Simon odwrócił się do Elin i znieruchomiał. Stał kilka sekund, marszcząc czoło i wpatrując się w jej twarz. Po chwili wyciągnął dłoń, żeby się przywitać.

- Witaj. Jestem Simon.

Nadal wpatrywał się w twarz kobiety, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Anders nie rozumiał jego reakcji. Elin wyglądała rzeczywiście strasznie, ale zachowanie Simona było wręcz niegrzeczne. To było całkowicie do niego niepodobne. Gdyby spotkał kogoś ciężko poparzonego na ulicy, na pewno nie stanąłby i nie gapił się na niego w ten sposób.

Simon chyba to zrozumiał, bo puścił dłoń Elin. Widać też było, że próbuje zmazać z twarzy wyraz zdziwienia.

- A pani jest... - zaczął.

Elin nie zamierzała czekać, aż Simon dokończy zdanie, przeprosiła i wróciła do domu. Simon patrzył za nią chwilę, potem zwrócił się do Andersa.

- To twoja znajoma?
- Tak, ale to długa historia.

Simon pokiwał głową, czekając, aż Anders powie coś więcej. On jednak się nie odzywał, więc w końcu Simon odwrócił wzrok i skoncentrował się na łodzi.

- Na pierwszy rzut oka nie wygląda to dobrze.
- Na wodzie powinna się utrzymać.
- A co z silnikiem?
- Nie wiem. Jeszcze nie próbowałem go włączyć.
- Wiesz, że zawsze możesz pożyczyć moją łódź.
- Dziękuję, ale chcę mieć swoją.

Simon splótł palce i obszedł łódź dokoła, mruczając coś pod nosem. W końcu zatrzymał się obok Andersa i potarł policzek. Widać było, że chce coś powiedzieć. Odchrząknął, ale to najwyraźniej nie pomogło. Po chwili znów odchrząknął.

- Chcę cię o coś spytać.
- Okej.

Simon wziął głęboki wdech. Sprawiał wrażenie zatroskanego.

- A gdybyśmy się pobrali, Anna-Greta i ja. To co byś na to powiedział? - spytał.

Anders wydał z siebie dziwny dźwięk. Przez ułamek sekundy zastanawiał się nawet, co on miał oznaczać, i doszedł do wniosku, że chyba po prostu się rozesił.

- Chcecie się pobrać? Teraz?
- Myślimy o tym.
- A jak to się ma do twojej opowieści o tym, jak to tak naprawdę nic o sobie nie wiemy?

- Była nieco przesadzona.

Anders spojrział w stronę domu Anny-Grety, jakby oczekiwał, że ją tam zobaczy, niespokojnie podsłuchującą ich rozmowę. Nic nie rozumiał.

- Dlaczego pytasz o to mnie? Ty tego chcesz?

Simon zaczął drapać się po głowie. Wyglądał na zażenowanego.

- Chcę, oczywiście, ale jest pewna kwestia. Bo widzisz, wtedy stanę się spadkobiercą. To znaczy, jeśli ona umrze przede mną. Co pewnie jest mało prawdopodobne, ale...

Anders położył dłoń na ramieniu Simona.

- Jestem pewien, że wystarczy podpisać jakiś dokument i sprawa będzie załatwiona. Chciałbym tylko zachować dom. Na reszcie mi nie zależy.

- Więc uważasz, że to jest w porządku? Na pewno?
- Nawet bardzo w porządku. To pierwsza dobra wiadomość od dawna. Anders cofnął się i objął Simona.
- Gratuluję - powiedział. - Najwyższa pora - dodał po chwili.

Kiedy Simon odszedł, Anders długo jeszcze stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się łódce. Czuł jakieś wewnętrzne ciepło, było mu lżej. Chciał, żeby już zawsze tak było.

Kiedy chwilę później ruszył w stronę drewnutni, zauważył, że uczucie to trwa. Zostało w nim także, kiedy zaczął piłować kawałek impregnowanego drewna i nie zniknęło, kiedy zaczął wiercić dziurę w burcie, żeby przykręcić do niej drewniany klocek i wzmocnić metalową płytkę.

Będzie wesele?

Nie spytał Simona, czy planują wziąć prawdziwy ślub w kościele w Nåtén, czy może w domu, bądź po prostu wziąć ślub cywilny. Pewnie sami tego nie wiedzieli, skoro nic jeszcze nie zostało postanowione.

Kto komu się oświadczył?

Nie potrafił sobie tego wyobrazić, ani jak to się odbyło, ani dlaczego. Ale już samo myślenie o tym było przyjemne. Miłe.

Przybił deskę do dwóch sosen i przymocował do niej silnik, podłączony do zbiornika pod ciśnieniem, i wtedy poczuł nagle, że ponury nastrój znów bierze górę. Silnik nie reagował na jego usiłowania. Wpompował nieco benzyny, pociągnął kilka razy za linkę, aż zaboląła go ręka. I nic.

Dlaczego nic mi się nie udaje? Dlaczego nic nie działa tak, jak powinno.

Uniósł pokrywę i zobaczył, że zalał silnik. Benzyna wypłynęła z gaźnika i utworzyła kałużę pod filtrem paliwa. Zaczął działać: skontrolował wszystkie połączenia, oczyścił świecę. Kiedy skończył, zdążyło już zrobić się ciemno, pociągnął za linkę, spocił się i nic.

Oparł się impulsowi, żeby zdjąć silnik z deski, zanieść na pomost i wrzucić do morza. Ponownie zdjął pokrywę, spryskał silnik preparatem do usuwania wilgoci, zamknął pokrywę i zostawił.

Pytania bardziej i mniej istotne

Kiedy Simon szedł wieczorem do domu Anny-Grety, zauważył, że w kuchni palą się świeczki. Poczul ssanie w żołądku, był zdenerwowany. Mimo że przecież był na to przygotowany - pod kurtką miał wyjściowy sweter - to czuł, że czeka go coś, z czym nie bardzo wiedział, jak sobie radzić.

Patrząc wstecz na swoje życie, uznał, że właściwie nigdy nie był zmuszony podejmować prawdziwych decyzji. Różne rzeczy po prostu się działy, zwykle

szedł za ciosem. Być może wyjątkiem był jego związek ze Spiritusem, ale i on został w pewnym sensie na nim wymuszony. Po prostu nie mógł postąpić inaczej.

Czyżby?

A może było tak, że nigdy dotąd nie musiał odpowiadać na tak jednoznacznie stawiane pytania, nie musiał dokonywać wyboru. Oczywiście podejmował różne decyzje i dokonywał różnych wyborów, ale działo się to, jeśli można tak powiedzieć, bardziej skrycie. Spokojnie, bez hałasu, bez świeczek i ssania w żołądku.

Weźmy na przykład posiadanie dzieci. On i Anna-Greta nie mogli mieć dzieci, prawdopodobnie z jego winy. Nigdy jednak właściwie do tego nie dążyli. Jeśli wynikiem ich miłości byłoby dziecko, z pewnością przyjęliby je z radością, ale dziecko się nie pojawiło, a oni się z tym pogodzili. Nie poddali się żadnym badaniom, nigdy też nie rozważali adopcji.

Po prostu się nie złożyło.

Te słowa dobrze określały podejście do życia, charakterystyczne dla wielu mieszkańców Domarö, także dla Simona. Był to rodzaj fatalizmu. Zebranie w Domu Misyjnym pozwoliło mu zrozumieć, jakie były korzenie tej postawy. Różne rzeczy się dzieją, tak się po prostu składa. Albo się nie dzieją, po prostu się nie składa. I nikt nic na to nie poradzi.

Teraz jednak był w drodze do pięknie oświetlonego domu, by odpowiedzieć na pytanie, wymagające zajęcia stanowiska. Musi się zdecydować: tak albo nie. Simon czuł, że jego odświętny sweter uwiera go pod szyją. Żałował, że nie ma żadnego prezentu, żadnego kwiatka, czegoś, co mógłby trzymać w ręku.

Łącząc jak zwykle swoje miejskie obyczaje z tutejszymi, najpierw zapukał do drzwi i dopiero potem wszedł. Powiesił kurtkę w przedpokoju, przeciągnął palcem po wycięciu swetra i ruszył do kuchni.

Doszedł do kuchenki i się zatrzymał. Uroczystość, której się domyślał, okazała się rzeczywistością. Na świeżym białym obrusie stał świecznik i butelka wina. Anna-Greta miała na sobie swoją niebieską suknię z wycięciem pod szyją i chińskim haftem. Simon nie widział jej w niej z dziesięć lat, co najmniej, stał więc i patrzył.

To była ona, kobieta, którą...

kobieta, którą...

kobieta.

Ona. Jego drugie ja. Czyż nie jest piękna, elegancka? Owszem, jest. Płomień świec sprawiał, że jedwabny materiał błyszczał i migotał, obejmując swoim blaskiem jej twarz, która zamiast wydać się o dwadzieścia lat młodsza, zdawała się w ogóle bez wieku. To była po prostu ona, Anna-Greta, zawsze taka sama, niezależnie od upływu czasu.

Simon przełknął ślinę i nagle zaczął mieć problem z rękoma. Powinien coś w nich mieć, wykonać jakiś ruch, coś jej wręczyć. A tak po prostu wskazał w stronę stołu w pokoju i powiedział:

- Jak ładnie wszystko przygotowałaś.

Anna-Greta wzruszyła ramionami.

- Czasem trzeba się postarać - powiedziała i część uroczystego nastroju przysła.

Simon usiadł po drugiej stronie stołu i wyciągnął do niej swoją pustą dłoń. Anna-Greta chwyciła ją.

- Tak - powiedział. - To jasne.

- Co jest jasne? - spytała Anna-Greta, wychylając się do przodu.

- Że chcę się z tobą ożenić. Jasne, że chcę.

Anna-Greta zamknęła oczy i się roześmiała. Przytaknęła. Simon przełknął ślinę i ścisnął jej dłoń.

A więc tak, pomyślał. Tak będzie.

Wolną ręką sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął pudełko od zapalek i położył na stole między nimi.

- Wiesz, muszę ci coś powiedzieć - oznajmił.

Letnicy do domu

Anders i Elin spędzili wieczór, pijąc wino i trochę rozmawiając. Elin rozpałała ogień w kominku. Siedziała w dużym pokoju, podczas gdy Anders siedział w kuchni i wpatrywał się w podkładkę z koralikami, usiłując dostrzec na niej jakiś wzór. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Cisza, która była do zaakceptowania, kiedy był w domu sam, stawała się wyzwaniem, gdy była tu Elin.

Spod jednej z szafek kuchennych wyciągnął magnetofon rodziców i foliową torbę z kasetami. Były zgrane, brudne, z odciskami palców. Głównie były to nagrania listy przebojów, z Alfem Robertsonem i Lassem Lönndahlem. Po chwili wsłuchiwanie się w mrukliwy głos Alfa Robertsona nagle wpadła mu w ręce kasetka tak zniszczona, że nadruk na niej był właściwie nieczytelny. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo doskonale wiedział, co było na niej napisane. „Kalle wykręca numer”.

Przy magnetofonie nie było kabla, podniecony zaczął szukać go w skrzynce z przyborami elektrycznymi. Wiele razy słuchał tej kasetki wspólnie z ojcem. Jako dziecko uważał prowokujące telefony Kallego za szalenie zabawne, ciekaw był, jak zareaguje na nie teraz.

Znalazł kabel, podłączył magnetofon i włożył kasetę z nagraniem taśmą. Rozległ się sygnał połączenia telefonicznego, Anders wzmacnił głośność; kasetka była tak stara i zniszczona, że nawet dźwięk był zużyty.

- Dzień dobry, mówi inżynier Måstersson...

Anders siedział z uchem przy magnetofonie, słuchając, jak Kalle dopytuje się o szczegóły konstrukcji ulti marki Svea, które najwyraźniej zamierzał kupić. Niczego nieświadoma kobieta po drugiej stronie słuchawki bardzo się starała odpowiedzieć na wszystkie pytania, które stawały się coraz bardziej natarczywe.

Anders roześmiał się, kiedy Kalle zaczął się dopytywać, czy ule były wyposażone w agregaty prądotwórcze, podobne do tych mocowanych na łódkach; śmiał się też, gdy Kalle zaczął opowiadać o zakopanych w ziemi ulach, które podobno widział w Niemczech. A kiedy pod koniec rozmowy wyjechał z całkowicie bezsensownym kawałkiem o małej jolce, która zamarzyła zimą, a kiedy przyszła wiosna, to nagle wypłynęła na powierzchnię, Anders zaczął tak rechotać, że nie usłyszał końca opowieści i musiał cofnąć taśmę.

Rozmowa się skończyła i Anders wcisnął przycisk stopu. Od śmiechu bolał go brzuch, miał łzy w oczach. Ale to był dobry ból i dobre łzy. Wytarł oczy i dołączył sobie wina. Kiedy znów miał włączyć taśmę, żeby posłuchać kolejnej rozmowy, do kuchni weszła Elin.

- Czego słuchasz?
- Rozmów Kallego. Nie bawią cię?
- Nieszczególnie.

Jej odpowiedź wywołała w nim irytację, ale powstrzymał się od złośliwości.

- Pójdę się położyć - powiedziała Elin, ziewając.

- Jasne - odpowiedział, a po chwili dodał: - Ja jeszcze chwilę tu posiedzę.

Nie bój się.

Elin poszła do sypialni i Anders został w kuchni sam na sam z Kallem. Uniósł do góry kieliszek, jakby wznosił toast, zapalił papierosa i słuchał dalej. Tym razem Kalle najpierw poszukiwał pracy w sekcji rytmicznej pewnej orkiestry, potem dowiadywał się o pozwolenie na ścięcie drzewa, a na koniec zapragnął kupić używaną gitarę elektryczną. Anders nie zaśmiewał się już tak jak za pierwszym razem, ale chichotał niemal cały czas.

Kiedy taśma się skończyła, w kuchni zapadła cisza i poczuł się bardziej samotny niż wcześniej. Łagodny, miły głos Kallego dotrzymywał mu towarzystwa. Anders wyjął kasetę i trzymał ją w palcach. Została nagrana w 1965 roku.

To jest kultura.

Humor polegał niemal wyłącznie na grze słów i nie był złośliwy. W sposobie, w jaki Kalle traktował swoje ofiary, nie było niczego złego czy cynicznego. Był po prostu zabawnym facetem, platającym drobne figle spokojnym członkiem bogatego społeczeństwa.

Anders przypomniał sobie programy satyryczne, które w ostatnich latach oglądał w telewizji i się rozplakał. Płakał, bo nie było już programów Kallego,

i w ogóle wszystko było gorsze niż kiedyś. Po chwili jednak wstał, opłukał twarz zimną wodą i spróbował wziąć się w garść.

Przeستاń. Nie wolno ci się tak zachowywać.

Wytarł twarz ścierką i poczuł się oczyszczony także od wewnątrz. Płakał i śmiał się na przemian i był tak zmęczony, że czuł, że nareszcie będzie mógł zasnąć. Tak więc wieczór w końcu okazał się całkiem dobry. W drodze do sypialni pogładził kasetę dłonią.

Elin też musiała słyszeć nagranie, bo drzwi do sypialni były uchylone, jednak głos Kallego najwyraźniej podziałał na nią usypiająco. Spała, oddychając głęboko, Anders nie musiał więc silić się na rozmowę z nią, za co był wdzięczny. Rozebrał się i położył w łóżeczku Mai. Leżał tak chwilę, przyglądając się tobołkowi na dużym łóżku, czyli Elin.

Co mam z nią zrobić?

Niewiele mógł zrobić. Nie podejmie za nią decyzji. Powie jej, że jeszcze kilka dni może tu zostać, ale potem musi znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Nie chciał lokatora, chciał być sam ze swoimi duchami. I z Kallem.

Uśmiechnął się. Powinna być jeszcze jedna taśma. Ciekawe, co się z nią stało? *Przygody czarodzieja El Zou-Zou*. Historia mały, która podbierała ludziom potrzebne im narzędzia...

Rozmyślając o małpie, pogrążył się we śnie.

Obudził się, czując na sobie zimny podmuch wiatru, zamrugał i zerknął na budzik, stojący na podłodze obok łóżka. Wpół do pierwszej. Spał może godzinę.

Noc. Czy kiedyś jeszcze będę mógł przespać całą noc?

Przez otwarte drzwi do sypialni zobaczył puste łóżko. Opadł na poduszkę i nasłuchiwał. O ile z domu nie dochodziły go żadne dźwięki, to z zewnątrz tak, i to wyraźnie, jakby drzwi frontowe były otwarte. Zapomniał zabarykadować drzwi od sypialni i taki był skutek.

Ziewając, naciągnął na siebie ubranie i wyszedł do kuchni. Rzeczywiście, drzwi zewnętrzne były otwarte i dom był wyziębiony. Termometr w kuchennym oknie wskazywał plus cztery stopnie. Ubranie Elin leżało porządnie złożone na krześle w sypialni, musiała więc wyjść na dwór w samej bieliźnie.

Poszła do domu.

Poprzedniej nocy właśnie tam się wybierała, więc pewnie rzeczywiście tam poszła. Na przelaj do cypla były może dwa kilometry. Anders potarł twarz dłońmi, był zły.

Do diabła! Niech to diabli!

Nie było rady. Włożył ciepły sweter i kurtkę, wrzucił rzeczy Elin do foliowej torby, naciągnął na głowę wełnianą czapkę i ruszył w drogę.

Niewykluczone, że Elin wyszła niedawno, więc może zdąży ją dogonić gdzieś po drodze.

Kręciło mu się w głowie, wczorajsze pijaństwo zaczynało pewnie przechodzić w porannego kaca. Światło latarki tańczyło na ścieżce, poczuł lekkie mdłości. Kiedy doszedł do rozwidlenia dróg, przysłała mu do głowy pewna myśl i skręcił w stronę domu Simona.

Rower Simona stał oparty o rosnącą przy drodze brzozę. Nie był zabezpieczony. Był to stary, wojskowy rower, na którego pewnie nawet najbardziej zdesperowany złodziej by się nie połaszczył. Poza tym Simon mówił mu, że już go nie używa i może mu go dać.

Więc Anders wziął go. Zdziwiony zauważył, że światło w domu Simona było zgaszone, paliło się natomiast u Anny-Grety. I wtedy sobie przypomniał.

Pewnie siedzą iplanują.

Myśl ta ucieszyła go. Chłodne jesienne powietrze zdążyło go już nieco otrzeźwić. Powiesił torbę z ubraniami Elin na kierownicy, wskoczył na siodelko i zaczął pedałować. Użył latarki jako lampki do roweru, ponieważ ta, która była doczepiona do ramy, okazała się zepsuta. Była co prawda szansa, że ktoś już zatrzymał Elin, ale niewielka. Tylko latem można było nocą spotkać ludzi.

Minął sklepik i Dom Misyjny, nie napotkawszy chodzącej we śnie Elin. Kiedy znów wjechał na leśną dróżkę, poczuł, że się poci, brakowało mu tchu, a w ustach miał smak kwaśnego dymu. Powiódł latarką po zamazanych konturach pni drzew i przygnębienie wróciło.

Byłem szczęśliwy w późnej pijanej godzinie, teraz znów pogrążyłem się w smutku...

The Smiths. Starał się przypomnieć sobie, kiedy to ostatnio w jego myślach pojawiły się słowa ich piosenek, uruchamiając łańcuszek skojarzeń wstecz do przeszłości. Pedałował dalej i dotarł do drogi, prowadzącej na cypel, po jakichś pięćdziesięciu metrach jego oczom ukazał się widok, który sprawił, że zahamował tak gwałtownie, że niemal wpadł w poślizg na zwirowej ścieżce.

Próbował opanować rower, nie dał jednak rady i stracił równowagę. Rower przewrócił się z hałasem, a kiedy kierownica uderzyła o ziemię, rozległ się dźwięk dzwonka. Prawym kolanem dotknął ziemi, ale siła upadku była tak duża, że zaczął się turlać po ziemi, zatrzymał się dopiero na płocie. Z trudem się pozbierał i usiadł, próbując zrozumieć, co tak naprawdę ukazało się jego oczom.

Niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę.

Henrik i Björn przyglądali mu się spokojnie, kiedy tak siedział jak zwierzę schwyte w krąg światła. Elin szła wzdłuż ściany pobliskiego domu.

Anders nie znał go. Był to po prostu któryś z licznych letnich domów w okolicy. Elin najwyraźniej niosła coś ciężkiego. Nie widział jednak co, bo światło nie

docierało tak daleko.

Poczuł w ustach smak krwi, rozejrzał się za latarką. Leżała u jego stóp i nadal świeciła. Skierował ją na Henrika, który wzdrygnął się, gdy trafił go ostry promień światła. A potem zaczął się śmiać.

- Niestety. Tak łatwo się nie wywiniesz, Anders.

Coś w rękę Henrika odbijało światło, które oślepiło Andersa. Nóż. Jego ostrze było tak długie, że sięgało niemal do ziemi, kiedy Henrik, trzymając rączkę między palcem wskazującym a serdecznym, pozwolił mu zwisać luźno wzdłuż swojego ciała. Gdyby nie kształt ostrza, można by było pomyśleć, że to maczeta.

Anders wstał. Spodnie miał rozerwane, prawe kolano pulsowało z bólu. Już się nie zastanawiał, czy wzrok go nie myli. Henrik i Björn stali przed nim. I wyglądali dokładnie jak wtedy, lata temu. Anders splunął śliną z krwią.

- Co wy tu robicie? - spytał.

Henrik spojrzął na Björna, który po chwili odpowiedział:

- Podpalamy dyskotekę.

Henrik uniósł do góry kciuk. Anders skierował latarkę na dom. Elin rzeczywiście była w samej bieliźnie, wąski pasek stanika bielił się na jej plecach. W rękach trzymała kanister; polewała benzyną narożnik domu.

Dlaczego...

Myśli kłębiły się w jego głowie, czuł czerwony mętlik. Jedyne, co był w stanie z niego wydobyć, to właśnie to pytanie: Dlaczego?

Henrik wyduł wargi i zmarszczył brwi, jakby był zgorszony niewiedzą Andersa.

- Chyba wiesz - powiedział.

- Nie.

- Odpuść sobie.

Henrik pomachał nożem i zwrócił się do Björna.

- Strasznie się na nim zawiodłem, cholera. A ty?

Björn ściągnął usta i powiedział:

- Okropnie się zawiodłem.

Najwyraźniej prowadzili między sobą jakąś grę, w której Anders nie miał ochoty uczestniczyć. Już to, że stali przed nim jak żywi i rozmawiali, było dla niego za dużo. Postanowił wrócić do powodu, dla którego tu się zjawił.

- A co to ma wspólnego z Elin? - spytał.

Björn pokiwał głową.

- Naprawdę nic nie rozumiesz? - spytał. - My kierujemy ciałem czy ciało kieruje nami? Nie wiem.

Henrik pomachał nożem w stronę Elin.

- Chodź, staruszko - zawołał.

Elin stanęła między nimi. Zdawała się tak samo nieobecna jak poprzedniej nocy, jej wzrok był równie pusty. Chłód sprawił, że jej skóra była biała, i trudno było powiedzieć, gdzie zaczynała się jej bielizna.

- Daj mi znać, jeśli się okaże, że już słyszałeś tę historię - powiedział Henrik i przeciągnął ręką po piersiach i brzuchu Elin.

- Pamiętam, jak kazali mi leżeć na ziemi, twierdząc, że jeszcze nie zasłużyłem sobie na to, żeby wstać - ciągnął dalej.

Anders rozejrział się za torbą z rzeczami Elin. Henrik mówił dalej.

- Ból, ból był tak straszny, że nawet powściągliwy buddyjski mnich zacząłby rozważać masowe zabójstwo.

Foliowa torba leżała obok płotu, kilka metrów od miejsca, gdzie Anders wyładował po upadku z roweru. Niezależnie od tego, czy Henrik i Björn byli duchami, czy może byli szaleni, czy też jedno i drugie, to ta sytuacja nie mogła dłużej trwać. Jeszcze chwila i Elin zamarznie na śmierć.

Anders wyciągnął z torby jej sweter i podszedł bliżej. Mimo nierealności całej sytuacji i noża, który Henrik trzymał w ręku, Anders się nie bał. Podobnie jak podczas spotkania po latach dawnej klasy, kiedy po pewnym czasie odżywają dawne role, zaczął teraz postrzegać Henrika i Björna jako dwóch zabawnych chłopców, którzy po prostu nie mogą budzić szacunku. Podał Elin sweter.

- Masz. Włóż go.

Elin się nie poruszyła, wzrok nadal miała pusty. Kiedy Anders narzucił jej go na ramiona, Henrik zrobił krok do przodu i stanął między nimi. Spojrzał Andersowi w oczy i powiedział:

- Nic się nie zmieniło. Nadal cię kocham. Tyle że nieco mniej niż dawniej.

Wypowiadając ostatnie słowo, powiódł ręką łukiem po nogach Andersa, jakby smagnął go batem. Anders spojrzał w dół i zobaczył, że jego dżinsy są przecięte na wysokości ud, dwa cięcia na szerokość dłoni. Przez ułamek sekundy widział nawet różowe ciało, ale zaraz potem pokazała się krew. Wypełniła cięcie, ciemne plamy zabarwiły materiał.

Zanim do Andersa dotarło, że został raniony nożem, jego brodę trafiła metalowa kula, która stanowiła zakończenie rękojeści noża. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, zachwiał się, cofnął i upadł, uderzając ramieniem o skrzynię motoroweru. Adrenalina w jego ciele buzowała, zaczął się trząść.

Henrik stał z nożem skierowanym w jego stronę.

- Morze cię pochłonie. Nóż cię potnie - powiedział.

Björn roześmiał się, jakby usłyszał świetny dowcip. Henrik, nie spuszczać wzroku z Andersa, wyciągnął dłoń i przybił piątkę z Björnem.

- Nieźle - powiedział.

Anders podciągnął kolana, po udach spływała mu ciepła krew, łaskotała go lekko w pachwiny i zbierała się pod pośladkami. Miał wrażenie, że w głowie biją mu kościelne dzwony, był zbyt słaby, żeby się podnieść. Leżał lekko wsparty o jedno koło motoroweru i drżał, a Henrik dalej go pouczał.

- Weźmy Elin - powiedział, obejmując ją ramieniem. - Była fajną laską, prawda? Bardzo się cenila. Kiedy tylko ktoś zbyt blisko się do niej zbliżył, zaraz zaczynała krzyczeć. Teraz to się zmieniło.

Niezdolny do żadnego ruchu Anders uniósł jedynie rękę, jakby chciał nakażać mu, że powinien przestać. Siedział, wsparty o motorower, i patrzył, jak Henrik chwytając ostrze noża i wkłada metalową rękojeść pod brzeg majtek Elin. Rzucił okiem na Andersa, pokiwał głową i wsunął nóż w jej łono.

Elin nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nóż sterczał z jej łona jak metalowy penis. Kiedy Anders uniósł wzrok i spojrzął na jej twarz, zobaczył, że się śmieje. Cała jej twarz była wielkim, ohydny uśmiechem. Anders poczuł, że wszystko przewraca mu się w żołądku i nagle z jego ust trysnęły wymiociny, obryzgując żwir dokoła niego.

Otarł usta i zaczerpnął powietrza. Z jego obolałego, piekącego gardła wydarł się krzyk:

- Elin!

Powieki Elin zadrżały, spojrziała na niego. Jej wzrok znów stał się przytomny, a kiedy jej spojrzenie padło na jej łono, zaczęła krzyczeć. Henrik parsknął, chwycił ostrze noża i wyciągnął je. Björn chwycił ją od tyłu i trzymał mocno, podczas gdy Henrik wodził nożem po jej skórze. Po chwili zwrócił się do Andersa.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie - powiedział.

Ciało Andersa zaczęło powoli odzyskiwać swoją dawną siłę. Jeszcze chwila i będzie mógł wstać. Broń, gdzie jest jakaś broń, zaczął się zastanawiać. A głośno spytał:

- Na jakie pytanie?

- O dyskotekę - odpowiedział Björn tonem, jakby zwracał się do głupiego ucznia. - Dlaczego chcemy spalić dyskotekę?

- Nie wiem.

Palik od płotu. Ten, który się poluzował.

Elin wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki, wijąc się w uścisku Björna. Henrik chwycił ją ręką za kark, położył dłoń na jej ustach, po czym ponownie odwrócił się do Andersa. Skinął głową i tym razem przeciągnął nożem po jej brzuchu.

Stłumiony krzyk wydostał się spod dłoni Henrika. Elin zaczęła machać nogami, próbując się uwolnić, na jednej z poziomych fałd na jej brzuchu pojawiła się struzka krwi. Anders podniósł się niepewnie i zobaczył, że Henrik grozi mu nożem.

- Spokojnie - powiedział. - Spokojnie. Mogę ci podpowiedzieć.

Anders nie był pewien, czy jego, ciało posłuchałoby go, gdyby postanowił teraz podbiec do plotu, stał więc w miejscu, próbując zebrać siły.

- Z tego samego powodu, z którego powiesimy dyskdżokeja - odezwał się Björn.

Henrik przytaknął, zdjął rękę z ust Elin, chwycił ją za pierś, uszczypnął, pociągnął za brodawkę i przyłożył do niej ostrze noża. Elin zwisała bezwładnie w rękach Björna, zbyt przerażona, żeby krzyczeć.

- Ostatnia szansa. Dlaczego chcemy powiesić dyskdżokeja i puścić z dymem dyskotekę? - spytał Henrik, przeciągając nożem centymetr nad porozciąganym, czerwonym od blizn brzuchem Elin.

- No, Anders, zastanów się, na pewno wiesz.

Anders widział, że Henrik trzyma nóż tuż nad brzuchem Elin, i nawet nie próbował pójść po palik. Ucisnął skronie dłońmi. „Powiesić dyskdżokeja, puścić z dymem dyskotekę”. Coś zaczęło mu się kojarzyć, zmienił kolejność zdań i przetłumaczył je na angielski: *Bum down teh disco. Hang the... blessed? DJ.*

Kiedy Henrik pochylił głowę nad nożem, by rozstrzygnąć, czy lepiej ciąć, czy kroić, w tym momencie Anders zawołał:

- Bo muzyka, którą gra, nic nie mówi o moim życiu!

Henrik zamarł. Puścił brodawkę Elin i opuścił nóż. Wykonał gest, jakby chciał bić brawo.

- No, proszę! Wcale nie było takie trudne, prawda? A tytuł albumu?

Anders zignorował pytanie.

- Dlaczego to robicie?

Henrik zastanawiał się kilka sekund. Potem pokręcił głową i zwrócił się do Björna, który cały czas trzymał Elin.

- Hm... Bo jestem człowiekiem, i potrzebuję miłości, tak jak wszyscy? - powiedział.

- Nie. Próbuj jeszcze raz - powiedział Henrik.

Björn zmarszczył czoło, ale po chwili się rozpromienił.

- Bo wiemy, że to już koniec, ale nadal trwamy, bo nie wiemy, co innego moglibyśmy robić.

Henrik przytaknął.

- Smutne, ale prawdziwe - stwierdził.

Rany, które Anders miał na udach, nie były tak głębokie, jak mu się najpierw zdawało. Krew przestała już lecieć, ale mokre spodnie zrobiły się zimne.

- Możemy już z tym skończyć? - spytał. - Puście Elin.

Henrik wyglądał na zdziwionego.

- To niemożliwe. Musimy ją utopić.

Elin znów zaczęła krzyczeć, kiedy Henrik i Björn zaczęli ciągnąć ją w stronę wody. Jej bosa stopy zostawiały ślady na żwirze. Anders podszedł chwiejnym krokiem do płotu i zaczął się mocować z poluzowanym palikiem i w końcu udało mu się go wyrwać.

Kiedy się odwrócił, jakieś dwadzieścia metrów od siebie zobaczył Elin. Do brzegu zostało jej jeszcze pewnie niecałe czterdzieści. Czuł, że adrenalina bierze górę, czyniąc go nieczułym na słabości ciała. Dogonił ich. Kiedy był zaledwie kilka metrów od nich, krzyknął:

- Zostawcie ją!

Henrik odwrócił się i Anders uderzył go w głowę metrowym palikiem. Chłopak podniósł rękę, chcąc się chronić, i kij trafił go w łokieć. Uderzenie było silne, ale Anders nie poczuł żadnego oporu, jakby trafił w wypełnionego wodą grzyba. Ręka Henrika wygięła się i strumień wody trafił Andersa w twarz.

Henrik wyjął palik z rąk Andersa i odrzucił na ziemię.

- Na ciebie nie przyszła jeszcze pora. Jeszcze nie umrzesz. Więc daj spokój.

Anders stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, a Henrik i Björn ciągnęli Elin w stronę morza. Nagle odwrócił się i podbiegł do ich motoroweru, szukając czegoś w kieszeni kurtki. Żeby tylko znalazł, żeby tylko...

W porządku. Okazało się, że ma w kieszeni zarówno papierosy, jak i zapalki. Podbiegł do motoroweru, odkręcił zakrętkę baku i krzyknął:

- Hej! Puśćcie ją! Bo jak nie, to... - zapalił zapalkę i zbliżył do baku.

Zatrzymali się. Anders potrząsnął pudełkiem, było w nim jeszcze kilka zapalek. Nie miał żadnego planu, nie bardzo wiedział, co dalej robić, jedynie że musi ich powstrzymać. To mu się na chwilę udało. Ale co dalej? Będzie stał i zapalał kolejne zapalki, aż mu ich zabraknie? A co potem?

Poza tym zaraz go z pewnością przejrzą. Zrozumieją, że nie chce wylecieć w powietrze z ich motorowerem, żeby ratować Elin. Spojrzał na do połowy wypaloną zapalkę.

Poza tym...

Poza tym to i tak na nic. Nie pamiętał już kto i w jakich okolicznościach wrzucił kiedyś zapalkę do baku z benzyną, tak dla draki, żeby zrobić wrażenie. Zapalka po prostu zgasła. Benzyna potrzebuje powietrza, żeby się palić. Może to był nawet Henrik, pewnie tego pierwszego lata, kiedy dostał motorower i był królem.

Możliwe, że tak właśnie było, bo najwyraźniej niezbyt się przejęli jego groźbą i dalej ciągnęli wrzeszczącą w niebogłosy Elin.

- *Powietrze...*

Anders chwycił za brzeg skrzyni i przewrócił motorower, który upadł i oparł się na kierownicy, z baku zaczęła się lać benzyna. Podniósł głowę i zobaczył,

że Henrik i Björn dotarli już z Elin do brzegu. Nic miał czasu do stracenia. Odsunął się kilka metrów od motoroweru, do miejsca, do którego zdążyła już dotrzeć benzyna, torując sobie drogę w żwirze; zapalił nową zapalniczkę i rzucił, jednocześnie odskakując w bok.

Z ziemi niczym ściana wyrósł żółto-niebieski płomień.

- Patrzcie! - krzyknął Anders z całych sił.

Przez płomienie, które już zaczynały lizać drewnianą skrzynię motoroweru, widział, jak Henrik i Björn puszczają Elin i ruszają biegiem w jego stronę.

Wiedział, że zrobił wszystko, żeby dać Elin szansę ucieczki, teraz wszystko zależało już od niej. Pobiegł do roweru, wskoczył, usłyszał trzask pękającego materiału i nie zwracając na nic uwagi, zaczął z całych sił pedałowac; ruszył przed siebie leśną dróżką. Nawet się nie odwrócił, żeby sprawdzić, czy ktoś za nim podąża.

Wróg wody

Nogi Andersa pedałowaly, jakby nie były powiązane z resztą jego ciała, tylko działały z własnej woli. Ciemność wokół niego była nieprzenikniona, ale nawet nie miał czasu pomyśleć, że w każdej chwili może wpaść do rowu. Być może właśnie dlatego nic mu się nie stało. Zdał się na instynkt i bezpiecznie pokonał całą drogę przez las.

Pod sam koniec drogowiskiem były mu słabe światła widoczne z miasteczka i wtedy właśnie po raz pierwszy się zachwiał i niewiele brakowało, a byłby upadł. Udało mu się jednak zahamować, wystawiając nogę, zanim rower się przewrócił. Odwrócił się i spojrział za siebie. Nie miał wrażenia, że ktoś go goni.

Znów przyspieszył, przejechał przez miasteczko, w świetle miejskich latarni czuł się nieco bezpieczniejszy. Dopiero kiedy minął schronisko, zaczął znów myśleć. Chmura potwornych, niepojętych obrazów wypełniła mu czaszkę; miał wrażenie, że ma czterdzieści stopni gorączki. Ciało utraciło własną wolę, najchętniej by upadł. Na środku drogi, w ciemnościach. Chciał odpocząć.

Jednak udało mu się zmobilizować i dotrzeć do miejsca, gdzie droga się rozwidlała, by tam skręcić w lewo. Ścieżka, prowadząca do domu Anny-Grety miała lekki spadek, pozwolił więc, żeby rower toczył się siłą bezwładności, dając odpocząć nogom. Kiedy skręcił w alejkę prowadzącą do domu, zobaczył, że w kuchennym oknie nadal pali się światło.

Puścił rower. Pozwolił, by upadł na trawę, i ciężkim krokiem, na nogach jak z łoświu, ruszył do drzwi. Był zlany potem, miał dreszcze. Za pierwszym razem nie trafił w klamkę, dopiero za drugim chwycił ją i otworzył drzwi.

Simon i Anna-Greta siedzieli przy kuchennym stole, pochyleni nad mnóstwem rozrzuconych na blacie fotografii. Simon spostrzegł Andersa i

rozpromienił się, ale niemal natychmiast w jego oczach pojawiło się przerażenie.

- Anders, co ci się stało?

Anders oparł się o kuchenkę i wskazał ręką w stronę Kattudden, z jego ust nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Simon i Anna-Greta natychmiast do niego podbiegli, ale on zdążył już osunąć się bezwładnie na pokrywający podłogę szmaciany dywanik. Leżał na plecach i głęboko oddychał.

- Muszę tylko chwilę odpocząć - powiedział.

Simon zapalił lampę, przyniósł wodę i poduszkę, którą przy pomocy Anny-Grety podłożył mu pod głowę. Anders poczuł, że dreszcze ustępują i pewnie mógłby już wstać, ale wołał chwilę jeszcze poleżeć na podłodze, pozwalając im skakać wokół siebie. Cudownie było choć przez chwilę pozwolić komuś innemu troszczyć się o wszystko.

Simon i Anna-Greta ściągnęli z niego spodnie i obmyli mu rany na nogach, opatrzyli je i założyli opatrunek. Simon podał mu dwie tabletki przeciwbólowe i wodę do popicia. Po kilku minutach ich troskliwych zabiegów, Anders wstał i usiadł na kuchennym krześle. Próbując zebrać myśli, spojrzął na rozsypane na stole zdjęcia.

Były stare fotografie, bardzo stare. Zdjęcia domów, gospodarstw, pracujących ludzi, kilka portretów. Wiele z nich było pożółkłych; fotografowani ludzie mieli często skupiony, niemal zawzięty wyraz twarzy, charakterystyczny dla zdjęć z dawnych czasów, jakby sam akt fotografowania wymagał jakiegoś szczególnego wysiłku.

Na blacie dokładnie przed nim leżała fotografia, która wywołała w nim zdumienie. Zrobiona była na zewnątrz i wywołana na matowym kartonie. Na samej górze widniały płomienie żółtych plamek, jakby ktoś spryskał zdjęcie uryną. Fotografia przedstawiała kobietę w wieku około sześćdziesięciu lat i została zrobiona z dość dużej odległości. Kobieta stała przed nędznym, niewielkim domem gdzieś na cyplu.

- Kto to jest? - spytał Anders.

Anna-Greta stanęła za nim i zaczęła mu tłumaczyć.

- Kobieta ta to Elsa Person, kuzynka ojca Holgera. Mieszkała w tym domu. Na Kattudden. Do momentu, kiedy ojciec Holgera wszystko sprzedał. Wtedy ją wyrzucono, a dom rozebrano. Później pojawili się letnicy.

- Te zdjęcia robił twój prapradziadek - powiedział Simon. - Torgny. Sfotografował wszystkie domy na wyspie, tak przynajmniej twierdzi Anna-Greta. Czasem siedzę i je oglądam. Dlatego ją rozpoznałem.

Kanciasta broda, płaski nos, głęboko osadzone oczy i wąskie usta. Kobieta na zdjęciu sprzed lat wyglądała dokładnie jak Elin teraz. Czy raczej to Elin była nieco nieudanym odzwierciedleniem kobiety na zdjęciu. Nie wszystkie szczegóły

były już na miejscu, ale tak jak tania plastikowa maska mogła przedstawić George'a Busha, tak widać było, że...

...że Elin ma przedstawiać właśnie tę kobietę.

Anders wskazał na dom, przed którym stała kobieta. Rozpoznawał otoczenie. Widział cypel Kattudden w tle, ale mimo to spytał:

- Ten dom. Był w miejscu, gdzie teraz stoi dom Elin, prawda? To znaczy stał, do wczoraj - poprawił się.

Simon pokiwał głową. Anders siedział z otwartymi ustami i patrzył na fotografię.

- Niech zgadnę - powiedział. - Utonęła?

Anna-Greta wzięła zdjęcie znękaney Elsy, przyjrzała się mu i westchnęła ciężko.

- Cóż, to stało się jeszcze przed moim przyjściem na świat, ale Torgny twierdził, że zawsze groziła, że się utopi, jeśli zabiorą jej dom. Potem go zabrali. A ona znikła.

Jeśli zebrać wszystkie wrażenia, których Anders doznał od momentu powrotu na wyspę, w jednym naczyniu, to ta ostatnia kropla informacji była tą, która przeppełniła czarę.

Z jego ust zaczął nagle płynąć potok słów. Opowiedział wszystko. Od pierwszego przecucia obecności Mai, do coraz silniejszego przekonania, że ona naprawdę tam jest. Opowiedział o podkładce, na której powoli przybywa koralików, o wywołanych zdjęciach i literach, które zostawiły na stole swój ślad. Opowiedział o tym, jak pierwszy raz usłyszał w nocy stukanie do drzwi i o wrażeniu, że ktoś go obserwuje, i o dzisiejszym, wieczornym spotkaniu z Henrikiem i Björnem. Nareszcie mógł wyrzucić z siebie wszystko.

Simon i Anna-Greta słuchali uważnie, nie przerywając mu pytaniami. Kiedy skończył, babcia wstała, wyciągnęła krzesło, weszła na nie i sięgnęła do najwyższej kuchennej szafki. Zdjęła z niej butelkę i postawiła na stole. Simon najwyraźniej też nie wiedział, co w niej się znajduje, bo patrzył na Annę-Gretę pytająco.

Ciecz w butelce wyglądała jak rodzaj marynaty. W roztworze pływały jakieś gałązki i listki. Butelka była jedynie w połowie pełna. Anna-Greta wyjęła kieliszek do wódki i naląła do niego mętnego płynu.

- Co to takiego? - spytał Anders.

- Piolun - wyjaśniła Anna-Greta. - Podobno chroni.

- Przed czym?

- Przed wszystkim, co pochodzi z morza.

Anders zerkał to na Simona, to na Annę-Gretę.

- Czy to znaczy, że mi wierzycie? - spytał.

- Teraz już tak. Chociaż o istnieniu tego nie wiedziałem - powiedział Simon, wskazując na płyn w kieliszku.

Anders powąchał zawartość kieliszka i zadowolony stwierdził, że jest to alkohol. Jednak w jego oparach było też coś oleistego, cierpkiego, jakby nieco zgniłego.

- Czy piołun nie jest trujący?
- Owszem, ale nie w niewielkich ilościach - wyjaśniła Anna-Greta.

Oczywiście nie przypuszczał, żeby babcia próbował go otruć, ale nigdy dotąd nie miał do czynienia z czymś, co właściwie było kwintesencją trucizny.

Piołun...

Podniósł kieliszek do ust i w jego mózgu pojawiły się nagle najróżniejsze skojarzenia

Piołun rosnący nad brzegiem... Znalaziona w szopie plastikowa butelka, na której siedział ptak... piołun... Czarnobyl... i rzeki zostaną zatrute... piołun, wróg wody...

Sprawę przesądziło nagle przemożne pragnienie alkoholu. Jednym haustem wypił zawartość kieliszka.

Smak był przykry, cierpki, miał wrażenie, że kurczy mu się język, a alkohol wędruje prosto do mózgu. Kiedy stawiał na stole opróżniony kieliszek, zrobiło mu się czarno przed oczami. Język miał sztywny, niemal sparalizowany.

- Dobre to nie było - udało mu się wymamrotać.

Poczuł w żyłach dziwne gorąco; docierało do koniuszków palców, potem zwracało, robiąc kolejną rundę w jego ciele. Usta miał wykrzywione goryczą, ale mimo to spytał:

- Mogę jeszcze?

Anna-Greta napełniła mu ponownie kieliszek, po czym zakorkowała butelkę i odstawiła do szafy. Anders wypił, a ponieważ podniebienie miał nadal znieczulone, to alkohol nie smakował już tak okropnie jak za pierwszym razem. Odstawił kieliszek, zaczął mlaskać językiem i doszedł do wniosku, że smak, jaki w ustach zostawił piołun, był wręcz przyjemny.

Oparł się o stół i wstał.

- Pożyczysz mi jakieś spodnie? Muszę jechać do domu i sprawdzić, czy Elin wróciła. Jeśli jej tam nie znajdę, to prawdę mówiąc, nie wiem, co mam robić.

Simon poszedł sprawdzić do „graciarni”, niewielkiego pomieszczenia, gdzie składowano ubrania i różne drobiazgi, pozostawione przez poprzednie pokolenia. Anders i Anna-Greta zostali sami w kuchni. Anders zerkał tęsknie na kieliszek, ale odstawiając butelkę do szafy, Anna-Greta dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma na co liczyć.

- Chroni przed morzem - powtórzył Anders i spytał: - Co to właściwie znaczy?

- Porozmawiamy o tym innym razem.
- Czyli kiedy?

Anna-Greta nie odpowiedziała. Anders przyglądał się zdjęciu Elsy. Wyglądała na zagniewaną, jakby była zła, może zawiedziona. O ile ludzie na innych zdjęciach wydawali się po prostu zmęczeni fotografowaniem, ona sprawiała wrażenie obrażonej. Jej gniewne spojrzenie dotarło do niego po siedemdziesięciu latach i poruszyło go.

- Elsa zawsze był samotna? - spytał.

- Nie. Miała męża, znacznie od siebie starszego. Miał chyba na imię Anton. Chorował na serce, w końcu dostał zawału i umarł.

- Na morzu, kiedy wypłynął na połów?

- Tak. Skąd wiesz?

- To ona znalazła go martwego w łodzi. Złowione ryby żyły, a on był martwy.

- Tego nie wiem, ale wiem na pewno, że to ona go znalazła. Kto ci o tym opowiedział?

- Elin.

Simon wszedł do kuchni, trzymając w ręku parę obszernych spodni, które wyglądały, jakby zostały pobrane z wojskowego magazynu. Podał je Andersowi razem z paskiem.

- Nie wiem, czy będą dobre, ale tylko takie znalazłem.

Anders włożył na siebie luźne spodnie i zaciągnął pasek. Docenił obszerne nogawki, bo materiał nie urażał jego poranionych ud. Simon stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i mu się przyglądał.

- Naprawdę chcesz już iść? Dobrze się czujesz? Może pójdę z tobą?

Anders zacisnął usta.

- Nie sądzę, żebyś mógł mi pomóc, poza tym teraz jestem już chroniony, prawda? - spytał, wskazując głową w stronę kuchennej szafki.

- Tego nie wiem. Nie sądzę też, żeby Anna-Greta to wiedziała.

- Rzeczywiście nie wiem - potwierdziła babcia. - Ale ludzie tak mówią.

- Pójdę sprawdzić, jak sprawy się mają - powiedział Anders. - Zadzwoń, niezależnie od tego, czy ona tam jest, czy nie. I wtedy się zastanowimy.

Wziął od Simona latarkę, podciągnął spodnie, skrzywił się, kiedy zaboląły go pokaleczone uda. W drodze do drzwi zatrzymał się i odwrócił. Nagle coś sobie przypomniał. Właściwie to wiedział to już od dłuższego czasu, ale dopiero teraz stało się to jasne i oczywiste.

- Duchy - powiedział. - Duchy istnieją.

Skinął głową Simonowi i Annie-Grecie i wyszedł w ciemności.

Zanim włączył latarkę, powiódł wzrokiem po nocnym niebie. Czyżby nad Kattudden chmury miały lekki odcień różu? Chyba tak, ale nie zamierzał się tym przejmować. Mimo to zawrócił, wszedł do kuchni i obojętnym głosem oznajmił:

- Na cyplu chyba znów się pali.

Jeśli Simon czy Anna-Greta chcieli się tym zainteresować, proszę bardzo. On nie miał siły. Miał za sobą ciężką noc, a dochodziła już trzecia. Miał nadzieję, że kiedy wróci do domu, Elin będzie spała w łóżku i okaże się, że wszystko, co się wydarzyło, było jedynie snem, o którym będzie można po prostu zapomnieć.

Zanim wszedł do domu, zjrzał do szopy z narzędziami i wziął siekiere. Być może okaże się równie bezużyteczna jak palik, którego wcześniej próbował użyć, ale na wszelki wypadek chciał mieć coś w rękę. Doszedł do wniosku, że ostre narzędzie może okazać się bardziej przydatne.

W momencie kiedy naciskał klamkę, w miasteczku rozległ się alarm przeciwpożarowy. Drzwi były zamknięte. Zastanowiło go to. Wychodząc, na pewno ich nie zamknął. Poza tym w kuchni było zgaszone światło. Kiedy wychodził, było zapalone.

- Elin! - zawołał przez zamknięte drzwi. - Elin, jesteś tam!

Drzwi były stare i kiepskie, a cierpliwe działania kolejnych zim doprowadziły do tego, że się wypaczyły i z trudem dawały się otworzyć. Anders wsunął ostrze siekiery w szeroką szparę nad zamkiem i nacisnął. Drzwi ustąpiły, skrzypiąc. Anders wszedł do przedpokoju i ostrożnie zawołał:

- Elin? Elin, to tylko ja.

Zdjął buty i zamknął za sobą spaczoną drzwi. Mimo zmęczenia, które zdawało się zbyt wielkie, by jego wątłe ciało mogło je pomieścić, strach znów dał o sobie znać. Skradając się korytarzem, Anders czuł przyływ adrenaliny. Ścisnął mocniej siekiere.

Oby nic więcej już się nie wydarzyło, pomyślał.

W świetle latarki zwykle kuchenne meble wyglądały groźnie, rzucały cienie i przybierały dziwne kształty.

- Elin - wyszeptał. - Elin, jesteś tu?

Podłoga w kuchni trzeszczała pod jego nogami; zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wewnątrz domu alarm nie był tak wyraźny, ale i tak dominował nad innymi dźwiękami, które mogłyby świadczyć o obecności drugiego człowieka.

Wszedł do dużego pokoju, w którym zostało jeszcze trochę ciepła, promieniującego od starego kaflowego pieca, typowego dla okolic Roslagen. Anders powiódł dokoła latarką, nie znajdując niczego niezwykłego. Zauważył jedynie, że drzwi do sypialni są zamknięte. Obliznął wargi. Język miał nadal sztywny od piołunu, którego smak wtargnął tak głęboko w podniebienie, że bał się, że już nigdy go się nie pozbędzie.

Nacisnął klamkę, ale drzwi były zabarykadowane od wewnątrz. Co prawda dość niechlujnie, bo krzesło, którym były zastawione, przewróciło się, jak tylko nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

Elin siedziała na łóżku, oparta o wezgielowie. Znad koca, którym się owinęła, wystawała jej tylko głowa. Leżące w nogach prześcieradło było poplamione krwią i grudkami gliny.

- Elin?

Jej przerażone oczy wpatrywały się w niego. Bał się wejść dalej, czy nawet zapalić światło, bo nie wiedział, jak zareaguje. Nagle dotarło do niego, że trzyma w rękę siekiere; postawił ją obok drzwi. Poświecił latarką po pokoju, wsłuchując się w alarm przeciwpożarowy. Spojrzał na Elin i przeszedł go dreszcz.

Ona nie żyje. Zabili ją, a potem przynieśli tutaj.

- Elin? - wyszeptał. - Elin, to ja, Anders. Słyszysz mnie?

Kobieta skinęła głową. Ledwie zauważalnie. Anders wykonał gest ręką, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że ma tu zostać, i się odwrócił. Zza pleców dobiegł go głos Elin:

- Nie zostawiaj mnie.

- Muszę zadzwonić. Zaraz wrócę.

Wyszedł do kuchni, zapalił lampę i wybrał numer Anny-Grety. Przekazał jej, że Elin wróciła do domu i że zajmie się wszystkim, jak tylko trochę się prześpi. Anna-Greta rozłączyła się, ale on nadal stał z słuchawką w rękę, wpatrzony w leżącą na stole starą, zniszczoną kasetę.

Czy mówiąc o muzyce, którą wszędzie słyszymy, można powiedzieć, że jest to muzyka radosna?

Chciał do kogoś zadzwonić, poprosić o pomoc. Chciał zadzwonić do Kallego. Usiąść przy stole ze słuchawką przy uchu i słuchać jego łagodnego głosu z lekkim akcentem charakterystycznym dla okolic Göteborga, który był dla jego duszy jak balsam, porozmawiać z nim o wszystkim i o niczym, pośmiać się.

Czy to możliwe, żeby takie rzeczy w ogóle się działy? I to w świecie, w którym istniał także Kalle?

Odłożył słuchawkę i poczuł dziwne ukłucie w piersi. To nie za Kallem tęsknił, tylko za swoim ojcem. Kalle był jedynie jego prostszym i łatwiejszym substytutem. Ponieważ przy jego audycjach spędzili tak wiele zabawnych chwil, zaczął utożsamiać Kallego z ojcem, unikając przy okazji wszelkich niewygodnych skojarzeń.

Tak naprawdę to chciałby teraz móc porozmawiać z ojcem. Tęsknota za nim, do której wcześniej nie chciał się przyznać, chwyciła go za gardło, wbiła swoje szpony w jego serce. Zrobił krok do tyłu i wrócił do sypialni.

Elin siedziała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Ostrożnie usiadł obok niej na brzegu łóżka.

- Mam zapalić lampę?

Elin pokręciła przecząco głową. Światło, które padało z kuchni, wystarczało,

żeby mógł przyjrzeć się dokładniej jej twarzy. Teraz jeszcze bardziej przypominała Elbę. Elin miała wyraźnie wystającą brodę. Teraz jej broda zniknęła, niemal zlała się z szyją, jak u Elsy.

Jak to możliwe? Musieli połamać jej kości.

Jego wzrok powędrował w stronę śladów krwi i gliny na prześcieradle w nogach łóżka.

- Muszę cię... opatrzyć.

Elin mocniej owinęła się kocem.

- Nie, nie chcę.

Anders nie miał siły się upierać. Czuł, jakby miał łańcuch kotwiczny założony wokół szyi. Cały czas coś ciągnęło jego głowę w dół i marzył jedynie o jednym: żeby móc położyć się spać. Od czasu do czasu przed oczami pokazywały mu się białe plamy; zastanawiał się, czy były oznaką zmęczenia, czy też może piołun zatrzał jego wyczerpane ciało.

- Coś jest ze mną nie w porządku - wyszeptała Elin. - Jestem szalona, powinnam się zabić.

Anders siedział z rękami opartymi o kolana i wpatrywał się w drzwi szafy. Nie wiedział, co powinien zrobić: powiedzieć jej czy nie. W końcu przypomniał sobie prostą sentencję: „Lepiej jest wiedzieć”. Słyszał ją wypowiedaną przy okazji różnych chorób, nie był więc pewien, czy teraz też można ją zastosować, nie miał jednak siły się nad tym zastanawiać.

- Elin - zaczął. - Jakaś siła zmusza cię do tego wszystkiego. Do operacji. Do tego, co robisz nocami. Wpływa na twoje sny. Bo one nie są twoje.

W ciszy, która nastąpiła, Anders odnotował, że alarm ucichł, nie wiedział tylko, jak dawno temu. Teraz słyszał oddech Elin. I pulsowanie własnej zatrutej krwi w uszach.

- Jeśli nie są moje, to czyje? - spytała Elin.

- Kogoś innego. Innej kobiety. Tej, która jest w tobie.

- Jak to możliwe?

- Nie wiem. Ale to ona mieszkała tu na cyplu, zanim powstał wasz dom. Teraz chce się zemścić i wykorzystuje do tego ciebie.

Anders zamilkł. Wahał się chwilę, ale w końcu zdecydował się powiedzieć:

- Ona wyglądała dokładnie jak ty teraz. To ona zmusza cię, żebyś poprzez operacje stała się nią.

Gdyby Anders miał jeszcze siłę się dziwić, to z pewnością teraz by to zrobił. Bo Elin odetchnęła z ulgą. Wydała z siebie głębokie westchnienie i jej ciało się zapadło, odprężyło się.

- Wiedziałam. Właściwie to zawsze to wiedziałam - powiedziała, kiwając powoli głową.

Lepiej jest wiedzieć. Lepiej jest...

Anders musiał zasnąć na kilka sekund, bo obudził się dopiero, gdy przechylił się na bok i niemal byłby się na nią przewrócił.

- Idź, połóż się spać - odezwała się Elin cicho.

Anders wstał, zrobił krok i padł na łóżeczko Mai. Oparł głowę o poduszkę, sięgnął po kołdrę i naciągnął ją na siebie. Zасыpiając, usłyszał jeszcze, jak Elin mówi:

- Dziękuję. Dziękuję, że poszedłeś za mną. Że mi pomogłeś.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył wydać z siebie żadnego dźwięku. Zasnął.

Jakieś dziecko krzyczało. Długi, żaloszny dźwięk.

Krzyczało to złe określenie, żaloszny dźwięk to też złe określenie. I dziecko to złe określenie. Rozległ się przeciągły dźwięk, wyrażający przerażenie tak ogromne, jakie jedynie może wydać z siebie istota ludzka, gdy wciśnięta gdzieś w róg, widzi, jak nieubłagane zbliża się do niej coś, czego boi się najbardziej na świecie. Nie używa wtedy języka, nie używa warg, tylko wypuszcza całe powietrze z płuc, które zostaje dodatkowo odbite przez zaciśnięte gardło, wydając z siebie ten pierwotny dźwięk, który tuż przed nadejściem śmierci wprawia w drżenie klatkę piersiową.

Anders obudził się i jak przez mgłę zobaczył, że w pokoju nadal jest ciemno, a dźwięk dochodzi z łóżka. Był tak przerażający, że sam się przestraszył. Skulił się i mocniej naciągnął na siebie kołdrę. Z gardła Elin nadal wydobywał się ten dźwięk. Coś musiało ją śmiertelnie przestraszyć.

Nagle na werandzie dały się słyszeć kroki i rozległo się pukanie do drzwi. A właściwie trzy mocne uderzenia. Przeciągły krzyk Elin przybrał jeszcze na sile, wprawiając ciało Andersa w drżenie, ogarniając go całego, aż zaczął się trząść.

Resztki rozsądku skierowały jego wzrok na stojącą obok drzwi siekiere, kazały mu ją chwycić, ale ślepy strach nie pozwalał mu opuścić łóżka.

Lodziarz. Nadchodzi lodziarz.

Zewnętrzne drzwi zostały wylamane; Anders, dzwoniąc zębami, naciągnął kołdrę na głowę. Podciągnął nogi, tak żeby żadna część jego ciała nie wystawała spod kołdry.

Siekiera! Weź siekiere!

Z korytarza dobiegł go odgłos ciężkich kroków, ale nadal nie był w stanie się ruszyć. Odkrył nieco kołdrę i zerknął na siekiere, chciał po nią sięgnąć, lecz ciało nie było posłuszne jego woli. Przerażająca pieśń Elin znów stała się głośniejsza. Anders poczuł dziwne ciepło na pośladkach i rozumiał, że ze strachu narobił pod siebie.

Kroki rozbrzmiewały teraz w dużym pokoju. Rozległ się głos Henrika:

- Halo! Jest tu ktoś?

Zrób coś! Zrób coś!

Anders zamknął oczy i zasłonił dłońmi uszy. Zapadła cisza. Nawet kroki jakby ucichły. Spod koca dobywał się odór kału. Mimo że wcale tego nie chciał, otworzył oczy i wyjrzał przez szparę w kółdrze.

Henrik i Björn stali w pokoju. Henrik trzymał w ręku nóż, Björn niósł wiadro, białe plastikowe wiadro, pełne wody.

Ja śnię. To nie dzieje się naprawdę. Gdyby to się działo naprawdę, z pewnością bym coś zrobił.

Żeby się obudzić, Anders uszczypnął się w rękę jak dziecko, ale Henrik i Björn nie zniknęli. Stali zwrócenii w stronę dużego łóżka, skąd nadal dochodziła pełna strachu pieśń Elin.

Anders leżał i patrzył, jak ściągają Elin z łóżka, mówiąc:

- Przykro mi, staruszko, ale tak dłużej być nie może. Groby czekają na piękne dziewczyny.

Anders zaczął gryźć knykcie, gdy zobaczył, że ciągną ją po podłodze, a potem zmuszają, żeby włożyła głowę do plastikowego wiadra. Björn unieruchomił jej nogi, a Henrik chwycił ją za kark i trzymał w stalowym uchwycie. Wcisnął jej głowę do wiadra, aż woda zaczęła pryskać na boki. Elin wierzgała nogami, Björn chwycił ją za kostki i przycisnął do podłogi.

Z wiadra dobiegł go stłumiony krzyk, na powierzchni pojawiły się pęcherzyki powietrza, woda rozlała się po podłodze. Po chwili ciało Elin wygięło się w łuk, zaraz potem nastąpiło odprężenie, Elin upadła na podłogę i już się nie poruszyła. Henrik owinał jej włosy wokół nadgarstków i wyjął głowę z wiadra. Spojrzał na jej twarz i powiedział z tonem ubolewania w głosie:

- Gdybym mógł spędzić kwadrans w twoim towarzystwie... odmówiłbym - powiedział i puścił ją. Głowa Elin upadła na podłogę. Rozległ się mokry dźwięk.

Nagle, jak na dany przez kogoś znak, odwrócili się w stronę małego łóżeczka. Anders skulił się jeszcze bardziej, dalej gryząc knykcie.

- Proszę - zawodził. - Proszę, nie róbcie mi krzywdy. Jestem taki mały.

Henrik podszedł i zerwał z niego kółdrę.

- Dzisiejsza noc będzie twoją ostatnią.

Uniósł brwi, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony, i strzelił palcami.

- *Suffer little children*. Cierpiecie małe dzieci. Idealnie pasuje, prawda?

Chwycił Andersa za ramię, ale natychmiast cofnął rękę, jakby ktoś go uderzył. Grymas niesmaku wykrzywił mu twarz.

- Co się stało? - spytał Björn. - Zesrał się?

Henrik patrzył na Andersa, który leżał z jedyną bronią, jaka mu została: błagającymi oczami. Henrik spojrzał w nie głęboko, jakby czegoś w nich szukał.

Björn podszedł do łóżka i postawił wiadro. W wiadrze coś było, coś, co sprawiało, że woda w nim falowała. Coś, czego nie można było zobaczyć.

- Schował się? - spytał Björn, patrząc na Henrika.

Henrik pokiwał głową i kucnął obok łóżka. Anders, drżąc, odetchnął głęboko. Powietrze z jego ust trafiło Henrika w twarz. Wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować. Nie patrząc na Andersa, powiedział:

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Co teraz? - spytał Björn.

- Nie możemy nic zrobić - odpowiedział Henrik. - Nie w tej chwili - dodał.

Zerknął do wiadra i to, co w nim zobaczył, najwyraźniej go zadowoliło. W wiadrze coś pluskało, wirowało. Henrik podniósł się i pochylił nad Andersem, wyraźnie nad nim górując. Po chwili wyszeptał mu do ucha:

- Nie wolno ci tu być, Maju. Za jakiś czas zjawimy się po ciebie.

Björn chwycił wiadro i obaj opuścili pokój. Anders słyszał ich kroki w dużym pokoju, potem w przedpokoju, po chwil zaś dotarł do niego trzask zamykanych drzwi. Nadal leżał nieruchomo, patrząc na bezwładne ciało Elin, na mokre pasma jej włosów, rozłożone wokół głowy jak czarne promienie słońca.

To, że zaczął się bać lodziarza. Że zaczął mówić wierszyki, że zaczął układać koraliki, że koniecznie chciał spać w jej łóżeczku i czytać jej komiksy. Że był taki mały.

Nareszcie zrozumiał, co to znaczyło:

Nieś mnie.

Opętany

*Dopóki łódź płynie
Dopóki serce bije
Dopóki słońce skrzy się
Na morza błękitach*

Evert Taube *Dopóki łódź płynie*

Ciała w wodzie

*Uważaj na morze, uważaj na morze
Morze jest ogromne, morze jest ogromne...*

Jedyne wyjście

Świt nadchodził, skradając się zza wysp na wschodzie, między nękanymi wiatrem sosnami na Botskär pojawił się promień słońca. Anders stał na samym końcu pomostu Simona i, mrużąc oczy, patrzył na zbliżające się światło. Marzył, i chociaż miał na sobie wiatrówkę i szalik, nie potrafił przestać się trząść. Wzdrygnął się, kiedy Simon, który stał za jego plecami, upuścił łańcuch na dno łodzi. Próbował znaleźć w sobie jakieś ciepłe miejsce, znaleźć w sobie Maję. Ale w jego wnętrzu nic nie było; miał wrażenie, jakby składał się jedynie z samej skóry. Odwrócił się.

Łańcuch leżał na dziobie plastikowej łodzi Simona. Na rufie leżała Elin. Nie pamiętał, dlaczego postanowił owinąć ją w dwa duże czarne foliowe worki i okręcić taśmą klejącą. Żałował, że to zrobił, wolałaby patrzeć w jej puste oczy, niż przyglądać się przypominającemu człowieka tobołkowi na pokładzie. Tobolek przerażał go tak, że nie był w stanie się do niego zbliżyć.

- Naprawdę musimy to zrobić?

- Tak - odpowiedział Simon. - Mam wrażenie, że jest to jedyne rozwiązanie.

Z nogami pobrudzonymi na wpół zaschniętym kałem Anders dowlókl się do telefonu i zadzwonił do Simona, który przyjechał, położył ścierkę na twarzy Elin i pomógł Andersowi się umyć. Potem siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w kuchni i patrzyli przez okno, aż na niebie ukazała się pojedyncza różowa chmurka, dając znak, że rozpoczął się nowy dzień.

Mieli dwa wyjścia.

Nikt nie uwierzy, że dwaj martwi nastoletni chłopcy przyszli do domu Andersa i utopili Elin w wiadrze wody. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że po pożarze Elin znikła.

Musieliby wymyślić jakąś historię, mając świadomość, że zostanie ona dokładnie sprawdzona podczas przesłuchania, bo sprawa dotyczyła przecież morderstwa. To było jedno wyjście. Tylko czy Anders wytrwa przy wcześniej uzgodnionej wersji zdarzeń, gdy policja zacznie przypierać go do muru? Prawdopodobnie nie.

Pozostawało więc drugie wyjście. Pozbyć się ciała Elin i udawać, że w ogóle nic się nie wydarzyło.

Simon przedyskutował sprawę sam ze sobą i doszedł do wniosku, że drugie rozwiązanie, aczkolwiek też złe, było jednak lepsze.

Anders wziął latarkę i poszedł do szopy po foliowe worki. Kiedy wszedł do środka, poczuł nagle, że nogi się pod nim uginają. W piersi miał kulę bowlingową. Wielką, czarną kulę winy. Nie zrobił nic, gdy oni mordowali Elin. Leżał w łóżku i się przyglądał.

- To nie moja wina - wyszeptał.

Powtórz to jeszcze raz, dwa razy, tysiąc razy. Może w końcu w to uwierzysz.

Oddychał z trudem, kula bowlingową uciskała mu płuca. Trzymając sztywnymi palcami latarkę, omiótł światłem ściany szopy i zobaczył plastikową butelkę.

Piołun...

Odkręcił zakrętkę, zbliżył butelkę do ust i wypił dwa łyki. Czuł, że wszystkie jego myśli zostały wypalone. Jakie to były myśli, tego nie wiedział. Może chodziło głównie o kulę w piersi, a może o niego samego. Czuł, jak płyn przelatuje mu przez gardło i czekał aż ogarną go płomienie, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Piołun w butelce nie był rozpuszczony w spirytusie, tylko w innym płynie. Ciecz, która dostała się do żołądka Andersa miała gęstą, śliską konsystencję. Jak ropa. Dopiero kiedy przełknął drugi łyk, poczuł jej smak, który jednak nie eksplodował mu w ustach jak wtedy, u Anny-Grety, tylko pełził po jego wnętrzu, paraliżując mu język, podniebienie, gardło, piersi. Kucnął, czując, jak przewracają się w nim wszystkie wnętrzności. Stracił czucie w palcach, przestał oddychać.

Skurcz. Skurcz płuc. Zaraz umrę.

Zatrucie. Jednak szok, który sprawia, że ciało natychmiast wyrzuca z siebie toksyny, nie nastąpił. Anders miał wrażenie, że coś dostało się do jego wnętrza i teraz powoli zaczynało zapuszczać w nim korzenie; wiedział, że gdy przeniknie do jego krwiobiegu, zabije go.

Przyłożył dłonie do skroni, bo w jego mózgu następowały wyładowania elektryczne. Zaczerpnął powietrza i odkrył, że jednak jest w stanie oddychać. Płuca nie zostały sparaliżowane, to on po prostu wstrzymał oddech. Teraz kiedy powietrze znów zaczęło docierać do płuc, odblokowały się jego kubki smakowe

i poczuł w ustach piołun. Smak był wstrętny; właściwie nie był to smak, tylko stan organizmu. Anders oparł się o ławkę i spróbował stanąć.

Jestem piołunem.

Gula w piersi zniknęła. Otorbiona nieznośnym smakiem piołunu skurczyła się i zaniknęła. Anders zamrugał, raz, drugi, próbując skupić na czymś wzrok. Nagle jego oczy zatrzymały się na kawałku sznura, którego jeden koniec się rozplatał i zaczął się pruć. Poświecił na niego latarką i stwierdził, że widzi każdą, najmniejszą nitkę. Było ich łącznie pięćdziesiąt siedem.

Pięćdziesiąt siedem. Tyle lat miał jego ojciec, kiedy zmarł. Tyle śrubek i nakrętek było dołączonych do szafy z IKEA, którą razem z Cecilia kupili do sypialni. Tyle centymetrów długości miała Maja, kiedy skończyła dwa miesiące. Tak długi był...

Zarysy wszystkich przedmiotów, na które padało światło latarki, były zamazane jednocześnie aż nazbyt wyraźnie. Nie widział samych rzeczy, ale wiedział, gdzie się znajdują. Wyciągnął rękę w stronę rolki z foliowymi workami, zostało ich jeszcze osiem: osiem worków, które łącznie mogły pomieścić tysiąc sześćset litrów.

Tysiąc sześćset litrów rzeczy. Liści, gałęzi, zabawek, puszek po farbie, narzędzi, adapterów, okularów, szyszek, mikrofalówek. Tysiąc sześćset litrów rzeczy...

Sięgnął po rolkę i nagle odnalazł w swojej głowie spokojne miejsce, kamień w rwącym potoku, na którym mógł stanąć i chwilę się zastanowić, podczas gdy wszystko przepływało obok niego i przez niego.

Weź worki. Idź do domu.

Zrobił tak. Świat nadal się rozpadał, przepływał obok niego, przez niego, a on stał na kamieniu i obserwował, jak jego ręce pomagają Simonowi ubrać Elin w plastikowy worek, szykując ją do jej ostatniej drogi. Po chwili to dziwne uczucie znikło i Anders poczuł, że marznie. Skulił się na dziobie, jak najdalej od plastikowego tobołka. Simon natomiast musiał trzymać nogi pod udami Elin, inaczej nie zmieściłby się w łodzi.

Że też on jest w stanie to znieść.

Usta Simona były zaciśnięte, czoło miał zmarszczone, był wyraźnie skupiony. Robił to, co powinien. Anders rozumiał, że winien być mu wdzięczny, ale jego ciało nie mieściło takich uczuć. Świat rozpruł się, jak sznur w szopie.

Simon włączył silnik, wypłynęli w morze, zostawiając za sobą Domarö. Opłynęli północny cypel i wzięli kurs na przesmyk między Kattholmen a Ledinge. Wiał słaby wiatr, Anders siedział wpatrzony w horyzont, a wschodzące słońce grzało jego policzek.

Jakieś dziesięć metrów przed dziobem łodzi z wody z krzykiem poderwała

się mewa. Anders śledził ją wzrokiem; patrzył, jak mija słońce i kieruje się w stronę Gåvasten.

Tata...

Ile poranków spędził Anders, leżąc na dziobie łodzi ojca i patrząc, jak wstaje słońce; płynąc w stronę zarzuconych sieci? Czterdzieści? Pięćdziesiąt?

Tata...

Dawno nie wspominał ojca. Widok podrywającej się do lotu mewy i wschodzące słońce, sprawiły, że wszystko wróciło. Także tamten raz.

Tamten raz...

Półw śledzi

Tego lata, kiedy Anders kończył dwanaście lat, zaczął oszczędzać na sterowaną falami radiowymi łódź. Widział taką na półce w sklepie z zabawkami w Norrtälje. Dał się uwieść ślicznemu rysunkowi na pudełku. Biała łódź prująca fale, zostawiająca na morzu niebieski ślad. Kosztowała trzysta pięćdziesiąt koron; postanowił, że kupi ją przed końcem lata.

Nie było to niemożliwe. Razem z ojcem zarzucali sieci dwa razy w tygodniu, a złowione ryby Anders sprzedawał potem przed sklepikiem. Po sześć koron za kilogram, połowa był dla niego. Obliczył, że łódź kosztowała tyle co sto siedemnaście kilogramów śledzi. I jeszcze zostałyby mu korona.

Nie można powiedzieć, żeby Anders był jak wuj Sknerus, który oszczędzał każdą zarobioną koronę, jednak dość szybko udało mu się zbierać sto dziewięćdziesiąt koron. Każdy półw przynosił mu od trzydziestu do czterdziestu koron, ale pod koniec czerwca śledzi zaczęło ubywać. Anders musiałby jeszcze sprzedać dobre pięćdziesiąt kilogramów, a na to raczej się nie zanosilo, bo zostały im zaledwie dwa połowy.

Była to pierwsza rzecz, o której Anders myślał każdego dnia zaraz po przebudzeniu: pięćdziesiąt kilogramów.

Wstawał z łóżka i z dolnej szuflady komody wyciągał swoje rybackie ubranie. Mama umarłaby już od samego zapachu. Dżinsy i sweter były całe w łuskach i w ikrze i pachniały mniej więcej tak jak kawałki suszonej ryby, które rzuca się psom.

Na końcu wkładał czapkę. Z nadrukiem reklamowym stoczni w Nåtén, gdzie pracował jego ojciec. Czapka też była oblepiona łuskami i ikrą, i gdyby trafiła do psiego pyska, z pewnością zostałaby pożarta w całości.

Anders lubił swoje ubranie rybaka. Kiedy je wkładał, przestawał być pierwszym lepszym Andersem, stawał się Andersem rybakiem. Nie było to jednak doświadczenie, którym mógłby się podzielić ze swoimi kolegami z miasteczka, i

jak tylko wracał z połowu, natychmiast się przebierał. Jednak rano, kiedy wszyscy jeszcze spali, był synkiem taty, małym rybakim, i to mu odpowiadało.

Był piękny ranek, Anders i ojciec siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w kuchni, pijąc czekoladę i kawę i zerkając w stronę zatoki, gdzie woda była idealnie spokojna. Reflektor latarni na Gåvasten odbijał pierwsze promienie słońca. Po niebie sunęły pojedyncze cienkie chmurki, jak delikatny ląbedzi puch po stawie.

Jedli każdy swój kawałek chleba i pili, każdy swoje. Potem włożyli każdy swoją kamizelkę ratunkową i ruszyli do łodzi. Ojciec zaczął uruchamiać silnik, zwykle udawało mu się to już za pierwszym razem. Na początku lata Anders poprosił ojca, żeby pozwolił mu spróbować, ale siła odrzutu okazała się tak potężna, że się przestraszył. Uruchamianie silnika zostawił więc tacie.

Piękna pogoda. Silnik zapalił za pierwszym razem. Dobry znak. Pięćdziesiąt kilogramów.

Wiedział, że tyle dzisiaj nie złowią, bo to zdarzyło się tylko raz, poprzedniego lata, i na początku czerwca. Ale trzydzieści? Tak, trzydzieści tak. Od dzisiaj postanowił odkładać każdą koronę.

Opłynęli północny cypel, Norrudden, i znaleźli się na wodach zatoki koło Ledinge, od wschodu wiała lekka bryza. Nisko stojące słońce właśnie uwolniło się od wierzchołków świerków na Ryssholmen i zadowolone oświetlało teraz swoimi promieniami lekko pomarszczoną powierzchnię morza. Anders siedział przy relingu i ciągnął palcami po wodzie. Temperatura wody pozwalała już na kąpiel, wynosiła gdzieś między siedemnaście a dziewiętnaście stopni, w zależności od kierunku wiatru.

Podszedł do dziobu i jak długi położył się na brzuchu na gorącym od słońca drewnianym pokładzie, wypatrując sieci, zarzuconych gdzieś między Ledinge a pobliskimi szkierami. Kiedy mrużył oczy, zdawał się dostrzegać chorągiewki znaczące położenie niewodów.

Łagodne mruczenie silnika lekko go uśpiło, potarł oczy i zaczął rozmyślać o sterowanej falami radiowymi łodzi. Jak długo może płynąć, zanim utraci łączność? Pięćdziesiąt metrów? Sto? Jak szybko płynie? Pewnie szybciej niż łódź taty, pomyślał, gdy powoli zbliżali się ku przesmykowi.

Kiedy ojciec zdusił silnik, Anders nadal był zatopiony w swoich fantazjach. Mruczenie przeszło w pykanie, które powoli też zamierało. Byli coraz bliżej chorągiewek. Anders poruszył się i w tym momencie ojciec zawołał: „No, kapitanie, twoja kolej!” i wciągnął silnik na łódź.

Anders wstał i ruszył do wiosel, ojciec poszedł na dziób. Ich drogi się skrzyżowały, wyminęli się tuż przy silniku, w końcu nie była to ich pierwsza wyprawa. Ojciec się uśmiechnął.

- Powoli i ostrożnie - powiedział.

Anders zrobił lekko obrażoną minę, która miała mówić: „Przecież nie robię tego pierwszy raz, zapomniałeś?”, i chwycił wiosła.

Ojciec sięgnął ręką do jednej z chorągiewek i chwycił linkę. Anders odchylił się do tyłu i ustawił przekładnię steru tak, że łódź stała teraz na wodzie całkowicie nieruchomo. Kiedy ojciec zaczął ciągnąć sieć, Anders nachylił się do przodu, tak by burta łodzi ustawiła się równolegle do krawędzi niewodu. Ten właśnie moment lubił najbardziej. Kiedy siedział przy sterze. Mógł wtedy zawrócić łódź, odwrócić wiosła, gdyby oczywiście chciał.

Ale nie, nie.

Sterował łodzią powoli i bardzo ostrożnie, kontrolując cały czas prędkość, tak by ojciec bez większego trudu mógł wyciągnąć sieci. Radził sobie świetnie. Był kapitanem.

Wychylił się za burtę i spojrział w ciemną wodę. Zwykle udawało mu się dojrzeć jakiś srebrny przebłysk pod powierzchnią, pozwalający przewidzieć, jak duży połów się szykował. Zmarszczył brwi.

Co to było? Czyżby...

To, co zobaczył pod wodą, nie było pojedynczym błyskiem pojedynczych śledzi, złapanych w sieci, tylko wyglądało, jakby tego ranka w sieć złapał się jeden gigantyczny śledź, niewód wypełniony był mnóstwem ryb.

Ojciec przestał ciągnąć, stał nieruchomo i wpatrywał się w wodę. Anders znów wychylił się za burtę. Teraz już widział, że to, co wydawało mu się potężnym cielskiem śledziowego olbrzymia, tak naprawdę było ogromną ławicą śledzi. Połów był bez wątpienia rekordowy. Serce zaczęło mu szybciej bić.

Pięćdziesiąt kilogramów. Co najmniej. Może więcej. Uda mu się tyle sprzedać?

Czekał, aż sieć wypłynie na powierzchnię, żeby móc lepiej jej się przyjrzeć, ale nic się nie działo. Ojciec nadal stał na dziobie, lina zwisała mu w rękę.

- Co się stało? - spytał Anders. - Mamy mnóstwo śledzi!

Ojciec spojrział na niego z wyrazem twarzy, którego Anders nie rozumiał. Wyglądał, jakby był przestraszony. Przestraszony i zmartwiony. Anders pokiwał głową.

- Nie wyciągniesz sieci? - spytał.

- Pomyślałem, że może nie powinniśmy.

- Dlaczego? To rekordowy połów! Tyle śledzi!

Ojciec puścił linkę i wskazał ręką na powierzchnię wody.

Włóż rękę do wody.

Anders posłusznie włożył rękę do wody i natychmiast ją wyciągnął. Woda była lodowata. Zamrugał i spróbował jeszcze raz. Zimna woda szczypała go w koniuszki palców, była rzeczywiście zimna jak lód.

Jak to możliwe?

Spojrzał na ojca, który stał i wpatrywał się w morze, jakby czegoś w nim szukał. Anders rozejrzał się dokoła: nic nie wskazywało, żeby nagle miała zrobić się zima. Jedynym wytłumaczeniem był niezwykle silny, zimny prąd. Albo?

- Dlaczego tak się dzieje?

Ojciec westchnął głęboko. Lina wyslizgnęła mu się z rąk.

- Tato!

- Tak? - spytał ojciec, chwytając ponownie linę.

- Musimy wyciągnąć sieć.

Ojciec odwrócił głowę i spojrzał na wędrujące po niebie słońce.

- Dlaczego? - spytał cicho.

Pytanie zmieszało i nieco przstraszyło Andersa.

- Bo... - zaczął - bo jest w niej dużo śledzi, a ja zbieram na taką łódkę, no i... no i co komu przyjedzie z tego, że jej nie wyciągniemy?

Ojciec ponownie odwrócił się do Andersa.

- Pewnie masz rację - powiedział cicho, kiwając głową.

Znów zaczął ciągnąć sieć. Jego szczęki poruszały się, jakby żuł coś, czego nigdy nie da się przełknąć. Anders nie potrafił pojąć, co się stało, co takiego powiedział, ale poczuł ulgę, że ojciec wziął się w garść i jednak postanowił wyciągnąć sieć.

Pomijając problem, którego nie rozumiał, a który najwyraźniej nękał ojca, to oczywiście wiedział, że wyciągnięcie tak ciężkiej sieci, będzie dla ojca niezmiernie trudne. Sterował więc łodzią najostrożniej jak to było możliwe, ale niewód, który ojciec zaczął właśnie wyciągać na powierzchnię, nie był po prostu siecią, w której szamotały się pojedyncze rybki, tylko przypominał gruby srebrny kabel, szczelnie opięty oczkami sieci.

Kiedy sieć i kotwica zostały wciągnięte na pokład łodzi, ojciec podszedł do silnika i bez słowa położył dłonie na jego obudowie.

- Co ty robisz? - spytał Anders.

Zachowanie ojca w ostatnich minutach w ogóle było dziwne, ale to go zaskoczyło.

- Grzeję dłonie - powiedział ojciec, uśmiechając się.

Anders pokiwał głową. Oczywiście. To mógł zrozumieć. Woda była zimna, więc ojcu zmarzły ręce. Puścił wiosła i poszedł obejrzeć połów. Nie bardzo się na tym znał, miał jednak wrażenie, że w sieci na pewno było ponad pięćdziesiąt kilogramów śledzi. Może nawet siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt?

Przyglądając się wielkiej stercie ryb zamotanych w sieć, zauważył jeszcze jedną niezwykłą rzecz.

Śledzie nie były tak żywotne jak okonie czy fladry, które po wyciągnięciu z morza potrafiły jeszcze dość długo żyć, ale jednak zwykle jeszcze przez chwilę miotały się i wiły w sieci, podczas gdy łódź zmierzała w stronę ładu. Tym razem jednak tak nie było.

Śledzie w sieci nie ruszały się, nie zauważył śladu najmniejszego ruchu. Schylił się i wziął do ręki śledzia, który wydostał się z sieci. Drobną rybką była sztywna, jakby zamrożona, oczy miała białe jak mleko. Wyciągnął rękę do ojca, który nadal grzał ręce na pokrywie silnika.

- Dlaczego ona tak wygląda?
- Nie wiem.
- Ale co im się stało?
- Nie wiem.
- Ale jak to możliwe, żeby śledzie...
- Powiedziałem, że nie wiem!

Rzadko się zdarzało, żeby ojciec podnosił głos. Więc, kiedy krzyknął, Anders miał wrażenie, jakby przeszedł go prąd. Policzki zrobiły mu się czerwone, a kolejne pytanie zostało zamknięte w ustach. Nie rozumiał, co niewłaściwego powiedział, coś jednak najwyraźniej musiał, i było mu wstyd. Zniszczył wyjątkowy nastrój, nie bardzo nawet wiedząc, w jaki sposób to się stało.

Śledź odtajał nieco w jego ciepłej dłoni. Anders puścił go na pokład i poszedł na dziób; zmrużył oczy od słońca i poczuł ciężar w żołądku. Nagle udany połów przestał go bawić. Właściwie równie dobre mogli wrzucić wszystkie ryby z powrotem do morza.

Oparł policzek o drewniany pokład i leżał bez ruchu.

Dziwne...

Leżał chwilę cicho i nasłuchiwał. Potem podniósł głowę i powiódł wzrokiem po zatoce.

Że też wcześniej o tym nie pomyślał. Nad całą zatoką nie było ani jednej mewy. Zwykle wszędzie słyhać było ich krzyki i wrzaski. Ptaki walczyły zażarcie o ryby, które zawsze wypadły z sieci, podczas wciągania jej na pokład. Machały skrzydłami albo nurkowały, czekając aż Anders rzuci im jakieś wnętrzności, albo śledzie, które były zbyt małe, żeby można je było sprzedać.

A teraz: Ani jednego dźwięku. Ani jednego ptaka.

Leżał i zastanawiał się nad tym dziwnym zjawiskiem, kiedy nagle poczuł rękę ojca na swojej stopie.

- Przepraszam, że na ciebie wrzasnąłem. Nie chciałem.

- W porządku.

Anders leżał na brzuchu i czekał na dalszy ciąg. Dalszego ciągu jednak nie było.

- Tato? - odezwał się w końcu.

- Tak?

- Dlaczego nie ma mew?

Nastąpiła krótka pauza, po czym ojciec westchnął i już bez gniewu powiedział:

- Znów zaczynasz?

- Nie, ale to dziwne, prawda?

- Owszem.

Ojciec poklepał Andersa po łydce i poszedł uruchomić silnik. Płynęli do domu. Po kilku minutach Anders usiadł i znów zaczął się rozglądać. W zasięgu jego wzroku nie było ani jednego morskiego ptaka. W ogóle żadnego. Pustka. Żadnego ruchu. Słysać było jedynie uderzanie fal o burtę łodzi i równomierne pykanie silnika.

W drodze do domu Anders wyobrażał sobie, że on i ojciec są jedynymi ludźmi, którzy przeżyli katastrofę, która obróciła w proch wszystko na ziemi. Jak teraz będzie wyglądało ich życie?

Najwyraźniej jednak inne istoty też przeżyły katastrofę, bo Dante, kot Simona, stał już i czekał na nich na pomoście. Anders chwycił linę, i wyskoczył z łodzi przy ostatnim paliku. Kot kręcił się mu między nogami, a on próbował zawiązać półwęzeł, którego nauczył się zeszłego lata.

Kiedy łódź została przycumowana, pogłaskał Dantego po łebku, zszedł do łodzi i wyrzucił mu na pomost kilka śledzi. Był ciekaw, jak kot zareaguje. Z początku nie zauważył niczego dziwnego. Być może dlatego, że Dante zawsze - przez szacunek dla samego siebie - udawał, że ryby to jego łup. Spiął się i zaczął się skradać do leżących bez życia śledzi, jakby musiał zachować największą ostrożność, by łup nagle nie znikł.

Następnie skoczył, obiema łapkami chwycił śledzia i przytrzymał go pazurami. Dopiero gdy nabrał pewności, że śledź mu nie ucieknie, mógł zanurzyć w nim zęby. Wyglądało to tak zabawnie, że Anders się roześmiał.

Dante już miał wbić zęby w śledzia, kiedy nagle zamarł, uniósł łebek i prychnął dwa razy. Spojrzał na Andersa, jakby chciał spytać:

- Co to za żarty?

Dotknął łapką śledzia i zaczął turlać go po pomoście.

Ojciec kucnął i w napięciu też przyglądał się poczynaniom kota. Kiedy Dante uznał, że śledź ma dosyć, zamierzył się na niego ponownie i tym razem rozległ się trzask gryzionych ości. Kot zuł śledzia dobrą minutę, po czym chwycił w

pysk następnego i ze sterzącym do góry ogonem opuścił pomost.

Ojciec wstał.

- No to chyba zaczynamy - powiedział, zacierając ręce.

Zanim Anders ruszył na łąd, żeby przynieść potrzebne narzędzia, rzucił jeszcze:

- Niezły połów nam się trafił.

Nareszcie zauważyłeś, pomyślał Anders, a głośno powiedział:

- Jak myślisz, ile tego jest? Ojciec wydał usta.

- Pewnie jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Czeka nas sporo pracy.

Dziewięćdziesiąt... Dwieście siedemdziesiąt koron. Wszystkiego nie uda im się sprzedać. Ale jeśli obniżą cenę...

Anders poszedł na łąd przynieść podbierak i skrzynki. Ojciec zaś zamocował tram, wyciągnął niewód, otworzył, i śledzie wypadły na dno łodzi. Niektóre wpadły do wody, ale mewy nadal trzymały się z daleka. Na końcu pomostu pojawiło się natomiast kilka wron. Stały, przeskakując z nóżki na nóżkę, niepewne, jak mają się zachować, skoro nie muszą walczyć o łup z mewami i rybitwami.

Anders chwycił podbierak, wskoczył do łodzi i rzucił wronom kilka śledzi. Połknęły je w całości, kracząc podniecone, po kilku minutach do stadka dołączyły kolejne trzy wrony.

Śledzie latały dokoła głowy Andersa, miał pełne ręce roboty. Napelniał śledziami podbierak, płukał w morzu i wrzucał do skrzynek. Szło mu trudniej niż zwykle, ponieważ sztywne ryby wyslizgiwały mu się z rąk. Kiedy napelniwszy pierwszą skrzynkę, zerknął na pomost, zobaczył, że obok pomostu pływa na wodzie kilka mew.

Kiedy znów pochylił się nad rybami, usłyszał trzepotanie skrzydeł i głośny plusk tuż obok łodzi. Mewy najwyraźniej zaczęły interesować się rybami, wszystko znów było jak zwykle.

Opróżnienie sieci ze wszystkich ryb zajęło ojcu dobrą godzinę, pod koniec już wspólnie płukali je i wrzucali do skrzynek. Kiedy skończyli, usiedli, każdy na swoim polarze, i przyglądali się stojącemu na pomoście słupkowi pięciu dwudziestokilogramowych skrzynek.

- Uda nam się tyle sprzedać? - spytał Anders.

Zdjął czapkę i podrapał się po spoconej głowie.

- Wątpię - skrzywił się ojciec. - Jedną skrzynkę wezmę do pracy, a to, co zostanie, będziemy musieli uwędzić.

Anders przytaknął zadowolony. O ile pewnie trudno będzie im sprzedać świeże śledzie, to wędzone zawsze cieszyły się powodzeniem. Ojciec od czasu do czasu, chociaż rzadko, rozpałał w piecu w wędzarni. Letnicy szaleli za wędzonymi

rybami, według ojca dlatego, że sam proces wędzenia uznawali za niezwykle „malowniczy”.

Anders wziął taczkę i ruszył do magazynu na przystani po łód. Od kiedy rybołówstwo jako takie właściwie zaniknęło, magazyn przejęło miasto. Kiedy wrócił, ojciec zdążył już przenieść skrzynki na ląd i rozwiesić sieci. Obłożyli skrzynie lodem i przykryli grubym brezentem.

Anders poszedł na brzeg natrzeć dłonie piaskiem i w ten sposób pozbyć się łusek, potem przykucnął na chwilę na skałach, grzejąc się w słońcu, które stało już wysoko nad sosnami na północnym cyplu.

Kiedy wrócili do domu, położył się do łóżka, żeby jeszcze przespać się parę godzin. W dniu połowu była to chwila, na którą zawsze czekał. Leżał w padającym przez spuszczoną roletę ostrym żółtym świetle, czując, jak powoli rozgrzewają mu się ręce, i w półśnie nasłuchiwał dochodzącego od morza krzyku mew. Po chwili już spał, a wokół niego budził się do życia kolejny letni dzień.

Ciężar

Jeszcze nie jesteśmy na miejscu...

Anders był do tego stopnia pogrążony we wspomnieniach, że nie bardzo rozumiał, dlaczego silnik nagle przestał pracować; dlaczego łódź zwołniła, skoro byli zaledwie w połowie drogi do przesmyku. Nie tu zrzucili sieci, tylko dalej, w zatoce.

Potem zauważył, że pokład, na którym leżał, był ze szklanego włókna, a on sam był tak duży, że właściwie się tam nie mieścił. Był dorosły, ojciec już nie żył, a to, co się wydarzyło tamtego dnia, nie miało absolutnie nic wspólnego z jego obecnym zadaniem.

Chociaż nie. Wszystko jest ze sobą powiązane. Tylko ja tego nie widzę.

Silnik zamarł i zrobiło się cicho. Simon siedział na rufie i się rozglądał. Na horyzoncie nie było widać żadnej łodzi, żadnych oczu, które mogłyby ich śledzić. Anders wrócił do rzeczywistości, chociaż prawdę mówiąc, wolałby pozostać w przeszłości. Czarne worki leżące u stóp Simona były prawdziwe i nakazywały mu zrobić coś, co sądził, że nigdy nie będzie w stanie zrobić.

To wszystko przeze mnie. Muszę wnieść... swój wkład.

Chwytał łańcuch, zaciągnął go na tył łodzi i rzucił na czarny worek. Simon uśmiechnął się smutno.

- Wiesz, co to jest za łańcuch?
- Czy to ten, który ty... ?
- Tak. Nie pierwszy raz znajdzie się w morzu.

Simon siedział, kiwając głową, przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem mężczyzna pogładził czarny worek, przy głowie Elin.

- Nie żyje. Cokolwiek zrobimy, nie ma to już żadnego znaczenia. Dla niej. Utopiła się. Została utopiona. A teraz trafi do morza. Nic w tym dziwnego. Tak powinno być. Musimy tylko to wykonać. Bo my żyjemy - powiedział Simon, i patrząc Andersowi w oczy, spytał: - Prawda?

Anders przytaknął mechanicznie. Nie w tym bowiem tkwił problem. Problem tkwił w tym, że musiał dotknąć martwego ciała, poczuć mięśnie i kości ukryte pod czarną folią, nie mając do końca pewności, że ona naprawdę nie żyje.

- Po co ta folia? - spytał.

- Nie wiem. Pomyślałem, że tak będzie... łatwiej - odpowiedział Simon.

- Ale nie jest.

- Nie jest.

Anders rozumiał, że pewnie chodziło o to, żeby przed samym sobą ukryć to, co się robi. A jednak poczuł ulgę, kiedy ściągnęli worki i zobaczyli ciało Elin, leżące u ich stóp. Jej skóra stracił swój blask, a szeroko otwarte oczy były wypłukane z jakiegokolwiek koloru. Widok był straszny, ale mimo wszystko tak było lepiej.

Simon schylił się po łańcuch i wtedy zobaczył blizny szpeczące jej twarz i ciało.

- Co to takiego? Blizny?- spytał.

- Opowiem ci. Tylko nie teraz - odpowiedział Anders.

Wspólnie owinęli ciało łańcuchem, zaciągnęli i spięli zapadkami hakowymi. Obojętnie jak mocno zaciągali łańcuch, nie dostrzegali żadnych śladów na ciele Elin. Żadnego zaczerwienienia, żadnej opuchlizny. Jej oczy patrzyły w niebo. Pusty wzrok kobiety zwrócił uwagę Simona.

- Kim ona była? - spytał.

To pytanie, ostatnie, musiało paść. Niestety Anders nie znał na nie odpowiedzi.

- Nie wiem - odpowiedział. - Mam wrażenie, że była kimś ciągle szukającym potwierdzenia. Na mnóstwo różnych, dziwnych sposobów, chciała zmusić świat do przyznania, że jest wspaiała. Ale...

Nagle powróciło wspomnienie uśmiechu na ustach Elin, kiedy Henrik i Björn byli upokarzani na placyku przy szopie, i Anders schylił głowę.

- No więc wspomnijmy kogoś, kto chciał być wspaiała - powiedział Simon, chwytając za łańcuch przy jej udach i na brzuchu.

Przełożyli Elin przez burtę. Jednak jej nogi się zgięły i kilka sekund wisiała z

głową i torsem zanurzonym w wodzie. Simon ostrożnie uniósł jej stopy. Ciało zostało uwolnione i wpadło do wody z cichym pluskiem. Anders wychylił się za burzę i patrzył, jak idzie na dno. Z jej ust wydobyło się kilka pęcherzyków powietrza i powędrowało na powierzchnię niczym przezroczyste perełki. Włosy skryły jej twarz i ciało zaczęło opadać na dno. Po kilku sekundach została po niej jedynie jaśniejsza, zamazana plama w ciemnej toni. Anders cały czas patrzył w dół, aż nie był pewien, czy w ogóle ją jeszcze widzi, aż stała się jedynie jaśniejszą smugą załamującego się światła.

Czarna woda. Był niewiarygodnie zmęczony, mógłby przespać następny rok. Oparł głowę o burzę i zamknął oczy.

- Jestem zmęczony, Simonie. Nie mam już siły - wyszeptał.

Jego głowa rosła i kurczyła się, mózg był jak płuco. Kurczył się i rozkurczał, szybko, gwałtownie. Jego świadomość z trudem łapała oddech, czuł, że tonie, że jego płuca sana granicy eksplozji.

Ławka zaskrzypiała, Simon wstał i usiadł obok niego. Odciągnął go od burty i położył jego głowę na swoich kolanach. Anders skulił się, objął Simona i ułożył głowę na jego udach. Czuł, jak zimna ręka Simona gładzi jego włosy.

- Maleńki - powiedział Simon. - Wszystko będzie dobrze. Nie bój się. Zobaczysz, że wszystko się ułoży.

Ręka Simona nadal głaskała go delikatnie po głowie, była dla niego jak powietrze. Oddychał spokojniej, panika minęła, odprężył się. Być może nawet chwilę się zdrzemnął. Jeśli rzeczywiście tak było, to kiedy się obudził, najgorsze już minęło. A ręka Simona nadal leżała na jego głowie.

- Simon - odezwał się Anders, nie podnosząc głowy.

- Tak?

- Pamiętasz, jak kiedyś mówiłeś, że nigdy nie można stać się drugim człowiekiem, przypominasz sobie? Że nieważne, jak bardzo się do siebie zbliżymy, to nigdy nie staniemy się tą drugą osobą.

- Rzeczywiście tak mówiłem, ale chyba się myliłem.

- Nie tylko Elin tego doświadczyła. Sam teraz przeżywam coś podobnego.

Staję się Mają.

- Jak to?

Było tylko jedno słowo, które określało to, co się z nim działo. Pewnie nie było właściwe i źle się kojarzyło, ale innego określenia nie było. Demon, diabeł.

- Jestem opętany. Staję się kimś innym. Staję się Mają.

Anders wyprostował się na ławce i przesunął na rufę, tak że teraz siedział naprzeciwko Simona. Opowiedział mu od początku całą historię, uzupełnioną o swoją nowo nabytą wiedzę. Mówił, że czasem słyszy w sobie jej głos, mówił o

swoim strachu przed lodziarzem, o komiksach Mai, o jej łódeczku, o literach na blacie i o plastikowych koralikach.

Simon niczego nie komentował, niczego nie kwestionował. Tylko słuchał, czasem mrucząc coś pod nosem, ale Anders czuł, że ręka, która do tej pory trzymała jego świadomość w żelaznym uścisku, poluzowała swój chwyt.

- Mam wrażenie, to znaczy wiem, że ona robi to wszystko jakby za moim pośrednictwem. To ona układa koraliki i czyta komiksy, ale moimi palcami i moimi oczami. I nie wiem... jak powinienem się zachować.

Słońce weszło już na tyle, że zaczęło porządnie przygrzewać. Podczas swojej długiej opowieści Anders się spocił. Zdjął czapkę, włożył rękę do wody, zaczerpnął nieco wody do dłoni i ochlapał oczy. Simon siedział i spoglądał w stronę Nåtén, gdzie pierwszy poranny prom właśnie odbijał od przystani.

- A czego ona od ciebie chce? - spytał.

- Ty mi wierzysz?

Simon przekrzywił głowę i przyglądał mu się.

- Powiedziałbym, że jest to najdziwniejsza historia, którą słyszałem.

Przynajmniej w ostatnim czasie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Simon westchnął.

- Zostawmy to - odrzekł.

Zobaczył, że Anders marszczy brwi i dodał:

- Chciałbym porozmawiać z Anną-Gretą. Mogę jej o tym powiedzieć? O tym, co od ciebie usłyszałem?

- Pewnie tak, ale...

- A skoro mowa o Annie-Grecie, to powinniśmy wracać do domu. Na pewno bardzo się niepokoi.

Anders skinął głową i wyrzwał za burtę. Elin z pewnością leżała już na dnie, jakieś pięćdziesiąt metrów pod nimi. Próbował wyobrazić sobie ryby, które obwąchują jej ciało, węgorze, które wypełzają z mułu, wietrząc pożywienie...

Przerwał, zanim pogrążył się w fizycznych szczegółach.

- Simon? Myślisz, że słusznie postąpiliśmy?

- Tak mi się wydaje. A jeśli nie... to już nic na to nie poradzimy - dokończył, zerkając na morze.

Anders wstał, poszedł na dziób i skulił się na ławce; Simon uruchomił silnik i zawrócił łódź. Przez długą chwilę Anders wpatrywał się w miejsce, gdzie Elin zniknęła w wodzie. Powinien zostać tam jakiś ślad. Jakaś bo ja, chorągiewka, jakiś znak. Coś, co pokazywałoby, że tam w dole jest człowiek. Ale była tylko falująca woda, a Elin dołączyła do zaginionych na morzu.

Rozstali się w milczeniu na pomoście Simona i Anders ruszył powoli w stronę swojego domu. Gdyby teraz ktoś wyszedł zza krzaka i zaczął mierzyć do niego z wiatrówki, nie miałyby siły zareagować. Pewnie po prostu poszedłby dalej, może nawet ciesząc się z piekących ran na plecach.

Spojrzał na swoje stopy: poruszały się bez udziału jego woli. Ciągnęły go za sobą. Jak bezsilne udręczone zwierzę, kierując się jedynie instynktem czy może ślepą wolą przeżycia, ciągnie do swojej nory, tak on teraz zmierzał w stronę domu.

Kiedy w końcu do niego dotarł, wszedł, zdjął ubranie, położył się w łóżeczku Mai i nakrył się kołdrą. Potem leżał i patrzył w okno, zbyt zmęczony, żeby zamknąć oczy. Leżał mniej więcej w tym samym miejscu, i nawet światło było niemal takie samo jak wtedy rankami, kiedy wracał z połowów z ojcem.

Pomyślał, że nadal jest tą samą osobą tym samym dzieckiem. Że czas zatoczył koło, i że niedługo będzie musiał wstać, załadować taczkę i pojechać do sklepu.

Poranny połów był niezwykle udany...

Chyba zasnął z otwartymi oczami.

Siła przyciągania

Sam napisał kartkę, na której można było przeczytać: „Świeże śledzie 6 koron za kilogram”, ponieważ ojciec cierpiał na dysleksję, a do tego jeszcze miał brzydki charakter pisma. Kartka stała teraz obok niego na ławce przed sklepem, gdzie czekał na pierwszych klientów.

Była dziewiąta rano i przed chwilą otworzono sklep. Dwie osoby, wchodząc do środka, zapewniły go, że wychodząc, coś u niego kupią.

Wszystko zapowiadało się dobrze. Mimo obfitego połowu Anders nie obniżył ceny, głównie dlatego, że nie miał czasu napisać nowej kartki. Spał niezwykle długo, do za kwadrans dziewiąta. Potem w pędzie załadował skrzynkę na taczkę, żeby zdążyć zająć miejsce na ławce jeszcze przed otwarciem sklepu.

Pierwszy klient opuścił sklep. Była to starsza kobieta, którą Anders widywał tu każdego lata, jak tylko sięgał pamięcią. Nie wiedział jednak ani gdzie mieszka, ani jak się nazywa. Spotykając go, zwykle uprzejmie go pozdrowiała; on odpowiadał jej równie grzecznie, nie wiedząc, kim ona jest.

Kobieta podeszła do taczki.

- Kilogram poproszę - powiedziała.

Nagle Andersowi przyszedł do głowy genialny pomysł.

- Dzisiaj jest wyprzedaż. Za dziesięć koron można kupić dwa kilogramy.

Kobieta uniosła brwi i nachyliła się nad skrzynką ze śledziami, jakby chcąc sprawdzić, czy wszystko z nimi jest w porządku.

- Jak to? - spytała.

Anders uznał, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

- Mieliśmy dzisiaj udany połów, musimy dużo sprzedać.

- Ale co ja zrobię z taką ilości śledzi?

- Może pani je zamarynować. Albo zamrozić. Może to już ostatnie śledzie tego lata? To wcale niewykluczone.

Kobieta się roześmiała, a Anders naszykował się na coś, co w tej sytuacji wydawało się nieuniknione. Podejrzewał, że kobieta przeciągnie teraz ręką po jego włosach. Trudno, musi się z tym pogodzić. Ale ona tylko się roześmiała i powiedziała:

- Prawdziwy człowiek interesu! No dobrze, wezmę dwa kilogramy. Skoro taniej sprzedajecie.

Anders naciągnął foliową torebkę na rękę i do drugiego woreczka włożył czterdzieści dwa śledzie, dorzucając jeszcze kilka, tak dla pewności. Zawiązał woreczek, wręczył go kobiecie i przyjął banknot. Zdążył ze wszystkim akurat w chwili, kiedy w drzwiach sklepu ukazał się kolejny klient. Był to mężczyzna w średnim wieku, pewnie żeglarz, sądząc po ubraniu.

Kobieta uniosła torbę pełną śledzi, mówiąc:

- Jest wyprzedaż.

Żartobliwy sposób, w jaki to powiedziała, dał Andersowi do myślenia. Być może „wyprzedaż” nie była właściwym określeniem. Sugerowała, że pozbywano się czegoś, co zostało, a to nie było właściwe w odniesieniu do świeżych śledzi. Dlatego postanowił raczej używać określenia: „Supercena”.

Sam pomysł nie okazał się tak udanym przedsięwzięciem, jak się tego spodziewał. Tylko mniej więcej co czwarty klient dawał się skusić na dodatkowy kilogram. I to raczej, żeby mu pomóc niż ze względu na atrakcyjną ofertę. Anders nie sądził, żeby dwie korony mniej czy więcej naprawdę miały jakiegokolwiek znaczenie dla większości dorosłych.

Ale jednak klientów było więcej niż zwykle i tuż przed przybiciem promu o jedenastej Anders udał się do domu po kolejną skrzynkę, bo pierwsza była już prawie pusta. Promem o jedenastej przyplęnęło jak zwykle sporo ludzi, na przystani zrobił się mały tłok i śledzi ledwie dla wszystkich starczyło. W pewnym momencie ustawiła się nawet niewielka kolejka, Anders przestał więc dorzucać wszystkim dodatkowe śledzie; tym, którzy przejechali tu tylko z jednodniową wycieczką, wkładał do woreczka tylko osiemnaście, dziewiętnaście śledzi, nie więcej.

Już około dwunastej musiał iść do domu po trzecią skrzynkę. Zobaczył, że łódź cumuje przy pomoście: ojciec, który miał urlop, wrócił ze stoczni, gdzie najwyraźniej pozbył się zawartości czwartej skrzynki.

Sytuacja była bardziej niż obiecująca. Nawet jeśli sprzedaż teraz nieco się zmniejszy, to i tak było całkiem możliwe, że Andersowi uda się sprzedać zawartość trzeciej skrzynki. A to oznaczało, że mimo superceny, wyjdzie na swoje i wkrótce zdalnie sterowana łódź będzie pruć fale zatoki.

Właśnie ta myśl przyświecała mu, kiedy szedł, targając trzecią skrzynkę śledzi. Okazało się, że przed sklepem czeka już na niego klient. Udało mu się sprzedać kolejne dwa kilogramy, co postanowił uczcić, fundując sobie lody. Wszedł do sklepu, kupił lody o smaku gruszkowym, i wrócił na swoje stanowisko przed sklepem.

Dmuchał w papiererek, żeby łatwiej go zdjąć, przeczytał zabawną historyjkę na opakowaniu, i zaczął lizać lody, delektując się smakiem. Patrzył na morze, próbując policzyć pływające po nim łódki. Oczywiście wyobraźni widział już, jak jego zdalnie sterowana łódka zostawia je wszystkie w tyle.

Właśnie doszedł do oczekiwanego momentu, kiedy gruszkowa polewa lodów topi się na języku i smak gruszki miesza się ze smakiem lodów waniliowych, kiedy zobaczył, że od strony Kattudden zbliża się jakiś mężczyzna. Miał dziwne oczy. Jakby był pijany. Ojciec też czasem, kiedy zdarzyło mu się nieco za dużo wypić, szedł podobnym, zdecydowanym krokiem, jakby liczył się tylko cel, do którego zmierzał, i jedyną rzeczą, która miała jakiegokolwiek znaczenie, było skierowanie ciała właśnie w tym kierunku.

Anders rozpoznał mężczyznę. Był to syn któregoś ze znajomych babci; być może mieszkał jakiś czas na lądzie, a teraz wrócił, tego Anders nie pamiętał. Pamiętał natomiast, że był typem awanturnika. Kiedyś nakrzyczał na Andersa, bo przeszkadzała mu jego taczka stojąca przed sklepem. Od tamtej pory Anders nigdy mu już niczego nie proponował.

Mężczyzna ubrany był w niebieskie robocze spodnie i koszulę w kratę jak większość stałych mieszkańców wyspy. Na nogach miał drewniaki, zmierzał do przystani stanowczym krokiem.

Wręcz maszerował. To było chyba odpowiednie określenie. Widać było, że nie będzie tolerował żadnego sprzeciwu. Jeśli ktoś stanie mu na drodze, zignoruje go, albo przejdzie po nim, na pewno jednak mu nie ustąpi. Na pewno nie, pomyślał Anders, pamiętając, jaki był zły, kiedy Anders wszedł mu w drogę.

Mężczyzna zbliżył się do przystani i nagle skręcił w prawo, w stronę okalających brzeg ostrych krzaków rokitnika. Anders przyglądał mu się tak zafascynowany, że zapomniał o lodach, które rozpuściły się i teraz ściekały po palcach.

Mężczyzna zniknął za krzakami, a Anders zaczął zlizywać roztopioną słodką masę z palców. Nagle znów zobaczył mężczyznę, który zdążył już zejść na brzeg i teraz wchodził do wody. Nie zdjął nawet drewniaków.

Anders poczuł się nieswojo. Mężczyzna poślizgnął się na mokrych kamieniach, upadł, natychmiast jednak się podniósł i ruszył dalej. Anders rozejrzył się dokoła, szukając kogoś dorosłego, kto mógłby wytłumaczyć mu, co się dzieje, albo chociaż spojrzeniem dać do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

Ale nikogo dorosłego nie było w pobliżu. Zresztą w ogóle nikogo. Był tylko Anders i ten mężczyzna, który teraz stał po pas w wodzie, ale szedł dalej, w stronę Gåvasten, jakby prowadziła tam jakaś sekretna droga, którą można było przemierzyć jedynie przy odpowiednim nastawieniu.

Woda zaczęła sięgać mężczyźnie do piersi i wtedy zaczął płynąć. Anders wstał, nadal nie bardzo wiedząc, co robić. Polizał lody, odgryzł kawałek. Głowa mężczyzny powoli oddalała się od przystani. Anders odnosił wrażenie, że mężczyzna był raczej kiepskim pływakiem; widział, jak macha rękami i dziwnie się rusza.

Może dlatego, że ma na sobie ubranie.

Lody się skończyły, a mężczyzna nadal nie wykazywał chęci powrotu. Anders wrzucił patyczek do kosza i wszedł do sklepika.

Było późne południe, więc w sklepie nie było ludzi. Z tyłu, za chłodnią wyparzył Ovego, właściciela, który ustawiał na półce kartony z mlekiem.

- Interes się kręci? - spytał Ove, nie podnosząc wzroku.
- Jakoś się kręci - odpowiedział Anders.
- Też nie narzekam. Sporo dzisiaj ludzi.
- Tak - przytaknął Anders niepewnie.

Nigdy wcześniej nie rozmawiali ze sobą w ten sposób. Ove, ze swoim wielkim brzuchem i gigantycznymi krzaczastymi brwiami, był dość przerażającą postacią. Anders potarł rękę.

- Tam ktoś pływa - powiedział.
- Jasne. Gorąco dzisiaj.

Ove postawił ostatni karton mleka na półce i wyprostował plecy.

- Tak, ale on wszedł do wody w ubraniu i... - przerwał, nie bardzo wiedząc, jak opisać wrażenie, które odniósł, widząc zmierzającego w stronę brzegu mężczyznę.

- Jakoś dziwnie się zachowywał - powiedział w końcu.

- Dziwnie?

- No tak, nie rozebrał się. Po prostu wszedł do wody i... W ogóle tak jakoś dziwnie szedł.

- A teraz gdzie jest?
- W wodzie, pływa.

Ove zamknął chłodnię z mlekiem i wytarł ręce w fartuch.

- Chodź, pójdziemy sprawdzić - powiedział.

Wyszli ze sklepu. Anders szedł kilka kroków za kupcem. Od razu się zorientował, że stało się to, czego najbardziej się obawiał: mężczyzny nie było widać.

- Gdzie on jest? - spytał Ove.

Anders poczuł, że się rumieni.

- Przed chwilą tu był.

Kupiec spojrzął na niego podejrzliwie, jakby próbując znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie dziwnego zachowania chłopca. Najwyraźniej jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Ruszył więc różnym krokiem w kierunku przystani, a Anders za nim.

Z przystani też nie było nikogo widać. Ove pokręcił głową.

- No cóż, tutaj też chyba nikogo nie ma.

Anders powiódł wzrokiem po morzu, ale zobaczył tylko parę kaczek pływających jakieś dziesięć metrów od brzegu. Tylko że to nie były kaczki. To były drewniaki. Pokazał je Oveму. A potem zaczął się cyrk.

Ove wszczął alarm. Ludzie wypłynęli łódkami na zatokę, wezwano ratowników z Nåtén. Anders został poproszony o opisanie mężczyzny, który wszedł do wody, i w końcu uznano, że musiał to być Torgny Ek, syn Kristoffera i Astrid, który mieszkał kilka domów za sklepem.

Paru ciekawskich letników z Kattudden i kilku turystów ze schroniska też zainteresowało się zamieszczeniem w porcie. Wkrótce wszyscy już wiedzieli, czego świadkiem stał się ten biedny mały chłopiec, czyli Anders. Zastanawiano się, jak można mu pomóc. Kupując od niego śledzie, oczywiście.

Prawdę mówiąc, Anders nie czuł się ani szczególnie poruszony wydarzeniem, ani też szczególnie smutny z tego powodu. Rozumiał jednak, że powinien zachować poważną minę. Ledwie nadażał podawać śledzie, a pieniądze same wpływały mu do kieszeni. Był na tyle rozsądny, żeby nie wspominać o supercenie; rozumiał, że byłoby to nie na miejscu.

Kiedy skrzynka była pusta, ruszył do domu po raz trzeci tego dnia. W porcie nadal było dużo ludzi. Czekano na wyniki poszukiwań nurków. Zbliżając się do domu, zobaczył unoszący się na tle nieba słup dymu.

Przy piecu w wędzarni stał ojciec i wkładał do środka gałęzie jałowca. Obok niego stała ostatnia skrzynka śledzi, nie zdążył ich jednak jeszcze nawlec na prętę. Zdziwiony spojrzął na syna.

- Już jesteś?

- Tak - odpowiedział Anders, pokazując ojcu pustą taczkę. - Wszystko sprzedałem.

- Sześćdziesiąt kilogramów?
- Aha.
- Jak to możliwe?

Anders opowiedział o Torgnym Eku. O tym, jak zjawił się na przystani, a potem wypłynął w morze. O ludziach, którzy zebrali się w porcie. W miarę jak opowiadał, jego głos stawał się bardziej niepewny. Zauważył bowiem, że ojciec z jakiegoś powodu źle reaguje na jego opowieść. Siedział na ławce obok wędzarni i patrzył w ziemię.

- A potem przyjechali ratownicy - ciągnął Anders.

Nagle urwał i zapanowała cisza. Słyszać było tylko trzaskanie gałązek jałowca w piecu.

- Trzysta dwadzieścia koron. Tyle dostałem za śledzie. Mogłem dostać więcej, ale sprzedawałem nieco taniej.

- To dobrze - powiedział ojciec i westchnął.

Anders wziął metalowy pręt i zaczął nawlekać na niego śledzie. Ojciec wykonał ruch ręką w jego stronę.

- Daj już sobie spokój. Dzisiaj nie będziemy wędzić.
- Dlaczego?
- Bo dużo sprzedałeś.

Anders poczuł, że ciężar w żołądku powraca i ciągnie go do ziemi. Opuścił pręt ze śledziami.

- Ale przecież wszyscy lubią... wędzone śledzie.
- Nie mam ochoty teraz tym się zajmować - odpowiedział ojciec.

Podniósł się powoli; widać było, że stara się unieść do góry kąciki ust i wykrzesać jakiś uśmiech.

- Cieszę się, że udało ci się tyle sprzedać. Stać cię będzie na tę łódkę. Możesz zrobić sobie wolne.

Nie powiedział już nic więcej, tylko ruszył zgarbiony w stronę domu. Anders stał, trzymając w ręku pręt z nadzianymi na niego dwoma śledziami. Pręt przechodził im przez oczy; zwisały obok łebków na cienkich nitkach śluzu. Anders przesunął śledzie na skraj pręta, wyciągnął rękę do tyłu i potrząsnął. Śledzie wyleciały łukiem w powietrze, lądując w koszu na wióry obok drewnitni.

I tyle.

Umył ręce w beczce z deszczówką i wrócił pod sklep. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale połów od samego początku nie przebiegał tak jak powinien.

Z wyjątkiem jednego.

Wymacał zwitek banknotów w prawej kieszeni i kilka monet w lewej. Pewnie rzeczywiście czuł dziwny ciężar w żołądku i pewnie pod wieloma względami dzień mógłby być lepszy. Ale jednemu nie dało się zaprzeczyć: zarobił dużo pieniędzy.

Walka

Tak długo, jak żyje przynajmniej jedno młode, samica kaczki czarnej wydaje się zadowolona i zachowuje się normalnie. Często jednak zdarza się, że wszystkie pisklęta giną już w pierwszej godzinie życia. Wtedy samica zaczyna się zachowywać neurotycznie. Kręci się niespokojnie w miejscu, gdzie przed chwilą były młode, szuka ich, wraca codziennie do gniazda, sprawdza też miejsca, gdzie wcześniej pływała ze swoimi młodymi - jakby na wodzie nadal utrzymywał się ich zapach.

Sten Rinaldo *Na szkiecach*

Zamiast Las Vegas

Simon obudził się, czując laskotanie na górnej wardze. Chwilę potem ktoś wycisnął mu na czole pocałunek, otworzył oczy. Anna-Greta uniosła głowę i jej włosy przestały go laskotać.

Siedziała na brzegu łóżka, trzymając rękę na jego biodrze.

- Dzień dobry - powiedziała.

Simon skinął głową w odpowiedzi.

- I co? Jak wam poszło rano? - spytała zniżając głos, jakby w obawie, że ktoś może ich usłyszeć.

Kiedy Simon wrócił, oświadczył jedynie, że jest zbyt zmęczony, żeby opowiedzieć jej, co się stało, i poszedł do siebie, gdzie położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

Nadal nie miał ochoty wracać do wydarzeń poranka, powiedział więc tylko, że wszystko poszło dobrze i spytał, która jest godzina.

- Wpół do dwunastej - odpowiedziała Anna-Greta. - Nie wiedziałam, czy mam cię budzić - ciągnęła dalej - ale mam pewną... propozycję. Być może nieco nie w porę. Jeśli tak, to powiedz.

- O co chodzi?

Simon uznał, że na jakiś czas ma dosyć niespodzianek. Jednak sposób, w jaki Anna-Greta się poruszała i fakt, że skubała paznokcie, wyraźnie świadczył, że

chce zadać mu jakieś trudne pytanie. Simon westchnął i opadł z powrotem na poduszkę. Właśnie zamierzał powiedzieć, że w tej chwili jego odpowiedź na wszystkie pytania brzmi „nie”, kiedy Anna-Greta spytała:

- Nadal chcesz się ze mną ożenić?

Simon odłożył na bok swoje „nie”, powiedział „tak”, ale zaraz dorzucił:

- A czemu pytasz?

- Ożenisz się ze mną teraz?

Simon zamrugał i rozejrzył się po pokoju, jakby sprawdzając, czy gdzieś w kącie nie stoi schowany ksiądz. Nie stał. Nadal jednak nie rozumiał pytania.

- Teraz? Co to znaczy: teraz?

- Jak najszybciej.

- Tak ci... spieszno?

Anna-Greta oparła brodę o dłoń. W jej spojrzeniu, które przez chwilę zawisło na Simonie, był smutek.

- Być może - odpowiedziała. - Kto to wie. W każdym razie chcę być twoją żoną, na wypadek gdyby... coś się zdarzyło.

- A co masz na myśli?

Anna-Greta powiodła palcem po linii życia na swojej dłoni i, nie patrząc na Simona, powiedziała:

- Wiesz, że nie jestem specjalnie religijna. Ale jednak. Coś w tym chyba jest. Chciałabym, żebyśmy... - urwała nagle.

Wzięła głęboki wdech i wypięła pierś, szykując się do wypowiedzenia tych wielkich słów.

- Chciałabym, żebyśmy byli poślubieni wobec Boga. Na wypadek gdyby coś się stało - zakończyła.

Patrzyła na Simona, uśmiechając się jakby przepraszająco.

- To tyle.

- W porządku. Rozumiem - odpowiedział Simon. - A twoja propozycja? - spytał.

Anna-Greta wykonała rano kilka telefonów. Żeby wziąć ślub, potrzebne było zaświadczenie o braku przeszkód do zawarcia małżeństwa. Można było je uzyskać w urzędzie ewidencji ludności w Norrtälje. Zwykle trwało to tydzień do dwóch, ale w wyjątkowych przypadkach można było załatwić je szybciej. Właściwie w ciągu jednego dnia.

- Powiedziałam, że jutro bierzemy ślub kościelny, ale że niestety zapomniałam o tym jednym drobiazgu - powiedziała Anna-Greta. - Zdamy, jeśli popłyniemy promem o pierwszej - dodała, wyglądając przez okno.

Simon zapomniał, że ma mówić „nie”, i zaczął zdejmować piżamę. Nagle jednak, w trakcie zdejmowania bluzy, się zatrzymał.

- Naprawdę to zrobiłaś? Bierzemy jutro ślub, w kościele?

- Nie roześmiała się. - Nie wiedziałam przecież, co ty o tym sądzisz.

Anna-Greta odsunęła się, żeby Simon mógł wstać z łóżka. On zdjął piżamę i, trzymając się wezglowia, stanął na nogi.

- Sam nie wiem, ale rozumiem twoje argumenty. Dostanę może kawy przed podróżą poślubną?

Anna-Greta wyszła do kuchni nastawić ekspres. Simon stał oparty o słupek łóżka. Nagle zachwiał się, jakby pod naporem dzisiejszych zdarzeń. Poczul zawrót głowy i musiał usiąść. Rękami, które zdawały mu się jakby nierzeczywiste, ściągnął spodnie od piżamy i włożył kalessony i skarpety. I na tym koniec. Uniósł ręce do oczu.

Te moje palce.

Całe swoje życie budował na tym, co potrafi, a raczej potrafił, zdziałać swoimi palcami. Spędził tysiące godzin przed lustrem, ćwicząc i szlifując najdrobniejsze ruchy, żeby wyglądały naturalnie, mimo że zawsze przecież coś kryły. Wytresował swoje palce, żeby były mu posłuszne; zawsze je kontrolował.

Te same palce dzisiaj rano owinęły jego wysłużony łańcuch wokół ciała martwego człowieka, te same dłonie przerzuciły nogi młodej kobiety przez burtę i pozwoliły, by poszła na dno. Żeby uniknąć nieprzyjemnych pytań. Żeby uniknąć problemów. To właśnie zrobiły jego wytresowane palce.

Myśli nie dawały mu spokoju. Kiedy wstał z łóżka i otworzył szafę, patrzył cały czas na swoje dłonie. Miał wrażenie, że to tylko protezy, coś obcego, co, gdy spał, zostało przytwierdzone do jego rąk.

Wyjął z szafy spodnie, koszulę i marynarkę. Swoje odświętne ubranie. Ubrał się. Być może zakłócenie stałego rytmu dnia wpłynęło jakoś na jego głowę, bo naprawdę miał wrażenie, że jego palce zachowują się, jakby miały własną wolę, którą z trudem udawało mu się okiełznać. Musiał zmuszać palce, żeby wykonywały ruchy, które on sobie życzył, żeby zapięły guziki, pasek.

Zapinając ostatni guzik koszuli, nagle się zaniepokoił.

Czy to jest właśnie to uczucie? Czy tak się czuje człowiek opętany?

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze szafy. Nie dlatego, żeby wiedział, jak wygląda człowiek opętany i sądził, że znajdzie tam odpowiedź. Prawdę mówiąc, nie wierzył, żeby tak było. Już prędzej jego stan można było określić angielskim wyrażeniem: że stoi obok siebie. Jakby część jego coś robiła, a druga stała obok i się temu przypatrywała.

Zaczesał do tyłu długie, siwe włosy, włożył marynarkę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze.

Oto jestem ja.

Próbował przywołać uczucie, które nawiedziło go, gdy liść klonu padł na jego drogę. Nie udało mu się. Ale skłonił się do lustra, dziękując, mimo wszystko, za rozdwojone życie, które zostało mu dane.

Oklaski, oklaski.

Anna-Greta stała w drzwiach, patrzyła na niego i klaskała.

- Jesteś bardzo elegancki. Chodź już. No, chodź, kawa jest gotowa.

Simon podążył za nią do kuchni. Wypił pierwszą filiżankę i zaczął jaśniej myśleć. Wyrzął przez okno i utkwił wzrok w miejscu, gdzie kiedyś siedziała Marita. A on stał nad nią ze śrutówką i zastanawiał się, czy jej nie zastrzelić.

Wtedy też miał wrażenie, jakby wyszedł z siebie, jakby stał z boku i się przyglądał.

To wszystko to uniki, pomyślał, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy. Mówimy, że wychodzimy z siebie, że nie jesteśmy sobą, że tracimy nad sobą kontrolę. Kochane dziecko ma wiele imion. Ale przecież zawsze jesteśmy sobą. Żaden wymyślony znajomy nie robi niczego za nas.

Chyba że... chyba że...

- O czym myślisz? - spytała Anna-Greta.

Simon opowiedział jej, co usłyszał od Andersa, kiedy płynęli łodzią. O tym, że Maja przychodzi do niego i w nocy kieruje jego rękami. Że Anders czuje się nawiedzony, jak Elin.

Kiedy skończył, Anna-Greta siedziała chwilę, milcząc. Patrzyła w stronę domu Andersa.

- Biedaczysko - odezwała się w końcu.

Simon nie był do końca pewien, czy miała na myśli Andersa, czy Maję, ale nie miało to większego znaczenia, bo nagle wszystko wydało mu się nie do zniesienia, a współczucie wyrażone przez Annę-Gretę jedynie podkreśliło to wrażenie.

- Myślisz, że rzeczywiście może tak być? - spytał. - Że duchy zmarłych wychodzą z morza i... i...

- Nie wiemy, czy oni naprawdę nie żyją. Nic nie wiemy. Nic. Tak naprawdę.

- Więc co powinniśmy zrobić?

Anna-Greta pochyliła się nad stołem i położyła swoją dłoń na jego dłoni.

- To, co powinniśmy zrobić teraz, to zdążyć na prom do Norrtälje o pierwszej i podpisać dokument potrzebny do tego, żebyśmy mogli wziąć ślub.

Simon zerknął na zegarek. Była za dwadzieścia pierwsza. Jeśli chcieli zdążyć, to musieli już iść. Sięgnął po leżące na parapecie pudełko od zapalek.

- Czy mogłabyś wyjść i poczekać na mnie na zewnątrz? - poprosił.

Anna-Greta uniosła brwi zdziwiona.

- Muszę tylko... - tłumaczył się Simon, wskazując na pudełko.
- Oczywiście.
- Chciałbym zostać sam.
- Dlaczego?

Simon spojrzął na sylwetkę słonecznego chłopca na pudełku od zapalek. Dlaczego? Mógłby szukać jakiegoś wytłumaczenia, uznał jednak, że powie jej prawdę.

- Bo się wstydzę. To jakby ktoś przyglądał ci się, kiedy załatwiasz się w toalecie. Rozumiesz mnie?

Anna-Greta pokręciła głową i się roześmiała.

- Jeśli mamy się razem zestarzeć, to może się zdarzyć, że jeszcze będziemy podcierać sobie pupy. Więc po prostu zrób, co masz zrobić.

Simon się zawahał. Nie zdawał sobie sprawy, jak wstydliva dla niego samego była jego relacja ze Spiritusem. Otwierając pudełko, czuł się brudny. Zerknął na Annę-Gretę i zobaczył, że wyglądała przez okno; zlitowała się nad nim.

Larwa nie wyglądała na zdrową. Jej zwykle błyszcząca czarna skóra była matowa i cienka jak pergamin. Zaczynała coraz bardziej przypominać martwy egzemplarz, który kiedyś widział w witrynie u wielkiego czarodzieja. Simon odchrząknął i zaczął zbierać ślinę.

Zegar tykał. Czas mijał. Prom wkrótce odpływał.

No już.

Wypłuł kapkę śliny, która pokryła suchą skórę larwy. Robak poruszył się i nieco ożywił, gdy jego skóra wchłonęła ciecz. Simon podniósł wzrok. Anna-Greta siedziała i mu się przyglądała.

- Możemy iść? - spytała.

Pokazała na jego brodę, Simon otarł resztkę śliny, wstał i schował pudełko do kieszeni. Kiedy wyszli na zewnątrz, Anna-Greta wzięła go za rękę i powiedziała:

- Chyba nie było tak strasznie?
- Nie - odpowiedział Simon szczerze.

Mieli się pobrać. Pora więc, by przyjął do siebie słowa z Listu do Koryntian, hymnu miłości: „Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce”.

Niech więc tak się stanie.

Dogonił Annę-Gretę; poczuł, że poranna sztywność stawów zaczyna ustępować. Zerknął na morze i zobaczył, że prom jest już w połowie drogi między Nåtén a Domarö. Ruszyli różnym krokiem, ale kiedy dotarli do przystani, Simon czuł się wykończony.

Anna-Greta stanęła przed nim, odgarnęła mu włosy z czoła, strzepnęła pyłek z marynarki.

- Nadają się? - spytał.
- Tak, nawet więcej. Wiesz, jakie określenie do ciebie pasuje?
- Nie.
- Bardzo ładne: Jesteś tajemniczy.

Prom powoli zbliżał się do przystani. Simon otworzył usta, żeby coś jej odpowiedzieć, kiedy nagle rozległ się za nimi, potęgujący się z każdą minutą, wściekły warkot silnika. W chwili gdy dziób promu dotknął nabrzeża i Roger wyszedł rzucić cumę, zajechał im drogę Johan Lundberg na swoim motorowerze i gwałtownie zahamował.

- Tu jesteście. To dobrze - powiedział.

Jego mina nie wróżyła jednak niczego dobrego, raczej przeciwnie. Zignorował Simona i zwrócił się do Anny-Grety.

- Musisz przyjść. Karlowi-Erikowi wszystko się poplątało. Musisz z nim porozmawiać. Ciebie posłucha.

- Jak to: poplątało? - spytała Anna-Greta.

- Zaczęliśmy sprzątać pogorzelnisko, i on... musisz przyjść. Chyba postradał zmysły.

Roger podszedł do nich z cumą w ręku.

- Płyniecie czy nie? Muszę już ruszać.

Anna-Greta skinęła głową i odwrócił się do Johana.

- Niestety, mamy inne plany. Wrócimy koło szóstej.

Johan otworzył szeroko usta, jakby Anna-Greta objawiła mu jedną z zagadek wszechświata. Nim jednak zdążył zaprotestować, Simon i Anna-Greta zdążyli już wejść na pokład. Tuż za nimi podążył Roger, który natychmiast poszedł na mostek kapitański. Prom zaczął się cofać.

Johan nadal stał na przystani i patrzył na nich wzrokiem porzuconego dziecka, zdanego na łaskę i niełaskę obcych mu ludzi. Jeśli Simon potrzebował dowodu, że Anna-Greta jest nieformalną przywódczynią lokalnej społeczności, to właśnie go otrzymał.

Kiedy prom zaczął skręcać, by wziąć kurs na Nåtén, John uniósł lekko dłoń w geście pożegnania, potem wskoczył na motorower, uruchomił go i ruszył z powrotem w stronę miasteczka.

Anna-Greta i Simon stali oparci o reling, podczas gdy prom zabierał ich z Domarö, unosząc w stronę lądu. Zatoka była pofalowana, jakby nakrapiana białymi mewami, które co rusz odrywały się od powierzchni, pojedynczo bądź całymi stadami, robiły kilka okrążeń w powietrzu i znów siadały.

- Jak myślisz, co się stało? - spytał Simon.

Anna-Greta stała ze wzrokiem zwróconym w stronę morza.

- Nie wiem - powiedziała. - I nie chcę wiedzieć - dodała. - Widziałeś kiedyś tyle mew? Bo ja chyba nie.

Prom torował sobie drogę przez kłębowisko białych ptaków, które pływały po powierzchni albo unosiły się tuż nad nią. Było ich rzeczywiście nadzwyczaj dużo.

Goście weselni, pomyślał Simon. A oto i państwo młodzi, dodał w duchu. Objął Annę-Gretę, pozwalając myślom powrócić na ląd.

Pojedynek

Tym razem nie było żadnych wątpliwości: ogień został podłożony. Gdy usiłowano go gasić, wyraźnie czuć było zapach benzyny, co więcej, znaleziono nawet kanister. Ktoś podpalił letni domek Wahlgrenów, i oczywiście narzucała się myśl, że był to ten sam osobnik, który wcześniej podpalił dom Grönwallów.

W pewnym momencie w nocy sytuacja wyglądała naprawdę groźnie. Ogień przeniósł się bowiem na sosny na działce obok domu i iskry zaczęły lecieć w stronę miasteczka. Zanim nadjechała straż, podjęto w panice decyzję o ścięciu kilku drzew, żeby ogień nie poszedł głębiej w las. Jesień była sucha i gdyby płomienie sięgnęły szczytów świerków, mogło dojść do katastrofy. Ogień w lesie łatwo by się rozprzestrzenił, szybko dotarłby do starego centrum miasteczka i pewnie zatrzymałby się dopiero na brzegu morza.

Trzech mężczyzn chwyciło piły i ścięło czterdzieści sosen i świerków rosnących na skraju, a właściwie w wychodzącej nieco na zewnątrz lasu odnodze, która najszybciej padłaby łupem ognia. O takich właśnie wyczynach śpiewano potem piosenki. Tyle że teraz już takie piosenki nie powstawały. Karl-Erik, Lasse i Mats mogli co najwyżej liczyć na krótką wzmiankę w „Norrtälje Tidning”, mając nadzieję, że jej autor odnotuje, iż działali pod presją czasu, musieli uważać, żeby drzewa nie upadły zbyt blisko ognia, pamiętać, że w pobliżu są inne domki letniskowe, a więc działać z niezwykłą precyzją, by ścinane drzewa ich nie uszkodziły, no i że wszystko odbywało się w ciemnościach, jedynie przy świetle padającym z odległych latarni miejskich i bijącej od pożaru lunie. Kto odważyłby się podjąć takiego zadania? Kto by sobie z tym poradził?

Karl-Erik, Lasse i Mats, oczywiście!

Co prawda niewiele brakowało, a piły ścięłyby także wychodek Carlgrenów, poza tym poleciało też kilka szyb w szklarni tych z Örebro, ale ponieważ zapewne nikt nie wykonałby tego lepiej, więc nasi trzej muszkieterowie z piłami zamiast szpad zostali bohaterami nocy. Ponieważ ogień został opanowany, mogli

teraz spokojnie pójść spać. Zrobili swoje, a nawet więcej. Kiedy następnego dnia przed południem pojawili się na pogorzelsku, żeby pociąć ścięte drzewa, zostali okrzyknięci „naszymi muszkieterami”.

Jednak tylko Lasse zareagował uśmiechem i nawet rzucił jakiś żart w odpowiedzi. Lasse miał zawzięty wyraz twarzy, Karl-Erik był wyraźnie zły. Nocne poczucie wspólnoty gdzieś znikło, a to, co potem się wydarzyło, pozostaje do dziś całkowicie niezrozumiałe, jak przygoda Gustavssona z łabędziem, w Söderviken.

Gustavsson miał łabędzia, którego regularnie karmił i który każdego roku do niego wracał, żuł kawałki chleba, które Gustavsson mu dawał, i generalnie dostrzymywał mu towarzystwa. Każdy, kto spotkał Gustavssona, musiał wysłuchać opowieści o łabędziu: jaki on piękny, mądry, i jaki z niego oddany przyjaciel.

I nagle pewnego dnia Gustavsson wziął śrutówkę, poszedł nad zatokę i zastrzelił łabędzia salwą prosto w szyję, tak że odstrzelił mu łebek. Potem był niepokieszony i w żaden sposób nie potrafił wytłumaczyć, jak do tego doszło. Twierdził, że coś kazało mu tak postąpić.

To, co przydarzyło się Karlowi-Erikowi, miało bardziej dalekosiężne skutki, no i trwało dłużej niż te parę minut, które wystarczą, żeby załadować śrutówkę, wycelować i strzelić. Poza tym niezrozumiałe było nie tylko zachowanie Karla-Erika, ale także Lassego.

Przedpołudniowa praca, polegająca na cięciu ściętych w nocy drzew, przebiegała mniej więcej normalnie, chociaż Mats twierdził później, że zarówno Karl-Erik, jak i Lasse zachowywali się jednak inaczej niż zazwyczaj. Pracowali w milczeniu i trzymali się z daleka od siebie. Podczas przerwy, kiedy każdy jadł swoje kanapki, popijając je wodą, też siedzieli daleko od siebie.

Po przerwie wszyscy trzej włożyli dźwiękoszczelne słuchawki ochronne, włączyli piły i zabrali się do pracy. Mats męczył się z potężnym korzeniem jednej z dużych sosen. Praca szła mu dość opornie i piła szybko nadmiernie się rozgrzała. Dlatego odłożył ją na bok, zdjął słuchawki i zabrał się do ostrzenia łańcucha.

Także Lasse wyłączył swoją pilę. I wtedy Mats usłyszał, że gdzieś dalej, bliżej miasta, ktoś też coś piluje. Wstał i zaczął nasłuchiwać, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Nagle wszystko stało się jasne, Mats rzucił swoją pilę i zaczął biec.

Kiedy ojciec Holgera sprzedał maklerowi ze Sztokholmu cypel Kattudden, kilka rodzin z miasteczka złożyło się, by wspólnie kupić chociaż jeden kawałek ziemi, tak by jednak nie wszystko trafiło w obce ręce. Przyobiecano im to i rzeczywiście dostali kilka niewielkich kawałków tuż pod lasem, daleko od morza.

Wśród rodzin, które kupiły ziemię, była także rodzina Lassego. Jego matka,

Margareta Bergwall, była właścicielką dwóch letnich domków, położonych na niewielkim wzgórzu od zachodu, jakieś trzysta metrów od brzegu, ale z widokiem na morze. Domki wynajmowano letnikom. Niedawno jednak brat Lassego, Robert, postanowił wyremontować jeden z nich i zamieszkać tam na stałe.

Na granicy między dwoma działkami rosła największa brzoza na cyplu. Prawdziwa olbrzymka, miała dwadzieścia metrów wysokości i rosły mężczyzna z trudem był w stanie ją objąć. Właśnie tę brzozę ścinał teraz Karl-Erik.

Kiedy Mats zrozumiał, co się dzieje, puścił swoją piłę i ruszył biegiem w stronę brzozy. Drzewo nadal stało na granicy działek, ale zaczynało się już niebezpiecznie przechylać w stronę domku matki Lassego. Sądząc po sposobie, w jaki Karl-Erik ścinał drzewo, wykorzystując jego naturalne nachylenie, można było się spodziewać, że brzoza spadnie prosto na dach domku, który przecież miał przypaść w spadku Lassemu.

- Karl-Erik! - zwołał Mats, kiedy nieco się zbliżył. - Co ty wyprawiasz! - krzyczał.

Ale Karl-Erik miał na uszach słuchawki i niczego nie słyszał. Właśnie zrobił ukośne nacięcie i usunął klin. Kopnął go nogą. Kiedy Mats podszedł bliżej, zobaczył, jak brzoza szczerzy swoją głodną paszczę na dom Lassego. Natomiast Karl-Erik stał, przyglądał się swemu dziełu, i sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

Przymierzał się właśnie do ostatniego cięcia. Jeszcze minuta i brzoza upadnie.

Mats dotarł do Karla-Erika dokładnie w momencie, kiedy drzewo zaczynało się chwiać. Złapał go za ramiona i zaczął nim potrząsać. Karl-Erik spojrział na niego i Mats zrobił pół kroku do tyłu. Oczy, które na niego patrzyły, nie były złe czy szalone, były puste i lodowate jak morze w listopadzie. Trzeba oddać, że Mats nie stracił zimnej krwi, i kiedy Karl-Erik ponownie włączył piłę, zerwał mu z uszu słuchawki i wrzasnął:

- Zwariowałeś? Przestań! Nie wolno ci tego robić! Przestań!

Karl-Erik uniósł do góry piłę i Mats znów musiał się cofnąć. Zakrył dłońmi spoconą twarz i zaczął nerwowo powtarzać:

- On oszalał. Jak mam go powstrzymać?

Nie miał czasu dłużej się nad tym rozwodzić, bo teraz już i Lasse zrozumiał, co się dzieje. Zbliżył się do nich z piłą w ręku. Ledwie Karl-Erik dotknął pnia, Lasse rzucił się na niego. Mats zdążył zobaczyć, że także jego oczy są puste. Patrzył prosto na Karla-Erika, ale w jego wzroku nie było śladu uczucia.

I wtedy Mats zaczął się naprawdę bać.

Za jego plecami ryczała piła Karla-Erika, fruująca w powietrzu wióry łaskotały go po łydkach, a prosto na niego zmierzał Lasse z uniesioną do góry piłą, pracującą na pełnych obrotach. Nikt więc nie powinien się dziwić, że w tej sytuacji zrobił to, co na jego miejscu każdy by zrobił. Cofnął się i krzyknął do ludzi pracujących przy uprzężeniu pogorzelska.

- Ratunku! Na pomoc! Oni się pozabijają! Chodźcie, szybko!

Słyszając krzyk Matsa, Karl-Erik podniósł głowę i w ostatniej chwili zdał sobie sprawę z zagrożenia. Wyciągnął ostrze z pnia i kiedy Lasse rzucił się na niego z uniesioną niczym miecz piłą, zrobił unik i odskoczył w bok. Łańcuch zajęczał i minął go o jakieś dziesięć centymetrów. Siła wymachu była jednak tak duża, że pociągnęła go i Lasse upadł jak długi z piłą w rękę, a olej napędowy ochlapał mu twarz.

Mats zobaczył, że Karl-Erik uruchamia swoją piłę i kieruje ją w stronę pleców Lassego. Zdążył pomyśleć: „On to naprawdę zrobi!”, a potem instynkt kazał mu się rzucić na Karla-Erika. Ostrze przecięło szelki roboczych spodni Lassego i musnęło jego skórę. Zostałby przecięty na pół niczym klocek drewna, gdyby Mats właśnie w tym momencie nie chwycił Karla-Erika, który zachwiał się, przechylił nieco w bok i nie dokończył cięcia.

Lasse wstał, spodnie opadły mu do kostek, a z rany na plecach zaczęła lecieć krew. Chwycił piłę i zazgrzytał zębami. Przez kilka sekund mężczyźni stali naprzeciwko siebie, silniki pił warczały, a oni wpatrywali się w siebie pustymi oczami.

Mats spostrzegł nadbiegających od brzegu ludzi, którzy jednak nadal byli dobre sto metrów od niego. Zwrócił się więc do obu walczących, krzycząc jak dziecko.

- Przestańcie! Przestańcie! - wołał zrozpaczony, czując w oczach piekące łzy.

Nic to nie dało. Lasse zrobił niezdarny krok do przodu i teraz celował piłą w rękę Karla-Erika; ten jednak zdążył unieść swoją piłę i odeprzeć atak. Łańcuchy uderzyły o siebie aż zaiskrzyło.

Karl-Erik odpowiedział, celując łańcuchem w obnażone nogi Lassego, który mimo pałających mu się wokół stóp nogawek, zdołał odskoczyć do tyłu, w stronę brzozy, tak że ostrze piły minęło jego piszczel, i rozorało jedynie ziemię i trawę.

Na moment zapanował spokój, mężczyźni mierzyli się wzrokiem, silniki pił nadal wyły.

Mats zaczął się rozglądać za czymś, czym mógłby rzucić; zobaczył kamień wielkości pięści, ale uznał, że to bez sensu. Nawet jeśli pokonałby jednego z nich, to drugi by go zabił. Słyszał za sobą głosy i mógł jedynie mieć nadzieję, że ludzie nadbiegną na czas.

Na twarzy Karla-Erika pojawił się nareszcie przebłysk jakiegoś uczucia. Kąciki ust uniosły się w złośliwym uśmiechu. Zamachnął się piłą, zrobił krok do przodu, uwalniając jednocześnie lewą rękę; teraz trzymał piłę jedną ręką, mierząc z niej jak z karabinu, wystarczyło, że pociągnie za spust. Ostrze piły zatoczyło łuk nad głową Lassego.

Mats jęknął i na wszystko było już za późno. W ostatnim ułamku sekundy Lasse odparował uderzenie, tak że łańcuchy uderzyły o siebie kilka centymetrów od jego ucha. Coś zaiskrzyło, rozległ się suchy trzask i Lasse poleciał do tyłu.

Później ustalono, że w pile Lassego zerwał się łańcuch i uderzył go w czoło. W momencie samego wypadku widać było jedynie, że jego głowa leci do tyłu, a piłą wypada mu z rąk. Całym ciężarem ciała uderzył w brzozę i osunął się na bok.

Jakikolwiek zamiar miał Karl-Erik, nie zdążył go zrealizować. Pierwszy na miejscu był Göran, tuż za nim nadbiegł Johan Bergwall. Przy pomocy Matsa udało im się okiełznać Karla-Erika i wyrwać mu z rąk piłę. Jak się jednak okazało - za późno. Bowiem kiedy w końcu zwrócili swoją uwagę na Lassego, zobaczyli, że mężczyzna leży na ziemi z raną na czole, ale żyje, natomiast brzoza... brzoza, na którą wpadł, i której pień był teraz poplamiony jego krwią, zaczęła się przechylać na bok.

Proces się zaczął i był nie do powstrzymania. Drzewo było za duże. Mats i wszyscy pozostali mogli jedynie stać i z szeroko otwartymi ustami patrzeć, jak pień brzozy majestatycznie i niemal z wyreżyserowaną powolnością chwieje się i upada.

Kierunek upadku został wyliczony idealnie i gruby pień przepołowił najpierw dach oszklonej werandy, a chwilę potem zmiądzzył komin, łamiąc krokwie dachowe. Popękane dachówki poleciały z hałasem na ziemię i mały domek po prostu się złożył. Pień zatrzymał się w połowie drogi do podłogi, podnosząc deszcz drzazg i odłamków, korona drzewa zadrżała kilka razy, a potem wszystko zamarło.

W tym momencie na miejscu było już sporo osób. Zajęto się Lassem, który silnie krwawił zarówno z rany na czole, jak i na plecach. Upadające drzewo zajęło na dłuższą chwilę uwagę Matsa i pozostałych ludzi, tak że niemal zapomniano o Karlu-Eriku, który przecież będzie musiał ponieść konsekwencje swojego czynu. Kiedy jednak ludzie zaczęli się za nim rozglądać, okazało się go nie ma.

Ale nie odszedł daleko. Po prostu wstał, wziął piłę i ruszył w stronę jednej z sąsiednich działek, kierując się do dwóch potężnych świerków, między którymi zawieszona była huśtawka.

Tym razem żadne negocjacje nie wchodziły w grę. Mats, Göran i Johan dogonili go, wyrwali z rąk piłę, a następnie obezwładnili, żeby nie dopuścić do

kolejnych zniszczeń. Oczywiście się opierał, ale niezależnie od tego, czy był szalony, czy nie, to ich było trzech, a on był jeden i w końcu musiał im ulec.

Podczas gdy Mats i Göran trzymali mu ręce, Johan stanął przed nim, próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Nie udało mu się. Co prawda Karl-Erik patrzył mu w oczy, a o żadnym kontakcie nie mogło być mowy.

- Karl-Erik? - próbował zagadnąć go Johan. - Co cię naszło? Co ty wyprawiasz?

W trakcie całego tego koszmarnego pojedynku Karl-Erik nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, więc i teraz nie spodziewali się żadnej odpowiedzi. Uznali jednak, że powinni próbować porozmawiać z nim jak z rozsądnym człowiekiem, którego działania mają jednak jakiś cel. I rzeczywiście dostali odpowiedź.

Niepewnie, jakby Karl-Erik nie zwykł otwierać ust, głosem, który był i nie był jego głosem, powiedział:

- Te domy. Nie powinno ich tu być.

- Co masz na myśli? - spytał Johan. - To nie są nasze domy. Nie możemy o nich decydować.

Argument ten nie zrobił na Karlu-Eriku żadnego wrażenia.

- Te domy muszą zniknąć - powiedział sztywnymi ustami.

Usiłował uwolnić się z uchwytu mężczyzn, ale udało im się go przytrzymać. W pewnej chwili podszedł do nich Elof Lundberg. Rzucił okiem na Karla-Erika.

- Co z nim jest? - spytał.

- Trochę narozrabiał - powiedział Johan. - Jeśli nam pomożesz, to pojedę po Annę-Gretę. Jej na pewno posłucha.

I tak właśnie doszło do tego, że Johan Lundberg wsiadł na swój motorower ze skrzynią i ruszył do miasta szukać pomocy Anny-Grety, a potem stał na przystani jak osierocone dziecko, patrząc jak Anna-Greta i Simon odpływają w stronę lądu w chmurze mew.

Nie wiedząc, co począć, wsiadł ponownie na motorower i ruszył z powrotem na Kattudden, by zrobić to, co jeszcze mógł zrobić.

Ten czarodziej, pomyślał sobie, nie jest nam tu wcale potrzebny.

W Norrtälje

O wpół do czwartej Simon i Anna-Greta siedzieli w pizzerii w Norrtälje, każde ze swoją pizzą capricciosa przed sobą. Kroili ją na małe, łatwe do pogryzienia kawałki, i popijali letnią fantą. Simon miał w wewnętrznej kieszeni marynarki zaświadczenie o braku przeszkód do zawarcia małżeństwa, a w kieszeni zewnętrznej dwie, gładkie złote obrączki. Anna-Greta skorzystała z telefonu w urzędzie rejestru ludności i zadzwoniła do Geria, pastora w Nåtén, umawiając

się na ślub za dwa dni, czyli w niedzielę, zaraz po nabożeństwie. Byli gotowi.

Było coś młodzieńczego w tempie, w jakim załatwili wszystkie sprawy. Być może to samo młodzieńcze uczucie sprawiło, że nagle postanowili uczcić swoje poczynania pizzą. Żadne z nich dotąd nie jadło pizzy, która w ich okolicy wciąż była pewną nowością. Wybrali akurat tę, bo nazwa capricciosa jakby coś im mówiła.

Kiedy Anna-Greta dobrnęła do połowy, odsunęła talerz.

- Na początku nawet mi smakowało - powiedziała. - Ale potem zaczęło rosnąć w ustach.

Simon miał podobne wrażenie. Czuł, jakby wsypał sobie do żołądka pół kilograma mąki łyżeczką. Coś mu, rosło i bulgotało, więc skończył, póki jeszcze miał w ustach przyjemny smak.

Anna-Greta wyglądała przez okno, a Simon dziobał resztki tego, co zapewne było ostatnią pizzą w jego życiu. Kiedy patrzył na nią teraz, zaspokoiwszy pierwszy głód, musiał przyznać, nie wygląda na coś, co nadawałoby się do jedzenia dla ludzi.

- Simonie, musisz być ostrożny - powiedziała Anna-Greta.

- Z jedzeniem? - spytał Simon, który nadal medytował nad przydatnością pizzy w jadłospisie człowieka.

Anna-Greta pokręciła głową przecząco.

- Gdybym wiedziała, co zamierzacie zrobić, w ogóle nie pozwoliłabym wam wypłynąć.

- Musimy znów do tego wracać?

Zamieszanie w urzędzie, a potem u jubilera pozwoliło Simonowi zapomnieć na chwilę o okropnych wydarzeniach poranka, i chciałby żeby trwało to jak najdłużej. Anna-Greta uniosła do góry dłonie, dając do zrozumienia, że nie zamierza ciągnąć tego dalej, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Dawno temu. Kiedy jeździłam i handlowałam różnymi rzeczami. W czasie wojny. Wtedy przeżyłam coś... o czym nigdy dotąd ci nie mówiłam.

Teraz już Simon nie musiał pytać. Sytuacja się zmieniła, teraz on też należał do wtajemniczonych, więc można było mu wszystko mówić. Oparł się na tyle wygodnie, na ile mógł, o proste oparcie drewnianego krzesła, a Anna-Greta zaczęła swoją opowieść.

- Niekiedy pozwalano mi płynąć z wojskiem, byłam bowiem dość... lubiana. Właściwie nie wolno było im zabierać cywili na pokład, ale ja znam tu każdą wysepkę, no i... - przerwała, uniosła głowę i zmarszczyła brwi.

- Z czego się śmiejesz?

- Z niczego, nie przejmuj się - powiedział Simon, uspokajając ją gestem ręki. - Byłaś po prostu ich maskotką.

- Nie byłam żadną maskotą. Znałam każdą...
- Tak, wiem, ale inni zapewne też znali, może nawet lepiej. Tylko nie mieli tyle wdzięku.

Anna-Greta zaczerpnęła powietrza i już miała mówić dalej, kiedy nagle spojrziała na Simona.

- Czyżbyś był zazdrosny? - spytała. - To wszystko działo się sześćdziesiąt lat temu, a ty jesteś zazdrosny?

Simon zaczął się zastanawiać.

- Wiesz, że chyba tak.

Anna-Greta spojrzała na niego i pokręciła głową, zdumiona absurdalnością sytuacji.

- Rozważano, czy należy zaminować wody przybrzeżne. Aż do Ledinge. Tamtędy prowadził bowiem szlak do Sztokholmu. Raz zostałam zabrana na taki rekonesans, podczas którego miano skontrolować dno. Wojsko dostało bowiem niedawno nowoczesny sprzęt do nurkowania, między innymi przyczepiane do pleców butle z tlenem. Jednak ponieważ widoczność w wodzie nie była dobra, a sprzęt był nowy, to dla większego bezpieczeństwa przyczepiono nurkowi też zwykłą linę asekuracyjną.

Anna-Greta pokiwała głową, jakby nagle coś jej się przypomniało, i uniosła do góry palec.

- Tak - powiedziała - pewnie dlatego z nimi popłynęłam. Bardzo chciałam zobaczyć, na czym polega praca takiego nurka.

Simon miał na końcu języka jakąś złośliwą uwagę, ale powstrzymał się, i Anna-Greta mogła opowiadać dalej.

- No więc nurek zszedł na dno, przywiązany do tej liny na bloczku, na łodzi. Było w tym wszystkim coś hipnotycznego. Nurka oczywiście nie było widać, słychać było tylko ten obracający się bloczek, który wypuszczał coraz więcej liny. I nagle - się zatrzymał. Lina przestała się rozwijać, jakby nurek dotarł do dna. A to było raczej niemożliwe, bo spuszczone przecież zaledwie siedem, może osiem metrów liny, a do dna było w tym miejscu co najmniej trzydzieści metrów. Przez dłuższą chwilę lina się nie ruszała, więc pomyślałam, że nurek znalazł pewnie jakąś nową podwodną skałę i nawet się zastanawiałam, jak zostanie nazwana, jeśli w ogóle zostanie jakoś nazwana.

I wtedy...

Anna-Greta zrobiła gest ręką, jakby markując szybki ruch.

- I wtedy lina znów zaczęła się rozwijać. Tylko szybciej niż na początku. Znacznie szybciej. Dziesięć metrów, piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Bloczek ledwie nadażał. Po chwili prędkość jeszcze się zwiększyła. W ciągu zaledwie paru sekund. Jakby nurek nie opadał na dno, tylko leciał przez powietrze.

Nie można było nic poradzić. Ktoś nawet próbował chwycić linę, ale tylko zdarł sobie skórę na dłoniach. W końcu, po trzydziestu metrach, lina się zerwała i znikła w wodzie.

Z niezminiejszą prędkością. Anna-Greta wypła łyk fanty i odchrząknęła.

- Tak było. Dlatego chcę, żebyś był ostrożny.

Odstawiła szklanę i dodała:

- Trzeba było znaleźć jakieś wytłumaczenie, więc oświadczone, że nurek w jakiś sposób utknął na łodzi podwodnej. Głupie, prawda? Ale prawdziwe. Nigdy go nie znaleziono. Ale tego pewnie już się domyśliłeś.

Simon przyglądał się jej, kiedy wycierała serwetką kąciuki ust. Nie widać było po niej, że właśnie opowiedziała coś niesamowitego. Można było raczej odnieść wrażenie, że przed chwilą wyjaśniała komuś, co to jest elektryczność, żeby pamiętał wyjąć wtyczkę z gniazdka.

- Jestem ostrożny - zapewnił Simon. - Tak sądzę - dodał.

W Norrtälje poszli na spacer po mieście, rozmawiając, jak po ślubie powinni rozwiązać kwestie mieszkaniowe. To znaczy rozmawiali jak rozmawiali. Raczej sobie z tego żartowali. Od początku bowiem wiedzieli, że i tak wszystko zostanie po staremu.

O podróży poślubnej nie mogło być mowy, ale postanowili, że przynajmniej popłyną promem do Finlandii. Zjedzą coś dobrego i może nawet zatańczą ze sobą, jeśli Bóg i ich biodra im na to pozwolą.

O piątej wrócili autobusem do Nåtén, a za kwadrans szósta byli już na promie. Simon wpatrywał się w ciemną wodę. Miał wrażenie, że coś się zmieniło. Nie widział bowiem powierzchni morza, a jedynie głębię. Studiował mapy żeglarskie, rozmawiał z ludźmi i wiedział, że przesmyk Domarö w okolicach Nåtén ma między dwadzieścia a sześćdziesiąt metrów głębokości. Na północy i na wschodzie były nawet rowy głębokie na ponad sto metrów.

Głębia.

Ogromna przestrzeń, niepojęta ilość wody, nawet jeśli to tylko jest przesmyk między Domarö a Nåtén, przyczajonej w ciemnościach, ukazującej nam jedynie swoją gładką, niewinną powierzchnię.

Simon wyobraził sobie prom do Finlandii, którym mieli wkrótce popłynąć. „Silja Symphony”. Setki kajut z długą aleją handlową pośrodku. Dziesięć pięter i pewnie pięćdziesiąt metrów długości od dziobu do rufy.

Patrzył w wodę pieniącą się przy burcie promu. Gdyby teraz utonął, pomyślał, i poszedł na dno, to niczego by to nie zmieniło. Leżałbym sobie po prostu na dnie.

Przeszedł go dreszcz i objął ręką ramiona Anny-Grety. Dopływali do Domarö.

Na przystani czekał już na nich komitet powitalny. Byli to ci sami ludzie, którzy brali udział w spotkaniu w Domu Misyjnym, brakowało tylko Tory Österberg i Holgera. No i Karla-Erika.

Tora nie miała siły przyjść, a Holger pomagał Göranowi pilnować Karla-Erika.

- Żeby znów nie narozrabiał - jak to określił Johan Lundberg.

Lasse został przetransportowany do szpitala w Norrtälje, gdzie zszyto mu rany i nawet chciano zatrzymać, ale odmówił. Nie zostanie tu ani minuty dłużej niż to konieczne, oświadczył. Odwieziono go do domu; jego żona Lina okazała się równie nieskora do współpracy. Zwykle uprzejma i pomocna, burczała i warczała na ludzi towarzyszących jej mężowi. Była jak odmieniona. Wpuściła do domu męża, ale nikogo więcej. Nawet na kawę nikogo nie zaprosiła.

Wszystko to opowiedziano Annie-Grecie. Simona wyraźnie ignorowano, mimo że Anna-Greta wzięła go za rękę, usiłując wciągnąć go do kręgu. Ludzie jednak skupili się wokół niej, pozostawiając go na zewnątrz. Po kilku minutach uznał, że ma tego dosyć. Ścisnął jej dłoń i wyszeptał, że idzie sprawdzić, jak czuje się Anders.

Poczuł ukłucie wyrzutów sumienia, kiedy po kilku krokach odwrócił się i zobaczył ją stojącą na przystani, otoczoną ciemnymi postaciami. Wyglądali jak stado wron. Chociaż może to wcale nie wyrzuty sumienia, pomyślał, zmierzając do domu Andersa. Może to po prostu zazdrość.

Ona nie należy do was. Ona jest moja. Moja!

Dom był cichy i ciemny, ale kiedy Simon wszedł do kuchni, zauważył, że spod drzwi sypialni wypelza smuga światła. Otworzył ostrożnie i zobaczył Andersa, śpiącego w łóeczku Mai i trzymającego w ręku jej niedźwiadka. Stał chwilę i patrzył na niego, potem odwrócił się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Zapalił lampę w kuchni, znalazł ołówek i kawałek papieru i zostawił Andersowi informację o ślubie. Kiedy miał wychodzić, zauważył płytkę z koralikami. Przyjrzał się jej dokładnie. Dopisał coś na kartce i wyszedł.

Anna-Greta była już w domu. Okazało się, że nie było już o czym dyskutować. Jedyne, co można było wymyślić, zostało właściwie już zrealizowane. Postanowiono, że trzeba pilnować Lassego i Karla-Erika i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Simon zdjął wyjściowe buty i próbował rozmasować stopy, obolałe od długiego chodzenia po Norrtälje.

- Przykro mi, że tak się zachowali odezwała się Anna-Greta. - Z czasem się przyzwyczają.

- Wątpię - powiedział Simon i usiadł. - Powiedziałaś im? O Elin?
- Niby kiedy?
- No tak. Masz rację.

Anna-Greta położyła nogi na kolanach Simona, a on zaczął je masować, jakby mimowolnie. Jego dłonie znów stały się częścią jego ciała.

Czarodziejskie sztuczki. Tajemniczy czarodziej.

Nagle wszystko wydało mu się czarodziejską sztuczką. Jej rezultat, widoczny jedynie na powierzchni, wydaje się fantastyczny, jednak tak naprawdę wszystko sprowadza się do prostego mechanizmu. To znaczy, kiedy już go się zrozumie. Może tak. A może nie. Simon chciałby móc zastosować tu swoje dawne umiejętności, znaleźć klucz do tajemnicy. Być może rozwiązanie było równie oczywiste jak niewidzialna nitka czy podwójne dno. Tylko trzeba było na to wpaść. Jemu to się nie udało.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - powiedziała Anna-Greta, poruszając palcami u nóg; kości lekko jej trzeszczały.
- Elin. Anders. Karl-Erik. Lasse. Lina. Dlaczego właśnie oni? Dlaczego oni?
- Jest wiele rzeczy, których nie rozumiem. Ta jest jedną z nich. Gdzie są ukryte nitki?

Gry w chowanego

Kiedy Anders wziął do ręki budzik i zaspanym wzrokiem odczytał na nim godzinę, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Była za dwadzieścia siódma. Sądząc po świetle za oknem, było rano, nie wieczór. Czyli spał zaledwie kwadrans, mimo że kładąc się, był śmiertelnie zmęczony.

Przewrócił się na plecy i przycisnął budzik do piersi. Nie pojmował tego, ale czuł się wypoczęty. Jego ciało było rozluźnione, mózg nie pracował, czuł się odprężony. Miał wrażenie, jakby spał...

Zaraz, chwileczkę...

Była jeszcze jedna możliwość. Mianowicie taka, że przespał całą dobę. Że była już sobota. Zamknął powieki. Oczy odzyskały dawną wrażliwość i bynajmniej nie chciały się teraz zamknąć. Naprawdę czuł się wyspany. Jedynym wytłumaczeniem było, że spał kwadrans plus dwadzieścia cztery godziny.

Albo czterdzieści osiem. Albo siedemdziesiąt dwa. Albo...

Strasznie chciało mu się sikać, pęcherz uciskał niczym guz. Mimo to nie wstał z łóżka. Czuł się tak cudownie, było mu ciepło, był wypoczęty. Od czasu powrotu na wyspę nie miał ani jednej spokojnej nocy. Teraz nadrobił zaległości, wszystkie za jednym zamachem. Podkurczył kolana i odwrócił się do ściany,

pod którą leżał jego dobry znajomy.

Bamse.

Niedźwiadek Bamse był ulubioną przytulanką Mai na Domarö. Nigdy nie chciała zabrać go ze sobą do miasta. Bamse należał do wyspy i miał czekać na nią, kiedy przyjedzie tu następnym razem.

Anders przeciągnął palcami po niebieskiej flaneli, po szeroko otwartych oczach miśka, po guzikach jego szelek.

- Cześć, Bamse.

Czuł spokój. Wczoraj czy przedwczoraj pewnie miałby gonitwę myśli, szukałby nerwowo wytłumaczenia, dlaczego Bamse leży teraz obok niego w łóżku, skoro kiedy się kładł, leżał pod łóżkiem.

A teraz nic. Zero. Obok niego leży Bamse. Fajnie.

Poza tym teraz już wiedział, jak się sprawy mają. Wiedział, że to on sam odszukał miśka, to znaczy zrobiło to jego ciało. Kiedy Maja szła spać, zawsze chciała mieć przy sobie niedźwiadka. Teraz więc wykorzystwała Andersa, żeby wszystko znów było jak dawniej.

- Dzień dobry, kochanie.

Nasłuchiwał odpowiedzi, ale odpowiedź nie padła. To nic. Pomyślał jednak, że powinien chyba coś czuć. Powinno być w nim takie miejsce, które byłoby nią, nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Wszystko było w porządku, z miśkiem i w ogóle. Ona tu była.

Ściągnął usta.

- A to pamiętasz? - spytał.

Odkasznął, oczyścił gardło z porannej flegmy i zaśpiewał własną wersję Mai piosenki o miśku, o Bamse.

Nich żyje Bamse, najdzielniejszy ze wszystkich miśków.

Bamse lubi się bić,

gdy zjada cudowny miód babci, wtedy nabiera sił.

Maja uwielbiała takie rzeczy. Kochała układać wierszyki, rymowanki, bawić się wyrazami, językiem. Jednak najbardziej cieszyła się, kiedy mogła coś - zepsuć. Chyba tak należało to określić. Zwykle zaczynało się od tego, że przekreśliła jakąś literkę czy słówko, które potem zaczynało żyć własnym życiem. Kiedyś zamiast Święty Mikołaj powiedziała Brzydki Mikołaj i tak już zostało. Dawali sobie „brzydkie prezenty”, kupowali i ubierali „brzydką choinkę”. Puszczali „brzydkie kolędy” i nawet nastrój nie był świąteczny, tylko „brzydki”.

Anders poczuł ukłucie w piersi, zmarszczył brwi. Pamiętał, jak sam siedział i niemal maniakalnie powtarzał różne „brzydkie” słowa. Do piosenki o tym, jak „mama całuje Świętego Mikołaja”, Maja dopisała własne zakończenie, w którym

zjawia się tata i zabija Świętego Mikołaja. To znaczy Brzydkiego Mikołaja, oczywiście.

Koniec, dosyć tego.

Anders odwrócił się, wstał z łóżka i niemal biegiem ruszył do łazienki, gdzie zapewne pobił rekord świata w sikaniu na czas. Poczul, że jego ciało się oczyściło i że teraz jest już gotów niemal na wszystko. Spuścił wodę, i nagle ukazała mu się Elin. Widział długie włosy, okalające jej głowę, kiedy szła na dno...

Dosyć tego!

Oplukał twarz i napił się zimnej wody. Nie może tak myśleć. Nigdy. Sprawa została zakończona, należy już do przeszłości. Miał wrażenie, że tego ranka zostało mu подарowane nie tylko nowe ciało, ale i nowy mózg. Nie zamierzał używać go, by bezustannie powracać do spraw, których i tak nie można już zmienić. Dosyć tego.

Był głodny jak wilk; stojąc przy lodówce niemal połknął trzy kawałki chrupkiego chleba z pastą rybną; w ekspresie obok bulgotała kawa. Przeżuwał jedzenie, drapiąc się w głowę i wyglądając przez okno. Zauważył, że na wodzie jest pełno mew. Ale się nie bał.

Me boję się.

Zjadł ostatni kawałek chrupkiego chleba i zaczął się przyglądać mewom, które siadały na powierzchni wody i poddawały się prądom, albo nagle podrywały się do lotu, a potem, oślepienie promieniami nisko stojącego słońca, nagle znów opuszczały się na powierzchnię wody.

Nie boję się.

Tak długo niemal bez przerwy się bał, że lęk stał się dla niego czymś niemal naturalnym. A teraz lęk zniknął. Anders patrzył przed siebie i widział zatokę, błękitne niebo, mewy. Jego własne, wyzbyte strachu ciało, oglądało to wszystko w jasnym jesiennym świetle.

Wspaniałe uczucie.

Odwrócił się od okna i jego wzrok padł na płytkę z koralikami. Otworzył szeroko oczy, podszedł bliżej, przeciągnął ręką po gładkiej, zapelnionej koralikami powierzchni, która znów się powiększyła. Koralików przybyło, było ich znacznie, znacznie więcej. Czyżbym...

Znów układałem koraliki

...układał je podczas snu? Przybyło głównie niebieskich; w środku powstała duża plama z białych koralików, u góry, po lewej stronie, pojawiła się mniejsza plama, również biała.

Kiedy tak stał i przyglądał się całkowicie dla niego niezrozumiałemu obrazkowi, przysłała mu do głowy pewna myśl, nim jednak zdążył ją rozważyć, spostrzegł leżącą na stole kartkę.

„W niedzielę o drugiej Anna-Greta i ja bierzemy ślub w Nåtén. Będzie nam bardzo miło, jeśli przyjdiesz. Simon”

Pod imieniem widniało PS. Anders przeczytał i nagle uderzył się w czoło.

- Ależ ze mnie kretyń! Przecież to jasne! - zawołał.

Ponownie przyjrzał się płytce z koralikami, nie mogąc zrozumieć, że wcześniej tego nie zauważył.

„PS To jest chyba mapa żeglarska?”

Niebieski kolor oznaczał morze, biała plama na środku to Domarö, a mniejsza z boku to Gåvasten. Rysunek nie był oczywiście precyzyjny, jasne i ciemniejsze odcienie nie były dokładnie takie jak na prawdziwej mapie morskiej, ale jednak podobne. Dawno powinien na to wpaść, jak tylko pojawił się zarys wyspy.

Było to prawdziwe objawienie: poszczególne części układanki nareszcie trafiły na swoje miejsce, włożył żeton we właściwy otwór, kurtyna poszła w górę. Czuł się jak pijany, zaczął bić brawo, i nagle zamarł. Znów zaczął się przyglądać płytce.

To jest mapa żeglarska. Możliwe. I co z tego?

Miał przed sobą mapę najbliższej okolicy, widać było na niej Domarö, Kattholmen i Gåvasten, pojawiły się już też kontury Ledinge.

I co z tego?

Zwykła mapa żeglarska, tyle że kiepsko wykonana. Podobna leżała w pokoju na półce. Po co mu kolejna? Co mogła mu powiedzieć, czego wcześniej nie wiedział?

Dlaczego to robisz? Dlaczego zrobiłaś tę „brzydką” mapę?

Ogarnęła go złość, miał ochotę wyrzucić wszystko do śmieci; wyciągnął ręce, żeby sięgnąć po płytkę, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Spojrzał na swoje ręce i jedną ręką chwycił drugą.

Przypomniał sobie jedną z jego własnych gier słownych. Maja nigdy za nią nie przepadała, ale on uważał, że jest zabawna. Postanowił kiedyś zastąpić w różnych zwrotach słowo „ręka” słowem „pies”, ot tak po prostu. Trzymać kogoś za psa. Podaj mi swojego psa. Jestem twoim prawym psem. I jego własne, ulubione wyrażenie: Prawy pies nie wie, co robi lewy pies.

Właśnie.

Usiadł na krześle. Nagła złość, którą poczuł, nie była jego złością. To Maja zwykle tak reagowała, kiedy sprawy nie układały się po jej myśli. Jak tego dnia, kiedy nie mogła znaleźć swoich skarpetek. Teraz zezłościła się na mapę, poprzez niego! Podobnie jak wcześniej się ucieszyła, odkrywszy, że koraliki tworzą mapę.

Nie. A właśnie że tak.

Ponownie pochylił się nad płytką. Gdyby to ona układała koraliki, to przecież nie ucieszyłaby się tak z odkrycia, którego on dokonał. Poza tym czy to możliwe, żeby Maja potrafiła ułożyć z koralików mapę? Kiedyś wypłynęli łódką na zatokę, i wtedy pokazał jej prawdziwą mapę żeglarską; nie wierzył jednak, żeby umiała ją - odtworzyć.

Tylko on potrafił to zrobić. Czyli to on, nie zdając sobie z tego sprawy, ułożył mapę, a ona...

Ukrył twarz w dłoniach.

Jeden pies nie wie, co robi drugi pies.

Jeśli chce dać mu jakiś znak, to dlaczego robi to w tak zawiły i czasochłonny sposób? Dlaczego po prostu nie napisze albo nie powie mu, o co chodzi?

Bo jeden pies nie wie, co robi drugi.

Apoza tym...

Anders zaczerpnął powietrza i trzymał je chwilę w płucach, wsłuchując się w siebie, ale i nasłuchując dźwięków z zewnątrz. I nic. Nikt mu się nie przyglądał, nikt go nie śledził. W tej chwili. Bo przecież wiedział, że oni tam są.

Nie powinnaś tu być, Maju, maleńka. Przyjedziemy po ciebie, za jakiś czas.

Musi uważać. Jeśli będzie za bardzo widoczny, dostrzegą go. To właśnie przytrafiło się Elin. Być może. Dlatego postanowił być ostrożny. Musi działać powoli, żeby się nie ujawnić.

Maja uwielbiała bawić się w chowanego. Zawsze świetnie sobie radziła. Niekiedy aż za dobrze. Jeśli znalazła dobrą kryjówkę, potrafiła pozostawać w niej naprawdę długo. Nie przychodziła, nawet kiedy ją wołali. Zawsze trzeba było ją znaleźć. Ostatniego lata nauczyli ją więc innej wersji chowanego, z zaklepywaniem. I sytuacja się powtórzyła. O ile zwykle była bardzo niecierpliwa, to w zabawie było inaczej. Potrafiła się ukryć i czekać, aż osoba, która miała ją znaleźć, straci czujność i wtedy wyskakiwała i zaklepywała się. Potrafiła czekać w nieskończoność.

Anders nalał sobie filizankę kawy, pił powoli, metodycznie, wyobrażając sobie, jak gorący, lekko trujący napój przepływa przez niego, oczyszczając wszystkie kanały jego ciała. Nagle znów poczuł gonitwę myśli. Spojrzał na morze, na niebo, na mewy i ponownie skupił się na ciepłe, które czuł w gardle, w piersi, w żołądku.

Zabiegi przyniosły skutek, przynajmniej częściowy, i po chwili mógł znów w miarę trzeźwo spojrzeć na płytkę z koralikami. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak sądzi, że Maja bawi się z nim w chowanego, i zależy jej na tym, żeby nie zostać odkrytą, to musi to robić z jakiegoś powodu.

Wstał i przyniósł prawdziwą mapę żeglarską; zaczął porównywać ją z płytką z koralikami. Odległości i proporcje mniej więcej się zgadzały. Kontury wysp były może nieco zbyt kanciaste, ale w zasadzie prawidłowe. Nie było niczego, co

by ją zasadniczo różniło od prawdziwej mapy.

Znużony zaczął trzeć oczy. Kiedy znów spojrzął na płytkę, zwrócił uwagę, że czegoś jednak na niej brakuje.

O tutaj...

Nachylił się, przyglądając się koralikom, które miały przedstawiać Gåvasten. Przy górnej krawędzi wyspy był jakby wąski skrawek całkowicie bez koralików, po prostu pusty pasek.

Co to znaczy? Czy to w ogóle coś znaczy?

Wyjął z szuflady zdjęcie i rozłożył je na stole. Skupił się na twarzy Mai, na jej wzroku. Tak, było dokładnie tak, jak mu się zdawało. Jej uwagę przykuło coś, co znajdowało się na wschodzie, obok pustego paska.

„Tato, co tam jest?”

Wyjrzał przez okno. Ogromne stado mew pokrywało niczym dywan wody zatoki, gdzieś w dali zdawał się dostrzegać maleńką białą plamkę latarni morskiej. Jak lekki przebłysk światła, biała kropka na niebie.

Po dziesięciu minutach był już ubrany, wziął narzędzia i ponownie umieścił silnik na desce między drzewami. Temperatura spadła o kolejnych kilka stopni i zbliżała się do zera, jednak kiedy już chyba po raz dwudziesty pociągnął za linkę, czuł, że jest spocony.

Sprawdził wszystko, co można było sprawdzić. Spryskał smarem wszystkie ruchome części silnika, sprawdził filtr powietrza, wyjął świecę i osuszył ją, mimo że właściwie była sucha; włożył ją z powrotem, wpompował nieco benzyny i poklepał silnik dłonią.

- Zaskocz wreszcie, draniu!

Pociągnął linkę pięć razy, ale silnik nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nawet nie zakasłał.

- Co się z tobą dzieje, ty cholerny, pokręcony gracie! - krzyknął i jeszcze raz z całej siły pociągnął linkę. Linka się zerwała, a on poleciał do tyłu, na plecy i uderzył kością ogonową o twardą ziemię.

Skoczył na równe nogi, jakby ktoś zamachał mu przed oczami czerwoną płachtą. Zdjął silnik z deski, chwycił go i zataszczył na pomost; zamachnął się i z całej siły i wrzucił go do morza.

Mewy, które pływały obok pomostu, poderwały się przestraszone, kiedy silnik uderzył o wodę i niemal od razu poszedł na dno. Anders stał, dysząc z wysiłku. Kucnął, oparł ręce o kolana i wyszeptał:

- Dograłeś się. Tego się nie spodziewałeś, co?

Mewy powróciły już na wodę i teraz patrzyły na niego swoimi czarnymi oczkami.

Kiedy Anders się opanował, zrozumiał, że jego postępowanie nie było zbyt

rozsądne. Być może była to jakaś drobna usterka; ktoś w miasteczku na pewno mógłby mu pomóc. I nagle, kiedy tak stał i rozmyślał, poczuł instynktownie, że powinien uciec i się schować. Zrobił coś niewłaściwego, więc teraz powinien znaleźć sobie jakieś ciemne miejsce, w którym mógłby się ukryć.

Drewutnia, przyszło mu nagle do głowy. Jeśli schowa się za stertą drewna i zakryje się workiem, nikt go tam nie znajdzie.

Szybko! Zanim ktoś się tu zjawi!

Odwrócił się i drobnymi krokami zaczął się skradać w stronę łądu. Nagle zatrzymał się w połowie drogi. Pokręcił głową i objął się rękami.

Co ja robię?

Wiedział, co robi: nie wiedział, co robi. Jeden pies nie wiedział, więc teraz kręciły się wokół siebie, chwytając zębami swoje ogony. Znow objął się rękami i zaczął przemawiać do siebie łagodnym głosem, jakby próbując się pocieszyć.

- Wszystko jest w porządku. Spokojnie. Wcale się nie złościę. Nikt się nie złości.

Na pewno?

- Tak, na pewno. Silnik był głupi.

Nie mów tak o nim. Będzie mu smutno.

To, co słyszał, to nie był głos Mai, tylko jego własne myśli. Ale jego myślami ktoś kierował. On przecież nigdy tak się nie zachowywał. Przycisnął dłonie do skroni.

Ja zwariuję. Wiem, że tak się tylko mówi, ale... ja naprawdę zwariuję.

Wyprostował się i kilka razy głęboko odetchnął. Kontrolował się. Był sobą, był Andersem. Słyszał lekki szum wiatru w uszach, plusk fal i głosy, dochodzące gdzieś od strony przystani. Podniesione, zdenerwowane, i krzyki dzieci. Przez moment myślał nawet, że to ma coś wspólnego z nim, ale zdał sobie sprawę, że to przecież dzieje się gdzieś dalej. Na przystani stało mnóstwo ludzi, ktoś się z kimś kłócił, nie potrafił powiedzieć o co.

To nie ma nic wspólnego ze mną.

Wziął się w garść i zaczął iść w stronę łądu. Simon powiedział, że może korzystać z jego łodzi i zamierzał to zrobić.

Z każdym krokiem pozbywał się niepewności, im bardziej zbliżał się do postępu Simona, tym trzeźwiej myślał i był bardziej zdecydowany. Wiedział już, co powinien zrobić, miał cel.

Tylko teraz musi się tego trzymać.

Niedobre dzieci

Na Domarö było siedmioro dzieci, uczących się w klasach od pierwszej do szóstej. Codziennie rano, za kwadrans ósma, siedmioro dzieci stało na przystani

i czekało na prom, który zabierał je do Nåtén, do szkoły. Dorośli i starsze dzieci płynęły wcześniejszym promem, do szkoły w Rådmanby, albo do pracy w Norrtälje.

Mimo że dzieci były w różnym wieku, Mårten i Emma chodzili do pierwszej klasy, a Arvid do szóstej, to wszyscy trzymali się razem. Starsi uczyli młodszych właściwych zachowań, no a przede wszystkim łączyła ich wspólna droga do szkoły, razem czekali na prom, płynęli nim, pilnowali, żeby wszystko było jak trzeba.

Poczucie wspólnoty przenosiło się w pewnym sensie także na szkołę. Jeśli któreś z młodszych dzieci z wyspy padało ofiarą żartów czy docinków na szkolnym boisku, zwykle któreś ze starszych stawalo w jego obronie. Być może broniono honoru wyspy, może wiedziano, że i tak potem trzeba będzie spojrzeć sobie w oczy, a może była to po prostu spontaniczna empatia, która zrodziła się podczas wspólnie spędzonych godzin na przystani, w deszczu, w chłodzie czy w prażącym słońcu.

Tak czy inaczej dzieci stanowiły zżyłą grupę i wszyscy o tym wiedzieli. Było ich siedmioro i wszyscy pochodzili z Domarö.

Tego ranka dzieci zajęte były przede wszystkim mewami, których ogromne stada zebrały się nad zatoką. W nocy temperatura spadła o kilka stopni i ptaki wyglądały na zmarznięte; unosiły się na morskich falach, otrząsając się od czasu do czasu, żeby zachować ciepło.

Dzieci były lepiej wyposażone. Mårten i Emma zostali wpakowani w ortalionowe kombinezony; Maria, która chodziła już do piątej klasy, miała ogromny szalik i czapkę; Johan i Elin, uczniowie trzeciej klasy, byli ubrani nieco lżej, ale równie ciepło.

Natomiast w budce na przystani stał Arvid i trząsał się z zimna. Miał na sobie skórzaną kurtkę, którą odziedziczył po swoim dziadku. Była to jego ukochana kurtka, jednak w taki dzień jak dzisiaj nie mogła go ogrzać. Dziadek, ratownik morski, był całkowicie nieczuły na mróz czy upał. Wyciągał sieci z wraków gołymi rękami i gasił papierosy zgniatając je palcami. Był idolem Arvida, niestety kilka miesięcy temu zmarł na raka. Wówczas Arvid przejął jego kurtkę i odkrył, że jest na niego stanowczo za duża, no i nie daje wiele ciepła. Ale należała do dziadka i, szczerze mówiąc, była po prostu superfajna.

Na przystani było sześcioro dzieci. Siódmego nie było widać. Sofia Bergwall była córką Lassego i Liny. I wyraźnie się dzisiaj spóźniała.

Maria miała wzrok wbity w drogę. Mimo że Sofia była od niej o rok młodsza, dziewczynki bardzo się przyjaźniły; trzymały się razem od wczesnego dzieciństwa, kiedy opiekowała się nimi ta sama niania.

Nudno było tak stać samej i czekać na przystani. Maria spojrzała na morze i zauważyła zbliżający się prom, otoczony ze wszystkich stron mewami. Za kilka minut przybije do przystani, a Sofia zwykle się nie spóźniała. Maria zagryzła wargi i nagle zobaczyła przyjaciółkę, idącą od strony sklepika.

Pomachała jej ręką, ale Sofia najwyraźniej jej nie zauważyła. Szła dziwnym, sztywnym krokiem, była lekko ubrana i jakby pochłonięta jakimś trudnym do rozwiązania problemem. Maria wiedziała, co poprzedniego dnia przytrafiło się ojcu przyjaciółki, więc pomyślała, że to pewnie ma coś wspólnego z tym zdarzeniem.

Sofia dotarła do przystani, ale z nikim się nie przywitała, tylko podeszła do krawędzi pomostu i zaczęła się przyglądać mewom, które poderwały się w płochu, uciekając przed zbliżającym się promem.

- Co się stało, Soffi? - spytała Maria, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki, ale ta zachnęła się i odwróciła się od niej tyłem. Maria spojrzała na jej ubranie i pokręciła głową. Niepojęte. Mama Sofii przywiązywała dużą wagę do tego, jak córka się ubiera, a dzisiaj dziewczynka nie miała ani czapki, ani rękawiczek, tylko cienką kurtkę, która nawet nie chroniła jej od wiatru.

Maria poczuła ukłucie w piersi. Od małego była bardzo uczuciowa i współczuła każdemu, komu działo się krzywda. Dlatego zdjęła teraz swój szalik i podeszła do przyjaciółki.

- Pewnie marzniesz, jest...

Chciała powiedzieć „okropnie zimno”, ale słowa zamarły jej na ustach, gdy Sofia się odwróciła i spojrzała na nią. Jej oczy były tak przerażające, że Maria, wzdrygnęła się i upuściła szalik.

- Nie dotykaj mnie! - zasyczała Sofia, a Maria podniosła do góry ręce, dając jej do zrozumienia, że w porządku, czy może, żeby się bronić; nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo nagle Sofia chwyciła ją za kurtkę.

Arvid stał i przyglądał się napisom wewnątrz budki na przystani. Usłyszał, jak Maria krzyczy, ale nie przejął się tym. Doszedł do wniosku, że to jakaś dziewczynska kłótnia. Jednak po chwili krzyk zmienił charakter i rozległ się plusk.

Arvid wyjrzał z budki i zobaczył, jak Sofia podbiega do Martena i Emmy, chwytając ich za kombinezony i ciągnie za sobą. Emmie udało się wyrwać, co jednak sprawiło, że Sofia miała teraz obie ręce wolne i mogła lepiej przytrzymać Martena. Chłopiec wrzeszczał jak opętany, kiedy Sofia zaciągnęła go na krawędź pomostu i zepchnęła do wody. Jeszcze chwilę słychać było jego krzyk, potem zaległa cisza.

Prom był jakieś pięćdziesiąt metrów od przystani, mewy poderwały się do lotu i teraz szybowwały gdzieś wysoko, tworząc na niebie biały dywan ze swoich skrzydeł.

Wszystko było tak niepojęte, że musiało minąć kilka sekund, zanim mózg Arvida pojął, że nie chodzi tu o żaden żart czy jakąś dziwną zabawę, ale że Sofia naprawdę wrzuciła małego Martena do lodowatej wody.

A co się stało z Marią?

Sofia wyszczerzyła zęby i ruszyła w stronę pozostałych dzieci, które przerażone uciekały z piskiem na ląd. Jak w zabawie „Stary niedźwiedź mocno śpi”, tyle że ten niedźwiedź rzeczywiście był groźny i należało zachować czujność.

Arvid pobiegł na pomost. Kątem oka widział, że prom wciąż jeszcze jest zbyt daleko, żeby Roger w jakikolwiek sposób mógł pomóc Martenowi. Spojrzał w dół i zobaczył jasnoniebieski kombinezon tuż pod powierzchnią wody.

Zawahął się. To chyba nie on powinien dokonywać takich wyczynów. Miał dopiero trzynaście lat, woda miała pewnie około zera stopni, i ktoś dorosły musiał przecież być w pobliżu.

Dziadek. Dziadek na pewno...

Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, jego palce same rozpięły skórzaną kurtkę i zaczęły ją z niego ściągać. Tymczasem Mårten tonął, im bardziej się zanurzał, tym bardziej jego jasnoniebieski kombinezon robił się ciemnoniebieski. A jedyną osobą, która mogła go uratować, był Arvid.

Zdażył zdjąć kurtkę i wziąć głęboki wdech, kiedy ktoś pchnął go w plecy. Poleciał z pomostu w dół. Odwrócił się i zobaczył Sofię, która patrzyła na niego swoimi szalonymi oczami, a potem uderzył o wodę.

Wyszło z niego całe powietrze, jego płuca się skurczyły, nie mógł złapać tchu. Nagle, dziesięć metrów przed sobą, zobaczył prom, który płynął prosto na niego. Usłyszał wycie silnika, kiedy Roger dał całą wstecz.

Ogromnym wysiłkiem wszystkich mięśni udało się Arvidowi zaczerpnąć nieco powietrza, wstrzymał oddech i zanurkował. Płynął. Nos, usta i oczy niemal mu zamarzły, ale liczyło się tylko jedno: musi chwycić niebieski tobołek, który leżał w wodzie tuż pod nim.

Zrobił kolejny ruch rękami i jego głowę wypełnił ryk silników. Czuł ucisk w uszach, próbował pozbyć się ciężkich butów, ale bez powodzenia, wykonał kolejny ruch rękami, ostatni, zanim zabrakło mu powietrza w płucach, wyciągnął rękę i chwycił ortalionowy kombinezon.

Niewiarygodne, ale był na tyle przytomny, że zanim wyszedł na powierzchnię, przekreślił się na bok. Zaczął machać wolną ręką, odepchnął się nogami i wyciągnął Martena z wody, jakby podnosił do góry zwycięski puchar. Chwilę

potem ukazała się jego głowa; zaczął łapczywie łąpać powietrze.

Głowy chłopców wyloniły się na powierzchnię zaledwie metr od metalowej burty promu. Arvid nic nie słyszał, w uszach miał zatyczki z lodu. Nad jego głową, wysoko na niebie, krążyły bezgłośnie mewy.

Kombinezon Martena był nasączony wodą i ściągał ich obu w dół. Arvidowi udało się jednak chwycić zawieszoną przy krawędzi pomostu opony, podciągnąć się i chwycić się następnej. Kiedy dotarł do rogu pomostu, usłyszał, że ktoś woła go, gdzieś z daleka, ale nie zareagował. Trzymał głowę Martena nad powierzchnią, cały czas kierując się w stronę lądu.

Opłynął szczyt pomostu i zobaczył, że kilka metrów dalej ktoś gramoli się na brzeg.

Maria... to dobrze... dobrze...

Ręce zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Kiedy chciał chwycić się ostatniej już opony, jego lodowate palce ślizgały się po gładkiej, twardej gumowej powierzchni.

Z pomostu ktoś spuścił bosak. Arvid próbował go chwycić, ale nie był w stanie zacisnąć wokół niego palców. Miał wrażenie, że tonie, gdy nagle ktoś zaczepił hak bosaka o jego bluzę i zaczął ciągnąć go na brzeg.

Po kilku metrach poczuł, że jego nogi dziwnie się ruszają, po chwili zrozumiał, że ciągnie je po dnie. Ktoś uwolnił hak i Arvid uderzył twarzą w wodę, w tym momencie podbiegł do niego Roger i wyciągnął go z wody. Arvid zobaczył obok siebie Marię, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Była blada jak kreda.

Ktoś zaczął go ciągnąć.

- Arvidzie, Arvidzie! Puść go! Musisz go puścić.

Roger pociągnął go za lewą rękę, którą trzymał Martena. Arvid próbował puścić chłopca, ale nie mógł, bo po prostu nie mógł ruszyć ręką. Jediną częścią jego ciała, w której zostało jeszcze trochę ciepła, były usta. Udało mu się rozwrzeć wargi i powiedzieć:

- Nie mogę.

Spojrzał na chłopca i jego oczom ukazał się cudowny widok. Usta Martena się poruszyły, mały zaczął kaszleć i pluć wodą, ochlapując twarz Arvida. Żył. Rogerowi udało się w końcu uwolnić Martena z uścisku Arvida. Wymagało to od niego delikatności i siły. Natychmiast ściągnął z chłopca kombinezon i owinął go we własną bluzę od dresu. W tym momencie dołączyli do niego Ulla i Lennart Qvistowie, którzy przyplnęli promem i zajęli się Marią i Arvidem.

Z przystani dochodziły głośnie krzyki. Kiedy Arvidowi udało się stanąć na nogi, zobaczył, że dwóch dorosłych mężczyzn trzyma Sofię, która cały czas rzuca się na boki i, wyjąc jak zwierzę, usiłuje ich ugryźć. Nad walczącymi krążyły

mewy, pokrzykując podniecone jak publiczność na meczu bokserskim.

Roger niósł płaczącego w jego ramionach Martena. Maria miała sine z zimna wargi i też szlochała. Ulla wzięła ją za rączkę i odprowadziła do domu. Arvid ściągnął z siebie bluzę; Lennart owinął go swoim obszernym płaszczem i poklepał po plecach.

- Świetnie się sprawiłeś, Arvidzie.

Usta chłopca drżały tak, że nie mógł mówić. Skinął więc tylko sztywno głową w stronę oszalałych mew i Sofie, która wrzeszczała i przeklinała, gdy mężczyźni ciągnęli ją na ląd.

- Dlaczego. Tak jest?

- Tego nikt nie wie - powiedział Lennart. - Nikt. Nie wie.

Arvidowi drżały nogi, kiedy przez zarośla rokitnika ruszył w stronę miasteczka. Nagle zorientował się, że droga jego i droga Sofie się krzyżują, i się zatrzymał.

- Zrobisz coś dla mnie? - spytał Lennarta.

- Oczywiście. Co tylko zechcesz - odpowiedział mężczyzna.

- Przyniesiesz moją kurtkę?

Lennart poszedł po kurtkę, a Arvid stał, owinięty jego płaszczem, i patrzył, jak mężczyźni ciągną Sofię do domu. Cały czas towarzyszyły im mewy. Krążyły ponad ich głowami, jakby zwietrzyły żer i teraz czekały na właściwy moment, żeby dopaść swój łup.

Lennart wrócił, Arvid oddał mu płaszcz i na gołe ciało włożył swoją skórzaną kurtkę. Powiedział, że poradzi sobie sam i ruszył w stronę domu z wodą chlupiącą mu w butach.

Kiedy doszedł do sklepu, zatrzymał się i spojrzął na drogę. Roger niósł Martena na rękę; chłopiec płakał wniebogłosy, ale żył. Arvid otulił się szczelniej kurtką.

Dziwne.

Po raz pierwszy poczuł, że kurtka go grzeje. I wcale nie była za duża. Była w sam raz.

Powrót na Gåvasten

Mróz szczypał Andersa w policzki, oczy zaszyły mu łzami. Ubrał się najcieplej, jak mógł; pod kurtką miał kamizelkę ratunkową, ale wiatr wdzierał się w każdą, nawet najmniejszą szparkę, i już w połowie drogi do latarni czuł się przemarznięty do żywego.

Na początku pomyślał, że coś jest nie w porządku z jego oczami, ale kiedy popłynął bliżej, zobaczył, że plamy, które widział na niebie wokół Gávasten, były tak naprawdę ptakami; najróżniejszymi, dużymi i małymi.

Silnik Simona o mocy dwudziestu koni mechanicznych mrucał monotonnie, a fale były w plastikową skorupę łodzi. Twarz Andersa była tak sztywna od mrozu, że nawet nie czuł, kiedy od czasu do czasu krople słonej wody trafiały go w policzki czy w brodę. Wzrok miał wbity w Gávasten, lewą rękę trzymał na sterze, łódka rozwijała maksymalną prędkość. Był jak wystrzelona z Domarö strzała, zmierająca prosto do latarni morskiej.

A jednak było coś, co drażyło jego twardą jak lód stanowczość. Czuł w piersi jakieś nieprzyjemne drżenie, które narastało, im bardziej się zbliżał do latarni i kłębiących się wokół niej ptaków. Znał to uczucie, było jak zniechęcony krewny. Strach. To on sprawił, że strzała zwolniła i zбочzyła z toru.

Dźwięk silnika stał się głuchy. Anders zwolnił i przez ostatnie sto metrów pozwolił łodzi spokojnie pykać. Ptaki wokół latarni rzeczywiście okazały się różne. Widział bijące skrzydłami oszalałe gągoly, widział ciężkie ciała edredonów i elegancko ślizgające się po wodzie mewy. Na wodzie tuż przed latarnią huštało się nawet kilka łabędzi.

Co one robią?

Wiele ptaków fruwało w powietrzu, krążąc wokół latarni, ale jeszcze więcej zebrało się na powierzchni wody. Ich zachowanie wydawało się nie mieć żadnego celu, poza chęcią pokazania wspólnego frontu, powiedzenia: „Jesteśmy tu”.

Jednak było to nieprzyjemne. Anders nie widział filmu *Ptaki*, ale potrafił sobie doskonale wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby takie mnóstwo ptaków nagle postanowiło zaatakować. W tej chwili nie wykazywały takich skłonności, ale co się stanie, kiedy wyjdzie na ląd?

Kiedy łódka wpłynęła w pierwsze zbiorowisko ptaków, te usunęły się, ale Anders miał wrażenie, że przyglądają mu się z agresją. Postanowił użyć jedynej broni, czy raczej jedynej ochrony, jaką posiadał.

Puścił ster, pozwalając łodzi dryfować i sięgnął po plastikową butelkę; wziął głęboki oddech i wypił kilka łyków koncentratu z piołunu.

Paskudny smak palił go w ustach, w gardle, w żołądku, płomienie sięgały głowy, lizaly mu mózg. Stłumił mdłości, zakręcił nakrętkę i znów zajął się łódką. Nagle ptaki się rozstąpiły, umożliwiając mu podpłynięcie do samej skały.

Zawahał się chwilę, zanim zdecydował się postawić stopę na skalnej płycie. Wyszedł z łódki i się rozejrzał. Ptaki nadal krążyły w powietrzu, miał nawet wrażenie, że ich krzyki stały się bardziej intensywne. Ale nie atakowały. Wciągnął łódkę na skalisty brzeg i przywiązał do kamienia.

A więc powrócił na Gávasten.

Kiedy był tu poprzednim razem, po raz pierwszy zresztą, skały były pokryte śniegiem. Teraz mógł się im dokładniej przyjrzeć. Zauważył, że mają idealnie gładką powierzchnię; szary kamień był gdziegdzie poprzecinany różowymi i białymi żyłkami, które wyraźnie tworzyły jakiś wzór. Wszędzie były ślady ptasich odchodów. Stał nieruchomo z opuszczonymi rękami i szeroko otwartymi ustami, patrząc, jak wzór odrywa się od podłoża, zlewa się i przekształca w - alfabet.

Język.

Linie biegnące wzdłuż i wszerek, pojedyncze, wyizolowane punkty i kilka za-wijasów, składało się na znaki tak skomplikowanego zapisu, że jego umysł nie był w stanie go ogarnąć, mógł jedynie stwierdzić jego istnienie.

Jak niemowlę, które dostało do rączek Biblię, odrzucają, bo okazuje się, że nie można jej zjeść, tak Anders odrzucił znaki na skalnej płycie i ruszył w kierunku wschodniej części wyspy. To nie był jego język, nie miał dla niego żadnego znaczenia.

Nie wiedział, jak ma szukać, ponieważ nie bardzo wiedział, czego szuka, ale jego podświadomość lustrowała okolice, jakby była węzłem, który trzeba rozsu-płać. Musiał znaleźć miejsce, w którym skała była choć trochę zmurszała, żeby móc włożyć tam palec i próbować ją naruszyć.

Niczego takiego jednak nie znalazł. Świat wokół zdawał się nieprzenikniony, solidny i pełen przesłań, których on nie rozumiał.

Przerywane ciągi schodowe prowadzące ze skały do morza, pojedyncze, wol-no leżące skalne bloki i skalny gruz w szczelinach - to wszystko były znaki. Mó-wiły do niego. Podniósł wzrok i zrobiło mu się niedobrze: stada ptaków tworzyły na tle nieba figury i kształty, których zewnątrz krawędzie rozmazywały się. Ciągłe powstawały nowe postaci.

Wszystko do mnie przemawia. Tylko ja niczego nie rozumiem.

Kucnął i zanurzył ręce w kałuży z przezroczystą deszczówką; przetarł twarz i oczy i na chwilę zamknął powieki.

Kiedy je otworzył, wizje stały się nieco mniej intensywne; gdy zmrużył oczy, był w stanie wejść na górę. Drzwi do latarni były otwarte, tak jak poprzednim razem. Za jedno był wdzięczny: halucynogenne działanie piołunu blokowało niemal wszystkie wspomnienia. Anders widział siebie tu i teraz, wszystko inne przestało istnieć. Było to bolesne, ale i tak lepsze.

Otworzył drzwi. Przywitała go niewielka skarbonka ze swoją prośbą o datki. Poszukał w kieszeniach, nic nie znalazł, więc poszedł dalej. Nagle stanął i zaczął chichotać.

Może ptaki zaatakują.

Nie. Idąc schodami na górę, słyszał je na zewnątrz, jak krzyczały i się kłóciły. Czy różne gatunki ptaków rozumieją się między sobą? Pewnie nie, ale w takim razie skąd wiedziały, że mają się tu zebrać?

Wszystko przemawia. Wszystko nasłuchuje.

Pogładził prawą ręką zewnętrzny mur latarni i zaczął się wspinać.

Pomieszczenie na górze wyglądało tak, jak je zapamiętał, nic tu się nie zmieniło. Wielkie okna i błyszczące lustra reflektora odbijały rosę, tak że wewnątrz było jaśniej niż na zewnątrz. Podszedł do miejsca, w którym stała Maja, kiedy spytała go: „Co tam jest?” Rozejrzał się, spojrzął na wschód.

Początkowo niczego nie zauważył.

Jego oczy były bardzo wrażliwe na światło i chociaż niebo było pokryte chmurami, musiał je zmrużyć, gdy przyglądał się lekko wzburzonej powierzchni wody. Patrzył na ostre brzegi skał, na stada ptaków i czuł, jak przez jego ciało przepływa trucizna jak jaskrawozielona nić.

Nic.

I nagle się pojawiło. Początkowo było to słabe, jakby niejasne przecucie oddechu drugiego człowieka w pokoju, gdzie jest zgaszone światło. Potem stało się silniejsze. Anders zaczerpnął powietrza, zachwiał się; musiał się oprzeć o szklaną klatkę wokół reflektora.

Głębia.

Głębia. Jak głęboka...

Pod nim nie było niczego. Głębia była wszystkim.

Ponoć jedynie dziesięć procent góry lodowej wystaje ponad powierzchnię wody. To właśnie poczuł Anders w jednym lodowatym, palącym ułamku sekundy: że wystająca z morza skała, na której stoi, nie jest nawet jednym procentem. Jest niczym. Niteczką nad otchłanią.

Nogi się pod nim ugięły, upadł i leciał tak, aż jego głowa dotknęła desek podłogi.

Jesteśmy tacy mali. My, biedni ludzie z naszymi mrugającymi światłami.

W swojej naiwności uwierzył, że latarnia ma z tym coś wspólnego. Jej oko, mrugające nocami jak duch nad powierzchnią wody, zwiódło go. Bo czym była latarnia? Ludzkim wymysłem z drewna i kamieni. Budynkiem z lampą w środku, niczym więcej. Lampa może zgasnąć, budynek zwietrzeje, a głębia...

Głębia pozostanie.

Świadomość odpłynęła od niego niczym odbijająca od brzegu fala, zostawiając go na podłodze jedynie z czysto teoretyczną wiedzą. Trucizna nadal sączyła się do jego krwi, oddychał głęboko, wdech i wydech, wdech i wydech.

Przewrócił się na bok i powiódł wzrokiem po bazgrołach na pociągniętych wapnem ścianach latarni.

Gdy masz kłopot, gdy zwątpieś
Biegaj w koło, wołaj, krzycz!

Chłopaki z Nåtten = idioci

Jedno zdanie było napisane większymi, wyraźniejszymi literami niż pozostałe. Anders miał wrażenie, że widział je, kiedy był tu za pierwszym razem, tylko wtedy nie zwrócił na nie większej uwagi. Teraz przyjrzał mu się dokładnie.

Pod datą 28/1-89 było napisane:

„Dziwne drogi, nadchodzimy”

Henrik i Björn zniknęli mniej więcej w tym czasie. *Strangeways, here we come* taki tytuł miał ostatni album The Smiths. W luźnym tłumaczeniu odpowiadało to napisowi na ścianie latarni.

To oni go tu zostawili, długopisem na ścianie wypalili swoje ostatnie przesłanie, a potem... znikli. Wyruszyli w dziwną drogę.

Oni wiedzieli. Wiedzieli, co robią.

Anders wstał i zaczął zbiegać po schodach.

- Dopadnę was, dranie! Wiem, gdzie się ukrywacie i dopadnę was! Przysięgam na Boga, że znajdę jakiś sposób i odbiorę wam ją!

Stał na skałach po wschodniej stronie wyspy i wrzeszczał na wiatr i na wodę, na wyścigi z ptakami, które przelatywały przed jego oczami, tworząc gigantyczną kurtynę, której nie był w stanie rozsunąć, bo jego ręce były za krótkie, a jego wiedza zbyt wąta. Ale robi to. Znajdzie sposób.

Krzyczał więc i wygrażał morzu, aż poczuł, że ma spuchnięte gardło i jego złość ustąpiła.

Kiedy nieco oprzytomniał, spostrzegł że ptaki były teraz bliżej niego. Prawie wszystkie gęgoły, kaczki i łabędzie zebrały się na powierzchni po wschodniej stronie skalnej wysepki. Unosiły się na wodzie u jego stóp, huśtając się na falach. Tysiące ptaków, tak blisko siebie, że wydawało się, że można przejść po ich grzbietach jak po dywanie, dobre kilkaset metrów w głąb morza. Mewy przestały krążyć nad wysepką i teraz machały przed nim skrzydłami, były jak wielka biała chmura, która oderwała się od powierzchni wody i leciała w jego kierunku.

Lada moment dotrze do ptaków słyszalna bądź niesłyszalna komenda, a wtedy ich dzioby zaczną go szarpać, rozrywać na kawałki.

One wiedzą. Muszą stąd uciekać.

Powoli, krok po kroku, zaczął się cofać w stronę łodzi, nie spuszczając wzroku z ptaków. Jeśli spostrzeże, że szykują się do ataku, zdąży dobiec do latarni,

zanim go dopadną i rozdziobią; tylko musi cały czas mieć je na oku.

Porosty sprawiały, że skały po tej stronie wyspy były śliskie jak lód. Anders zachwiał się i byłby upadł. Uderzył biodrem o skałę, ale zdołał zachować równowagę. Nie spuszczał wzroku z ptaków.

Stado mew znów się do niego zbliżyło, a on, nie patrząc na swoje dłonie, rozwiązał węzeł cumy, a potem plecami zepchnął łódź na wodę. Podniecone wrzaski mew wypełniały całą przestrzeń, świdrowały mu w mózgu, uniemożliwiając wszelkie rozsądne myślenie.

Zepchnij łódź na wodę. Odplyń.

Łódź ześlizgnęła się ze skał, pchnął ją jedną nogą, stawiając jednocześnie drugą na pokładzie. Była teraz już kilka metrów od wyspy, w razie ataku nie miałyby szansy dotrzeć do latarni. Nie odważył się odwrócić plecami do mew i zapalił silnik, chwycił więc wiosło i zaczął wiosłować jak gondolier, raz z jednej strony, raz z drugiej.

Dopiero kiedy odpłynął dobre sto metrów od wyspy, ptaki zaczęły się uspokajać. Stado się rozproszyło, tworząc kilka mniejszych chmur, które zawisły nad skałami. Anders puścił wiosło, usiadł na rufie i, drżąc, głęboko odetchnął. Oparł głowę o ręce i nagle dostrzegł leżącą na pokładzie plastikową butelkę.

Zapomniał, że jej zawartość może chronić go przed ptakami, zresztą możliwe, że tak właśnie stało. Spojrzał na butelkę, która turlała się po łódce w rytm fal. Zobaczył naklejkę z napisem, wykonanym dziecinnym pismem ojca: „piołun”.

I zrozumiał. Nareszcie zrozumiał, co stało się z jego ojcem. Wtedy, tamtego dnia, i nie tylko tamtego.

Piołun

Właściwie powinien wrócić do domu i włożyć pieniądze do skarbonki, ale Anders chciał powalęsać się chwilę po mieście ze świadomością, że jest bogaty. Miał kieszenie pełne pieniędzy. Jak chłopiec w złotych spodniach z książki Maxa Lundgrena, mógł ot tak sobie wydać dychę i jeszcze jedną, i jeszcze jedną.

Taki był jego plan, kiedy szedł do sklepiku: chciał przez chwilę poczuć się najbogatszym chłopcem na wyspie.

Łodzie, które wypłynęły szukać Eka, jeszcze nie wróciły, ale tłum na pomoście wyraźnie się przerzedził. Anders się zawahał. Jeśli pójdzie na przystań, dorośli natychmiast zaczną zadawać mu mnóstwo pytań, a on nic miał ochoty na nie odpowiadać.

- Cześć.

Cecilia podjechała rowerem i zahamowała tuż obok niego. Anders uniósł rękę w geście pozdrowienia. I poczuł, że jego dłoń cuchnie rybą. Wsadził więc obie ręce do tylnych kieszeni spodni i udawał luz.

- Co robisz? - spytała Cecilia.
- Nic takiego.
- Co się dzieje na przystani?

Anders nie odpowiedział, tylko odetchnął głęboko.

- Chcesz lodu? - spytał nagle, jakby od niechcenia.

Cecilia spojrzała na niego, zastanawiając się, czy sobie z niej żartuje. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie mam pieniędzy.
- Ja mam.
- I stawiasz?
- Tak.

Anders wiedział, że pytanie było dziwne, w ogóle cała rozmowa była dziwna, ale w pobliżu nie było nikogo, a on miał kieszenie pełne pieniędzy. Więc spytał.

Cecilia, prowadząc rower, ruszyła w stronę sklepiku. Szedł obok niej, nadal trzymając ręce w tylnych kieszeniach spodni. Włosy Cecylii były splecione w dwa warkoczki, widział piegi na jej nosie. Poczuł nieodpartą chęć dotknięcia jej włosów. Wyglądały tak... miękko.

Na szczęście miał ręce w kieszeniach; więc do niczego nie doszło, ot, tak po prostu.

Cecilia oparła rower o ścianę sklepiku.

- Dużo sprzedałeś? Śledzi.
- Tak. Całe mnóstwo.
- Ja sprzedaję gazetki bożonarodzeniowe.
- I jak ci idzie?
- Jakoś.

Czuł się coraz bardziej odprężony. Właśnie tego lata po raz pierwszy dotarło do niego, że jego sytuacja jest nieco inna niż sytuacja jego kolegów, którzy spędzali tu tylko wakacje. Trochę się wstydził, że siedział przed sklepem i sprzedawał śledzie, a potem ręce śmierdziały mu rybą. Że był... wieśniakiem. Chociaż Cecilia przecież też coś sprzedawała. Tyle że gazety pewnie nie cuchnęły rybami.

Weszli do sklepiku i zaczęli się przyglądać zawartości sklepowej chłodni.

- Co mogę wybrać? - spytała Cecilia.
- Co chcesz.
- Co chcę? spytała, patrząc na niego z niedowierzaniem. - Dużego lodu w rożku?
- Tak.

- Dwa duże lody w rożku?
- Tak.
- Trzy duże lody w rożku?

Anders wzruszył ramionami, a Cecilia podniosła pokrywę.

- A ty co chcesz?
- Dużego loda w rożku.

Wzięła z chłodni dwa duże lody w rożku, a kiedy Anders schylił się, żeby wziąć jednego dla siebie, klepnęła go w ramię.

- Nie wygłupiaj się. Ja tylko tak żartowałam - powiedziała i podała mu jednego loda.

Przy kasie Anders wyciągnął dychę, banknot zaszeleścił tak jak powinien, tak jak zawsze robił to chłopiec w złotych spodniach.

Usiedli na ławce przed sklepikiem i zaczęli lizać lody. Anders opowiedział Cecilii o wydarzeniach poranka. Była pod wrażeniem: widział kogoś, kto naprawdę się utopił.

Jedli lody, Anders opowiadał jej o swoich przygodach, a w głowie miał tylko jedno: Żeby tylko nikt nie przyszedł, żeby tylko nikt nie przyszedł. Zastanawiał się, czy Cecilia też się o to modliła, a może taka sytuacja dla dziewczyn nie była niczym niezwykłym?

W końcu po prostu siedzieli na ławce i jedli lody, które on kupił, ale nie chciał, żeby nagle nastrój prysł. Bo chociaż nie był pewien, jak powinien się zachować i co robić, to było mu bardzo przyjemnie. Kiedy tak siedział na ławce przed sklepikiem razem z Cecilia.

Zjedli lody, siedzieli i przez chwilę patrzyli na siebie. Anders doszedł do wniosku, że dla dziewczyn takie sytuacje są jednak bardziej naturalne, bo nagle Cecilia wstała, wytarła ręce o szorty i spytała:

- Pójdziemy do ciebie?

Jedyne, co Anders był w stanie zrobić, to przytaknąć. Cecilia wzięła swój rower i pokazała na bagażnik.

- Wskakuj. Zawiozę cię.

Anders usiadł na bagażniku, Cecilia odepchnęła się nogą od ziemi i ruszyli w dół zboczem.

Nie mógł nic zrobić. Po prostu. Usiłował utrzymać równowagę, trzymając się bagażnika, ale droga była nierówna i zaczął się kołysać, tak że niewiele brakowało, a rower by się przewrócił. Więc chwycił ją za biodra.

Poczuł ciepło jej skóry, słońce prażyło, wiatr owiewał mu czoło. Jechali przez miasteczko, a on trzymał ręce na jej biodrach. Minuty, które trwała podróż do jego domu, były najszczęśliwymi w jego życiu, jak dotąd. Były... doskonałe.

Cecilia postawiła rower obok drewnutni i wskazała głową na komin wędzarni, który wciąż jeszcze słabo dymił.

- Co robicie? - spytała.
- Mieliśmy wędzić, ale nic z tego nie wyszło.
- Piklingi?
- Mhm - mruknął Anders pod nosem, nie prostując niezręczności. Pikling to wędzony śledź, więc mówiąc wędzony pikling, to jakby powiedzieć „okragłe koło” czy „zimne lody”, ale pewnie przemawiało przez niego jego wieśniactwo; uznał, że nie będzie się wychylał.

Obecność Cecilii uświadamiała mu wyraźnie, że jego dom wyglądał inaczej niż domy letników. Była tu drewnitnia, wędzarnia i mnóstwo starych rzeczy, których ojciec nie wyrzucał, bo Jeszcze mogą się przydać”. Trawnik nie był elegancko przystrzyżony, nie było specjalnie sadzonych dekoracyjnych krzewów. Nie było boiska do gry w badmintona, nie było też hamaka. Zwykle tego nie zauważał. A teraz tak.

Cecilia ruszyła w stronę domu, a Anders pomyślał, że przynajmniej jego pokój wygląda normalnie, na szczęście.

Co będziemy robić u mnie w pokoju? Co interesuje dziewczyny?

Miał dużo komiksów. Nie wiedział, czy Cecilia czyta komiksy. Miał też książki. A może coś upieką? Potrafił upiec ciasto czekoladowe i bułeczki. Ale czy ona lubi piec?

Nie doszedł dalej w swoich dociekaniach, bo Cecilia się zatrzymała. Stała, wpatrując się w ziemię. Anders podszedł do niej, a kiedy zobaczył, co przykuło jej wzrok, ręce mu opadły.

Blisko domu, tuż obok rozrośniętego krzaka agrestu, leżał jego ojciec; leżał na brzuchu, z szeroko rozpostartymi rękami i twarzą zwróconą do ziemi. Cecilia ruszyła w jego stronę, ale Anders złapał ją za ramię.

- Nie - powiedział. - Chodź, idziemy. Cecilia oswobodziła się z jego uchwytu.

- Przecież nie możemy go tu tak zostawić. Może się udusić.

Pierwszy raz zdarzyło się, żeby ojciec był tak pijany, że położył się na ziemi i w środku dnia zasnął; to, że był nietrzeźwy, nie było dla Andersa niczym nowym. Zdarzało się, że wracał wieczorem do domu, miał szkliste oczy i opowiadał bzdury. Anders starał się wtedy po prostu go unikać. Teraz było mu tak strasznie wstyd, że nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Cecilia uknęła obok leżącego na ziemi śpiącego ojca i chwyciła go za ramię.

- Hej! Halo!

Nagle odwróciła się do Andersa.

- Jak on ma na imię? - spytała

- Johan. Ale zostaw go. Jest pijany.

- Johan - powiedziała Cecilia i dalej tarmosiła go za ramię. - Nie możesz tak leżeć, Johan!

Ciało Johana przeszedł dreszcz, z jego płuc dobyło się chrząknięcie niczym z dna otchłani. Mężczyzna uniósł głowę i przewrócił się na bok. Cecilia się cofnęła. Okazało się, że Johan leżał na do połowy pełnej plastikowej butelce, która zniekształciła się pod ciężarem jego ciała.

Ojciec spojrział na Cecilie; jego oczy wyglądały, jakby były z brudnego szkła, z ust pociekła mu strużka śliny i upadła na trawę. Zamlaskał, chrząknął i wybełkotał: „Kochajcie się”.

Poczucie upokorzenia przygniotło Andersa do ziemi i oblało jego policzki purpurą. Ręka ojca szukała stopy Cecylii. Kiedy nie udało mu się jej złapać, spojrział na nią i wymamrotał:

- Tylko uważajcie na morze.

Wstyd eksplodował w Andersie ślełą furią; podbiegł do ojca i zamachnął się, jakby chciał go kopnąć. W ostatniej chwili przebłysk rozsądku kazał mu jednak wyhamować, tak że trafił nogą nie w głowę ojca, tylko w plastikową butelkę, która poleciała do góry, spadła i zaczęła się turlać po zarośniętym trawniku.

Ale na tym się nie skończyło. Kąciki ust ojca uniosły się w głupkowanym uśmiechu. Anders byłby się na niego rzucił w gniewie, gdyby Cecilia nie chwyciła go za rękę i nie odciągnęła go.

- Przestań! Przestań! To nic nie da!

- Nienawidzę cię! - krzyczał Anders do ojca. - Rozumiesz, że nie mogę na ciebie patrzeć!

Potem uciekł. Nie miał żadnych słów, które mógłby powiedzieć Cecylii; nic, co mogłoby cokolwiek usprawiedliwić czy wytłumaczyć. Był śmieciem i miał ojca, który też był śmieciem, a nawet gorzej, był gównianym śmieciem. Żaden z jego kolegów nie miał rodziców, którzy by się tak zachowywali. Rodzice jego kolegów pili wino, a potem dopisywały im humory, ale nie leżeli, śliniąc się na trawniku przed własnym domem w środku dnia. To zdarzało się tylko nic niewartym ojcom wieśniaków.

Anders zbiegł po skałach do portu, byle dalej, dalej. Weźmie do ręki wielki kamień i wskoczy do morza, zniknie, przestanie istnieć.

Minął szopy przy nabrzeżu i wybiegł na niewielki pomost, przy którym cumowały kolorowe żaglówki; minął je i biegł dalej. W końcu się zatrzymał; stał i patrzył w błyszczącą wodę. Potem usiadł na krawędzi pomostu.

Zabiję go.

Siedział dłuższą chwilę, zastanawiając się nad różnymi sposobami pozbycia się ojca. Nagle usłyszał za sobą kroki. Miał ochotę skoczyć do wody, ale nie zrobił tego, tylko siedział dalej. Zza pleców usłyszał głos Cecylii.

- Anders?

Pokręcił głową. Nie chciał rozmawiać, jego tu w ogóle nie było, nie był Andersem, to wszystko w ogóle się nie działo. Usłyszał lekki szelest szortów Cecylii,

kiedy usiadła za nim na pomoście. Nie chciał, żeby go pocieszała ani nic takiego. I tak nie uwierzyłby jej. Chciał, żeby odeszła i zostawiła go w spokoju.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

- Moja mama zachowuje się tak samo - odezwała się nagle.

Anders znów pokręcił głową.

- To prawda - powiedziała Cecilia. - No, może nie dokładnie tak samo. Ale podobnie.

Ponieważ Anders milczał, mówiła dalej.

- Kiedy za dużo wypije, robi się... dziwna. Kiedyś wyrzuciła mojego kotka przez balkon.

- I zabił się? - spytał Anders, odwracając się do niej.

- Nie. Mieszkamy na pierwszym piętrze. Ale okropnie się przestraszył, i potem wszystkiego się bał.

Siedzieli w milczeniu. Anders wyobraził sobie kotka wyrzucanego z balkonu pierwszego piętra. To znaczy, że ona też mieszka w bloku, pomyślał i odwrócił się, żeby móc ją widzieć kątem oka. Siedziała na pomoście po turecku, z brodą wspartą o dłoń.

- Mieszkasz tylko z mamą? - spytał.

- Tak, ale kiedy zaczyna się tak zachowywać, to idę do babci. Babcia jest super. Czasem u niej nocuję.

Anders widział mamę Cecilii kilka razy, nigdy nie była pijana. Chociaż, kiedy teraz zaczął się zastanawiać, to miała ten wygląd. Jakieś napięcie w twarzy i coś w oczach. Może jednak był pijana, tylko nie było po niej tego widać tak jak po tacie.

Wrócili do rozmowy, która po jakimś czasie zeszła na całkowicie inne tematy. Okazało się, że Cecilia też lubi piec i czytać książki, najbardziej powieści Marii Gripe. Anders czytał jedynie *Żuki latają o zmierzchu*, ale Cecilia opowiedziała mu treść kilku innych, które go też zaciekały.

Potem, z perspektywy czasu, Anders zrozumiał, że ten dzień właściwie przyniósł mu wiele dobrego. Co prawda on i Cecilia pocałowali się dopiero następnego lata, stali się parą, tam przy tym wielkim gładzie polodowcowym. Wszystko jednak zaczęło się właśnie tego dnia.

Droga do domu

Silnik zaskoczył już za pierwszym razem i łódka zaczęła się oddalać od Gåvasten. Płynął z dużą prędkością, co dawało mu poczucie bezpieczeństwa.

Nie sądził, żeby jakaś mewa była w stanie lecieć piętnaście węzłów na godzinę. Po kilkuset metrach odwrócił się i spojrzął za siebie. Mewy znów krążyły nad latarnią.

Podniósł plastikową butelkę i zaczął przechylać to w jedną, to w drugą stronę. Ciecz w butelce była nieprzejrzysta, mętna. Bolesna jasność, która przed chwilą go dotknęła, była także widoczna w oczach ojca tego dnia, kiedy patrzył na niego i na Cecilie.

Kochajcie się. Tylko uważajcie na morze.

Można powiedzieć, że po tamtym dniu tak w skrócie wyglądało życie Andersa. Tylko dlaczego ojciec wtedy napił się piółunu? Przecież w końcu to nie morze go pokonało.

Chociaż?

Kiedy to się stało, Anders miał dwadzieścia dwa lata. Ojciec przeszedł już wtedy na wcześniejszą emeryturę, bowiem coraz częściej przytrafiały mu się „incydenty”. Potrafił przyjść do pracy lekko zamroczony albo nie pokazywać się w stoczni przez kilka dni; potem wracał, pracował jak zwykle przez tydzień i znów znikał. Na dłuższą metę było to niemożliwe i w końcu wysłano go na wcześniejszą emeryturę.

Nadal jednak był lubiany przez kolegów i kiedy czasem okazywało się, że potrzeba kogoś do pomocy, zawsze dzwoniło do niego, sprawdzić, jaka jest sytuacja. Jeśli wszystko było w porządku, przychodził, robił, co trzeba, i dostawał kilka koron na boku.

Między innymi miał swój udział w stawianiu nowej hali do przechowywania żaglówek letników. Kiedy więc świętowano zatknięcie wiechy, też oczywiście został zaproszony. Hala nie była jeszcze gotowa, ale krokwie były już położone, a ponieważ dawno niczego nie świętowano, postanowiono wydać przyjęcie.

Ludzie pili, rozmawiali, zrobiło się późno. Nad ranem Johan pożegnał się i ruszył chwiejnym krokiem w stronę portu. Miał wrócić łódką do domu. Nie było to nic nadzwyczajnego, wiedzano, że dopłynie na Domarö nawet z zamkniętymi oczami.

Koledzy życzyli mu „dobrej nocy”, ostrzegali, żeby na siebie uważał. „Nie wpadnij po drodze na łosia”, żartowali. Rozstano się i to był ostatni raz, kiedy widziano go po tej stronie rzeki.

Nikt dokładnie nie wiedział, co naprawdę się stało. Podejrzewano, że Johan poszedł do portu, gdzie nagle zmogło go zmęczenie, albo może po prostu uznał, że nie będzie po nocy wracał do domu. Wziął więc jakiś brezent, plandekę i zrobił sobie posłanie. Brezent posłużył mu za materac, plandeka za koc.

Leżał tam zapewne i spał, kiedy o siódmej rano w porcie zjawiała się ciężarówka z transportem piachu dla miejscowej odlewni. Za kierownicą siedział Torbjörn, który też był na zabawie, i rano trochę zasnął. Kiedy w

tylnym lusterku zobaczył stertę plandek i brezentów, nie chciało mu się wyjść z samochodu i je usunąć, zaczął cofać ciężarówkę prosto na leżącą stertę.

Czuł, że tylne koło jakby podskoczyło, ale dalej cofał; przednie koło też podskoczyło, chociaż mniej, a on cofał dalej. Dopiero po kilku metrach odwrócił się i zerknął na stertę plandek. Zauważył, że coś spod nich wypływa. Dopiero wtedy zatrzymał ciężarówkę i wyszedł.

Potem Torbjörn nie mógł sobie darować, że nie zauważył łodzi Johana przy pomoście. Może wtedy byłby czujniejszy, bo przecież wiedział, że Johan czasem zasypiał w najmniej oczekiwanych miejscach. Niestety, nie pomyślał o tym i przejechał po nim ciężarówką z pięcioma tonami piachu. Widoku, jaki ukazał się jego oczom, kiedy podniósł plandekę, nie zapomniał do końca życia.

Potem mówiono, że obok ciała Johana znaleziono butelkę samogonu. Teraz Anders wiedział, co to było.

Nocą, kiedy stanął na brzegu morza, nad otchłanią, którą musiał pokonać swoją łódką, ojciec Andersa po prostu się przestraszył. Poszedł więc na łódź po butelkę piolunu, by dodać sobie odwagi, i się chronić.

Nie wiadomo, czy się zatruł, czy może nadal się bał, ale najwyraźniej postanowił nie płynąć, tylko przespać się w porcie; ułożył się na brezencie, skulił się. Jak dziecko.

Jak ja.

Skulił się, nakrył plandeką, mając nadzieję, że to zniknie i zostawi go w spokoju.

Anders miał wszystko przed oczami. Morze, noc, strach. Rozumiał, jak to jest, kiedy zostawiwszy za sobą ludzi i światła, człowieka nagle ogarnia strach. Strach, z którym nie ma dyskusji. Wtedy zostaje tylko jedno wyjście: „Schowaj się! Niech to cię nie zobaczy!”

- Tatusiu... biedaku...

Oścień

Simon siedział wyprostowany przy kuchennym stole, trzymając ręce przykładnie na kolanach, podczas gdy Anna-Greta buszowała po szafach i kufrach. Wybierała suknię ślubną, a Simon czekał, aż mu ją zaprezentuje.

Cały ranek trwały przygotowania do ślubu. Dzwonili do ludzi, zapraszając ich na swoją uroczystość, zarezerwowali salkę w domu parafialnym na skromny poczęstunek, który zamówili we Flygfyren w Norrtälje. Rano przed ślubem Anna-Greta miała jechać do przyjaciółki w Nåtén, która kiedyś była fryzjerką,

i знаła się na takich sprawach.

- A co ja będę wtedy robił? - spytał Simon.

Anna-Greta się roześmiała.

- Zapewne będziesz się cieszył... ostatnimi godzinami swojej wolności. Będziesz wiązał muchę.

Simon zadzwonił do Görana. Zaprosił go na przyjęcie i jednocześnie obiecał, że swoje ostatnie godziny wolności poświęci na szukanie odpowiedniego miejsca na jego studnię. Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby nie zwariować.

Chociaż Anna-Greta istotnie przyspieszyła cały proces, jakby jak najszybciej chciała mieć wszystko za sobą, to jednak poszczególne jego elementy były stałe. Omawiano więc sprawę przyjęcia, zamówiono jedzenie, zaproszono gości. Po tem Anna-Greta uznała, że musi zadbać, żeby ładnie wyglądać. No i teraz ta historia z suknią ślubną.

Całe to zamieszanie sprawiło, że także Simon uległ nastrojowi chwili. Siedział więc i zastanawiał się, czy powinien włożyć lakierki, a w ogóle to, czy one są jeszcze na niego dobre. No i czy powinien użyć brylantyny do włosów.

Nagle dochodzące z szafy hałasy umilkły, Anna-Greta najwyraźniej coś jednak znalazła. Po chwili wyszła. Simon się wyprostował. Prawdę mówiąc zaczął się tym wszystkim nieźle bawić. Ślub i towarzyszące mu przygotowania obnażyły nowe oblicze Anny-Grety, bardziej kobiece niż to zwykłe, codzienne. I nawet mu się ono podobało, byle tylko nie przesadziła.

Anna-Greta weszła do kuchni z kilkoma sukienkami przewieszonymi przez rękę. Położyła je na kuchennej ławie, a potem po kolei pokazywała Simonowi, któremu szczególnie do gustu przypadła beżowa sukienka z dość grubo dzianego materiału, haftowanego w białe kwiatki. Okazało się, że tę samą wybrała też Anna-Greta, więc sprawa była jasna. Kiedy Anna-Greta odwiesiła sukienki, sięgnęła do ławy, wzięła z niej coś i położyła na stole przed Simonem.

- Pamiętasz to? - spytała. - Znalazłam go w kufrze.

Na stole leżał niewielki metalowy oścień. Simon wziął go i zaczął obracać między palcami. Tak, pamiętał.

Kiedy Johan miał osiemnaście lat, pomagał Simonowi urządzić grządkę z ziołami dla Anny-Grety. Przekopując ziemię, Johan znalazł oścień. Wypożyczyli książki, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, i doszli do wniosku, że oścień miał co najmniej tysiąc lat.

Znalezisko wzbudziło zainteresowanie Johana do tego stopnia, że wypożyczył kilka książek, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Najbardziej fascynował go

fakt, że ich działka, miejsce, na którym stał ich dom, znajdowało się kiedyś pod wodą, i to głęboko pod wodą.

W szkole uczył się o ruchach tektonicznych ziemi, o tym, jak wyspy wyłoniły się z morza, i nadal się wyłaniały, około pół centymetra rocznie. Oścień czynił to wszystko bardziej realnym, konkretnym. Ktoś, tysiąc lat temu, siedział w łodzi i łowił ryby, dokładnie nad ich działką, no i zgubił oścień. Myśl ta nie dawała Johanowi spokoju.

Chłopak nigdy wcześniej nie pasjonował się czytaniem, a teraz całe lato studiował historię archipelagu, a w szczególności historię Domarö. Doszło nawet do tego, że zaczął się zastanawiać, czy nie ubiegać się o przyjęcie na uniwersytet, na geologię czy na coś podobnego, ale kiedy nadeszła jesień, zwolniło się miejsce dla ucznia w stoczni w Nåtén i plany studiów poszły w zapomnienie.

Oścień też został zapomniany i w końcu wyładował na dnie jakiegoś kufra.

Simon trzymał w ręku drobne widelki. Oścień ważył około pół kilograma i pewnie kiedyś był osadzony na trzonku, który zmurszał dawno temu. Używano go do połowu ryb, nadziewano je na niego, wyciągano na powierzchnię, zjadano. Człowiek, do którego kiedyś należał, pewnie zrobił sobie nowy, którym dalej polował na ryby, zjadał je. Wszystko na próżno. Bo i on z czasem odszedł, został złożony w ziemi i przestał istnieć. Tylko oścień pozostał.

- Co tak naprawdę stało się z Johanem? - spytał nagle Simon.

Anna-Greta złożyła starannie swoją suknię ślubną i włożyła ją do foliowej torby. Simon pomyślał, że może zadał głupie pytanie, ale przecież to ona sama niejako wywołała temat, przynosząc oścień.

Już pogodził się z faktem, że nie dostanie żadnej odpowiedzi, kiedy nagle Anna-Greta położyła torbę z suknią na kuchennej kanapie i spytała:

- Słyszałeś kiedyś o Gunnilsöra?

- To ta wyspa, którą czasami widać. Która się pojawia i znika? Czemu pytasz?

- A co o tym myślisz?

Simon nie bardzo wiedział, do czego Anna-Greta zmierza.

- A co tu jest do myślenia? O ile wiem, tłumaczono to sobie na wszelkie możliwe sposoby: jedni mówią, że to raj, drudzy, że siedlisko wszelkiego zła. Zapewne jest to jakieś zjawisko optyczne. Może zależne od pogody?

Anna-Greta powiodła palcem po widelkach, które wyczyszczone kiedyś przez Johana, nadal były lśniące i gładkie.

- Wołała go. Wyciągnął kiedyś ryby, których nie powinien był wyciągnąć.

- Wyspa go wołała? Jaka wyspa?

- Mówił, że leży gdzieś w pobliżu Gävåsten. Ale że się przemieszcza. Której nocy była nawet blisko ich domu, tak mówił. I że na niego wołała. Pamiętasz, jak on się bał? Zawsze był przerażony.

- To prawda - potwierdził Simon.

Przypomniał sobie pełnego życia chłopca, który kiedyś znalazł w ziemi ościę, i coraz bardziej zagubionego i nieobecnego mężczyznę, którym z czasem ten chłopiec się stał.

- To brzmi dość nieprawdopodobnie. Wyspa? Która poluje na człowieka?

Anna-Greta pochyliła się i zniżyła głos.

- Nigdy nie słyszałeś morza? Nie słyszałeś, jak woła? - spytała szeptem.

Gdyby tydzień temu zadała mu to pytanie z takim lękiem w głosie, Simon pewnie zacząłby się obawiać, że coś jest nie w porządku z jej zdrowiem psychicznym. Ale tydzień temu nie widział jeszcze głębi, nie spuścił ciała człowieka w morską otchłań.

- Nie wiem - odpowiedział więc. - A ty? Wierzysz w to?

Anna-Greta patrzyła przez okno, jej wzrok stał się nieobecny, jakby powędrował gdzieś daleko, na skraj horyzontu.

- Opowiadałam ci kiedyś o Gustavie Janssonie? - spytała. - Tym latarniku? Na Wielkim Krzyżu? - dodała.

- Tak. Znałaś go, prawda? Anna-Greta przytaknęła.

- To właśnie od niego się zaczęło. W moim przypadku.

Latarnik

Wielki Krzyż był ostatnią latarnią morską na granicy Morza Alandzkiego. Wyspa, na której postawiono latarnię, była tak daleko, że latarnik oprócz zwykłej pensji dostawał także tak zwane „samotne”. Skromną gratyfikację za to, że przyszło mu żyć na takim odludziu.

Od końca lat trzydziestych do początku pięćdziesiątych latarnię obsługiwał i o wszystko dbał Gustav Jansson. Pierwotnie pochodził z Domarö, ale był typem samotnika. Nie lubił kontaktów z ludźmi, więc kiedy zwolniła się posada latarnika, przyjął ją, uznając, że nareszcie będzie miał spokój. Spędził na wyspie trzynaście lat, a jego jedynym towarzystwem były cztery kury.

Wojny nie lubił. Przeszkadzał mu hałas podczas ćwiczeń na morzu i wybuchy, kiedy wysadzano miny, najgorsze jednak było to, że na wyspie zaczęli się pojawiać ludzie. Wojsko składało mu niezapowiedane wizyty, wypyując go o

różne sprawy. Łodzie przybijały do brzegu podczas rejsów rozpoznawczych. Przez moment były też plany zamienienia latarni w twierdzę, na szczęście jednak na planach się skończyło.

Tego tylko brakowało. Żeby zainstalowano mu działa armatnie na skałach i sprowadzono rekrutów, którzy szwendaliby się po wyspie, palili papierosy i straszili jego kury.

Nie zgodziłby się na to, natychmiast zrezygnowałby ze służby.

Jednak wojna miała też przynajmniej jeden plus.

Gustav Jansson nie był nigdy żonaty. Nie żeby miał coś przeciwko kobietom, to znaczy nie lubił ich tak samo jak nie lubił mężczyzn; był samotnikiem i nie nadawał się do małżeńskiego życia we dwoje.

Z wojną pojawiła się jednak na jego wysepce kobieta, którą był w stanie tolerować. Nie na tyle, żeby się z nią żenić, to znaczy gdyby taka propozycja padła, ale znosił jej towarzystwo i musiał przyznać, że z czasem nawet się cieszył, gdy wiedział że ma się zjawić w jego samotni, przywożąc gazety i tabakę.

W końcu był przecież mężczyzną i doceniał kobiecą urodę; jednak Anna-Greta zdobyła jego serce przede wszystkim tym, że nie mówiła bez potrzeby. Milczenie Gustava miało zwykle taki efekt, że ludzie zaczynali się denerwować, a wtedy mówili więcej niż zwykle, jakby chcieli wypełnić i jego normę.

Ale nie Anna-Greta. Dopiero po roku znajomości zaczęli wymieniać między sobą uwagi, które nie miały związku z interesami. Gustav kupił kiedyś od niej układankę. Kiedy skończył ją układać, zapragnął kupić kolejną, a to wymagało kilku uściśleń: musiał określić motyw, i powiedzieć, z ilu części ma się składać.

Stał się stałym odbiorcą układanek, głównie z motywami morskimi. Ponieważ nie miał miejsca, żeby przechowywać ułożone już plansze, to zwykle po ułożeniu, rozbierał je na części i wkładał z powrotem do pudełka. Raz w miesiącu przyplýwała Anna-Greta, zabierała starą układankę i wręczała mu nową. Za pół ceny, ponieważ starą zawsze mogła jeszcze komuś sprzedać.

Z czasem zaczęli też rozmawiać o rzeczach, które nie miały bezpośredniego związku z ich interesami. Powstała między nimi pewna zażyłość.

Kilka lat po zakończeniu wojny uznano powszechnie, że Gustav Jansson postradał zmysły. Swoją służbę wypełniał wręcz brawurowo, nikt nie miał żadnych zastrzeżeń, ale rozmawiać z nim się nie dało. Za dużo naczytał się Biblii.

Anna-Greta wiedziała jednak swoje. To prawda, że poza układankami jedyną jego rozrywką na szkiearach była Biblia. Znał ją na pamięć, czasem nawet odgrywał dialogi, gdzie raz występował jako surowy prorok, a raz jako wolnomyśliciel.

Szalony jednak z pewnością nie był. Po prostu doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem na pozbycie się nieproszonych gości było wygłaszanie kazań. Gdy ludzie cumowali przy jego pomoście, on wychodził im naprzeciw ze Słowem Bożym. Większość nie bardzo wiedziała, jak na to reagować; ludzie czuli się nieswojo, wizyty nie trwały długo. W końcu zostawiano Gustava w spokoju, z jego latarnią i Bogiem.

Pewnego popołudnia na początku lat pięćdziesiątych Anna-Greta zawitała na wyspę ze swoją comiesięczną wizytą nieco później niż zwykle. Wiał północny wiatr o sile dwunastu metrów na sekundę i Gustav był zdziwiony, że w ogóle zdecydowała się wypłynąć. Kiedy wypakowała swoje towary, wiatr jeszcze przybrał na sile. Przy niektórych porywach wskazówka wiatraka, służącego do pomiaru siły wiatru, wskazywała nawet dwadzieścia metrów na sekundę.

Jeśli sytuacja się nie poprawi, będzie musiała zanoć na wyspie. Przez krótkofalówkę Gustav skontaktował się z Nâten; obiecano poinformować Torgny'ego, Maję i Johana, że Anna-Greta jest zdrowa i cała, i wróci do domu, jak tylko pogoda się poprawi.

Mimo że Anna-Greta i Gustav świetnie się dogadywali w interesach, można było nawet zaryzykować stwierdzenie, że wręcz się przyjaźnili, to jednak Gustav czuł się nieco skrępowany faktem, że kobieta ma nocować na wyspie. Nie bardzo wiedział, co ze sobą począć, był u siebie, a miał wrażenie, że przeszkadza.

Poczuł ulgę, kiedy Anna-Greta dała się namówić na kieliszek gorzałki. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w kuchni, patrzyli na wzburzone morze, na białe grzywy fal widoczne w świetle latarni, i po kilku kolejkach skrępowanie minęło.

Kto tego nie widział, pewno nie uwierzy, ale pod wieczór Gustav zrobił się wręcz gadatliwy. Dołożył dREW do kominka, temperatura się podniosła, a on siedział i opowiadał o zaginionych statkach, o morskich mapach wyrytych na skalnych półkach, o ptakach, które rozbijały się o latarnię podczas swoich jesiennych wędrówek i martwe padały na skały.

Kiedy czerwony na twarzy zdjął wełniany sweter, Anna-Greta zauważyła, że ma podkoszulek włożony na lewą stronę, i zwróciła mu na to uwagę.

- Trzeba się jakoś chronić - odpowiedział Gustav, patrząc na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Chyba nie wierzysz w takie przesady?

- Nie. Ale w to wierzę - odpowiedział Gustav i wyciągnął butelkę z mętną cieczą.

- I ty też powinnaś. Jeśli zamierzasz tu nocować.

Z czystej uprzejmości wypila kieliszek cierpkiego płynu. Wiedziała, że wielu

latarników hodowało piołun i dodawało go do gorzałki, ale to, co podał jej Gustav, było chyba samym piołunem; smakowało obrzydliwie.

- Smaczne to nie jest - stwierdził latarnik, kiedy Anna-Greta odstawiła kiełiszek. - Ale życie trzeba chronić. Jest tego warte - dodał.

Anna-Greta nie zmierzała się jednak tym zadowolić. Alkohol rozwiązał jej język, Gustav też stał się wyraźnie rozmowniejszy i w końcu opowiedział jej, jak naprawdę sprawy się mają, to znaczy jeśli chodzi o morze.

Chce go dopaść, powiedział. Woła go. Mami go wizjami i składa fałszywe obietnice. Grozi. Dlatego sięgnął po Biblię, szukając w niej wskazówek. Wszystko jednak na nic by się zdało, gdyby nie piołun, którego krzaki w dużych ilościach porastały brzegi wyspy i okolicę latarni.

Pomysł okazał się trafny. Morze nie ośmielało się go dotknąć, przestało mu grozić, ustały też nocne szepty, a wszystko od czasu, kiedy zaczął nasycać swoją krew piołunem.

Następnego ranka wiatr ustał i Anna-Greta mogła wyruszyć w drogę powrotną do domu. Zanim odpłynęła, Gustav wręczył jej pudełko po kawie, gdzie razem z grudką ziemi umieścił ukorzoną gałązkę piołunu.

- Dbaj o niego - powiedział pół żartem, pół serio swoim głębokim głosem kaznodziei. - Niech rośnie i się rozmnaża.

Anna-Greta pomachała Gustawowi na pożegnanie i odpłynęła, zostawiając w tyle Wielki Krzyż. Już po chwili usłyszała jakieś dziwne syczenie. Dochodziło z silnika. Natychmiast go zdusiła, bojąc się jakiegś większej awarii, i zaczęła sprawdzać różne kable i połączenia.

Ale syczenie się utrzymywało, mimo że silnik był wyłączony. Dźwięk był łagodny, niemal pieścizotliwy, jak szept. Rozejrzała się dokoła, ale nie mogła zlokalizować jego źródła. Wychyliła się za burtę i spojrzała w głębinę. Woda zdała jej się miękka, zapraszająca jak ramiona kochanka. Zapra gnęła się w nich znaleźć.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała wołanie.

Udało jej się przerwać zauroczenie; włączyła silnik i skupiła się na jego równej pracy, jednak gdzieś z daleka, zza dźwięków korb i tłoków, nadal dobiegał ją szept, będący obietnicą ciepła i cudownej prostoty.

Gustav twierdził, że na Domarö jest więcej ludzi znających tajemnicę morza, tylko że nikt o tym nie mówi. Teraz Anna-Greta zrozumiała dlaczego. Wiedza Gustava nie była bowiem pełna.

Jeśli się nie wiedziało o istnieniu głosu, to się go nie słyszało.

Anna-Greta kontynuowała swój obwoźny handel jeszcze przez kilka lat. Kiedy spotkała Simona, sprzedała łódź, by uniknąć kuszącego szeptu morza. Z czasem zresztą przestało się ono nią interesować i wołania ustały.

Piołun, który dostała od Gustava, zasadziła na brzegu morza, blisko domu, gdzie szybko zaczęła się rozrastać, nie prowokując jednak żadnych pytań.

Razem z Simonem Anna-Greta wkroczyła w inne życie, do którego morze nie miało dostępu. I taka sytuacja trwałaby pewnie nadal, gdyby Johan pewnego wieczoru wiele lat temu nie przyszedł do niej i nie opowiedział jej o wyspie, która go prześladowuje, i o głosach, które do niego ciągle mówią.

Skracając długą opowieść, udało jej się w końcu uprosić Margarete Bergwall, żeby opowiedziała jej wszystko o morzu. Miała teraz wszystkie karty w ręku i jeszcze coś: skuteczny sposób obrony. W ciągu kilku lat piołun pojawił się na działkach wtajemniczonych, a Anna-Greta zyskała powszechne poważanie.

A co z Gustavem Janssonem?

Nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało. Może zabrakło mu piołunu, może coś poszło nie tak, w każdym razie pewnego dnia podczas mroźnej zimy w 1974 roku latarnia nie rozbłysła. W nocy mocno padało i dopiero następnego ranka można było popłynąć na wyspę.

W pomieszczeniu wewnątrz latarni nie było ani butów, ani ubrania wierzchniego Gustava, więc musiał wyjść na lód. Niestety, śnieg, który spadł w nocy, zatarł wszystkie ślady.

Dopiero wiosną, kiedy lód zaczął się topić, natrafiono na pewien trop. Na gładkim lodzie w pobliżu wyspy ukazały się ślady stóp. Tam, gdzie szedł Gustav, śnieg był bardziej ubity i wolniej topniał.

Widniejące na lodzie białe ślady stóp prowadziły w stronę stałego lądu, jakby szedł tędy jakiś duch. Ciągnęły się przez ponad kilometr. I nagle się kończyły. Pośrodku niczego; w miejscu, skąd ledwie widać było Ledinge, widniał ostatni ślad. Potem nie było już żadnego.

Może pozostałe zatarł wiatr, a może w tym właśnie miejscu Gustav upadł i ktoś zabrał go ze sobą w jakieś nikomu nieznanne miejsce.

Tak czy inaczej na pewno zniknął, a rok potem zautomatyzowano latarnię. Mieszkanie latarnika wynajęto stowarzyszeniu ornitologicznemu, które wokół całej wyspy zainstalowało światła ostrzegające, chroniące ptaki przed rozbiciem się o skały.

Korekta

Anna-Greta właśnie skończyła swoją opowieść, kiedy drzwi frontowe się otworzyły. Sądząc po sposobie otwarcia drzwi i po krokach, był to Anders. Kiedy

wszedł do kuchni, miał dziwnie wytrzeszczone oczy i pocierał dłonie tak, jak kiedyś robił to Johan. Nerwowo, niecierpliwie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że pożyczyłem twoją łódź - powiedział. - No i że będę jutro. Wszystkiego najlepszego - dodał.

Najwyraźniej zamierzał od razu wyjść, ale Anna-Greta powstrzymała go.

- Usiądź. Napij się kawy - zaproponowała.

Anders zagryzł wargi, znów potarł dłonie, ale zdjął kurtkę i czapkę i sięgnął po krzesło.

- Wpływałaś gdzieś? - spytał Simon.

Anders przytaknął.

Anna-Greta naląła mu kawy. Wypił, obejmując kubek obiema dłońmi, jakby marzył.

- Byłem na Gåvasten.

- Co się dzieje? - spytała Anna-Greta, kładąc dłoń na jego ramieniu. Anders wzruszył ramionami, jakby przeszedł go dreszcz.

- Nic. Zostałem opętany przez własną córkę, która jest gdzieś tam, w morzu, i mewy czuwają...

- Takich ludzi jest więcej. Takich, którzy zostali... opętani - powiedziała Anna-Greta.

Simon zdziwił się, że mówi tak otwarcie o sprawach morza. Może doszła do wniosku, że i tak nie zdoła zataić tych informacji przed Andersem, więc lepiej żeby dowiedział się wszystkiego teraz. Anders siedział i stukał nerwowo nogą o podłogę, teraz stukanie ucichło. Kiedy Anna-Greta zaczęła opowiadać o tym, co przytrafiło się Karlowi-Erikowi, i o dzieciach na przystani, słuchał jej uważnie.

- Dlaczego? - spytał, kiedy skończyła. - Dlaczego dzieją się takie rzeczy? Jak to w ogóle możliwe?

- Na to nie potrafię ci odpowiedzieć. Ale tak jest. Więc nie chodzi tylko o ciebie.

Anders pokiwał głową; wzrok miał wbity w dno kubka. Jego wargi się poruszały, jakby czytał jakiś niewidzialny tekst, zapisany w fusach. Nagle uniósł głowę.

- Dlaczego są tacy niedobrzy, źli? Bo mam wrażenie, że dotyczy to tylko tych... złych.

Anna-Greta zdawała się dokładnie ważyć każde słowo, zanim mu odpowiedziała.

- Tak... giną niemal wyłącznie ludzie źli. Tak było zawsze, od lat. Źli. Albo agresywni. Elsa Person. Torgny. Sigrid. Zawsze tak było.

Anders patrzył to na babcię, to na Simona.

- Maja nie była zła - powiedział, szukając w ich oczach potwierdzenia dla swoich słów. Nie znalazł go. Oboje wyraźnie unikali jego wzroku i milczeli. Anders podniósł się gwałtownie z krzesła i rozłożył ręce.

- Maja nie była zła! Była dzieckiem. Nie była zła!

- Andersie - powiedział Simon, chwytając go za rękę. Anders wyszarpnął mu się.

- Co wy opowiadacie?

- Nic nie opowiadamy - odezwała się Anna-Greta. - My tylko...

- Wiem, nic nie powiedzieliście. Nic. Tylko że Maja... była zła. Niedobra. To nieprawda. Wcale taka nie była. To jakieś niedorzeczne bajki!

- Sam to mówiłeś - odezwała się znów Anna-Greta.

- Nie, ja nie takiego nie mówiłem. To nieprawda!

Odwrócił się i wybiegł z kuchni. Usłyszeli, jak otwierają się drzwi frontowe, żeby zaraz z hukiem się zamknąć. Simon i Anna-Greta zostali sami; długą chwilę siedzieli w milczeniu.

- On już zapomniał - odezwała się w końcu Anna-Greta.

- Tak - potwierdził Simon. - Tak jest mu lepiej.

Jak było naprawdę

Anders włóczył się bez celu po miasteczku. Poszedł na Kattudden obejrzeć zniszczenia po pożarze. Postął chwilę na brzegu, rzucił kilka kamieni, przebijając cienki łód przy brzegu, wrócił do miasteczka, poszedł na pomost i stał tam długą chwilę, wpatrując się w Gåvasten.

Wrócił do domu, kiedy zaczynało się już zmierzchać. Na drzwiach frontowych znalazł kartkę od Simona z prośbą, żeby przyszedł do domu Anny-Grety. Muszą spokojnie porozmawiać. Anders zerwał kartkę i zmiął ją.

Dom był wyziębiony, ale nie chciał rozpalać w kominku. Simon i babcia zobaczyliby uchodzący z komina dym i przyszliby porozmawiać. A on nie chciał rozmawiać, w ogóle nie zamierzał dyskutować tej kwestii.

Przyniósł koc z dużego pokoju, owinął się nim i usiadł przy stole w kuchni. Wykorzystując ostatnie promienie zachodzącego słońca, zaczął się przyglądać zdjęciom z Gåvasten. Uśmiech Cecilii, nieobecny wzrok Mai, oczy zwrócone na wschód.

Wszystkie rzeczy ze swojego mieszkania złożył w magazynie, wyobrażając sobie, że tu, na wyspie, zacznie nowe życie. Nie wziął ze sobą nawet zdjęcia Mai, tego, na którym była w masce.

Diabelski troll.

Przetarł oczy i pokręcił głową. Znał to zdjęcie na pamięć, nie musiał mieć go przed sobą. Pełna oczekiwania twarz Mai, kiedy udało się jej ich przestraszyć.

Brzydki Mikołaj, brzydkie prezenty...

- Nie!

Wstał od stołu i zakrył uszy dłońmi, jakby w ten sposób chciał powstrzymać wspomnienia. Zapomnieć, jak swoim cienkim głosem śpiewała: „Widziałam, jak tata morduje Świętego Mikołaja...”

Wszystkie dzieci tak robią!

Otworzył szarpnięciem drzwi do spiżarni, znalazł ostatni już karton wina, otworzył go i zaczął pić tak gwałtownie, że z kącików ust poleciały mu strużki wina.

Nasze życie było cudowne... tak ją kochałem...

- Wstrętne, głupie skarpety! Nienawidzę was!

Odwrócił się i zobaczył butelkę z piołunem, wypił łyk i postanowił przepłukać palący, niedobry smak winem. Poczul, jak żołądek wykręca mu się w proteście i wybiegł zwymiotować do toalety, kiedy jednak nachylił się nad kibelkiem, okazało się, że nie ma czym wymiotować. Odbiło mu się żółcią. Usiadł na podłodze i oparł się plecami o ciepły grzejnik.

To nieprawda, że Maja była zła. Owszem, łatwo wpadała w złość. Miała bujną wyobraźnię. Ale nie była niedobra.

Anders odrzucił głowę do tyłu, uderzył się o krawędź grzejnika i przed oczami pokazały mu się czerwone plamy. Ruszył chwiejnym krokiem do kuchni, znów wyjął zdjęcia i zaczął się przyglądać swojej rodzinie. Ciepłe, dobre oczy Cecilii patrzyły w jego oczy. Warga mu drgała, kiedy podniósł słuchawkę i wybrał jej numer. Odebrała po drugim dzwonku.

- Cześć, to ja - powiedział.

Po drugiej stronie dało się słyszeć lekkie westchnienie.

- Po co dzwonisz?

Anders przeciągnął kilka razy ręką po włosach, podrapał się po głowie.

- Muszę cię o coś spytać. Maja nie była zła, prawda?

Żadnej odpowiedzi. Drapał się teraz tak mocno, że zaczął krwawić.

- Bo oni tak mówią - ciągnął dalej. - Tak twierdzą. Ale ty i ja... my wiemy, że to nieprawda.

Sekundy mijały, Cecilia nie odpowiadała, a w jego głowie rosło coś tak ogromnego i bolesnego, że najchętniej zdarłby z głowy całą skórę.

- Anders - odezwała się w końcu. - Po tym wszystkim... zapamiętałeś ją inaczej. Nie taką, jaka była.

- Co ty mówisz? Była cudownym dzieckiem. Była... cudowna - powiedział, a jego głos przeszedł niemal w szept.

- To prawda. Taka też bywała. Ale...
- Zawsze tak uważałem. Że jest cudowna. Zawsze taka była.

Cecilia odchrząknęła, a kiedy znów się odezwała, w jej głosie wyczuwało się pewną ostrość i niecierpliwość.

- Skoro tak twierdzisz. Tylko że tak nie było.
- A jak było? Zawsze uważałem, że jest... najcudowniejszym dzieckiem, jakie można sobie wymarzyć.
- Do tego doszedłeś później. Czasem nie miałeś już do niej siły. Kiedyś zażartowałeś, że wymienisz ją na...

Anders rzucił słuchawkę. Za oknem było ciemno. Trząśił się z zimna. Padł na kolana i ruszył w stronę łazienki, gdzie znów usiadł z plecami opartymi o grzejnik. Siedział tak, wpatrując się w umywalkę; gryzł wargi tak długo, aż poczuł w ustach metaliczny smak krwi.

Ręce miał opuszczone, grzbietami dłoni dotykał podłogi. W łazience unosił się lekki odór uryny, język kleił mu się do podniebienia po dniu picia jedynie wina i piólu. Był zasuszonym nikiem, zerem, pokurczoną resztką czegoś, co być może kiedyś istniało.

- Jestem nikiem.

Powiedział to głośno sam do siebie. Słowa przyniosły mu pocieszenie, więc je powtórzył:

- Jestem nikiem.

To, że jego życie w ostatnich latach było gównem, nie było dla niego żadną nowiną. Dobrze to wiedział. Sądził jednak, że zostały mu przynajmniej wspomnienia pogodnego życia, błogosławionych lat spędzonych z Cecilia i z Mają.

Okazało się jednak, że nie. Nawet tego nie miał.

Zachichotał. Raz, a potem drugi. Następnie położył się jak długi na brzuchu i zaczął lizać podłogę wokół miski klozetowej, a potem samą miskę. Czuł w ustach sól. Do języka przyczepiło mu się kilka włosków, ale lizał dalej. Wyczyścił brzegi, zacieki na desce sedesowej i zakończył, przelżykając gorzką maź, która zebrała mu się w ustach.

No. Już po wszystkim. No.

Wstał, odetchnął głęboko kilka razy i jeszcze raz powtórzył:

- Jestem nikiem.

Powiedział to. Wszystko było jasne. Pewniejszym krokiem podszedł do stołu w kuchni, usiadł i zerknął w stronę Gåvasten, gdzie latarnia zaczęła już wysyłać swoje sygnały w ciemną noc. Unosił się na morzu, w całkowitej ciszy. Żadne fale nadziei, żadne fałszywe wspomnienia nie zakłócały mu widoku.

Opuściłaś mnie.

Tak. Wcześniej nie potrafił nazwać tego uczucia, ale teraz, kiedy go opuściło, czuł jego brak. Mai już w nim nie było. Wypędził ją. Opuściła go.

Nic.

Przez pół godziny siedział z głową opartą o dłoń, przemarznięty do szpiku kości, i próbował zaakceptować prawdę. Maja był okropna. Często przychodziło mu do głowy, że chciałby, żeby jej w ogóle nie było. Wiele razy mówił to głośno: że chciałby, żeby znikła. Żeby mogli wymienić ją na pieska, na małego grzeczne-go pieska.

Chciałem, żeby znikła. No i znikła.

Maja płakała, krzyczała i kopała, jeśli tylko coś nie układało się po jej myśli. Jeśli jakieś rzeczy nie zachowywały się tak, jak sobie tego życzyła, natychmiast je niszczyła. Nie uznawała żadnych granic. Zakazali jej oglądania programów w telewizji, po tym jak kiedyś rzuciła wazonem w ekran, bo bohater kreskówki powiedział coś głupiego. Ileż godzin spędzili oboje, sprząając koraliki, które Maja specjalnie rozrzuciła po podłodze, czy uprząając podarte bloki rysunkowe i komiksy.

Tak było. Kiedyś. Jakby mieli w domu potwora: musieli uważać na każdy swój krok, być czujni, by nie obudzić jego gniewu. Byli z Mają w przychodni i w klinice i nic nie pomagało. Można było tylko mieć nadzieję, że z czasem jej to przejdzie.

Anders szczękał zębami, otulił się szczelniej kocem.

To był powód jego poczucia winy, którą najpierw próbował utopić w alkoholu, a potem wyprzeć, co mu się z niejakim mozołem udało: to nie była jego wina. Ale przecież chciał, żeby znikła, po prostu znikła, i tak właśnie się stało. On to sprawił.

- Wszyscy rodzice, których dzieci uległy wypadkowi, oskarżają się - twierdził terapeuta, do którego w końcu Cecilii udało się go zaciągnąć.

Zapewne tak było. Tylko że ci rodzice po jakimś czasie zrozumieją, że wypadek nie był ich winą, ich dziecko przejechał samochód, zachorowało na raka czy zabłądziło w lesie, nie dlatego, że oni tego nie chcieli. A jeśli nawet, to dziecko zniknęło w sposób naturalny, o ile taki w ogóle istnieje.

Zaś to, że Maja przestała istnieć, jakby w ogóle nigdy jej nie było, było spełnieniem jego życzenia. To, co jej się przytrafiło, było niemożliwe, więc równie dobrze można było stwierdzić, że po prostu ziściło się jego marzenie. Jakkolwiek próbował na to spojrzeć, zawsze dochodził do tego samego wniosku: zabił własne dziecko.

Kiedy odeszła od niego Cecilia, zaczął pić, do nieprzytomności, i wtedy odniósł wrażenie, że ktoś w ciemnościach podał mu ostatnią deskę ratunku: jego wspomnienia zaczęły się zmieniać. W alkoholowym upojeniu wychodził

naprzeciw swojej nowej przeszłości, w której Maja zawsze była cudownym dzieckiem, a on zawsze ją kochał, tak po prostu i bez ograniczeń.

Nigdy nie myślał o niej źle, dlatego nie mógł pojąć, jak mogła zniknąć. Była to wielka tragedia, która nie miała niczego wspólnego z nim, bo przecież on kochał ją ponad wszystko na ziemi.

Tak to wyglądało. Aż do dzisiaj.

Zadzzwonił telefon i Anders się wzdrygnął. Nie miał siły podnieść słuchawki i po sześciu sygnałach telefon umilkł. Nie był w stanie z nikim rozmawiać. Nie istniał, był nikim.

Znów oparł głowę o kolana i zaczął się wsłuchiwać w pustkę. Myśl, która przed chwilą przyszła mu do głowy, była dla niego czymś nowym.

Jeśli chciałem się jej pozbyć... to dlaczego tak strasznie przeżyłem jej zniknięcie? Powinienem się chyba... ucieszyć. Tak w głębi duszy. Bo przecież stało się coś, czego pragnąłem.

Wstał z krzesła. Był zmarznięty, zaczął spacerować po domu, coś skrzypnęło mu w kolanach.

Odpowiedź była właściwie oczywista, i prawdę mówiąc, znał ją od samego początku. Jakkolwiek męcząca była Maja, to jednak przeżyli też wiele dobrych, radosnych chwil. Z czasem było ich nawet coraz więcej. Zmiany, na które tak bardzo liczyli, dokonywały się. Przykładem tego była choćby ich ostatnia wycieczka, do Gåvasten. Przez większość czasu zachowywała się wtedy jak normalne dziecko.

I właśnie to dziecko, ciekawe świata, zadające pytania, pełne energii, kochał nad życie, do tego stopnia, że gotów był znosić historyczne wybuchy i napady złości. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku. I nagle znikła, a jemu zostały jedynie niedobre wspomnienia. Aż w pewnym momencie szala przechyliła się w drugą stronę.

W ogóle jej nie znałem.

Tak było. Kiedy teraz stał na podłodze w kuchni, otulony kocem, zrozumiał, że problem polegał na tym, że nie wiedział, jaka Maja naprawdę była. Dużo czasu zabierało im zajmowanie się nią, różne codzienne czynności. Wiedział, że dzieci potrafią być niedobre, ale czy Maja była niedobra? Tego nie wiedział. Nie znał jej.

A teraz go opuściła.

Pytania o niebo

- *Tatusiu? Co się dzieje, kiedy człowiek umiera?*
- *Jest takie...*
- *Chyba idzie do nieba, prawda?*

Tak...

- *A jak tam jest? Są tam aniołki i chmurki, prawda?*
- *Chciałabyś tam pójść?*
- *Nie, nienawidzę aniołków. Są okropnie brzydkie i głupie. Nie chcę z nimi być.*
- *To gdzie chciałabyś być?*
- *Tutaj. Ale w niebie.*
- *To pewnie tak będzie.*
- *Wcale nie. Bo to przecież Pan Bóg decyduje!*
- *To może zdecyduje, że każdy trafi tam, dokąd chciałby trafić.*
- *To niemożliwe.*
- *Dlaczego?*
- *Bo wtedy każdy miałby swoje własne niebo, a to by się Panu Bogu nie podobało.*
- *Tak sądzisz?*
- *Tak. Bo Pan Bóg jest głupi. Wszystko źle urządził.*

Wizyta

Zbliżała się ósma. Anders nadal siedział przy stole w kuchni, przyglądając się rozrzuconym na blacie fragmentom swojego wcześniejszego życia, próbując złożyć je w coś, co pozwoliłoby mu znów stanąć na nogi. I właśnie w tym momencie usłyszał zbliżający się motorower.

Nadchodzą.

Udało mu się już niemal zapomnieć o Henriku i Björn. Po przespanej nocy zamienili się w odległy sen, w coś, co zdarzyło się dawno temu i nie miało z nim nic wspólnego. A teraz znów nadchodzili. Najbardziej uprzykrzeni chłopcy świata, którzy zdecydowali się służyć morzu. Teraz przyszli po niego.

No to przychodźcie.

Silnik warczał, jakby cały czas jechali na pierwszym biegu. A może to on coś zepsuł, kiedy próbował podpalić motorower? Warkot był coraz bliżej; Anders czekał aż się zatrzymają, wyłączy silnik i otworzą drzwi. Położył jedną dłoń na drugiej i czekał zrezygnowany, co się wydarzy.

A oni minęli dom, pojechali na skały, zawrócili, i na zwolnionych obrotach podjechali pod kuchenne okno. Czekali na niego. Anders oparł się o stół, wstał i wyszedł do nich z kocem zarzuconym na ramiona jak płaszcz.

Widział ich ciemne sylwetki na tle skał. Henrik siedział na siodełku, Björn na skrzyni. Anders zdjął z zawiasów haczyki i otworzył okno. Silnik zgasł.

- Czego chcecie? - spytał.
- Podobno zaginęliśmy - zaczął Henrik - ale nawet martwi będziemy trwać przy tobie aż do dnia....
- Zamknij się. Czego chcecie? - przerwał mu Anders.
- Wybić ci wszystkie zęby, które ci jeszcze zostały w paszczy, bo nam przeszkadzasz. Masz przestać nam przeszkadzać. Na twoim miejscu przestałbym.
- Dlaczego?
- Bo coś złego może się przytrafić komuś z twoich bliskich. Przykro mi, to nie był cytat. Powiedzmy, że jedne dziewczynki są małe, a drugie duże, że wołają cię skały i...

Henrik niemal maniakalnie przytaczał kolejne cytaty, ale Anders już go nie słuchał. Odwrócił się od okna i zaczął szukać latarki. Björn trzymał coś w ręku, i jeśli jego podejrzenia były słuszne...

Latarka leżała w szufladzie z drobiazgami. Wyciągnął ją, wyjął latarkę i zapalił. Rzucił się do okna i poświecił na Björna, podczas gdy Henrik nadal cytował: „...czasem miałem ochotę ją zmordować, wiesz jednak, że nigdy bym nie...”

Światło latarki padło na Björna. Siedział po turecku na skrzyni, a w objęciach trzymał ciało dziecka w czerwonym kombinezonie. Białe odbłaskowe paski po bokach świadczyły, że jest to kombinezon Mai; ten, który miała na sobie tego ostatniego dnia.

Jeszcze przed chwilą Anders był pogrążony w rozmyśleniach, teraz jednak myśli gdzieś się ulotniły i zostało mu jedynie działanie. Wbiegł do dużego pokoju i usłyszał, że ktoś znów włączył silnik.

Drzwi na werandę się zaklinowały, zaczął się z nimi szarpać, tracąc cenne sekundy. W końcu rzucił się na nie z całej siły, potknął się, a kiedy wstał, zobaczył, jak światło motoroweru omiata skały, zmierzając w dół, do morza.

Mam was, dranie przekłete. Nie umkniecie mi.

Gdyby się zatrzymał i pomyślał chwilę, zrozumiałby, że ani Henrik ani Björn nie byli tak głupi, żeby sądzić, że oni odjadą z jego córeczką, a on będzie bezczynnie siedział i się temu przyglądał. Zdziwiłby się też, że kierują się w stronę morza.

Ale Anders nie myślał. Zobaczył, że Björn trzyma w objęciach Maję, usłyszał, że Henrik grozi, że zrobi jej krzywdę, i to wystarczyło, żeby zaczął działać. W samych skarpetkach zbiegł po schodkach z werandy i zobaczył Henrika i Björna stojących na brzegu.

Usta same ułożyły mu się do krzyku i ryknął jak dziki zwierz. Zatrzymali się. Nawet jeśli byli duchami, to ich motorower był po prostu zwykłym motorowerem, który nie jeździł po wodzie. Anders zdawał się nie pamiętać, że raz już

się przekonał, że nie potrafi się przed nimi bronić. Mam was, pomyślał tylko. Jego ciało, a może raczej piołun, mówił mu, że nie mogą mu nic zrobić.

Byli pięć metrów przed nim, kiedy nagle wjechali na wodę. Ciało Andersa biegło dalej siłą rozpędu; zatrzymało się, dopiero kiedy przewrócił się na brzegu. Motorower jechał po wodzie; mijając pomost Henrik pomachał mu ręką na pożegnanie. Anders stał na brzegu z zaciśniętymi pięściami i czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

To niemożliwe! Oni nie mogą tego zrobić!

- Zatrzymajcie się, dranie! Zatrzymajcie się!

Henrik pomachał mu ręką przez ramię. W ślepej furii Anders wbiegł do wody. Która wcale nie była wodą. Po kilku metrach zorientował się, że stoi na lodzie. Zatrzymał się, niezmiernie zdziwiony. Nadal miał w ręku latarkę, więc poświecił dokoła. Woda w zatoce jeszcze nie zamrzła, ale za Henrikiem i Björnem ciągnęła się lodowa ścieżka, na tyle szeroka, żeby zmieścił się na niej motorower ze skrzynią; lodowy most, ciągnący się od miejsca, w którym wjechali na wodę, i dalej w głąb morza.

Anders zaczął biec.

W innych okolicznościach zdziwiłby się pewne, że biegnie obok swojego pomostu, słysząc po obu stronach szum fal, ale on widział jedynie prostą linię między sobą a Mają, odległość, którą musi pokonać, zanim chwyci ją w ramiona.

Biegł długimi krokami; przy każdym kolejnym zetknięciu z lodem jego mokre skarpety przywierały na chwilę do powierzchni, co sprawiało, że nie ślizgał się na lodzie i coraz bardziej zbliżał się do Henrika i Björna. Kiedy dotarł do brzegu, mieli nad nim dwadzieścia metrów przewagi. Teraz z każdym krokiem przewaga ta malała. Motorower posuwał się do przodu dość wolno, powinien ich dogonić.

A co potem?

Nie zastanawiał się nad tym.

Księżyc stał wysoko na niebie, wytyczając srebrzystą drogę, która krzyżowała się z tą lodową na wodzie. Światło reflektora z Gåvasten padło prosto na niego. Najwyraźniej tam właśnie zmierzała, ale nie dotrą do celu, on ich dogoni. Nie wiedział jeszcze jak, ale był pewien, że mu się to uda.

Był dobre trzysta metrów od brzegu. Prawie nie czuł stóp, jakby miał dwa zmarznięte klocki, które same posuwały się do przodu. Był tak blisko motoroweru, że w świetle księżycy widział kosmyki włosów Henrika. Próbował zmotywować swoje ciało do ostatniego wysiłku, kiedy nagle ze skrzyni spadł jakiś tobolek.

Anders zwolnił, poślizgnął się, upadł na kolana na lodowej drodze i poświecił latarką w stronę tobołka, podczas gdy motorower coraz bardziej się oddalał.

Maja, Maja, Maja...

To była ona, nie miał żadnych wątpliwości. Poświecił latarką i dostrzegł łatkę z przodu kombinezonu. Kiedyś Maja miała problem z włożeniem go i dźgnęła go nożem. Cecilia naszyła w to miejsce łatkę z niedźwiadkiem, z Bamse.

- Kochanie? Maleńka?

Podczołgał się do niej i przyciągnął do siebie. Wziął kombinezon w ramiona i krzyknął.

Maja nie miała głowy.

Co oni zrobili, co oni zrobili, co oni...

Zrobiło mu się czarno przed oczami, upadł na małe ciało, dla którego nie było już ratunku. Przygniótł je, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Ciało nie miało głowy, nie miało rąk, nie miało nóg.

Ciemność zamotała swój welon wokół jego głowy, z oddali doszedł go krzyk mew; mew, latających po nocy. Czuł pod sobą ciało Mai, miażdżył je swoim ciężarem.

Skulił się i uniósł nieco głowę, kierując światło latarki w wycięcie kombinezonu. Wewnątrz nie było ciała. Wyciągnął swoją bezwonną rękę i włożył do środka, pomacał. Wodorosty. Kombinezon był wypełniony mokrym morskizywnem.

Leżał chwilę bez ruchu, zastanawiając się nad swoim odkryciem. Krzyk mew był coraz bliżej. Poczul, że po uchu spływa mu strużka zimnej wody i podniósł głowę; podkulił nogi, wstał, trzymając w ręku kombinezon.

Jakieś sto metrów dalej motorower zatoczył kolejne koło. Jego światła pa-trzyły na niego jak złowrogie oko, i znów zaczęły się zbliżać.

Pułapka. To jest pułapka.

Odwrócił się i zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę lądu. Słyszał, jak chlupie woda wokół jego stóp. Lód, po którym wcześniej biegł, teraz zaczynał się topić. Przeszedł jeszcze dziesięć metrów i nagle jego stopy znalazły się w wodzie, lodowy most zaczął trzeszczeć.

Szedł dalej, ściskając w dłoni kombinezon. Po kolejnych kilku metrach lód się załamał i Anders zaczął tonąć. Wiedział, że znikąd nie może oczekiwać pomocy, widział go tylko księżyc. Leżał w zimnej wodzie i patrzył, jak światła motoroweru coraz bardziej się zbliżają.

Spytne. Bardzo spytne.

Pominęli jednak jeden drobny szczegół. Morskizywn pęcherzykowaty, którym wypełniony był kombinezon, zadziałał jak koło ratunkowe. Anders nie poszedł od razu na dno; dostał jeszcze dodatkową chwilę.

Niemal nie był w stanie się ruszać. Już wcześniej był zamarznięty; kiedy w bezsensownym odruchu mimo wszystko zaczął płynąć do brzegu, miał wrażenie, że zaraz pęknie mu kręgosłup, jak lód.

Motorower minął go, Henrik i Björn zahamowali, zajeżdżając mu drogę na ląd. Widział ich niewyraźnie, jakby miał przed oczami błonkę zamarzniętego lodu. Za nią, na tle rozgwieżdżonego nieba, widział zarys drobnych postaci.

Mewy też chciały być obecne.

Poczuł, jak ogarnia go błogi spokój, zrobiło mu się cieplej. To był koniec. Jego wysiłek okazał się próżny, ale to nie miało już żadnego znaczenia. Chociaż coś jednak osiągnął. Zobaczył przynajmniej jej kombinezon. Zawsze coś. Zabierze go ze sobą do swojego grobu w morskiej otchłani. Martwił się tylko, że pewnie zaraz rzucą się na niego mewy, może nawet wyklują mu oczy, zanim...

- Chodź, poszukaj tej, którą kochasz - krzyknął Henrik, zanim zniknął w chmurze mew. Ich krzyk wypełnił noc, rzuciły się na chłopców na motorowerze, zaczęły ciągnąć ich za włosy, dziobać ich twarze.

Björn stanął na skrzyni i zamierzył się na machające wściekle skrzydłami ptaki; jednak gdy udało mu się odgonić jednego, następne pięć siadło na nim, dziurawiąc mu ubranie i wbijając dzioby w jego nieludzkie ciało.

Anders czuł, jak drgają mu powieki, chciał spać, zapaść się w głębinę. Było mu ciepło, spokojnie podziwiał piękne przedstawienie. Widział białe skrzydła mew, mieniące się w księżycowej poświacie, patrzył jak zawzięcie bronią jego skromnej osoby.

Dziękuję wam, piękne ptaki.

Jego lewa ręka chwyciła mocno kombinezon Mai, przestał poruszać nogami. Henrik i Björn dodali gazu i ruszyli w stronę Gåvasten, ciągnąc za sobą stado mew. Anders, nie miał już siły; bił wodę prawą ręką, usiłując jak najdłużej utrzymać się na powierzchni, żeby chociaż jeszcze przez moment móc cieszyć się wspaniałym widokiem.

Dobranoc, chlupiące fale. Dobranoc, chlupiące fale...

Pomyślał, że Henrik i Björn, pozbywszy się mew, postanowili po niego wrócić. Warkot silnika narastał, ale brzmiał jakoś inaczej. Szedł na dno; myśli w jego głowie najwyraźniej też zamarzły i poruszały się w zwolnionym tempie. Woda niemal zasłoniła mu oczy, zaczęła się wlewać do ust, gdy nagle zrozumiał, że słyszy silnik łodzi Simona.

Po chwili silnik zmniejszył obroty, ucichł, zatrzymał się, Anders zachłysnął się zimną wodą, kiedy jakaś ręka chwyciła go za włosy i zaczęła ciągnąć do góry.

W całkowicie niezrozumiały dla siebie sposób dostał się na łódź. Miał wrażenie, że woda rzuciła go na nią; upadł na pokład.

Leżał na plecach i patrzył na gwiazdy i na twarz Simona. Poczul czyjąś zaciśniętą dłoń na swoim czole, i zanim stracił przytomność, miał wrażenie, że widzi, jak z jego ciała unoszą się wodne opary, poczul, jak ciepło przenika do jego krwi. Potem już nic nie widział i niczego nie słyszał.

Dziwne drogi

*Więc nieś mnie. Nieś mnie aż do domu.
Nieś mnie drogą,
po schodkach, przez próg, do środka.
Weź mnie w swe dłonie
delikatnie rozwarłe jak powieki*

Mia Ajvide Gdy dziewczyna pragnie zniknąć

Danina dla morza

Łódź, z leżącym na pokładzie Andersem, przybiła do pomostu. Simon, przy pomocy Spiritusa, usiłował osuszyć jego ubranie, ogrzać go. Poprosił wodę, żeby oddała Andersa, ale na pomoc w przeniesieniu go na ląd nie mógł liczyć.

Po południu Simon i Anna-Greta cały czas obserwowali dom Andersa, wypatrując, czy pali się światło, co oznaczałoby, że wrócił do domu. Wcześniej szukali go w miasteczku, potem dzwoniли do niego do domu, ale nikt nie odbierał. Kiedy nadszedł wieczór, pomyśleli, że może popłynął statkiem i opuścił wyspę. Oby tak rzeczywiście było.

Pełen złych przeczuc Simon ruszył w końcu do domu, by przygotować ubranie na jutrzejszą uroczystość.

Od momentu powrotu Andersa na wyspę nigdy nie kwestionował jego obrażenia o Mai, uznawszy, że nie ma takiej potrzeby. To był jego sposób radzenia sobie z żalobą i jeśli był skuteczny, nie było sensu odbierać mu złudzeń.

Ale sytuacja się zmieniła.

Zmieniła się po tym, jak Elin Grönwall zaczęła podpalać domy na Kattuden, jak Karl-Erik i Lasse Bergwall w amoku pobili się piłami, a Sofia Bergwall zepchnęła dzieci z pomostu do morza. Żli ludzie powrócili na Domarö.

Nie potrafił powiedzieć, czy Maja była naprawdę niedobrym dzieckiem. Miał z nią kilka przepraw, z pewnością nie była „miłym” dzieckiem.

Miewała zmienne humory, była nadpobudliwa i łatwo wpadała w złość. Śmiała się, kiedy ktoś się przewrócił i zrobił sobie krzywdę, to prawda. Uwielbiała zgniatać motyle na proszek między palcami, to też prawda. Ale czy była niedobra? Simon także miał wielki apetyt na życie i fantazję, która dopiero z wiekiem nieco się utemperowała.

A jednak. Mimo wszystko.

Jeśli Anders rzeczywiście nosił w sobie Maję albo tylko jakąś jej część, to nie było dobrze, gdyby był przekonany, że nosi w sobie anioła. Nie było pewne, czy Maja dobrze mu życzy, i Anders powinien być tego świadom.

Tak mniej więcej rozumował Simon, kiedy wcześniej tego dnia nie chciał zapewnić Andersa o tym, że jego córeczka była dobrym dzieckiem. Okoliczności mu na to nie pozwalały.

Anders poruszył się na pokładzie i Simon przyłożył mu pięść do czoła, posyłając kolejną falę ciepła do jego krwi. W lewej dłoni Anders nadal ścisnął czerwony kombinezon, który Simon natychmiast rozpoznał.

Jak to jest możliwe?

Simon stał przed lustrem w swojej sypialni i wyjmował kolejne ubrania, kiedy usłyszał krzyk: „Cholerne łobuzy! Zatrzymajcie się!” Rzucił wszystko, co miał w rękach, i pobiegł do okna w kuchni.

W świetle księżycy nie było łatwo cokolwiek zobaczyć. To, co działo się przy pomoście, zdawało się przeczyć wszelkiej logice, ale natychmiast wyczuł, że sytuacja jest dramatyczna i najszybciej, jak mógł, pokuśtykał do drzwi, a potem ruszył prosto na pomost.

Kiedy wchodził do łodzi, zauważył, że Anders zatrzymał się na zatoce.

Spiritus, Spiritus...

Na szczęście miał przy sobie pudełko od zapalek, dotknął je i natychmiast zrozumiał, co się wydarzyło. Anders najwyraźniej też musiał mieć swojego Spiritusa, tylko, podobnie jak Simon, nikomu się z tym nie zdradził. Bo jak inaczej wytłumaczyć pasmo lodu, które leżało na wodzie niczym kładka?

Simon wpompował nieco benzyny do silnika, pociągnął za linkę i silnik zapalił. W podnieceniu zapomniał wcisnąć gałkę zasysacza i musiał ponownie pociągnąć za linkę. I to kilka razy. Tymczasem Anders zawrócił, ruszył w stronę lądu, i nagle zaczął tonąć.

Kiedy Simon zobaczył światła motoroweru, jadącego po wodzie prosto na Andersa, zrozumiał, że zjawisko to nie da się wytłumaczyć istnieniem kolejnego Spiritusa. Że w ogóle nie da się wytłumaczyć, zdążył pomyśleć, zanim zwolnił cumy i na pełnym gazie ruszył w stronę stada ptaków, które nagle spadło z nieba.

Anders zakasłał kilka razy i otworzył oczy. Spojrzał na Simona i pokiwał głową. Potem przyciągnął do siebie kombinezon, przycisnął go do piersi.

- Oszukali mnie - powiedział.

Dłuższą chwilę milczał, leżąc nieruchomo na pokładzie z kombinezonem w rękę. Po jakimś czasie podciągnął się i usiadł, opierając się plecami o środkową ławkę. Spojrzał na siebie, chwycił za koszulę.

- Dlaczego nie jestem mokry? - spytał.

Patrzył na Simona, marszcząc brwi.

- Jak wyciągnąłeś mnie z wody?

Simon podrapał się po karku i zaczął się przyglądać łatce na kombinezonie. Bamse niósł słoiki z miodem, więc chyba powinien być zadowolony. Jednak w słabym świetle księżyca, trudno było się zorientować w jego nastroju.

Anders odwrócił głowę do tyłu i spojrzał na zatokę, na miejsce, w którym Simon go wyciągnął.

- Czy to się naprawdę zdarzyło? Może tylko... Naprawdę tak było?

Simon zamknął oczy, po chwili otworzył je i odchrząknął.

- Tak, to się wydarzyło naprawdę - powiedział. - Myślę, że powinieneś się kilku rzeczy dowiedzieć - dodał.

U Anny-Grety był włączony telewizor, chociaż właściwie niczego nie oglądała. Miała po prostu taki zwyczaj, pewnie niezbyt dobry. Simon posadził więc Andersa przy stole w kuchni przy akompaniamencie krzyczących i strzelających do siebie ludzi; okrył go kocem i nalał mu kieliszek koniaku.

Kiedy Anna-Greta poszła do dużego pokoju, żeby wyłączyć telewizor, Simon podążył za nią. Stojący przed szarym blokiem spocony mężczyzna zniknął nagle z ekranu.

- Musimy mu powiedzieć. O wszystkim - wyszeptał.

Żaden mięsień w twarzy Anny-Grety nie drgnął. Patrzyła na Simona.

- Ale wtedy on też... - zaczęła i wykonała niemal niewidoczny ruch głową w stronę wnuka.

- Wiem - powiedział Simon. - Ale to nie ma znaczenia. Ono już go szuka. Anders musi wiedzieć, o co chodzi.

Pokrótce opowiedział Annie-Grecie, co wydarzyło się w zatoce. A potem poszli razem do kuchni, usiedli naprzeciwko Andersa i opowiedzieli mu całą historię.

Porzucony

Kąpiel stalowa. Anders nigdy nie rozumiał znaczenia tego określenia. Nie do

końca wiedział, co ono znaczy, ale potrafił sobie wyobrazić, jakie to musi być uczucie.

Rozpaczal, był nikim, a potem podążył za płonną nadzieją. Był skrajnie wychłodzony, ale w ciągu zaledwie paru minut zdołał się rozgrzać. Miał wrażenie, że został poddany procesowi odwrotnemu do tego, który powoduje hartowanie się stali; został rozhartowany, tak to odczuwał. Wszystkie nerwy miał na wierzchu, jego ciało się rozpadało jak zgniła gruszka. Jeśli nie przytrzyma się stołu, za chwilę zostanie z niego tylko kałuża. Z każdą szklanką wody, którą wypijał, czuł się coraz bardziej rozcieńczony.

Anna-Greta i Simon opowiedzieli mu o wszystkim. O przeszłości Domarö, o pakcie zawartym z morzem, i o ludziach, którzy co jakiś czas znikali. O wyspie, która prześladowała jego ojca, a także o tym, jak ostatnio morze się zmieniło.

Anders słuchał, rozumiejąc, iż dowiaduje się rzeczy zadziwiających, niezwykłych. Ale to wszystko jakby do niego nie docierało, jakby słowa padały gdzieś obok. Jego wzrok przykuwał czerwony kombinezon, który teraz suszył się przed piecykiem.

Słuchał uważnie i uznał, że jest to po prostu historia jak wiele innych. Nie miał z tym nic wspólnego. Gdyby miał coś opowiedzieć, opowiedziałby o Mai, ale ta sprawa była już zakończona. W głowie miał tylko jedno.

Oszukali mnie. Oni. I ona.

Słowa świdrowały mu mózg, jak dentystyczne wiertło. Maja miała w tym wszystkim swój udział. Opuściła go i poszła z nimi. Stała się jednym ze złych duchów, dołączyła do złych ludzi, którzy odeszli z tego świata, zostali złożeni w ofierze, albo dobrowolnie oddali się morzu. Wszystko to było grą, która miała zwabić go do Gåvasten.

Do Gåvasten.

A on dał się zwabić. Przypuszczał, że porwaliby go wcześniej; za dnia. Gdyby nie mewy. Bo mewy go nie atakowały, one go broniły, tworząc ścianę między nim a tymi, którzy chcieli go porwać.

Pociągnęłaś mnie za sobą. A potem mnie zostawiłaś.

Cały czas wyczuwał obecność Mai. Najpierw sądził, że jest gdzieś w domu, potem zrozumiał, że jest w nim, w jego ciele. Teraz go opuściła. Wiedział to. Wykonała swoje zadanie. I porzuciła go.

Godziny mijały, Anders zadawał pytania, by opowieść mogła toczyć się dalej. Bał się zostać sam ze swoimi myślami.

Gåvasten.

Kamień darów. Miejsce ofiarne. Gdzie składano dary. Miejsce, które te dary przyjmowało. Brało je.

Jemu zabrało wszystko. Anders nie słyszał już głosów Simona i Anny-Grety. Wpatrywał się w czerwony kombinezon Mai. To koniec. Nie miał już po co żyć.

Po co miałbym żyć?

Słyszał głosy w tle i próbował znaleźć choć jeden powód, dla którego powinien pozostać tu, na ziemi. Nie znajdował żadnego. Każdy człowiek dostaje pewną ilość możliwości i pewną ilość dróg do wyboru. On dotarł już do końca ich wszystkich.

Jedyne, co pozostawało, to strach przed bólem.

Nie zauważył, że głosy Simona i Anny-Grety ucichły; siedział pogrążony we własnych myślach, szukając najlepszego sposobu.

Na pewno nie chciał utonąć. Powiesić się też nie zamierzał, to było obrzydliwe, a poza tym niepewne. Nie miał żadnych pigulek. Mógł zapić się na śmierć, ale to zajęłoby zbyt dużo czasu.

Przez moment spojrzął na siebie z zewnątrz i doszedł do wniosku, że myśli te dają mu spokój. W końcu się zdecydował i... Nie, nie czuł się z tym dobrze, ale ból się zmniejszył. Poza tym gdzieś w głębi jego duszy pojawiła się też nadzieja.

Że będzie lepiej.

Istniała przecież możliwość, aczkolwiek niepewna, że tam, po drugiej stronie, naprawdę coś jest. Jakieś miejsce, stan ducha, gdzie jest radość i szczęście. I że jest tam też miejsce dla niego. Nie był wierzący, ale...

Wszystko jest możliwe.

Tak, wszystko było możliwe. Czyż nie dowiodły tego ostatnie tygodnie? Tak naprawdę my, ludzie, nic nie wiemy; dlatego wszystko jest możliwe, także niebo czy raj. Dlaczego nie?

I wtedy przyszło mu to do głowy. Śrutówka. Ta z opowieści Simona i Anny-Grety. Wiedział, że Anna-Greta nie lubi wyrzucać rzeczy, więc śrutówka powinna gdzieś tu być, pewnie w składziku.

Pokiwał głową. Śrutówka to dobry pomysł. Spełniała wszystkie jego warunki. Wszystko działo się szybko, było pewne, poza tym czy to nie piękne posłużyć się bronią, która kiedyś uratowała życie jego ojcu, a więc pośrednio i jemu? Dała mu życie, a teraz mu je odbierze.

Tak będzie.

Podjął decyzję, wiedział już co i jak, i wtedy zauważył, że w kuchni panuje cisza. Zaczął się obawiać, że może, nie będąc tego świadomy, powiedział coś na głos. Zwracając się do Simona i Anny-Grety, uśmiechnął się więc neutralnie.

- Tak - powiedział. - Muszę wiele rzeczy przemyśleć.

Babcia przyglądała mu się uważnie. Anders zakończył zdanie skinieniem głowy, jakby potwierdzającym, że ich opowieść rzeczywiście dała mu do myślenia, mimo że tak naprawdę niezbyt wiele z niej do niego dotarło.

- Anders - powiedział Simon. - Nie możesz tam mieszkać, dopóki to wszystko... trwa.

- Zostaniesz tutaj, z nami - stwierdziła Anna-Greta.

Anders siedział i kiwał głową.

- Dobrze, dziękuję - odezwał się w końcu. - Dziękuję za wszystko - dodał, patrząc na Simona.

Dlaczego nie pozwoliłeś mi utonąć?

Simon nadal spoglądał na niego nieufnie. Anders poszukał więc w myślach jakiegoś szczegółu, do którego mógłby nawiązać, dając tym samym do zrozumienia, że jednak ich słuchał.

- To niesamowite z tym... Spiritusem - powiedział w końcu.

- To prawda - przytaknął Simon.

Jednak w powietrzu nadal wyczuwało się napięcie. Anders zrozumiał, że jest kiepskim aktorem. Jeśli nic nie robi, rozmowa będzie nadal się toczyć, a tego nie chciał; skulił się więc, jakby opadł z sił.

- Jestem wykończony - oświadczył.

To przynajmniej była prawda. Anna-Greta zareagowała natychmiast i poszła posłać mu łóżko w pokoju gościnnym. Został w kuchni z Simonem.

- Jest jeszcze koniak? - spytał, żeby w ogóle coś powiedzieć. Simon poszedł po butelkę, wrócił i dołał do kieliszków. Anders zwrócił uwagę, gdzie odstawił butelkę. Mogło się przecież zdarzyć, że do wykonania swojego zadania, będzie potrzebował alkoholu.

Wlał w siebie zawartość kieliszka, ale koniak zdawał się nie działać. Jakby przelatował przez gardło i znikał w mrocznych czeluściach jego ciała. Simon siedział i nadal mu się przyglądał. Najwyraźniej chciał zadać mu jakieś pytanie, ale Anders uprzedził go, nawiązując do kolejnego szczegółu z ich opowieści.

- Dziwna historia z tymi Bergwallami. Jakby wszyscy... ulegli.

Poczuł ulgę, kiedy Simon najwyraźniej połknął haczyk.

- Sam się nad tym zastanawiałem - powiedział. - Dłaczego dotyka to tylko niektórych. Elin, Bergwallowie, Karl-Erik. A teraz ty.

Zanim Anders zdążył pomyśleć, wyrwało mu się:

- Ona zniknęła.

- Kto zniknął? - spytał Simon, nachylając się w jego stronę. Powinien ugryźć się w język, ale on tylko wzruszył ramionami i jakby od niechcienia powiedział:

- Porzuciła mnie. Maja. Jestem wolny. To dobrze.

Usłyszał, że Anna-Greta schodzi po schodach, i wstał. Zdjął z pleców koc, powiesił go na oparciu krzesła. Simon także się podniósł. Anders podszedł do niego i go uściskał, nie chcąc dopuścić, żeby poszedł za nim.

- Dobranoc, Simonie. I dziękuję za wszystko.

Mężczyzna poklepał go po ramieniu i przytulił do siebie. Jednak Anders nie wzruszył się specjalnie. Podjął już decyzję i właściwie uważał się już za martwego. To była tylko kwestia czasu, no i znalezienia odpowiedniego miejsca, gdzie mógłby zakończyć swoje życie.

Anna-Greta opowiedziała o planach na jutrzejszy dzień. Anders słuchał i kiwał głową. Wszystko wydawało mu się proste. Zauważył, że kiedy człowiek nie żyje, różne sprawy stają się łatwiejsze. Właściwie powinien opatentować swój pomysł. Wszyscy powinni spróbować jego cudownego leku. Ruszył po schodach na piętro, zaglądając przy okazji do składziku.

Kiedy?

Jak najszybciej. Wiedział, że łagodna euforia, którą teraz odczuwał, z pewnością nie potrwa długo. Jeśli odłoży swoje plany na później, bezdenne, krzycząca ciemność powróci. Musiał to zrobić jak najszybciej.

Kiedy wchodził do pokoju gościnnego, znajdującego się naprzeciwko sypialni Anny-Grety, usłyszał dobiegające z dołu głosy babci i Simona. Zauważył też, że babcia przygotowała mu już ubranie na jutrzejszą uroczystość. Rozebrał się i wszedł do łóżka; był spięty jak dziecko w noc przed urodzinami. Nagle zobaczył przed sobą Maję, jak skacze po swoim łóżku i niecierpliwie zrywa papier z prezentów...

Nie. Odejdź. Odejdź.

Poczuł ukłucie w piersi, wyparł obraz Mai; wyobraził sobie smak metalu na języku, kiedy weźmie w usta lufę; poczuł, jak pociąga za spust. Rozkoszował się tym obrazem i spokój powrócił.

Chwilę potem usłyszał, jak Anna-Greta i Simon idą po schodach i wchodzi do pokoju po drugiej stronie korytarza. W tym momencie był już tak pograżony we własnej śmierci, że stracił kontakt z rzeczywistością i zasnął.

Różdżka

- Staruszk, skąd ci to przyszło do głowy?
- Wszystko ma swój czas.
- To była twoja inicjatywa?

Simon zawahał się, a Göran roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

- Tak myślałem. Nie podejrzewałbym ciebie o coś takiego, a Annę-Gretę, owszem.

Na twarzy Simona pojawił się grymas.

- Ja też tego chciałem - powiedział dziecinnie.

- Jasne - odpowiedział Göran. - Tylko trudno mi sobie wyobrazić, jak padasz na kolana.

Simon zerknął na pałakowate nogi Görana, na jego sztywny chód.

- Tobie też nie przyszłoby to łatwo - powiedział.

Wyszli z lasu i ruszyli w kierunku Kattudden. Zniszczenia zostały już właściwie usunięte, ale kiedy mijali działkę Carlgrenów, na której najbardziej ucierpiał wychodek, musieli kluczyć między powalonymi drzewami, starając się ominąć pocięte gałęzie. Trochę tu jeszcze poleżą. Göran kopnął pustą plastikową butelkę.

- Człowiek zaczyna się zastanawiać, jaki to wszystko ma sens - powiedział.

- Co ma jaki sens?

- Umówiliśmy się i czuwamy tu w nocy. Nie chcemy, żeby znów coś się stało. Ale to nie może trwać w nieskończoność.

- Masz na myśli swój domek?

- Tak, niedługo nikt nie będzie mógł czuć się bezpieczny. Chyba, że ich złąpią.

Dom Görana leżał w najładniejszej części cyplu. Pas lasu oddzielał go od działek, które ojciec Holgera sprzedał maklerowi. Simon rozumiał jego niepokój. Wystarczy porządne ognisko, trochę wiatru, i wszystko pójdzie z dymem. Nowa studnia niewiele pomoże.

- Zobaczmy, jak to się potoczy - powiedział Simon. - Nie musisz od razu zaczynać kopać.

- To prawda.

Minęli miasteczko, zerkając na dawną letnią rezydencję Grönwallów. Simonowi zaschło w gardle na wspomnienie, co stało się z dziewczyną, która kiedyś tu mieszkała. Szli dalej i wkrótce dotarli do alejki prowadzącej do domu Görana.

- Co ty o tym wszystkim sądzisz? Rozumiesz coś z tego?

- Nic - skłamał Simon i wyciągnął różdżkę zrobioną z gałęzi jarzębiny.

Używał jej dla niepoznaki, żeby zachować pozory.

- Myślisz, że znajdziesz tu jakąś żyłę? Wiem, że były z tym problemy.

- Pożyjemy, zobaczymy - mruknął Simon i rozpoczął poszukiwania, kierując się najpierw w stronę domu.

Göran usiadł na werandzie i patrzył, jak Simon powoli przemierza działkę. W jednej ręce miał różdżkę, drugą trzymał w kieszeni. Dziwna technika, uznał. Dwa razy widział, jak różdżkarz szuka wody; zawsze trzymał różdżkę w obu

dłoniach. Göran nigdy nie widział ani nie słyszał, żeby ktoś trzymał różdżkę jedną ręką.

Uznał jednak, że jeśli Simon chce, może nawet chodzić tyłem i trzymać różdżkę w ustach, byle tylko znalazł wodę.

Mężczyzna westchnął i zaczął się przyglądać fasadzie niewielkiego domku, który jego dziadek wybudował tu ponad sto lat temu. Byłaby to wielka strata: niewielki płomień i historia tej części jego rodziny poszłyby z dymem.

Kiedy znów podniósł głowę, zobaczył, że Simon się zatrzymał; stał i patrzył w ziemię.

Więc jednak jest tu woda.

Mężczyzna wstał, ale zamarł, kiedy Simon uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. Coś było nie tak.

Oczy Simona był szeroko otwarte, usta też; różdżka wypadła mu z ręki; zachwiał się, jakby ktoś go uderzył.

- Simon!

Göran nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ruszył więc w stronę Simona, który stał, chwiejąc się, na trawniku, i patrzył na niego niewidzącymi oczami. Wykrztusił z siebie kilka słów, które według Görana brzmiały jak:

- Tak... wiem.

Stary ołów

Anders obudził się w pustym, cichym domu. Zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz panowała cisza. Nie było żadnego ruchu, słychać było jedynie dźwięki domu. Leżał chwilę, wpatrując się w pomalowany na biało sufit z desek. Nic się nie zmieniło. Ciemność jak zwykle czaiła się do skoku, ale udało mu się powstrzymać lęk.

Wstał i zaczął się ubierać; ostrożnie i powoli wkładał ubranie, które naszykowała mu babcia. Potem zszedł po schodach. Zegar w kuchni wskazywał kwadrans po jedenastej. Tak jak przewidywał Simon i Anna-Greta zajęci byli swoimi sprawami. Otworzył drzwi znajdujące się przy końcu schodów.

Schówek składał się z dwóch pomieszczeń, każde mniej więcej o powierzchni siedmiu, ośmiu metrów kwadratowych. Pierwotnie miały to być pokoje dla dzieci, ale te nigdy się nie pojawiły. Teraz oba pomieszczenia wypełnione były różnego rodzaju rzeczami, o których wszyscy dawno już zapomnieli; podobno mogły się jeszcze kiedyś przydać, ale nigdy się nie przydały. Najbliżej drzwi stały te, które jeszcze od czasu do czasu były używane: narzędzia, przybory do malowania.

Minął przykrytą szwedzką flagą stertę starych ubrań i szmat i skierował się do drugiego pomieszczenia. Tu było ciemniej. Okno zasłaniał postawiony na sztorc stary stół, silniejszy był też zapach stęchlizny. Zapalił lampę na suficie.

W schowku pełno było starych sieci, narzędzi rolniczych, kołowrotek i tym podobnych przedmiotów. Reporter z telewizyjnego programu *Poszukiwacze antyków* z pewnością znalazłby w tej zbieraninie niejednego skarb. Rzecz, której on szukał, stała dokładnie przed nim, oparta o zepsute drewniane krzesło, jakby na niego czekała.

Anders ukucnął, podniósł starą śrutową dwulufkę, zaczął obracać ją w rękę, znalazł drążek zamka. Sprawdził, w śrutówce nie było naboju. Schylił głowę. Ciemność znów nastawiła uszu i dopełzła do niego, była jak narastający ból żołądka.

Włożył lufę do ust, chwycił ustami i położył palec na spuście. Ciemność zatrzymała się, nawet nieco się cofnęła. Odrzuciło go.

Ręce mu drżały, kiedy odstawił śrutówkę i zaczął szukać naboju. Sprawdził na podłodze, na blatach stołów, za sieciami. Strach przed ciemnością sprawił, że zaczął się trząść. Przesuwając stertę starych gazet, włożył ręce za plecy komody i poczuł w palcach zasuszone szczurze odchody.

Wyprostował się gwałtownie, usiadł i wyciągnął najniższą szufladę, i tam, wśród starych osełek i kluczy do zamków, których dawno już nie było, znalazł pudełko. Niepozorne pudełko z brązowej tektury, w którym było siedem naboju. Wypuścił powietrze z płuc, wyjął jeden nabój i zaczął mu się przyglądać.

Małe narzędzie zbrodni było znacznie nowsze niż sama śrutówka. Łuska z grubej czerwonej tektury szczelnie osłaniała ołowiany śrut. Na samym dole była złocista sponka i ładunek prochu.

Dotknął paznokciem niewielkiego kółka w denku naboju. Wystarczyło jedno uderzenie, żeby proch się zapalił i wybuchnął, wyrzucając z siebie śrut.

Właściwie proste.

Przyciągnął do siebie strzelbę, włożył nabój do lufy. Przeciągnął palcem po kurku, odciągnął, poczuł, że nabój jest na miejscu.

Takie proste.

Najważniejszą częścią całej konstrukcji był właściwie cienki kurek; wystarczy, że dźgnie dziobem sponkę i - koniec. Jeszcze kilka sekund i nareszcie wszystko się skończy.

Pewnie najlepiej byłoby ustawić strzelbę w rogu, oprzeć o ścianę, żeby od-rzut jej nie poruszył, bo wtedy śrut zamiast zakończyć jego życie, jedynie go porani. Powiódł wzrokiem po ścianach i doszedł do wniosku, że ką, w którym

leżały sieci, dałby się z łatwością uprzątnąć, i w tym momencie uświadomił sobie własny egoizm.

To był dzień ich ślubu.

Ale on nie może czekać. Ostrożnie odstawił strzelbę i podniósł górną warstwę sieci.

Możesz zaczekać. Jeden dzień możesz zaczekać.

Stanął z siecią przełożoną przez rękę i pokiwał głową.

Musisz. Nawet jeśli to trudne, ze względu na nich. Nie możesz im tego zrobić.

Wiedział, że to prawda. Z siecią przyciśniętą do piersi czekał, aż ciemność skoczy mu do gardła, żeby ukarać go za jego wahanie. Ale ciemność nie nadeszła. Zaufała mu. Nie poddawała się. Czekala cierpliwie.

Jutro.

Wiedział, że następnego dnia Simon i Anna-Greta wybierają się w krótką podróż poślubną do Finlandii. Wtedy to zrobi. Poza tym właśnie ze względu na nich nie powinien jednak robić tego tutaj, w ich domu. To byłby z jego strony bezprzykładny egoizm, no i przecież doskonale wiedział, gdzie powinien to zrobić, które miejsce było właściwe do składania darów i ofiar.

Delikatnie puścił kurek i schował załadowaną śrutówkę za stertą sieci. Poszedł do kuchni, nalał sobie filiżankę kawy i postanowił zaczekać na Simona.

Simon nie przyszedł.

Umówili się, że pojedą razem promem o pierwszej; był już kwadrans po pierwszej, a Simona nadal nie było widać. Anders zaczął podejrzewać, że może wczoraj wieczorem coś źle zrozumiał, może mieli się spotkać na przystani.

Postanowił zaczekać; jeszcze jeden dzień udawać, że żyje, ze względu na nich. I tak doznają szoku, kiedy wrócą z podróży poślubnej, i dowiedzą się, co się wydarzyło, na to jednak nie mógł nic poradzić. Nie mógł żyć dalej tylko po co, żeby oni byli zadowoleni.

Ale jeden dzień mógł udawać. Zapalił papierosa; w lustrze w holu sprawdził, jak wygląda, w końcu wybierał się na ślub. Biała koszula i spodnie były na niego za duże, ale buty pasowały zadziwiająco dobrze. Na wieszaku znalazł starą, zniszczoną kurtkę Simona, włożył ją.

Zamknął drzwi i wyszedł na spotkanie kolejnego pochmurnego dnia, był jednak pewien, że mimo wszystko uda mu się go przeżyć. Broń stała załadowana i gotowa, za dwadzieścia godzin zrobi z niej użytek.

Ciemność najwyraźniej zadowolona się przygotowaniami, bo gdy ruszył w kierunku przystani, poczuł, że kilka razy nawet spuściła go z oczu.

Jednak na przystani Simona też nie było. Na pomoście stało już około dwudziestu odświętnie ubranych osób, wszyscy wybierali się na ślub do Nåtén. Brakowało jedynie pana młodego. Anders podszedł do Elofa Lundberga. Mężczyzna miał na sobie eleganckie palto, które niezbyt pasowało do jego odwiecznego kaszkietu.

- Widziałeś Simona?
- Nie - odpowiedział Elof. - A on nie jest już na miejscu?
- Pewnie jest.

Anders odszedł nieco na bok i próbował sobie przypomnieć, co Simon mu wczoraj mówił.

Miał szukać miejsca na studnię na działce Görana.

Rozejrzał się. Görana też nie było. Nagle przyszło mu do głowy, że może coś się stało. Coś, co sprawi, że ślub zostanie przełożony. Coś, co jeszcze dzisiaj pozwoli mu wrócić do schowka.

Prom wpłynął do portu, goście weselni weszli na pokład, rozmawiając i śmiejąc się wesoło. Anders stanął na dziobie. Kiedy prom zaczął się cofać, zerknął jeszcze raz w stronę pomostu Simona. Może postanowił popłynąć do Nåtén własną łodzią?

Ale łódź cumowała przy pomoście, a pana młodego nadal nigdzie nie było widać.

Brak przeszkód

Podczas całego rejsu Anders stał na dziobie i do nikogo się nie odzywał. Kiedy prom przybił do brzegu, zszedł na ląd jako pierwszy i szybkim krokiem ruszył do kościoła. Za nim podążała reszta rozbawionego towarzystwa.

Kościół w Nåtén był pięknie położony na wzgórzu blisko morza. Budynki plebanii schodziły niemal do samej wody, gdzie stała też duża kotwica, będąca symbolem kościoła. Jej wizerunek zdobił wszystkie kościelne dokumenty. Tutaj, na brzegu, pełniła też rolę barierki, zatrzymującej spadające kamienie i osuwające się czasem z cmentarnego zbocza krzyże.

Ślub miał się zacząć dopiero za pół godziny. Anders pomyślał, że młoda para zapewne oczekuje na to wydarzenie w domu parafialnym położonym na zewnętrznej ogrodzenia. Do budynku prowadziło kilka schodków. Pokonał je i zapukał do drzwi. Kiedy nikt mu nie otworzył, wszedł do środka.

Zobaczył nakryte stoły i dwa duże i pięknie przybrane torty kanapkowe, królujące na jednym z mniejszych stolików na środku sali. Zza drzwi na drugim końcu pomieszczenia dobiegały go kobiece głosy.

Ona musi się dowiedzieć.

Gwar gości był coraz bliżej. Anders przeszedł przez salę, zapukał i ostrożnie otworzył drzwi.

Mimo że był już właściwie martwy i świat był mu obojętny, drgnął na widok babci w weselnym stroju.

Długie siwe włosy Anny-Grety były ułożone w misterne fale, które odbijały padające przez okno słabe światło i lśniły srebrzyście. Beżowa suknia w białe kwiaty potęgowała wrażenie gwiazdowego pyłu, który zdawał się pokrywać ją od stóp po czoło. Delikatny makijaż podkreślał jej błyszczące oczy.

Obok Anny-Grety siedziały dwie kobiety, też mniej więcej w jej wieku. Siedziały każda na swoim krześle i poprawiały coś przy sukni. Anders omiół wzrokiem pokój. Simona nie było.

- Jak wyglądam? - spytała Anna-Greta.
- Cudownie - odpowiedział szczerze.
- Simon już jest? - spytał po chwili.
- Nie. Nie przyjechał z tobą?

Błyszczące oczy babci straciły nieco ze swojego blasku. Anders pokręcił przecząco głową. Anna-Greta odwróciła się, jakby zamierzała wyjść i sama sprawdzić, ale jedna z kobiet ją powstrzymała.

- Na pewno się zjawi. Stój spokojnie - nakazała jej.

Babcia rozłożyła ręce w bezradnym geście, dając mu do zrozumienia, że chwilowo jest uwięziona.

- Idź i zaczekaj z resztą gości na zewnątrz. Simon na pewno zaraz się zjawi.

Anders wycofał się z pokoju, zostawiając babcię w rękach jej strażniczek. Zrobił, co mógł. Teraz nie był to już jego problem. Mimo to było mu żal babci. Wyglądała tak ładnie, była tak pięknie ubrana i taka pełna nadziei. Jego maleńka babcia.

Anders wiedział bowiem, że Simon się nie zjawi. Że najwyraźniej dał się pojmać działającym tu siłom. Tak po prostu było. Simon się nie pojawi. Postanowił wrócić do domu promem o trzeciej i położyć kres wszystkim swoim zmartwieniom.

Za kwadrans druga Anders ruszył do kościoła i przez otwarte drzwi zajrzał do środka. Trzydzieści osób siedziało już w ławkach. Do pasażerów promu dołączyli też mieszkańcy Nåtenu oraz goście, którzy przyплыnęli tu własnymi łódkami. Przed ołtarzem stał pastor, poprawił bukiet białych róż w wazonie.

Anders zszedł z boczem na cmentarz i spacerował teraz wśród nagrobków. Zatrzymał się dłuższą chwilę przed grobem rodzinnym, w którym pochowani byli jego ojciec i dziadek; ich imiona widniały samotne pod imionami Torgny'ego i Mai. Anna-Greta zapewne zadba, żeby jego imię dołączyło do

rzędu imion samotnych mężczyzn.

A Simon? Gdzie znajdzie się miejsce dla Simona?

Kiedy minęła druga, ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, żeby sprawdzić, co się stało, albo raczej sprawdzić, dlaczego nic się nie dzieje. Anders zszedł niżej, aż do samego brzegu, nie chcąc, by ktoś go zaczepił i zaczął z nim rozmawiać. Stał przed wielką kotwicą i przeczytał napis.

„Pamięci tych, którzy zaginęli na morzu”.

Przeciagnał ręką po zardzewiałym żelazie, po smołowanym drewnianym trzonku. Właściwie to powinien zostać pochowany tutaj, pod kotwicą, ponieważ tak naprawdę to on też zaginął na morzu, tylko potem spędził jeszcze na ziemi kilka bezsensownych lat. Przyglądał się grubemu łańcuchowi, który prowadził od szczytu kotwicy i ginął gdzieś w ziemi.

Gdzie?

Wyobraził sobie, jak łańcuch znika w podziemiach albo biegnie po dnie morza, podążył za nim w myślach, zobaczył, jak...

*jak jego ciało zapada się w szlamie na dnie, ginie gdzieś w gliniastym mu-
le, docierając w końcu do miejsca, gdzie nikt nie jest w stanie przeżyć, gdzie
panuje całkowita cisza...*

Jego rozmyślania przerwały krzyki dochodzące z kościelnego wzgórza. Ludzie stali i wyraźnie wskazywali rękami na morze. Anders odwrócił się i podświadomie się uśmiechnął.

Zobaczył na zatoce łódkę. Zniszczoną plastikową łódkę z silnikiem zaburtowym marki Evinrude o mocy dwudziestu koni. Łódź Simona.

Goście zaczęli zbiegać ze wzgórza niczym stado podnieconych owiec. Zebrali się na brzegu i czekali, aż łódź podpłyne bliżej. Na pokładzie były dwie osoby. Kiedy łódź podpłynęła, była już jakieś sto metrów od brzegu, Anders zauważył, że są to Simon i Göran. Göran siedział przy sterze, a Simon stał na dziobie z rozwianym włosiem. Zebrani na brzegu ludzie zaczęli wznosić okrzyki i bić brawo.

Ostatnie wejście czarodzieja.

Łódź minęła wejście do portu, kierując się prosto na zbrocze przy kotwicy. Göran wyłączył silnik i ostatnie kilka metrów dryfowali z prądem. Simon wyszedł z łodzi, a goście wspólnymi siłami wyciągnęli ją na ląd.

Czarodziej poszukał wzrokiem Andersa i nawet zaczął coś do niego mówić, ale ludzie chwycili go za ręce i pociągnęli do kościoła, gdzie Anna-Greta czekała na niego z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wejście rzeczywiście było efektywne, chociaż większość rozumiała, że Anna-Greta zapewne jednak wolałaby, by wszystko odbyło się nieco bardziej uroczystie.

Anders szedł kilka kroków za wszystkimi, zaczekał, aż goście wejdą do kościoła, potem też wszedł i zajął miejsce w jednej z ostatnich ławek.

Niech nadejdzie miłość

Opisu ceremonii ślubnej nie będzie.

To dziwne, ale opisy ślubu nigdy nie są szczególnie interesujące. Widok dwojga ludzi, obiecujących wobec Boga trwać przy sobie i być sobie wiernymi, powinien właściwie być czymś krzepiącym; tak jednak nie jest.

Ślub jest jak koszmar, chociaż w innym znaczeniu. Kiedy potwór w końcu pokazuje swoją twarz, zawsze przeżywamy zawód. Nasze oczekiwania zawsze pozostają niespełnione. Podobnie jest ze ślubem. Droga do niego prowadzi przez zapierającą dech w piersiach miłość; przygotowania wymagają zwykle ogromnego wkładu pracy, a założenie całego przedsięwzięcia jest piękne i może przyprawić o zawrót głowy.

A sam rytuał?

Gdyby chciano oddać sprawiedliwość samej idei, należałoby wezwać Chagalla, Mozarta i techników, którym David Copperfield zawdzięcza swoje sukcesy. Ludzie unosiliby się w powietrzu, słyhać byłoby grzmoty, szum wodospadu i dźwięki symfonii tak cudowne, że tynk opadałby ze ścian i wirował wokół łączących się ze sobą dwojga ludzi, unosząc ich pod sufit.

Jednak w kościele w Nåtén nic takiego się nie wydarzyło.

Wystarczy powiedzieć, że Simon i Anna-Greta powiedzieli sobie tak, organista odegrał odpowiedni utwór muzyczny i wiele osób się wzruszyło. Było to piękne wydarzenie. Anna-Greta promieniowała i wyglądała zjawiskowo, Simon sprawiał wrażenie nieco zmęczonego. Zdążył co prawda włożyć na siebie odświętne ubranie, widać było jednak, że robił to w pośpiechu. Krawat był przekrzywiony, skarpetki nie pasowały do spodni, a włosy miał w nieładzie.

Ale i tak się radowano! Niech nadejdzie miłość! Niech zwycięży!

Niech oblubieńcy wyjdą na schody przed kościołem i niech przyjaciółki Anny-Grety, które znajdują się na rzeczy, sypną ryżem; niech w tle zaśpiewają anielskie chóry i niech posypią się kaskady zbieranego od miesiący puchu edredonowego, niech spadnie z nieba niczym śnieg, niczym płatki kwiatów rajskiej jabłoni na rękach Boga Ojca, gdy rozpościera swoje ramiona.

Tak!

Tak, tak, tak!

A potem udajmy się wszyscy do domu parafialnego i zjedzmy po kawałku tortu kanapkowego. Dzień jeszcze nie minął. Jeszcze trwa. Więc chodźcie.

Woda

Ludzie tłoczyli się wokół stołów. Anders odetchnął z ulgą, gdy Anna-Greta pociągnęła go za rękaw, dając mu do zrozumienia, żeby usiadł obok niej. Naprzeciwko niego siedziały dwie przyjaciółki babci. Gerda i Lisa. Babcia przedstawiła mu je, po czym obie panie zajęły się sobą.

Goście nakładali sobie na talerze, sięgali po piwo lub inne napoje, sami otwierając butelki. Przyjęcie nie było szczególnie eleganckie, i gdyby nie wejście Simona, pewnie nie byłoby warte zapamiętania.

Ale Simon miał jeszcze coś w zanadrzu.

Anders pogratulował babci, mówiąc jej po raz kolejny, że pięknie wygląda. Następnie wychylił się do przodu, żeby pogratulować także Simonowi. Ten jednak był zajęty czymś, co najwyraźniej działo się w jego wnętrzu. Siedział bowiem skupiony, wpatrywał się w obrus i poruszał ustami.

Anders chciał właśnie powiedzieć coś, co przywołałoby go z powrotem do rzeczywistości, kiedy Simon wstał i uderzył widelcem w butelkę swojego sąsiada.

- Drodzy przyjaciele! Istnieją rzeczy, o których... - zaczął i urwał.

Zerknął na Annę-Gretę, która patrzyła na niego zdziwiona. Odchrząknął i zaczął od początku.

- Przede wszystkim chcę powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwy. Cieszę się, że jesteście tu z nami i że została mi dana łaska poślubić najcudowniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek postawiła nogę na pokładzie jakiegokolwiek łodzi.

Część gości roześmiała się, rozległy się oklaski. Anna-Greta spuściła skromnie wzrok.

- Ale jest coś jeszcze... Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć... Wiem, że muszę to zrobić, ale nie wiem jak...

Simon urwał i zaczął się rozglądać po lokalu. Panowała całkowita cisza. Ludzie zastygli z podniesionymi do ust widelcami, czekając, aż pan młody znajdzie właściwe słowa.

- Uznałem, że skoro zebraliśmy się tu dzisiaj tak wielu mieszkańców Domarö, to jest to dobry moment, żeby... Naprawdę nie wiem, jak to powiedzieć...

Simon znów zamilkł. Anders słyszał, jak Gerda pyta Lisy, czy Simon jest pijany. Lisa przytaknęła i zacisnęła usta, a Anna-Greta pociągnęła delikatnie Simona za nogawkę, dając mu do zrozumienia, żeby usiadł.

Nagle Simon najwyraźniej podjął decyzję, bo wyprostował się i zaczął pewnym głosem.

- Nie ma dobrego sposobu, żeby to powiedzieć, więc po prostu to powiem, a wy myślcie o tym, co chcecie.

Lisa i Gerda odchyliły się nieco do tyłu na swoich krzesłach, skrzyżowały ręce na piersiach i przyglądały się Simonowi z niechęcią. Pozostali goście patrzyli na siebie, zastanawiając się, co teraz nastąpi. Wiele osób uniosło brwi, gdy nagle Simon najwyraźniej zmienił temat.

- Studnie na Domarö - zaczął. - Wiem, że wielu z was ma problem ze słoną wodą, która przenika do studni i psuje smak wody pitnej.

Gdziekolwiek ludzie kiwali głowami. Choć nie bardzo wiedziano, dlaczego Simon akurat w tym momencie postanowił poruszyć ten temat, to jednak problem był faktem.

Simon spojrzął na Andersa i postanowił kontynuować.

- Ostatnio mieliśmy też inne problemy. Kilka razy zdarzyło się, że ludzie nagle zaczęli się dziwnie zachowywać, stali się złośliwi. Jakby nie byli sobą, że tak to określe.

Tak, to prawda, przytakiwano. Pod tym też każdy mógł się podpisać. Podejrzewano, że teraz zapewne Simon powie coś o malejących połowach dorsza, bo to też był problem.

- Chciałem powiedzieć - ciągnął Simon - że wiem, co te wszystkie sprawy mają ze sobą wspólnego. Ta, powiedzmy choroba, dotyka ludzi, którzy mają studnie, do których wdarła się słona morska woda. Nie pijcie jej!

Jeśli Simon spodziewał się zrozumienia, to się przeliczył. Większość zebranych gości siedziała i patrzyła na niego sceptycznie, bądź w ogóle nie rozumiała, o co mu chodzi. Rozłożył więc ręce i podniósł głos.

- W ten sposób przychodzi do was morze! Nie rozumiecie tego? Oni są w morzu i docierają do was przez wodę. Pijąc skażoną wodę, dopuszczacie ich do siebie; ryzykujecie, że wkrótce staniecie się tacy jak oni. Zmienicie się.

Słowa Simona nadal nie wywołały pożądanego reakcji. Westchnął więc i zrezygnowany dodał tylko:

- Proszę, żebyście mi uwierzyli. Nie pijcie wody, która jest słona. Upraszczając sprawę, można powiedzieć, że ta woda jest zatruta. Nie pijcie jej!

Simon opadł na krzesło i zapanowało milczenie. Po dłuższej chwili ludzie zaczęli wracać do przerwanych rozmów. Anna-Greta nachyliła się do Simona i coś mu powiedziała. Lisa i Gerda nadal siedziały z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby czekając na dalszy ciąg.

A Anders...

Anders miał wrażenie, jakby już wcześniej to przeczuwał. Jakby rozpoznawał fragmenty melodii, dochodzącej gdzieś zza ściany, z pokoju obok. Momentami słyszał ją wyraźnie, niekiedy znów zanikała, jak melodia płynąca z mijającego nas samochodu, w którym odbiornik nastawiony jest na cały regulator. Czasem słyszał ją w szumie drzew, czasem w dźwięku kapiących nocą kropli deszczu.

Słowa Simona sprawiły, że z ciemności wyłoniła się cała orkiestra i dźwięki stały się tak głośne, że jego uszy nie wytrzymały ich brzmienia. Jego ciało zamarło.

Woda. Oczywiście. Woda pitna.

Mimo poczucia, że Maja jakby przepływała przez jego ciało, nigdy nie przyszło mu do głowy, że rzeczywiście tak było. Wlewał w siebie wino z plastikowych butelek, niekiedy kilka litrów dziennie. Wino rozcieńczone wodą z kranu. Budził się skacowany i spragniony, więc pił wodę, mnóstwo wody.

I nagle pojął coś, co sprawiło, że niemal osunął się z krzesła, zapadając się jeszcze głębiej w muzykę: Maja go nie opuściła. To on po prostu przestał pić wodę. Wczoraj pił jedynie wino i koncentrat piołunu. Dopiero po powrocie napił się wody, ale w domu u Anny-Grety, gdzie woda nie była skażona.

Poczuł na plecach czyjąś rękę.

- Rozumiesz? - spytał Simon, nachylając się do niego.

Anders przytaknął nieobecny, a w jego głowie nadal rozbrzmiewała muzyka, przynosząc zrozumienie. Odwieczne morze, zawsze to samo, wdzierające się w każdą szparę, docierające wszędzie i zawsze powracające do siebie. Jedno wielkie ciało z miliardami kończyn, od ryczących fal począwszy do cienkich jak pajęcza nić strużek, szukających swojej drogi. Morze. I ci, którzy w nim byli.

Simon pociągnął go za rękę. Anders wstał i podążył za nim jak w transie.

Nikt nie ma takich długich palców.

Miał przed oczami macające palce morza, docierające do skalnych załomków, do wyłobionych w skałach rynien, sięgające w głąb ziemi, do studni. Idąc za Simonem, powtarzał jak mantrę:

Nikt nie ma takich długich palców. Nikt nie ma takich długich palców.

- Anders, jesteś tu?

Simon stał i machał mu ręką przed oczami. Z pewnym trudem udało mu się powrócić do rzeczywistości. Dotarło do niego, że stoi na werandzie domu parafialnego. Jego prawa ręka leżała na zimnej żeliwnej poręczu, ścisnął ją mocno, jakby tylko dzięki jej wsparciu był w stanie stać.

- Jak na to wpadłeś? - spytał.

- Kiedy szukałem wody na działce Görana, poczułem, że wszędzie pod skałą są strugi słonawej wody...

- Poczuleś?

- Tak.

Simon wyjął z kieszeni pudełko od zapalek, pokazał mu je, i ponownie schował do kieszeni. Anders pokiwał głową. Tę część opowieści akurat pamiętał.

- No więc wtedy przyszło mi na myśl - ciągnął Simon - że coś jest nie tak z

twoją wodą, a przede wszystkim z wodą w studni u Elin. Zaraz po pożarze byłem tam, przy studni, coś mnie do niej ciągnęło. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, o co chodzi, ale spróbowałem wody i była słonawa. Nawet bardziej niż twoja. Cały czas miałem to gdzieś z tyłu głowy, a dzisiaj to... zobaczyłem.

Simon westchnął i zerknął w stronę zamkniętych drzwi do domu parafialnego.

- Niestety, mam wrażenie, że nie udało mi się nikogo przekonać.
- Dlaczego się spóźniłeś?

Simon wzruszył ramionami.

- Musiałem coś sprawdzić. Studnię Karla-Erika i Bergwallów. Wszędzie to samo. Słonawa woda. Kiedy poszli piłować ścięte drzewa, pewnie mieli w butelkach wodę. Pili ją. Przypuszczam, że w pewnym momencie osiąga się punkt krytyczny... i wtedy do głosu dochodzi ta druga osoba.

Anders oparł się o poręcz i patrzył na port. Do odejścia kolejnego promu była jeszcze godzina. Popłynie przez morze. Będzie mógł płynąć.

Nikt nie ma takich długich palców. Nikt nie ma takich długich palców.

Nieoczekiwanie powróciło do niego pewne wspomnienie. Miał może dziesięć lat, kiedy ojciec trochę chyba dla żartu zarzucił wiecierz i złapał jednego węgorza. Anders stał na pomoście i patrzył, jak ojciec usiłuje wyjąć go z sieci. Nie był w stanie.

W końcu udało mu się zamknąć go w foliowej torbie. Ale tylko na chwilę, bo węgorz znów mu się wywinął. Ojciec chwycił go ponownie i przytrzymał obiema rękami. Z dużym trudem opuścił pokład łodzi. Wyszedł na pomost, stanął i spojrzął na torbę. Mimo że był silny i ścisnął torbę z całej siły, węgorzowi udało się jakoś odbić od dna torby i teraz powoli, ale skutecznie zaczął wychodzić przez otwór torby, która w końcu upadła na pomost. Wtedy węgorz podskoczył i po chwili znów był w wodzie.

- Chce żyć - powiedział ojciec z podziwem w głosie.

Potem obaj się z tego śmiali. Bo przecież ojciec był duży i silny, a węgorz mały i chudy. A mimo to wygrał.

Nikt nie ma takich długich, takich silnych palców.

Jednak można się prześlizgnąć. Jeśli tylko ma się wystarczającą wolę życia.

Przyjdź

O wpół do szóstej prom przybił do przystani w Domarö, ludzie wyszli na ląd, wśród nich także mężczyzna, który już bynajmniej nie zamierzał umierać.

Anders szybko opuścił wesołe towarzystwo i ruszył biegiem, kierując się na zachód wyspy. Na wysokości schroniska zmuszony był zwolnić, bo nowa chęć życia nie była równoznaczna z nowymi płucami.

W końcu dotarł do miejsca, w którym droga się rozdzielała. Na ostatnim kawałku musiał znów zwolnić. Z jego krtani dobywał się dziwny świszczący dźwięk; miał wrażenie, jakby oddychał przez słomkę. Minał prostą sosnę, otworzył drzwi od domu i, nie zdejmując butów, ruszył do kuchni. Nachylił się nad zlewem, odkręcił kran i zaczął pić. Pił, jakby przeszedł pustynię. Oderwał się na chwilę, zaczerpnął powietrza, i pił dalej. Wyprostował się, zrobił przerwę i znów pił.

Pił, aż poczuł, że ma napęczniały brzuch i zimna woda zaraz zacznie wylewać mu się przez gardło. Wtedy położył się na podłodze. Kiedy się poruszał, obracał z boku na bok, słyszał, jak woda przelewa mu się w żołądku.

Chodź, przyjdź, będą cię w sobie nosił.

Zamknął oczy, nasłuchiwał, zastanawiając się, czy coś czuje.

Obiecał Simonowi i Annie-Grecie, że wróci do nich, jak tylko załatwi swoje sprawy. Mimo to nadal leżał na podłodze, czekając, aż woda w jego żołądku przestanie być zimną kulą, tylko - stopniowo się ogrzewając - stanie się częścią niego.

Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi. Wątpliwości znów wbiły w niego swoje szpony. A jeśli Simon się myli? A nawet jeśli ma rację, ale Maja na przykład wcale nie jest po jego stronie? Kombinezon. Jak to się stało, że trafił w ręce Henrika i Björna?

Ale to była jego ostatnia szansa. Balansował na krawędzi, jedno delikatne jak piórko muśnięcie mogło go uratować. Inaczej pozostawał mu jedynie upadek w przepaść, a potem ciemność.

Przyjdź. Dotknij mnie.

Czuł w sobie pustkę, znacznie większą niż jego ciało. Do pokoju wpadł delikatny powiew letniego wiatru znad morza, niosąc ze sobą puszek dmuchawca, jeden jedyny; wirował w powietrzu, aż w końcu opadł na jego skórę. Poczul lekkie łaskotanie, które zaraz jednak minęło. Tylko tyle. Ale już wiedział.

Jesteś tutaj?

Po tym pierwszym niemal niewyczuwalnym dotyku zaczął czuć ją coraz silniej. To, co przyniosła ze sobą woda, dotarło do krwi i do jego mięśni; łaskotanie zamieniło się w łagodną pieśczęotę i coraz bardziej wyczuwalną obecność, jakby puszek dmuchawca przyniósł ze sobą nasionka, które zapuściły korzenie w jego ciele, i z których teraz zaczęły wyrastać kolejne małe dmuchawce. Nie widział ich, ale rozjaśniały mu świat, oczy zaszyły mu łzami.

Witaj, kochanie. Przepraszam, że ja... Przepraszam. Za wszystko.

Z szaf i szuflad zaczął wyjmować wszystkie możliwe butelki i napełniać je wodą z kranu. W ten sposób zrobił co najmniej dziesięć litrów zapasu. Wszystkie butelki, te większe i te mniejsze, włożył do dwóch foliowych toreb. Zmieścił w nich też butelkę z piolunem.

Na koniec poszedł jeszcze do sypialni, wziął kilka numerów komiksu o Bamse i zdjęcia z wyprawy do Gåvasten. Schował je do kieszeni i wyszedł z domu. Po drodze do Anny-Grety wyjął jedną z butelek i wypił kilka łyków.

Nowożeńcy siedzieli w kuchni. Zdążyli się już przebrać w swoje zwykłe, codzienne ubrania. Wszystko było jak zwykle, a jednak inaczej. Zostały zawarte nowe pakt, na pozór niewidoczne. Simon od razu zauważył plastikowe butelki.

- To... woda? - spytał.
- Tak.
- Mogę zobaczyć taką jedną butelkę?

Anders sięgnął do torby, wyjął butelkę i postawił na stole przed Simonem. Była to stara plastikowa butelka, z której odpadła już nalepka, więc wyraźnie było widać lekko mętną wodę. Wszyscy troje zebrali się wokół butelki, jakby była relikwią, czymś świętym.

Nie było widać niczego wyjątkowego, co Anders zresztą stwierdził już wcześniej, kiedy pod kranem napełniał butelki. Woda w jego domu zawsze była nieco mętna, być może z powodu metanu, który się wytrącał. Zawsze musiała odstać chwilę w otwartym naczyniu, żeby nabrać klarowności.

Simon wziął szklankę.

- Mogę...? - spytał, spoglądając na Andersa.

W pierwszym odruchu Anders chciał go chronić, zanim jednak zdążył otworzyć usta, Anna-Greta go uprzedziła.

- Chyba nie zamierzasz tego pić?
- Już wcześniej ją piłem - powiedział Simon. - Teraz chciałem tylko nalać trochę do szklanki. Mogę?

Anders pokiwał głową i uznał, że sytuacja jest trochę absurdalna. Simon pyta jego, czy może nalać wody do szklanki. Niestety nie było to absurdalne. Teraz już nie. Simon odkręcił nakrętkę i zaczął nalewać wodę. Andersa ogarnęło dziwne uczucie. W wodzie była Maja i Simon to wiedział. Dlatego spytał o pozwolenie. Jakby chodziło o czyjeś prochy. Należało spytać rodzinę o pozwolenie.

Ona nie jest martwa. Nie zniknęła. Ona...

Anders przypomniał sobie coś, o czym Simon kiedyś mu opowiadał. Dawno temu. A może było to zaledwie dwa dni temu? Czas stracił do niego znaczenie,

dni i noce zlewały się w jedno, nadzieja zastępowała bezsilność, a bezsilność nadzieję, wędrując swoimi dziwnymi drogami.

Już chciał zadać pytanie, ale jego uwagę przykuł eksperyment, którym zajęty był Simon. Wyjął pudełko od zapalek i położył larwę w swojej lewej dłoni. Prawą ręką sięgnął do szklanki, zamoczył w wodzie dwa palce i zamknął oczy.

W kuchni było cicho jak makiem zasiał. Minęło pół minuty, Simon wyciągnął palce z wody i pokręcił głową.

- Nic. To znaczy, tam coś jest, na pewno, ale jest zbyt słabe.

Przez chwilę się zastanawiał, co zrobić ze swoimi mokrymi palcami. Niemal odruchowo chciał wytrzeć je o nogawki, ale zmienił zdanie i pozwolił, żeby po prostu same wyschły. Anders uniósł szklankę do ust i wypił wodę.

- Jesteś pewien, że dobrze robisz? - spytała Anna-Greta.

- Babciu, nie masz pojęcia, jakie to wspaniałe uczucie.

Picie takiej ilości wody sprawiło, że poczuł parcie na pęcherz. Podejrzał, że wszystkie płyny, które jego organizm wydalal: lzy, pot i uryna, zmniejszyły w nim obecność tego „czegoś”, ale na to nie było sposobu. Potem po prostu znów napije się wody.

W drodze do toalety minął zamknięte drzwi do schowka; pomachał na pożegnanie stojącej za nimi strzelbie. Przypomnił sobie, że musi przy okazji wyjąć z niej naboje, żeby nie wydarzył się jakiś wypadek.

Opróżnił pęcherz. Stał i przyglądał się obrazkowi, który wisiał nad sedesem. Klasyczny motyw: mała dziewczynka z koszykiem w ręku, idąca wąską ścieżką nad urwiskiem. Nad nią unosił się anioł z rozpostartymi skrzydłami; gotów ją chronić, gdyby miała upaść. Dziewczynka była nieświadoma zarówno groźącego jej niebezpieczeństwa, jak i obecności anioła. Miała rumiane policzki i słońce w oczach.

Tak to jest, pomyślał Anders. Tak właśnie jest.

Nie był do końca pewien, co tak naprawdę ma na myśli, co obrazek ma wspólnego z jego własną historią, wiedział jednak, że tego rodzaju obrazki zawsze są prawdziwe i ważne, bo pokazują biedę, piękno, niebezpieczeństwo i łaskę.

Wszystko jest możliwe.

Kiedy wrócił do kuchni, Anna-Greta rozpałała ogień. Natomiast Simon siedział i nadal przyglądał się butelce, jakby była kryształową kulą, w której wszystko mogło się ukazać. Anders usiadł naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu.

- Simonie, jak to było z żoną Holgera? Z Sigrid.

- Też się nad tym zastanawiałem- powiedział Simon, unosząc głowę.

- Nad czym?

- Nie pamiętasz, jak to było?

- Nie - odrzekł Anders.

Wziął butelkę i wypił kilka łyków.

- Tyle się wydarzyło; wiele mi umknęło. Pierwsze dni na wyspie pamiętam jak za mgłą - zaśmiał się, i znów zaczął pić wodę.

- Poza tym nie byłem wtedy sobą, jeśli mam być szczerzy.

- Czujesz coś?

Anders przeciągnął dłonią po klatce piersiowej.

- Czuję... ciepło. I nie jestem już taki samotny. Jak było z Sigrid?

Anna-Greta postawiła na stole dzbanek z dymiącą kawą i usiadła między nimi.

- Muszę wam coś powiedzieć - zaczęła, zerkając to na Simona, to na Andersa. - Biorąc pod uwagę to, co wiemy, i to, co już się wydarzyło, chcę wam powiedzieć jedno: niczego nie próbujcie. Nie rzucajcie wyzwania morzu. To niebezpieczne. Może się źle skończyć. Naprawdę bardzo źle. Nawet nie jesteście sobie w stanie wyobrazić jak bardzo.

- Co masz na myśli? - spytał Simon.

- Bo widzicie, ono jest potężniejsze od nas. Nieskończenie potężniejsze. Może nas zmiażdżyć. Ot tak. To już kiedyś się zdarzało. I nie chodzi mi tylko o nas. Pamiętajcie, że mieszkają tu też inni ludzie.

Anders zastanawiał się nad słowami Anny-Grety. Właściwie brzmiały rozsądnie, jednej rzeczy tylko nie rozumiał.

- Dlaczego mówisz mi to teraz? - spytał.

Kiedy Anna-Greta wylała trochę kawy na spodeczek i sięgnęła po kostkę cukru, drżała jej ręka.

- Pomyślałam, że powinnam to zrobić. Przypomnieć wam.

Włożyła kostkę cukru od ust i ostrożnie wyssała z niej odrobinę gorącej kawy.

- Kiedy znaleźliśmy Sigrid, nie leżała długo w wodzie - powiedział Simon. - Najwyżej kilka godzin, mimo że zniknęła ponad rok temu - dodał.

- Ale nie żyła? - spytał Anders.

- Tak, wtedy już nie żyła - oznajmił Simon.

Anna-Greta podała dzbanek z kawą Andersowi, który pomachał niecierpliwie ręką. Odstawiła więc dzbanek na podkładkę, przeciągnęła ręką po czole i zamknęła oczy.

- Co ty mówisz? Wiedziałem, że przeleżała w wodzie zaledwie kilka godzin, ale sądziłem, że nie żyła już przynajmniej od roku. To było takie dziwne.

- Nie - sprostował Simon. - Zniknęła rok temu, ale umarła w wyniku

utonięcia zaledwie kilka godzin, zanim ją znalazłem.

Anders popatrzył na babcię, która nadal siedziała z zamkniętymi oczami. Na czole zrobiła się jej głęboka bruzda.

- Więc gdzie była? Przez cały ten czas? - dopytywał się Anders, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Nie wiem, ale gdzieś musiała być - odpowiedział Simon.

Anders siedział nieruchomo, miał gęsią skórkę. Nagle wzdrygnął się. Spojrzał przed siebie. Na obrazek. I znów się wzdrygnął.

- I tam teraz jest Maja. Bez kombinezonu - wyszeptał.

Dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Anna-Greta odstawiła dzbanek z kawą i zaczęła się rozglądać, wyraźnie jednak unikając wzroku Andersa. Simon siedział i bawił się swoim pudełkiem od zapalek. Na zewnątrz morze oddychało spokojnie, pozornie uspione. Anders milczał, czasem tylko się wzdrygał, kiedy kolejny okrutny obraz przedzierał mu pierś niczym szpada.

Jakaś część jego wiedziała to od zawsze. Może miał to zakodowane gdzieś z tyłu głowy, w podświadomości. A może po prostu wiedział. Że część Mai tkwiła w nim, a część była... gdzieś indziej. Gdzieś, skąd nie mogła go osiągnąć i gdzie on nie mógł dosięgnąć jej.

Anna-Greta przerwała milczenie. Odwróciła się do Andersa.

- Kiedy twój dziadek był mały, na zachodnim krańcu wyspy mieszkał mężczyzna, któremu morze zabrało żonę. Nigdy nie chciał powiedzieć, jak to się stało, i nigdy nie przestał jej szukać.

Babcia niepewnie wskazała ręką na wschód.

- Znasz historię o wraku? O łodzi na skałach koło Ledinge? Kiedy byłam mała, znajdowaliśmy tam jej szczątki, teraz nic już z niej nie zostało. To była jego łódź. Nie wiem, co robił, żeby wynagrodzić... morzu. Tak czy inaczej tam właśnie znaleziono potem jego łódź. W głębi na lądzie. Rozbitą, na skałach.

- Przepraszam - przerwał jej Simon. - Powiedziałaś, że pochodził z zachodniego krańca wyspy?

- Tak - potwierdziła Anna-Greta. - Właśnie do tego zmierzam. Jego dom i wszystkie domy leżące w pobliżu zniknęły. Kiedyś nadszedł sztorm, od zachodu. Jak zapewne wiecie, sztormy nie przychodzą od zachodu, od strony lądu. To niemożliwe. A jednak tak było. Przyszedł w nocy, wiatr wiał z siłą orkanu. Osiem domów zostało zmiecionych z powierzchni ziemi. Pięć osób zginęło. Troje z nich to dzieci, które nie zdążyły uciec.

Następnie skierowała wzrok na Andersa.

- No i mężczyzna, który wypłynął na morze. I to wszystko zapoczątkował.

Ponieważ Anders milczał, mówiła dalej.

- A co jeszcze dawniej działo się na Domarö, to sam wiesz. Mówiliśmy ci o tym wczoraj.

Anders chwycił plastikową butelkę i znów wypił kilka łyków wody. Nadal jednak milczał. Na twarzy Anny-Grety malowało się teraz współczucie, ale i złość, jej usta wykrzywił grymas.

- Rozumiem, co czujesz- powiedziała. - To znaczy... domyślam się. Ale to jest niebezpieczne. Nie tylko dla ciebie. Dla wszystkich, którzy tu mieszkają.

Wyciągnęła rękę i położyła swoją dłoń na zimnej jak lód dłoni wnuka.

- Wiem, że pewnie zabrzmi to okrutnie. Ale widziałam wczoraj, jak stałeś i przyglądałeś się kotwicy. W Nåtén. Wielu ludzi utonęło, wielu zaginęło, w sposób naturalny, że tak powiem. Można uznać, że Maja jest jedną z nich. Tak też można do tego podejść. I uważam, przepraszam, że to mówię, ale uważam, że właśnie tak powinienes na to spojrzeć. Ze względu na siebie. I na nas wszystkich.

Odstąpienie (jesteśmy twoją tajemnicą)

Anders siedział na krawędzi łóżka w pokoju gościnnym. Wśród różnych myśli, nękających go tego wieczoru, była jedna, której nie mógł się pozbyć, która nie dawała mu spokoju.

Ona nie ma swojego kombinezonu.

Wcześniej zabrał go z kuchni i delikatnie rozwiął na krześle pod oknem. Teraz go zdjął, objął rękami i kołysał się razem z nim.

Ona tam marznie.

Gdyby tylko mógł dać jej ten kombinezon, gdyby mógł to zrobić. Przeciągnął dłonią po miękkim ortalionie, po łacie z Bamse i słoikach miodu.

Simon i Anna-Greta poszli spać już godzinę temu. Anders zaproponował, że prześpi się na kanapie na dole, żeby mogli spędzić swoją noc poślubną w spokoju, bez ludzi w pobliżu. Odpowiedzieli, że ludzie im nie przeszkadzają, bo noc poślubna nie będzie się niczym różnić od innych. Zwykła, spokojna noc.

Ścisnął w rękach kombinezon i czuł się rozdarty pomiędzy dwoma światami. Tym normalnym, w którym jego córka utonęła dwa lata temu, dołączając do zaginionych na morzu, w którym można było prowadzić rozmowy o nocowaniu na kanapie, w którym ludzie się pobierali, a potem częstowali tortem kanapkowym.

I tym drugim. W którym Domarö trwała w żelaznym uścisku sił ciemności. W którym trzeba było uważać na każdy krok, bo w każdej chwili można było

zostać wyrwanym ze wspólnoty. W którym trzeba było uważać, żeby nie zniknąć.

Bamse, Bamse, Bamse...

Pewnie dlatego Maja tak przepadała za opowieściami o miśku Bamse. Każda była zbudowana wokół jakiegoś problemu, w każdej byli i źli, i głupi. Nikomu jednak nie groziło żadne poważne niebezpieczeństwo. Z góry było wiadomo, jak kto się zachowa. Właściwie wszyscy to wiedzieli. Nawet bogacz Sork. Był złośliwy, bo taki miał charakter, a nie dlatego, że czuł się rozdarty, czy że się bał.

No i był Bamse. Zawsze po stronie dobra. Obrońca słabych i jedyny sprawiedliwy.

Ale lubił się bić...

Anders się uśmiechnął. Właściwie to Bamse w wersji Mai był znacznie ciekawszą postacią. Był kimś, kto chce dobrze, ale też nie rezygnuje z bójki, jeśli nadarzy się okazja.

Tak jak ona.

Być może. Może dlatego tak jak niszczyła *rzeczy*, niszczyła też piosenki. Rozbijała je na kawałki. Stawały się podobne do niej. I ciekawsze.

Anders sięgnął po jeden z numerów pisemka i znalazł opowiadanie, które w dziwny sposób pasowało mu do obecnej sytuacji. Maluch wygrał wyjazd na narty. Okazało się, że w hotelu, w którym zamieszkał, straszy. Duch najwyraźniej uwziął się na Malucha. Chciał być taki jak on.

Anders czuł, że w trakcie lektury coś dziwnego działo się z jego głową; dopiero kiedy skończył czytać, znów stał się sobą.

Jestem jedynie kostiumem. Portem.

Chciał spać. Chciał, żeby Maja przejęła nad nim władzę, żeby dała mu jakąś wskazówkę. Zanim się rozebrał, postawił krzesło obok łóżka. Położył na nim ołówek i otwarty skoroszyt. Następnie wypił trzy łyki wody, rozebrał się, położył się do łóżka i zamknął oczy.

Po kilku minutach rozpaczliwych usiłowań, musiał uznać, że nadal nie śpi. Nie było szansy, żeby zasnął, mimo że bardzo tego pragnął. Usiadł i oparł się plecami o ścianę.

Co mam robić? Co mam robić?

Kartki zeszytu świeciły białą, która przyciągnęła jego wzrok. Nagle zmieniła mu się ostrość widzenia. Zaczął inaczej widzieć. Widzę poprzez moje oczy, zdążył pomyśleć i odpłynął.

Skrzypiący dźwięk sprawił, że powrócił do swojego ciała. Nie wiedział, ile czasu minęło; nagle zdał sobie sprawę, że siedzi na podłodze, przed nim leży komiks, a on trzyma w ręku ołówek. Na łóżku leżał pognieciony koc.

Komiks był otwarty na krótkim opowiadaniu. Były to zaledwie dwie strony zatytułowane *Tajemniczy przyjaciele Brummy*. Brumma schował się w szafce pod zlewem i zaprzyjaźnił ze szczotką i szufelką. Kiedy mama zawołała Brummę, szczotka powiedziała przestraszona: „Jesteśmy twoją tajemnicą” i od razu stała się zwykłą szczotką.

Na stronach komiksu było coś narysowane. Kreski i figury wypełniały każdą wolną przestrzeń. Nie było żadnych liter. Jedyne, co według Andersa mogło mieć jakieś znaczenie, to ciągnąca się przez kilka kratek połamana linia, która przypominała zarys świątyni.

Czy był jakiś powód, dlaczego komiks był otwarty akurat na tym opowiadaniu, czy też był to przypadek, jak historyjka o nawiedzonym przez ducha hotelu? Czy Maja czytała opowiadanie i przy okazji rysowała na kartkach komiksu, jak to miała w zwyczaju?

Znów coś zatrzeszczało, tym razem tuż za drzwiami. Anders wzdrygnął się, sięgnął po koc, naciągnął go na głowę i się skulił. Leżał nieruchomo. Patrzył, jak powoli opada kłamka i drzwi się otwierają. Włożył do buzi kciuk i zaczął ssać.

- Anders?

Głos Simona był niemal szeptem. Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Co ty robisz?

Anders wyjrzał spod koca i zobaczył stojącego przed sobą Simona w szlafroku.

- Przestraszyłem się - powiedział.

- Mogę wejść? - spytał Simon.

Anders wykonał ręką gest w stronę łóżka. Sam jednak nadal siedział na podłodze z kocem na ramionach. Simon usiadł na łóżku i spojrzał na otwarty komiks.

- Co narysowałeś?

- Nie wiem. Nic nie wiem, o niczym.

Simon złożył ręce i nachylił się w jego stronę.

- Posłuchaj - zaczął, biorąc głęboki wdech. - Myślałem o tym wszystkim. Musimy porozmawiać, ale zacznę od pytania: Chcesz Spiritusa?

- Tego robaka? Z pudełka od zapalek?

- Tak, pomyślałem, że może cię chronić. My jutro wyjeżdżamy. Będę niespokojny, wiedząc, że zostałeś tu całkowicie... bezbronny.

- Wspominałeś o jakimś pakcie, jakiejś umowie?

Simon wyjął pudełko z kieszeni szlafroka.

- To prawda. I nie bardzo wiem, co ten pakt oznacza. Obawiam się, że coś niedobrego może się stać, kiedy człowiek umiera.

- Chcesz mi go przekazać?

Simon stał, obracając w rękę pudełko. Kiedy larwa zmieniła pozycję, z wewnątrz dobiegało jakby słabe drapanie i stukanie.

- Boję się. Wszedłem w pakt z ciemnymi siłami. Żałuję, że to zrobiłem. Ale nie mogłem się oprzeć. Byłem głupi. Łagodnie mówiąc.

Simon dotknął swojej nowej obrączki. Jeszcze do niej nie przywykł.

- Jednak nie wybaczyłbym sobie, gdybym ci go nie zaproponował, bo jestem przekonany, że może ci pomóc. To coś, co usiłuje cię dopaść, ma przecież związek z wodą, a on... może ujarzmić wodę.

Anders spojrzął na pudełko w rękę Simona, powiódł wzrokiem po zielonym frotté jego szlafroka i zatrzymał się na twarzy mężczyzny, która nagle wydała mu się niesłychanie stara i zmęczona. Ręka, która trzymała pudełko, zdawała się sięgać niemal do podłogi, jakby larwa ważyła sto razy więcej, niż można by sądzić po jej wyglądzie.

- Co mam zrobić? - spytał Anders.

Simon cofnął rękę, w której trzymał pudełko, i pokręcił głową.

- Wiesz, w co się wdajesz?

- Nie - odpowiedział Anders. - Ale to nie ma znaczenia. Żadnego. W ogóle - dodał.

Kiedy jego propozycja została przyjęta, Simona nagle dopadły wątpliwości. Może jednak nie chciał narażać Andersa? A może nie chciał się rozstawać ze swoim magicznym Spiritusem. Zamyślony pocierał palcem pudełko ze słonecznym chłopcem na etykietce.

- Musisz splunąć - powiedział w końcu. - Do pudełka. On potrzebuje śliny. Będziesz musiał to robić codziennie, dopóki będziesz żył. Albo do czasu, gdy go komuś przekazasz.

Anders zebrał trochę śliny w ustach. Po chwili skinął głową, wziął od Simona pudełko i otworzył je. Zebrał ślinę, poczuł ją na ustach, wypuścił i...

- Zaczekaj! - zawołał Simon. - Nie rób tego...

Ale było za późno. Przypominająca lzę kapka śliny opuściła usta Andersa i upadła na szorstką skórę larwy dokładnie w momencie, kiedy Simon wyciągnął dłoń.

Anders był przekonany, że nic nie może smakować bardziej odrażająco niż piołun. Ale mylił się. To, co teraz wdarło się do jego ust i rozprzestrzeniło w jego ciele, miało wymiar pozafizyczny, niedający się w ogóle porównać z jakimkolwiek smakiem. Jakby wziął do ust kawałek zgniętego mięsa i w tym momencie sam się nim stał.

Otwierał i zamykał usta, czuł mdłości, jego ciałem wstrząsały dreszcze, pudełko wypadło mu z ręki. Simon siedział na łóżku, zasłaniając twarz dłońmi. Anders zaś leżał na boku i trzymał się za brzuch. Próbował wymiotować, ale nie miał czym.

Pudełko leżało niespełna metr od jego oczu. Zobaczył czarny łebek wystający znad krawędzi i zaraz potem larwa wydostała się z pudełka. Widać było, że urosła. Jej skóra zrobiła się błyszcząca, sprawniej się poruszała. Pełzła po podłodze, kierując się w stronę ust Andersa. Najwyraźniej chciała więcej i zmierzała do źródła.

Mimo mdłości udało się Andersowi usiąść i zatrzymać larwę, zanim dotarła do jego warg. Drżącymi dłońmi zakrył pudełko i zamknął je, nie raniąc larwy.

Z wewnątrz dobywały się odgłosy drapania, jakieś stukanie, pudełko ruszało się, podskakiwało. Anders przeknął ohydny gorzki smak, który pozostał mu w ustach.

- Jest zła? - spytał.

- Nie, powiedziałbym, że chyba wręcz przeciwnie.

Simon spojrział Andersowi w oczy. Długo tak na siebie patrzyli. Coś się między nimi wydarzyło.

- Uważaj na siebie - powiedział Simon na odchodne. I wskazując na pudełko od zapalek, dodał: - Tak jest tylko za pierwszym razem. Mam na myśli smak.

Anders siedział na podłodze, przyglądając się, jak Spiritus podryguje w swoim więzieniu. Jakby przyglądał się jakieś makabrycznej zabawce.

Nadal nie bardzo wiedział, co powinien zrobić, a raczej czy powinien to zrobić. Był jednak pewien jednego. Spojrzenie Simona było przyzwoleniem. Rób, co masz zrobić.

Anders pokonał niechęć i wziął pudełko do ręki. Larwa wyraźnie się uspokoiła, czując ciepło jego ciała i jego bliskość, a on zyskał nagle świadomość wszystkiego, co płynie.

Jego ciało było teraz płataniną powiązanych ze sobą mniejszych i większych kanalików, w których krew przybrała postać wody. Ze szkoły wiedział, że osocze zawiera krwinki i trombocyty, ale nie czuł ich, ani ich nie widział; widział jedynie mętną wodę, krążącą teraz w jego żyłach, którą pompowało jego serce. Miał świadomość, że jest jak drzewo. Jak drzewo zbudowane z wody.

Może nie tak samo intensywnie, ale równie wyraźnie widział wszelką wodę, która płynęła bądź zalegała wokół domu. Jak na zdjęciu rentgenowskim widział rozproszony w ścianach rury, widział też butelkę wody, przyniesioną z jego domu...

Teraz... teraz...

Jedną ręką chwycił stojącą na podłodze butelkę, w drugiej trzymał pudełko. Rzeczywiście czuł znajdującą się w butelce wodę, ale nic poza tym.

Było podobnie jak w przypadku krwi: czuł jedynie to, co było wodą, i czuł to niezwykle wyraźnie.

Spojrzał na dłoń, którą trzymał nad pudełkiem, i przypomniał mu się wiersz Tranströmera. Nie był miłośnikiem poezji, ale tyle razy zaczynał czytać jego *Dzieła zebrane*, że pierwszy wiersz znał na pamięć.

„W pierwszych godzinach dnia nasza świadomość obejmuje świat tak, jak nasza dłoń zaciska się na rozgrzanym przez słońce kamieniu”.

Tak właśnie było, z zastrzeżeniem, że świat, który jego świadomość teraz ogarniała, ograniczał się do tej jego części, która składała się z wody. Śledził jej bieg w rurach, czuł kroplę, kapiącą z nieszczelnego kranu w kuchni, na ułamek sekundy stracił z nią kontakt; odzyskał go, kiedy połączyła się z wodą zalegającą na dnie zlewu i powędrowała odpływem w dół, gdzieś głębiej, by tam połączyć się z większą wodą, już poza zasięgiem jego świadomości.

Puścił pudełko; im bardziej jego ręka się od niego oddalała, tym mniejsza stawała się jego świadomość wody. Kiedy uniósł dłoń i dotknął nią twarzy, poczuł, że wszystko jest jak dawniej. Nie był już drzewem, tylko człowiekiem.

Ludzie wariują z bardziej błahych powodów.

Kiedy miał dwadzieścia lat, trafił kiedyś na imprezę, gdzie facet połknął jakąś niebieską pigułkę. Siedzieli razem przy stoliku i facet nagle zaczął się wpatrywać w szklany blat stołu. Po kilku minutach zaczął płakać. Wtedy Anders spytał, czemu płacze.

- Bo to jest takie piękne - odpowiedział chłopak łamiącym się głosem. - To szkło - dodał. - Ja je widzę, rozumiesz? Widzę z czego jest zrobione. Widzę te drobne kryształki, te wszystkie maleńkie, maleńkie bąbelki powietrza. Widzę szkło, rozumiesz? Masz pojęcie, jakie jest piękne?

Anders spojrzał na blat stołu, ale nie zauważył niczego szczególnego. Widział przed sobą wyjątkowo brzydki stół ze szklanym blatem. Nie chciał jednak dalej drażnić sprawy. Być może facet potem wziął jeszcze coś, bo później znaleźli go w zaspie śniegu, w której się zakopał. Tłumaczył, że zrobił to, bo jego krew zaczęła się gotować.

Ludzie wariują.

Być może jest tak, że dzięki jakiemuś specjalnemu narzędziu nagle jesteśmy w stanie w pełni wykorzystać zdolności naszego mózgu i wtedy widzimy szkło, czujemy wodę. Tylko nie robimy tego, bo to nas wyczerpuje. Rezygnujemy, bo chcemy żyć.

Anders wypił kilka łyków wody i wrócił do łóżka. Silne doświadczenie tajemnic wody zmęczyło go, chociaż bynajmniej nie uczyniło sennym. Leżał więc skulony, wpatrując się w ścianę, na której wzór tapety przybierał kształty struktur komórkowych nieznanymi mu pierwiastków.

Dopiero kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły przenikać przez okno, powlekając tapetę szarą zasłoną, zaczął zapadać w sen. Gdzieś z daleka słyszał dochodzący z sypialni babci dźwięk budzika. Widział w myślach, jak wstają i ubierają się, szykując się do swojej podróży poślubnej.

Bawcie się dobrze, kochani.

Na jego ustach pojawił się uśmiech i zasnął.

Przywrócenie

*Schody, które prowadzą do góry,
prowadzą tak naprawdę w dół...*

Kalle

Maja

- *Puść mnie! Puść mnie!*

Nie lubię go. Wygląda obrzydliwie. Krzyczę. Wtedy przychodzi ten drugi i zasłania mi usta dłonią. Gryzę go. Czuję w ustach smak wody. Dlaczego mama i tata nie przychodzą?

Gdzieś mnie niosą. Nie chcę. Chcę do mamy i taty. Jest mi gorąco. Kombinezon jest za ciepły. Idziemy po schodach. Znow krzyczę. Ale nic nie słyhać. Zaczynam płakać. Schody są długie.

Siedzę drogę, żebym potem potrafiła wrócić. Ale drogi nie ma. Są tylko schody. Donikąd.

Placzę. Nie chcę się bać. Nie chcę krzyczeć. Chcę tylko płakać.

Potem nagle robi się ciepło, coś ładnie pachnie. Nie trzymają mnie już tak mocno. A ja już nie walczę. I nie płaczę.

Motorower ze skrzynią

Anders usiadł na łóżku i nagle dotarło do niego, że już nie śpi. Był mokry od potu; czuł, że coś ściska mu serce, przez chwilę zdawało mu się, że jest w celi. Potem jednak rozpoznał ściany i wzór na tapecie i zrozumiał, że po prostu nadal jest w gościnnym pokoju w domu swojej babci.

Ale był tam, był w myślach Mai.

Czuł jej strach i krzyczał, na ile starczyło mu sił w płucach. Widział też całkowicie niepojęte schody, i widział Henrika i Björna. Henrik niósł go, a Björn zakrywał mu usta dłonią, kiedy krzyczał.

Sen. To był sen.

Nie. Elin też dręczyły wspomnienia, które nie były jej wspomnieniami. Obrazy, które być może знаła skądinąd. Wspomnienia innych ludzi. Teraz on też tego doświadczył.

Henrik i Björn. Hubba i Bubba.

Wiedział, co musi zrobić. Na wezglówiu łóżka wisiało odświętne ubranie, ale odsunął je i sięgnął po swoje rzeczy, które leżały porzucone w kącie. Mimo że zostały opłukane w morzu, co zresztą nie było zamierzone, to puszysta, granatowa bluza HellyHansen i znoszone džinsy nadal cuchnęły. Czuł je było dymem, rozlanym winem i potem. Konieczne było prawdziwe pranie.

Ale mimo wszystko. To był jego mundurek. Włożył go więc i zamierzał nosić, aż będzie po wszystkim. Zebrał z podłogi butelki i gazety. Znow zaczął się przyglądać połamanej kresce na stronie komiksu; zauważył, że to, co uznał za ścianę świątyni, może także być schodami.

Napił się wody. Poczucie obecności Mai w jego ciele stało się czymś tak zwyczajnym, że właściwie go nie zauważał, chociaż miał jego świadomość. Przełknął kolejny łyk wody i otworzył pudełko od zapalek.

Larwa urosła i była już tak gruba, że ledwie się mieściła w pudełku. Kiedy splunął i ciężka kropla śliny dotknęła jej ciała, larwa wyraźnie ożyła i zaczęła się wiercić w niewielkim pudełku. Anders zamknął je, ale nadal go nie puszczał. I znow ogarnęła go świadomość wszechobecnej wody, wokół niego i w nim.

Przez cienkie ścianki czuł ruchy larwy i było mu jej żal. Nie był to jednak właściwy moment, żeby roztrząsać kwestie dręczenia zwierząt, czy generalnie prawa zwierząt. Poza tym był to robak, tak przynajmniej powiedział Simon, kiedy siedzieli przy stole w kuchni. Nie miał własnej woli, ani własnych poglądów, stanowił jedynie źródło siły dla swojego właściciela. Był rodzajem baterii. Spiritus.

Anders wziął do ręki kombinezon Mai i zszedł do kuchni. Dochodziła jedenaasta. Na stole znalazł kartkę napisaną pismem babci. Miał na siebie uważać, a poza tym wszystko, czego może potrzebować, jest w domu, więc nie musi nigdzie wychodzić.

W dzbanku była kawa, nalał sobie filiżankę. Czuł, jak płynie przez jego ciało, czuł każdy jej ruch. Wypił do końca i podszedł do szafy. Wyjął z niej plastikowe wiadro i napełnił je do połowy wodą z kranu. Usiadł na krześle z wiadrem między udami, w jednej ręce trzymał pudełko, zaś palce drugiej ręki zanurzył w wodzie.

Po prostu to wiedział.

Miał wrażenie, jakby dłoń, która była zanurzona w wodzie, trzymała pilota czy raczej sama stała się pilotem, który był tak dobrze mu znany, że nawet nie patrząc na przyciski, potrafił nim kierować wodą. Jego ręka przestała istnieć, sygnały wędrowały bezpośrednio z jego mózgu do wody.

Poprosił, żeby woda zaczęła wirować zgodnie z ruchem słońca, a potem w przeciwnym kierunku. Poprosił, żeby przelała się przez krawędź wiadra i zmoczyła mu nogawki. Potem odstawił wiadro, położył dłoń na mokrym materiale i poprosił, żeby woda wyparowała. Poczul na twarzy podmuch pary.

Potrafię.

Wylał wodę z wiadra, schował pudełko do kieszeni, poszedł do schowka i wyjął śrutówkę. Stał chwilę i ważył ją w ręku, zastanawiał się, czy może być mu pomocna. Ciężar metalu w rękach dawał poczucie bezpieczeństwa. Wyjął z niej naboje, włożył z powrotem do pudełka, w którym je znalazł, i potarł dłonie. Teraz był czysty.

W przedpokoju stała para butów Simona, pochodząca z wojskowych magazynów. Były na niego nieco za duże, ale włożył je. Przyniósł z kuchni kombinezon Mai i wyszedł.

Niezależnie od tego, jakimi istotami byli teraz Henrik i Björn, z czego składały się ich ciała i jak żyli, jedno było pewne: ich motorower był po prostu zwykłym motorowerem ze skrzynią. Był ciężki, solidny, ale można było go uszkodzić, zniszczyć. I znajdował się gdzieś tu w pobliżu.

Anders wyszedł na drogę i dopiero wtedy poczuł, że jest zimno. Powietrze było ostre, temperatura wahała się w granicach zera. Owinął sobie kombinezon Mai wokół szyi, nogawki i rękawy wepchnął do bluzy, żeby było mu cieplej.

Rozejrzał się. Po jego prawej stronie było schronisko, po lewej ścieżka, prowadząca do pomostów. Tutaj na pewno go nie ma, pomyślał.

To musiało być jakieś rzadko uczęszczane miejsce.

Lewa strona wyspy była właściwie niezamieszкана. Stało tam tylko kilka domów; wszystkie zostały niedawno zbudowane, i wszystkie były zwrócone w stronę lądu. Uderzyło go, że prawie nigdy tam nie chodził, to znaczy od czasu kiedy dorósł. W dzieciństwie był tam kilka razy razem z resztą paczki. Lewa strona wyspy nie przynależała do świata, ponieważ nikt tam nie mieszkał.

Anders włożył ręce do kieszeni spodni. Jego dłoń musnęła pudełko i poczuł, że wraca mu świadomość wody. Przełożył ręce do tylnych kieszeni. Nie było to zbyt wygodne, ale świadomość wody była męcząca, był w stanie ją znieść jedynie przez krótki moment. Mając przy sobie pudełko i tak w jakimś stopniu czuł wodę.

Minął dom Bergwallów i się zatrzymał. Z wewnątrz nie widać było żadnych znaków życia, być może właściciele przenieśli się na stały ląd. Na ścianie szczytowej błyszczał kran.

Był tam ktoś?

Dom leżał na niewielkim wzgórzu z widokiem na morze, ale do wody było stąd sto, może dwieście metrów. Anders zapalił papierosa i zaczął się rozglądać. Pod skałami nie wyczuwał wody, jednak musiała tu gdzieś być, bo czuł, jak jej długie macki sięgają kranu, by stamtąd dotrzeć do ludzi. Szedł ścieżkami, po których rzadko ktokolwiek chadzał, dotarł do kilku starych zarosniętych działek, do domów, które niegdyś stanowiły wschodnią część miasteczka. W końcu doszedł do skał i skierował wzrok na Nåtén, które niemal zniknął wśród mgły. Anders ruszył w stronę świerkowego lasu, szedł przez leżące odlegiem pola. Znalazł nawet stodołę z zarwanym dachem, której ściany były jeszcze bardziej krzywe niż ściany jego domu. Pomyślał, że może tu znajdzie motorower, ale w stodole było jedynie trochę spróchniałego drewna, jakieś zardzewiałe narzędzia i sterta dachówek, które nigdy nie zostały użyte. Usiadł na nich i westchnął głęboko.

Gdzie jesteście? Gdzie, do diabła, jesteście?

Jego plan był prosty. Zakładał, że jeśli znajdzie motorower, to znajdzie też Henrika i Björna. Zaczeka, aż wyjdą i... I w tym momencie jego plan się kończył. Ale miał przecież Spiritusa, coś wymyśli.

Był zmęczony i głodny, wędrował już od wielu godzin. Musi wrócić do domu i coś zjeść, żeby mieć siłę dalej szukać.

Wyszedł na szosę i zaczął się zastanawiać. Może powinien wrócić do domu i czekać, bo przecież może się zdarzyć, że oni sami go odszukają. Tak, tak zrobi. Spędzi noc w swoim domu i będzie na nich czekał. Będzie, co będzie.

Najpierw jednak poszedł do domu babci, bo tam mógł coś zjeść. Zrobił sobie kilka kanapek z rostbefem. Jadł i patrzył na morze. Zapadał zmrok, czekał aż rozbłyśnie latarnia na Gåvasten.

Wypił kilka łyków wody, którą nazywał już wodą Mai, i całkowicie podświadomie zaczął przesuwać palcami po tarczy telefonu. Anna-Greta nigdy nie wymieniła swojego starego aparatu na bardziej nowoczesny, z przyciskami, mimo że stary utrudniał jej kontakty ze skomputeryzowanymi instytucjami. Chce rozmawiać z prawdziwym człowiekiem, twierdziła.

Zanim zdążył pomyśleć, dlaczego to robi, zaczął wykręcać numer Cecilii. Może dlatego, że było to takie niecodzienne, zabawne uczucie, a żaden inny numer nie przyszedł mu do głowy.

Nie sądził, żeby Cecilia była w domu, kolejne sygnały wybrzmiewały, a w uszach dźwięczała mu pustka. Poczul się nieprzyjemnie i nieodwołalnie samotny. Nie była to panika czy napad lęku, co mu się wcześniej zdarzało; tym razem było to raczej poczucie smutku i dojmujące wrażenie, że jest całkowicie sam na świecie.

- Halo, Cecilia przy telefonie.

Anders zaczerpnął powietrza, usiłując zdusić żal, który jednak - kiedy w końcu się odezwał - nadal pobrzmiwał w jego głosie.

- Cześć, to ja. Znów.

Nastąpiła krótka przerwa, jak zwykle. Cecilia musiała zmienić się z osoby oczekującej milej pogawędki w osobę, która ma przed sobą trudną i nieprzyjemną rozmowę.

- Nie powinieneś dzwonić.

- Pewnie nie powinienem. Ale mam nowe wiadomości.

- To dobrze.

- Tak.

Po obu stronach słuchawki zapanowała cisza. Anders siedział i zerkał w stronę ich domu, który tonął teraz w zapadającym zmierzchu.

- Pamiętasz, jak kiedyś wiozłaś mnie na swoim rowerze? Wtedy, kiedy postawiłem ci lody.

Cecilia westchnęła przeciągle. Jednak kiedy mu odpowiedziała, jej głos brzmiał nieco bardziej przyjaźnie niż podczas poprzednich rozmów. Słyszała, że przynajmniej jest trzeźwy.

- Tak, pamiętam.

- Ja też. Co robisz?

- Teraz?

- Tak.

- Trochę drzemałam - powiedziała i zawahała się. - Nie miałam nic specjalnego do roboty - dodała po chwili.

Anders pokiwał głową i znów spojrział na morze. W tym momencie zobaczył światło latarni na Gåvasten.

- Bywasz radosna? - spytał.

- Prawie nigdy. A ty?

- Też nie. A co z tym facetem, którego spotkałaś?

- Nie chcę o tym rozmawiać. A co z tobą?

- To znaczy?

- Co robisz?

Jedno mrugnienie, dwa mrugnienia, trzy mrugnienia. Wciąż było jeszcze zbyt widno, żeby mrugające światło mogło przerzucić most nad wodą. Cztery mrugnienia.

- Szukam Mai - powiedział.

Cecilia nie odpowiedziała. Do ucha Andersa dobiegło stuknięcie, kiedy odłożyła na bok słuchawkę. Czekał. Po chwili usłyszał, jak płacze.

- Cilia? - powiedział. A po chwili głośniej.

- Cilia?

Cecilia znów podniosła słuchawkę.

- Jak możesz? - powiedziała zmienionym głosem.
- Mam wrażenie, że uda mi się ją znaleźć.
- To niemożliwe.

Nie miał siły, żeby tłumaczyć jej wszystko od początku. Zabrałoby mu to kilka godzin, a Cecilia i tak by mu nie uwierzyła. Jedno mrugnienie, dwa mrugnienia. Coś się stało. Miał wrażenie, że światło latarni nagle jakby nabrało ciepła. Kiedy trafił go promień tego dobrego, ciepłego światła, poczuł jakby przestraszone drgnięcie radości.

- Pamiętasz pieśń, którą śpiewano na pogrzebie taty? - spytał.
- „Dopóki łódź płynie, dopóki serce bije, dopóki słońce skrzy się na morza błękicie...”

- Tak, ale...

- Tak właśnie jest. Tak jest. Nic się nie kończy. Wszystko dalej istnieje. Cecilia znów westchnęła. Niemal widział, jak siedzi i kręci głową.

- Co ty mówisz, kocha...

Cecilia nie dokończyła. Z przyzwyczajenia chciała zakończyć zdanie „kochanie”. Tak kiedyś do siebie mówili. Odchrząknęła i wyraźnie wzięła się w garść.

- Uważam, że nie powinniśmy już do tego wracać.
- Dobrze - zgodził się Anders. - Nie będziemy. Dbaj o siebie. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś do ciebie zadzwonię.

- Dlaczego tak mówisz?

- A chcesz, żebym zadzwonił?

- Nie. To znaczy... Dlaczego tak powiedziałaś?

- Na wszelki wypadek- powiedział Anders, przetykając gulę, która nagle zaczęła rosnąć mu w gardle.

- Kocham cię - dodał pospiesznie i odłożył słuchawkę.

Siedział jeszcze długą chwilę z ręką na aparacie telefonicznym, jakby chciał sprawić, żeby już więcej nie dzwonił.

Zanim nie powiedział tego na głos, nie zdawał sobie z tego sprawy. Zresztą może to nie była prawda. Poczuł to, kiedy usłyszał jej głos, łagodniejszy niż ostatnio. Może jednak była to po prostu tęsknota za drugim człowiekiem, nostalgia, wynikająca z pogodniejszych wspomnień; może idealizował ją, teraz, kiedy już jej nie widywał. Może to wcale nie była prawda.

Miłość? Kto potrafi powiedzieć, co jest jedynie kłębowiskiem mrocznego pożądania i marzeń, a co prawdziwą miłością? Czy taka w ogóle istnieje? Może jeśli mówi się komuś „kocham cię”, i jest się przekonany, że tak jest, to właśnie to jest miłość, bez względu na motyw?

Niezależnie od historii z Mają, kochał osobę po drugiej stronie słuchawki. Z czego to wynikało, co się zmieniło, tego nie wiedział. Tak po prostu było.

Nad zatoką było już niemal ciemno. Anders oparł się łokciami o parapet i widział mrugające światła latarni niczym złoty dukc nad wodą, który pojawiał się na pięć sekund i znikał, żeby po chwili znów się pojawić.

Tam, gdzie ulice wybrukowane są złotem.

Zamruął kilka razy i zadumał się nad własną głupotą. Dlaczego uznał, że skoro jeżdżą motorowerem po Domarö, to muszą trzymać go na wyspie? Mógł stać gdziekolwiek, powinien się domyślić. Morze było ich złotym duktem.

Morze jest takie ogromne, takie ogromne...

Ale przecież nie mogli się poruszać bez żadnych ograniczeń, ktoś byłby ich zauważył. Musieli być gdzieś w pobliżu, w jakimś miejscu, gdzie nie było ludzi...

Anders wyszedł do kuchni i wziął dużą latarkę, sprawdził, czy są baterie. Potem na swoją bluzę HellyHansen włożył kurtkę Simona, upchał w niej kombinezon i zaciągnął zamek błyskawiczny. Wyglądał, niemal jakby był w ciąży. Przełożył Spiritusa do kieszeni kurtki.

Kiedy wyszedł, okazało się, że na zewnątrz wcale nie jest tak ciemno, jak mu się zdawało, kiedy był w domu, ale w ciągu pół godziny na pewno zrobi się już wieczór. Przyspieszył kroku. Idąc do przystani, miał nadzieję, że Göran, tak jak obiecał, przyprowadził już do portu łódź Simona.

Przyprowadził. Nędzna plastikowa łódka, która w ostatnich dniach tyle przeżyła, cumowała teraz przy pomoście, ocierając się lekko o paliki. Anders wszedł na pokład, zwolnił linę i włączył silnik.

Wszystko działało idealnie, niemal zbyt idealnie. Nie wiedział, czy Henrik i Björn byli sentymentalni, ale podejrzewał, że tak. Nie można wielbić Morrissey'a i The Smith, i nie tęsknić do korzeni, do miejsc i czasu, kiedy wszystko się zaczęło, i to dobre, i to złe.

Wykonał pół obrotu, dodał gazu i ruszył z dziobem zwróconym w stronę Kattholmen.

Powrót do starego domu

Powalone przez sztorm drzewa leżały na brzegu jak spragnione dinozaury o długich szyjach. Zostało wydane pozwolenie. Jeśli zimą zatoka zamrznie, każdy będzie mógł przejść po lodzie do Kattholmen i wziąć tyle drewna, ile będzie chciał. Najważniejsze, żeby zostało uprzątnięte.

Ale pozwolenie dotyczyło jedynie trudnych do obróbki olbrzymich świerków, które niełatwo było ciąć, piłować i które niezbyt nadawały się do palenia w piecu czy kominku. Zainteresowanie było więc umiarkowane. Gdyby chodziło o znacznie łatwiejsze w obróbce pnie brzozy, nie trzeba by czekać, aż lód skuje

zatokę. Ludzie podpływaliby łodziami i bili się o każdy kawałek, a Kattholmen zostałyby uprzęgnięte w okamgnieniu.

Tu jednak chodziło o pnie świerków; ciemne, ponuro wyglądające wielkie pnie, które zalegały na skałach i tylko tu i ówdzie wyciągały z wody swoje kości-
ste ręce, jakby wołały o pomoc, z którą nikt nie chciał przybyć.

Księżyc już wyraźnie się zmęczył i zaczął się kurczyć, balansując bezwładnie na czubkach nielicznych świerków, które jeszcze ostały się na wyspie. Po niebie ciągnęły się welony chmur. Kiedy Anders podpłynął bliżej, zobaczył Kattholmen skąpaną w świetle pozbawionym blasku jak postarzałe aluminium. Okrążył północny cypel, na którym tkwił betonowy znak morski z chorągiewką, wytyczając szlak, którego nikt już nie używał, i popłynął dalej wzdłuż kamienistego brzegu po wschodniej stronie wyspy.

Stara szopa stała na brzegu. Czas nie naruszył solidnych drewnianych bali, z których była zbudowana, nie przygniotło jej też żadne drzewo. Zwolnił, ostatni kawałek dryfował. Przełożył silnik przez burłę, żeby nie uszkodzić śruby. Kiedy dziób zaczął trzeć o kamienie na dnie, wszedł do wody i natychmiast poczuł mokro w butach. Wyciągnął łódź na brzeg, zapalił latarkę i poświecił w stronę szopy.

Nic tu się nie zmieniło. Wszystko wyglądało tak, jak kiedy był tu ostatnim razem. Było nawet palenisko, z którego żar padał na nagie plecy Henrika; natomiast trawa, wygnieciona przez ciała obu chłopców, dawno już się podniosła i teraz mieniła się wilgocią w świetle latarki.

Spojrzał na drzwi szopy i zdawało mu się, że słyszy dobiegającą zza nich muzykę: „It's the final countdown...”. Ostatnie odliczanie. Tak naprawdę słyszał jedynie szepot wiatru w suchych świerkowych gałęziach.

Skierował się w lewo, poświecił latarką wzdłuż ściany szopy i zobaczył go. Deski skrzyni były zniszczone przez ogień, ale cała reszta lśniła, nawet korek od baku zabłyszczał, kiedy musnęło go światło latarki. Od motoroweru prowadziły ślady przez trawę do wody.

Więc tu jesteście...

Anders usiadł na najniższym stopniu i spojrzał na morze. Fala uderzyła w rufę i łódź Simon lekko się zachybotała. Aluminiowa poświata księżycy sprawiała, że świat wydawał się zmarznięty jak metal. Za jego plecami rozległ się trzask suchej świerkowej gałęzi i nagle Anders znalazł na początku, będącym jednocześnie końcem wszystkiego. Martwy punkt. Ostatnie odliczanie.

Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...

Liczył powoli wstecz, od dziesięciu do zera, ze trzydzieści razy, i nic się nie wydarzyło. Siedział i patrzył na wodę, czekając na tych, którzy mieli klucz. Na tych, którzy wiedzą i mu pomogą, czy tego chcą, czy nie.

Włożył rękę za poły kurtki, przeciągnął palcami po gładkim materiale kombinezonu. Księżyc oderwał się już od czubków świerków i patrzył na niego. Anders poczuł się nieprzyjemnie, wstał, wyjął zatyckę od zasuw, otworzył drzwi i poświecił latarką.

Od jego ostatniej bytności najwyraźniej ktoś tu przebywał. Kolejne pokolenie przejęło pałeczkę, jednak było to pokolenie mniej dbałe o porządek. Jedno krzesło było całkowicie zniszczone, na podłodze były rozrzucone karty do gry. W kącie leżały butelki po alkoholu, na łózkach nie było materaców ani koców.

Anders podszedł do stołu, usiadł na krześle, które zachwiało się pod jego ciężarem. Przez niewielkie okienko widział oparty o ścianę motorower. Schylił się i zaczął zbierać porozrzucane karty; chciał ułożyć pasjansa, ale zrezygnował. Tاليا i tak chyba była niekompletna, doliczył się zaledwie dwudziestu kart.

Kiedy tak siedział na krześle, nieco wychylony do przodu, usłyszał nagle jakiś plusk, nie było to jednak uderzenie fali o burtę łodzi. Zastygł. Po chwili usłyszał głos Henrika.

- Nie idź dzisiaj do domu! - wołał. - Tam ktoś już na ciebie czeka, z siekierą gotową odrąbać ci ucho!

Anders wyprostował się powoli i puścił kartę, którą trzymał w rękę. Piątka karo. Wpatrywał się w romby, ich kształty nic mu nie mówiły, nie potrafił z nich niczego wyczytać. Wstał od stołu, obwiązał się w pasie kombinezonem Mai i ruszył do drzwi.

Na dole schodów stali Henrik i Björn. Henrik uniósł dłoń, w której błyszczało ostrze śmiesznie długiego noża.

- Nie chcę wracać do tego starego domu - odezwał się Björn. - Za dużo tam złych wspomnień - dodał.

Anders usiadł na najwyższym stopniu. Przyglądał się im. Od ostatniego razu niewiele się zmienili. Miejsce, w którym się znajdowali, sprawiło, że widział ich jakby przez filtr wspomnień; byli dla niego nie tylko dwoma żądnymi zemsty chłopcami, ale też żalonymi dzieciakami, którzy mieli tylko siebie. Na szczęście pamiętał tekst piosenki.

- „W życiu nie widziałem niczego równie żalosego. Właściwie to was lubiłem. Tylko nigdy wam tego nie powiedziałem. Chociaż zamierzałem”.

Henrik opuścił nóż, z jego oczu znikła dawna pogarda.

- To ja dałem wam tę kasetę, pamiętacie? - spytał Anders.

Björn przytaknął.

- Alkoholiczne popołudnia... - zaczął, ale Henrik uciszył go gestem ręki.

- Czego chcesz? - spytał.

Anders przeciągnął ręką po żołądku, po kombinezonie.

- Chcę, żeby moja córka wróciła. Myślę, że macie klucz do tej zagadki.
- Klucz? - spytał Henrik, a na jego usta powrócił grymas uśmiechu.
- Możecie mi pomóc.

Chłopcy spojrzeli na siebie. Nóż w ręku Henrika drgnął. Usiedli obok siebie na schodku tuż pod nim, ale Anders nie potrafił powiedzieć, jaką milczącą decyzję podjęli. Ponieważ poprzednia prośba odniosła skutek, Anders postanowił powtórzyć swój zabieg.

- „Proszę, proszę, pozwólcie mi ją odzyskać. Niech chociaż raz spełni się moje życzenie”.

Było to jak zabawa na polu minowym. Po raz kolejny twarz Henrika się odprężyła. Siedzieli teraz w trójkę, skuleni na schodach, cytując fragmenty piosenek The Smiths. Mogło się to wydawać normalne, wręcz sentymentalne. Ale czy rzeczywiście tak było? Tego Anders nie wiedział.

Blisko siebie...

Usiłował nie dać tego po sobie poznać, ale zimny strumień strachu przeszył mu pierś i napelnił jego żołądek lękiem. Był tak podniecony, że zapomniał o łagodnie mówiąc bardzo istotnej części swojego planu. Zapomniał napić się piolunu. Wczoraj też go nie pił. A oni o tym wiedzieli. Inaczej nie siedzieliby tak blisko niego.

Björn patrzył na Henrika, jakby czekając, co on powie. A Henrik milczał. Siedział i wpatrywał się w miejsce tuż pod brodą Andersa. Po chwili unióśł nóż i powolnym ruchem przyłożył go do twarzy Andersa. Anders cofnął się kilka centymetrów.

Piolun. Jak mogłem...

- Zaczekaj - powiedział Henrik. - Zaczekaj - powtórzył.
- Czekaj i wyprostuj się - dodał, a Anders zauważył, że drgają mu kąciki ust.

Siedział spokojnie, starając się przybrać normalny, przyjazny wyraz twarzy. Henrik dotknął ostrzem noża jego szyi, z lewej strony. Anders spojrzał mu w oczy, ale nie był w stanie niczego z nich wyczytać. Cienka, przypominająca płatek żelatyny błonka zakrywała tęczówkę i źrenicę oka Henrika. Anders poczuł zimny metal ostrza kilka centymetrów od brody, tuż nad tętnicą.

- Widzę twoją twarz - powiedział Henrik. - Jest desperacko miła. Ale co kryje się wewnątrz czaszki?

Ciało Henrika skrzyło się czarnymi impulsami i Anders zrozumiał, że przegrał, że być może w ogóle nie miał szansy wygrać. Mroczność wtargnęła do jego ciała i zamieniła się w spazm, nakazujący mięśniom ucieczkę. Zanim jednak zdążył wstać, rzucić się do przodu, czy w ogóle wykonać jakikolwiek ruch, Henrik przejechał ostrzem po jego szyi.

Anders miał wrażenie, jakby ktoś dotknął go żarnikiem. Nagle jego ciało zaczęło się opróżniać z krwi. Tryskała ostrym strumieniem, ochlapując twarz i rękę Henrikowi, spływała po schodach i nogach Andersa. Ostrze przecięło tętnicę szyjną. Instynktownie uniósł lewą rękę, dotknął rany i zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku.

Z każdym kolejnym uderzeniem serca uciekało z niego życie. Krew tryskała mu spod palców z niepojętą siłą. Dopiero teraz, kiedy serce pracowało jakby przeciwko niemu, poczuł jego prawdziwą moc. Wyczuwał każde jego uderzenie, opróżniające jego krwiobieg. Krew spływała mu po piersi, w ciągu kilku sekund miał zakrwawioną całą bluzę.

Zamrugał i jak za mgłą zobaczył, jak Henrik się podnosi i staje na schodach, jakby zamierzał wygłosić mowę. Björn i umierający Anders mieliby być jego słuchaczami.

- Czy dzisiaj w nocy nastąpi koniec świata? - spytał Henrik.
- Doprawdy nie wiem - odpowiedział Björn.
- Czy jutro rano nastąpi koniec świata?
- Doprawdy nie wiem.

Anders osunął się na bok i prawą ręką dotknął kieszeni kurtki. Przez materiał poczuł twarde pudełko. Sięgnął po nie, kiedy Henrik spytał, jaki jest sens płodzenia dzieci. Palce miał sztywne i zimne, jakby odmrożone, drapał bezradnie paznokciami po gładkiej powierzchni pudełka. Krew tryskała już nieco mniejszym strumieniem, ale drobna strużka nadal zalewała mu oczy. Widział, jak woda, która jest we krwi, opuszcza jego ciało, i nie był w stanie nic zrobić.

- Doprawdy nie wiem - powiedział Henrik, odpowiadając na postawione przed chwilą przez siebie pytanie.

Zrobił sztuczną przerwę i ciągnął dalej.

- Jedyne, co wiem, to to, że jesteśmy, tu i teraz.

Anders poczuł lekkie łaskotanie, kiedy pudełko samo się otworzyło i Spiritus wpełzł do jego dłoni.

- Odpręż się i czekaj. Nie ma o czym dyskutować - odezwał się ponownie Henrik.

Płynie. Woda płynie.

Poprosił, żeby przestała. Jego prośba powędrowała od dłoni do drzewa, które tworzyły jego żyły. Dotarła do cięcia i zaczęła wtłaczać wodę z powrotem do jego ciała, tak że wokół rany zostały tylko drobne skrzepy. Prawa tętnica, chcąc zrekompensować utratę płynu, zaczęła pulsować ze zwiększoną siłą. Miał wrażenie, że ktoś ciągnie jego skórę na szyi.

Ścisnął delikatnie dłoń wokół Spiritusa i przez welon czerwieni zobaczył, że Björn siedzi przed nim, odwrócony do niego plecami. Henrik zaś szukał

odpowiedniej kwestii kończącej jego przemowę. Najwyraźniej znalazł ją, bo nagle jego twarz się rozjaśniła. Uniósł rękę, gotów zacząć deklamować, ale w tej samej chwili Anders rzucił się od tyłu na Björna.

Woda.

Nagle wszystko zrozumiał. Zobaczył ogórek. W tak samo niepojęty sposób, jak składający się niemal wyłącznie z wody ogórek, może mieć zwartą formę, tak samo było z Björnem. Jego krew, wnętrzości, jego szkielet, wszystko to była woda w różnym stopniu stężenia, i tę wodę Anders miał teraz w rękę.

Björn, usiłując się od niego uwolnić, wstał, i w tym momencie Anders poprosił o ciepło. O wszelkie ciepło, jakie było możliwe, tak żeby woda zaczęła się gotować.

Gotuj się, diable!

Björna ogarnęła fala ciepła, upadł na schody i w ciągu kilku sekund zamienił się we wrzątek, parząc ręce i pierś Andersa. Henrik wbiegł na schody i dotarł do Björna, który otworzył usta jak do krzyku.

Ale krzyk się nie rozległ. Z jego ust trysnęła natomiast fontanna wrzącej wody. Trafiała Henrika w twarz i w piersi, tak że cofnął się, zachwiał i upadł w oparach wody. Björn skulił się na schodach i zaczął wymiotować buzującym wrzątkiem, po czym zaczął się szybko kurczyć. W ciągu paru chwil został zredukowany do parującej sterty mokrych ubrań.

Henrik natomiast leżał i rzucał się na trawie, próbując w ten sposób ugasić swoje gorejące ciało. Jego ruchy stawały się jednak coraz bardziej powolne, aż w końcu całkiem znieruchomiał.

Anders pochylił się i spróbował wstać. Nie był w stanie. Kiedy krew go opuściła, jego nogi straciły swoją siłę. Był jak wyżęta ścierka; osunął się bezwładnie na schody, nie mając siły wesprzeć się na rękach.

Zaczął się czołgać. Unosząca się nad ubraniami Björna para skraplała się na tle nocnego nieba. Kiedy mijał leżącą na ziemi stertę, czuł bijące od niej ciepło jak od uśpionego wulkanu. Henrik leżał rozciągnięty na trawie ze wzrokiem skierowanym w niebo. Anders zaczął się czołgać w jego stronę, z kombinezonem Mai zawiązanym w pasie.

Nie umieraj. Nie umieraj.

Twarz Henrika zaczynała się rozplýwać. Jego klatka piersiowa się zapadła. Delikatna skóra wokół oczu zamieniła się w płyn, a gałki oczne wyglądały, jakby były z porcelany. Pomalowane na biało porcelanowe kulki włożone w dziury zainfekowanego, czerwonego mięsa. Palce dotykały trawy, niemal ją pieściły.

Kiedy Anders się do niego zbliżył, temperatura wrzątku nieco się obniżyła i rozpad został spowolniony. Ostatnie smugi pary unosiły się znad tego, co kiedyś było twarzą Henrika.

To, do czego Anders teraz się zbliżył, obok czego się położył, nie było człowiekiem. Bowiem człowiek nie może się rozpaść w ten sposób. Woda przepłynęła przez Henrika, niszcząc zarówno to, co w ludzkim organizmie jest twarde, jak i to, co jest miękkie. Lewa strona jego szyi i brody znikła, w policzkach pojawiły większe i mniejsze dziury; dziury były zresztą wszędzie.

Nad człowiekiem, który doznał takiego urazu, powinien unosić się odór krwi albo swąd spalonej skóry, a ciało Henrika było w ogóle pozbawione zapachu. Jakby jego twarz została wyrzeźbiona w piasku i polana wiadrzem wody, a teraz niektóre jej części po prostu się rozsypały albo rozpląnęły.

- Henriku...

Anders oparł się na łokciu, żeby móc patrzeć mu w oczy, czy raczej w to, co jeszcze z nich zostało, i teraz przyglądało mu się, wystając z twarzy, na której niemal nie było już skóry. Jego źrenice podążały za Andersem. Trudno było powiedzieć, czy Henrik się uśmiechał, bo jego usta właściwie już też znikły.

- Pokaż... - powiedział Henrik.

Jego głos brzmiał niewyraźnie, jakby bulgotał, jakby mówił przez ciekłą gazę.
- Pokaż mi... co masz.

Anders nie rozumiał, o co mu chodzi, ale właśnie w tym momencie Spiritus poruszył się w jego dłoni niczym palec pragnący się wyswobodzić z uchwytu. Wyciągnął więc rękę i podsunął Henrikowi do oczu. Otworzył dłoń i szybko ją zamknął.

Henrik poruszył głową niemal niewidocznie.

- Tak myślałem... - powiedział.

- Musisz mi powiedzieć... - zaczął, ale Henrik przerwał mu swoim bulgocącym głosem.

- Nie smuć się z mojego powodu. Gdzieś w głębi serca pragnę odejść.

- „Asleep” - powiedział Anders i dodał: - Słuchaliśmy tego u ciebie w domu. Siedzieliśmy na twoim łóżku. Proszę cię, Henriku. Powiedz mi.

- Klucz... - zaczął Henrik.

- Tak. Co mam zrobić?

Z ust Henrika dobieła się para czy może powietrze, które w chłodzie zamieniło się w parę; trudno dokładnie powiedzieć, co to było. Jego pierś zapadła się o kolejne centymetry. Głos brzmiał jak ciche syczenie i chcąc cokolwiek zrozumieć, Anders musiał przystawić ucho do jego piersi.

- Masz go w rękę - powiedział. Po chwili milczenia dodał: - Kretynie...

Jakby dla potwierdzenia dodatkowy palec Andersa zaczął się wiercić i kręcić w jego dłoni. Anders natomiast nachylił się, tak że jego usta niemal dotykały niezniekształconego jeszcze ucha Henrika. Zanim jednak zdążył go o cokolwiek spytać, rozległ się cichy szept, ostatnie westchnienie.

- Istnieje inny świat. Lepszy świat. Musi istnieć.

Potem Henrik nie powiedział już nic więcej. Anders zaś uległ swoim mięśniom, które domagały się odpoczynku i padł na trawę, opierając czoło tuż obok głowy Henrika.

Żegnaj. Kretynie.

Utrata krwi i wysiłek wykończyły go. Mógł jedynie leżeć; ledwie zdołał odwrócić głowę na bok, tak by móc oddychać. Mijały kolejne minuty, zimna ziemia sprawiła, że niemal nie czuł prawej strony twarzy. Spiritus pełzał w jego dłoni, ale nie próbował uciekać. Anders czuł biegnące pod nim żyły i ciekły wodne, jednak z trudem odróżniał je od własnego krwiobiegu.

Ja... się zapadam...

Jedyne ciepło pochodziło z piekącej go rany na szyi. Gorąca rana pozostała na powierzchni, podczas gdy on sam zapadał się w głąb chłodnej ziemi, ogarnęła go ciemność. Stracił kontakt ze swoim ciałem i zaczął spadać.

Ukołysz mnie do snu swoim śpiewem...

Nie wiedział już, gdzie jest góra, a gdzie dół; leciał, spadał, nie wyczuwając dna, czy zbliżającego się końca. Pozwalał się unosić. Otaczała go ciemna woda, tonął.

Czuł, jak jego płuca się kurczą, gdy próbował zaczerpnąć powietrza, którego nie było. Zostało mu zaledwie kilka sekund życia. Jednak czas mijał, a jego świadomość nadal szybowała w bezkształtnej ciemności, nie chciała zgasnąć.

Ja tu już kiedyś byłem. Wiem, co zaraz się stanie.

Lęk przed tym, co miało nastąpić, sprawił, że gdzieś w ciemnościach czyjeś serce zaczęło szybciej bić. To mogło być jego serce, ale takie rozróżnienia były teraz bezsensowne. Jakieś serce biło ze strachu i coś się zbliżało.

Zaraz nadejdzie...

Ciemność jeszcze zgęstniała, jeden cień przekształcił się w drugi. Był wobec niego niczym; czuł jak go zasysa, jakby był krylem, który trafił do paszczy wieloryba. Cień był zbyt potężny, żeby się nim przejąć, ale ponieważ stanął na jego drodze, to został przez niego pochłonięty.

Chodź... chodź...

Jakaś dłoń wślizgnęła się w jego dłoń. Jakaś maleńka dłoń. Ciągnęła go, szarpała. Dłoń Mai.

No chodź!

Nie. Ja jestem Mają. Dłoń taty jest duża. Kiedy idziemy, chwytam jego palec. Trzymam jego palec wskazujący w swojej dłoni. Dlaczego on nie idzie?

Chodź, tato!

Jej dłoń w mojej dłoni, taka mała, taka drobna; trzymam jego palec, chodź, tatusiu, chodź, musimy już iść!

Już idę.

Podążył za dłonią, która go ciągnęła, pociągnął za palec, który za nim podążał i ciemność przeszła w aluminium, podczas gdy palec i dłoń przeobraziły się w larwę, a jego płuca wciągnęły nasycone solą morską powietrze jednym głębokim oddechem.

Już idę.

Wzrok powrócił do jego oczu. Mógł oddychać. Jego ciało leżało na trawiastym zboczu. Wiatr owiewał mu twarz. Obok niego leżały mokre ubrania, ułożone jakby miały schnąć w świetle księżyca. Sądząc po położeniu księżyca na niebie nie było go dość długo, może nawet kilka godzin. Dziesięć metrów od niego, na piaszczystym brzegu leżała łódź.

Nie mam siły.

Wyobraził sobie, ile wysiłku musi włożyć, żeby zepchnąć łódź na wodę, a potem uruchomić silnik. Nie sądził, że jest w stanie to zrobić. Chciał dalej spać, tylko nie chciał śnić.

No, chodź!

- Tak, tak - wymamrotał.

Staął niepewnie na nogi i chwiejnym krokiem ruszył w stronę łodzi. Wiatr przybrał nieco na sile i teraz mu pomagał. Drobne fale uderzały o burtę, ściągając ją na wodę. Jeszcze chwila, a łódź odpłynęłaby. Wystarczyło ją lekko pchnąć i już była na wodzie, podążył za nią, chwycił się burty i wczuł na pokład.

Próbował otworzyć dłoń, w której trzymał Spiritusa, ale palce go nie słuchały. Z pomocą palców drugiej ręki, które były nieco bardziej sprawne, udało mu się otworzyć dłoń i włożyć Spiritusa do pudełka.

Zerknął na silnik.

Jedno pociągnięcie. Dam radę.

Kiedy silnik nie zapalił po pierwszym szarpnięciu linką, chciał się poddać, ale zagryzł zęby, pomodlił się nieco niewyraźnie i szarpnął jeszcze raz. Silnik zaskoczył. Sprawdził, czy nadal ma przy sobie kombinezon i ruszył.

Wszystko na nic.

Opadł na dziobie, skulił się tak, że ledwie cokolwiek widział, zostawił za sobą Kattholmen i kierował się na Domarö. Wiedział, co musi zrobić, najpierw jednak musiał odpocząć, nabrać sił.

Kiedy dotarł na swój pomost, był nieprzytomny; nie miał siły, żeby się odwrócić i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nawet gdyby zapomniał przywiązać łódź, nie zdołałby nic zrobić. Dotarł do domu, otworzył drzwi, chwilę potem zamknął je za sobą; znalazł na komodzie butelkę rozcieńzonego wina

i wlał je w siebie. Potem osunął się na dywan w przedpokoju. Niczego więcej nie pamiętał.

Pierwszy

Anders będzie ostatni. Pozwólmuy mu spać, niech odpoczywa. Potrzebuje tego. Tymczasem posłuchajmy opowieści o tym, który był pierwszy.

W pewnym sensie jest to baśń, i jak w każdej baśni z czasem różne szczegóły rozprężają się w morzu niepamięci, a my zostajemy na brzegu z kawałkiem kila w ręku, w najlepszym razie z rzeźbą dziobową czy zniszczonym przez wilgoć dziennikiem pokładowym.

Coś się wydarzyło. Kiedyś coś się wydarzyło. To wszystko, co musimy wiedzieć. Wczasach, kiedy mieszkańcy Domara żyli z połowów śledzi i kiedy zawarli swój niechlubny pakt z ciemnymi siłami, opowieść ta była zapewne lepiej znana. Teraz zostały z niej tylko okruchy, pozwólmuy więc naszej wyobraźni zbudować statek.

Bo historia ta dotyczy właśnie statku. A raczej jego szczątków. Być może był to niewielki jednomasztowiec, właściwie nie ma to większego znaczenia. Pierwotnie pływał z solą, kursując prawdopodobnie między Estonią a Szwecją.

Załoga była albo szwedzka albo estońska. Ponieważ przy życiu pozostała tylko jedna osoba, przyjmijmy że jest to Szwed i dajmy mu na imię Magnus.

Znaleźliśmy go na wodach wokół Ålandii. Jego statek zboczył z kursu i rozbił się w niezwykle gęstej październikowej mgle. Przerażonemu i przemarzniętemu do szpiku kości Magnusowi udaje się utrzymać na resztkach roztrąskanej rufy. Woła swoich kamratów, ale nie dostaje żadnej odpowiedzi. Mgła otula go niczym koc, nie potrafi nawet zorientować się, jak duża jest deska, która utrzymuje go na wodzie.

Unosi się na falach. Miał szczęście w nieszczęściu. Szczątki statku, na których dryfuje, chronią jego ciało przed wodą. Naprawdę ma szczęście. Gdyby tylko nie marzył tak strasznie!

Nie wiemy, ile czasu spędził na morzu. Być może kilka dni, prawdopodobnie jednak tylko kilka godzin. Mgła nadal się utrzymuje. Płynie przez mleczną krainę; jedyne dźwięki, które do niego docierają to te, które sam wydaje, zmieniając pozycję czy wzywając pomocy na pustym morzu.

Nagle coś do niego dociera, nie jest to jednak żaden dźwięk czy obraz, tylko zapach. Ale powoduje, iż nagle ogarnia go fala ciepła. Czuje zapach bydła.

Raz już zdarzyło mu się zbłądzić na morzu we mgle. Ściągnął wtedy żagle i czekał, aż mgła się rozproszy. Zanim jednak to nastąpiło, już wcześniej

wyczuł zbliżający się łód właśnie dzięki zapachowi. Zapachowi nawozów, zwierząt, ziemi! Bydło oznacza bliskość ludzkich siedzib, oznacza ratunek. Podążył w kierunku, skąd dochodził zapach, i dopłynął do portu.

Stąd iskra nadziei, która teraz przesywa przerażone ciało Magnusa. Chwyta obluźowaną deskę i zaczyna wiosłować w kierunku, skąd dociera do niego zapach. Najwyraźniej płynie we właściwą stronę, bo zapach przybiera na sile.

Słyszy muczenie krowy. Mgła zaczyna się rozpraszać. Chłód też się zmniejsza, czuje lekką bryzę, ciepłą, wręcz letnią, niosącą ze sobą ten zapach.

Magnus jest prawdopodobnie człowiekiem wierzącym. Więc pewnie chwali Boga, kiedy mgła opada i w końcu ukazuje mu się ziemia. Niemal nie wierzy własnym oczom.

Widzi przed sobą raj.

To jedyne wytłumaczenie. Musiał tak bardzo zboczyć z kursu, że dopłynął do raj. Słyszał opowieści, że rajski Eden być może właśnie jest wyspą. Najwyraźniej ją znalazł.

Jeszcze kilka ruchów prowizorycznym wiosłem i już jest na białym piaszczystym brzegu. Piaszczysta plaża przechodzi w bujną ląkę, na której pasą się krowy, znakomicie utrzymane. Na zboczu leżą domy, solidne budowle. Wokół domów widzi kwitnące sady.

Jest ciepło, ale nie upalnie, w sam raz. Przez dłuższą chwilę Magnus po prostu siedzi na szczątkach swojego statku i się przygląda. Niemal boi się wstać, boi się, że jeśli zrobi krok, to raj nagle rozproszy się, jak mgła na morzu.

Wszystko jest takie świeże. Wszystko się błyszczy i lśni, jakby zostało stworzone właśnie dla niego. Tak, takie właśnie ma wrażenie. Wszystko jest pokryte wilgotną błonką: woda kapie z drzew, jakby wyspa przed chwilą wynurzyła się z morza, by wyjść mu na spotkanie.

Ostrożnie stawia stopę na brzegu, piasek nie znika. Rusza w stronę łądu, przechodzi przez plażę, przez ląkę, mija domy, by zniknąć z naszej opowieści. I nigdy już nie powrócić.

Gdy trzeba stanąć do walki

Kiedy nadszedł ranek, Anders nie miał już ciała. Był jedną wielką raną. Po nocy spędzonej na twardej podłodze bolały go wszystkie członki, męczył go ból głowy, coś pulsowało mu w szyi. Palce miał sztywne, a pęcherz dokuczał mu i bolał.

Kiedy otworzył sklezione powieki, miał wrażenie, że bolą go nawet źrenice oczu; poczuł ostre ukłucie dziennego światła. Leżał nieruchomo, wpatrując się

w drzwi łazienki. Próbował znaleźć miejsce, w którym nie czułby bólu. Poruszył językiem i doszedł do wniosku, że podczas wydarzeń ostatnich dni jego język nie poniósł żadnego uszczerbku, podobnie jak usta i zęby. Co prawda język kleił mu się do podniebienia, a w ustach miał obrzydliwy smak, ale nic go nie bolało.

Potarł oczy i zakrzepła krew zabarwiła czubki jego palców na czerwono. Stracił czucie w uchu, które w nocy było przyciśnięte do trawy. Kichnął i z nosa polecily mu zakrwawione smarki.

Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

Udało mu się usiąść i chwycić kławkę. Trzymając się jej, podniósł się i chwiejnym krokiem poszedł do łazienki, odkręcił kran i zaczął pić. Pił tak długo, aż nie mógł już więcej. Miał białe plamki przed oczami, kiedy chciał oddać mocz, musiał usiąść na klozecie. Potem długo jeszcze siedział z głową opartą o dłoń.

Kiedy w końcu przestało mu się kręcić w głowie, wyciągnął spod bluzy kombinezon Mai. Nie był już mokry, ale był poplamiony ciemną, zakrzepłą krwią. Rzucił go na podłogę w przedpokoju i zaczął się rozbierać.

Jego bluza był sztywna, podkoszulek i dżinsy kleiły mu się do ciała. Ściągnął je, poczuł pieczenie i zobaczył, że rana na prawym udzie znów zaczęła krwawić. Jego ciało cuchnęło zgnilizną, nie miał odwagi spojrzeć na siebie w lustrze.

Bojler był zepsuty; żeby zagrzać wodę musiał odkręcić kurek do oporu. Po-tem stał długo pod prysznicem, letnia woda omywała mu twarz. Od czasu do czasu wypijał kilka łyków. Krew, która wypłynęła z jego ciała, musiała zostać uzupełniona. Kiedy woda zaczęła robić się chłodna, namydlił się i delikatnie oczyścił ranę na udzie.

Zamknął oczy i namydlonymi palcami dotknął rany na szyi. Bolała go skóra. Cięcie było szerokie, na około pół centymetra. Czuł pod palcami pulsującą krew. W ciągu nocy tętnica się zasklepiła, ale była niemal na wierzchu, bo nie było skóry, która mogłaby ją chronić. Ostrożnie oczyścił ranę i przepłukał niemal już zimną wodą.

Pozostał pod prysznicem, aż woda zrobiła się lodowata, pozwolił, by spływała mu po twarzy. Pił wodę. Zakręcił kurek prysznicza i kiedy osuszył ciało ręcznikiem, białe plamki, które cały czas tańczyły mu przed oczami, znikły. Znów widział wyraźnie.

Lustro w łazience było zaparowane, wytarł ręką kawałek powierzchni i zaczął się przyglądać ranie na szyi. Właściwie nie wyglądała bardzo groźnie. Widział, jak pod cienką tkanką skóry tętnica podskakuje jak złapana w sieć ryba. Znalazł kilka gazików i lekarski przyłepiec i opatrzył rany najlepiej, jak potrafił. Rana na szyi wymagała szycia, ale musiałby jechać do Norrtälje, czekać w kolejce chorych, tłumaczyć lekarzowi... nie, to nie było możliwe.

Poza tym...

Kiedy walczył z Henrikiem i Björnem, kiedy potem brnął przez wodę, żeby dotrzeć do łodzi, zyskał wiedzę. Być może wynikała ona z jego obecnego kiepskiego stanu, ale nie sądził. Zresztą Simon też o tym wspominał, mówił, że... osłabło.

W morzu była pewna słabość. Dlatego Sigrid została wyrzucona na ląd, dlatego część zaginionych wyzwoliła się z jego objęć, i teraz - przez wodę w studniach - powracała. Morze wykazywało pewne zmęczenie, mniejszą czujność i on zamierzał to wykorzystać. Jeśli będzie w stanie. Jeśli rzeczywiście tak było.

Przeszedł nago przez korytarz, podniósł leżący na podłodze kombinezon i wszedł do sypialni. W domu było zimno, miał gęsią skórkę. Z walizki, którą przywiózł ze sobą z miasta, wyjął czyste ubranie. Bieliznę, parę czarnych sztruktrowych spodni i koszulę w biało-niebieską kratkę. W garderobie znalazł gruby wełniany sweter swojego taty i delikatnie wciągnął go przez głowę. Golf łaskotał go w szyję, ale przytrzymał też opatrunek.

Miał wrażenie, jakby się ubierał i stroił przed czekającą go egzekucją. Doszedł do tego, że uznał, iż właściwie jest to przyjemne uczucie. Powinien jeszcze sprzątnąć dom, zostawić po sobie porządek, ale nie miał na to ani czasu, ani siły.

Przyjrzał się kombinezonowi Mai, uznał, że musiałby go uprać, żeby usunąć plamy, a na to też nie miał teraz czasu. Owinał się nim; zawiązał rękawy w pasie, tak że kombinezon zamienił się w noszoną przy pasku torbę.

Wyszedł do przedpokoju i sięgnął po kurtkę Simona. Znalazł pudełko, schowane w podartej poszewce kieszeni. Wyjął go i wziął ze sobą do kuchni, usiadł przy stole i wyjrzał przez okno.

Najwyraźniej przywiązał wczoraj łódź do pomostu, przynajmniej od strony rufy. Dziób ustawiony był prostopadle do pomostu, a silnik ocierał się o kamienie. Na szczęście była flauta, więc nie musiał się tym przejmować. W dali, na skałach Gávasten, widział latarnię: biała plama w porannym świetle. Nagle promień światła odbił się wodzie, jakby chciał mu coś przekazać.

Nie bój się. Już idę.

Anders słyszał, że Spiritus ociera się o ścianki pudełeczka. Otworzył je, zebrał trochę śliny i splunął. Kiedy zamykał pudełko, zauważył, że skóra larwy się marszczy, ostatnio robak bardzo urósł i z trudem mieścił się w pudełku.

Mógł dotknąć go palcem i wepchnąć do ciasnego pudełka, ale zrezygnował. W końcu poprzedniej nocy larwa uratowała mu życie. W szufladzie z różnościami znalazł większe pudełko zapalek do kominka. Wysypał je i zamknął w nim Spiritusa.

Nie potrafił ocenić, czy larwa czuje się lepiej w swoim nowym więzieniu, ale przynajmniej pudełko dawało się bez trudu zamknąć. Wstał i schował je do kieszeni spodni.

Właściwie powinien być głodny, ale nie był. Jakby jego żołądek skurczył się wokół własnej pustki i nie dopuszczał do siebie pożywienia. I dobrze. Nie bardzo wiedział, co mógłby zjeść.

Z kranu w kuchni nalał sobie szklankę wody. Wypił. Twoje zdrowie, kochanie. Nalał kolejną szklankę. I jeszcze jedną. Jego ściśnięty żołądek poczuł zimny płyn i ścisnął się jeszcze bardziej.

Na kuchennym blacie stała butelka z piółunem. Nie zastanawiając się, podniósł ją do ust i wypił kilka łyków. Jego usta zmieniły się w ognisko zarazy; natychmiast poczuł się odurzony, zachwiał się.

Oparł się plecami o blat i, chichocząc, osunął na podłogę. Z lekkim stuknięciem uderzył pośladkami o podłogę i chichot przeszedł w urywany śmiech. Uderzył dłonią o podłogę, ale nie był w stanie przestać się śmiać. Musiał to z siebie wyrzucić, zaczął więc śpiewać: „Cudowny miód, cudowny miód babuni dodaje siły, gdy trzeba stanąć do walki!”

Nadal chichocząc, ruszył chwiejnym krokiem do sypialni i wziął do ręki miśka. Wcisnął go w rękaw kombinezonu, tak że głowa niedźwiadka wystawała mu ponad biodra, a jego krótkie nóżki dyndały przy jego lewym udzie. Poklepał miśka po futerku. „Szczęśliwy ten, kto ma takiego przyjaciela”. Chwytając się ścian i mebli udało mu się wyjść z domu na werandę.

Zimne powietrze na zewnątrz pomogło mu nieco oprzytomnieć. Potarł oczy knykciami i przestał chichotać, zamrugał w jasnym słońcu. Był ładny, bezwietrzny dzień, błogosławiony jesienny dzień, właściwie niewiele się różniący od tamtego zimowego dnia sprzed już blisko dwóch lat, który doprowadził go do punktu, w którym teraz się znalazł.

Nogi niosły go zdecydowanie w stronę pomostu. Z przerażającą ostrością widział otaczającą go przyrodę, czuł wodę, tę, która znajdowała się pod nim i tę, która była przed nim. Nadwrażliwa świadomość w kruchym ciele, nieskończenie złożony organiczny komputer w skorupie z zardzewiałej blachy.

I najsilniejszy niedźwiedź na świecie!

Zwolnił cumę i wgramolił się na pokład, usiadł na ławce na dziobie, uniósł pojemnik z paliwem, potrząsnął nim. Coś zabulgotało w nim złowieszczo. Zerknął w stronę latarni.

Płynę tylko w jedną stronę, prawda? Raczej nie będę wracał.

Spojrzał na bąbelek powietrza wskazujący poziom paliwa; gdy odstawił pojemnik, bąbelek opadł niemal na dno i Anders poczuł, że w nim także coś opadło. Fatalistyczny spokój, narastający w nim od momentu, kiedy zaczął się ubierać, zniknął; fakty były oczywiste: nie musi mieć paliwa, skoro nie zamierza wracać.

Bardzo powoli łódź zaczęła płynąć na południe, a on siedział z dłońmi na kolanach i patrzył w kierunku Gåvasten. Nagle skinął głową, zaczął pompować benzynę i szarpnął za linkę.

Dopóki łódź płynie...

Silnik zaskoczył, a on zamknął swoją świadomość na wszelkie wątpliwości. Skąły Gåvasten zbliżały się powoli. Myślał tylko o tym, wzrok miał skupiony na latarni. Kiedy był w połowie drogi, spostrzegł ptaki. Setki, może nawet tysiące małych kropeczek unosiło się nad białymi murami latarni, jak ćmy nad świecąca lampą.

Kiedy do brzegu zostało mu już zaledwie kilkaset metrów, silnik zaczął się zacinać. Najwyraźniej kończyły się paliwo, łódź spowolniła. Po niespełna stu metrach usłyszał trzask.

Przestraszony spojrzął na burtę, miał wrażenie, że stary plastik pęka. Niczego nie zauważył, ale trzaski przybierały na sile i łódka zaczęła wibrować.

Co to za diabelstwo...

Silnik zaczął kasłać; co prawda udało mu się go ponownie uruchomić, ale miał wrażenie, jakby płynął pod wiatr. Silnik wył na pełnych obrotach, ale łódź stała niemal w miejscu. Już nie wibrowała, ale podskakiwała, silnik znów zaczął się zacinać.

- Zaskocz! No, zaskocz!

Anders odwrócił się i uderzył silnik dłonią, jakby nie chciał pozwolić mu zasnąć. Kiedy oderwał dłoń od plastikowej obudowy, zerknął za burtę i zrozumiał, iż jego wysiłki są bezcelowe. Mógł próbować wycisnąć z silnika wszystko, ale i tak na nic.

Zatoka zamarzała. Ze wszystkich stron był otoczony lodem. Silnik zakasłał jeszcze kilka razy i ucichł.

Nie było słyhać szumu fal, nie było wiatru, żadnych dźwięków. Słyszał jedynie krzyki mew, które niczym ubrani na biało mnisi krążyły wokół latarni jak wokół młynka modlitewnego. Przekrzywił głowę i patrzył na nie. Poruszały się ze słońcem.

Oś centralna.

Nietrudno było na to wpaść. Był sam pośrodku ciszy, na pustym morzu, gdzie jedyne dźwięki pochodziły od mew, bo tylko one się ruszały. To one, krążąc wokół osi, utrzymywały świat w ruchu.

Anders czuł, jak wszelkie myśli ulatują mu z głowy, gdy nagle usłyszał, że coś trzeszczy. Tym razem jednak nie był to dźwięk łodzi przedzierającej się przez zamarznęte morze. Potwierdziły się jego pierwsze przypuszczenia. Pękała uwięziona w lodowym uścisku plastikowa skorupa łodzi. Anders pokręcił głową.

Niestety. Tak łatwo się nie wywiniesz.

Jeśli za wszelkim działaniem kryło się jakieś myślenie, to w tym przypadku nie było ono szczególnie inteligentne. Łódź się co prawda zatrzymała, ale on nie da się tak łatwo powstrzymać. Poklepał czule niedźwiadka Bamse, „oto nadchodzi kompania trolla”, i przełożył nogę przez burzę.

Łódź wytrzymał jego ciężar. Anders opuścił łódkę i ruszył przez wodę do latarni.

Podróż poślubna

Prom był pływającym mikrokosmosem rozrywki. Wystarczyło zrobić kilka kroków i można było coś zjeść, kolejny krok i szło się na zakupy do sklepu wolnocłowego. Tuż za rogiem można było potańczyć, a piętro niżej się przespać. Po Domarö, gdzie wszędzie było daleko, było to dla Simona miłym urozmaiceniem, tym razem jednak miał głównie poczucie klaustrofobii, a nie swobody.

Mimo że mieli większą i ładniejszą kajutę niż podczas wcześniejszych rejsów. Nie był to może prawdziwy apartament, ale kajuta położona była na górnym pokładzie i miała okienko. Simon dobrze się czuł także w kajutach pod pokładem, gdzie usypiał go dźwięk silnika. Poprzedniej nocy nie mógł zasnąć, leżał obok Anny-Grety i czuł gulę w piersi.

Czy dobrze postąpiłem?

To pytanie dręczyło go. Przekazał Andersowi Spiritusa, i zrobił to w sposób, który był jednoznaczną zachętą do konkretnych działań. Czy postąpił słusznie?

Nie mógł zasnąć. Leżał na łóżku, przysłuchując się szumowi fal, uderzających o burzę promu. Dręczyły go wątpliwości i niepokój. Zakładał, że będzie znosił swój los ze Spiritusem u boku, aż do gorzkiego końca, jakkolwiek on będzie. Nie bał się.

A może jednak?

Może tak naprawdę właśnie się bał, i wykorzystał Andersa, żeby pozbyć się swojego lęku? Nie był pewien. Oddając Spiritusa, stracił swoje oparcie, swój ciężar, który dźwigał już tyle lat. A jednak nie czuł ulgi, może jedynie brak ciężaru.

Tak minęła Simonowi noc, podczas gdy prom sunął w ciemnościach i nad ranem dotarł do najdalej oddalonych skalistych wysepek archipelagu Roslagen. Gdy Anna-Greta się obudziła, wstali, ubrali się i poszli na śniadanie.

Nałożyli sobie wędliny, wzięli bułki, kawę i usiedli przy stoliku przy oknie. Anna-Greta spojrzała uważnie na Simona.

- Spałeś w nocy? - spytała i, uśmiechając się, dodała: - Mój mężu. Simon też się uśmiechnął.

- Nie, moja żono, nie spałem dobrze.
- Dlaczego?

Simon potarł palcem dłoń; siedział i wpatrywał się w jajecznicę na swoim talerzu, która trzęsła się w rytm wibracji promu. Pomyślał, że zapewne podobnie wygląda w tej chwili jego mózg; nie potrafił znaleźć żadnej dobrej odpowiedzi. Siedzieli więc w milczeniu.

- Czy nie powinieneś coś... zrobić? - spytała Anna-Greta po chwili.
- A co takiego?

Anna-Greta wskazała głową w stronę kieszeni jego marynarki.

- Pudełeczko.

Simon zaczął coraz intensywniej pocierać palcem o dłoń, aż poczuł ból. Wyglądał przez okno. Zauważył, że skały zmieniły się już w wyspy. Właśnie mijali Söderarm. Za niespełna godzinę będą w Kappellskär. Przestał pocierać dłoń palcem, oparł ręce o stół.

- Chodzi o to, że... oddałem je Andersowi.
- Oddałeś?
- Tak, przekazałem mu je. Dokładnie tak.

Anna-Greta zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

- Dlaczego? - spytała.
- Bo...

Dlaczego? Dlaczego? Bo jestem tchórzem, bo się boję, bo jestem odważny, bo Anders...

- Bo pomyślałem, że może go potrzebować.
- Do czego? - spytała Anna-Greta, patrząc mu prosto w oczy.
- Może go potrzebować... do swoich celów.

Tak jak Simon się obawiał, Anna-Greta zaniemówiła. Ręce opadły jej na kolana, otworzyła szeroko usta i patrzyła na skalne wysepki, które niczym film przewijały się jej przed oczami. Simon sięgnął po widelec i zaczął jeść jajecznicę. Smakowała jak popiół. Odłożył widelec; w tym momencie prom się zakołysał, co sprawiło, że jajecznica na jego talerzu przesunęła się niczym ameba.

Anna-Greta patrzyła na niego, ale on unikał jej wzroku. Prom znów się zakołysał, tym razem silniej. Kiedy Simon z pewnym wysiłkiem zmusił się, żeby w końcu spojrzeć jej w oczy, znalazł w nich coś, czego się nie spodziewał.

Patrzyli na siebie. Silniki pracowały na pełnych obrotach, słychać było gwar i stukanie, nakrycia drżały, sztucce uderzały o siebie. Prom szarpnęła, Simon przesunął się o kilka centymetrów, nadal jednak nie spuszczał wzroku z Anny-Grety.

Silniki hałasowały, wszystko się trzęsło. Ludzie podnosili głosy, żeby przekrzyczeć trzaski i hałas. Nastąpiło kolejne szarpnięcie i brzuch Simona uderzył

o krawędź stołu. Krzesło, na którym siedziała Anna-Greta, odchyliło się do tyłu, niewiele brakowało, a byłaby się przewróciła. Na szczęście udało się jej chwycić parapetu i powstrzymać upadek. Prom się zatrzymał.

Podczas ostatnich konwulsji kontakt wzrokowy Simona i Anny-Grety się urwał, oboje wyglądali teraz przez okno. Simon miał wrażenie, że daleko na horyzoncie widzi Ledinge i Gåvasten, leżące na środku morza, które... zamarzło. Prom otoczony był grubymi kawałami lodu, Simon od razu zrozumiał, co się stało.

Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem?

Ludzie wstawali od stolików i, prowadząc głośne rozmowy, podchodzili do okien, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jakiś mężczyzna i jakaś kobieta przepchali się do ich okna, i zasłonili im widok.

- To niewiarygodne, niemożliwe... Jak to się mogło stać? Niedawno była tu woda...

Anna-Greta ściągnęła wzrokiem Simona.

- Cóż, skoro tak, to trudno. Będzie, co ma być - powiedziała.

Wyciągnęła swoją dłoń i położyła ją na stole między nimi. Simon chwycił ją i ścisnął.

- Przykro mi. Ale nie mogłem postąpić inaczej.

- Tak. Właśnie to rozumiałam.

Puściła jego rękę i dłoń Simona opadła na blat stołu. Anna-Greta przyglądała się jej chwilę, po czym przeciągnęła palcem po jej bruzdach.

- Właśnie to rozumiałam, mój mężu.

Lepszy świat

Kiedy Anders po raz trzeci w swoim życiu stawiał stopy na skalnym brzegu Gåvasten, nie zwrócił już niemal uwagi na mewy. Ich krzyki i wrzaski spowszedniały. Były jak dźwiękowa kurtyna, która zawsze unosiła się nad tym miejscem. Nie bał się jej już.

Zrobił krok z pokrytego lodem morza na skalny brzeg, gdzie nadal panowała jesień. Nie było śniegu, a rosnące tu pojedyncze krzaki miały liście. Trawa w skalnych załomkach wciąż jeszcze była zielona.

Cel jego wyprawy znajdował się po wschodniej stronie wyspy. Widział go, kiedy był tu poprzednim razem, widział go też na zdjęciach, ale tak naprawdę dostrzegł go dopiero teraz. Jakby wcześniej bał się nawet o tym pomyśleć.

Kiedy stanął na szczycie skał po wschodniej stronie wyspy, nie mógł uwierzyć, że był tak ślepy. Maja usiłowała mu to pokazać, układając koraliki na płycie, rysując połamaną kreskę na marginesie komiksu. Cały czas miał przed

oczami ten obrazek: skalne załamki we wschodniej części wyspy schodzące schodkowo do morza.

To nie były skalne załamki. To były schody.

Z miejsca, w którym stał, widać było wyraźnie cztery pierwsze stopnie, które znikwały pod lodem. Znał je ze snu, w którym był Mają. Miały trzy metry szerokości, a każdy stopień miał ponad pół metra wysokości. Woda i wiatr zostawiły na nich swoje ślady, nic więc dziwnego, że na pierwszy rzut oka, trudno było się domyślić, co to jest za konstrukcja.

Na pewno jednak były to schody. Schody prowadzące w dół. Kilkaset lat temu leżały pewnie ukryte pod wodą, dopiero niedawno wyszły na powierzchnię. A może były tu, zanim nadszedł lodowiec? Anders stał, obejmował się rękami i przyglądał się im.

Dokąd prowadzą?

Zaczął schodzić, pomagając sobie rękami. Nie były to schody zbudowane z myślą o ludziach, zapewne też nie zostały zbudowane przez ludzi. Bo jacyż ludzie potrafiliby w tak odległych czasach budować schody pod wodą?

Zrobił kolejny krok w dół, stopień wydał mu się nieco niższy od poprzedniego.

Kto?

Ktoś lub coś, co przekraczało jego wyobraźnię. Ktoś lub coś, co używało tych schodów, by wydostać się na powierzchnię, bądź by zejść w dół, ale w pewnym momencie przestało z nich korzystać, bo się zestarzało albo opadło z sił. Albo stało się zbyt duże. Tylko schody zostały.

Jeszcze jeden stopień. I jeszcze jeden.

Stał teraz na lodzie u stóp schodów. Na granicy jego pola widzenia migotały na niebie białe ptaki. Włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął pudełko. Usiadł na stopniu, tak że nogi zwisały mu kilka centymetrów nad powierzchnią lodu.

Otworzył pudełko, wyjął Spiritusa i delikatnie zacisnął wokół niego palce. Znów zyskał świadomość wody, czuł jak przez niego przepływa. Uniósł rękę i zaczął się przypatrywać grubej na palec czarnej larwie, która pełzła po jego otwartej dłoni.

Przynależysz tu.

Ciągnęła go blizna na szyi, podrapał ją ostrożnie, wpatrując się w półprzezroczystą lodową podłogę. Spiritus łaskotał jego dłoń swoimi powolnymi, sennymi ruchami.

To stąd pochodzisz.

Larwa była częścią tego, co znajdowało się pod lodem, u stóp schodów. Bo inaczej dlaczego pojawiłaby się właśnie na Domarö, zapomnianej przez Boga, w dosłownym tego słowa znaczeniu, wysepce w południowej części archipelagu Roslagen? Oczywiście dlatego, że właśnie stąd pochodziła.

Unióśł dłoń do oczu i zaczął się dokładnie przyglądać błyszczącej, czarnej skórze, lekko zaznaczonym segmentom ciała, które przypominało niewielki mały mięsień. Chuchnął na niego.

- Jesteś mój? - spytał niemal szeptem, ale nie dostał odpowiedzi. Przyłożył usta do ciała robaka i dmuchał na niego ciepłym powietrzem.

- Jesteś mój?

Zebrał nieco śliny i pozwolił, żeby gruba kapka upadła na ciało larwy. Robak wygiął się niczym zadowolony kot, jego skóra błyszczała.

Nic nie wiem.

Mimo to spuścił się z kolejnego stopnia i teraz stał na lodzie. Ukucnął, dotknął go czubkami palców, poprosił, żeby się rozpuścił. Na powierzchni pojawiła się warstwa wody. Anders poczuł, jak opuszcza się w dół, i nagle spostrzegł, że stoi na kamiennym stopniu.

Woda wdzierала mu się do butów, czuł, że marzną mu stopy. W odległości dwóch metrów od niego rozciągało się otwarte morze. Przez przezroczystą wodę dojrzał kolejne trzy stopnie, ginące gdzieś w mrocznej toni.

Lód miał ponad metr grubości, Anders poczuł, że zapiera mu dech. Ile siły wymagało pokrycie morza taką warstwą lodu? Poczul, jak kurczą mu się płuca, jakby ktoś ścisnął go rękami, ledwie był w stanie oddychać. Spojrzał na niebo.

Mewy oszalały. Można było odnieść wrażenie, że wszystkie chcą zająć miejsce tuż nad jego głową. Wśród łopoczących skrzydeł, wirujących w powietrzu ptasich piór i uderzających o siebie ciał trudno było rozróżnić pojedyncze ptaki.

Zamknął oczy i przesunął palcami po pomponiku czapki. Maja ssala go z lubością, kiedy, leżąc na łóżku, słuchała swoich kaset. U jego stóp rozciągało się głębokie morze, nad jego głową wrzeszczały i krzyczały ptaki. Stał przed czymś, czego rozmiarów, on, mały człowieczek, nie był w stanie pojąć.

Kim jest ten mały człowieczek? Nie widać go! On nie istnieje! Krew się poleje, ha, ha, haaa...

W telewizji pokazywano kiedyś *Ronję, córkę zbójnika*, i Maja przez przypadek obejrzała scenę, w której pojawiają się złoczyńcy. Wybiegła z płaczem z pokoju.

Anders ścisnął lewą ręką pomponik czapeczki miśka i, trzymając w prawej Spiritusa, poprosił, żeby woda się rozstąpiła.

Wokół jego stóp coś zafalowało, kaskady wody przelały się przez krawędź lodu, zimne krople wody opryskały mu twarz. Tuż obok woda została zassana i powstał klin, nie dość jednak głęboki, żeby obnażyć kolejny stopień.

Rozstąp się!

Poczul, jak siła Spiritusa wypełnia jego ciało, dociera do jego stóp, do wody, ale nic się nie wydarzyło. Zaciśnął dłoń wokół larwy tak mocno, jak tylko miał

odwagę. Wiedział, że Spiritus jest w stanie spełnić jego prośbę, tylko nie potrafi przekazać mu swojej mocy. Westchnął, poluzował chwyt i pozwolił, by woda znów zmoczyła mu stopy.

Kapka ptasich odchodów spadła mu na głowę i spłynęła po czole. Także jego lewa ręka została trafiona, brudnobiałe grudki torowały sobie drogę wzdłuż jego żeber. Potrząsnął ręką, zanim ptasie gówno dotarło do miśka, otarł czoło, uniósł twarz do góry.

- Co mam zrobić! Powiedzcie mi, zamiast na mnie srać! Powiedzcie, co mam zrobić? - wołał.

Ale mewy nie odpowiadały. Wpadały na siebie wśród trzepotu skrzydeł, i nadal krzyczały z całej siły swoich małych płuc, wydalając śluzowane odchody, które padały do wody, na lód.

Obrzydliwe. To jest obrzydliwe.

Anders zerknął na Spiritusa, i uznał, że także larwa przypomina mu grudkę odchodów.

To powinno być piękne. A jest ohydne.

Obrzydzenie wbiło w niego swoje szpony; domyślał się bowiem, jaki będzie następny krok, co powinien zrobić, żeby lepiej połączyć się ze swoim źródłem siły, wzmocnić związek między sobą, a... akumulatorem.

To jest akumulator. Ja jestem maszyną, a to jest akumulator. Po prostu.

Jego żołądek najwyraźniej jednak nie przyjmował takiego tłumaczenia i kiedy Anders uniósł do ust prawą rękę, skulił się, jakby oczekując ciosu. Anders czuł, jak wzbiera w nim fala protestu, jak przechodzi przez jego ciało, próbując go powstrzymać, obronić.

Zacisnął powieki i otworzył usta; przerażony uniósł prawą rękę. Spiritus wpadł mu do ust i zaczął pełzać po języku. Zanim Anders zdążył się rozmyślić czy zmobilizować ciało do dalszej obrony, przełknął larwę.

Podjąć decyzję to jedno, co innego ją zrealizować. Tłuste, oślizgłe ciało zatrzymało się w przelyku, wywołując skurcz gardła. Anders przełknął po raz drugi. Poczul, jak Spiritus łaskocze go w podniebienie, i mdłości podeszły mu do gardła.

Zrobił z dłoni kódeczkę, nabrał w nią morskiej wody i zaczął pić. Jego gardło się rozluźniło, przełknął Spiritusa.

Stał z rękami zwisającymi wzdłuż ciała i ciężko oddychał. Otaczające go dźwięki traciły powoli ostrość, świat przed jego oczami migotał i zamazywał się, widział wszystko jak przez warstwę pajęczyn.

I wtedy to się stało.

O ile już wcześniej miał uczucie, że jego ręka jest wyposażona w funkcję zdalnego sterowania, to teraz czuł, że całe jego ciało jest pilotem. Poza tym

nie tylko kontrolował materię, ale jednocześnie też był materią, którą kontrolował. Kiedy spoglądał na wodę, nie widział wody; widział to, z czego sam był stworzony i czego był częścią.

Przeciągnął ręką po twarzy. Była nadal na swoim miejscu. Uszczypnął się w policzek. Skóra stawiała opór, poczuł lekkie pieczenie. Był człowiekiem, z krwi i kości, ale innym niż przed chwilą. Człowiekiem, którego ciało stanowiło przestrzeń, w której teraz żył. Na zewnątrz tej przestrzeni słyszał wrzaski ptaków, przez okna oczu widział samego siebie, był morzem.

Poprosił o swobodne przejście dla tego, który go niósł, i zaczął schodzić po schodach. Woda nie wypływała już na powierzchnię lodowej tafli, morze się rozstąpiło, szedł po schodach, a po obu jego bokach wznosiły się ściany migoczącej wody.

Schody był śliskie od wodorostów i glonów, pęcherze morskoczynu pękały z lekkim trzaskiem, kiedy po nich stąpał. Poślizgnął się i musiał się oprzeć o jeden ze stopni.

One nie są dla ludzi...

Miał wrażenie, że istnieje tylko morze, ale jego dawna świadomość nie dawała za wygraną i usiłowała dojść do głosu.

One nie są dla ludzi. Umrzesz.

Tak. Ale z tym przecież już się pogodził, prawda? Nie miał dość paliwa, żeby powrócić do normalnego świata, ale też go nie potrzebował. Musi zejść schodami i zobaczyć, dokąd prowadzą. Nic poza tym się nie liczyło.

Maja.

Musi zobaczyć Maję.

Pokonał już sześć stopni. Jego lewa dłoń zamknęła się na pomponiku, dynującym mu przy biodrze, przywracając go jego ludzkiemu ciału i jego ludzkiej świadomości. Nagle coś zaszumiało mu nad głową i prawie całe światło znikło. Odwrócił się.

Przez szczeliny w podążającym za nim zwartym stadzie walczącego ze sobą ptactwa widać było niewielkie plamy nieba. Skrzydła mew trzepotały, wprawiając w ruch powietrze; czuł na twarzy powiew wiatru, jakby z płuc ptaków wyciśnięto całe powietrze; zmieniła się też akustyka: nie słyszał już krzyków. Z ptasich gardzieli wydobywały się teraz piski i jakby rechot. Mewy z jednej strony starały się zachować od niego odległość, z drugiej jednak chciały za nim podążać.

Pojedyncze ptaki, zepchnięte na kraniec stada, przedarły się przez ściany i poszybowały ku powierzchni wody. Ranny ptak spadł dwa stopnie obok niego, uderzył o nie i leżał teraz nieruchomo.

Tak nie może być...

Anders poprosił, żeby woda zamknęła się delikatnie wokół mew. Korytarz się

skurczył i ptaki zostały wyrzucone poza krawędź; niektóre zanurkowały, przepłynęły kawałek, by następnie wyjść na powierzchnię. Zaległa cisza. Anders stał na szóstym stopniu w bańce powietrza. Było ciemno, jakby zapadł zmrok. Wyczuwał kolejny stopień, ale też nic poza tym. Schodził coraz głębiej.

Po pokonaniu kolejnych siedmiu stopni otoczyła go całkowita ciemność. Wodorosty i glony znikły. Gdy podnosił głowę, mógł wciąż jeszcze dostrzec powierzchnię, niemal granatową, jak letnie niebo, ale światło już tu prawie nie dochodziło. Szedł dalej.

Im głębiej schodził, tym stopnie stawały się niższe. Po przejściu trzydziestu, może czterdziestu metrów były już znów zwykłymi schodami. Pojęcie czasu i przestrzeni przestało istnieć, był po prostu ciałem, które schodziło coraz niżej w głębinę. Żeby nie stracić kontaktu z samym sobą i nie dać się pochłonąć ciemności, zaczął liczyć stopnie.

Wyobraził sobie cyfry, żółte na tle czarnej tablicy.

Przyozdobił je kwietnymi girlandami, między którymi przemykały małe zwierzątka, wszystko po to, żeby uniknąć odcięcia od tego, co było myślącą istotą, którą przecież nadal był. Schodził. Schodził.

Siedemdziesiąt dziewięć... osiemdziesiąt... osiemdziesiąt jeden... osiemdziesiąt dwa...

Był tak zajęty dalszym przyozdabianiem cyferek, wypełnianiem różnymi kolorami wolnej przestrzeni między nimi, zajęty byciem człowiekiem w tej wielkiej, otaczającej go ciemności, że nie zauważył, kiedy to się stało. W przerwie, gdy zastanawiał się, czy na gałęzi, która była przedłużeniem cyfry osiemdziesiąt dwa, namalować wiewiórkę czy srokę, spostrzegł nagle, że schody nie prowadzą już w dół, tylko do góry.

Zatrzymał się. Rozejrzał dokoła. Na nic. Dookoła panowała całkowita ciemność. Gotów był jednak przysiąc, że nie minął żadnego podestu, miejsca, w którym skończyłby się ciąg schodów prowadzących w dół, a zaczął drugi, prowadzący w górę. W jakimś momencie schody po prostu zmieniły kierunek.

Próbował wyobrazić sobie, czy taka konstrukcja w ogóle jest możliwa. Nie potrafił. Jedyne, co mogłoby spełniać ten warunek, to schody, które skręcałyby na zewnątrz, żeby potem skręcić do środka, stając się swoim odwróconym lustrzanym odbiciem.

Nie ma żadnej drogi. Są tylko schody. Które prowadzą donikąd.

To były słowa ze snu Mai. Teraz je zrozumiał. Schody, które nigdzie nie prowadzą. Schody prowadzące donikąd. Ale szedł dalej. W górę.

Pokonawszy kolejne dwadzieścia stopni, zrozumiał, że widzi nad sobą letnie nocne niebo. Po kolejnych dziesięciu zmieniło się ono w zwykłe niebo, tyle że

widziane przez wodę. Stopnie znów stały się wysokie; kiedy próbował je pokonać, potknął się i uderzył kolanem o krawędź.

Usiadł i spojrzął w górę, w niebo. Powietrze w jego bańce zaczynało się kończyć; poprosił wodę, żeby rozdzieliła się na całym odcinku aż do powierzchni. Widok, który mu się ukazał, pogrążył go w rozpacz.

Nie, nie, nie! Tyle zachodu i...

Wysoko nad nim promienie słońca odbijały się w oknach latarni Gåvasten. Zrozumiał, co znaczy niewykonalna konstrukcja schodów. Dotarł do punktu wyjścia. Spiritus pozwolił mu przejść, ale nie dopuścił go do tajemnicy. Nagrodą za jego trud było bolące kolano.

Pochylił plecy, szykując się do pokonania kolejnego stopnia, i podciągnął spodnie. Nierówny kant stopnia przeciął mu skórę, na kolanie pojawiła się krew. Uśmiechnął się pogardliwie, odchylając głowę do tyłu. Niebo było czyste, a widoczny w dali fragment latarni błyszczał biało. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby poprosił wodę, żeby zamknęła się wokół niego. Pewnie nie umarłby, ale ryzyko zawsze istniało.

Zmęczony spojrzął w stronę jasnego światła w górze i postanowił jeszcze chwilę zaczekać. Wokół było tak pięknie. Nie miał już cienia nadziei, ale...

Mewy.

Co stało się z mewami? Mimo że miał ograniczone pole widzenia, to jednak powinien je widzieć. Ale na niebie nic się nie ruszało, widział jedynie cienki welon chmur, głosy ptaków zamilkły.

Wstał i wdrapał się na kolejny stopień. I na kolejny. Na ostatni stopień musiał się wręcz wciągać. W końcu stanął na skałach Gåvasten.

Było przedwiośnie.

Powietrze było przyjemnie ciepłe, w każdym załomie skalnym kwitły kwiaty. Na wodzie nie było mew, na niebie też nie. W dochodzącej z nad morza łagodnej bryzie kołysał się rumianek i szczypior. Latarnia lśniła biała w promieniach niezbyt gorącego popołudniowego słońca. Był cudowny dzień.

Rozejrzał się. Na wodzie nie było mew, na niebie też nie. Jak wzrokiem sięgnąć żadnego ptaka. Pocił się w ciepłym swetrze, zdjął go i zawiązał wokół pasa, nad kombinezonem Mai.

Szedł po skałach w milczeniu. Kiedy zobaczył łódź Simona, porządnie wciągniętą na kamienisty brzeg, a nie porzuconą gdzieś na morzu, usiadł i oparł brodę o dłoń.

Gdzie ja jestem ? Kiedy jestem ?

Zamrugał w ostrym świetle i zaczął się przyglądać łodzi. Była odmieniona. Wyglądała na nowszą i jakby - świeższą. Ani na burcie, ani na obudowie silnika nie było żadnych pęknięć czy zadrapań, wszystko lśniło. Poczł niepokój i odwrócił głowę.

Domarö leżała tam, gdzie zawsze. Splątany supełek gdzieś na horyzoncie, muśnięte pędzlem czubki świerków na tle jasnego nieba. Ale ona też - podobnie jak łódź - wyglądała świeżej. Była nowsza. Silniejsza.

Nagle coś drgnęło mu w brzuchu, jakby poruszył się płód w łonie matki, pomyślał. Włożył rękę za koszulę, położył na brzuchu i poczuł z obrzydzeniem, że czarna larwa w jego wnętrzu najwyraźniej zaczęła żyć własnym życiem. Rozdzielił się, nie byli już jednością. On był Andersem, a w jego ciele pełzał robak.

Wstał i ruszył do łodzi. Cuma leżała porządnie zwinięta na ławce na dziobie, wiosła były świeżo polakierowane. Pchnął i łódź ześlizgnęła się po kamieniach do wody, wszedł na pokład.

Pociągnął za linkę i przez niewielką dziurkę w pokrywie trysnęła woda. Położył rękę na obudowie i poczuł wibracje silnika. Działał, tylko nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Łódka zaczęła płynąć. Płynęła coraz szybciej, nadal nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

Wziął kurs na Domarö i przyspieszył. Przy wiejącej od morza silnej bryzie powietrze powinno wydawać się zimne, ale ono utrzymywało swoją przyjemną temperaturę, niezależnie od tego, czy przyspieszał, czy zwalniał. Wszystko zdawało się tak idealne, że poczuł, jak narasta w nim tęsknota.

Podróż na wyspę minęła niewiarygodnie szybko. Po niespełna minucie był już przy przystani, gdzie cumowały większe łodzie i statki. Dopłynął do pomości, zacumował łódź, zarzucając nową, miękką białą linę, i wyszedł na ląd.

Szopy na nabrzeżu pomalowane były na tradycyjny ciemnoczerwony kolor, który w łagodnym popołudniowym świetle wyglądał jak aksamit. Rozejrzał się i zobaczył, że na przystani stoi ktoś, odwrócony do niego plecami.

Ruszył wzdłuż wybrzeża. Zerknął w stronę miasteczka, zobaczył, że sklep jest otwarty, a stojąca na zewnątrz reklama łodów porusza się na wietrze. Lody w dużym rożku. Lody gruszkowe. O ile wiedział, żaden z tych łodów nie był już w sprzedaży. Przed sklepem stał jakiś człowiek i przyglądał się wywieszonym plakatom.

„Mięso mielone 7,95/kg, ogórki 2,95/kg”

Wiem, o co tu chodzi, pomyślał Anders. Dotarł do przystani i podszedł do człowieka, który stał odwrócony do niego plecami. Wiem, gdzie jestem, pomyślał znowu.

- Przepraszam - powiedział, a właściwie jedynie pomyślał, bo żadne słowa nie wydobyły się z jego krtani.

Człowiek, do którego podszedł, okazał się mężczyzną. Miał na sobie niebieskie robocze spodnie i koszulę w kratę, podobną do tej, którą on sam miał na sobie. Mężczyzna nie zareagował na jego niesłyszalne słowa. Anders podszedł więc bliżej.

- Przepraszam - powiedział znów.

Dotknął językiem ust, polizał palce. Usta były na swoim miejscu, język też. Dookoła panowała cisza. Nie było słycać żadnych odgłosów maszyn, żadnych głosów, nawet śpiewu ptaków.

Jednak mężczyzna nadal nie reagował. Anders postanowił okrążyć go, spojrzeć mu w oczy, może nawet nim potrząsnąć. Kiedy się niego zbliżył, poczuł ssanie w żołądku. Nagle coś zamigotało mu przed oczami i dokonała się niezwykła zamiana.

Anders stał teraz w miejscu, gdzie przed chwilą był mężczyzna. Stał i widział, jak kieruje się w stronę sklepu. Podbiegł do niego, obszedł go dookoła i sytuacja się powtórzyła. Coś przestawilo się w jego głowie: szedł za mężczyzną, zmierzającym w stronę pomostu. Widział jedynie jego plecy i tył głowy.

Zatrzymał się. Mężczyzna wrócił do pozycji wyjściowej; znów stał na przystani i patrzył na morze. Anders zawrócił i poszedł do sklepu. Niemal się spodziewał, że zaraz zobaczy tam swoją skrzynkę ze śledziami i napisaną przez siebie karteczkę.

Bo to właśnie był ten dzień. Dzień, w którym pewien mężczyzna wszedł do morza, i w którym Cecilia wiozła go na swoim rowerze. Najlepszy moment w jego życiu. Taka sama pogoda, te same reklamy przed sklepem, to samo uczucie. Z wyjątkiem strachu, który teraz czaił się w jego wnętrznościach.

Chcesz, żebym tu został. Chcesz, żebym tu był. Pokazujesz mi to, co sądzisz, że chcę zobaczyć. Moje niebo. Tak właśnie robisz.

Mężczyzna, który przed chwilą studiował plakaty reklamowe, odszedł. Szosą od południa szła teraz kobieta w staromodnej letniej sukience. Na pobliskim wzgórzu stała inna kobieta, ubrana w suknię z grubej dzianiny, z chustą na głowie. Odwrócona do niego plecami zbierała leśne konwalie.

Każdy widzi coś innego.

Kobieta, która zbierała konwalie, była najwyraźniej z innej epoki, nie pochodziła ani z tego stulecia, ani z poprzedniego. Prawdopodobnie więc nie widziała sklepu, a na pewno nie widziała plakatów reklamujących lody. Być może widziała piekarnię, która podobno była kiedyś w tym miejscu. Zaś przystań w jej oczach była zapewne jedynie niewielką drewnianą konstrukcją.

Teraz. Co to znaczy teraz? Gdzie jesteśmy?

Zamknął oczy i zaczął trzeć powieki tak mocno, że niemal czuł, jak gałki oczne dotykają czaszki. Kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył ten sam obrazek, który widział przed chwilą. Przepiękny krajobraz, przepiękny dzień i ludzie, którzy dokądś zmierzają, bądź stoją odwróceny do niego plecami.

Kopnął żwir na ścieżce, drobne kamyczki rozprysły się bezgłośnie na wszystkie strony. Nabrał powietrza do płuc i chciał zawołać: „Maja!”, ale nie zawołał. Czuł,

jak drgają mu struny głosowe, nie wydając jednak żadnego dźwięku. Cisza była tak gęsta, że miał wrażenie, że zatyka mu uszy, jakby był głęboko pod wodą.

Bo przecież tak było.

Wyszedł na szosę i skręcił na południe, w stronę schroniska turystycznego. Podobnie jak wszystkie inne budynki w tej wersji Domarö, także schronisko prezentowało się lepiej niż kiedykolwiek. Nie wyglądało bynajmniej na świeżo zbudowane. Nowe budynki nie są szczególnie atrakcyjne. Te wokół niego były stare, ale lata dodały im uroku.

Skansen.

Tak, tak to mniej więcej wyglądało. Jakby budynki i wszystkie znajdujące się w nich przedmioty zostały wystawione na pokaz. Jakby miały coś przedstawiać. Siebie. Były modelami naturalnych rozmiarów.

Kobieta w białej sukni w czarne kropeczki i mężczyzna w spodniach od garnituru, w koszuli z podwiniętymi rękawami i kamizelce grali w krokieta w ogrodzie schroniska.

Kije stukwały głucho, nie wydając żadnego dźwięku; drewniane kule turlały się pod łuczkami, także bezdźwięcznie. Mężczyzna i kobieta w ogóle na siebie nie patrzyli, nie patrzyli też na niego. Gra toczyła się do momentu, kiedy kula kobiety uderzyła o drewniany palik na końcu toru.

Mężczyzna i kobieta zebrali swoje kule, nie próbując się do siebie odezwać, i zwrócili się w stronę schroniska, jak w dobrze wyreżyserowanej pantomimie, w której obowiązuje jeden warunek: oczy mimów nie mogą się nigdy spotkać.

W momencie kiedy mężczyzna odwrócił się w stronę schroniska, Anders poczuł w piersi ssanie. Stał i obserwował, jak mężczyzna i kobieta wchodzi na górę po schodach, otwierają drzwi i znikają w głębi budynku.

Jestem tylko widzem.

Wszyscy pozostali na pokładzie tej nierzeczywistej łodzi brali udział w pantomimie i zachowywali się dokładnie tak, jak powinni. Tylko on od nich odstawał, przeszkadzał, trzeba było go siłą przesuwać, by taniec mógł trwać, by nie rozpadł się na kawałki.

Tak musi być.

Jeśli ci wszyscy ludzie, którzy tu się krzątali, widzieli każdy co innego, bo tkwili w różnych światach, to zapewne nie wolno im na siebie spojrzeć, bo wtedy mogliby zobaczyć coś innego, i iluzja, którą odtwarzali, straciłby swój sens.

Po obu stronach wąskiej żwirowej dróżki prowadzącej do jego domu rosły konwalie. Ukucnął, zerwał pęk, i włożył nos w kwiaty. Nic. Włożył do ust jedną z trujących jagód i zaczął gryźć. I też nic. Czuł jagodę na języku, co znaczyło, że

posiada zmysł czucia, najwyraźniej jednak pozbawiony był zmysłu smaku.

Wyszedł na skały i zobaczył dom, taki sam jak w tym drugim świecie.

Nie...

Zmrużył jedno oko i spojrzął na prostą sosnę przed domem. Dom nie był tak krzywy jak zwykle. Zawsze twierdził, że dom jest brzydki, i zastanawiał się co zrobić, żeby go poprawić. Teraz jego marzenie się spełniło. Dom stał w pionie i to chyba przestraszyło go najbardziej. Jego dom nie był już jego domem. Przeobraził się w pięknie położone letnisko.

Ostrożnie podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je, i w tym momencie w jego piersi wylęła się nagle cała kolonia maleńkich muszek. Maleńkie owady miały się, szukając wyjścia, poczuł drżenie w piersi. To nie był już dzień, w którym Cecilia podwiozła go na swoim rowerze: wnętrze domu było z okresu, kiedy mieszkał w nim razem z Cecilia, kiedy byli najszczęśliwsi.

Jest tak, bo ja tego pragnę.

Drżąc, szedł po szmacianym dywaniku, który Cecilia kupiła na aukcji za dziesięć koron, a może szedł po jego odbiciu. Wszystko, co widział, pochodziło bowiem z wnętrza jego głowy. Ruszył do dużego pokoju, zobaczył, że drzwi do sypialni są otwarte, i wtedy znów zaczął słyszeć dźwięki: przerywane tykanie zdawało się pochodzić gdzieś z głębi jego ucha.

Zakrył usta dłonią i poczuł, że szcękają mu zęby. Przejmująca cisza nie była w stanie stłumić dźwięków, które pochodziły z jego wnętrza. Zaczął się skradać, jakby to miało jakikolwiek sens.

Podszedł do drzwi i zajrzał do środka i wtedy tykanie przeszło w podniecone stukanie.

Siedziała tam.

Na podłodze, obok swojego łóżka siedziała Maja i grzebała w wiaderku z koralikami. Przed nią leżały niewielkie kopczyki, ułożone z koralików w różnych kolorach. Była zajęta sortowaniem koralików. Anders słyszał, jak coś sobie nuci, chociaż nie dochodził go żaden dźwięk. Wiedział jednak, że kiedy jest pochłonięta jakąś czynnością, zawsze coś sobie nuci.

Loki rzadkich brązowych włosów wily się na jej karku, kilka utknęło za lekko odstającymi uszami. Była na bosaka; miała na sobie miękki, jasnoniebieski dres, który zawsze nosiła pod kombinezonem.

Nogi ugięły się pod Andersem, bezszelestnie i niemal bezwładnie osunął się na podłogę. Uderzył głową o grube deski podłogi, w oczach pojawiły mu się białe błyskawice. Szybko jednak podniósł głowę, nie chcąc, żeby ból go obezwładnił. Pragnął dalej jej się przyglądać. Bał się, że za moment wszystko zniknie, że jeśli się zdekongcentruje, obrazek zostanie mu zabrany.

Nadal czuł pulsowanie pod czaszką, ale Maja się nie rozplęnęła. Odwrócił obolałą głowę i zobaczył siebie, leżącego na podłodze z twarzą zaledwie dwa

metry od jej pleców. Widział, jak Maja bierze koraliki drobnymi paluszkami i starannie odkłada je na kupki.

Jestem tutaj. Ona jest tutaj. Jestem w domu.

Długą chwilę po prostu leżał i przyglądał się córeczce. Ból głowy powoli mijał. Już nie szczekał zębami. Pokonał tak długą drogę, żeby dotrzeć do tego miejsca. Teraz widział ją, siedziała zaledwie dwa metry od niego.

I nie mógł jej dosięgnąć.

- Maja?

Cisza. Żadnej reakcji.

Zaczął się czołgać po podłodze, pokonał próg, już prawie był przy niej, widział nawet plamkę zaschniętego mleka na nogawce jej dresu. Usiadł i położył dłoń na jej ramieniu. Delikatna krągłość pod materiałem dresu. Przeciągnął ręką po jej ramionach, napawając się dotykiem. Chwyił ją mocniej, dotknął i milczące łzy zaczęły spływać mu po policzkach. Czuł ich słony smak. To były jego łzy.

Maja się nie odwróciła. Nie wiedziała, że on tu jest. Był po prostu parą niemych, płaczących oczu, które na nią patrzyły.

- Maja, kochanie, maleńka moja, najdroższa, jestem tu. Tatusz jest przy tobie. Nie jesteś już sama.

Objął ją, przytulił policzek do jej pleców i płakał. W tym momencie powinna się odwrócić i jęknąć z wyrzutem: „Tata, twoja broda kłuje. Będę cała mokra”. Ale nic się nie wydarzyło. Nie istniał dla niej.

Siedział; łzy zaczęły mu wysychać, ale nie był już w stanie więcej płakać. Puścił ją, cofnął się pół metra, powiódł wzrokiem po jej pochylonych plecach, po wyraźnie widocznych pod materiałem kręgach pleców.

Zawsze będę tak siedział Kiedy ona wstanie, podążę za nią. Jak duch. Zawsze z nią będę, tak jak ona była ze mną.

Zamknął oczy. Teraz już mógł.

Czy ona coś czuje? Jakaś słabą, niemal nieuchwytną obecność drugiej osoby, która towarzyszy jej, gdziekolwiek pójdzie? Może to ją wystraszy? Czy on mógł na nią w jakikolwiek sposób wpłynąć?

Z ciągle zamkniętymi powiekami, wyciągnął dłoń i dotknął jej pleców. Czuł je. Czuł dotyk miękkiego materiału na swojej dłoni, mimo że nadal miał zamknięte oczy.

Czy mogę...

Podpełzł do przodu, odwrócił się nieco w prawo i przeciągnął dłonią po jej plecach, po jej ramionach. Okrążył ją na czworakach, wciąż bojąc się otworzyć oczy. Usiadł naprzeciwko niej; dotknął palcami jej obojczyka, przeciągnął dłonią po jej twarzy. Była na swoim miejscu. Jej twarz. Okrągłe policzki, zadarty nosek, wargi, które się poruszały, kiedy nuciła.

Otworzył oczy.

Siedział w miejscu, z którego przed chwilą rozpoczął swoją wędrówkę, i trzymał rękę na głowie Mai. Dotknął palcami jej warg, ale ona tego nie czuła. Jakby nie istniał. Jakby nie był dla niej nawet duchem.

Odchylił się do tyłu, wyciągnął na podłódze i spojrział w sufit, który nie był ani poźółkły od tytoniu, ani zasnuty pajęczynami. Był perłowo biały. Ten kolor zawsze podobał mu się najbardziej.

Mógł siedzieć obok Mai, patrzeć na nią, ale nie poza tym. Ich światy nie mogły się spotkać.

Ale przyszła do mnie. Wiedziałem, że tam jest. Przyszła do mnie. Przez wodę.

Poczuł w sobie spokój. Zawód i frustracja nieco się zmniejszyły. Próbował zrozumieć tę nową sytuację, próbował myśleć.

Przyszła do mnie...

Podniósł głowę i spojrział na drobną na niebiesko ubraną postać obok łózka, która wyjęła płytkę w kształcie serca i zaczęła układać na niej kolorowe koraliki. Maja.

Ale przecież to nie była Maja. To, co było Mają, co miało pamięć czasu i potrafiło mówić, było w nim; przyszło do niego, bo udało mu się uciec morzu. To, co siedziało obok łózka, było jedynie jej ciałem, lub tym, co było potrzebne, żeby mógł widzieć to, co chciał widzieć.

Maja?

Był jeden punkt, w którym oba światy zderzały się i mieszały. Tym punktem był on, ponieważ ona była w nim. Anders zamknął oczy i znów zaczął jej szukać.

Nie bawimy się w chowanego, kochanie. Możesz już wyjść. Wyjdź! Zabawa się skończyła, niebezpieczeństwo minęło.

Przypomniał sobie, co przytrafiło się Elin. Pamiętał to coś, co było w wiadrze, co musiało wrócić do morza. Gdzieś w nim tkwiło coś podobnego. Teraz wzywał to, szukał tego w mrocznych czeluściach własnego ciała.

Gdzie jesteś... gdzie jesteś...

I nagle się pojawiło, to coś; srebrny błysk ryby w sieci gdzieś pod powierzchnią. Było w nim, w całym jego ciele, jednak gdy zaczął to coś okrążyć, przybrało bardziej skupioną formę, skurczyło się i zmieniło w bezkształtną masę, którą był w stanie uchwycić swoją świadomością i zlokalizować. Teraz czuł to w żołądku, czuł, jak krąży wokół larwy, która wiła się w panice.

Wszystko wokół niego znikło, stało się nierzeczywiste. Jego siła i jego myśli skupiały się na jednym: na tym, co nieuchwytnie. Gdy z zamkniętymi oczami zbliżał się do ciała Mai na podłódze, musiał część uwagi poświęcić też własnemu ruchowi i wtedy to coś, co w nim tkwiło, próbowało wyswobodzić się z jego uchwytu, jak kiedyś węgorz z rąk jego ojca.

Anders jednak nic chciał myśleć ani o węgorzu, ani o swoich sunących po podłodze kolanach, w ogóle nie chciał myśleć, nie chciał niczego sobie wyobrazić, nie chciał o niczym marzyć. Jego palce znów dotknęły jej ciała. Znów siedział naprzeciwko niej. Jeszcze jej nie stracił, była gdzieś w ciemności, w jego wymyślonych rękach. Pochylił się i przyłożył swoje wargi do jej ust.

Chodź. Wyjdź.

Siłą woli wyrzucił to coś z siebie. Czuł, jak wędruje prziz żołądek do gardła: maleńkie ciało, strużka łagodnej cieczy, która ślizgała się na języku, aż w końcu wyszła przez jego usta i popłynęła do jej ust.

Westchnął i się skulił. Jakby pozbył się jakiejś części siebie. Nie miał odwagi spojrzeć. Zamknął powieki i zapadła cisza. Po chwili usłyszał głos Mai.

- Tatusiu, co się stało?

Powoli otworzył oczy. Maja siedziała i patrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Jesteś smutny? Dlaczego trzymasz w rękę miśka?

Spojrzał w jej oczy, w jej zielono-brązowe oczy, które patrzyły na mego zdiwione. Jakieś duże ciało zmieniło swoją pozycję i świat zadrżał.

Chrząknięcie, które wydobyło się z jego gardła, uzmysłowiło mu, że znów może wydawać dźwięki. Zmartwione spojrzenie Mai zamieniło się w przerażenie, spowodowane jego dziwnym zachowaniem. Przełknął wszystko, co chciało z niego wylecieć, wyjął miśka z kombinezonu i podał jej.

- Przyniosłem go dla ciebie.

Maja chwyciła Bamse i mocno przytuliła, kołysała się z miśkiem w objęciach. Anders usłyszał lekkie szeleszczenie, kiedy dotknęła łokciami kolan. Nachylił się i poczuł w jej włosach zapach szamponu Barnängen. Poglądził ją po policzku.

- Maja, kochanie...

Maja podniosła głowę i spojrzała na niego. Kolejne drżenie wstrząsnęło domem; poczuł, jak deski podłogi wibrują.

- Co się stało? - krzyknęła Maja.

- Powinniśmy stąd iść - powiedział Anders.

Chwycił ją za rękę i wstał. Maja jednak się opierała.

- Dokąd mamy iść? Nie chcę nigdzie iść!

Dom znów zaczął drżeć. Anders zobaczył, jak pogrzebacz upada na podłogę tuż obok kominka. Koralki rozsypały się i wymieszały. Maja oswobodziła się z jego objęć i zaczęła wszystko układać od nowa.

Anders schylił się i podniósł ją. Protestowała i miotła się w jego objęciach, ale nie przejmował się tym. Przycisnął ją jeszcze mocniej do piersi i zaczął biec w stronę drzwi.

Wybiegł z domu, kierując się w stronę przystani. Po chwili Maja nieco się odprężyła i nagle zaczęła się śmiać.

- Wio, Gniadosz! - zawołała i cmoknęła.

Anders usłyszał odgłos swoich stop na ścieżce, zauważył, że nie biegnie już po żwirze. Żwir został starty na pył, konwalie wzdłuż drogi zwiędły, upadły na ziemię, zamazały się.

Ruszył skrótem przez skały, śliskie i ciemne. Niebo zamieniło się w jedną wielką chmurę burzową. Przy pomoście stało dwoje ludzi w staromodnych ubraniach; wołali do siebie i przerażeni rozglądali się dokoła.

Wszystko, z wyjątkiem ludzi, zaczynało się kurczyć i związać w błyskawicznym tempie. Anders trzymał Maję w objęciach i biegł w stronę łodzi. Nagle dojrzał coś, czego nie wolno mu było zobaczyć, i zrozumiał z czego naprawdę składa się świat. Pewnie upadłby i leżał teraz z twarzą do ziemi, przerażony albo pogrążony w modlitwie, gdyby nie...

- Wio, Gniadosz!

Gdyby nie Maja, która kazała mu iść dalej.

Wskoczył na pokład łodzi, posadził Maję na ławce przy dziobie, i zdał sobie sprawę, że jego szalony bieg trwał zaledwie kilka sekund. Pamiętał, że wszedł na skały, zauważył, że są śliskie, a potem wszystko potoczyło się tak szybko, że nawet nie wiedział, kiedy jak przez nie przeszedł.

Uruchomił silnik i ledwie zdążył obrócić łódź, a już byli na Gåvasten. Odległość jakby się kurczyła, wszystko się przybliżało.

Latarnia była na swoim miejscu. Białe mury wznosiły się na tle ciemnego, wieczornego nieba; kiedy jednak Anders odwrócił się, zobaczył, że Domarö jest zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich. Perspektywa się zmieniła, ale wyspa wyglądała teraz tak samo jak z odległości kilometra. Najwyraźniej jednak zbliżyli się do niej, bo teraz widział na niej ludzi. Widział jak biegają i machają rękami.

Ale wyspa nadal się kurczyła, także na wysokości. Domarö tonęła.

- Chodź, kochanie! Szybciej!

Maja wstała z ławki i wyskoczyła na kamienisty brzeg. Dostrzegala to, co on już wcześniej zauważył, i się przestraszyła.

- Dokąd idziemy?

Wyciągnęła do niego ręce, a on ją podniósł. Zaczęli uciekać, kierując się w stronę wschodniego brzegu wyspy.

Oby jeszcze tam były, oby jeszcze tam były....

Schody były na swoim miejscu, ale kiedy dotarł do skał, zauważył, że morze na wschodzie zdjęło swoją maskę i zaczęło się rozplýwać w ołowianoszarej mgle, przez którą prowadziły schody.

Postawił Maję, która mocno ścisnęła swojego miśka, i ukucnęła.

- Chodź, wezmę cię teraz na barana powiedział, siłąc się na pogodny ton.

Maja włożyła palec do buzi i pokiwała głową. Zeszli jeden stopień w dół, Maja z trudem utrzymywała się na jego ramionach, ścisnęła mocno nogami jego szyję. Nie chciała wyjąć kciuka z ust, ani też puścić z rak miśka. Anders chwycił ją za kolana, żeby nie spadła, i zaczęli schodzić.

Szli wąskim powietrznym korytarzem, gdzie schody, prowadzące w dół, nagle zaczynały prowadzić do góry. W pewnym momencie znów zmieniły kierunek, a otaczająca je mgła zamieniła się w wodę. Pot ciekł Andersowi po oczach, ale nie miał czasu poprosić, by przestał. Bolały go nogi, plecy, szyja. Nadal jednak trzymał Maję za kolana; szedł, bojąc się, że w każdej chwili może się potknąć i upaść na nierównych schodach.

Kiedy znów stanął na skałach drugiego Gåvasten, czuł w płucach ogień. Odychał z trudem. Przy każdym oddechu wyrzucał z siebie zalegający w płucach dym papierosowy, który podczas ucieczki oderwał się od ścian jego płuc. Gdy kucnął, żeby postawić Maję na ziemi, przewrócił się. Mała krzyknęła, niewiele brakowało, a upadłaby na skały; na szczęście wylądowała na miśku.

Maja nie płakała ani nie krzyczała. Siedziała skulona z szeroko otwartymi oczami, tuliła do siebie miśka i ssła kciuk. Niemal bezwładną ręką dotknął Anders jej stopy, jakby chcąc sprawdzić, czy ona naprawdę tam jest. Maja nadal patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami; nie odzywała się.

Anders czuł, że jego ciało jest wykończone, jakby bieg i wspinaczka pochłonęły resztki siły, które w nim tkwiły. Teraz mógł jedynie leżeć na skałach, dyszeć ciężko i patrzeć na swoją przerażoną córkę.

Da radę. Nie rozumie, co się dzieje. Da radę.

To nie on drżał, tylko skały. Z wnętrza ziemi dochodził głuchy ryk, który cały czas przybierał na sile.

Nadchodzi...

Dojrzał je, prześwitujące przez mgłę uludy, w której się ukrywało. To coś, co zniewalało ludzi, bo potrzebowało ich siły, żeby móc rosnąć i się rozwijać. Niebezpieczeństwo nadchodzące z podziemi, duch morza, potwór, o którym opowiadały baśnie.

Nie było sensu próbować go opisywać. Była to ogromna siła, czarny wielogłowy mięsień z milionem oczu, ale bez ciała, ślepy. Nie istniał. I nie istniało nic oprócz niego.

Anders czuł drżenie skały w swojej czaszce. Wewnątrz niej mიაł się jego mózg, usiłując wyobrazić sobie to, co się działo, bezskutecznie.

Wiedział, że nie może tu być, kiedy to nadejdzie. Przekręcił się na plecy, usiadł i położył rękę na kolanach Mai. Brakowało mu sił, miał jednak w głowie słowa swojego sierżanta z wojska.

- Biegnij; kiedy padniesz i nawet twoja matka będzie przekonana, że nie żyjesz, wtedy musisz wstać i przebiec jeszcze kawałek - powiedział mu kiedyś.

Na mamę nie mógł liczyć; mógł polegać jedynie na własnych odczuciach. Ponieważ wiedział, że nadal jeszcze żyje, więc wiedział też, że może też przebiec jeszcze kawałek. Otarł pot z czoła i zerknął na skute lodem morze.

Ptaki...

Ptaki nie krążyły już nad wyspą, ale też nie zniknęły, jak wtedy, w tym drugim miejscu. Całe stado zebrało się teraz jakieś sto metrów na wschód od nich. Niektóre ptaki krążyły dokoła, jak wcześniej, ale część zebrała się na lodzie i przemieszczając się niespokojnie z miejsca na miejsce. Ptaki zdawały się na coś czekać.

Nie miał czasu zastanowić się nad tym. Teraz byli w świecie, w którym był październik. Jego ciało nadal miało w sobie ciepło lata, ale...

- Proszę, maleńka.

Odwiązał zamotany wokół pasa kombinezon. Przysunął się do Mai, która nadal siedziała z podciągniętymi kolanami i ssała kciuk. Jej oczy patrzyły na niego w sposób, który był dla niego nieprzyjemny. Próbował wyrwać jej z rąk miśka i włożyć jej kombinezon. Ale ona nie chciała go puścić.

- Kochanie, jest zimno. Musisz włożyć kombinezon - tłumaczył jej.

Maja pokręciła głową przecząco, a on poczuł ulgę, mimo że przecież mu się przeciwstawiła. Pociągnął za czapkę miśka, próbując wyjąć go z jej objęć. Drżenie ziemi przybierało na sile i Anders musiał bardzo się starać, żeby zachować spokój.

- Chodź, kochanie, przeziębisz się.

Pociągnął za czapkę miśka, ale Maja nadal go nie puszczała. Nagle coś przeskoczyło mu w piersi i zaczął się śmiać. Śmiał się. Gdzieś z żołądka dochodziło go jakieś szalone poczucie radości. I nadal się śmiał. Właściwie było to głupie.

Maja była gdzieś po drugiej stronie, a on ją stamtąd zabrał. Gdzieś w podziemiach czaiło się kolejne drżenie, a on siedział i ciągnął filcową czapkę Bamsego. Maja nie poddawała się, siedziała i kręciła głową.

Nagle spojrziała na niego z ukosa i wyjęła palec z buzi.

- Nie jest mi zimno. Nic a nic. No, może trochę w nogi. Gdzie jest mama? Niech też tu przyjdzie.

- Dobrze. Mama przyjdzie później - powiedział Anders, tłumiąc śmiech.

- Jest brudny, okropnie brudny odezwała się znów Maja, patrząc krytycznym wzrokiem na kombinezon, który Anders trzymał w ręku.

Czerwony materiał był poplamiony skrzepłą krwią. Podczas biegu ciało Andersa się rozgrzało i skrzepy rozmiękły. Kombinezon był rzeczywiście okropnie brudny.

- Co tak drzęczy? - spytała Maja, rozglądając się dookoła.

Mówiła drzęczy zamiast dźwięczy, często popełniała ten błąd. To była jedna z tych tysiąca rzeczy, które o niej wiedział, a które teraz znów nabrały znaczenia.

- Nie wiem - skłamał. - Musimy już iść - dodał szybko.

Znów wziął ją na rękę, a ona w końcu puściła miśka i chwyciła go mocno za szyję. Bamse leżał bezpieczny między nimi. Dudnienie stawało się coraz silniejsze; kiedy dotarli do kamiennego wybrzeża po południowej stronie wyspy, zobaczył, że lodowa pokrywa oderwała się od wyspy. Musiał przeskoczyć szeroką strugę wody, żeby dotrzeć do łódki, która leżała nieco oddalona od brzegu i nadal była otoczona lodem.

W końcu dotarli do łodzi i Anders posadził Maję na ławce na dziobie. Słyszał, jak lód zaczyna trzeszczeć. Błyszcząca biała powierzchnia była poprzecinana szczelinami. Kiedy na łodzi zaczęły się pojawiać kolejne strugi wody, ptaki znów zaczęły krążyć w powietrzu. Krzyczały podniecone.

Jestem morzem.

Anders sprawił, że lód wokół łodzi zamienił się w wodę, następnie chwycił się burty i wskoczył na pokład. Maja niemal spadła z ławki, kiedy łódź zaczęła szybko płynąć wolnym od lodu przesmykiem, który pojawił się przed nimi. Chwyciła się mocno relingu.

- Szybciej, szybciej! - wołała.

Anders pokręcił głową. Maja niczemu się nie dziwiła. Wszystko ją bawiło, także prędkość. Ponieważ był morzem, rzucił łódź do przodu z jeszcze większą siłą. Maja stała na dziobie z rozwianymi włosami i trzymała się relingu. Przechylała się to do przodu, to do tyłu, jakby chciała pomóc i jeszcze przyspieszyć pęd łodzi.

Nagle w otaczającej ich przestrzeni rozległ się w potężny huk i Anders się odwrócił. Na wschód od Gåvasten wynurzyło się z wody potężne, czarne cielsko. Przebiło się przez ponadmetrową warstwę lodu. Miało około metra długości i dobre dwadzieścia metrów szerokości i ciągle potężniało.

Byli dość daleko, więc Anders nie był w stanie dostrzec pojedynczych ptaków, zobaczył jednak, że stado zaczyna pikować. Ptaki atakowały wynurzającego się z morza potwora małymi dziobami. Ich dziobanie można było pewnie przyrównać do ukłucia komara.

Anders skierował wzrok na Domarö.

Wyspa szybko się przybliżała. Pojedynczy komar był niczym wobec człowieka, który mógł zabić go jednym placem swojej ręki. Jednak tysiąc komarów, to co innego. Być może walka mew nie była wcale tak beznadziejna, na jaką wyglądała.

Anders podpłynął łodzią do pomostu, gdzie w innym, drugim świecie zwykle cumował łódź, i zobaczył popękana na kawałki lodową pokrywę. Pomógł Mai wysiąść, odwrócił się i ponownie spojrzął na morze.

Obok Gåvasten pojawiła się teraz druga wyspa, niemal równie wysoka jak skała, na której wznosiła się latarnia, i co najmniej pięć razy tak szeroka.

Ucho Gunilli. Gyllenör. Wyspa ze snów.

Morze znów zadrżało. Pomost pod stopami Andersa zahaustał się. Zarówno Gåvasten, jak i druga wyspa znikły. Anders zamrugał zdziwiony. Linia horyzontu poruszała się, falowała przy brzegach jak asfalt w silnym słońcu.

W końcu zrozumiał. Kolejny raz wziął Maję na ręce i zaczął nieść w stronę lądu. Kiedy biegł do przystani, zobaczył, że Mats, właściciel sklepiku, stoi i przygląda się czemuś przez lornetkę. Obok niego stała jego żona, Ingrid. W pewnym momencie Mats opuścił lornetkę, pokręcił głową i coś jej powiedział.

- Halo! Mats! Halo! - wołał Anders. Mats zobaczył go.

- Anders, co u... - zaczął i urwał.

Spojrzał na niebieski tobolek, który Anders trzymał w objęciach.

- Czy to...

- Tak - potwierdził Anders. - Włącz syrenę przeciwpożarową! - krzyknął.

- Ale... to znaczy...

- Mats, proszę, zaufaj mi. Może być bardzo źle. Włącz alarm - powtórzył Anders, zerkając na morze.

Linia horyzontu znów nieco się uniosła.

- Uciekaj stąd! Jak najszybciej!

Mats spojrzął na morze i nagle opadła mu szczęka, chociaż właściwie nie bardzo potrafiłby powiedzieć, co takiego zobaczył. Chwycił Ingrid za rękę i oboje ruszyli biegiem w stronę sklepiku. Anders podążył za nimi, z Mają na ręku. Dogonił Matsa w chwili, gdy ten otwierał szafkę z alarmem. Włączył syrenę, której smutny głos rozszedł się po szkiełach.

- Ludzi nie ma w domu - powiedział Mats i z przyzwyczajenia zamknął szafkę.

Zaczęli biec pod górę, a Anders dziękował jakieś szczęśliwej gwiazdzie, że dzieci nadal były w szkole, a mieszkańcy Domarö najczęściej pracowali na lądzie.

Odwrócił się.

Wielka fala była zaledwie kilkaset metrów od wyspy. Mimo że Anders znajdował się teraz na dość wysokim wzgórzu, fala była tak ogromna, że zasłaniała Gåvasten i okoliczne szkiery. Maja też ją zauważyła.

- Tatusiu, czy my umrzemy?

- Nie, kochanie - zapewnił ją Anders, cały czas podążając za Matsem i Ingrid w jeszcze wyższe miejsce.

- Nie umrzemy. Nie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy. Na pewno nie.

- A mamusia umrze?

- Mamusi tu nie ma. Jest daleko stąd. Nic jej nie grozi.

- Dlaczego jest daleko stąd?

Jakaś starsza para, która mieszkała kilka domów za sklepikiem, a której nazwiska Anders nie pamiętał, otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

- Gdzie się pali? - spytał starszy mężczyzna. Mats zatrzymał się i wskazał ręką na morze.

- Nadchodzi fala. Uciekajcie stąd.

Starzec zmrużył oczy i spojrzał na morze. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Chodź, Astrid - powiedział, chwytając żonę za rękę.

Ledwie zdążyli włożyć drewniaki i zejść ze schodków, kiedy od strony portu doszedł ich ogłuszający hałas, a podmuch wiatru pchnął Andersa do przodu. Maja zaczęła piszczeć, bojąc się, że ojciec się na nią przewróci, ale Andersowi udało się odzyskać równowagę i, chwiejąc się trochę, ruszył w stronę lasu.

Nagle usłyszał za sobą coś jakby grzmot wodospadu i kilka sekund później poczuł, jak morską wodą obmywa mu stopy. Niewielka kra uderzyła go w prawą nogę, przeszył go ostry ból. Zagryzł zęby i zaczął torować sobie drogę między różnej wielkości kawałkami lodu, które pływały na wodzie.

Na szczęście para staruszków była z twardego rodu wyspiarzy i dzielnie brnęła przez wodę w swoich drewniakach. Szli kilka metrów przed nim; tuż za Matsem i Ingrid. Nagle Maja wyprostowała się i zerknęła mu przez ramię.

- Tato, idzie jeszcze jedna!

Anders się odwrócił. Drewniane szopy na brzegu znikły, linia brzegowa podniosła się o kilka metrów, jakby Domarö nagle się otrząsnęła i uniosła się, by stawić czoło niebezpieczeństwu. Niestety, było inaczej. To fala zasysała wodę. Kolejna fala.

Była większa od poprzedniej i niosła ze sobą równie groźne, niszczycielskie kry. Cała droga aż do portu pokryta była kawałkami lodu, które niszczyły pola, drzewa, domy.

Mats zauważył, że Anders kuleje i zaproponował, że pomoże nieść Maję, ale Anders pokiwał przecząco głową. Niósł ją już taki kawał, to poniesie jeszcze trochę. Tyle że rzeczywiście ledwie mógł iść.

- Zaczekaj! Zaczekaj! - zawołał starzec do Andersa, pokazując pozostałym ręką, żeby szli dalej. Anders zatrzymał się. Stał z Mają w ramionach, podczas gdy starzec wrócił do swojego domu. Teraz go sobie przypomniał.

Często kupował od niego śledzie, i już wydawał mu się stary, chociaż dziwnie się nazywał jak na starca.

Kristoffer. Kristoffer Ek, przypomniał sobie Anders. Ojciec Torgny'ego.

Kristoffer zniknął w domu, a Anders spoglądał na morze z coraz większym niepokojem. Mieli jeszcze chwilę czasu, zanim dojdzie do nich następna fala, ale kiedy to się stanie...

Jestem morzem.

Anders stał z nogami w wodzie, która była jego łącznikiem ze ścianą morza, nadchodzącą od zatoki. Postanowił stanąć naprzeciwko niej. Czuł gorąco Spiritusa w żołądku, kiedy pozbył się swojej świadomości i połączył się z nadchodzącą falą.

Stój! Stój!

Był w fali, a fala była w nim; jej szaleńcza siła przepłynęła przez Spiritusa i dotarła do jego palców, które zacisnęły się mocno wokół ciała Mai, gdy usiłował okiełznać jej moc. Larwa w jego żołądku zwinęła się w supeł, jak mięsień napięty do granic wytrzymałości. To było zadanie ponad ludzkie siły.

Anders wiedział, że jego działania nie mają sensu. Równie dobrze mógłby próbować powstrzymać oszalałego konia za pomocą żyłki od wędk. Mimo to sprężył się, przekraczając wszystkie granice. Nagle poczuł, że coś w nim pękło. Palilo go w żołądku, utracił kontakt z wodą.

- Tato! Ściskasz mnie!

Powrócił do świata, w którym kurczowo ściskał swoją córkę. Odprężył się, ale musiał bardzo się skupić, żeby w ogóle utrzymać się na nogach.

- Dlaczego mama jest daleko stąd?- spytała Maja, szepcząc mu do ucha.

- Później do niej zadzwonimy, kochanie. Później.

Fala lśniła jak gigantyczne lustro, które nagle zostało opuszczone nad powierzchnię wody; kra wyglądała jak plamy na błyszczącej powierzchni. Żaden człowiek nie był w stanie jej powstrzymać. Anders odwrócił się i zaczął biec, kiedy nagle usłyszał dźwięk zapalanego silnika, a chwilę potem Kristoffer ukazał się na podjeździe swojego domu, jadąc na jaskrawoniebieskim motorowerze ze skrzynią.

- Wskakuj! -zawołał.

Anders wdrapał się na skrzynię, razem z Mają. Kristoffer dodał gazu i już po chwili pędzili leśną ścieżką.

Kto to jest? spytała Maja szeptem.

- To Kristoffer. Pomaga nam - wytłumaczył jej Anders.

- Wygląda miło. Trochę jak Simon - powiedziała Maja, kiwając głową.

Od momentu, kiedy wszystko się zaczęło, Anders nie poświęcił Simonowi i Annie-Grecie nawet jednej myśli. Wiedział, że nie ma ich na wyspie i uznał, że są bezpieczni. Na morzu albo na Kappelskär.

Domarö. Tu chodzi tylko o Domarö.

Szybko dogonili pozostałych. Kristoffer zahamował i Astrid usiadła na brzegu skrzyni. Kristoffer gestem ręki zaproponował miejsce także Matsowi i Ingrid, ale Mats pokręcił głową. Zbyt ciężki motorower na pewno nie jechałby szybko, woleli biec.

- Do kamienia! - zawołał Anders. - Blok polodowcowy na wzgórzu. Najwyższy punkt na wyspie.

Kristoffer skinął głową i ruszyli dalej drogą. Kiedy mijali Matsa i Ingrid, Anders przekazał im informację. Po kilkuset metrach Kristoffer skręcił w leśną ścieżkę, spod kół motoroweru zaczęły lecieć drobne kamyki i gałązki, ale jechali dalej. Cały czas pod górę, coraz wyżej.

Dotarli do głazu w samą porę, żeby zobaczyć, jak fala zalewa Domarö. Piętnastometrowy granatowy mur z lodową koroną z ostrych odłamków kry runął na budynki. Anders osunął się na ziemię obok głazu; widział, jak masy wody zbierają ze sobą to, co pierwsza fala zostawiła z jego domu.

Potężny kawał lodu przeleciał przez grzbiet fali i zmiądzzył dach domu Anny-Grety i Simona, a kilka sekund później pod naciskiem ogromu wody runęła drewniana konstrukcja dzwonu sztormowego. Woda miażdżyła wszystko, kawałki drewna tańczyły chwilę na spienionych falach, a potem nie było już niczego. Sześciu uciekinierów stało na skale, wznoszącej się kilkadziesiąt metrów nad szalejącym, huczącym morzem, w którego otmętach wirowały szczątki wraków.

Anders uniósł wzrok. Latarni nie było widać. Gdzieś na horyzoncie można było dojrzeć maleńką, skalną wysepkę, latarnia jednak zniknęła, zmieciona przez falę. Morze i ziemia drżały, drżały także ludzkie ciała i głaz, natomiast wyspa, która pojawiła się obok Gåvasten, zaczęła tonąć.

Masy wody cofały się spod ich stóp.

- Tam byli ludzie... - usłyszał Anders nad sobą głos Matsa.

Uniósł głowę i zobaczył, że Mats stoi i lustruje okolicę przez lornetkę. Po chwili opuścił ją i pokiwał głową.

- Tam byli ludzie. Na tej wyspie. Dużo ludzi. Nie ma ich już - powiedział, wskazując dłonią tonącą wyspę.

Anders obejmował Maję, wtulając nos w jej kark. Woda ustępowała, ukazując widok miasta, które przestało istnieć. Pod nimi było błoto, połamane drzewa

i szczątki zniszczonych domów. Gdziekolwiek widać było mniej lub bardziej rozbite łódzie. Jedyne, co ocalało, to betonowe moło przystani.

To jest niebezpieczne. Nie tylko dla ciebie. Dla wszystkich, którzy tu mieszkają.

To Anna-Greta miała na myśli, wypowiadając te słowa; temu chciała zapobiec. Anders znów wcisnął nos w kark Mai, przytulił policzek do jej pleców.

- Tato, kłujesz! Przestań.

Uśmiechnął się i odwrócił się do niej. Przeciągnął delikatnie palcem po jej policzku. Maja zacisnęła wargi, jak to zwykle robiła, kiedy się nad czymś zastanawiała.

- Tato!

- Tak?

- Śniło mi się, że wołałam ciebie. Wiele razy. Wołałam ciebie?

- Tak, wołałaś.

Pokiwała ponuro głową, jakby znalazła potwierdzenie czegoś, co dawno podejrzewała.

- I co wtedy zrobiłeś? - spytała.

Anders widział jej poważne, zaniepokojone oczy. Odsunął lok jej włosów za uszy i pocałował ją w czoło.

- Przyszedłem po ciebie. To oczywiste.

Na cmentarzu w Nåtén jest kotwica. Ogromna, żeliwna, z tabliczką na której jest napisane: Pamięci tych, którzy zaginęli na morzu.

Po tym niepojętym sztormie znikła. Od miejsca, gdzie leżała, biegł świeży ślad, nad sam brzeg. Jakby ktoś chwycił za łańcuch i ciągnął, przeorała ziemię niczym pług, zostawiła ślad i znikła w morzu.

Cokolwiek było kiedyś przytwierdzone do jej łańcucha, urwało się z niego. Albo zostało uwolnione.